Europa w Obrazach.

Opisy malownicze

krajów, ludów i obyczajów; z najcelniejszych autorów ojczystych i cudzoziemskich oraz własnych prac

zebrał

Stanisław Stroynowski.

Z wieloma rycinami.

WARSZAWA.
NAKŁAD FERDYNANDA HÖSICK.
1879.



Ziemia i jéj mieszkańcy.

TOM II.

EUROPA PÓŁNOCNO-WSCHODNIA

przez

Stanisława Stroynowskiego.

WARSZAWA.
NAKŁAD FERDYNANDA HÖSICK.
1879.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 17 Августа 1878 года.

W Drukarni Jana Cotty, ulica Danielewiczowska Nr. 495a w Warszawie.

SPIS RZECZY

W TOMIE DRUGIM.

Obrazy Europy Północno-Wschodniéj.

		Str.
1.	Położenie Europy	1
2.	Morza Europejskie	5
3.	Klimat Europy	13
4.	Roślinność Europy	20
5.	Petersburg (z 2ma rycinami)	26
6.	Moskwa (z 2ma rycinami)	36
7.	Wołga (z ryciną)	40
8.	Niżny Nowogród (z ryciną)	47
9.	Handel i kupiectwo w Rossyi	51
10.	Kozacy Dońscy (z ryciną)	56
11.	Noworossya	60
12.	Dniepr	63
13.	Kijowska gubernija	67
14.	Kijów (z ryciną)	72
15.	Wieś w gubernji Kijowskiej (z ryciną)	78
16.	Wołyńska i Podolska gubernije	79
17.	Stawy w południowo-zachodnich gubernijacb	84
18.	Włościanie w Wołyńskiej gubernii	87
19.	Polesie	91
20.	Styr i Horyń	92
21.	Lasy poleskie	95
22.	Iskorość i Owrucz	99
23.	Poleszuki	100
24.	Jarmark w miasteczku poleskiem	103
25.	Piński powiat	109
26.	Północno-zachodnie gubernije	112
27.	Niemen	119
28.	Wilno (z 2ma rycinami	123
29.	Troki	132
30.	Puszcza Białowiezka (z ryciną)	136
31.	Lud Litewski	142

32. Żmudź 146
33. Białoruś 150
34. Gubernije Nadbałtyckie (z ryciną) 152
35. Góry Karpackie 159
36. Tatry 162
37. Zamczysko Czorsztyńskie (z ryciną) 170
38. Stary i Nowy Sącz 174
39. Górale tatrzańscy 176
40. Zbójnicy w górach 181
41. Wisła 184
42. Kraków (z ryciną) 191
43. Żupy solne w Wieliczce (z ryciną) 198
44. Puszcza Niepołomicka 203
45. Ojców, Grodzisko, Pieskowa skała 207
46. Tęczyn 212
47. Krakowianie (z ryciną) 214
48. Łysa Góra 218
49. Mieszkańcy okolic Sandomierza i Radomia 223
50. Warszawa (z 3ma rycinami) 225
51. Zamek Rawski 232
52. Mazury 235
53. Puszczaki Mazowsza 237
54. Kanał Augustowski 244
55. Pojezierze Bałtyckie 246
56. Żuławy Wiślane 249
57. Gdańsk 253
58. Częstochowa (z ryciną) 257
59. Góry Olbrzymie 265
60. Górale Szlązcy 269
61. Kujawianie (z ryciną) 272
62. Goplo 277
63. Kruszwica 279
64. Gniezno . . . . [illegible]
65. Zamek w Gołuchowie 284
66. Wielkopolanie (z ryciną) 285
67. Dniestr 289
68. Pokucie 295
69. Źródła i wodospady Prutu 299
70. Górale wschodnich karpat 301
71. Żydzi (z ryciną) 306

1. Położenie Europy.

Każda część świata odznacza się właściwem sobie i odmiennem położeniem, granicami i ukształtowaniem swojej powierzchni. Azya, kolebka rodzaju ludzkiego, najrozleglejsza ze wszystkich lądów, leży w środku ich i prawie dotyka każdego. Europa jest jéj przedłużeniem i jakby dopełnieniem na zachód; od Afryki oddziela ją wązki przesmyk lądowy, a od Ameryki i Australji dwa również wązkie przesmyki wodne. Z Azyi tylko rodzaj ludzki w czasach przeddziejowych mógł rozejść się po wszystkich pozostałych częściach świata, drogą suchą, albo przebywając ciaśniny, z których brzegów widać brzegi przeciwne, na małych łódkach, w jakich i teraz przebywają je tameczni rybacy. Zaś ów środek dawnego świata, gdzie była kolebka całéj ludzkości, idąc raczej za najpewniejszem podaniem, jak za niepewnymi domysłami o wiele późniejszej nauki, widzimy tam, gdzie i następnie w pełni dziejów tego świata zaszedł największy i najpłodniejszy w skutki ich wypadek, gdzie ujrzał go wieszcz włoski:

„Sotto l'emisperio, che la gran secca
Coverchia, e sotto 'l cui colmo consunto
Fu l'Uom che nacque e visse senza pecca."

(*Dante. Inferno. canto XXXIV*).

Azya przeto, i to Azya zachodnia jest środkiem świata starożytnego. Kiedy ten świat był mniejszym, widownią jego dziejów były pobrzeża morza Śródziemnego, po którém pływano trzymając się brzegów. Nastały jednak czasy, kiedy morza stały się głównemi drogami od jednych lądów do drugich, i kiedy ze wskazówką igły magnesowej puszczono się daleko na niezmierne obszary oceanów. Wtedy środek świata musiał przenieść się gdzie indziej, tam, gdzie dojrzał go wielki geograf naszego wieku, który pierwszy odróżnił na kuli ziemskiej dwie połowy jéj: lądową i wodną. W czasach przeto naszych, kiedy widownia dziejów rozszerzyła się daleko, i nowém morzem Śródziemném stał się ocean Atlantycki, Europa zajęła pomiędzy innemi częściami

świata stanowisko Azyi. Ztąd najbliżej się dostaje do wszystkich innych lądów, już nie jak w czasach dawnych drogą lądową, ale jak przystało naszym czasom wiedzy i doświadczenia, drogą najwłaściwszą przez morza, które są prawdziwymi łącznikami i pośrednikami między różnymi lądami dla ich życia politycznego, tak jak ocean powietrzny jest łącznikiem i pośrednikiem pomiędzy morzem a temiż lądami dla ich życia fizycznego. Wskutek tego, jak w czasach pierwotnych z Azyi rozeszły się społeczności ludzkie, by objąć ziemię w posiadanie, tak obecnie z Europy rozchodzą się we wszystkie inne części świata społeczności nowe, by zanieść im światło wiedzy, rozbudzić ich dawne ludności zacofane do nowego czynniejszego, płodniejszego i lepszego życia i zostają tam nowymi czynnikami i dźwigniami tego życia.

Takiemu wielkiemu powołaniu Europy odpowiadają też najszczęśliwiej nakreślone jej granice. Od północy, od zachodu i od południa ją oblewają morza, mające wszędzie najliczniejsze największe i najdogodniejsze zatoki, przystanie i porty. Nawet najniedostępniejszy i najniegościnniejszy ze wszystkich ocean Północny, u brzegów Europy oddala sie bardziej od bieguna i dzięki szerokiemu w tem miejscu swojemu połączeniu z Atlantykiem, ma najmniej lodów, tych głównych tam i zawad dla żeglugi. Europa, jak wiadomo, ma najdłuższą linię brzegów, i ta ma znaczenie nawet na północy, czego niemasz ani w Azyi, ani w Ameryce. Tylko Europa ma porty i miasta portowe i nad oceanem Północnym.

Wschodnia lądowa granica Europy rozciągająca się na 360 mil, jest niewyraźną i niepewną. Przeznaczeniem Europy jest parcie na Wschód, na tę Azyę, której ona zajęła miejsce i na świecie i w dziejach. Jafet opanować ma namioty Sema. Tak mu sądzono od wieków. Dopełniając tego swego powołania, pomyka on swoje granice na wschód. Kiedyś w wiekach średnich, granicę Europy od wschodu zakreślano pomiędzy morzami Baltyckiem i Czarnem; Polska leżała na krańcu Europy, uważano ją za kraj na pół europejski a na pół azyatycki; zaś Rossya, zwana wówczas Moskowją, leżała już w zupełnej Azyi. Potem, już w naszym wieku, jak opiewają wszystkie dawniejsze podręczniki geografji, Europa graniczyła na wschód z rzeką Donem. Obecnie wyznaczono jej granice wyraźniejsze, o ile takiemi być mogą góry niewysokie i przerznięte wszędzie licznemi drogami i niewielka rzeka, która pod żadnym względem granicą fizyczną nie jest i być nie może. Za temi granicami, przypominającemi sztuczne granice, jakie dzielą jedne od drugich państwa Europejskie, przyroda, już niewątpliwie azyatycka, przybiera cechy coraz bardziej europejskie od tej europejskiej ludności. która wszędy gdzie jest panującą, wyrabia i kraje będące jej siedziba na podobieństwo swojej ojczyzny.

W ukształtowaniu poziomem Europa wyróżnia się też stanowczo i nader korzystnie od innych części świata. Pomijając upatrywanie w niej przez niektórych współczesnych geografów podobieństwa do jakiegoś trójkąta, lub innej figury geometrycznej, co według nas jest bardzo obojętnem dla nauki, powiemy tylko, że właściwością Europy jest mnogość i stosunkowa wielkość półwyspów, rozgałęziających się na liczne coraz mniejsze półwyspy i okrążonych mnogością rozmaitej wielkości wysp lądowych. Kiedy słusznie pod tym względem przyrównano Afrykę do ciała bez członków, zaś Azyę porównać można do olbrzyma, którego ręce i nogi nie odpowiadają jego niezmiernéj tuszy, to Europa przedstawia się jako ciało małe i szczupłe, ale z potężnemi i długiemi ramionami. Niedziw przeto, że daleko ona niemi sięga i mocno chwyta i dzierży.

W ukształtowaniu pionowem Europa odznacza się zdrobniałością form i starannem ich wykończeniem. Góry jej są niewielkie, ale wszystkie uderzają malowniczą rozmaitością swoich widoków; wszystkie one są dostępne i nie sprawiają ani tak wielkich różnic klimatycznych, ani takich nieprzebytych zapór i przegród, jak olbrzymie góry Azyi, Afryki i Ameryki. Wyżyny europejskie są tak nieznaczne, iż nawet niezasługują na tę nazwę w obec takich mass, jak naprzykład wyżyny Tybetu lub Meksyku. Europa jest przeważnie lądem płaszczyzn i falistych równin, przerzniętych rzekami we wszystkich kierunkach, które wprawdzie nie dochodzą rozmiarów tych olbrzymich potoków podobnych wielkością do gór z których biorą początek, jakie zraszają niezmierne obszary Azyi, Afryki i Ameryki, ale otwierają tym polom, które przebiegają, liczne drogi do morza, które wdaje się pomiędzy nie swojemi licznemi i zachodzącemi daleko odnogami tak, iż wszędzie do niego blizko.

Dzięki tej blizkości morza i jego wpływowi na klimat, rozkładowi swoich gór, obfitości i wielorakim kierunkom swoich rzek, równiny Europy choć miejscami mają piaski, wszędzie są mniej więcej urodzajne. Europa jest jedyną częścią świata, w której niemasz pustyni. Niemasz tu zatem wcale miejsca dla ludności koczowniczej, a tylko dla rolniczej, przemyślnej, cywilizowanej. Największy przeto rozwój społeczności ludzkich, materjalny i za nim idący moralny, znalazł miejsce tutaj, na tych równinach, które swoją błogą miernością, daleką, i od zbytków indyjskich i od biedy syberyjskiej, wychowały ludność czynną, pracowitą i energiczną, któréj sądzono panować i przewodzić na ziemi.

Co do ukształtowania zewnętrznego, jabym porównał Azyę do jakiego z tych kolosalnych i potwornych posągów, które stoją w pogańskich świątyniach Indyi, albo do jakiej z tych świątyń dziwacznych,

fantastycznych, lecz nadewszystko olbrzymich, które, jak i ustawione w nich bóstwa, przejmują podziwem i zgrozą. Afrykę porównałbym do grubego i nieociosanego kloca, który dla jej dzikich czarnych ludów jest fetyszem, a w oczach naszych bezkształtnym klocem. Australję do jakiejś figury rozbitej i pokruszonej, która czem była kiedyś dociec trudno, a obecnie jest tylko bezładną ruiną; zaś Europę do artystycznie rzeźbionego posągu uderzającego wykończeniem i najpiękniejszą doskonałością form.

Dla Ameryki nie szukam podobieństwa, bo właściwie nie jest ona częścią świata, jak cztery inne, a całym lądem, jak one wszystkie razem, tylko w rozmiarach zmniejszonych i odmiennej natury. Nowy świat obok starego wydaje mi się jakby wątła i giętka palma obok potężnego i grubego dębu, jakby wysmukła i wdzięczna postać kobiety obok silnej, barczystej i krępej budowy mężczyzny.

Europa wreszcie okazuje się szczególniej w swojem ukształtowaniu zewnętrznem, prawdziwą córką Azyi, która przyszła później na świat i tu i owdzie okazuje w pewnych miejscach podobieństwo i powtórzenie kształtów swojej macierzy, lecz to wszystko złagodzone i zdrobniałe. Główny łańcuch jej gór tak jak w Azyi, idzie od wschodu na zachód, oddzielając od poniżającej się w płaszczyzny północy szeroką i urozmaiconą górami jej podstawę południową, którą stanowią trzy największe półwyspy, odpowiedne trzem największym południowym półwyspom Azyi. Sucha i skwarna Hiszpanja jest niejakiem choć dalekiem przypomnieniem gorącej i ostatecznie aż do bezpłodności suchej Arabji; rozkoszne Włochy pod niejednym względem przypominają bogate Indye; Alpy zamykające je od północy są jakby niedorosłemi dziećmi Himalajów; u stóp ich żyzna dolina lombardzka jest naśladowaniem doliny indostańskiej; a bliźnie rzeki Po i Adyga ze swojem wspólnem ujściem deltowem, przypominają bliźnie potoki Gangesu i Brahmaputry; wreszcie u południowej kończyny Włoch zawisła Sycylja, podobnież jak u południowej kończyny Indyi Ceylon. Trzeci wielki południowy półwysep europejski z okalającem go od wschodu wielowyspiem jest także dalekiem przypomnieniem trzeciego z połwyspow Azyi, który też okala od wschodu największe wielowyspie. Wreszcie u zachodniego końca Europy przemyślna i ludna wyspowa Wielka Brytanja przypomina zamykającą od wschodu Azyę, przemyslną i ludną wyspową Japoniję. W tych jednak podobieństwach widzimy i rożnice, ktore stanowi indywidualność każdej pomienionej części swiata. Ogromna Azya góruje nieskończenie nad małą Europą wielkoscią swoich rozmiarów i ostatecznościami swojej przyrody. Jakże małe są Alpy obok Himalajów, Po i Adyga obok Gangesu i Brahmaputry, żyznosc, płodność i bogactwo doliny północnych Włoch obok

doliny indostańskiej! Jakże biednym jest nawet tak piękny archipelag grecki obok najwspanialszego w świecie archipelagu indyjskiego. Lecz znowu o ileż rozwój starożytnej kultury greckiej i rzymskiej góruje nad kulturą jeszcze dawniejszą starożytnéj Indyi! Azya przedstawia nam potęgę przyrody, zaś Europa przedstawia potęgę władającego nią człowieka; i to stanowi najwybitniejszą różnicę między temi częściami świata; przez to Europa góruje i nad pozostałemi częściami świata, dając obok siebie miejsce tylko Ameryce, która jest jej córką przybraną i może spadkobierczynią jej działalności, potęgi i znaczenia w dalekiej przyszłości. St. Str.

2. Morza europejskie.

Żadna część świata niema jak Europa tyle i tak wielkich zatok i mórz wewnętrzych. Największe ze wszystkich jakie są gdziekolwiek morze środziemne, mające i tę nazwę, która mu się należy najsłuszniej, zasługuje więcej niż jakiekolwiek inne na uwagę. Podróżny, co chce zwiedzić najpiękniejsze, najciekawsze i najpamiętniejsze w dziejach miejscowości, ogląda pobrzeża morza Środziemnego, które wypełnią mu czas i najdłuższej przejażdżki. Od ciaśniny Gibraltarskiéj, tego pomnika siły wód oceanu, które niegdyś w czasach przewrotów fizycznych przeddziejowych, w tem miejscu rozdarły potężne i wyniosłe skały i przez nie utorowały sobie drogę, aż do tej drugiej ciaśniny na przeciwległym końcu tego morza, będącej pomnikiem siły ludzkiej, którą w czasach obecnych wykopały ręce ludzi pod kierunkiem przedsiębierczéj i śmiałej nauki, za każdym krokiem znajdzie się tam nad czem zatrzymać, na co patrzeć, co rozważać i ciągnąć z tego naukę głęboką, jaką dają zawsze wieki. Pisarz co zechce podać swoje zebrane tam wrażenia, lub udzielać publiczności spostrzeżeń i wrażeń cudzych, albo opisywać i badać te okolice pod jakimkolwiek względem, znajdzie tam materyi do pisania na całe tomy. Jesteśmy tam w najciekawszej i najbardziej zajmującej okolicy na ziemi, gdzie patrzymy w oblicza trzech części świata, i gdzie od stworzenia tego świata aż dotychczas, snuje się nieprzerwana nić dziejowa i zaszły najważniejsze w tych dziejach wypadki, w obec najpiękniejszej przyrody i pod najpiękniejszém niebem, które niewiele ustępują nawet okolicom zwrotnikowym; tam oglądamy najstarsze z pomników ludzkich sfinksy i piramidy, potem młodsze od nich ale zawsze stare ruiny klassyczne Grecyi i Rzymu, potem żywe dotąd miasta i pomniki wieków średnich, i wreszcie czasów nowożytnych. Piękna przyroda, jeszcze piękniejsze

pomniki dziejowe, będące oraz pomnikami sztuki, i nad wszystko piękniejsze wspomnienia, które tam na każdym kroku opadają i cisną się nieprzebranym tłumem.

Morze Środziemne jest na małą skalę tem, czem ocean Wschodni: naczyniem zapadłem, którego brzegowiska porozrywane mnogimi wrębami i zatokami, wszędzie są strome i urwiste i którego powierzchnia usiana jest niezliczonem mnóstwem większych i mniejszych wysp, wysepek i wystających z wody gór i skał. Daleko zachodzące w nie półwyspy Włoch i Małej Azyi, rozdzielają go na trzy wielkie naczynia: zachodnie, wschodnie i morze Czarne. Pierwsze dwa stanowią właściwe morze Środziemne zajmujące przestrzeń 47,000 mil kwadratowych. Okazuje się w niem przypływ wody od wpadających rzek mniejszy, aniżeli odpływ do powietrza przez parowanie. W skutek tego poziom jego wód jest cokolwiek niższym, i dopełniają go ciągle swojemi wodami ocean przez ciaśninę Gibraltarską, a morze Czarne przez ciaśniny Bosfor i Dardanelską, i ztąd panują w tych ciaśninach stałe w tym kierunku prądy. Szczególniej wyraźnym jest prąd z morza Czarnego, który tak jest gwałtownym, że okręty tylko z bardzo silnym wiatrem lub parą, mogą płynąć przez Dardanelle i Bosfor na północ. Prąd w ciaśninie Gibraltarskiej daje się spostrzegać pod powierzchnią morza w całej ciaśninie, którą przebywszy, u południowych brzegów Europy zajmuje szerokość 4 mil i głębokość do kilku tysięcy stóp. Na powierzchni morza w pomienionej ciaśninie idzie prąd przeciwny z morza Środziemnego do Atlantyku, co dało kiedyś powód do mniemania, że to morze odpływa do oceanu.

W taki sposób, wnosić można, i pierwotnie napełniło się morze Środziemne z dwóch stron, za owym wielkim przewrotem wulkanicznym, który wytworzył ostatecznie stały ląd Europy przez podniesienie wielkiej równiny Rossyi europejskiej i zapadnięcie się doliny, która niegdyś łączyła ląd europejski z afrykańskim, a obecnie stanowi dno morza Środziemnego, co nastąpiło zapewne jednocześnie z wydźwignieniem całej północnej Azyi. Podniesienie tej wielkiej równiny północnej odlało daleko na północ wody oceanu Północnego, które niegdyś opierały się o góry Tian-Szan, co poświadczają liczne w nich wulkany, pojawiające się wszędzie tylko nad morzem, i odcięło morza Czarne, Kaspijskie i Aralskie od tego oceanu, którego, jak widać ze wszystkiego, były one kiedyś odnogami. Ostatnie dwa, po zrównoważeniu ich przypływu od wpadających w nie rzek z odpływem przez parowanie do atmosfery, pozostały jeziorami; zaś pierwsze, w którem ów przypływ od mnogich rzek okazał się większym, podniosło poziom swoich wód, aż znalazło dla nich wyjście przez ciaśniny Carogrodzką i Dardanelską, któremi wdarło się w otwarte naczynie teraźniejszego

morza Środziemnego, podobnież jak z drugiej strony wdarł się tamże ocean przez ciaśninę Gibraltarską. Dodamy tu jeszcze, iż, jak nam się zdaje, nie samo morze przebiło te ciaśniny, a jednocześnie utworzyć je musiały siły wulkaniczne. One to przy wspomnianym wyżej przewrocie skorupy ziemskiej, której część podniosła się a część zapadła, zapewne rozerwały i przegradzające je skały tak, iż morze znalazło w nich przygotowane dla siebie łożysko, a przynajmniej ułatwione przejście.

Pomiary głębokości w morzu Środziemnem dają w różnych miejscach cyfry bardzo różne, z czego obok rozkładu jego mnogich wysp i półwyspów, możemy zrobić sobie wyobrażenie o topografji całej tej przestrzeni w czasach przeddziejowych, kiedy ona jeszcze nie zapadła i nie stała się jak obecnie dnem morza. Głębokość w samej ciaśninie Gibraltarskiej jest na 940 stóp, zaś nieco dalej na wschód dochodzi 2,820 stóp, jeszcze dalej pod Algerem i na południe od Sardynji ma być przeszło 6,000 stóp. Pod Niceą i Genuą blizko brzegów głębokość dochodzi 4,000 i 4,500 stóp i na takich głębiach niewiele się znajduje ryb i morskich zwierząt; zaś między Sycylją i przylądkiem Bon, głębokość wynosi tylko od 45 do 450 stóp. Okazuje się z tego, że cała ta przestrzeń będąca obecnie zachodniem naczyniem morza Środziemnego, stanowiła kiedyś kotłowinę zamkniętą od zachodu pasmem skalistych gór, które i teraz dochodząc w Afryce i w Hiszpanji do samej ciaśniny Gibraltarskiej i rozerwane przez tę ciaśninę, stanowią tak nazwane przez starożytnych słupy Herkulesa. Od wschodu tę kotłowinę zamykało pasmo wyniosłości o stokach bardziej pochyłych; w pośrodku jej wznosiła się gruppa wysokich gór, których niegdyś szczyty tworzą teraźniejsze wyspy Balearskie i obszerniejsze wyżyny, jak Sycylja, Korsyka i Sardynja, najeżone z wierzchu jeszcze wyższemi górami, podobnież jak wyżyny Tybetu i Peru. W środku teraźniejszego morza Toskańskiego było zapewne jezioro, zasilane przez Tyber i inne rzeki włoskie, w pośród skalistych szczytów, które i teraz podnoszą się z tego morza. Błota Pontyńskie leżące wtedy na wyżynie, zapewne były żyznemi i urodzajnemi polami.

Wschodnie naczynie morza Środziemnego, w którem podobnież na wschód od Sycylji głębokość prędko i o wiele się powiększa, było także kiedyś niziną usianą gruppami wysokich gór, których szczyty tworzą teraz wyspy Maltę, Jońskie i wszystkie archipelagu Greckiego, a między niemi i wyżyny, jak Kandya, Negropont i półwysep Morea. W dolinie będącej teraz dnem morza Adryatyckiego, łączyły się zapewne rzeki Po, Adyga, Brenta, Piave, Tagliamento, Isonzo w jeden ogromny potok niosący swoje wody do leżącego w środku między Kandya, Cyprem i Egiptem jeziora, do którego od południa wpadał Nil.

Morze Środziemne zamknięte od północy wysokiemi pasmami gór, które tamują przystęp do niego chłodnych północnych wiatrów, wystawione jest na silniejsze działanie słońca, które przy małym do niego stosunkowo przypływie wód rzecznych, sprawia tem silniejsze jego parowanie. Wskutek tego, jego temperatura na powierzchni jest o 2 stopnie wyższą od temperatury w tejże szerokości oceanu i słoność także większą, aniżeli w oceanie i sąsiedniem morzu Czarnem.

Znaczenie morza Środziemnego w dziejach rozpoczyna drugą ich epokę morską, następującą po pierwszej rzecznej i ciągnącą się do odkrycia Ameryki i nowej drogi do Indyi, które otwarły trzecią nowoczesną epokę oceaniczną. Ową drugą epokę otwarła żegluga Fenicyan. Długo oni panowali na tem morzu naprzód w Tyrze, a następnie w Kartaginie, aż ustąpili to panowanie Rzymowi nie bez walki, która była na życie i śmierć, ciągnęła się lat 200 i zakończyła się ostateczném zwycięztwem Rzymu i zburzeniem Kartaginy. Rzymianie pojmowali dobrze, iż ten tylko włada światem, kto panuje na morzu. Wieki starożytne były epoką najświetniejszego rozwoju we wszystkich krajach nad morzem Środziemnem. W owych czasach na pobrzeżach afrykańskich kwitnęło 400 bogatych miast, kiedy obecnie ledwo naliczyć tam można 20 mających jakieś znaczenie handlowe. Pomiędzy niemi zawsze pierszeństwo trzymała Kartago, która i po zawojowaniu i obróceniu jej w perzynę przez Rzymian, jeszcze powstała z popiołów i była znakomitem i bogatem miastem handlowem. Sycylja, ta perła morza Środziemnego, posiadała wówczas więcej ludnych i bogatych miast, niż obecnie posiadają ich całe Włochy. Na pobrzeżach wschodnich w dawnej Fenicyi, leżał stary potężny i bogaty Tyr dopóki nie został zburzony przez Nebukadnecara; poczem nowy Tyr powstał obok w sercu morza na poblizkiej wyspie; i ten uległ potędze Aleksandra Wielkiego, który zdobył go siłą lądową, usypawszy do niego groblę, którą widać dotychczas. Przy ujściach nilowych powstała założona przez Aleksandra Wielkiego Aleksandrya, najznaczniejsze obok Kartaginy miasto handlowe, którą założyciel przeznaczył do zajęcia miejsca zburzonego przez niego Tyru. Na brzegach Hiszpanji kwitły założone przez Fenicyan Kadyks już za słupami Herkulesa nad oceanem, który też przebywszy owe słupy zwiedzali ci najpierwsi żeglarze starożytności trzymając się jego brzegów aż do najdalszej północy, Malaga i Kartagena istniejące dotąd, chociaż nie w tak świetnym jak kiedyś stanie; dalej w głębi zatoki Liońskiej Massylja założona przez Greków, dotąd jedno z najznaczniejszych i najhandlowniejszych miast nad morzem Środziemnem.

W wiekach średnich, handel i panowanie na morzu Środziemnem dostały się Włochom. Genua i Wenecya przez handel i żeglugę do-

szły do wielkiej potęgi; szczególniej ostatnia, która jako państwo europejskie pierwszorzędne, przetrwała aż dopóki odkrycia Kolumba i Gamy nie przyniosły pierwszeństwa w handlu i panowaniu na morzu do Portugalczyków i Hiszpanów; poczem skonały powoli i całe dawne znaczenie i potęga Wenecyi.

Po trzech wiekach przerwy, w ciągu których handel i panowanie na morzu przeszły w ręce Anglii i Hollandyi i wreszcie zostały w posiadaniu pierwszej, kiedy miejsce Tyru, Kartaginy, Genui i Wenecyi, zajęły Antwerpja, Amsterdam, Hamburg, Brema i największe obecnie w całym świecie miasto Londyn, w naszych czasach morze Śródziemne nabiera znowu większego znaczenia przez otwarcie kanału Suez, który o połowę skraca drogę i z Londynu i z Nowego Jorku do Indyi, archipelagu Indyjskiego i Australji.

Morze Czarne zajmujące obecnie 8,550 mil kwadratowych, kiedyś było daleko większem. Połączone z morzami Kaspijskiem i Aralskiem, stanowiło ono ogromną zatokę oceanu Północnego, który w czasach przeddziejowych pokrywał całą dzisiejszą Rossyę tak europejską jak i azyatycką. W skutek przewrotu wulkanicznego, który, jak wspomnieliśmy wyżej, oderwał Europę od Afryki, a połączył ją z Azyą, i który też bezwątpienia jednocześnie wydźwignął góry Kaukazkie, morze Czarne oddzieliło się od pozostałych dwóch, które nadal zostały jeziorami lądowemi i zamknęło się w teraźniejszych swoich granicach.

Przypływ wody do tego morza od licznych i wielkich wpadających do niego rzek jest tak znacznym, iż poziom jego wód stale jest wyższym, od morza Środziemnego, któremu oddaje ono, jak już wspomnieliśmy, nadmiar swoich wód przez Bosfor i Dardanelle. Słoność jego także jest mniejszą, aniżeli w morzu Środziemnem i oceanie.

W północno wschodniej stronie tego morza leży tak zwane morze Azowskie, które naszem zdaniem nie jest morzem, a jeziorem rzecznem, dla tego, że głębokość jego bardzo nieznaczna nie jest morską, a wody mętne i całkiem nie słone także nie są morskiemi. Część jego zachodnią, oddzieloną długim i wązkim pasem ziemi zwanym Arabatską kosą, stanowią bagniska.

Morze Czarne jeszcze w odległej starożytności słynęło jako niegościnne i burzliwe, jako siedziba chłodów, lodów, tumanów i gwałtownych wiatrów. W naszych czasach jeśli nie jest ono już tak zimnem, to zawsze pozostaje wietrznem, do czego przyczynia się jego położenie ograniczone od północy płaszczyznami i otwarte dla wszystkich wiatrów. Niegościnne to zaprawdę morze bardzo mało ma dogodnych portów. Podobno jeden tylko doskonały pod każdym względem jest tam w Sewastopolu, na którym dopiero w naszych czasach

poznała się Rossya, kiedy obrała go na stanowisko dla swojej wojennej floty.

Na tem morzu już daje się czuć klimat lądowy panujący w Rossyi. U brzegów północnych w zbyt surowe zimy pokrywa się ono do pewnej odległości lodem. Morze Azowskie często zamarza całkowicie.

Drugie morze śródziemne Europy Bałtyckie, które trzema ciaśninami łączy się z Niemieckiem, częścią bezpośrednią oceanu, zajmuje przestrzeń 8,000 mil kwadratowych i przyjmuje do siebie wody przeszło 260 rzek płynących do niego ze wszech stron i pomiędzy któremi sa i bardzo znaczne. W skutek tego poziom jego wód także jest cokolwiek wyższym od morza Niemieckiego, do którego przez pomienione ciaśniny wylewa ono ich nadmiar. Słoność ich jest ledwie znaczną. Szarą jest ich barwa, jak i szare nad niemi niebo mało co różniace się od zawsze prawie zaciągających je chmur. Temu morzu brak oświetlenia; przeto iż patrzymy na nie zwykle ku północy, nie odbija sie w jego wodach ani słońce ani księżyc; potrzeba je widzieć z łodzi lub z przylądka wybiegającego daleko w morze, by powierzchnia ich ożywiła się i zagrała w świetle. Nocne oświetlenie więcej harmonizuje z chłodnymi widokami mglistej północy niż oświetlenie słoneczne, przy którem niemiło uderza nagość jałowych wybrzeży. Wreszcie rzadko i na krótko słońce świeci nad tem morzem swymi pochyłymi promieniami; już od początku wczesnej tam jesieni, na większą część roku ołowiane niebo północne opuszcza się na nie mgłą skandynawską i uderza w nie burzami od bieguna północnego.

Ponure są widoki pobrzeży Bałtyku i potrzeba się z nimi oswoić, by znaleźć i tam wdzięki, z których przyroda nigdzie nie jest całkiem obraną. Gwałtowne i przykre, jak na północy, wiatry wzdymają prawie ciągle powierzchnię morza. Gdy wiatr wieje od lądu, ma ono pozór niemiły, żółtawy, a gdy wieje od północy, fale rosną coraz wyżej i bywają szare, a pod wieczór straszno czarne, łamiąc się z przerażającym hukiem na bryłach granitu sterczących tu i owdzie z piaszczystych pobrzeży i opodal od nich z pośród morza. Tylko wrzask mewy przerywa czasami ten jednostajny łoskot, który zdaje się wzrastać z ciemnościami nocy w miarę jak dzienna wrzawa ucisza się na lądzie.

Morze to usiane ogromną ilościa wysp i wysepek i najeżone mnóstwem podwodnych skał i haków, jest bardzo trudnem i niebezpiecznem dla żeglugi, która wreszcie dla lodów i krótkich w tych szerokościach dni, ustaje zupełnie przez dłuższa zimową część roku. Pomimo to nieprzestaje to morze być ważną drogą handlową od czasów jeszcze Fenicyan, którzy go zwiedzili pierwsi, dzięki wpadajacym do niego rzekom, po których spławiane są do jego portów płody przylegających krajów.

Głębokość morza Baltyckiego jest bardzo małą. Bywa ona od 50 do 100 stóp i nie przechodzi nigdzie 200. Tylko zatoka Botnicka jest nierównie głębszą. Zalega ją niezliczone mnóstwo drobnych wysepek i skał, które o ile utrudniają żeglugę, o tyle piękny przedstawiają widok w czasie krótkiego lata, kiedy je okryje szybko wyrastająca roślinność pod działaniem podbiegunowego słońca prawie niezchodzącego z widnokręgu. U brzegów zwłaszcza płaskich, morze to bywa zwykle płytkiem na bardzo znaczną odległość; u brzegów skalistych często zawalają jego dno rumowiska oderwanych od nich skał, które w wielu miejscach tworzą niebezpieczne dla żeglugi szkopuły.

Morze Baltyckie zamarza u swoich brzegów wschodnich i zachodnich; rzadko u południowych; ale jego zatoki Botnicka i Fińska każdej zimy pokrywają się lodem całkowicie, tak, iż po nich chodzą i jeżdżą jak po lodach podbiegunowych. Miejscowe kroniki zapisały tęgie zimy, w których przez to całe morze jeżdżono saniami, jak w latach 1545, 1676 i 1740 z Rostoka i Gdańska do Kopenhagi i w roku 1459 z Kłajpedy do Karlskrony i z Rewla do Sztokholmu. W tym to czasie przybywają do portów leżących na brzegach południowych Finny i Czudy w saniach ciągnionych przez reniferów; w tym to czasie wyprawiają się zawolani myśliwi na wilki, które od połowy Grudnia ciągną gromadami z Szwecyi i Finlandyi ku brzegom żmujdzkim i kurlandzkim, gdzie więcej żeru i lasu. Głód i czas cieczy pędzi tych szkodników w kraje mniej stróżliwe. Powiadają myśliwi, że wilki przebywają okryte lodami zatoki wciągu jednej doby i dopadłszy brzegów Kurlandyi i Żmujdzi tak bywają głodne, że wśród białego dnia wdzierają się do chat i obór.

Brzegi północne Baltyku obmarzają daleko wcześniej od południowych grubymi lodami. Ostatnie burze odkrytego morza łamią je w olbrzymie kry i powstają z nich góry lodowe, które nieraz jednej nocy zrastają się w lodowate skały zalegające przestrzeń kilku mil wszerz a kilkudziesięciu wzdłuż.

Takie zimna panują na tem morzu, kiedy niedalekie fiordy morza Norwegskiego, dzięki przebiegającemu to morze Golfstromowi nie mają nigdy lodów i nawet za kołem biegunowem swobodne od nich są Hamerfest i przylądek Północny.

Zastanawiającem szczególniej na morzu Baltyckiem jest powolne podnoszenie się brzegów Szwecyi, które naprowadza na domysł, że cały półwysep Skandynawski i Finlandya były kiedyś znacznie mniejsze i wyspami, może zbiorowiskiem wysp, może jedną z nich była owa sławna w starożytności Thule, o której wiadomość podał Pytheasz z Massylji roku 320 przed Chrystusem. W każdym razie zdaje się nieulegać wątpliwości, iż morze Baltyckie kiedyś łączyło się z Białem,

czego ślady widzimy w tym labiryncie jezior, które zalegają całą dzielącą je obecnie przestrzeń.

To podnoszenie się brzegów Bałtyku naprowadziło było na domysł, który u nas pojawił się kiedyś i w drukowanych pismach, że morze to ubywa; domysł niedorzeczny, bo morze, które na całej ziemi tworzy jedną całość, nigdzie ani przybywa ani ubywa, a utrzymuje się w swojej mierze; lecz wmieszczające go naczynie może podlegać zmianom, tak nagłym jako i powolnym, w ciągu lat i wieków, jak to widzimy zresztą nie tylko na północno zachodnich brzegach Bałtyku, ale i na brzegach Chili, które również się podnoszą, i na brzegach Dalmacyi, które zapadają, i w innych miejscach. Działanie to jest sił wulkanicznych i najciekawszy widok tego przedstawia powolne, wiekowe, od czasu do czasu przerywane wulkanicznymi wybuchami kształtowanie się wyspy Santorin w archipelagu Greckim.

Drugie godne uwagi zjawisko nad morzem Baltyckiem jest tworzenie się na jego południowych brzegach wydm piaszczystych, jakie widzimy też na brzegach południowych morza Niemieckiego i wschodnich zatoki Biskajskiej. Dawne pomorze pruskie, kraj bursztynowy, przerzynają znakomite rzeki Pregel, Wisła i Odra. Ujścia ich są w rozległych jeziorach wody słodkiej zwanych habami, które oddzielają od morza długie i wązkie pasy piaszczyste zwane mierzejami; u ich końca zwykle jedna wazka ciaśnina prowadzi z habu na otwarte morze. Takich habów jest trzy: wschodni Kuryski jest ujściem Niemna, średni Fryski jest ujściem Pregla i prawego ramienia Wisły; przed nim rozciągająca się zatoka Gdańska także do połowy od zachodu jest osłonięta mierzeją Hela, na której niegdyś był port wojenny polski za Władysława IV i dwie twierdze Władysławów i Kazimierzów zbudowane przez tego króla, których teraz niemasz i śladu. Zachodni hab Szczeciński będący ujściem Odry, zasłonięty jest dwoma wyspami Wolin i Ujściedom. Wreszcie cały brzeg jest gładkim, niepokrajanym w zatoki i wzdłuż jego idą jednym lub kilkoma rzędami wały piaszczyste, których mierzeje są widocznie dalszym ciągiem. Wały te są wydmami drobnego ruchomego piasku, który fale morza jednostajnie wylewając się daleko na płaskie brzegi i ustępując z nich, zostawiają po sobie i układają w rzędy pagórków. Z czasem od dalszych nanosów tworzą one wały tak wysokie, że i najgwałtowniejsze fale ich nie przekraczają. Ale żeby je utwierdzić i przywiązać do miejsca, potrzebna jest roslinnosc, która na nich się przyjmuje, choć nie łatwo. Kiedy tej nie masz, wiatr podejmuje te zbiorowiska ruchomych piasków, unosi je daleko w głąb kraju i zasypuje niemi pola, wioski, ogrody i lasy. Wtedy mieszkancom pozostaje tylko opuszczać swoje siedziby, które stają się łupem ruchomych piasków i zamieniają się w pustynie. Za-

pobiegając takiemu nieszczęściu mieszkańcy takich pobrzeży starają się utwierdzić pomienione wydmy sadząc na nich drzewa. Mierzeja Fryska dochodząca wysokości 200 stóp porosła jest gęstym lasem sosnowym i dzięki temu trzyma się pomimo takiej wysokości i jej stromych spadów.

Taki las zabezpieczał kiedyś i mierzeję Kuryska, ale go wycięto w przeszłym wieku. Król pruski Fryderyk Wilhelm I potrzebował pieniędzy. Wtedy jeden z jego zaufanych doradców pan v. Korff, by dostać tych pieniędzy bez nakładania nowego podatku, zaproponował i uzyskał pozwolenie na sprzedaż niektórych zbytecznych lasów należących do korony. Między innymi wycięto i mierzeję Kuryską. Król dostał 200,000 talarów. Obecnie danoby chętnie miljony, by zasadzić tam las po dawnemu, ale to się nieudaję; piaski zasypują hab, który zarasta sitowiem i z czasem zamieni się w bagnisko, rybołówstwo w nim ustaje, ludność się wynosi i na rozburzonej, długiej na mil 15 i niegdyś gęsto zaludnionej mierzei teraz pozostało tylko trzy biedne wioski.

W południowo zachodniej stronie Baltyku dają się spostrzegać głębokie wręby w brzegach, ślady burzącego działania morskich fal, jakie dalej widzieć się dają na brzegach morza Niemieckiego. Wyspa Rugija leżąca niedaleko od ujścia Odry, przedstawia najciekawsze widowisko takiego niszczenia lądów przez morze. Niegdyś stanowiąca część stałego lądu, następnie oderwana od niego i zamieniona w wyspę, a nakoniec pokrajana w sposób najdziwniejszy, tak, iż kommunikacye między różnemi częściami jej odbywają się na łódkach przez morze, nosi ona widoczne ślady ciężkich ciosów, jakie jej zadaje wściekły i wrogi żywioł rozbijający ją nietylko swojemi falami, ale jeszcze bardziej ogromnemi krami lodów, które nanosi od północy. Można zauważyć, jak wiele już ubyło z tej wyspy. Z czasem morze pewnie ją rozdrobi na kilka małych wysepek.

Ocean Północny u brzegów europejskich ma wielką zatokę morze Białe i tylko u tych brzegów, gdzie mniej bywa lodów jak na Baltyku, zwiedzanym jest przez statki kupieckie. Archangelsk przy ujściu Dźwiny północnej, niegdyś główny port rossyjski, znany był żeglarzom angielskim od wieku XVI.

St. Str.

3. Klimat Europy.

Ze wszystkich części świata Europa jest szczególniej uprzywilejowaną co do klimatu. Na całej swojej przestrzeni ma ona wszędzie więcej daleko ciepła, aniżeli zapewnia jej szerokość geograficzna. Ta-

kie ocieplenie jej dają wiatry zachodnie, sąsiedztwo Afryki i prąd Zatokowy (Golfstrom). Każda z tych przyczyn nader wielkie ma znaczenie w geografji fizycznej naszej części świata i zasługuje na rozbiór szczegółowy.

Wiatry zachodnie są odwrotnymi wiatrami Statecznymi, które na mocy ogólnych praw fizycznych przewodniczących ruchom atmosfery, zmierzają od równika ku biegunom, zaś w skutek dziennego obrotu ziemi zmieniają swój kierunek pierwotny. Te wiatry są ciepłe i wilgotne, przeto iż idą od równika, gdzie powietrze jest silnie rozgrzane i bardzo napojone wilgocią, a następnie przez oceany, z których również zabierają pary. W pasie zwrotnikowym przelatują one górne warstwy atmosfery, ale już na wyspach Kanaryjskich dają się czuć na wysokości szczytu Teneryffy, dalej zaś w pasie umiarkowanym zniżają się aż na powierzchnię ziemską. Obwiewając zachodnie pobrzeża lądów na obydwóch półkulach wschodniej i zachodniej, łagodzą one ich klimat tak, iż wszystkie miejsca leżące pod jedną i tą samą szerokością geograficzną są cieplejsze na pobrzeżach zachodnich niż na pobrzeżach wschodnich obydwóch lądów. Ale kiedy na lądzie zachodnim te wiatry zatrzymywane są wnet przez pasma gór tak, iż ogrzewają tylko ich stoki zachodnie ciągnące się na pobrzeżach, na lądzie wschodnim sięgają one nierównie dalej. Tam łagodny wiatr zachodni zwany przez starożytnych poetów Zefirem, niesie znacznej części tego lądu, mianowicie Europie otwartej ku zachodowi przez liczne i głęboko do niej wchodzące zatoki, ogromną massę podrównikowego ciepła i podrównikowej i nabranej z oceanu Atlantyckiego wilgoci. Obok tedy ciepła spada tu i największa w pasie umiarkowanym ilość deszczów, od których na mocy praw fizycznych, mianowicie wyzwolenia utajonego cieplika, przybywa też ciepła.

Dostrzeżenia meteorologiczne wskazują, że w Europie ilość dni w których wieje wiatr zachodni, jest większą aniżeli wszystkich innych wiatrów razem, i że ilość pierwszych zmniejsza się, a drugich powiększa w miarę postępowania od zachodu ku wschodowi. W skutek tego połowa Europy zachodnia ma klimat morski, a wschodnia ladowy. Przejście od jednego do drugiego jest nieznacznem tak, iż w naszym kraju, gdzie ono właśnie ma miejsce, klimat jest, że tak powiemy, średnim, ani stanowczo morskim ani stanowczo lądowym. Wszakże i dalej na wschód, w Europie ten klimat lądowy nie jest jeszcze wcale tak wygórowanym, jakim on się okazuje w Azyi i średnia temperatura w każdej szerokości, obniżając się stopniowo ku wschodowi, zawsze w Europie jest wyższą aniżeli w Azyi. Można przeto powiedzieć, że z całego zapasu ciepła i wilgoci, jaki wiatry zachodnie niosą od równika i od oceanu zachodniego lądowi wschodniemu, część największą zabiera na-

przód część zachodnia tego lądu Europa, a dalsza część wschodnia Azya bierze po niej tylko resztki tak skąpe, że ogromnym w jej wnętrzu obszarom nic się nie dostaje i przeto one pozostają suchemi i chłodnemi pustyniami. To źródło swojej przyrodzonej ciepłoty Europa miała zawsze i nieutraci go nigdy, dopóki na kuli ziemskiej będą powietrze i woda i ta kula będzie wiercić się na swojej osi od zachodu na wschód.

Północna Afryka, długością równająca się południowej Europie, ciągnie się do niej równolegle w odległości około 10 stopni szerokości, którą wypełnia morze Śródziemne. Całą prawie tę część Afryki, bo z bardzo małymi wyjątkami na jej kończynach wschodniej i północno zachodniej, zalega największa w świecie pustynia, rozciągająca się nie mniej daleko w głąb aż po za równik, i którą słusznie przyrównywają do niezmiernego pieca przystawionego do Europy dla jej ogrzewania od najszerszej podstawy południowej. Ta pustynia afrykańska zawsze palona od zwrotnikowego słońca niema nigdy deszczów. Wyschłe i rozrzedzone jej powietrze chłonie i rozprasza w sobie każdą chmurkę, jaka do niej się zabłąka i wszystkie potoki chłodnych wiatrów, jakie wieją do niej od Europy i które znane są w różnych jej krajach pod osobnemi nazwami, jak w północnych Włoszech Bora, w południowej Francyi Mistral. Rozrzedzoną przez ich ubytek atmosferę europejską napełniają ciepłe i wilgotne wiatry zachodnie, o których była mowa wyżej, i gorące a suche wiatry południowe z tej pustyni afrykańskiej, które i w Europie mają cechy podobne do tych, jakie odznaczają je na miejscu w pustyni, ale przytem mają i niektóre cechy odmienne, przez to, że przechodząc po nad morzem Śródziemnem napawają się jego parami. Tak Sirokko we Włoszech przypomina Samum w Saharze, bo jest to tenże wiatr, który tylko przeleciał morze.

Ztąd się okazuje, że gdzie pod równikiem jest ląd, tam leżące dalej w strefie umiarkowanej lądy mają więcej ciepła; i przeciwnie gdzie pod biegunem jest ląd, tam od niego rozchodzi się większe zimno; a to w skutek fizycznej własności materyi ziemskiej stałej i płynnej, ziemi i wody, ogrzewających się i ochładzających niejednakowo. Dla tego półkula południowa, której biegun zalega ląd, jest zimniejszą od północnej, której biegun zalewa morze. Dlatego Azya i Ameryka, których lądy sięgają dalej ku biegunowi północnemu, są zimniejsze od Europy, której północne kończyny oblewa morze prawie o 10 stopni szerokości dalej na południe. Gdyby tedy Europę od południa oblewał jak Azyę ocean, wtedy niewątpliwie miałaby ona temperaturę o wiele niższą.

To drugie źródło swojej ciepłoty Europa pozyskała w czasach późniejszych, które jakkolwiek przedhistoryczne, mogą geologicznie

być nazwane nowemi. Wszystkie cechy płaszczyzny Sahary okazują niewątpliwie, że stanowiła ona kiedyś dno morza. Stwierdziły to najzupełniej świeże badania naturalistów, zwłaszcza francuzkich, przedsiębrane w celu przekonania się, ażaliż nieda się znowu wprowadzić choć w małej części do tej pustyni morze, i przez to zmienić na lepsze jej własności fizyczne. Wyniesienie nad poziom morza północnej części Afryki, które nastąpiło przez działanie sił wulkanicznych może jednocześnie z zapadnięciem się Atlantydy, o którem zachowali nam podanie starożytni, podwyższyło temperaturę całej tej części świata i sąsiadującej z nią Europy. I to źródło ciepła pozostanie, bo zniweczyć je mógłby chyba tylko nowy taki przewrót fizyczny, jak ten, co przed wiekami pogrążył na dno oceanu Atlantydę.

Trzecie źródło ciepła Europy, zwłaszcza zachodniej, stanowi prąd Zatokowy (Golfstrom). Jest on, jak wiadomo, przedłużeniem wielkiego prądu równikowego, który przebiegłszy ocean Atlantycki wpada do morza Karaibskiego i tam napotkawszy nieprzebytą zaporę dla swego dalszego biegu na zachód w przesmyku Panama, zakręca się w zatokę Meksykańską, a z tamtąd wyszedłszy między półwyspem Florydą i wyspami Bahama, zwraca się ku północo wschodowi i przebiega w tym kierunku napowrót ocean Atlantycki, oblewając swojemi ciepłemi (24° R.) wodami całe zachodnie pobrzeże Europy aż do oceanu Północnego. Temu to źródłu ciepła zawdzięczają swój łagodny klimat, a szczególniej swoje łagodne zimy, północno zachodnie kraje Europy leżące nad oceanem, jak Francya, Niderlandy, wyspy Brytańskie i Norwegja. Różnica ich klimatu od normalnego w ich szerokościach geograficznych jest uderzającą i daje się spostrzegać nietylko opodal w Azyi, ale i we wschodniej części Europy, która ma już klimat lądowy.

To źródło ciepła Europa pozyskała też w epoce fizycznego bytu ziemi niedawnej. Był czas, kiedy prąd równikowy oblawszy północne brzegi Ameryki południowej szedł sobie dalej na zachód i nie było tam przesmyku obecnie łączącego dwie Ameryki. Wszystkie spostrzeżenia wskazują, że Andy w Ameryce, jak i Himalaje w Azyi, należą do gór ostatniej formacyi; zaś przesmyk Panama okazuje się nawet późniejszym od Andów. W ostatnich czasach sławny niemiecki podróżnik Maurycy Wagner, a po nim professor Seebach ztwierdzili to swojemi badaniami na miejscu, mianowicie, iż to granitowe pasmo gór, które łączy obecnie dwa niegdyś rozerwane pasma Andów i dwie połowy lądu zachodniego, wydźwignęły siły wulkaniczne w epoce geologicznej bardzo niedawnej, iż pokłady ich zawierają w sobie skamieniałe szczątki tychże roślin i zwierząt, jakie dotąd jeszcze znajdują się tamże na brzegach i na dnie morza, słowem że te góry były jesz-

cze bardzo niedawno na dnie morza, podobnież jak i międzyzwrotnikowy ląd Afryki noszący też w swoich pokładach soli i skamieniałościach ślady niedawnego powstania nad poziom morza.

W owych tedy czasach, które w całym ciągu fizycznego bytu naszej ziemi stanowią epokę bardzo niedawną, kiedy Afrykę składała jej część południowa, zaś dwie Ameryki były rozdzielone, kiedy szeroki ocean oblewał Europę od południa i jego prąd równikowy nie zbaczając nigdzie w stronę dla przegradzających mu drogę lądów przechodził z Atlantyku wprost pomiędzy dwiema Amerykami do oceanu Wschodniego, Europa musiała mieć klimat nierównie zimniejszy. Wtedy jej zachodnie brzegi oblewały tylko zimne prądy biegunowe; wtedy to musiała być ta jej epoka lodowa, której ślady widoczne są dotychczas w wielu krajach Europy zachodniej. Wtedy lodowce pokrywały góry Anglii, Szkocyi, Jura i inne, jak o tem przekonywają nas niewątpliwie pozostałe po nich moreny. Wtedy u stóp ich żyły rośliny i zwierzęta, których obecnie znajdują się tylko szczątki, a które żyją dotąd na Spitzbergu, jak to stwierdziły niedawne poszukiwania szwedzkiej wyprawy naukowej na pomienionej wyspie. Wtedy Francya i Niemcy miały przyrodę taką, jak dzisiaj Laponja i Syberya północna i ludność też zapewne podobną, która wiodła życie biedne, w pośród zawalonych śniegami puszcz wespół z reniferami.

A teraz zachodzi pytanie nader ważne dla przyszłości Europy: Czyli ona utrzyma nazawsze to ostatnie swoje źródło ciepła, które zdaje się być najdzielniejszem ze wszystkich dla Europy zachodniej. Na to pytanie, po dokładnem zbadaniu wszystkich okoliczności, nauka musi odpowiedzieć przecząco: mianowicie: iż z czasem, nawet niezbyt odległym, prąd zatokowy przestanie oblewać znaczną część brzegów zachodnich Europy, których dosięga obecnie, a to z powodu, że jego łożysko coraz bardziej wybacza na stronę. Ażeby to objaśnić, musimy zrobić niewielki ustęp.

Wszystkie morza ciepłe zamieszkują nader liczne żyjątka różnego rodzaju, których zadaniem jest przetwarzać rozpuszczone w morskich wodach sole wapienne w stałe pokłady wapienne, w kształtach naprzód podwodnych ławic, a następnie wysokich skał, jakie widzimy w pokładach wapiennych mnogich gór, jak kredowe skały na wyspie Rugii. Do tych morskich wyrabiaczy skał należą korale i inne skorupiaki, przedewszystkiem zaś ta niezliczona ilość wymoczków, które są we wszystkich morzach, lecz najwięcej w ciepłych, których widzialne w drobnowidz klejkowate ciałka odziewa podziurawiona jak sito skorupa kredowa, od której one otrzymały nazwę Foraminiferów. Te wymoczki w ciągu lat tysiąców nieustannej pracy zbudowały prawie te wszystkie kredowe skały, jakie widzimy obecnie na wyspie Rugii,

na brzegach Anglii, Normandyi i innych. Rozpatrywana w drobnowidz kreda okazuje się złożoną jedynie z pozostałych po nich skorup. Żyjątka te płodzą się najlepiej w morzach ciepłych, a zatem obfitujących w roztwór wapna i będących w większym ruchu; zaś jak szybko idzie ich czynność budownicza, okazuje następujący przykład sprawdzony urzędownie.

Ciaśnina Torres pomiędzy Australią i Nową Gwineą, którą przebiega prąd równikowy oceanu Wschodniego, po jej odkryciu w r. 1806 miała dwadzieścia i sześć wysepek koralowych i przejście wszędzie wolne dla okrętów. Obecnie tę ciaśninę zalega takich wysepek sto sześćdziesiąt i tylko w pewnych miejscach mogą przez nią przechodzić okręta. W r. 1858 zostało ogłoszonem przez admiralicyę angielską, że za lat dwadzieścia, a zatem w r. 1878 ta ciaśnina będzie całkiem zapartą dla żeglugi.

Toż samo dzieje się w ciaśninie Palk, oddzielającej wyspę Ceylon od półwyspu zachodniego Indyi. Tam rafy koralowe prawie już zupełnie zagrodziły przejście nawet dla małych statków, bo już oddawna ta ciaśnina słynie za najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą do przebycia.

Podobne do powyższych pokłady podwodne okazują się około półwyspu Florydy wyciągającego się daleko na południe w zatokę Meksykańską. Cały prawie ten półwysep utworzył się z takich kredowych pokładów i jest robotą pomienionych morskich żyjątek. Dalej takież pokłady dają się widzieć w licznych wysepkach i rafach koralowych między półwyspem Florydą, wyspami Tortugas i Bahama, pomiędzy któremi, jak powiedziano, przeciska się prąd zatokowy. Im gwałtowniej pędzi on swoje gorące fale, tem obficiej płodzą się w nich i czynniej pracują pomienione żyjątka; i co lat kilka dawna wysepka powiększa się dodatkiem nowej rafy, a dawna rafa wychodzi nad poziom wód i staje się wysepką. Półwysep Floryda wyciąga się coraz dalej na południe jak tama, którą prąd musi obchodzić coraz dalej, i w skutek tego zmienia powoli swój kierunek zdążając ku brzegom Europy.

O ile ten prąd już dotychczas zboczył od swego pierwotnego kierunku i jakie tego okazały się skutki, to nam przedstawia obecnie Grenlandya. Po odkryciu jej przed dziewięcioma wiekami, brzegi jej południowe i wschodnie przedstawiały okryte najpiękniejszą zielonością doliny, tak, iż dały jej nazwę i zwabiły do siebie licznych osadników. We sto i dwadzieścia lat potem liczono na jej wschodnich brzegach sto dziewięćdziesiąt wsi i dworów. Teraz całe to pobrzeże jest lodowatą pustynią. Dawne dworki i pastwiska zagrzebane są w zaspach wiecznych śniegów, zatoki i przystanie pozamykały nieodmarza-

jące lody. I południowe i południowo-zachodnie pobrzeża coraz są zimniejsze i coraz bardziej pustoszeją. Zkąd takie oziębienie, taka stopniowa i stanowcza zmiana klimatu? Nie inna tego przyczyna, jak, że prąd zatokowy sięgał kiedyś aż do wschodnich brzegów Grenlandyi i zalewając swojemi ciepłemi wodami jéj fjordy oczyszczał je od lodów i utrzymywał nad nimi zieloność. Co mogło odciągnąć jego koryto ku południowi, jeżeli nie nagromadzenie tam u południowej kończyny Florydy? A kiedy za kilka wieków ten półwysep wyciągnie się jeszcze dalej i okalające go z przyległemi wyspami rafy podwodne zagrodzą całkiem teraźniejsze koryto prądu zatokowego, wtedy należy oczekiwać, że ten prąd jak już jest straconym dla Grenlandyi, tak zostanie straconym i dla północnych pobrzeży wysp Brytańskich i dla Norwegii; i skutki tego okażą się niewątpliwie na tych wszystkich pobrzeżach stopniowo, podobnież jak i na pobrzeżach Grenlandyi.

Obecnie cały świat przemysłowy i cywilizowany w Europie, lecz szczególniej w Ameryce zajmuje myśl przebicia przesmyku Panama, które po przebiciu przesmyku Suez powinno koniecznie uwiecznić płodny w wiekopomne dzieła wiek XIX. Czy jednak uczeni inżynierowie francuzcy, angielscy i inni pomyśleli nad tem, że z przebiciem przesmyku zamykającego morze Karaibskie od zachodu prąd równikowy z tego morza pójdzie swoją pierwotną i właściwą drogą na zachód i prąd zatokowy ustanie? a wtedy bogata w wyroby przemysłowe Europa zachodnia torująca dla nich wszędzie nowe drogi przerachuje się w tem; bo z odkryciem dla swojego handlu nowej drogi do Indyi, Chin i Australii sama stanie się drugą Syberyą. Takie następstwo rozważanem jest i rozbieranem w uczonych pismach europejskich. Co jednak można twierdzić z pewnością, to że niemało ono uśmiecha się popierającym szczególniej ten projekt obywatelom Stanów-Zjednoczonych Ameryki tak czule miłującym swoją starą matkę Europę.

Bądź co bądź, czy kiedyś w skutek powolnego działania przyrody, czy wrychle skutkiem roboty ludzkiej, dobroczynny ogrzewacz Europy zachodniej prąd zatokowy będzie dla niej straconym, a wtedy nastąpi dla naszej części świata nowa epoka lodowa. Na górach Anglii, Szkocyi, Francyi i Niemiec pojawią się znowu lodowce, ich doliny zasypią lodozwały, wieczne lody okryją brzegi Norwegii i pozamykają jej zatoki i fjordy, prądy zimne popłyną od nich wzdłuż brzegów Europy ku południowi, ich chłody zasępią i skrócą jej lata i zaostrzą i przedłużą zimy, średnia roczna jej temperatura spadnie niżej, wiele pożytecznych roślin w niej ubędzie, rolnictwo, a za niem i przemysł i handel pójdzie wstecz i ustąpi daleko na południe.

St. Str.

4. Roślinność europejska.

Roślinność Europy, będąc pod bezpośrednim wyrazem klimatu, podlega tymże podziałom, co sam klimat tej części świata.

Pod względem roślinności dzieli się Europa głównie na trzy części.

Klimatowi przybiegunowych krain odpowiada dzielnica mchów i liszajców, saxifrag i przybiegunowych alpejskich roślin: ta sięga w Europę do koła biegunowego, aż po północną granicę roślin wyniosłego pnia, na przestrzeni poziomych obszarów; toż samo jest ta dzielnica właściwa krainom górskim powyżej górnej granicy lasów. Rośliny uprawne są tu jeszcze nie znane.

Dzielnicy zmiennych napowietrznych opadów odpowiada dzielnica umbeliferów i kruciferów, roślin wysokiego pnia zrzucających liście i żyjących tylko w czasie ciepłej pory roku. Do niej należy cała środkowa Europa po Pireneje, Alpy, po Bałkanu i Kaukazu góry, tudzież wszystkie górskie krainy należą do niej aż po górną granicę lasów. Na tę dzielnicę przypada już powszechna uprawa zbóż i szlachetnych owoców, które się coraz lepiej darzą w miarę dalszego pomknięcia się ku południowi lub na zachód.

Dzielnicy w końcu zimowych deszczów odpowiada w Europie dzielnica wiecznie zielonych roślin (labiatów i kariofilów). Ta obejmuje kraje Śródziemnego morza, południową Francyę, południowe półwyspy i wyspy. Tu panuje już oddech przyzwrotnikowego nieba, podwójny zbiór roślin uprawnych w ciągu roku jednego i powszechna uprawa wina i oliwnego drzewa, cytryn i pomarańcz.

Dzielnice te wszakże nie są odcięte ostremi granicami, lecz w miarę ciepła, większej lub mniejszej wilgoci i w miarę blizkości lub oddalenia od morza, króciej jeszcze mówiąc: w miarę morskiego lub śródziemnego klimatu przechodzi jedna w drugą pogranicznemi miedzami nieznacznie, lub zlewa się jedna z drugą za pośrednictwem blizkich lub pokrewnych typów.

Ztąd powstają w Europie pomniejsze stowarzyszenia roślin, dzielnice odrębnej roślinności i ogniwa przechodnie, których reprezentantami i zapowiednią będą rośliny wyniosłego pnia, lub zupełny brak tych roślin.

Podług tych tedy reprezentantów odrębnych dzielnic roślinnych i odpowiednich każdej dzielnicy roślin uprawnych przejdę teraz z kolei zjawiska europejskiej roślinności.

Dzielnica mchów, liczajców i saxifrag ma w ogólności roślinność bardzo ubogą, a sięga do 70° s. p. tylko w Europie. Średnia roczna

temperatura przypada tu po największej części niżej 0, a lato trwa tylko 4 do 6 tygodni. Ztąd też brak drzew zupełny, a nawet krzewy są tu karłowate. Całe ogromne obszary są tu z powodu nieużytéj ziemi i braku ciepła ogołocone z roślinności, a po innych znajdują się tylko nędzne jej zarody, zawsze jednak tworzące stowarzyszenia osobne co do rodzajów i wzajemnego stosunku, w jakim nizkim niby tylko darniem okrywają ziemię.

W ogólności ma ta dzielnica wielkie podobieństwo z roślinnością alpejską odpowiedniej rocznej temperatury; zachodzą tu wszakże znaczne różnice, które opis roślinności górskiej obejmuje.

Rośliny uprawne potrzebują dłuższego lata aby doszły; ztąd téż nieznane są jeszcze w tej dzielnicy europejskiéj roślinności ani zboża, ani warzywa.

Z nią styka się bezpośrednio na północnym wschodzie Europy dzielnica brzozy, sosny, świerka, jodły i odpowiednia jej uprawa owsa, jęczmienia, żyta i ziemniaków.

Tu występują już coraz wyraźniej cztery pory roku i dzielnica, w której rośliny zrzucają liście, legła w środkowej Europie pomiędzy izotermami 5 — 12½ stopni.

Z drzew pojawia się na pograniczu dzielnicy mchów naprzód karłowata brzoza, która dalej ku południowi w najpiękniejsze przechodzi gaje i w północnej Europie niezawodnie największe tworzy lasy.

Dzielnica brzezin szerzy się obecnie ku południowi, oskrzydla wązkimi pasami sosnowe puszcze i północne bory Rossyi i Prus, zajmuje na obszarach stepowych południowego wschodu Europy w południowych guberniach Rossyi miejsce dawnych lipowych gajów i dębowych lasów i wdziera się już w skrajnych brzezinach na podgórza Karpat i Sudetów.

Pospołu z nią zajmuje cały ten obszar dzielnica sosny z podszyciem mchów i borówek. Od północy jest sosna jeszcze karłowatą, gdzie już brzeziny w pełnej są sile; w Rossyi i w Prusiech jest ta dzielnica w całej potędze, nie przechodzi wszakże na obszar stepowych krain południowego wschodu razem z brzozą, ustępuje z nią pospołu na pasma środkowej Europy górzystej, a tworzy w Niemczech północnych i we Francyi coraz mniejsze lasy.

Jodła i świerk, jako drzewa górskie zajmują tylko powyższe stanowiska na północnym wschodzie Europy i mają tylko mniejsze znaczenie w tej dzielnicy. Wilgotniejsze miejsca zajmuje wierzba, olcha i osika, a jałowiec sięga do biegunowego koła przez całą dzielnicę brzezin i sosnin i wstępuje na góry Europy środkowej; nie przechodzi jednak w stepowe krainy wschodu.

To, co tę całą dzielnicę północnych europejskich borów chara-

kteryzuje, jestto wielkie bogactwo jagód leśnych, które tu zastępują brak owoców. Do nich policzyć wypada także do sześciu gatunków borówek, których zbite darnie sosnowym puszczom i borom za podsłanie i leśne runo służą.

Pod względem roślin uprawnych rozpoczynają posiewy owsa na północy tę dzielnicę. Kędy już przez dni 40 trwa lato, tam dojrzewa już i jęczmień. Na północnym wschodzie Europy posiewy żyta przypadają na dzielnicę borów sosnowych, a ostatnie owocowe drzewa zostają po za wysoczyzną, zkąd Wołga, Dźwina i Dniepr wypływają. Tak daleko sięga także uprawa ziemniaków. Mszyste północne bagna i pustacie przechodzą już w tej dzielnicy w rozkoszne łąki i smugi zielone.

O tę dzielnicę przypiera z kolei dzielnica buczyn, które są właściwem drzewem środkowej górzystej Europy. Północna jej granica przypada prawie na tę linią, w której się ztyka klimat morski z śródziemnym. Przejście to z jednostajnych szpilkowych borów północy do rozkosznie sklepiących się buków środkowej Europy jest już na pierwszy rzut oka znaczne i nadaje okolicy zupełnie inny wyraz.

Najdalej wybiegły ku północy buczyny na północnym zachodzie Europy, gdzie w okolicy Chrystjanii leży północna ich granica. Jeżeli ztąd pociągniemy linię przypadającą naprzód pomiędzy Fryzką i Kurońską zatoką na wybrzeża Baltyku i poprowadzimy ją dalej prawym brzegiem Buga ku zachodniemu krańcowi Wołynia i Podola, zetnie się ona w końcu na obszarze górnego Dniestru z górami Karpackiemi i odgraniczy dzielnicę buczyn na północy i od wschodu.

W Prusiech wschodnich opada północna granica buczyn znacznie, bo tu nie dochodzą, jak tylko do 55° s. p.

Daleko dalej ku północnemu wschodowi posuwają się od dzielnicy buczyn grabiny, bo znajdują się jeszcze na południu Rossyi. W Niemczech północnych i południowych jest grab tylko krzakiem, na podgórzach Sudetów i Karpat tworzy małe gaiki, a tam gdzie buczyny ustają, tworzy prześliczne lasy i jest w pełnej sile. Śródziemny klimat sprzyja więcej jak się zdaje grabinom, niż morski, bo kiedy w Kurlandyi i Inflanciech tworzą jeszcze piękne lasy pod 58° s. p. opada północna ich granica w Szwecyi do 56°.

Dzielnica dębin spływa z dzielnicą buczyn na obszarach środkowej Europy, pozostaje w dolinach górskich niżej od buczyn, ale sięga daleko dalej ku północy i na wschód północny.

W Szkocyi przypada północna granica tej dzielnicy na 58° s. p. na ostrowiskach Norwegii na 60°, na wschodnich wybrzeżach Szwecyi na 60°—40°; na przeciwległym wybrzeżu Baltyku podnosi się o 1° wyżej, następnie opada na równinach północnego wschodu ku południo-

wi do 58° s. p. Na wysoczyznie wszakże Wałdajskiej rosną jeszcze na wysokości 800' nad poziomem morza potężne dęby. Późna wiosna sprzyja tu wzrostowi i naturze dębu, bo go nie rażą już powtórne wiosenne mrozy tu, gdzie przejście z zimy do lata jest nagłe. W głębi Rossyi przypada w końcu północna granica tej dzielnicy na 57 ½° s. p. Na obszarach stepowych krain idą najdalej ku południowi małe dąbrowy ze wszystkich drzew leśnych.

Z północną granicą grabin, a szczególniej już dębin, nikną na północnym wschodzie drzewa liściaste nadające ów pogodny wyraz okolicom środkowej Europy. Znaczna wszakże ilość drzew liściastych przypada pomiędzy północną granicą dębów i przechodzi nawet dzielnicę ostatnich.

Biała i czarna topola pozostaje na zachodzie już w Hollandyi; ale gdzie buk niknie pojawiają się w pełnej sile jasiony, lipy, wiązy i brzosty dalej na północy i wschodzie.

Przepyszne jasiony znajdują się w ogólności w południowej Szwecyi i na stałym lądzie, w okolicy Chrystjanii i na wyspach, lipowe lasy na Litwie, mianowicie na przestrzeni Niemnowego wyłomu i wołyńskiej gubernji. Wiązy i brzosty sięgają do Polesia, aż w głąb Rossyi i tworzą tu tak znaczne lasy jak nigdzie, a przechodzą jeszcze nieco na północy dzielnicę dębu; jasiony wszakże nie idą dalej, a razem z niemi rozszerzają się także i jawory, których dzielnica właściwie do górskiej należy roślinności, a ich pojawieniu się w tych okolicach odpowiada klimatu pokrewieństwo. Z drzew szpilkowych nie przechodzi także cis północnej granicy naszych dębów. Z drzew zaś owocowych środkowej Europy nie dochodzi nawet wiele gatunków tej granicy i pozostaje z dzikim kasztanem pospołu już na obszarze Dzwiny.

Północna granica wina przepołowiła prawie dzielnicę dębin. Na równinach północnego wschodu jest Berlin nad Sprową i zielone góry nad Odrą ostatecznymi północnymi punktami znaczniejszej uprawy win. Następnie przypada ta granica do razu na południowe stoki Karpat i wznosi się tylko na środkowym Dniestrze i Donie dopiero.

Z szlachetnych owoców środkowej Europy nikną na północnym wschodzie naprzód śliwy, następnie gruszki, a parę tylko gatunków jabłek i wiszni posuwa się nieco dalej za Dzwinę. W miarę zaś dalszego pomknięcia się na zachód i ku południowi stają się owoce coraz kruchsze, soczystsze, okrywaja się coraz cieńszą plewką i pięknemi barwami.

Ze zbóż właściwych tej dzielnicy jest dalej na północy zawsze jeszcze owies, jęczmień i żyto; dalej na południu jęczmień i pszenica,

albo także pszenica i kukurudza, ktorej posiewy z hreczką pospołu przeważają na obszarze krain stepowych południowego wschodu i zlewają się z północną granicą okrajkowych win. Uprawa ziemniaków jest w końcu w tej dzielnicy powszechna.

Z dzielnicą dębin pospołu zlewa się na obszarach środkowej Europy dalej ku południowi i na zachód posuniętych dzielnica kasztanów i orzechów włoskich pośrodku już powszechnej uprawy win. W tej dzielnicy pojawiają się już niektóre rodzaje drzew i krzewów nie zrzucające liści przez rok cały, rodzaje drzew owocowych są bardzo upowszechnione i dochodzą tu największej doskonałości. Klon drobnolistny, który w Polsce krzewem jest zaledwo, tworzy tu przepyszne lasy, powyżej kasztanów i orzechów włoskich, które się zacisznych i poniższych miejsc trzymać zwykły. Lonicery i bluszcze wspinają się po drzewach i wielkie bogactwo kwitnących krzewów ozdabia słoneczne zbocze okrajki winnic, ogrodów i lasów.

Cztery pory roku, które jeszcze w tej dzielnicy środkowej Europy są znane, charakteryzują wszakże całą jej roślinność. Rośliny zrzucają tu liście, a zamieranie roślin w czasie zimy i pokrycie ziemi całunem śniegów zmienia tu w przeciągu roku kilkakroć cały pozór kraju.

Skoro wszakże przekroczymy Pireneje, Alpy i góry Bałkanu, zapowiada fizyognomia okolic do razu już południowe kraje. Jędrny oddech środkowej Europy zamienia się tu na suszę południowego nieba, smugi zielonych łąk znikają i zwolna ustępują rozkoszne lasy nadające tyle wdzięku okolicom Francyi, Niemiec i Rossyi. Lasy południowych krain wydają się podobne do naszych krzaków, a ruda ich zieloność zawodzi oczekiwanie nasze i wyobrażenie, jakie sobie pospolicie o roślinności południowych krain robimy.

Jest to dzielnica wiecznie zielonych roślin, odpowiadająca klimatycznie dzielnicy zimowych dżdżów w Europie.

Swietny koloryt okolic południowego nieba nie pochodzi jak u nas od świeżych barw roślinności, ale od oświecenia raczej całego krajobrazu, w którym wszystkie przedmioty nabierają żywych barw, pewnej przezroczystości i uroczej poswiaty.

Dzielnica wiecznie zielonych roślin legła pomiędzy izotermami 12—17° C; w wielu wszakże okolicach tej dzielnicy dalej ku południowi posuniętych, daje się czuć klimat przyzwrotnikowy i roczna średnia temperatura dochodzi tu 20 i więcej stopni. Szczególniej zaś tam, gdzie góry kraj cały lub wyspę osłaniają od północy, okoliczność ta wpływa zaraz na roślinność i podobne miejscowości odnoszą wszelkie korzyści morskiego klimatu.

W ogólności zachodzi wielkie podobieństwo co do całych wy-

brzeży morza Śródziemnego, tak pod względem strefy i geologicznych pokładów, jako też pod względem roślinności. Jest to wszakże grunt klassyczny starożytnego świata i historya nie przeszła tu bez śladu, czyli, jaśniej wyrażając się, została tu roślinność już tylokrotnie wytępioną i zmieniła się tak bardzo pod ręką człowieka, pod wpływem cywilizacyi pierwotnej i powtórnego barbarzyństwa, iż o pierwotnym składzie roślinności i o pojedynczych jej dzielnicach reprezentowanych przez rośliny wyniosłego pnia, zaledwo można tu powziąć wyobrażenie za pomocą analogii.

Wszędzie uderzają też same widoki w mieszaninie i w stowarzyszeniu roślin tych przerwanych dzielnic. Wyniosłe, wspaniałe pinije lub palmy w samotnych kępach wystrzelające wysoko po nad całą okolicą są prawie jedynemi okazałemi drzewami. Obok nich rosną dzikie oliwne drzewa, południowe rodzaje dębów, miejscami gaje platanów, pistacyi i mirtów.

Na południowych dopiero wybrzeżach Śródziemnego morza rodzi się daktylowa palma, a palma karłowata okrywa na północy całe odchodziska morskie i daje drobniejszym roślinom w cieniu swego szerokiego liścia przytułek.

Wielka ilość krzewów o twardym lustrowym liściu, nieznanych w innych częściach Europy, pojawia się w tej dzielnicy i wiele roślin uzbraja się w kolce i ciernie.

Kwiaty drzew nie są wprawdzie i w tej dzielnicy roślinności świetne, ale krzewy stroją się już tu tak wielkimi i przepysznymi kwiatami, jak w podzwrotnikowych krainach, a niektóre rośliny wydają wonne oleje i kosztowne żywice.

Miejsce traw środkowej Europy zajmują tu trzciny przyzwrotnikowych krain, które już w dolinie Lombardzkiej zapowiada jeden rodzaj (*Arundo donax*). Sady owocowe środkowej Europy nikną tu także powoli, a miejsce ich zastępuje powszechna uprawa wina, cytryna, pomarańcza, wiecznie rodząca i zielona figa, sady drzew oliwnych, rożków, miejscami plantacye cukrowej trzciny, kawy, indygo, szafranu, ryżu i wszelkich tykwowych roślin.

Do zbóż należy wszakże zawsze jeszcze i tu kukurudza, pszenica i hreczka.

Stosunek jednak temperatury wyraża się i w roślinności stopniowo; i tak: ma południowa Portugalia i Hiszpania więcej zwrotnikowych roślin od wybrzeży włoskich, a te znowu więcej południowy charakter od półwyspu greckiego; wyspy zaś Śródziemnego morza więcej jeszcze Afryce przyległe wyrażają znowu w jeszcze wyższym stopniu strefę przyzwrotnikową przez większą massę typów roślinno-

sci afrykańskiej właściwych; ten stosunek odnosi się do roślin dziko rosnących, uprawnych i przyswojonych strefie.

Na tem moglibyśmy zakończyć opis tej dzielnicy, gdyby nas zjawisko wiecznie zielonych roślin nie powoływało raz jeszcze na obszary środkowej Europy, gdzie tego rodzaju rośliny do wyjątków należą.

Już przy opisie dzielnicy dębu wspomniałem, iż znajduje się w niej parę roślin zapowiadających niebo południowe, jak *Ilex aquifoli*, *Ilex Europ.* etc. Te wszakże nie grają tak wielkiej roli w geograficznem rozdzieleniu roślin; ale wrzosy, które całe kraje środkowej i zachodniej Europy okryły, zasługują jako osobna dzielnica w roślinności europejskiej na uwagę, raz pod względem obszaru jaki zajmują, to znowu pod względem geograficznego rozdzielenia, na które oceanowy klimat niezaprzeczony wpływ wywiera.

Rośliny wrzosowe są tą zawadą, z którą rolnictwo w Europie od kilkuset lat i bez skutku prawie walczy. Mówimy o nich w tem miejscu, bo należą do wiecznie zielonych roślin. Wielkim szerokim pasem okrążają wrzosowiska obszary zachodniej i północnej Europy, trzymając się zawsze w pewnem równem oddaleniu, od 15 do 25 mil, od rąbku morskiego i sięgają do Bretanji i Normandyi, w jedną stronę do Irlandyi i Szkocyi, aż po 60° s. p., a w drugą wzdłuż przymorzy południowych Bałtyku, jak zatoka Fińska w głąb Rossyi, a posuwają się w Szwecyi aż po 64° s. p.

Wpływ w końcu oceanowego klimatu wyraża się na południowo zachodniem wybrzeżu Irlandyi i Anglii tak bardzo na korzyść wiecznie zielonych roślin, że laur i mirt zimuje tu jeszcze pod gołem niebem pod 50° do 51° s. p. W. Pol.

5. Petersburg.

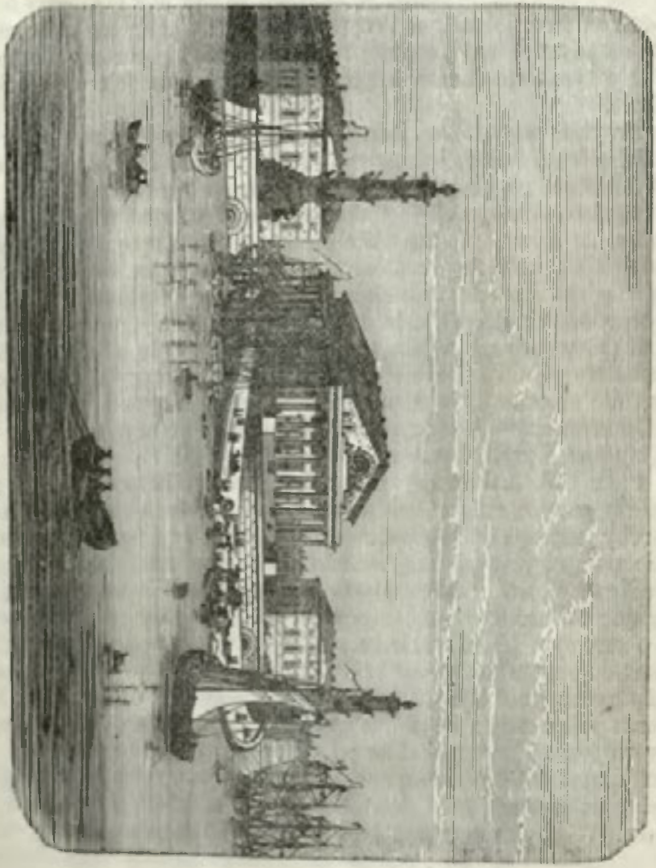
Kto napatrzył się w starej zachodniej Europie na jej starożytne grody zkrystalizowane w swojej średniowiecznej krasie, z ich wązkiemi i krętemi ulicami i wązkimi a wyniosłymi domami w formach najdziwaczniejszych, budowanymi ze wszelkiemi niedogodnościami, jakie wiek jeden przekazywał dziedzictwem drugiemu, w których pomieszkaniach ciasnych i sadzonych jedne na drugie bez ładu, kiedyś mieścili się ludzie, z potrzeby i w obawie od obcych napadów, niewygodnie byle bezpiecznie, jak pszczoły w ulach warownych, a w których teraz ludzie mieszczą się jedynie dla braku innych domów na miejscu tych średniowiecznych fortec, których nawet zwalić nie można, tak

mocno stoją, temu Petersburg, stolica nowoczesna, wydać się musi miastem bardzo porządnem i wygodnem; temu podobają się bez wątpienia jego wielkie place, długie i szerokie ulice i przestronne domy. Kiedy w Wiedniu i Dreznie nawet dworce cesarski i królewski otaczają tak z blizka inne domy, że zaledwo można je z pomiędzy ich tłumu dojrzeć i rozpoznać, w Petersburgu każdy dom ma dość miejsca by się rozpostrzeć najdogodniéj i przedstawiać się oczom jako całość, tak, iż w tym lesie domów każde drzewo wygląda jak może okazale i pięknie.

Przytem wszystkiem jednak, pomimo, a raczej na przekor całej dbałości o regularność, symetryę i piękny pozór, Petersburg nie jest wcale miastem regularnem, symetrycznem i bardzo pięknem. Całą jego regularność i symetryę, jakie miano głównie na widoku, zepsuło to jedno, że nakreślono mu ulice główne rozchodzące się jak promienie od środka, którym jest złocista iglica na gmachu Admiralicyi. Ta iglica rzeczywiście ukazuje się w każdej z trzech głównych ulic Petersburga przecinających całe miasto, to jest część jego główną leżącą na południowym brzegu Newy i która jest właściwą stolicą. Ale zatem musiało pójść koniecznie, że te trzy ulice ze wszystkiemi poprzecznemi nie przecinają się nigdzie pod kątem prostym i w tej głównej części miasta największą rzadkością jest prostokątny róg ulicy, prostokątny dom i prostokątny w jakim domu pokój.

Piotr W. zakładając Petersburg nakreślił cały jego plan. Niektórzy pisarze cudzoziemscy prawiący o dziełach i zamiarach tego monarchy najczęściej bez podstawy i przypisujący jemu tylko swoje własne pomysły, utrzymują, że nie myślał on wcale zakładać przy ujściu Newy stolicy, a tylko miasto portowe; poczem następują u nich zwyczajne deklamacye o niedogodności dla tej stolicy położenia w błotach, o surowym jej klimacie i t. d. W przypuszczeniu tem, którego nie znajdujemy u żadnego z rossyjskich dziejopisów, niema prawdy ani historycznej ani jakiejkolwiek. Co do pierwszej widzimy, że Piotr W. zaraz po założeniu Petersburga zrobił go rezydencyą swoją, swojego dworu i swojego rządu i że taką on pozostał przez cały ciąg jego zresztą długoletniego panowania; a więc oczewiście przeznaczył go od początku na stolicę. Taki zamiar wreszcie godzi się zupełnie z jego polityką. Wiemy że ze wszystkich swoich podbojów najwięcej on cenił to pobrzeże Baltyku i tyle do niego przywiązywał wagi, że kiedy podczas wojny ze Szwecyą, przed bitwą Połtawską czynił bardzo wielkie ofiary, by pozyskać pokój, nie chciał jednak za nic oddać tego błotnistego kawałka ziemi, tego ujścia Newy, na którem już założył Petersburg i nie miał lepszego nad to sposobu przekazania tego i swoim następcom, pomnąc, że to pobrzeże raz już było, i na długo,

zabranem Rossyi przez Gustawa Adolfa. Co do niedogodności położenia, jest ono takiem, jak wielu miast nadmorskich, które pomimo tego i można powiedzieć na przekór temu stały się wielkiemi i kwitnącemi;



Giełda w Petersburgu.

zaś klimat Petersburga jest nawet cokolwiek łagodniejszym, niż leżącego po drugiej stronie Bałtyku Sztokholma. Wedle pierwotnego planu Piotra W., jego stolica miała zajmować głównie prawą stronę Newy i leżącą ku jej ujściu wyspę Wasiljewski ostrow.

Pierwsza, zwana teraz Stroną Petersburgską, została przeznaczona na rezydencyę dworu i zachowała dotychczas domek Cesarza utrzymywany ze czcią. Od południa na przyległej wysepce zasłaniała ją forteca, której znaczenie wojenne, i wówczas niewielkie, obecnie jest żadnem. Mieści ona w sobie cerkiew katedralną, w której od Piotra W. chowani są w prostych granitowych sarkofagach, zalegających całe wnętrze cerkwi i okrytych czarnymi kirami, Cesarze i wszyscy członkowie ich rodziny. Cała odziana siwym granitem przestawia ona z przeciwnej strony szerokiej rzeki widok poważny i surowy. Wasiljewski ostrow został porznięty kanałami wzdłuż i ulicami wzdłuż i w poprzek równolegle i pod kątem prostym. Tam Piotr W. pomieścił założoną przez siebie Akademiję nauk, która w początkach zastępowała oraz Uniwersytet. Tam też ona pozostała i dotąd, a obok niej późniejsza Akademija sztuk pięknych i założony później osobno Uniwersytet. Kanały według planu Cesarza, ale nie pod jego okiem, pokopano tam za wązkie; przeto następnie, pozostały one ściekami, pokryto je murowanem sklepieniem i na tém zasadzono drzewa, wpośród których urządzono rodzaj alei ogrodowych. Te wyglądają wcale nieźle, mając po jednej i drugiej stronie zwyczajne ulice. Na lewej stronie rzeki za Piotra W. stanęła tylko Admiralicya z zakładem dla budowy okrętów.

Za następnych panowań Petersburg rósł bardzo szybko, ale nie według planu swojego założyciela. Właściwa stolica przeniosła się na lewą stronę Newy, gdzie stanął pałac Cesarski zwany Zimowym, będący i dotychczas Cesarską rezydencyą. Gmach to rzeczywiście wspaniały; zaś przed nim kolumna granitowa postawiona przez Mikołaja I. za pomnik Aleksandrowi I. jest jedynym monolitem, obok którego drobnieją wszystkie inne kolumny i największe obeliski Egipskie.

Obecnie największą, najludniejszą, najwspanialszą i najbardziej ożywioną jest część miasta zwana Admiralicką, na lewym brzegu Newy, nad którą góruje złocista iglica Admiralicyi i której wszystkie ulice, długie, szerokie i proste, przecinają się krzywo. Wasiljewski ostrow odznacza się regularnością ulic, jak w miastach Stanów Zjednoczonych Ameryki; ale ruch tam daleko mniejszy aniżeli w części pierwszej. Część Petersburgska, najdawniejsza, jest ustroniem cichem i podobnem do zwyczajnego i niezbyt ożywionego gubernialnego miasta; zaś dalej za nią, oddzielona jeszcze jedną z kilka odnóg Newy, część Wyborgska jest brudną i lichą mieściną, w której ani można się domyślać stolicy i blizkiej rezydencyi Cesarskiej.

Stolica ta nowa, licząca dopiero drugi wiek żywota, niema dawnych pamiątek, które dodają tyle uroku grodom starodawnym. W tych ostatnich i same odwieczne budowy, zwłaszcza pomnikowe, mają

wdzięk niepospolity. W Petersburgu wszystko to jest zanadto świeżem, jakkolwiek i tu nie braknie gmachów godnych stolicy wielkiego państwa, a nawet są pomniki jedyne w swoim rodzaju, jak kolumna Aleksandrowska, której podobnej niemasz zgoła nigdzie. Ale w ogólności rzadko jaki z tutejszych gmachów mógłby stanąć obok tych, które w innych krajach postawiły wieki płodniejsze w wielkie dzieła sztuki, aniżeli nasz wiek XIX.

Do najcelniejszych gmachów w Petersburgu należy cerkiew Isakiewska, cała z marmuru z czterma frontami, w których, a oraz na ogromnej środkowej krytej złocistą blachą kopule, stoją olbrzymie granitowe kolumny, każda z jednej sztuki. Budowa to ogromna i przepyszna, ale ciężka, nieodzownym skutkiem tego, że jej plan ulegał kilkakrotnemu przerobieniu. Dla tego każda jej część wzięta oddzielnie wygląda lepiej i kształtniej, aniżeli całość. Wewnątrz ją zdobią freski roboty najznakomitszych krajowych artystów. Klimat nie zapewnia im trwałości i nienajlepiej one i teraz się wydają z przyczyny, że cerkiew jest dość ciemną.

Cudzoziemcy, a zwłaszcza Niemcy, zarzucają bardzo temu miastu jednostajność, do czego według nich ma się przyczyniać i położenie równe i płaskie. Niezupełnie to jest prawdą. Jakkolwiek ulice i domy niewiele tu przedstawiają właściwości i, jak we wszystkich miastach nowych stawianych według planu, dość są do siebie podobne, daleko temu miastu do jednostajności i martwoty Berlina. Położenie Petersburga, pomijając klimat, także bardzo jest korzystnem. Brak gór jeżeli ujmuje malowniczości, za to daje więcej wygody; grunt nizki i podlegający niegdyś zalewom już im więcej niepodlega; zaś ogromna rzeka z licznemi odnogami i kanałami dodaje miastu niemało korzyści i ozdoby.

Ta stolica zwana północną Palmirą przedstawia się w najwłaściwszem świetle zimą, w tej porze roku, która w niej trwa najdłużej i może być uważana za panującą. Lato bowiem bardzo krótkie, zlewające się z chwilową prawie wiosną, po którem również chwilowa jesień zapada szybko w zimę, jest tutaj porą wypoczynku i przebrania, w której miasto się wyludnia, oczyszcza, odświeża i przestraja, by okazać się w należytym blasku w porze właściwej. Latem Petersburg bywa podobnym do damy światowej zajętej ubieraniem, która wówczas, mianowicie w dzień, jest nie do widzenia, i której wdzięki przedstawią się w całym blasku wieczorem w świetle balowych lamp i kienkietów. Takim dniem dla Petersburga jest jego krótkie lato, bedacc istotnie ciągłym dniem, w którym słońce prawie nie zchodzi z widnokręgu. Wówczas wszyscy zamożniejsi, którym starczy na to, wyjezdzają z Petersburga, gdzie krótkotrwałe i gorące lato podbieguno-

we, wyciągając z zanieczyszczonych kanałów błotniste wyziewy, czyni nawet powietrze niezdrowem, i udają się do wiejskich domów za miastem zwanych daczami. W mieście tymczasem ulice są nie do prze-



Dorożka w Petersburgu.

jazdu, bo na nich przekładają i reparują bruki, chodniki zawalone są wydobytemi z pod nich rurami ściekowemi, przez które ani podobna przejść, domy obstawione rusztowaniami, wszystko bielą, czyszczą, mażą, malują, wszędzie tylko fabryka. Dopiero potem, kiedy lato bę-

dące tu prawie ciągłym dniem, zastąpi zima, będąca tu prawie ciągłą nocą, stolica północy występuje w swojej balowej krasie. Wszystkie ulice, dachy domów, rzeki i kanały, okrywa śnieżna powłoka, pod którą ich rysy niewyraźnie przedstawiają się na szarem tle nieba, ustaje głuszący turkot powozów, które zastępują cicho snujące się sanki i wszystko to, po szybko przemijającem świetle dnia, podobniejszem do wieczornego zmroku, oświeca blask latarni gazowych. Wówczas ta stolica przedstawia się jak jakieś mgliste widzenie, jak mamidło, bawiące zresztą oczy chwilowo, bo przejmujące mrozem zimno niepozwala długo napawać się jej widokiem.

Domy w Petersburgu są ogromne i zwykle dwoma frontami wychodzą na dwie różne ulice. Niektóre mają po kilka tysięcy mieszkańców. Wszystkie są trzypiętrowe i każde piętro od podwórza dzieli się na dwoje; wysokość ich przeto ogromna. Schody we wszystkich porządniejszych domach są podwójne i z tych jedne, zwane paradnemi, utrzymane są porządnie i czysto. Mury domów są grubsze niż gdziekolwiek, a piece wzorowe; przeto, jakkolwiek w klimacie zimnym i na błotach, domy petersburgskie są ciepłe i niemają wilgoci. Pod tymi dwoma względami i co do schodów, domy te mogłyby służyć za wzór do naśladowania, szczególniej w Warszawie.

Budowanie domów w Petersburgu kosztuje niemało. Naprzód grunt rzadki i błotnisty, w którym za wykopaniem paru łokci występuje woda, ustala się przez zabijanie palów, na które wali się warstwa kamieni, a na tych dopiero wznosi się naprzód podziemie, a następnie dół i nad nim jak zwykle trzy piętra. Budowa mniejsza nie opłaca się. Materyałem jest cegła czerwona. Domy zwykle malują zewnątrz żółto lub ceglasto; tej ostatniej barwy jest pałac Zimowy; a dachy blaszane czerwono. Robota idzie szybko i bardzo często ogromny trzypiętrowy gmach staje w ciągu roku, to jest w ciągu lata. Kto jednak chce mieć dom porządny, ten zostawia go na pierwszą zimę niezamieszkałym, pod dachem, bez okien, pozabijawszy je tylko deskami, do wysuszenia jak należy przez mróz. Przykład godny naśladowania wszędzie, gdzie domy nie obywają się bez pieców. Jeden tylko pałac cesarski dawniej zwany Marmurowym, który był pomieszkaniem Stanisława Augusta, obecnie Konstantynowski, i podobno jeden pałac prywatny, są z marmuru, barwy nieokreślonej, jak niebo petersburgskie, który z trudnością znosi działanie tamecznego klimatu.

W pośród mnóstwa ogromnych i pysznych kamiennic, których ilość zwiększa się corocznie, wiele jednak dotąd i na celniejszych ulicach, jest jeszcze domów drewnianych bezpiętrowych, które świadczą, że to miasto niedawne i jeszcze dotychczas się buduje. Część Petersburgska ma ich jeszcze bardzo wiele i mniej tam się muruje, a część

Wyborgska przeważnie składa się z takich domków, których widok przenosi o jakich kilkaset mil od stolicy.

Cerkwi prawosławnych mnóstwo, chociaż zawsze o wiele ustępuje niezliczonej ich mnogości w drugiej stolicy państwa Moskwie, wprawdzie dotąd większej i ludniejszej, gdzie ta mnogość weszła w przysłowie. Budowa ich właściwa, z kopułami to złocistemi, to zielonemi ze złocistemi gwiazdeczkami, nadaje i Petersburgowi przy całym jego pozorze nowoczesnym i ogólno europejskim, cechę miasta rossyjskiego. Kościołów katolickich jest pięć: archikatedralny wzniesiony niedawno, bardzo mały i zakryty od ulicy; OO. Dominikanów dość wielki i ozdobny, którego monografię wydał przed czterema laty w Warszawie pan Siennicki; tam spoczywają zwłoki króla Stanisława Augusta; kościół zbudowany dla kawalerów Maltańskich przez Cesarza Pawła I. po obiorze go w. mistrzem tego zakonu, niewielki ale bardzo gustowny, także zakryty od ulicy; mały kościołek ks. Pijarów, zbudowany przez arcybiskupa Siestrzeńcewicza, i kościół na cmentarzu katolickim za miastem, wzniesiony przed czternastoma laty ze składek zebranych dzięki gorliwym staraniom byłego, żyjącego dotąd, przeora OO. Dominikanów w Petersburgu, ks. Łukaszewicza.

Bruki w Petersburgu, układane i z kamienia i z drzewa na gruncie błotnistym i pod niszczącem działaniem zmiennego klimatu są rzeczą bardzo kosztowną i co roku wymagają stanowczej i zupełnej reparacyi, po której służą na czas krótki, bo zima na długo je pokrywa grubą warstwą śniegu. Chodniki wszędzie są z ogromnych płyt granitu, któremi również wyłożone są brzegi rzeki i jej odnóg i kanałów. Wszystko to osiada i zapada na gruncie bagnistym i wymaga co roku naprawy. Mostów na rzece, jej odnogach i kanałach, jest bardzo wiele, tak, iż one są najlepszą w mieście wskazówką i wszystkie piękne.

Ludność petersburgska jest najrozmaitszą i nader pstrą. Składa się ona przeważnie z Rossyan i Niemców, obok których są tu przedstawiciele wszystkich narodów żyjących w granicach największego w świecie państwa rossyjskiego, a nadto jeszcze mnóstwo tu osiedla się Francuzów, Anglików, Włochów i t. d., którzy, jak za Piotra W., zawsze tu gościnne znajdują przyjęcie i robią niezłe interesa. Zasługuje przytem bardzo na uwagę, że według obliczeń statystycznych, stała ludność petersburgska nie przybywa, ale ubywa skutkiem śmiertelności większej od narodzin; ogólna zaś jej ilość utrzymuje się i powiększa ciągłym napływem ludności krajowej i obcej.

Nadzwyczajna zmienność pogody petersburgskiej zmusza całą tę ludność zmieniać nieustannie i te rozmaite stroje. Niedość, że w rozmaitych i silnie wyróżniających się stopniem ciepła porach roku uka-

zuje się ona na ulicach to w futrach, to w grubych watowanych, to w lekkich okryciach, to i bez okryć, w ciągu nawet dnia wypada jej zmieniać podobnież swój wierzchni strój. Dla tego ludność cywilna jak gdzieindziej bez laski, tak w Petersburgu nie wychodzi nigdy na ulicę bez parasola.

Ludność ta jest przeważnie męzką. Według wykazów statystycznych, w Petersburgu jest o 100,000 więcej mężczyzn niż kobiet. I przyznać trzeba, że klimat tameczny nie sprzyja płci pięknej. W sprawozdaniach podróżników można czytać, że takie a takie miasto, jak naprzykład Linz w Austryi, a zdaniem wielu, zacząwszy od Napoleona I, który to przyznał lat temu już sześćdziesiąt i dziewięć, i nasza Warszawa słynie z piękności swoich kobiet. O Petersburgu nikt tego nie powie z pewnością.

Ludność ta, różniąca się strojem, a nawet barwą i rysami oblicza, mówi też różnymi językami; nad wszystkie jednak najczęściej uderza uszy język największej liczby rossyjski i niemiecki. W klassie wyższej, stanowiącej intelligencyę, panuje po dawnemu język francuzki. Małe dzieci wyższej klassy, które często można widywać na spacerach publicznych w stroju narodowym ruskim, w assystencyi swoich bon i guwernantek, mówią zwykle językiem mieszanym, a to z powodu, że mają bony Niemki, guwernantki Angielki i Szwajcarki, a guwernerów Niemców i Francuzów, i od wszystkich przejmują ich język, zgodnie zresztą z przekonaniem swoich rodziców, iż najważniejszą dla dzieci jest nauka obcych języków, że należy się w niej ćwiczyć od dzieciństwa, że dla niej dzieci nawet niech zapominają mowy ojczystej, bo tej mogą łatwo nabyć i później.

Do osobliwości Petersburga należy też uderzająca każdego niezmierna ilość gołębi. Siedzą one po wszystkich dachach, kopułach i krzyżach cerkwi, nikt ich nie bije i mieszkańcy mają je w poszanowaniu. I ptaki te wiedzą o tem. Dla tego chodzą sobie wszędzie spokojnie i zaledwo ustępują ludziom z drogi.

Najpiękniejszą i najbardziej godną widzenia w Petersburgu jest ulica zwana Newskim prospektem, idąca od południowego końca miasta aż do placu Admiralicyi, długości około 4 werst. Jedną tylko ta ulica ma wielką niedogodność, to że słońce, które tu podnosi się bardzo nizko, dając tem najwyraźniej znać, jak daleka tu jest północ, oświeca tylko jedną jej stronę, kiedy druga pozostaje wiecznie w cieniu. Takie z jednej strony ciągłe światło, a z drugiej ciągły cień, panuje mniej więcej i na wielu innych ulicach Petersburga. Newski prospekt przecina rozmaite okolice tej największej i głównej części miasta, którą nazwaliśmy właściwą stolicą. U południowego jego końca leży monaster Aleksandronewski. Ztamtąd robi on niewielki za-

kręt i przechodzi zewnętrzny obręb stolicy. Domy nizkie drewniane, rynki raczej wiejskie niż miejskie, na których stoją gromady spędzonego bydła, ogromne składy drzewa, poziome szynkownie, w których rozlegają się śpiewy, a niekiedy wrzask i łoskot kłótni i bójki. Pominąwszy te siedziby przedmieściowe widzi się dalej domy murowane piętrowe, a niekiedy i dwupiętrowe, pokaźniejsze zajazdy i sklepy z rozmaitemi gratami, które zużyte w stolicy wysyłane są tam za bezcen i wystawiane na sprzedaż tanio. Domy już są wszystkie malowane żółto, a ludność wyłącznie przyodziana w ruskie kaftany. Język słychać tylko rossyjski. Jeszcze dalej napotykają się dorożki petersburgskie jednokonne, które tam wprawdzie niestoją, ale już tam dojeżdżają, dają się widzieć ubrania cywilizowane i domy porządniejsze zapowiadające stolicę. Zaraz potem kończy się zakręt i Newski prospekt przedstawia się w linii prostej, jak niezmiernej długości perspektywa, na której końcu we mgle świeci złocista iglica Admiralicyi. Tu już ciągną się po obu stronach rzędy kamiennic trzypiętrowych, po ulicach przeciągają tłumy dorożek i gustownych ekwipażów, a na chodnikach gęste tłumy pieszych w strojach i narodowych i europejskich. Już tu daje się rozpoznać stolica. Wreszcie przejechawszy jeszcze jeden most, dojeżdża się do Fontanki, gdzie już stolica świeci całym przepychem. Na moście stoją cztery olbrzymie figury bronzowe koni wspinających się i wstrzymywanych przez nagich ludzi. Tuż pałac Aniczkowski jeden z cesarskich zapowiada nieprzerwane odtąd szeregi pałaców i pysznych kamiennic. Pojawiają się z jednej i drugiej strony świetne magazyny z ogromnemi zwierciadlanemi oknami, a w nich jaśniejące na pokaz towary najrozmaitsze, od galanteryi męzkich, damskich, pokojowych, gabinetowych, do owoców różnych stref w każdej porze roku zalecających się przechodniom, a raczej ich kieszeniom, bo kosztują strasznie drogo. Wszystko to nęci wzrok, zwłaszcza przybyłego z odległej prowincyi wieśniaka czy to w kapocie czy we fraku, który ze zdumieniem wpatruje się w te niewidziane i niesłychane cuda nie zważając, że na niego samego z litującym się uśmiechem poglądają wszyscy, zacząwszy od chłopców sklepowych. Potwornej wielkości napisy najczęściej w języku francuzkim ogłaszają nieznane gdzieindziej, lecz sławne w Petersburgu nazwiska krawców, szewców, fryzyerów i t. d. cudzoziemców tam osiadłych i którzy aż w tej dalekiej obczyznie dorobili się znaczenia i fortuny. Wreszcie zakłady gastronomiczne wykwintne i gustowne, jakie mogą być tylko w stolicy, zalecają się jak magazyny i sklepy i pozorem zewnętrznym i doskonałością swoich wyrobów cudzoziemską, która w Petersburgu jeżeli i w czem innem to tembardziej w kuchni ma pierwszeństwo niezaprzeczone.

St. Str.

6. Moskwa.

Za przybyciem do Moskwy, po ulokowaniu się w hotelu Niemieckim, który przed innymi ściąga do siebie podróżnych Niemców i zapewnia im właściwe wygody, pierwsze kroki w celu obejrzenia miasta skierowaliśmy na wzgórek, który dźwiga starodawny Kreml, moskiewski Akropolis, środkowy punkt tej dawnej stolicy będącej idealnym środkiem rossyjskiego państwa, który panuje nad całem tem niezmiernem miastem i zkąd je najlepiej widać. Wiele słyszeliśmy i czytaliśmy o pięknem położeniu Moskwy, lecz widok, jaki wówczas w jasny lipcowy wieczór przedstawił się nam z kremlińskiego wzgórza, przeszedł wszystkie nasze oczekiwania. Ujrzeliśmy rozlegające się u naszych stóp na niezmierzonej przestrzeni morze domów najrozmaitszej budowy i najrozmaitszych barw, w pośród nich las cerkwi i dzwonnic ze złocistemi i usianemi złotemi gwiazdkami kopułami, tu i owdzie rozrzucone i ciągnące się pomiędzy niemi świeże zielone ogrody i bulwary i wszystkie to płynące z pagórka na pagórek, a w pośród tego pstrego morza wijącą się rzeczkę Moskwę, na której rzucone dwa mosty, a na nich i na ulicach niezliczone roje przechodniów i ciągnące jeden za drugim powozy. Cudownie to piękny widok, którego niepodobna opisać i pozostawia on w pamięci wrażenie niezatarte. Doznało go przy pierwszem widzeniu Moskwy wielu cudzoziemców. Jeden z nich Bodenstedt zachwycony tem powiada: „Tylko wieczny Rzym i oblany morzem Konstantynopol przedstawiają widok wspanialszy i piękniejszy.“

Pomimowoli przychodzi wtedy na myśl porównanie Moskwy do Petersburga. I Petersburg jest miastem bardzo pięknem, ale to piękność lodowata. Jego pałace ogromne, ulice wyciągnięte pod sznur i położenie płaskie uderzają nadewszystko jednostajnością. Wprawdzie tę jednostajność ożywia wspaniała rzeka z licznemi odnogami, ale ich pobrzeża ujęte w okowy głazów granitowych przedstawiają znowu coś zimnego. Widzi się zaraz, że to jest bagnisko, które tylko robota prawdziwie cyklopejska zamieniła we wspaniałą siedzibę ludzką. Petersburg powstał wolą jednego wielkiego monarchy, który dla swoich widoków politycznych postanowił w tem miejscu, wedle wyrażenia poety rossyjskiego, wybić okno do Europy; Moskwy początki były małe i wzrosła ona stopniowo wiekami. Petersburg jest stolicą nowoczesną i ma cechę ogólno europejską; Moskwa na każdym kroku wywołuje wspomnienia dawnych wieków, jest to miasto historyczne i przedewszystkiem rossyjskie. Tu są groby dawnych Carów i Patryarchów, tutaj niezliczona ilość cerkwi zapowiada cudzoziemcowi, że

w tym kraju religia prawosławna zawsze była i jest podstawą narodowego życia i bytu państwa. Po tem wszystkiem nic dziwnego, że



Dzwonnica Iwana Wielkiego w Moskwie.

stara Moskwa, rozsiadła dumnie jak Rzym i Konstantynopol na swoich siedmiu wzgórzach, pogląda z niejaką wzgardą na swoją o wiele młod-

szą nadnewską siostrzycę, która przez upodobanie monarchy i z widoków politycznych zajęła jej pierwszeństwo.

Piękność Moskwy stanowi jej widok ogólny. W pojedynczych szczegółach niewiele w niej znajduje się rzeczy prawdziwie uderzających. Gmachów historycznych, któreby oraz zastanawiały wielkością i pięknością, było tu i dawniej mało. Słusznie przeto powiedział jeden z rossyjskich poetów, iż pożar r. 1812 przyczynił się najwięcej do ozdoby tej stolicy. Jakoż pożar ten zniszczył istotnie to, co niewarte było zachowania i zostawił natomiast pełne uroku wspomnienie, a miasto powstałe na jego zgliszczach lepiej, bo w warunkach korzystniejszych, zachowało mimo to swój dawny charakter; zaś tę jego część, która posiada pomniki rzeczywiście godne uwagi, pożar oszczędził. Do tych za panowania Mikołaja I przybyło dwa górujące nad wszystkimi i odpowiadające najzupełniej wyłącznie narodowemu charakterowi Moskwy.

Tę przedewszystkiem historyczną część Moskwy stanowi Kreml, objęty starymi zębatymi murami gród będący kiedyś carską stolicą. Mieści on w sobie kilka starożytnych cerkwi, pałac carski i różne gmachy rządowe. Taki grodek zwykle bardzo szczupły posiada każde z dawnych miast rossyjskich. Kreml moskiewski przypominający Pekin, który także posiada w swoim wnętrzu podobną odosobnioną murem stolicę monarszą, stanowi nieforemny trójkąt obwodu około $\frac{1}{3}$ mili. Okolny jego mur nieco podobny do średniowiecznych murów miast włoskich, ma w przerwach osiemnaście baszt z wieżyczkami w stylu gotyckim i pięć bram. Największym i najcelniejszym gmachem w Kremlu jest pałac carski zbudowany przez Mikołaja I w stylu podobnym do pozostałej części dawnego pałacu, tak zwanych carskich teremów. Ten nowy pałac, w którym pozór starodawny szczęśliwie się łączy ze wszystkiemi nowoczesnemi wymaganiami, jest obecnie najwspanialszą rezydencyą cesarską. Z kilku będących w Kremlu cerkwi najwspanialszą jest tak zwany Sobor Uspeński, w którym dotychczas koronują się Cesarze, zbudowany za panowania Cara Iwana III przez Włocha Fioravanti. Przed nim ustawiony jest na podstawie kamiennej dzwon, jakiemu równego nie odlano nigdzie, który niegdyś zawieszony na dzwonnicy spadł z niej i wyszczerbił się, aż Cesarz Mikołaj kazał go wydobyć i ustawić tak, jak stoi obecnie.

Właściwy rossyjski styl budownictwa zachowany bardzo szczęśliwie w nowozbudowanym pałacu cesarskim w Moskwie daje się szczególniej rozpoznawać w cerkwiach. Nie jest to wcale, jak utrzymują niektórzy powierzchownie, styl byzantyński. Ten ostatni służy mu tylko za podstawę, ale ma on przytem bardzo wiele ze stylu Odrodzenia, a jeszcze więcej ze stylu wschodniego, jakiego pierwowzory

widzieć można w meczetach i pagodach Azyi wschodniej. Wybitną jego cechę mają szczególniéj kopuły cerkwi i dzwonnic okrągłe ze ścianami spadającemi nie prostopadle a nieco pochyło, to jest na podstawę nieco szerszą, z wierzchem złocistym, lub zielonym ze złotemi gwiazdkami, w kształcie cebuli, na którym wielki krzyż złocisty bywa gęsto obwieszanym takimiż łańcuchami. Cerkwie rossyjskie w ogólności są szczupłe, ciemne i wewnątrz okryte wszędzie malowaniami i mozaikami w guście byzantyńskim. Jedna z najciekawszych w Moskwie cerkwi nieopodal od Kremla cała i zewnątrz okryta jest mozaiką i budowę ma zupełnie wschodnio-azyatycką.

Oprócz cerkwi Moskwa posiada wiele kaplic, a raczej ołtarzów i modlitewni wzniesionych na ulicach i placach. Pobożny lud nie omija ich bez pokłonów i modlitw. Główna brama Kremla zwana Spaskiemi wrotami, która wychodzi na wielki plac zwany Krasnym, ma z obu stron takie kaplice. Każdy przechodzący tą bramą musi zdejmować czapkę.

Największą i najwspanialszą w Moskwie cerkwią jest Sobór Chrysta Spasitela założony za Mikołaja I. na pamiątkę oswobodzenia Moskwy i Rossyi od najazdu Francuzów w r. 1812, dzieło znakomitego architekty Tona, który tamże budował nowy pałac cesarski, jeszcze dotąd nieukończone. Stoi on za Kremlem i na miejscu daleko niższem, a pomimo to góruje nad całem miastem. Gmach to prawdziwie monumentalny w stylu rossyjskim którego właściwości podaliśmy.

Wszystkie cerkwie i monastery w Rossyi, lecz szczególniej moskiewskie, posiadają skarbce niezmiernie bogate, w których przechowuje się wiele rzeczy godnych widzenia.

Moskwa jest dotychczas największem i najludniejszem miastem w Rossyi, a oraz ogniskiem przemysłu, rękodzielni, wewnętrznego handlu i dróg żelaznych. Okolice Moskwy, mianowicie gubernie Moskiewska i przyległe jej, są także najludniejsze, najlepiéj uprawne, zagospodarowane i posiadają najwięcej fabryk i rękodzielni. Lasów, które dawniej pokrywały całą ogromną Rossyę, a których i teraz posiada ona wiele, pomimo że ich bardzo nieszanuje, około Moskwy są już ledwo ostatki. Opał przeto, na który w całej Rossyi dotąd najwięcej używają drzewa, jest tam niezmiernie drogim, a jeszcze więcej drzewo budulcowe. W Rossyi bowiem nietylko po wsiach ale i po miastach mniejszych najwięcej domów budują z drzewa. Te domy zwykle piętrowe wyróżniają się też swoim właściwym stylem, który po miastach zaciera się, ustępując miejsca bezbarwnemu i martwemu stylowi domów że tak powiemy europejskich. W samej Moskwie wiele bardzo domów jest drewnianych i wcale niepokaźnych. Wszyst-

kie takie domy zwykle niedługo stoją, dzięki pożarom, które nawiedzają wszystkie miasta rossyjskie bardzo często.

Według A. W. Grube i innych.

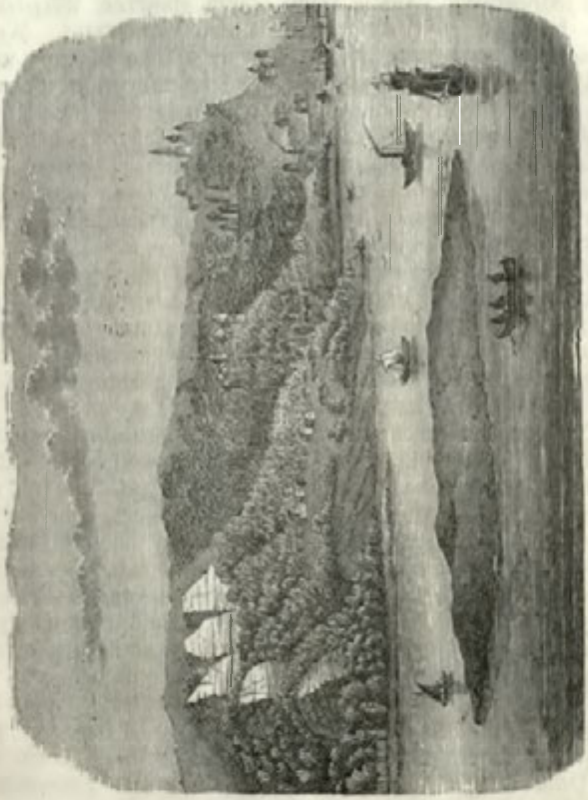
7. Wołga.

Największa z rzek europejskich Wołga zwana przez Tatarów Idel lub Edel, co znaczy dostatek, bogactwo, bierze początek w gubernii Twerskiej, powiecie Ostaszkowskim, na południowo wschodnim stoku wyżyny Ałaunskiej i składa się stopniowo z mnogich strumieni wychodzących z jeziorek i bagnisk. Główne jej źródło tworzy studnię znaną w okolicy pod nazwiskiem Jordan. Kiedyś stała przy niej kaplica, do której odbywano nabożne pielgrzymki i jej wodzie przypisywano moc leczebną. Bagniska, w których są źródła Wołgi, mają głębie niezmierzone. Tak one, jak i mnogie tamże niewielkie jeziora, są niewątpliwie zabytkami wielkiego zbiorowiska wód zalewającego niegdyś część północną równiny wschodnio-europejskiej. Widoki, jakie przedstawia Wołga w swoim długim biegu, różnią się bardzo od tych, jakie przedstawiają rzeki Europy zachodniej, których źródła leżą w dziedzinie wieczystych śniegów; zaś rozległe krainy, które ona przebiega, są tak rozmaite pod względem przyrody, klimatu i sposobu życia swoich mieszkańców, jak nad żadną inną z rzek europejskich. Wołga jest główną arteryą ogromnej Rossyi, którą przebiega od końca do końca zabierając do siebie większą część jej innych rzek. Niedarmo przeto Rossyanie ją zowią, również jak i swoją starodawną stolicę Moskwę, matką.

Kiedy mieszkaniec okolic nadwołżańskich na północy walcząc z nieurodzajnością swojej ziemi ledwo przy największym trudzie może z niej wyżywić się, mieszkaniec jej pobrzeży na południu oddycha wonią drzew migdałowych i zbiera winne grona. Jakże rozmaitą przyrodę obejmuje Wołga w całym swoim biegu od okolic Bałtyku aż do jeziora morza Kaspijskiego! Po jednostajnych bagnistych równinach i ponurych lasach jodłowych i sosnowych na północy, następują tam gaje dębowe i lipowe, zielone łąki, wesołe niwy i ogrody, a po nich ciągną się ku dalekiemu południowi niezmierzone okiem stepy. Ze zmianą przyrody zmienia się też i przemysł mieszkańców. Aż do wpadu Oki pod Niżnym Nowogrodem ludność nadwołżańska zajmuje się przeważnie zarobkowaniem i przemysłem; dalej aż do Sarepty rolnictwem i rybołówstwem; a jeszcze dalej hodowaniem bydła. Gdzie na jej pobrzeżach kwitnie rolnictwo i prze-

mysł, tam sama rzeka jest najlepszą i główną drogą handlową nie tylko dla ludności miejscowej, lecz i dla całej Rossyi europejskiej. Dla tego na jej pobrzeżach rozwija się też żegluga i handel i kwitną bogate osady i miasta handlowe.

Aż do Tweru Wołga płynie przez puste i bagniste lasy. Jak-



Wybrzeża Wołgi.

kolwiek już i tu chodzą po niej barki i parostatki i Twer prowadzi handel dość znaczny, jednak Wołga dopiero niżej pod Rybińskiem nabiera całego swojego znaczenia.

Rybińsk jest pierwszem nad Wołgą stanowiskiem na północy dla statków idących tak od południa ze zbożem, jako i od północy

z produktami tejże spławianymi do morza Kaspijskiego, krajów Kaukazkich i Persyi. Rybińsk jest miastem bardzo handlowem, ale małem i nie mającem w sobie nic szczególnego. Nie jest to żaden Hamburg ani Lubeka. Jest to raczej zborne miejsce dla kupiectwa, niż siedziba kupiecka. Mało tu jest nawet domów murowanych.

Od Rybińska do Jarosławia brzegi Wołgi przedstawiają widok posępny i jednostajny. Gdzie tylko okiem spojrzeć, wszędzie nieskończone bagniste równiny zarosłe lasami sosnowymi. Wreszcie jednostajność ta przerywa się; na lewym brzegu ukazują się pola i łąki. Prawy brzeg coraz się podnosi i na nim wdali ukazują się wieżyce i kopuły Jarosławia.

Dalej przy ujściu małej rzeczki Kostromy leży w położeniu malowniczem miasto Kostroma, sławne w dziejach panującego domu. Dalej brzegi Wołgi przedstawiają widoki piękniejsze i sama rzeka już jest znacznie większą. Na jej brzegach przemijają się wesołe gaje, kwitnące wioski i ożywione miasta.

Dalej rzeka jeszcze się rozszerza, prawy jej brzeg jest górzystym, lewy płaskim. U granic wschodnich gubernji Niżegrodzkiej wpada w nią mała rzeczka Sura, stanowiąca granicę etnograficzną między ludnością rossyjską, jaka była dotąd wyłącznie, a ludnością fińską i tatarską, która odtąd stanowi ludność główną i różni się od pierwszej i pozorem zewnętrznym i obyczajami i mową.

Za Niżnym Nowogrodem Wołga ma już przeszło werstę szerokości, prawy jej brzeg ciągnie się zawsze górzysto i na jego stokach leżą liczne wioski; rzeka niekiedy rozlewa się jak morze i występują z niej piękne okryte zielonością wyspy. Niezliczone barki, łodzie i parostatki przebiegają tu po Wołdze, dając znać o jej ważności. Okolice jej w tych miejscach pamiętne są w dziejach. Tu się toczyła w przeciągu przeszło wieku zacięta i nieubłagana walka między Rossyanami a Tatarami, która nie zakończyła się upadkiem i podbojem Kazania, bo długo jeszcze potem ludność tatarska buntowała się przeciwko Carom moskiewskim probując zrzucić nałożone na siebie jarzmo. Wtedy założone tu były miasta Wasili Sursk, Czeboksary, Swiażsk, naprzód jako forteczki dla obrony kraju od napadów, potem jako stanowiska wojenne dla utrzymania zawojowanego kraju w podległości. Obecnie są to miasta powiatowe, drewniane i nieodznaczające się zgoła niczem.

Gubernia Kazańska zajmuje część najżyzniejszą doliny Wołgi. Rzadko gdzie w Rossyi uprawa ziemi jest w stanie równie kwitnącym. Ludność składa się z Rossyan, Finnów, to jest Czeremisów i Czuwaszów, i Tatarów. Wszyscy są rolnikami. Gubernia ta jest także bogatą w najpiękniejsze lasy dębowe, z których bardzo znaczna

ilość drzewa budulcowego nieoględnie bywa corocznie wycinaną i zbywaną w kraju i zagranicę.

Niżej za Kazaniem Wołga przyjmuje największy ze swoich dopływów Kamę, ktora wyszedłszy |z gór Uralskich niesie do niej i do Rossyi płody północnej Azyi. Odtąd Wołga staje się wielką rzeką i przybiera kierunek na południo-zachód, ustępując przed odnogami gór Uralskich, które przybliżają się ku niej od wschodu. Tylko w jednem miejscu dochodząc Samary wygina się ona daleko na wschód tworząc zakręt długości 150 werst zwany Samarskim. Około Stawropola prawy jej brzeg dochodzi największej wysokości w całym biegu rzeki. Tu pod nazwą gór Igulewskich podnoszą się nad samą rzeką wysokie skały prawie prostopadle, przybierając kształty najdziwniejsze i przedstawiając niekiedy podobieństwo olbrzymich twierdz. Tam gdzie zamykające łożysko rzeki skały rozstępują się, odkrywa się widok na ciągnące się daleko lesiste wzgórza. Niekiedy skały nadbrzeżne mają głębokie jaskinie. Tu i owdzie w rozpadlinach między niemi zalegają zielone doliny, a na nich wioski, których chatki z jednej i drugiej strony tulą się do stromych skał. Dokoła ich wyniosłych szczytów krążą orły, a w dole na wynurzających się z rzeki piaszczystych ławach i kępach siadują gromady dzikich kaczek zasuwając głowy pod pstre skrzydła. Pod Syzraniem kończy się zakręt Samarski. Wołga płynie znowu w kierunku południowo-zachodnim i brzegi jej znowu mają z prawej strony góry, a z lewej łąki.

Pomiędzy Samarą i Carycynem leży w położeniu malowniczem dawne miasto Wołżsk. Już na kilka werst przed niem ciągnie się po nad rzeką pasmo wysokich i stromych śnieżnej białości gór kredowych, które wreszcie zataczają szerokie półkole. Na stokach tych skał całkiem nagich wieszają się chatki drewniane jakby na śniegu, a w środku leży miasto otoczone zielonymi ogrodami, liczące 30000 mieszkańców i przypierające do samej rzeki.

W blizkości miasta Kamuszyna Wołga przebija pasmo gór Obszczyj Syrt stanowiące granicę naturalną między Azyą i Europą. Odtąd te góry łącząc się z górami prawego brzegu Wołgi ciągną się nad nią aż do Carycyna. W dalszym biegu przez gubernię Saratowską Wołga przechodzi pod wysokiemi i stromemi skałami wapiennemi. Tu według podań ludowych, na jednym z ich szczytów miała być niedostępna siedziba znakomitego Stenki Razina, który za panowania Cara Aleksego Michałowicza na czele zbójeckiej bandy kozaków, napadając i łupiąc podróżnych kupców i płynące po Wołdze statki, był prawdziwym panem i postrachem całego tego kawała kraju i stawił czoło nawet wojskom carskim. Zdobył on i złupił Astra-

chań, poczem zawarł traktat pokoju i przyjaźni z Persyą i zapisawszy swoje imie w historyi żyje dotąd w podaniach ludu.

Pod Dubowką Wołga płynie bardzo blizko Donu. Piotr W. zamierzał w tem miejscu przeprowadzić kanał do Czekalińska nad Donem. Roboty około niego były już zaczęte, lecz później przerwane. Myśl o połączeniu Wołgi i Donu kanałem nie była nową. Powziął ją jeszcze Seleucus Nicator, a później Sułtan Selim III. Obecnie Dubowkę i Czekalinsk łączy kolej żelazna.

Na lewem nizkiem pobrzeżu Wołgi od północy zabiegają rozgałęzione daleko odnogi gór Uralskich ciągnąc się w nagich i jałowych płaskowzgórzach. Na południe przechodzą one w stepy okryte bujną trawą, które jeszcze dalej ku południowi zamieniają się w napojone solą piaski. Te ciągną się ponad Wołgą od Carycyna aż do samego jej ujścia.

Koryto Wołgi ma tutaj wszędzie szerokosci od 7 do 8 werst, a podczas rozlewów od 15 do 20 werst. Rzeka zmienia bardzo często swoje łożysko i przezto dzieli się na liczne odnogi niestałe i podczas wzbierania wód torujące sobie coraz nowe drogi. Pomiędzy niemi zalegają niezliczone ławice piasku i wysepki okryte to zieloną trawą, to bagnami. Żaden opis i żaden krajobraz nie może dać pojęcia o tem wołżańskiem wielowyspiu. Potrzeba je widzieć, by nasycić się jego pięknością. Kto pierwszy raz od Saratowa, gdzie Wołga ma już cztery wersty szerokości, płynął nią na południe, ten dopiero uderzonym bywał całą wspaniałością i pięknością ogromnej massy jej wód, zamykających je pobrzeży i dzielących je wysp i wysepek, co wszystko dokoła przedstawia się w wielkich rozmiarach.

O 20 werst wyżej Carycyna, gdzie Wołga zagina się nieco ku południo-wschodowi, oddziela się od niej główna jej odnoga zwana Achtubą, która płynie odtąd równolegle do rzeki nie łącząc się z nią nigdzie. Sama rzeka od Carycyna ze wszystkiemi swojemi odnogami rozpościera się na nizinie szerokiej na jakich werst 40. W czasie rozlewów cała ta przestrzeń pokryta wodą przedstawia widok tak wspaniały, jaki na lądzie zachodnim amerykańskim przedstawiają Amazonka, Orinoko i Laplata.

Niedaleko od Carycyna znajdują się ruiny Saraju, dawnej rezydencyi Chanów Złotej hordy. Zajmują one przestrzeń 15 werst kwadratowych. Dzieje podają, iż Batu Chan po ośmioletniem oblężeniu zdobył i zburzył stolicę Bułgarów leżącą na jednej z wysp Achtuby i podbiwszy ich państwo kazał sobie na tem miejscu pobudować pałac, to jest Saraj, do koła którego następnie powstało miasto; zaś kiedy i przez kogo zostało ono zburzonem, o tem dzieje milczą. Zapewne musiało to nastąpić w zaburzeniach i wojnach domowych, któ-

re położyły koniec panowaniu i istnieniu Złotej hordy. Widok tych ruin sprawia posępne wrażenie. Nie są to ruiny, jak greckie albo rzymskie, do których wiążą się dziejowe wspomnienia. Tutaj dzieje milczą; nad tymi niemymi kamieniami unosi się tylko jedno imie Batu Chana, z którem wiążą się wspomnienia samych najazdów, mordów i zniszczenia. A jednak to są ruiny wspaniałe i sądząc po nich Saraj musiał być kiedyś miastem pysznem i znakomitem. Znajdują tam pięknie obrobione płyty marmurowe, złocenia, mozaiki, arkady w stylu gotyckim, w jednym grobowcu odkopano jezdzca w pełnej zbroi siedzącego na koniu. Ludność okoliczna pogląda na ten niemy pomnik zbiegłej niepowrotnie przeszłości jako na rzecz starą, o której nikt nic nie wie i której dochodzić nie warto. Tatar przechodzi lub przejeżdża mimo i ani mu na myśl przyjdzie, że tam była stolica jego przodków, którzy kiedyś panowali nad Rossyą. Cóż go to obchodzi? On myśli o swoim handlu; a co tam kiedyś było, o czem piszą w książkach, niech czytają i nad tem rozmyślają ci, co nie mają nic lepszego do czynienia.

Od Carycyna po obudwu stronach Wołgi aż do morza Kaspijskiego ciągną się płaszczyzny coraz zniżające się ku południowi. Grunt gliniasty, piaszczysty i pełny soli okazuje najwyraźniej, iż kiedyś był dnem morza. Jest to kraj Kipczacki, stanowiący kiedyś państwo Dżengis Chana i jego następców Chanów Złotej hordy. Wszędzie tu natrafiają się liczne mogiły, milczące pomniki przeszłości pełnej wojen, najazdów i bitw. Nie masz nigdzie w Europie okolicy tak jednostajnej i tak ubogiej w roślinność, jak te na pograniczu Azyi stepy nadwołżańskie. Niebo nad nimi wiecznie błękitne nieurozmaica żaden obłoczek. Deszcz tu jest wielką rzadkością. W lecie gorąco bywa od 20° do 30° R. W ciszy upały są nieznośne i łagodzą je tylko zimne wschodnie wiatry. Noce zwykle są chłodne, a zimy surowe. Nagłe przejścia od upałów do chłodów, zupełny brak wody i jałowość ziemi nie dają się rozwijać roślinności. Wszystkie zioła i krzewy mają szarą wełnistą powłokę, która zabezpiecza je od palących promieni słońca i wciąga znajdującą się w powietrzu skąpo wilgoć. Jak daleko sięga oko, niewidać ani drzewa, ani krzaku dającego jakikolwiek cień; wszędzie tylko szara okryta kurzem trawa. Na początku wiosny w Kwietniu i Maju zdaje się tchnienie czarodziejskie budzi tu całą roślinność do nowego życia. Wszystko zielenieje i rozwija się prawie widomo; lecz wrychle nastają letnie upały, od których wszystko równie szybko więdnieje i już w drugiej połowie Maja step podobnym bywa do szarego popieliska, po którem skwarne wiatry podnoszą chmury kurzawy.

Oprócz pokładów soli na powierzchni tych stepów, podobnych

do tych, jakie znajdują się w pustyniach środkowej Azyi, w Saharze i na stepach Patagonji, znajdują tam jeszcze po obudwu stronach Wołgi liczne słone jeziorka, widoczne pozostałości morza, również jak i obficie znajdywane tam muszle morskie. Największe i najbardziej słone z tych jezior jest Elton mające 47 werst obwodu. Wydobywa się z niego corocznie 10 milionów pudów soli.

Na tych jałowych stepach żyją dzikie konie, wilki, lisy, zające i całe stada dzikich kóz. Często je przechodzą albo przelatują chmury szarańczy, a wtedy ostatnia roślinność całkowicie znika. Wielce też szkodliwy wpływ na roślinność wywierają panujące tam wichry zwane Buranami, które w lecie podejmują na całym stepie i miecą po nim chmury pyłu i piasku, a w zimie podobneż chmury śniegu. Jak pierwsze zabijają roślinność, tak drugie zagrażają zgubą ludziom i bydlętom.

W porze letniej na tych stepach często też ukazują się mamidła powietrzne.

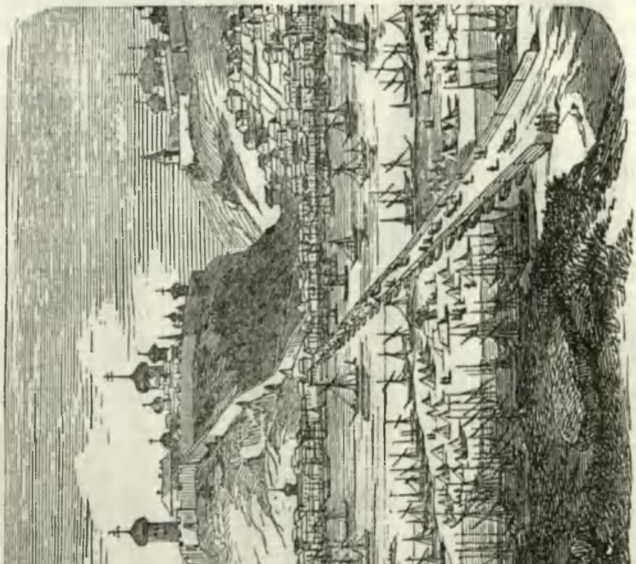
Te nizkie i puste płaszczyzny dzielące Europę od Azyi były zawsze siedzibą hord koczowniczych, które tędy jak przez otwarte wrota waląc się z Azyi do Europy przebywały tu mniej więcej długo. Naprzód byli tu Awary, Chazary, Bulgary, Pieczyngowie, Połowcy i inne narody, o których najściach, podobnych do najść również tu panującej szarańczy, podają kroniki wieków średnich. Potem tutaj miała swoje główne siedlisko horda Tatarów zwana Złotą. Po jej upadku zjawili się tu Tatarowie Nogajscy, a po nich na ostatku Kałmuki. Ci koczują do dziś dnia po prawej stronie Wołgi, kiedy lewą wzięli w posiadanie Kirgizy. Hordy te obecnie są spokojne, zostają pod władztwem Rossyi i zajmują się hodowaniem trzód i handlem, dostarczając Rossyi znacznej ilości wełny, łoju, baranich futer, skór i wojłoków.

Pod Astrachanem Wołga drobi się na nieskończoną ilość strumieni, które oblewając niezliczoną ilość wysepek tworzą też na morzu przed jej ujściem taką że ich ilość. Z początkiem wiosny, kiedy rzeka wzbiera, wszystkie te strumienie łączą się w jeden niezmierzony okiem potok; ale po opadnięciu wód tych ujść bywa przeszło 200. Wysepki zalegające tę deltę po zalewach przedstawiają obfite i wyborne pastwiska dla bydła; zaś mnogie odnogi rzeki przedzierając się przez grunt luźny podlegają częstym zmianom. Tam gdzie rzeka była spławną, okazuje się w następnym roku ławica piasku; z tej ławicy robi się następnie wyspa zarosła sitowiem; koryta niegdyś głębokie zamulają się i w skutek tego żegluga w tych ujściach bywa coraz trudniejszą.

Według L. Oelsnitza.

8. Niżny Nowogród.

Niżny Nowogród w położeniu malowniczem na prawym brzegu Wołgi przy ujściu do niej Oki jest niewątpliwie jednym z najważniejszych i najpiękniejszych punktów nad pierwszą rzeką, główną w Rossyi europejskiej i w całem państwie rossyjskiem. Samo mia-



Niżny Nowogród.

sto ze swoim Kremlem, cerkwiami i mnogimi ogrodami rozkłada się amfiteatrem na wyniosłem i stromem pobrzeżu, jego stokach i nad samą rzeką. Na przeciwnym nizkim lewym brzegu Oki leży słoboda Kupawino; zaś na wyciągniętym daleko płaskim przylądku między

zbiegiem pomienionych dwóch wielkich rzek jest miejsce sławnego na cały świat jarmarku, na który zjeżdżają się ze swoimi towarami kupcy ze wszystkich krajów ogromnego państwa rossyjskiego i obcych tak europejskich jak azyatyckich. Obszerne to miejsce ze swoimi murowanymi sklepami, składami i innemi zabudowaniami tworzy jakby osobne miasto. Słoboda Kupawino nabiera także z powodu jarmarku niemałego znaczenia; tutaj bowiem jest główne stanowisko wszystkich przybywających na jarmark. Ma ona przeto niemało hotelów i zajazdów, które wraz z cerkwiami, fabrykami i sklepami nadają jej pozór także osobnego miasta.

Niżny Nowogród powstał na początku wieku XIII jako forteczka na pograniczu księztwa Suzdalskiego dla obrony od napadów sąsiednich hord Mordwy i Bulgarów. Później stał się jednem z głównych i najbogatszych miast pomienionego księztwa, a obecnie jest jednem z najważniejszych miast w cesarstwie rossyjskiem; a to głównie z powodu swojego jarmarku, który czyni go ogniskiem całego handlu Rossyi z Azyą i punktem zetknięcia się Wschodu z Zachodem.

Położenie miasta u zbiegu dwóch wielkich rzek przerzynających całą Rossyę europejską aż do jej granicy południowo-wschodniej, w środku żyznej i gęsto zaludnionej doliny Wołgi, nadaje mu także niemałe znaczenie. Krainy te, które przebiega Wołga, najbogatsze są w Rossyi pod względem gospodarskim, przemysłowym i handlowym; a nadto były one widownią najważniejszych wypadków, jakie towarzyszyły utworzeniu się państwa rossyjskiego. Tutaj naród rossyjski stawił najdzielniejszy i najskuteczniejszy opór najazdom koczujących hord Azyi, z których Tatarzy podbili wprawdzie na długo pod swoją moc całą Rossyę, ale nieosiedlili się za Wołgą, pozostawszy na jej lewym brzegu. Po wielokrotnych napadach Mordwinów i Bułgarów Niżny Nowogród niemniej jak razy pięć był brany przez Tatarów i pustoszony mieczem i ogniem, jak o tem świadczą kroniki i napis widoczny dotychczas na jednej cerkwi. Wreszcie w pamiętnej epoce Samozwańców i wojen z Polską w wieku XVII Niżny Nowogród był miastem bardzo znacznem i odegrał rolę ważną i piękną.

Początek sławnego jarmarku dawniej Makarjewskiego teraz Niżegrodzkiego sięga czasów bardzo odległych. Ukazuje się on naprzód w dawnej Bulgaryi, nad rzekami Wołgą i Kamą. Bulgarowie już w czasach najdawniejszych słynęli z rozległego handlu, którego ogniskiem była ich stolica Bołgary przy ujściu Kamy do Wołgi, miasto bardzo wielkie i bogate, o czem świadczą pozostałe dotąd jego ruiny. O ile wiadomo, już od połowy wieku IX odbywały się tu jarmarki, na które zjeżdżali się kupcy tak miejscowi jako i z najodleglejszych stron

Azyi i Europy dla zbycia pierwsi futer i skór z upolowanych zwierząt, drudzy rozmaitych płodów i wyrobów swoich krajów.

Na gruzach dawnego państwa Bułgarów podniosła się następnie potęga Tatarów Kazańskich i cały handel w wieku XIV skupił się w ich stolicy Kazaniu. Pod tem miastem na polu Arskiem w czasie lata odbywał się sławny jarmark, na który przybywali kupcy nietylko z Rossyi i z różnych dalekich stron Azyi, lecz i z zachodnich krajów Europy.

Po upadku Carstwa Kazańskiego i wcieleniu go do Rossyi przez Iwana IV. ustał jarmark w Kazaniu i został przeniesiony do miasta Makarjewa nad Wołgą 80 werst niżej od Niżnego Nowogrodu. Odbywał się on tam pod monasterem Żełtowodskim, do którego na dzień S. Makarego 25 Czerwca zchodziło się mnóstwo nabożnego ludu. W tenże dzień otwieranym był jarmark i miał odtąd tam miejsce corocznie pod nazwą Makarjewskiego. Zauważono jednak, iż miejsce tego jarmarku na lewym nizkim brzegu Wołgi podlegało zalewom tej rzeki i w skutek tego nie najdogodniejszem było na skład towarów. Noszono się tedy długo z myślą przeniesienia na inne miejsce tego jarmarku, który tymczasem od roku do roku nabierał coraz większej wagi i znaczenia. Aż wreszcie po spaleniu się w r. 1816 sklepów i zabudowań jarmarkowych dawno powzięta myśl weszła w wykonanie. W następującym roku jarmark Makarjewski odbył się w mcu Sierpniu w Niżnym Nowogrodzie. Odtąd corocznie otwierany on jest tamże uroczyście w dniu 15 Lipca i trwa do 25 Sierpnia.

Długi i szeroki most na łyżwach przez Okę, a następnie na palach przez miejsca nizkie, prowadzi z miasta na miejsce jarmarku. U brzegów obudwu rzek stoją lasy masztów, po moście przeciągają nieustannie ładowne wozy, telegi i gęste tłumy pieszych kupców, handlarzy, kommissantów, agentów, wyrobników, podróżnych, ciekawych, żebraków, próżniaków, przemysłowców swoich i obcych.

Miejsce, na którem odbywa się ów znakomity jarmark jest niezmierzoną okiem płaszczyzną. Tam przeszło 2000 sklepów i baraków mieści w sobie towary i rzeczy, jakie tylko można sobie wyobrazić pomiędzy wystawianemi na sprzedaż produkcyami Wschodu i Zachodu. Długie rzędy sklepów murowanych pełne są też różnych towarów. Te rzędy czyli linie mają swoje nazwy albo od rodzajów wystawianych w nich towarów, albo od narodowości kupców. Pomiędzy innemi zasługuje na uwagę linija Chińska ze swoimi sklepikami formy fantastycznej. Widzieć tam można kupców tatarskich, ormiańskich, perskich, bucharskich. Jednym z głównych artykułów przywozu z Azyi jest herbata, która leży zsypana jak zboże w śpich-



Jarmark w Niżnym Nowogrodzie.

rzach i nakryta matami, albo w pakach z psiej skóry zwanych cybikami nawalonych w wysokie stosy.

Niepodobna jest wyliczyć wszystkie rodzaje wystawionych tam towarów, również jak niepodobna znaleźć między będącymi w handlu produktami Azyi i Europy takiego, któregoby tam brakło. Jednem słowem wszystko tam jest, co tylko wydaje ziemia i co wytworzyć zdołają ludzkie rękodzielnie: od rzeczy najprostszych, aż do najwyszukańszych i najkosztowniejszych; od surowych ziemiopłodów, aż do przedmiotów największego zbytku; od sztaby żelaznej, do sztaby złota; od słomianej rogoży, aż do najdroższej jedwabnej materyi; od orzechów laskowych, aż do pereł i dyamentów.

Najwięcej przybywa na jarmark kupców i chłopów rossyjskich. Niemała też bywa tam ilość przedstawicieli handlu azyatyckiego z krajów zostających pod panowaniem Rossyi od Kaukazu aż do Buchary i Kokandu. Znaczną też jest liczba kupców z Persyi, Chin, a nawet Indyi. Pomiędzy tą pstrą ludnością azyatycką w swoich narodowych strojach, której różnojęzyczny gwar tworzy istną wieżę Babel, ukazują się też przybylcy z zachodniej Europy: Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi i wreszcie polscy Żydzi.

Wznoszące się na końcu jarmarkowego placu dwa meczety nadają całemu temu targowisku barwę zupełnie wschodnią.

L. Oelsnitz.

9. Handel i kupiectwo w Rossyi.

Rossyanie mają zwyczaj nader dogodny dla kupujących: wszystkie towary, jakie w mieście są na sprzedaż, wystawiać razem w jednem miejscu. Kupujący przeto nie potrzebuje wypytywać się, gdzie można dostać tego lub owego, a idzie prosto do sklepów i znajduje w nich wszystko czego mu tylko potrzeba. Takie sklepy nazywają się Gościnnym dworem. Są to zwykle ogromne budynki czworoboczne piętrowe otoczone do koła wystawą pod filarami. Podwórze wewnętrzne i piętro zwykle przeznaczone są na składy, a na dole są rzędy sklepów, w których rozmaite towary sprzedają się pojedynczo.

Gościnny dwór znajduje się zwykle w środku miasta; w nim wyłącznie rozkłada się miejscowy handel i czynność kupiecka i towary jednakowe lub podobne zajmują tam zawsze sklepy sąsiednie. Inne sklepy w mieście bywają zawsze blizko Gościnnego dworu i z tych najbliższe zajmują towary najbardziej wyrobione, zaś surowe sprzedają się coraz dalej od tego ogniska. Tak żelazo, powozy, sanie, sprzedają

się daléj niż meble i sprzęty domowe; jeszcze dalej znajdują się składy drzewa, a najdalej, prawie za miastem sprzedaje się siano, słoma, bydło i konie.

Petersburgski Gościnny dwór, stary i niezgrabny gmach, który już oddawna zamierzano zwalić, by natomiast wystawić coś odpowiedniejszego wytwornej stolicy, ma jednak handel bardzo ożywiony i lepsze daleko robi interessa, niż sąsiadujące z nim sklepy pod szyldami cudzoziemskimi. Znajdują się tam najlepsze wyroby rossyjskie. W kilku jego oddziałach mających różne nazwy mieszczą się wszystkie zgoła składy od wyrobów i towarów nowych, sprzedawanych z pierwszej ręki, aż do rzeczy używanych, w sklepach tandeciarskich w osobnych wydziałach tegoż gmachu.

Kto ma dość czasu i ochotę rozerwać się oglądaniem i słuchaniem zabawnych codziennych scen między kupującymi i sprzedającymi, publicznością i kupiectwem, niech idzie w Petersburgu pod zawsze pełne ludzi portyki jego Gościnnego dworu. Kupujący idą zwykle w kilku razem i choć tam przychodzą w intencyi kupienia czego im potrzeba, nie udają się jednak wprost po to, ale chcą to czynić z okoliczności i od niechcenia, czekają by ich o to proszono i usilnie; poczem jest nadzieja że kupi się wszystko taniéj; a że to zabierze więcej czasu, oto mniejsza;czas się tam nie ceni; a i pierwsza nadzieja często zawodzi, bo kupcy i ich komissanci w Rossyi są mistrzami w sprzedawaniu wszystkiego z największą korzyścią i wyzyskaniu kupującego, o ile się tylko da. Wreszcie zaprosiny do sklepu nie dają na siebie czekać. Kupczyki w swoim zwykłym stroju długich kapotach wychodzą zaraz ze sklepów i zdejmując czapki i nizko się kłaniając najuprzejmiej wzywają pożądanych gości zwyczajną i przyjętą w tym razie mową: „Co szanowni państwo raczą rozkazać?—Mamy tu wszystko i w najlepszych gatunkach, z najcelniejszych fabryk: sukna, proszę tylko zobaczyć; futra, prawdziwe sybirskie, niedźwiedzie, lisie, bobrowe, sobolowe; płótna indyjskie, materye perskie, szale kaszmirskie, i t. d. i t. d. Prosimy najpokorniéj zajść i oglądać." Potem na żądanie tego i tego wystawia się towar najpodlejszy, w przekonaniu, że gość się nie zna i da się oszukać zapewnieniami o dobroci i nawet przedniości towaru popartemi wszelkiemi zaklęciami, bez których w handlu obejść się nie można. Kupujący o tem wiedzą i dla tego nie ufając swemu jedynie znawstwu chodzą zawsze do sklepów za kupnem nie pojedynczo, a w towarzystwie uproszonych do tego znajomych, a zwłaszcza znawców. Pokazane towary zawsze się brakują, po gorszych występują na pokaz lepsze; potem następuje targ zwykle długi i uporczywy; jedna strona żąda zrazu ceny największej, z której potem stopniowo zpuszcza, nie szczędząc przysiąg i zaklęć:

że sprzedaje z oczewistą stratą, byle tylko sprzedać, byle towar nie zalegał; druga strona daje najprzód połowę, lub trzecią, a nawet czwartą część żądanej ceny, do której stopniowo dodaje, rozpatrując pilnie i badawczo towar na wszystkie strony: jeśli się zna, by go należycie rozpoznać, jeśli się nie zna, by okazać swoje mniemane znawstwo i w każdym razie nie dać się oszukać. Wreszcie po długim targu następuje zgoda z korzyścią zwykle zobopólną: kupującego, że nabył czego chciał i czego mu potrzeba; kupca, że sprzedał towar. Najczęściej jednak korzyść ostatniego bywa większą.

Dla ostrożności od ognia sklepy nie są opalane; przeto siedzący w nich kupczyki wystawiają się na mróz niemiłosierny, który znoszą bohatersko, jakkolwiek odziani są w szuby i rozgrzewają się chodzeniem i biciem o siebie rękoma. Sklepu, dopóki on otwarty, porzucać nie można, przeto obiad im przynoszą; a że chłód zaostrza apetyt, przeto ciągle snują się pod portykami dworu przekupnie z jadłem, mianowicie pierogami, kiełbasami i innemi zakąskami, a szczególniej gorącym napojem w rodzaju herbaty zwanym zbiteń. Samo naczynie, w którem go roznoszą, samowar dymiący parą, już w ostry mróz bywa miłem i pożądanem, jak piec gorący, do którego miło się zbliżyć. Te przysmaki zawsze są rozchwytywane i mają dobry odbyt. W ogólności handel w Rossyi idzie nie źle, choć towar sprzedaje się ladajaki. Gdzieindziej towar pozyskuje sobie odbyt przez dobroć. W Rossyi bywa przeciwnie: Im gorszy towar, tem prędzej kupujący zapotrzebuje nowego; a lepszego szukać będzie próżno. Jakoż kupi kto w Gościnnym dworze nowe buty: prawda że tanio i napozór wyglądają one wcale nie źle; ale za pierwszym deszczem nabierają wody jak gąbki, przylepione klejem podeszwy odpadają i trzeba iść boso, by w innym składzie kupić takież same; zaś kazać je robić na urząd szewcowi, to i drogo i także nic potem.

Po długoletnim handlu, prowadzonym według odwiecznej rutyny, kupcy rossyjscy przychodzą najczęściej do mniej więcej znacznej fortuny. Niektórzy bogacą się i prędzej przez tak zwane podrady, to jest dostawy i roboty rządowe, w czem zręczność i znajomość ludzi, z którymi się ma do czynienia, zapewnia grube zyski. Przyszedłszy do majątku kupiec rossyjski zwykle porzuca handel i resztę swoich dni spędza w dostatku i wypoczynku, zajmując się jedynie pokierowaniem w świecie swoich dzieci, którym mając środki po temu daje zawsze wychowanie staranne i nad stan. Jego syn i następca zwykle zrzuca kupiecką kapotę, a wdziewa mundur ułański, huzarski, lub gwardyjski.

Sprawy handlowe załatwiają się w Rossyi poprostu, bez wielkiej i kłopotliwej rachunkowości, zapisywania, regestrowania, sumowania,

i t. d. Największa zdolność kupczyka jest w zaleceniu kupującemu dobroci towaru, czyli, jak mówią, okazaniu go z najlepszej strony, i wzięciu za niego, o ile można większej ceny. Siedząc w sklepie, w porę ciepłą, kupczyki zwykle spędzają czas na grze w warcaby, tak zwane szaszki, które lubią namiętnie. W Gościnnym dworze w Petersburgu napatrzeć się można w każdym sklepie na tych młodych ludzi zatopionych w grze, kiedy wszystkie ich władze umysłowe wytężone są nad warcabnicą. Głośny gwar i niemal huk stołecznego miasta na najcelniejszej z jego ulic nic ich zgoła nieobchodzi; ale nikt nieprzejdzie pod arkadami Gościnnego dworu bez obudzenia ich uwagi. W tejże chwili gra urywa się, każdy wychodzi, zaprasza do swego sklepu i pozyskawszy praktykę rozwija przed nią swoje zdolności kupieckie w sprzedaniu jaknajkorzystniejszem swojego towaru.

W zimie grę w szaszki wymagającą siedzenia zastępuje stosowniejsza do pory gra w piłkę, której polem służy długi i szeroki portyk Gościnnego dworu. Tam można podziwiać zręczność kupczyków w podbijaniu nogą wielkiej piłki, która leci aż na drugi koniec portyku, zkąd bywa odrzucaną w takiż sposób i często przelatuje groźnie jak bomba po nad głowami przechodniów, którzy wtedy podnoszą głośne skargi na tę niewinną i jakoby nie w swojem miejscu zabawę.

W każdym sklepie musi być przedewszystkiem obraz jakiego świętego, najczęściej Ś. Mikołaja, którego cześć bardzo jest rozpowszechnioną w Rossyi; obraz malowany w guście bizantyńskim przez miejscowego artystę, który chwali się, że takich obrazów tyle a tyle robi na miesiąc; suto ozdobiony metalicznemi złoconemi, kapą, mitrą, pastorałem, księgą świętego i w ramach także pozłacanych. Przed tym obrazem modlą się codziennie kupczyki z żywą wiarą, jaką zauważyć można wszędzie u ludu rossyjskiego, którego jeszcze niedotknął rozkładający duch niewiary toczącej moralnie ucywilizowaną ludność miast zachodniej Europy i codziennie oddają mu przepisaną liczbę pokłonów, wzywając błogosławieństwa dla swojego handlu, który mimo to niewahają się popierać wszelakiem możliwem oszukaństwem.

Zwykle chowają jeszcze w każdym sklepie ptaszki śpiewające w klatkach i koty dla połowu myszy, bardzo łaskawe i, co dziwna, nie dobierające się do klatek.

W oddziałach Gościnnego dworu zwanych dworami Szczukin i Apraksin są sklepy z obrazami świętych. Obrazy te są wszystkie jednakowe, jak pomienione wyżej, w guście bizantyńskim, który w Rossyi stał się już narodowym i zowie się malarstwem suzdalskiem. Wprawdzie tak on już oddalił się od pierwotnego bizantyńskiego, jak i styl cerkwi rossyjskich od prawdziwego stylu bizantyńskiego. Da-

lej są składy owoców, gdzie niezliczona mnogość suszonych rodzynków, migdałów, fig, śliwek, orzechów i różnych innych jagód; w innych znowu miód, kadzidło, farby, kreda, smoła szewska i rozmaite inne rzeczy. Podziwiać należy zręczność kupczyków, z jaką noszą oni rozmaite rzeczy na głowach. Tak naprzykład nieraz widzieć można idącego przez ulicę i to pomimo zwyczajnego na niej tłoku, z deską na głowie, na której ułożone są w kształtnych stosach i piramidach jaja, albo w nizkich kadkach z wodą żywe ryby. Najciekawsze jednak są tam sklepy z ptakami. Mnóstwo tam ogromne żywych i bitych wielkich i małych stworzeń skrzydlatych: gołębi, kur, gęsi, kaczek, łabędzi, bekasów, skowronków, słowików, kanarków, zięb, czyżyków, szpaków i innych. Tyle jest tego w każdym sklepiku, tyle tam rozlega się nieustannie gdakania kur, gęgania gęsi, kwakania kaczek, gruchania gołębi, obok szczebiotania innych ptaszków, ile nienabierze się i w stu wioskach i nie słychać w żadnym lesie. Od jednego do drugiego rzędu sklepow przechodzą łuki, jak mosty. Na tych i na dachach siaduje niezliczona ilość gołębi, która chodzi wolno, bo bić je na jądło poczytuje się za grzech i sprzedają je tylko dla chowania. Ciekawa rzecz widzieć, jak w tych sklepach napędzają w żądaną stronę trzymane w ogromnych jak domki klatkach gołębie. Do tego służy utwierdzona na długim kiju płatka, którą rusza się pomiędzy latającymi ptakami; a te wyuczone pojmują, gdzie mają udać się: wyżej czy niżej; w prawo czy w lewo.

Najpiękniejsze koguty panoszące się tam ze swoją zwykłą pychą są z Moskwy, a gołębie z Nowogrodu. Finlandya dostarcza najwięcej ptaków śpiewających; zaś pewna ilość gęsi ma być aż z Chin; i trudno dać wiarę, że te ptaki jadą przeszło 1000 mil, by tu jako rzadkość ukazać się na ptaszym rynku. W tychże sklepach widzieć można w klatkach wiewiórki ruchliwe jak żywe srebro, króliki i świnki morskie. Przed sklepem, w którym tyle jest spokojnego życia dającego znać o sobie tysiącznymi głosami, stoi uwinięty w wilczą szubę brodaty kupiec i sprzedaje za rozmaite ceny swój towar tak żyjący jako i bity. Na długich deskach rozłożone są tam kupami piękne północne łabędzie białe jak śnieg, kuropatwy i jarząbki. Nieustające chłody zimowe, w których zmarzłe mięso utrzymuje się bez zepsucia po całych miesiącach, pozwala sprowadzać wszystkie to ubite ptactwo z najdalszych stron. Kuropatwy bywają z Saratowa, łabędzie z Finlandyi, cietrzewie z gubernij nadbaltyckich, a nawet ze stepów czarnomorskich i kaspijskich przywożą tu dropie. Zające wyciągnięte i zamarzłe leżą jakby żywe. Niekiedy ukazuje się w tych sklepach i mięso niedźwiedzie. Często widzieć można także leżącego na śniegu przed sklepem renifera, albo ogromnego łosia, na którego rosochatych ro-

gach siadują gołębie, dopóki niezabierze tego jaka bogata kuchnia stolicy.

Gościnne dwory i w nich sklepy zupełnie podobne do opisanych przez nas, znajdują się po wszystkich miastach rossyjskich, rozumie się tylko w mniej znacznych mniej zbytkowne; ale handel i obyczaj kupiecki panuje w nich wszędzie jednaki: tak w Petersburgu i Moskwie, jako i w Archangelsku, Astrachaniu i Irkutsku.

Według źródeł i wrażeń niemieckich.

10. Kozacy Dońscy.

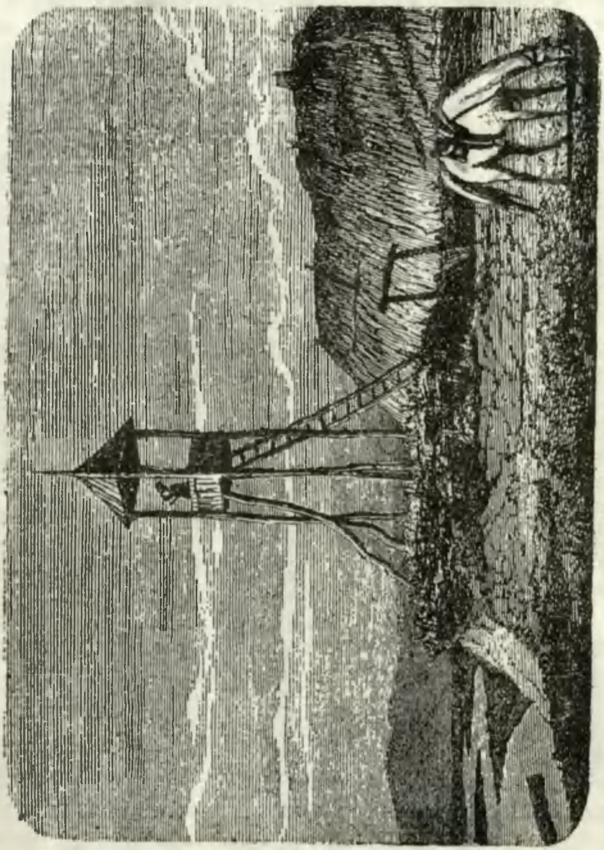
Ziemia Kozaków Dońskich leży nad rzeką Donem i jego dopływami i składa się z nieobjętych okiem równin, które przez cały rok odziewają zielone trawy, kwiaty i pachnące ziółka. Tu i owdzie przeciągają po nich pasma niewielkich pagórków kryjące w sobie bogate pokłady kruszców i kamiennego węgla. Blizkość Wołgi połączonej z Donem koleją żelazną, oraz portów nad morzami Czarnem i Azowskiem, dają możność temu krajowi zbywać swoje płody korzystnie. Ziemię tę ograniczają na północ południowe rossyjskie gubernie Woroneżska i Saratowska, na wschód stepy nadwołżańskie, na zachód stepy Noworossyi, na południe morze Azowskie. Środkiem ją przerzyna Don, biorący początek z jeziora Iwanowskiego i płynący powolnie, o czem powiada i sama jego nazwa: cichy Don Iwanowicz.

Przodkowie dzisiejszych kozaków Dońskich byli wychodźcami i zbiegami z Rossyi, których częścią ucisk Bojarów właścicieli ziemskich, częścią groza rządów Cara Iwana IV wygnały z ojczyzny. Największa jednak ich część opuściła swoje miasta i wsie dla swobodnego awanturniczego życia w stepach. Potem przybyło do nich niemało wychodźców z polskiej Ukrainy i Zaporoża, oraz z dalszej Polski, Turcyi i Grecyi. Nad Donem była ostatnia dziedzina dzikiej kozaczej swobody.

Tę różnorodną ludność, jaka zebrała się tu począwszy od wieku XVI, spajały w jedno religia prawosławna i język rossyjski. Każdy nowoprzybyły zkądkolwiek i osiadający tu musiał je przyjmować.

Ludność ta utworzyła społeczność wojenną żyjącą napadami i rozbojem, pod nazwą Kozaków, której źródłosłowu dotąd próżno szukają uczeni badacze. Takie społeczności od siebie niezależne i tylko związane duchowem powinowactwem, jednakiem urządzeniem i jedną wiarą, powstały prawie jednocześnie na tej całej rozległej przestrzeni od dolnego Dniepru do dolnej Wołgi, wówczas bezludnej,

będącej koczowiskiem hord tatarskich i na której były niepewne kresy panowania Królów polskich, Carów rossyjskich i Sułtanów tureckich. Kozacy nad Dnieprem Zaporożcy podlegali niegdyś Polsce, potem Rossyi i przestali istnieć w końcu zeszłego wieku. Potomko-



Posterunek kozacki.

wie ich obecnie nad Kubaniem tworzą Kozactwo Czarnomorskie. Z innych społeczności kozackich przetrwałych dotychczas pod władztwem Rossyi najliczniejszém i najznakomitszem jest Kozactwo Dońskie.

Tak Zaporożcy, jako i Dońscy kozacy uznając zwierzchnictwo, zresztą bardzo słabe, pierwsi Królów polskich, drudzy Carów rossyjskich, byli w stanie ciągłej wojny z Turkami i Tatarami, tworząc przeto jakby bractwo rycerskie Chrześcijańskie mające zadaniem wojnę z nieprzyjaciołmi Krzyża. Taki stan, korzystny w wojnie, narażał jednak bardzo stosunki Polski i Rossyi z Portą Ottomańską w czasie pokoju i bywał im nieraz nie do zniesienia, jak o tem świadczy historya. Napadali oni ciągle i łupili leżące nad morzem Czarnem i Azowskiem osady i twierdze tureckie, a przy tych zapasach z niewiernymi rabowali też i pograniczne miasta polskie i rossyjskie. Wreszcie tak Zaporożcy jako i Dońscy kozacy urządzeni w społeczność wojenną podlegali władzy swoich Hetmanów czyli Atamanów naprzód obieralnych i zatwierdzanych przez ich rządy zwierzchnicze, a w końcu mianowanych przez rząd rossyjski dla Zaporożców w ostatnich czasach ich bytu, i dla innych kozaków aż dotychczas. Od panowania Mikołaja I Jego Wysokość Cesarzewicz Następca tronu jest Naczelnym Atamanem wszystkich wojsk kozackich w Rossyi.

Stolicą kozaków Dońskich była twierdza Czerkask na jednej z siedmiu wysp w ujściach Donu w odległości 8 mil od tureckiej twierdzy Azowa. Obecnie głównem miastem ziemi kozaków Dońskich jest Nowoczerkask w blizkości pierwszego Czerkaska zwanego odtąd Starym. Oprócz tego miasta głównego pozakładali kozacy nad Donem i wpadającemi do niego rzekami mnogie osady, tak zwane stannice. W wieku XVII liczono ich przeszło 50. Pozostają one i teraz osadami wiejskiemi pod zarządem kraju wojennym, chociaż niektóre są znacznemi miasteczkami.

Życie domowe tych osiadłych żołnierzy było w początkach bardzo jednostajnem. Rolnictwo zostawało u nich w pogardzie i jedynem ich zajęciem było polowanie i rybołówstwo. W owych czasach dawnych, o których teraz pozostały tylko wspomnienia, uprawa roli była nawet przez ichże własną władzę najsurowiej zakazaną. Ludzie w stannicach zbierali się razem i plotąc sieci opowiadali swoje wojenne wyprawy i przygody i śpiewali o nich bohaterskie pieśni.

Jak u wszystkich społeczności, których powołaniem była wojna, tak i u kozaków rozwinęła się w charakterze narodowym szczególniejsza mieszanina cnót i występków. Łupieztwo i rabunek w czasie wojny i w kraju nieprzyjacielskim było rzeczą godziwa i upoważnioną i prawem i obyczajem; lecz kradzież w swoim kraju była uważaną za wielką zbrodnię. Kary były srogie i nieubłagane. Za każde niemal przestępstwo, a w ich liczbie i za prostą najmniejszą kradzież wyrok był jeden: „w wór i w wodę“ co spełniano bez odwłoki; zawiązywano przestępcę w worek i rzucano do rzeki.

Urządzenie wojenne kozaków podległo z czasem wielu zmianom. Obecnie służba wojskowa nie jest już obowiązującą dla wszystkich bez wyjątku. Z urządzenism w czasach ostatnich stosunków włościańskich w całem państwie i kozacy pozyskali posiadane przez siebie ziemie na własność. Obecnie liczą kozaków Dońskich 650,000, a w tej liczbie 12,000 szlachty.

Teraz głównem zajęciem kozaków Dońskich jest rolnictwo, któremu najzupełniej sprzyja ziemia żyzna, prawie wszędzie czarna i tłusta. Rolnictwo zaprowadził w całym tym kraju Piotr W. po uśmierzeniu powstania pod wodzą Buławina i Nekrasowa, rozkazawszy, aby wszyscy bez wyjątku kozacy uprawiali wydzielone sobie grunta. Następnie ogrodnictwo, także bardzo właściwe w kraju południowym, gdzie klimat jest już bardzo ciepłym i jako lądowy sprzyja bardzo drzewom owocowym. Piotr. W. zaprowadził też nad Donem uprawę winogradu i od tego czasu zaczęto tam wyrabiać wino znane pod nazwiskiem dońskiego. Obok rolnictwa i ogrodnictwa rozwinięte jest tam bardzo hodowanie bydła, a zwłaszcza koni, czemu także sprzyja obfitość najbujniejszych łąk i pastwisk. Przy tem wszystkiem niebraknie temu krajowi i bogactw kopalnych. Liczne jeziora słone dostarczają mu w obfitości soli i są tam bogate kopalnie kamiennego węgla. Już Piotr W. umiał ocenić to ostatnie bogactwo kopalne Rossyi południowej i wyrzekł o niem słowa pamiętne wówczas kiedy jeszcze nieznano zastosowania pary: „Ten materyał jest bardzo ważnym, jeśli nie dla nas, to dla naszych następców.“

Stannice kozackie przedstawiają widok nader powabny. Każdy dom otoczony jest ogrodem z drzew owocowych i kwiatów. Winnice nader liczne są zacząwszy od ujścia do Donu rzeczki Medwedicy, gdzie tylko miejsce jest po temu, na stokach pagórków obróconych ku południowi. Wewnątrz domów panuje czystość i porządek. Po ścianach wiszą obrazy świętych zwyczajnego w Rossyi suzdalskiego malowania i portrety Najjaśniejszego Pana i Cesarzewicza jako Naczelnego Atamana w stroju kozackim. Około domów bywają obszerne zagrody dla bydła, owiec i koni, dalej składy zboża, a jeszcze dalej w stepach tak zwane bakcze, gdzie sadzą harbuzy, ogórki i inne owoce i warzywa. Każdy dom zwłaszcza zamożniejszy ze swojemi obszernemi zabudowaniami gospodarskiemi stanowi folwark i okazuje kraj oddany głównie życiu wiejskiemu.

Kraj to żyzny i bogaty, mający wszystko czego potrzeba dla rozwoju i rolnictwa i całego gospodarstwa wiejskiego na największą skalę i przemysłu i handlu, bo ma jeszcze blizko morze i drogi żelazne i tych może mieć jeszcze więcej, bo i dla nich i dla parostatków i dla fabryk w przyszłości ma podostatkiem kamiennego węgla. Bra-

kuje mu dotąd tylko ludzi. Z pomnożeniem ludności Rossyę południową czeka przyszłość świetna.

11. Noworossya.

Tuż przy Złotopolu, ostatniem pogranicznėm miasteczku dawnej polskiej Ukrainy a obecnie gubernii Kijowskiej, wznosi się Nowomirgorod, miasteczko pięknie i porządnie zabudowane, należące do Noworossyjskiego wojennego posielenia. Cerkwie i inne budowy skarbowe wielce je ozdabiają. Dawniej sąsiedztwo z Polską czyniło Nowomirgorod ważnem handlowem miasteczkiem; byli nawet w niem uwierzytelnieni agenci dla opieki zagranicznego handlu. Przez lat kilka przemieszkiwał tu Biskup Noworossyjski i Dnieprowski. Nowomirgorod zbudowany w r. 1753 z rozkazu Cesarzowej Elżbiety był stolicą Nowoserbji, rzeczka Wiś oddzielała go od Polski; w nim i w okolicy nad rzekami Wis i Siniuchą byli osadzeni wychodźcy Serbowie, Czarnogórcy. Od tego miasteczka zaczyna się gubernia Chersońska i niezmierzona kraina stepów, pełna kurhanów, już zakończonych ostro, już u szczytu wklęsłych głęboko. Powiadają mieszkańcy, że te kurhany służyły za warownie stepowe dla Tatarów, co na tych obszarach wypasali swoje bachmaty. Wiele rzek przerzyna tę ziemię. Brzegi Bohu wysokie i skaliste stanowią na tej równej płaszczyźnie jakby jar często ozdobiony drzewami i czynią malowniczy widok. Ta pustynia stepów zarosłych nadzwyczaj bujną trawą sprawuje wielkie wrażenie; znużone oko opiera się tylko na ogromnych stogach siana, co sterczą jakby skały tego zielonego morza. Te dziewicze pustynie zdobią tysiące ładnych kwiatów: najczęściej złocą się żółte bodiaki delikatniejsze i piękniejsze od naszych; mnóstwo tam jest zająców, lisów i wilków. Są jeszcze w Chersońskiej gubernii i dzikie konie, małego wzrostu, ale bardzo kształtne i szybkie, maści rozmaitej, jednak najczęściej myszate, a ogier zawsze tej maści. On jest wodzem i stróżem całego stada, sam się pasie opodal od innych koni, wypatruje czy niema jakiego niebezpieczeństwa, a za postrzeżeniem daje hasło do ucieczki. Mieszkańcy umieją ich łapać na arkan; ale pojmane nie przynoszą żadnej korzyści, bo albo się same zabijają, albo z tęsknoty zdychają, albo oswojone tracą całą fantazyę i stają się najleniwszemi. Dlatego teraz nikt ich nie łapie, prowadzą życie swobodne, przepędzając zimę u stogów siana. Ptactwa jest daleko więcej w stepach, aniżeli zwierząt: szczególniej mnóstwo dropi. Mają one jakieś podobieństwo do naszych indyków.

W dość wielkich przedziałach leżą kolonije, czyli ogromne wsie pięknie zabudowane: domki albo z ziemi ubite, albo z kamienia mu-

rowane ładny przedstawiają widok, bo są drzewami ocienione i chata z chatą połączona murem formują piękne ulice. Czystość i różnobarwność domków malowanych zewnątrz różnymi kolorami bardzo się podoba. Wozneseńsk śliczne miasteczko. Ten wjazd ładny, po ulicy szose ocienionej zasadzonym laskiem, ta wielość domów nawet o piątrze, te ulice ładne z dworków ocienionych także drzewami, przedstawiają tem milsze, im rzadsze w stepach widowisko. W r. 1795 w Sokołach małej osadzie Mołdawian i kozaków Bohskich (bo zaledwo liczącej 100 dusz męzkich) rozkazała Cesarzowa Katarzyna II na przedstawienie hrabiego Platona Zubowa założyć miasto Wozneseńsk, nazwane tak od cerkwi tam zbudowanej pod tytułem Wniebowstąpienia i było ono stolicą namiestnikowstwa Wozneseńskiego, które Paweł I skasował. Od Wozneseńska prawie wszędzie są pola uprawne; jednakże nie brak na pustych obszarach. Pod Odessą zaczynają się wzgórza; a po drodze nie można się rozminąć z karawanami maz czumackich ciągnących się ustawicznie długim gęsim sznurkiem przy muzyce kół nie bardzo miłej dla ucha.

Zawojowanie i zaludnienie przez Rossyę tych stepów datuje od połowy zeszłego wieku. Za panowania Cesarzowej Elżbiety osiadła tu pierwsza kolonija wojenna z wychodźców Serbów, nazwana Nową Serbią, która nietylko stanowiła liniję pograniczną z polskiej i tureckiej strony, ale zarazem zajmowała się i gospodarstwem. Od tego czasu rząd rossyjski szczególne baczenie miał na tę stronę. Wojny prowadzone z Turcyą podały w ręce Rossyi całą tę ziemię przez traktaty zawarte w r. 1774 i 91. Jak stopniowo zwycięztwa posuwały w stepach granicę, tak też w ślad za nią szła linija osady wojennej i nagle zjawiały się wsie, miasta i porty. Zachęcenia i przywileje dawane kolonistom zciągały wielu Greków, Bulgarów, Wołochów i Roskolników zbiegłych z Rossyi do Polski, a za nimi niemało Prusaków, Austryaków i innych Niemców, także Szwedów i wieśniaków z Polski. Panowie mający tu ziemię sprowadzali swoich poddanych z Białej Rusi i z głębi Rossyi. A tak była ta kraina zbiegowiskiem różnych narodów mówiących różnymi językami i nierozumiejących siebie nawzajem, jakby przy drugiej wieży babilońskiej, wedle słów Katarzyny II. Potrafiono środkami łagodnymi skłonić 9,000 Tatarów nogajskich do przemienienia życia koczującego na osiadłe; a co dziwniejsza w tych stepach, że nawet Żydzi bawią się tu rolnictwem i mają 9 kolonij. Nietylko rząd starał się o zaludnienie tych stepów, lecz razem o zaprowadzenie porządku i przemysłu, o rozwinięcie wewnętrznego bogactwa tej ziemi. Żadne przeciwności niezrażały, żadne koszta nieustraszały. Na tej żyznej ziemi posucha i szarańcza często głód nawodziły: rząd karmił prze-

siedlonych; zima r. 1812 zniszczyła prawie cały dobytek, bo z górą miljon sztuk bydła padło: rząd kupił i rozdał bydło kolonistom. Niczego niezaniedbano, coby mogło posłużyć do ulepszenia bytu mieszkańców. Plantacya drzew, rolnictwo, chów bydła z największą troskliwością pielęgnowane; ale najwięcej przyczyniło się do dobrego stanu tej prowincyi naznaczenie Noworossyjskim Gubernatorem księcia de Richelieu, który nietylko że sam mnóstwo pożytecznych temu krajowi urządzeń zaprowadził, ale jeszcze sławą swego imienia zciągnął wielu zagranicznych kupców.

Odessa królowa tych stepów zbliżającemu się od nich przedstawia się niebardzo ładnie, bo kilka tylko domów błyszczy zdaleka; wreszcie cało miasto, kiedy tylko sucho, kryje się w grubych tumanach kurzawy będącej wybitną jego własnością. Ale zaledwo wjedziesz w to niedawne miasto, możesz się zadziwić. Odessa zabudowana porządnie i dzieli się na kwadratowe kwartały poprzerzynane szerokiemi ulicami; chodniki wykładane czasem kamieniem ciosanym sprowadzonym z Konstantynopola; domy ładne murowane z odeskiego muszlowca pospolicie o piątrze w nowym guście często z dachem płaskim i ładną kolumnadą. Wszystko tu widzisz nagle i razem wyrosłe na uderzenie laski Merkurego, bożka przemysłu. Miasto pełne ruchu i życia, a każdy co się snuje myśli o zysku i kroku darmo niepostawi, chyba przyjezdny dla kąpieli. Odessa ma zupełnie pozór miast zagranicznych, ciągle w niej obija się o uszy język włoski, francuzki, niemiecki. Jest tu uniwersytet powstały z dawnego liceum imienia Richelieu, publiczna miejska biblioteka, muzeum starożytności taurychich, gdzie złożono różne kamienie z napisami greckimi, genueńskimi, lub herbami sławnych Doria i Giustiniani i pieniądze dawnych osad greckich, szkoła wschodnich języków, szkoła grecka, kupiecka i inne instytuta. Teatr ładny choć niewielki, gdzie sprowadzona truppa wcale nieźle przedstawuje opery włoskie, Chociaż na stepach trudno zaprowadzić drzewa, jednak prócz futorów opasujących Odessę, gdzie wyrabiają wino białe i czerwone, znajduje się ogród botaniczny, który zaprowadził Desmet i co dziwniejsza, że nie na ługu lub przy wodzie, jak to pierwej czyniono, ale wprost na stepie i więcej jak 500 nowego rodzaju drzew rozmnożył w Nowej Rossyi. P. Lewszyn zaprowadził na peresypie na piaszczystych wydmach przy brzegu morskim piękny lasek, czyniący tę usługę, że już wicher piaskiem nie zasypuje drogi. Nadto jest jeszcze ogród miejski, ale najwięcej mnie się podobał mały bulwarek nad brzegiem przy porcie ocienionym drzewami; daje ładny widok na morze, usiane okrętami, do którego prowadzą olbrzymie i wspaniałe z kamienia murowane schody, a z drugiej strony ma ogromną ścianę pięknych domów.

Handel główny Odessy jest zbożem, szczególniej pszenicą; nadto wyprawiają ztąd pieńkę, len, olej, masło, skóry, potaż, klepki, sznury, żelazo, miedź i t. d. Przywożą do tego portu cukier, kawę, wino, rom, porter, bakalie, tytoń, oliwę, wyroby bawełniane i jedwabne, fajans, korale, książki i t. d. Najwięksi kapitaliści Grecy, ale największy obrót handlowy czynią kredytem Francuzi, ¡Włochy i Niemcy. Żydzi zajmują się i tu jak wszędzie faktorstwem: kupują zboże u pogranicznych obywateli ziemskich i odprzedają kupcom z pewnym zarobkiem, tak, że główny handel zbożowy przechodzi teraz przez ręce tych zacnych pośredników. Odessa pomimo przykrego pyłu, a w czasie deszczu błota, dość jest przyjemną do życia, osobliwie latem więcej się ożywia z przyczyny przybywających do kąpieli. Jednym z wielkich niedostatków tego miasta jest brak dobrej wody, pomimo że są tu i cysterny i studnie i nawet fontanny.

Niektórzy badacze starożytności odeskiej powiadają, że już w II wieku była tu osada Istrjanów, opierając się na Arrianie. Nie wchodząc w tak dalekie czasy to pewna, że nierównie później to miejsce było zasiedlone przez Tatarów i otrzymało nazwisko Kaczibej, czyli Chadżybej. Sarnicki wspomina, że był tu port i że za czasów Kazimierza Jagiellończyka Polacy tą drogą wyprawiali zboże do wyspy Cypru. Później była tu niewielka forteczka turecka, którą Zaporożcy nieraz plądrowali i palili. W r. 1789 zdobyły ją wojska rossyjskie pod wodzą de Ribasa, za którego staraniem Chadżybej został obrócony na miasto portowe, a petersburgska akademija nadała mu nazwanie Odessa na pamiątkę leżącej niegdyś w pobliżu tego portu osady greckiej wspominanej u dawnych geografów pod imieniem Ordessos, albo Odissos, to jest: daleka droga kupiecka.

Ks. J. **Hołowiński**, Pielgrzymka 1839.

12. Dniepr.

Trzecią co do wielkości z rzek europejskich i niejako naszym Nilem jest Dniepr, w świecie starożytnym Danapris i Borysthenes, u Turków Uzy, a na Rusi zwany ojcem Dnieprem i Sławką. Źródła jego są na południowych stokach wierzchowiny północnej u jeziora Dnieprsko i wsi tegoż nazwiska.

Płynie on z północy ku południowi aż do Drohobuża, stąd skręca się na południo-zachód, pomija Smoleńsk, oblewa kilka większych ostrowów i płynie w wielkich zakrętach aż do Orszy; tutaj zwraca się zupełnie ku południowi, pomija Mohylów, Rohaczew, Łojów i Kijów.

Od Trypola skręca się coraz więcej ku południo-wschodowi na Kaniów, Czerkasy, Kremenczug i płynie w tym kierunku aż do ujścia rzeki Samory. Potem łamie się znowu ku pełnemu południowi, a od Aleksandrowska na zachód południowy i rozlewa się naprzód po Limanie pod Chersonem, a w końcu wpada poniżej Oczakowa do morza Czarnego.

Górny bieg Dniepru zajmuje przestrzeń od źródeł aż do Drohobuża, a właściwiej aż do Smoleńska. Na tej przestrzeni, mianowicie od Drohobuża, Dniepr już poczyna być spławnym.

Średni bieg Dniepru ciągnie się od Smoleńska aż do Ekaterynosławia i tutaj chodzą wielkie bajdaki, dubasy i wiciny. Szumny Dniepr zajmuje przestrzeń 12 mil od starego Kudaka poniżej Ekaterynosławia począwszy aż do Aleksandrowska i tutaj stoją statkom żeglującym na zawadzie porohy dnieprowe; a tam gdzie się porohy kończą poczyna się dolny czyli niżny bieg Dniepru i sięga aż po mielizny Limanu.

Pod Starym Kudakiem wpada Dniepr na płytę granitową, która jest podłogą ukraińskich stepów. Płyta ta wymoszcza litym granitem łoże dnieprowe i nietylko że nie dozwala wodom pogłębić koryto, ale owszem podnosi miejscami całe łoże do znacznej wysokości. Ztąd powstają ślepe skały, czyli rafy, na poprzek koryta w samym Dnieprze, a poniżej onych, tam kędy granit stepowy schodami ku Limanom spada, powstają tak zwane porohy dnieprowe, wierzchem których wodna płachta wali.

Porohy te są niejako olbrzymimi upustami wód dnieprowych; one trzymają także zarazem na wodzy pośrednio wody całej Pińszczyzny, które Prypeć z sobą uprowadza i do Dniepru odlewa.

Od Starego Kudaku począwszy idąc za biegiem Dniepru są te porohy na przestrzeni 12 mil rozłożone, a jest onych 13. Każdy z nich ma swoje nazwisko.

1-szy nazywa się Staro-Kajdackim albo Kudak; 2-gi Sulski; 3-ci Łochanny; 4-ty Strzelczy; 5-ty Dzwoniec; 6-ty Knipora; 7-my Nienaszyniec; 8-my Woronowa zapora; 9-ty Wolny; 10-ty Budełów; 11-ty Tawałczany; 12-ty Liczny i 13-ty Wolny także Karłem zwany. Porohy te wznoszą się na 8, 10, 12, 15 stóp wysokości i sterczą w kolczatych iglicach granitu i w zawalistych łomach z wód dnieprowych.

Tam to wśród szumnego Dniepru kładzie sokół na skale swe gniazdo; tam to lęgną się sowy i pelikany na Nienaszyńcu przed wieki. Tutaj trzeba pamiętać o tem, co Nestor latopis ruski i Karamzyn rossyjski o porohach mówią.

Pomiędzy porohami znajdują się nagie skaliste dzikiem winem

obrosłe ostrowy. Ze wszystkich porohów największym jest Nienaszyniec.

Od wierzchowiny dnieprowéj począwszy, która na północy nad całą stepową krainą Wołgi, Donu i Dniepru panuje, ciągną się wzdłuż brzegów dnieprowych lekkie wzgórza, które po prawym brzegu znaczniej są wyniesione; już około Drohobuża tracą się te lekkie fale, w których kraj dotąd płynął i Dniepr wstępuje w nieprzejrzane równiny i płynie głębokim żłobem w ostro oznaczonych brzegach. Od ujścia Prypeci powyżej jeszcze Kijowa poczyna się podnosić prawy brzeg Dniepru z małymi wyjątkami coraz więcej i spada w głębokich jarach nagi, skalisty, lub miejscami osuty i obrosły ku wodom. Dzieje się to na całej przestrzeni średniego i niższego biegu; pod nim leży także wart Dniepru. Lewy brzeg jest znacznie niższy; od niego poczyna się morze stepów, ma częste piaszczyste odmiały, ku niemu ma się także Dniepr na średnim i niżnim biegu.

Wzgórza po prawym brzegu Dniepru chronią Pińszczyznę od zatoków wód dnieprowych; bo gdyby onych niebyło, wpadałby Dniepr naprzód do kotliny pińskiej nizko położonej i cała Pińszczyzna byłaby jednem wielkiem jeziorem. Lewy brzeg obrasta częścią lasem oczeretów, częścią olbrzymiemi łozami i olszyną, a przypiera nagim bezleśnym i bezwodnym stepem do wód na przestrzeni, gdzie Dniepr granit stepowy przerywa. Indziej jak ogromne bagna ciągną się miejscami Dnieprzyska opodal dzisiejszego koryta. Tam kędy Dniepr na płytę granitową wpada, są brzegi jego często skaliste, nagie, dziko szarpane i malownicze, a krainy które Dniepr przechodzi płyną w wielkich falach z północy ku południowi. Nieznacznie wznosi się tylko kraj i opada, a wydaje się na oko jednostajnie równy. Ztąd też niema Dniepr właściwie doliny, którąby odpowiadała ogromowi jego, ale cały kraj jest jego doliną.

Koryto Dniepru jest płytkie powyżej Smoleńska; od ujścia Berezyny obficie wodą opatrzone, a od ujścia Prypeci i Dzisny jest Dniepr w pełnej sile. Wspaniałą szeroką wstęgą snuje się mimo złotego Kijowa i brzegowisk Kaniowa, a od Kremeńczuga miałczeje znowu jego koryto. Pod Kijowem ma on 638 kroków szerokości, a pod Kremenczugiem 1,700 łokci.

Przyczyny tej mielizny potrzeba szukać w porohach na szumnym Dnieprze i woda poczyna się spierać już od ujścia Rosi. Na całym gornym i średnim biegu prowadzi Dniepr z sobą zawały piaskow któremi płynie, na porohach wsparte wody wolnieją w biegu i wczesnie już, bo od Kremenczuga i ujścia Rosi, zamulają piaski koryto powyżéj jeszcze porohów.

Już od ujścia Berezyny dzieli się główny strumień Dniepru

często na odnogi i oblewa mnóstwo wysp i kęp podłużnych, płytkich i piaszczystych, obrosłych, lub miejscami nagich, skalistych i znacznie wyniesionych, które ostrowami nazywają.

Na ujściu wszystkich znaczniejszych rzek leżą ogromne odmiały i szeroko rozlewa się Dniepr na tych gębach i przestronnie roztwiera się kraj. Poniżej Kaniowa w okolicy Moszen zniża się prawy brzeg Dniepru i tutaj odrywa się niby ramie dnieprowe, obchodzi w wielkich bagnach i trzęsawiskach szmat kraju i kołując na Smiłę łączy się znowu z głównym strumieniem poniżej Kryłowa; bagna te są Irdyniem zwane i są starym łożem Dniepru, porastają gęsto dużemi olchami i oczeretem, a gdzieniegdzie biją źródłowiska po tych bagnach, które dawniej u dna Dniepru niewidzialne biły.

Kędy Dniepr na płytę granitową wpada poniżej ujścia Rosi, jest łoże jego kamieniste, a brzegi i ostrowy są tam całe w skałach, a w łożach znajdują się prądy rwące i wiry zdradliwe.

Poniżej porohów poczyna się właściwe Zaporoże, kraj siedemdziesięciu ostrowów kozackich, a porzecza dnieprowe leżą tutaj do poziomu i są niżem zwane. Na tej przestrzeni od porohów aż do ujścia wolnieje spadek wód i nie płynie Dniepr razem zebrany jednej mili nawet w zebranym korycie. Do najznaczniejszych ostrowów należy ostrów Kochaniec, Chortycia, Nowa Sicz, Tawań, Tomakowka, Wielki Ostrów i Czortomelik. W czasie wezbrania stoją one częścią pod wodą. Łoże jego czem raz szerzej ostrowami tymi rozpierane przechodzi nareszcie w Liman na 8 ½ mili długi, a pod Oczakowem na 2 mile szeroki, ale nie głębszy nad 8—10 stóp, latem zaś czasem do 6 stóp miałczeje. Mielizna, która z tak szerokiego rozlewu wód powstaje, staje się przeszkodą w żegludze statków powiększych na Dnieprze, okrętom zaś jest Liman zupełnie nieprzystępnym. Największą wszakże zawadą były dotąd porohy dnieprowe. Na morze prowadzi z Limanu kanał piaszczystemi ławami otoczony od 18 do 60 stóp głęboki. Po lewym brzegu Limanu leżą ogromne szkodliwych wyziewów bagniska. Na przestrzeni 234 mil jest Europa potężnym strumieniem Dniepru przerznięta i wody jego kładą niejako przyrodzoną granicę pomiędzy krainą stepów bezwodnych na wschodzie, a gęsto górami i rzekami osnutym obszarem zachodnim, tudzież pomiędzy obszarem słodkich a słonych jezior; one rozgraniczają także prądami swemi i roślinność, bo za Dnieprem poczyna się już świat roślinności kaukazkiej.

Dorzecze Dniepru zajmuje przestrzeń 10,000 mil kwadratowych; długość biegu od źródeł do ujścia 234 mil, a w prostym kierunku 130; więc zakręty jego zajmują 104 mil, a w biegu swym przechodzi osm stopni geograficznych.

W. Pol.

13. Kijowska gubernija

Spuszczając się z gór Miodoborskich od zbornych mogił i z wyniosłych kopani Wołynia na wschód południowy, zapowiadają rozległe niwy wzrokiem nieobjęte wstęp na obszary wietrznej Ukrainy. Na Polesie ku północy odpływa tu Słucz, ku Czarnemu morzu Boh. Na rozwarciu obu tych rzek poczyna się w okolicy Starego Konstantynowa od wsi Bachłaje odwieczny Czarny szlak, czyli zagon tatarski i ciągnie się grzbietem suchej wierzchowiny. Od niego spływają ku wielkiemu i pełnemu wschodowi cztery większe doliny Teterowa, Irpinia, Rosi i Tasminy na Dniepr, a z wysokości płyty granitowej spadają ku południowi ze znaczniejszych doliny Wielkiej i Małej Jnguły na Liman; z ujściem zaś Dniestru, Bohu i Dniepru kończy się cały wązkim klinem na południu brzegami Limanu.

Stepowy charakter ziemi, którym się wschodnie stoki gór Miodoborskich już częściowo odznaczają, występuje w całej pełni na rozległych obszarach wietrznej Ukrainy. Płyta litego granitu poczynająca się na zachodnim krańcu Wołynia, a przeciągnięta na wschód aż ku podnóżom południowego Uralu, jest tu w znacznej szerokości podłogą ukraińskich stepów i wpływa stanowczo na powierzchnią onych. Na tej płycie leżą potężne pokłady siwego, tęgiego iłu, tłustej urodzajnej gliny, czarnoziemiu i gdzieniegdzie piasku, a step jest równym, suchym, miejscami falistym krajem. Gdyby ta płyta stepowego granitu wyżej była nad poziom morza wyniesioną i więcej połamaną, gęstszą byłaby naówczas siatka rzek i niebyłoby stepów bezwodnych; co gdy nie jest, zrzadka płyną tu rzeki w głębokich, kamienistych, jarami zwanych żłobach, a pomiędzy niemi leżą walne suche równiny, które dzikiemi polami albo stepami nazywają.

Upowszechnione wyobrażenie że na Ukrainie lasów niema, niezupełnie jest prawdziwe, i to dałoby się tylko powiedzieć o właściwym stepie; przeciwnie zaś zakończa rozległy widnokrąg wszędzie prawie ciemny rąbek lasów.

W północnej stronie, kędy Ukraina z Polesiem graniczy i kędy się piasek przerzucać poczyna, porasta kraj sosną i pomiędzy prawym brzegiem Słuczy a lewym brzegiem Teterowa ciągną się ku północy miropolskie, sokołowskie, łukowieckie, pielińskie, kurnickie i czernichowskie bory; zresztą zaś nadają wyraz tej ziemi czyste dąbrowy, lub podszyte brzozowe gaje i przerosłe knieje. Dąbrowy są śladem i jeszcze szczątkami odwiecznych pierwotnych lasow, a płacząca brzoza, która ich miejsce coraz więcej zajmuje, nie bywa nigdzie ani tak wielką, ani tak bujną, ani tak wdzięcznie rozwieszoną, jak tu. Las

pokrywa zwykle wznioślejsze miejsca i północne zbocza, a kiedyindziej albo stepowa jednostajność, albo nieprzerwana roślinność puszczy jak na Litwie kraj wyłącznie charakteryzuje; mienią się tutaj leśne i stepowe obszary.

Zrazu występując na obszary Ukrainy Czarnym szlakiem, uderza widok rozległych łąk i małych brzozowych i dębowych lasów, które wieńcami umajają wzgórza. Do Czarnego szlaku przypiera wierzchowina rzek i ona to góruje tu w kształcie wysoczyzny małej w okolicy Machnówki przeszło na 600 stóp nad powierzchnią morza. Na wszystkie strony ważą sie ztąd wody, ale napozór wydaje się ten kraj jednostajnie równy. Wielką szeroką smugą ciągną się tu od Czarnego szlaku ku północy i wschodowi naprzód berdyczowskie, dalej białopolskie, a nareszcie chodorkowskie łąki, aż ku brusiłowskim lasom i wszystkie dopływy prawie, które od prawego brzegu Teterów zabiera, mają w nich swe źródła, a karapsowskie, pawołockie i jaroszewskie łąki otaczają dopływy górnej Rosi. Zrazu płyną rzeki Ukrainy osoczystemi łąkami, zazwyczaj na jeziorka lub stawy i w dalszym dopiero biegu wjada się ich łoże głęboko w ziemistą caliznę, lub w granit stepowy i pozostawia wyniosłe brzegowiska, po których wyższy lub niższy stan wody w piętrach poobmywał brzegi. Zresztą są koryta rzek stałe i nie łatwo zwykły zmieniać swój kierunek. Posuwając się z tych szerokich łąk na wschód ku Dnieprowi przerzucają się lasy w coraz większych płatach na dorzeczu Rosi. Miejscami widać tu i piaski między Irpiniem a Rosią: na wschód od Białocerkwi, a na północy od tak zwanych Żytnich gór. Po prawym brzegu rzeki Moszny leży kraj lesisty, zapadły i podmokły. Tutaj rozlało się kilka jezior, tu leży piękne jezioro Biełozor, a bagna i trzęsawiska Irdynia, — trzciną, wielkiemi olchami i łozą porosłe, obchodzą szmat kraju przypierając łukiem ku Dnieprowi. Lasy przechodzą na dorzeczu Taśminy w wyraźne puszcze, i wszystkie jej dopływy są na wierzchołkach lasem otoczone. Tu łączy się puszcza Łebedyn na północy z Orlim i mławskim lasem, a ku wschodowi ciągnie się las Baudys, Nie Rabaj i Modszyn aż ku Czehrynowi. Co zaś do samych brzegowisk Dniepru, podnosi się jego brzeg prawy jeszcze powyżej Kijowa, coraz wyżej i wpada miejscami w jarach dziko poszarpanych ku wodom, a góruje na tej całej przestrzeni od ujścia Prypeci i Dziesny aż do porohów poniżej Kudaka.

Tam, kędy płyta granitowa stok ma ku południowi, ciagną się zrazu od Czarnego szlaku krótkie działy, szerokimi padołami przegradzane, w których rzeki ku Bohowi płyną. Tu i owdzie majaczeją dąbrowy brzozowe, gaje i futory, wsie gdzieniegdzie sadami otoczone ciągną się wzdłuż rzek, a kraj jest suchy i na oko równy. Dopiero

w okolicy Humania okazują się znowu trzęsawiska i jeziora. Jezioro Jatrań jest tu największe, a na wierzchołkach Sinej Wody, czyli Siniuchy, przedostatniej znaczniejszej rzeki, która od lewego brzegu do Bohu wpada, porasta kraj znowu wielkimi lasami, a las kryłowski, Wierbicz i Romczyn łączy się znowu z małemi tylko przerwami z puszczą Łebedyn na wierzchołkach Taśminy.

Czem się dalej pomknąć ku Niżowi i za stokiem stepowego granitu i biegiem rzek na południe, tem więcej nikną lasy, a w całej okazałości występują tu stepy bezwodne. Od ujścia Siniuchy posuwając się ku pełnemu wschodowi aż do porohów na szumnym Dnieprze leży naprzód step Umarłych i step Bohu między Siniuchą a W. Ingułą, a sięga aż po lewy brzeg Bohu. Dalej rozkłada się między Ingułami obiedwoma aż ku Limanowi Wielki step Inguły, a po lewym brzegu Inguły Małej po Białe Jezioro, nad brzegami Dniepru po Nową Sicz, po Słone jezioro i Skok Białego Konia sięga step Dnieprowy.

Dalej ciągnie się na północ od tej Siczy aż do Umarłego jeziora pasmo nieprzerwanych prawie lasów, a historyczny las Czarny był tu największy; a między nim i przestrzenią porohów wznoszą się w długości mil 12-tu przeszło nagie pagórki, kędy się wicher z piaskami ugania. Pagórki te ciągną się w znacznem oddaleniu wzdłuż porohów dnieprowych i zda się że je Dniepr odsypał w czasie przerwania płyty granitowej, bo podobne piaski złożył także do poziomu i po lewym brzegu poniżej porohów na zadnieprskich stepach.

Na całej przestrzeni tych czterech walnych stepów znajduje się jeden tylko las znaczniejszy, las Sokoli po lewym brzegu Inguły Wielkiej. Zresztą jest cała ich powierzchnia z drzew ogołocona.

Na całej Ukrainie jest ziemia bardzo urodzajna, a właściwie można to powiedzieć, iż po egipskiej do najlepszych ziem na świecie należy. Czarnoziem wydaje tu niesłychane plony, a nawet przy mniej starannej uprawie. Jeden zasiew ozimy daje częstokroć dwa zbiory rok po roku. Czasem przezimuje i jarzyna po gradobiciu i rodzi się jak gdyby była najstaranniej sianą. Wypadki takie nie są rzadkie i świadczą najlepiej o urodzajnej sile ziemi.

Strefa jest na Ukrainie prawie dwojaka: na wysokości pól i stepów, kędy zwaliste śniegi ziemię pokrywają i gdzie kraj jest wystawiony na grę wiatrów, jest powietrze niestałe, zmienne i zimne; na południu zaś i ku zachodowi, kędy ciepłe wiatry od morza wieją i podniesienie płyty granitowej kraj od północy i wschodu zasłania, jest powietrze łagodne, stałe i może być niejako uważane za przechód do krajów południowych. Tu też dojrzewają i południowe szlachetne owoce, a szczególniej jest to kraina roślin tykwowych, żyjących więcej powietrzem i oddechem liści rozłożystych, niż biorących pokarm

za pomocą korzeni. Te melony i kawony są to roślinne źródła stepów, które na upałach letnich brak wody zastępują w części.

Do charakterystyki tamecznych okolic należą także szczególniej futory. Są to oazy naszych trawnych pustyń, ogniska skupionej roślinności na niewielkiej przestrzeni, które zrazu lasami nawpół zasiewają obszar Ukrainy. W miarę tego jak coraz więcéj stepowy klimat na nim przeważa, nikną lasy ku południowi i na wschód zupełnie, a tylko futory stają się ogniskiem wśród stepów roślinności wyniosłego pnia.

Futory są to małe zagrody czasami wśród lasków sady, czasami pasieki, a niekiedy i basztany, w zaciszu uroczysk, padołów, lub jarów leżące, które po ustroniach zdala majaczeją przerywając jednostajność stepów. Co to za widok, kiedy wiosną zakwitną futory! Jak mlekiem oblane bieleją się całe padoły, krajem rozrasta się krzewista czeremcha, najwyżej wystrzela czereśnia, najpotężniej grusza. Białą patokę, miód bodiakowy, składa pszczoła w małych ulach, kasztan porasta rozłożystym liściem i okrywa się złotym kwiatem, a nad futorem wznosi się rankami i wieczorami dym błękitny z małego ogniska, nad którem się stary zadumał pasiecznik. Bywa tu zwykle i woda i przykmiota i zacisz i chłód, czasem bywają przy futorach i toki ze zbożem i stogi z sianem i koszary z bydłem pod gołem niebem. Czasem leży kilka, a nawet kilkanaście futorów w jednym lesie, pomiędzy rozrosłymi jarami i przy każdym są sady, a kiedy sadowina na wiosnę okwitnie, wyglądają mleczne płaty z pomiędzy majowej zieloności lasów i już zdaleka naówczas policzysz futory.

Co zaś do samych stepów Ukrainy, osobliwym jest ich widok! Niby to biała karta w dziejach przyrodzenia, czy wielkie pobojowisko tumanów! Świat otworem leżący wietrzny, ruchomy i nieustalony. Myśl zdaje się tutaj tęsknić za rozleglejszym widokiem, a oko nie zdoła objąć tego co widzi. Ztąd to rzewna tęsknota krainy, która się w ludzie i w dziejach jego i w jego pieśniach rozlała. Nigdzie nie ujrzeć drzewa na właściwym stepie i tylko szumną trawą porasta odłóg wieczysty. Jedyne, wynioślejsze miejsca są liczne mogiły. Odmiany, jakie się tutaj zresztą spostrzegać dają, powstają z wklęsłości i zapadlisk ziemi. Są to albo wądoły, suche kotliny, albo małe jeziora balkami zwane, czasem rzędem obok siebie leżące, czasami z osobna, bez własnej wody i widocznego odchodu. Brzegi tych jeziorek są zwykle trzciną, osoką i tatarskiem zielem porosłe, lub ogromnemi kępami skrzypiu najeżone, a śniegi i deszcze zasilają ich kotliny wodą. Podobne kotliny i zapadliska, ale suchsze i płytsze, nieraz ciągną się na milę wzdłuż stepów i porastają całe lasem pierzastej trzciny. Są to tak zwane oczerety, po których jak po kniejach całemi dniami

polują i błądzą myśliwi. Szelest tych oczeretów wichrem zamąconych wydaje gwar osobliwy, ani z szumem borów, ani z szumem wód nieporównany, ostry, szorstki, przykry, niekiedy przeciągły i rzewny, dziwnie zgodny z widokiem tej ziemi i z ojczyzną mogił.

W miejscach, gdzie się step widoczniej i naglej stacza, lub ku rzekom przybliża, ciągną się tak zwane wodomyje, czyli wyrwy, które są początkiem jarów i w jary częstokroć przechodzą. Tutaj urywa się ziemia i ciągną się głębokie chłodne doły, a nagle ożywia się kraj. Zbocza tych jarów, niekiedy nagie i skaliste, niekiedy ziemią zawiezione, porastają rozkosznemi drzewami różnego rodzaju i zazwyczaj widać tę dęby i brzozy, jawory i brzosty, jesiony, lipy i klony czarne, obok siebie rosnące, dereniami i leszczyną gęsto podszyte. U dna na wycięciu lub wklęsłości takich jarów bije zwykle krynica i sączy się ruczaj niekiedy, a lud nazywa takie porosty mieszanego drzewa czaharami, bajrakami. Drzewa te są bujniejsze i większe niż gdziekolwiek, a ciemna zieloność liści, która o sile roślinności świadczy, trwa jednostajnie świeża do późnej jesieni.

Inny wcale obraz, ale zupełnie odpowiedni szerokiemu oddechowi stepów, daje widok porohów dnieprowych. Na pogodę, spuszczając się z wysokości piaszczystych pagórków ku nim, słychać już szum tych wodospadów na milowej przestrzeni. W miarę większej wody na Dnieprze cichnie i szum w powietrzu, a zamienia się jakby w głuche drżenie i dudnienie ziemi, bo naówczas pokrywa woda łomy stepowego granitu i wali wierzchem spieniona, kręcąc się w wielkich wirach, silnym prądem poniżej porohów. Jeden tylko Nienaszyniec sterczy naówczas z wód.

Brzegi dnieprowe przybierają na tej przestrzeni porohów pozór górzystego kraju. Lite skały dziwacznie poszarpane wznoszą się nagle i potężnie od zwierciadła rzeki, i widok tak olbrzymiej massy wód, walącej się z wysokości porohów pomiędzy łomami granitu, przechodzi już nieco skalę europejskich wymiarów. Tu kładzie wśród spienionych wód ostrożny sokół swe gniazdo; tu lęgną się sowy i pelikany na Nienaszyńcu; ze szczytu tych urwistych skał wyprawia się orzeł o świcie po pewnym noclegu za żerem na stepy. Ostrowy dnieprowe indziej płytkie i piaszczyste zjeżyły się tutaj granitem i porastają dzikiem winem, które się dowolnie po krzewach wspina i rozkosznie ku słońcu po skałach rozkłada. Natura występuje tutaj w wielkich potężnych zarysach, w całej dzikości pierwotnej, ale zarazem i w całej świeżości swych wdzięków pierwotnych.

W. Pol.

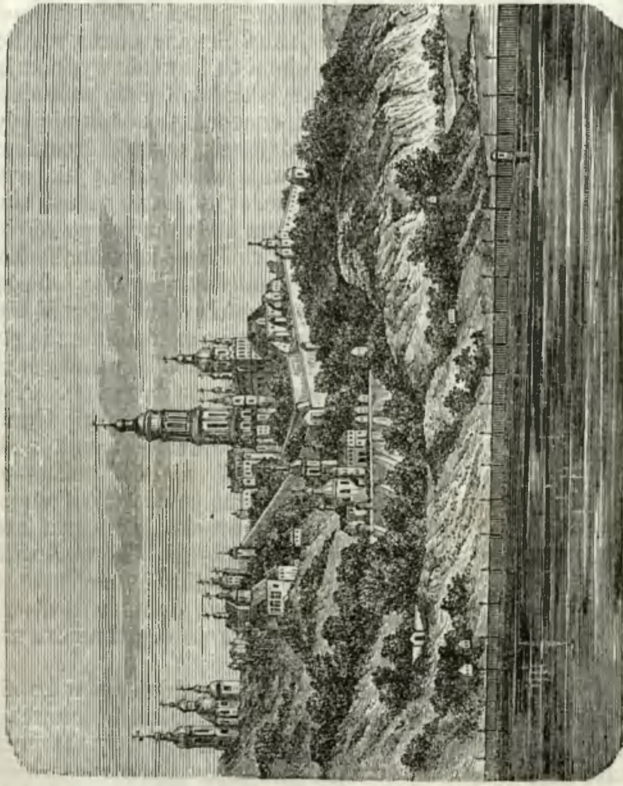
14. Kijów.

Niewiele miast w państwie rossyjskiem ma położenie tak malownicze, jak Kijów. Widok tej „matki ruskich grodów", jak go nazywają dawne kroniki, jest prawdziwie zachwycającym, zwłaszcza z przeciwnej północnej strony Dniepru. Kijów rozrzucony na wysokich i urwistych brzegach prawych tej rzeki, ze swoimi ogrodami i osamotnionymi jakby wiejskimi domami, zajmuje daleko stoki tych wyniosłości aż do samej rzeki. Cerkwie bizantyńskie ze swojemi niezliczonemi cebulowemi złocistemi i zielonemi kopułami i obszerne zamknięte murami klasztory, ogromne mury twierdzy, okazałe gmachy publiczne, piękne i gustowne domy i domki miejskie, a to wszystko rozrzucone na gruncie bardzo nierównym, poprzedzielane ogrodami i powiązane ulicami, które często są drogami, bo idą po urwiskach gór, gdzie niemasz domów, oto Kijów, gród starodawny, który obecnie przestroił się do niepoznania i niepodobnym jest zgoła do tego jakim był przed wiekami, kiedy był stolicą udzielnej Rusi, ani do tego jakim był następnie pod panowaniem Litwy i Polski, ani nawet do tego jakim był, kiedy przeszedłszy pod panowanie Rossyi został zwyczajnem miastem gubernialnem. Tylko dawne cerkwie pozostały pamiątką jego przeszłości i okazują, chociaż niewyraźnie, czem on był niegdyś; zaś te jego pomniki, które powinny były jak się zdaje pozostać niepożytymi, dzieła natury, góry i uroczyska, te zmieniły się i zmieniają ciągle więcej daleko niż budowy wzniesione ręką ludzką. I pierwsze i drugie ludzie odnawiając i odświeżając przetworzyli; ale kiedy dzieła ichże ręki zachowały jeszcze to i owo z czasów dawnych, dzieła natury, góry i wąwozy rozkopywane, plantowane, równane przez ludzi, odmieniły się tak, że kto wziąwszy do ręki opis Kijowa dawnego, naprzykład choć Beauplana z wieku XVI, niemówiąc już o dawniejszych, zechce porównywać go z Kijowem teraźniejszym, ten niedojdzie w tem żadnego ładu i przyzna w końcu, że nietylko jest to całkiem inne miasto, ale nawet całkiem inna miejscowość.

A pomimo to jest to tenże sam Kijów, który tak był sławnym w owych czasach przeszłych niepowrotnie, które były świadkami jego także przeszłej niepowrotnie wielkości; i po bacznych poszukiwaniach dają się w nim odszukać i dawne jego pomniki, jakkolwiek bardzo zmienione i ukryte pod niwelującym wszystko porządkiem tegoczesnym.

Kijów jak wiadomo leży na górach, których stoki na zachód ku Polsce są tak nieznaczne, iż jedzie się do niego ztamtąd ciągle po

równinie. Obecnie po znacznem obniżeniu tych gór, wznoszą się one na 30 sążni nad poziomem Dniepru i przedstawiają się w całej okazałości z drugiej strony rzeki od północo-wschodu. Już w odległości około 25 werst daje się widzieć wyniosła wieża Ławry Peczerskiej, a następnie dokoła niej grupują się wieżyce i kopuły mnogich innych



Ławra Peczerska w Kijowie.

cerkwi. Nie jest ich wprawdzie tyle co w Moskwie, zawsze jednak dość, by okazać, że to jest miasto, w którem panuje wiara prawosławna. Jadąc, zwłaszcza od północy, od Moskwy, napotyka się tysiące pielgrzymów idących do Kijowa, miejsca świętego, gdzie pod jego starożytną Ławrą pieczary kryją zwłoki mnogich świętych cerkwi prawosławnej, do których corocznie nabożni wyznawcy tej cerkwi

znoszą osobiście swoje pokłony, modlitwy i dary. Z tej północnej strony miasto przedstawia się ze wszystkiemi swojemi częściami zdaleka i najwyraźniej. Kiedy w całej rozrzuconej daleko jego massie dają się odróżniać pojedynczo bielejące budowy i ukaże się w dole szeroki Dniepr oblewający te cudnej piękności wzgórza, ukazuje się z lewej strony góra uwieńczona warowniami, w której środku po nad strome wiszary okryte ogrodami widać jakieś białe średniowieczne mury z wieżyczkami, obejmujące jakieś mnogie budowy z licznymi podwórzami i ogrodami; pomiędzy niemi tu i owdzie wyskakują w górę zielone kopułki cerkwi, a nad wszystkie wznosi się pośrodku ogromna cerkiew z licznemi kopułami złoconemi i tuż obok niej wyniosła dzwonnica, z której co kwadrans dają się słyszeć średniowieczne karillony. To Ławra Peczerska ze swoją wieżą, którą jak powiedzieliśmy widać o trzy mile zewsząd. Opodal na prawo wznosi się druga góra ze stromymi spadami, także okryta budowami, z pośród których wznoszą się liczne cerkwie ze swojemi ruskiemi kopułami. To Stary Kijów, część miasta najdawniejsza. Pomiędzy pierwszą i drugą górą, na ich ciągnących się ku sobie pochyłościach widać naprzód bielejące się gmachy otoczone zielonymi ogrodami, a potem znaczną przerwę. Widać że je tam dzieli parów. Tam obecnie ciągnie się najszersza i najpiękniejsza w mieście ulica zwana Kreszczatykiem. Nareszcie po nad samą rzeką w dole na prawo pod górą Starego Kijowa rozciąga się szerokie pobrzeże zabudowane całkiem domami, nad które wznoszą się także liczne kopuły cerkwi zielone usiane złotemi gwiazdkami. To część miasta najobszerniejsza zwana Padoł. Spodem całej tej przestrzeni płynie ogromna rzeka, którą pod lewą górą przecina most wiszący, wspaniała nowoczesna budowa Anglika Wignole, a wzdłuż brzegów zalega rzekę niezliczone mnóstwo statków parowych, żaglowych, łodzi, bark, bajdaków, dubasów, tratw, nagromadzonych szczególniej z prawej strony około części miasta nadbrzeżnej Padołu.

Najdawniejszą wiadomość o Kijowie znajdujemy w kronice Nestora. Podaje on, że Ś. Andrzej Apostoł zwiedzał te miejsca i przepowiedział, że na tych górach, na których on pierwszy zatknął krzyż, powstanie wielkie miasto, że następnie Kijów był stolica okolicznego kraju Polanów i płacił daninę Chazarom i że potem został stolicą nowozałożonego przez Waragów państwa ruskiego.

Kijów, jako polityczna i religijna stolica dawnej Rusi, był miastem wielkiem i kwitnącem, najznaczniejszem w północno-wschodniej Europie, miastem o złotych bramach, prowadził wielki handel z Grecyą i całym Wschodem i słynął z niezmiernych bogactw, przepychu i wytwornego życia. Lecz te czasy jego wielkości przeszły za naj-

ściem Tatarów, które położyło koniec bytowi politycznemu dawnej Rusi. Spustoszony i wyludniony przeszedł on pod panowanie pierwszych pogromców Tatarów książąt litewskich. Niejednokrotnie zburzony i złupiony przez Tatarów, a przytem niebędąc już stolicą polityczną kraju, utracił on całkiem dawne znaczenie i zamożność, pozostał miastem zwyczajnem o wielkich wspomnieniach, ale przedstawiającém same tylko zgliszcza i ruiny, w których pozostała tylko zwierzchność kraju religijna, metropolita z duchowieństwem, przy niewielu cerkwiach ocalałych od spustoszenia.

W naszych czasach Kijów podniósł się już nie jako stolica, ale jako jedno z najznaczniejszych miast w Cesarstwie za panowania Mikołaja I. Ten monarcha zwrócił wielką uwagę na ten starożytny gród pełen wielkich pamiątek, a którego położenie było i w obecnych czasach ważnem. W r. 1834 założonym tu został uniwersytet, któremu oddano bogate zasoby dawnego uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego. Około tegoż czasu część miasta Peczerską zajmującą górę południową zamieniono na twierdzę pierwszorzędną. Odtąd i głównie skutkiem tego, cały Kijów zaczął się burzyć, przekształcać i budować na nowo. Powstały w nim ogromne i pyszne gmachy rządowe i mnóstwo domów wielkich, pięknych i okazałych. Miasto zmieniło się najzupełniej nie do poznania i stało się jednem z najpiękniejszych w Cesarstwie.

Najciekawszym w Kijowie pomnikiem jest monaster zwany Ławrą, pod którym znajdują się pieczary. Są to rozległe katakumby ciągnące się nizkimi i wązkimi korytarzami w twardych skałach zbitego piaskowca pod całą górą, która od nich otrzymała nazwę Peczerskiej. Pierwotnie były one zapewne dziełem nurtujących wszystkie tutejsze góry i dotychczas wód, później rozszerzyła je ręka ludzka. Po zaprowadzeniu wiary chrześciańskiej na Rusi te pieczary zostały zamieszkane przez świątobliwych zakonników przybyłych z Grecyi z monasteru na górze Atos. Pokopali oni, rozszerzyli i urządzili te podziemia, by wieść w nich żywot pustelniczy. Wielki książe Jarosław syn i następca Ś. Włodzimierza założył około r. 1055 nad temi pieczarami cerkiew pod tytułem Wniebowzięcia N. Panny Maryi, a obok niej monaster, których budowa została dokonaną przez jego syna i następcę Izasława. Ten ostatni darował monasterowi całą górę, pod którą były jego pustelnie. Po zdobyciu Kijowa przez Tatarów Ławra Peczerska była zburzoną, jak i całe miasto i zakonnicy przez lat trzydzieści przebywali w swoich pieczarach i okolicznych lasach. Pod panowaniem Wielkich książąt litewskich i królów polskich odbudowano Ławrę z jej świątynią główną i kilkoma mniejszemi. Obecnie zamyka ona w sobie oprócz cerkwi głównej 15 mniej-

szych cerkwi i kaplic, z których 6 znajduje się w pieczarach. Klasztor, jak wszystkie klasztory prawosławne, przedstawia objęte i zakryte dokoła murem zbiorowisko domków i zabudowań długich, bezpiętrowych, rozchodzących się w różne strony, przedzielonych podwórkami i niekiedy ogrodami i ogródkami. Główna cerkiew, jak wszystkie dawne cerkwie prawosławne, ciasna i ciemna, ma wiele podobieństwa do cerkwi pod tymże tytułem w Moskwie. Tu spoczywają zwłoki Ś. Włodzimierza. Głowa jego w złotej skrzyni umieszczoną jest po prawej stronie wielkiego ołtarza. Niektóre obrazy tej świątyni, jak naprzykład Zbawiciela, są wybornego pęzla, zapewne greckiego. Obraz Najświętszej Panny w wielkim ołtarzu, przyniesiony z Grecyi około r. 1070, wysadzony jest drogimi kamieniami wielkiej wartości. Skarbiec kościelny, jak powszechnie wiadomo, jest bardzo bogatym. Biblioteka klasztorna posiada wiele starożytnych książek i rękopismów po większej części treści religijnej.

W pieczarach monasteru znajduje się około 130 świętych, których ciała są dotąd nienaruszone; pomiędzy niemi zwłoki najpierwszych pustelników i założycieli Ławry ŚŚ. Antoniego i Teodozego, oraz najdawniejszego kronikarza ruskiego Nestora. W gronie tych świętych spoczywa i nieświęty Ilja Muromiec, znakomity rycerz i bajeczny bohater starodawnych ruskich pieśni i podań z czasów Wielkiego i Świętego Włodzimierza. Ciała te zawite jak mumje, ale z obliczem w większej części odkrytem, leżą w trumnach odkrytych, w niszach czyli framugach wykutych w skałach obok korytarzy. Każda z tych trumien obita jest materyą jedwabną, pokryta suknem i nad każdym świętym wisi tablica z jego imieniem; tamże wiszą obrazy tych świętych, okropnego pęzla. W pieczarze Ś. Antoniego znajduje się jego niegdyś cela, mała i ciemna. Dotąd przechowują w niej krucyfiks, przed którym ten święty się modlił. Dawniej przed celą jego była studnia; dziś zasypanej gruzem nie można rozpoznać i śladu.

Te pieczary odwiedzane są prawie codziennie przez liczne tłumy przybywających zewsząd pielgrzymów. Udają się oni tam z zapalonemi świecami pod przewodnictwem mnichów Ławry mających obowiązek oprowadzać ich tam i wszystko pokazywać i objaśniać.

Pomiędzy twierdzą Peczerską a dalszem miastem leży wielki ogród publiczny na tarasach schodzących na północ po nad wyniosłym i urwistym brzegiem Dniepru. Położenie tego ogrodu jest przepysznem i widok z niego, a mianowicie z jednej jego altany, na szeroki Dniepr, Stare miasto, Padół, i piękne okolice Kijowa, jest niezrównanym.

W Starym Kijowie leżącym na górze północnej, przy tegoczesnem nowem zabudowaniu znacznie splantowanej i wyrównanej, za-

sługują na uwagę cerkiew katedralna Ś. Zofii i monaster Ś. Michała; pierwsza zbudowana przez Wielkiego księcia Jarosława I, według podania na wzór Ś. Zofii w Konstantynopolu, ale w istocie niemająca do niej żadnego podobieństwa. Świątynia ta jak i cerkiew Ławry ciasna jest i ciemna; znajduje się w niej grób Jarosława I z białego marmuru ozdobiony rozmaitemi płaskorzeźbami wyobrażającemi drzewa, ptaki, zwierzęta i winogrona. Zasługują tamże na uwagę dawne freski odkryte w r. 1843 na ścianach przedtem zamazanych wapnem i szczątki dawnej bizantyńskiej mozaiki, bardzo uszkodzone, zwłaszcza przez lubowników starożytności obłamujących je z godnem nagany pobłażaniem miejscowego duchowieństwa.

Niedaleko od cerkwi Ś. Zofii znajduią się szczątki Złotej Bramy zbudowanej przez Jarosława I, w którą Bolesław Chrobry wjeżdżając uderzył swoim szczerbcem. Szanowny ten zabytek odkryty przy rozkopywaniu dawnego wału w r. 1833 obecnie składa się z dwóch obdartych i bezkształtnych kawałów muru podpartych szkarpami i związanych dwoma przeciągniętemi na krzyż żelaznemi sztabami. Stoją one na znacznem podwyższeniu otoczonem sztachetami, które utworzyło się przez plantowanie góry. Z tych szczątków ani dorozumieć się można co tam było kiedyś. Objaśnia to dopiero zawieszona na nich tablica z napisem.

Cerkiew Ś. Andrzeja na stromym cyplu góry Staro-Kijowskiej nad urwiskiem wiszącym nad Padołem wspominaną jest z uniesieniem przez wszystkich opisujących Kijów. Z galeryi otaczającej tę cerkiew jest pyszny widok, takiż sam jak i z altany w ogrodzie publicznym, o którym mówiliśmy. Sama cerkiew mała, ale pięknej lekkiej i powietrznej budowy, wzniesiona w przeszłym wieku, zaleca się szczególniej posadzką żelazną, która gładka i lśniąca się, a jeszcze lepiej wygładzona stopami przechodniów, pamiętną dla nich bywa w zimowe mrozy. Wtedy ustać na niej dla zimna trudno, a chodzić jeszcze trudniej, bo ślizga się i pada jak na lodzie.

Dolne miasto zwane Padołem zawiera w sobie między innemi monaster zwany Bratskim z akademiją duchowną założoną przez metropolitę Piotra Mohyłę za panowania w Polsce Wazów. Obok tego monasteru stoi giełda, w której corocznie w Styczniu odbywają się sławne kijowskie kontrakty. Obecnie, kiedy podupadli wszyscy dawniejsi właściciele ziemscy i pomienione ich zjazdy utraciły wiele ze swego dawnego znaczenia.

Większa część Kijowa, mianowicie rozłożona na górach, w czasach ostatnich została całkiem zniesioną i nanowo zabudowaną. Tylko cerkwie pozostały nietknięte. Przytem miasto rozszerzyło się znacznie ku północo-zachodowi. Padoł oddzielony zupełnie swojem

położeniem pozostał w dawnym stanie. Ta część miasta była zawsze największą, najbardziej ożywioną przez ruch handlowy i najlepiej zabudowaną. St. Str.

15. Wieś w gubernji Kijowskiej.

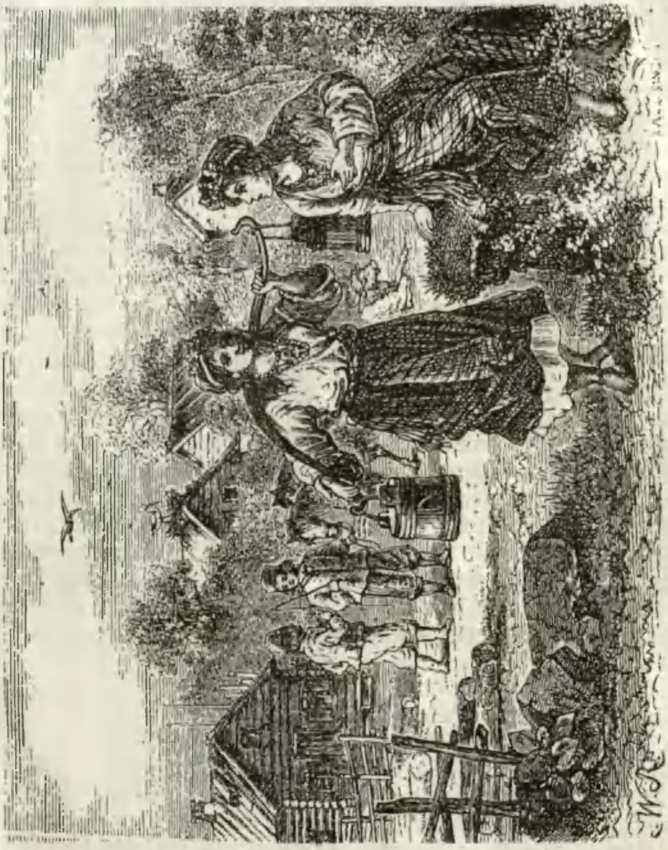
Wsie w gubernii Kijowskiej zwykle leżą w jarach, tak, iż częstokroć podróżny stanąwszy u kołowrotu, według miejscowego nazwiska *caryny*, dopiero postrzega osadę.

W jarach jak okna błyszczą stawy poucinane groblami; po wądołach szeregiem, jak kaczki na brzegu sitowia, siedzą chaty, a z pośrodka ich widnieje cerkiew, powtarzająca detalicznie tysiące innych, jakie obaczysz w każdej wiosce: też trzy wieże, taż ciężka budowa drewniana, często mchem pokryta, często podnowiona i powleczona kilkoma kolorami. Lepsze lub bogatsze nie odznaczają się odmienną architekturą, ale dość dziwacznemi wycinaniami poddaszów, jakimś misternie pomyślanym ganeczkiem, jakąś rosochatą dzwonnicą i wizerunkami świętych na drzwiach i frontonach gankowych. Pomimo to wszystko styl ten, żeby go oczyścić od nieumiejętnie nalepionych dodatków, nie jest bez wdzięku; ale wzory co tu zaniesione zostały ze starożytnego Bizancium, już dawno zgubiły typ pierwotny, a powtarzane przez wiejskich cieśli, nie czerpiąc stylu u źródła, powtarzają tylko samych siebie, co już weszło we zwyczaj i uświęca się tradycyą.

Najpiękniejszą bezwątpienia ozdobą wsi małoruskich są sady. Mnóstwo ich znajduje się tak po wsiach jak i opodal, zwłaszcza w lasach, a w nich mieszkań wiejskich zwanych futorami. Małorossjanie większą połowę życia spędzają w takich futorach. Wieśniacy niegdyś zakładali je i pielęgnowali jak własność; lecz od czasu wywłaszczenia ich zwiększyły się osady, a sady po lasach nikną, w większej części pozbawione dozoru.

Chłop małorusski nie rządzi się żadnem uczuciem piękności w wyborze miejscowości dla chaty, ani przy budowaniu jej, ani przy założeniu ogrodu; pomimo to wszakże pomieszkanie jego jest piękne. Zamożny wieśniak buduje chatę takim sposobem: drzwi wchodowe są zawsze w środku podłużnej ściany; na wstępie sień, a na prawo świetlica, izba duża (rzadko dwie), której kąt lewy zajmuje piec taflowany, w prawym umieszczona szafka z półkami, na których symetrycznie poustawiane widnieją misy, łyżki, talerze. Węgieł między oknami przeciwko drzwi jest miejscem honorowem i zowie się *pokutje*. Sciany tego rogu izby zawieszone są obrazami świętych, malo-

wanymi olejno na drzewie i płótnie; dokoła ścian ławy, a przed niemi stół nakryty białym obrusem. Na przeciwległej połowie domu izba mieszkalna podobnej wielkości i w tymże urządzona sposobie, tylko



Wieśniacy gubernii kijowskiej.

zamiast taflowanego pieca prosty piekarski; lecz mało jest chat o dwu mieszkalnych izbach, najczęściej o jednej. Zewnątrz dach ze słomy ozdobiony częstokroć krzyżem ułożonym na blacie frontowej.

ścianę od ulicy (przyczołek) nakrywają poddaszem, ganków nie robią, a przed oknami ścianę obwodzą płotkiem. Na dziedzińcu stawią śpichlerzyk i tuż nieopodal zagrody dla bydła, a to wszystko otaczają ogrody fruktowe i warzywne; te ostatnie zwłaszcza pokryte ogromnymi harbuzami i lasem słoneczników. U dołu na tle wierzb rysuje się żóraw od studni i taśma ścieżki wije się ku niej, a całe to obejście opasuje mnóstwo płotów, częstokołów i przełazów. Przełaz, to pomysł, którego palma pierwszeństwa słusznie należy Ukrainie. W żadnym kraju nie natworzono takiego ich mnóstwa. U wielu chat widzisz je przed samemi drzwiami tak, że przez nie iść trzeba. Nadto stawią je przy wejściu do śpichlerza, do toku, do ogrodu, do sąsiada, do studni i koniecznie przy wrotach od ulicy. Na tych to ścieżkach tajemniczych, pozakrywanych słonecznikami, kukurydzą, burzanami i bzami, częściej jak na ulicy spotykają się kochankowie i migają pąsowe *kosniki* dziewczyny ze śpiewem idącej po wodę.

Dla uzupełnienia tego obrazku spojrzmy teraz na wioskę małoruską w dzień świąteczny. Chaty ubielone, a dla tem większej ozdoby, okna obmalowane dokoła czerwoną farbą. Dziewczęta siedzą na pryżbach lub stoją przy przełazie od ulicy wystrojone od święta w białych wyszywanych koszulach, gorąco pąsowych płachtach, ze wstążkami i kwiatami na głowie, łuszczą słonecznikowe nasiona, rozmawiają z parobkami, chychoczą lub zawodzą piosnki; dziatwa biega po ulicy lub przewraca się w piasku, gdy tymczasem poważni gospodarze, w swych czapkach, z laskami w ręku, obsiadają pryźby domostw, gwarząc o urodzajach, przygodach jarmarkowych i tym podobnych rzeczach. Ku wieczorowi ruch zwiększa się na ulicach, przebiegają tłumnie parobcy, wesoło dziewczęta, a wszystko śpieszy ku karczmie, zkąd już doleciały echa skocznego kozaka i hucznych tropaków i jak na lep pociągnęły młodzież. T. Padalica.

16. Wołyńska i Podolska gubernije.

Typem odrębnym w naturze są krainy stepowe. Należą do nich nietylko stepy właściwe, które są już najwyższym wyrazem kontynentalnego klimatu, ale i wszystkie krainy zajęte jeszcze panowaniem wschodnich wiatrów w ciągu roku wiejących, które niby klinem wchodzą w krainy oceanowego klimatu i zajmują całą przestrzeń od stepów kaukazkich, aż do podnóża Karpat.

Charakterystyczną cechą tych krain zostających pod wpływem stepowego klimatu jest głównie ubytek roczny wilgoci w powietrzu.

W miarę tego, jak się od owej linii posuniemy na wschód i ku południowi, od owej linii, na której się, jak na wielkiem pograniczu klimatycznem, styka klimat morski z kontynentalnym, znajdziemy ubytek wilgoci tak znaczny, że na przestrzeni od ujścia Wiaru do Sanu aż po Dniepr zmienia się w pięciu dzielnicach roślinność, z których każdą coraz więcej cechuje roślinność stepowa; a kiedy roślinność u podnóża Karpat należy jeszcze do roślinności środkowej Europy, zapowiada już brzeg dnieprowy częścią na średnim i na dolnym Dnieprze roślinność kaukazką.

Pośrodku między temi granicami panuje odrębna dzielnica roślinności, którą Andrzejowski podolską nazwał. Podając pierwszy o niej dokładną wiadomość i oznaczając po części jej granice i przechodnie ogniwa, wyświecił on poraz pierwszy ten fakt, że pomiędzy roślinnością środkowej Europy, a kaukazką, pośrodku, odrębnem jest zjawiskiem roślinność Podola i owszem że jest najwyższym wyrazem krain stepowych zajętych w przeciągu roku panowaniem wschodnich wiatrów.

Prócz ubytku wilgoci jest znamieniem krain stepowych zimna i częstokroć późna wiosna, spiekłe i suche lato, długa pogodna jesień, twarda, a ztąd śnieżna i zawiejna zima; urodzajność wielka ziemi w latach dogodnych, zupełny nieurodzaj i niedobór w latach pochybnych, to jest w latach posuchy.

Jak w miarę posunięcia się od zachodu na wschód ubywa wilgoci w powietrzu, nikną także źródła i lasy, tak, iż w końcu natrafiamy tylko na bezleśny i bezwodny step, który nareszcie przechodzi w stepy słone.

Andrzejowski śledząc roślinność Podola na obszarze Dniestru i Bohu oznaczył cztery dzielnice charakterystyczne, a mianowicie: od okolic Lwowa po Zbrucz pierwszą, od Zbrucza po rzekę Morachwę drugą, od Morachwy po Siniuchę czyli Siną wodę trzecią, a od Sinej wody po Dniepr czwartą, stepową, która stanowi owe przejście do roślinności kaukazkiej wyrażające się bezlesiem, roślinami morskiemi i roślinami słonych jezior.

Za granicę tedy flory podolskiej na południu położył Andrzejowski w ten sposób Dniestr, na wschodzie Dniepr, ale nieodznaczył krain stepowych ani od północy ani od zachodu; a właśnie na tej linii styka się klimat morski z kontynentalnym klimatem krain stepowych. Krótko tedy powiemy, iż linia ta wychodzi od Czarnej Hory górującej na wschodniem skrzydle północnych stoków Karpat, przypada później na dolinę Dniestru u podnóża gór około Żurawna, przechodzi ztąd na obszar i ujście Sanowego Wiaru, a ztąd dalej w Lubelskie zajmując całą pagórkowatą krainę Lubelskiego i Hrubieszow-

skiego, aż po Wieprz; wykręca się następnie ku Wołyńskiej gubernii, ciągnie się krańcem wołyńskiego i kijowskiego Polesia i przypiera do Dniepru poniżej wasilkowskiego powiatu. Południową granicę borów szpilkowych od czarnych czyli listnych lasów można na tej przestrzeni wołyńskiego i kijowskiego Polesia uważać za to pogranicze: zapowiada to pogranicze borów linija ostatnich futorów, która się równolegle prawie wytyczyć daje od Dniepru aż w Lubelską gubernię do linii hut, rud i majdanów należących już do krainy borów.

W ostępie tak ograniczonego obszaru pomiędzy Dniestrem, Wiarem, Sanem, Wieprzem, pomiędzy wołyńskiem i kijowskiem Polesiem a Dnieprem, są prawie wszystkie pomniejsze rzeki na stawy wzięte.

Gospodarstwo rolne starało się tu wynagrodzić brak wilgoci w powietrzu zwierciadłami stawów i wód powstrzymanych groblami.

Wszystkie rzeki płynące z tego obszaru krain stepowych ku Prypeci i Dnieprowi, do Bohu i Dniestru, płyną na rzędy stawów, które są tutaj nietylko warunkiem urodzajności krajowej, ale nawet warunkiem osiedlenia pasterstwa i rolnictwa. Sztukę sypania grobel i tworzenia sztucznych wodozbiorów wypada tu odnieść do tak odległej starożytności, że historya z niej sprawy nie zdaje. Stawy te są charakterystyczną cechą krainy, dają odrębną fizyognomiję każdej prawie wsi i należą do największych wodozbiorów sztucznych w Europie. Stawnem Opolem nazywa lud ten cały obszar należący do krain stepowych, a Zborną Wierzchowiną nazywa okolice źródłowiska, zkąd jedne wody płyną na południe ku Dnieprowi i Dniestrowi, drugie na północ ku Prypeci, trzecie ku wschodowi i na wschód południowy ku Dnieprowi.

Cały ten obszar jest wysoczyzną, która głównie się pochyla ku północy na kotlinę Pińską, ku południowi na dolinę Bohu i Dniestru; ztąd też mają tu i okolice świata odrębne nazwy.

„Na Opaku“ leży Wołyńska gubernija pochylona ku północy, tudzież wołyńskie i kijowskie Polesie; „w Słonecznym“ leży Podolska gubernija pochylona ku południowi; „w Trawnym“ leży w końcu Wierzchowina Zborna, na której się roztaczają wody ku różnym okolicom świata, bo do właściwości tych krain należy, że najwyższe stanowiska jego nie są lasami, ale trawnemi łąkami pokryte, z których wody początek swój biorą. W zwierciadła tedy wód wspartych i powstrzymanych groblami idą po sobie wschodami spuszczając się do głębi jarow, ktoremi rzeki płyną. Ten charakter głębokich jarów jest tedy znamieniem kraju i cała malowniczość widoków przypada na jary pomniejsze, a wyłomy powiększych rzek. Z głębi jarów wydaje się kraj górzystym, skalistym niekiedy, ożywiony źródłami,

zwierciadłami stawów i wód bieżących, okryty sadami po zboczach i ściankach dolin okrytych gdzieniegdzie lasami i krzewami; na wysokości zaś wysoczyzny wydaje się równym kraj, lub lekką falistą powierzchnią, bezleśną zupełnie, która tem więcej jest stepowej natury, czem dalej od zachodniego krańca Wołyńskiej gubernii posuniemy się na wschód i południe.

Do rozmaitości, która znamionuje roślinność krain stepowych należy w głębi jarów roślinność wodna; na wysokości otwartych pól i stepów roślinność futorów, które są tem na stepie trawnym, czem oazy na pustyni, to jest ogniskami skupionej roślinności wyniosłego pnia znamionującej już w całej pełni naturę krain stepowych.

Po mili i więcej można nieraz czółnem lub saniami jechać wszerz, wzdłuż tych ogromnych stawów przerosłych oczeretami; a są stawy, które dwu i trzymilową przestrzeń zajmują od wierzchowiny do grobli. Osobny to tedy świat, co się tą roślinnością wodną okrył i na w pół z wód wychyla. Wieków potrzeba było na to, aby się z korzeni roślin wodnych utworzyły wyspy i ostrowy, osobne prądy rzek, wśród wód stojących, które nie porastają trzciną, ale się lasem niby tylko przewijają kręto: dzieląc wielkie oczerety na międzyrzecza, i kępy na las nie przebyty, lub odlewając wielkie zatoki odkryte, które halawami nazywają. Do najosobliwszych zjawisk i widoków należą tak zwane spławy na tych stawach. Są to pływające wyspy i ostrowy, które się już lasem rozłosłych dębów i olch pokryły, niekiedy tak wielkie, że na nich się stada bydła i koni pasą. Widziałem, że na pomniejszych spławach przewożono jak na tratwach ludzi, bydło z jednego brzegu stawu na drugi, popychając się kulami po dnie stawu; największe też ostrowy, a nawet takie co drzewami porosłe, popędza wiatr po zwierciadle wód i ztąd wróżą na pogodę lub na słotę kiedy pływająca wyspa od tego lub owego brzegu odbiła, lub przybiła do grobli. Odmienia to całą fizyognomiję stawów i okolic i takie pływające wyspy są to rzeczy nigdzie indziej niewidziane.

Siadłszy w łódkę można jak w wielkiej puszczy jeździć i błądzić po całych dniach w tym lesie oczeretów, w których swobodnie żyją i gnieżdzą się nieprzeliczone stada wodnego, błotnego i trzcinnego ptactwa. Na rzędy też tych stawów przypadają wielkie i małe ciągi ptactwa, a zachodni kraniec Podolskiej i Wołyńskiej gubernii jest wielkim pogranicznym szlakiem różnych dzielnic wędrownego ptactwa, które stadami w przelocie spuszcza się na zwierciadła wód i w każdej prawie porze roku na tych stawach żer i bezpieczną znajduje gospodę. Pożary oczeretow na głuchej jesieni lub zimą należą do osobliwszych zjawisk tych krain. W lecie-oczeretów, gdy je opuści ptactwo snują się wilki i lisy, podchodząc nieraz ku wsiom i zagrodom

gdy się stawy lodem pokryją i do osobnego rodzaju łowów należą polowania po trzcinach.

Formacya kred i wapieni otwiera tu mnogie źródła po ścianach jarów i u dna dolin. Rzeki, mianowicie niektóre płynące skalistem korytem, mają spadek znaczny, obfitość wód i pozór na w pół gorskich rzek, które z szumem i wodospadami uchodząc ożywiają kraj, lub spadając z wysokości grobel wielkie odchodziska tworzą żyznemi łąkami pokryte.

Cały ten obszar jest pasznisty i orny, lasami ocieniony na opaku, w głębi jarów i na linii podolskiego grzbietu, który ztąd Andrzejowski nazwał Polesiem podolskiem.

Zresztą charakteryzują niewielkie dąbrowy i czarnoleskie gaje zrzadka po tym obszarze rozrzucone fizyognomię kraju.

Nic bardziej zajmującego, jak wielka warcabnica uprawnych ról i łanów w krainach stepowych, mianowicie zaś w czasie, kiedy każdy rodzaj zboża inny przybiera koloryt, a łany hreczki kwitnącej wydają się zdaleka do wielkich jezior lub stawów podobne, szmaragdowa zieloność ozimych posiewów ćmi i mieni się po czarnych rolach tak bujno, że kiedy stado gawronów na zaruniony łan spada, ginie rozbita chmura ptactwa w tym runie jakby cudem do razu i zaledwo pojąć można jak i na czem się ta chmura rozbiła. Rosy też obfite, które nawet pod najsuchszą porę ożywiają roślinność, dodają nie mało uroku tej ziemi. Już słońce nieraz podbiegło wysoko, a tu stoją jeszcze całe kielichy kwiatów i zwoje bużanów napełnione wodą tak, że się z nich nietylko ptaszek, nietylko zwierzątko, ale i człowiek wody napić może; na roślinach też szerokiego liścia i na wszystkich tykwowych rozłożystego liścia skrapla się rosa, jak gdyby w talerzach.

W. Pol.

17. Stawy w południowo-zachodnich gubernijach.

Najcharakterystyczniejszą cechą krainy stepowej, która się rozciąga od podnóża Karpatów aż do Dniepru i którą lud nazywa Opolem, jest, że wszystkie tak wielkie jak mniejsze rzeki są tu groblami powstrzymane i odlewają stawy.

Sztuka powstrzymywania wód groblami jest tu dawniej znana, niż w całej Europie.

Żaden z geografów ani krajowych, ani zagranicznych nie zwrócił uwagi na właściwe znaczenie tych stawów, które są wybitną cechą całego Opola zostającego pod wpływem stepowego klimatu

i gdzie sztuczne nawodnienie kraju, począwszy od obszaru dniestrowej Wereszycy aż po Dniepr, jest praktykowane na tak wielkie rozmiary, że z faktem podobnego znaczenia pod względem gospodarstwa wodnego nie spotykamy się ani w Europie, ani w innej części świata. Wszystkie bowiem rzeki i rzeczki stawnego Opola są tu groblami powstrzymane i odlewają tak wielkie zbiorniki sztuczne, iż nigdzie nie spotkamy się więcej ze stawami tych rozmiarów.

Mimowolnie tedy powstaje pytanie: co się stało powodem do podjęcia tak wielkich i olbrzymich prac w czasach już odległej starożytności i co to prowadziło władców i mieszkańców ziemi do przeprowadzania tych samych prac jednostajnie i równo, w pewnym systemacie na obszarze kilku tysięcy mil kwadratowych.

Odpowiadamy: znajomość kraju dokładna i rozum gospodarski był tu przewodnikiem. Te wielkie zwierciadła wód nagradzały brak wilgoci rocznej potrzebnej dla roślin, dla bydła i człowieka, były warunkiem osiedlenia pasterstwa i rolnictwa i dawały ziemi tę wielką urodzajność, którą te krainy słynęły już w starożytności.

Jako też ginie urodzajność ziemi w całych okolicach stawnego Opola tam, gdzie niebacznie pospuszczano i osuszono stawy, lub gdzie takowe całkowicie zarosły lasem oczeretów i gdzie tem samem niewytwarza się ze zwierciadła stawów w czasie suchej i spiekłej pory roku potrzebna dla ziemi wilgoć.

Stawy te przekształciły i poziom i naturę kraju. Przypadają one na jary, na wklęsłą rzeźbę kraju i za biegiem wody odlewa się tu staw po stawie, a wysokiemi groblami powstrzymane wody podniosły dno jarów, a to tak dalece, że w tylu piętrach czyli wschodach opada jar, ile jest stawów na rzece. Wszystkie wsie całego Opola leżą w głębi tych jarów; na brzegach tych wielkich bardzo stawów widzimy czasem kilka wsi rozpołożonych na pochyłości jarów i powyższych zabrzeżach rzeki. Każdy większy majątek ma już stawy własne, a czasem stawów kilka; stawy podwyższają niekiedy o połowę, a nawet więcej, cenę majątku i ocenia się je podług tego, czy leżą na obszarze wierzchowiny stawnej, czy nad samym stawem, czy poniżej grobli na odchodzisku rzeki; każde bowiem położenie daje inne korzyści.

Wszystkie zaś te korzyści powiększają się, jeżeli wierzchowina, staw i odchodzisko jest wyłączną własnością wioski lub gromady. Na wierzchowinie leżą zazwyczaj trawne rydy i łąki, których brak jest wielki na stawnym Opolu; sam staw daje siłę roboczą przez sztuczny spadek wód, daje bogactwo ryb, sposobność do wychowku wielkich stad gęsi, któremi się całe drogi bieleją gdy wieczorem drób powraca do domu, a w końcu dają stawy lasy oczeretów używanych do poszycia budynków, na zahaty i na opał, zastępując często brak lasów

w opolach prawdziwych. Wsie nakoniec na odchodzisku rzeki poniżej grobli leżące mają błonia paszniste, na których się pasą stada gęsi, stada gromadzkiego statku, na których wierzbniki i porosty łoz dają cień dla bydła, chrust do grodzenia budynków i płotów, materyał do półkoszków, koszów i sprzętów gospodarskich, tudzież łyko potrzebne do szycia słomianek i słomianych ulów.

Na odchodzisku rzeki moczą się konopie, a tam gdzie jar jest szerszy i rozłożysty, rozścielają się poniżej sadyb sady, ogrody i lewady i zazwyczaj leżą tu gromadzkie kapustniska okopane, bo odchodziska mają dosyć wilgoci, a ztąd trawne i żyzne błonia i najpiękniejsze ogrody.

Krynice też źródłowych wód, które zazwyczaj na odchodzisku biją, są wielkiem dobrodziejstwem w kraju suszy, kiedy stawy dostarczają wody do pojenia stad największych, których napojenie niełatwem byłoby, gdyby wody ze studzien czerpać i w koryta rozlewać potrzeba; są bowiem całe okolice w stawnem Opolu, gdzie za wodopój płacą od sztuki i gdzie w czasie ciepłej i spiekłej pory roku na całe mile częstokroć pędzą stada do pojenia.

Z umysłu dotykamy tych szczegółów, aby okazać ważność stawów dla tych krain i czem jest dla nich dobrodziejstwo wody, którejby tu nie było, gdyby potoki i rzeki nie były powstrzymane groblami i gdyby zapas wód łapanych nie był niejako spiżarnią tych wód na cały rok. Jakoż spuszczając się z wyniosłego brzegowiska do doliny, lub jaru rzeki, cała roślinność jest zupełnie inną i zmienia się nagle widok kraju.

Przez cały czas ciepłej i spiekłej pory roku i od pogodnej jesieni aż do szarugi jesiennej grają mgły nad stawami wierzchowiny aż do odchodziska i dają odświeżanie powietrzu, a wilgoć potrzebną ziemi, roślinom, bydłu i ludziom; tu tylko słychać szum wody i turkot młynów, a oryginalna woń wodnych roślin pociąga od stawu ku grobli i wiosce. Jakiż to rozkoszny widok, kiedy ścianki i zbocze jarów okryte lasem dereni i sadowiny na wiosnę zakwitną! z jakąż to siłą wystrzela las oczeretów! jakże pięknie zieleni się po odchodziskach błonie! Latem opada zwierciadło stawów i osychają częstokroć łotoki i upusty, pomniejsze stawy wysychają niekiedy zupełnie tak, że tylko głębsze kołbanie zalane wodą stają się podobne do stepowych jeziorek.

Namuł stawowy wysycha i pęka i strach bydło gnać do wody, bo zapada w szczeliny, tak bardzo popękało stawisko od suszy letniej; febry i choroby zaczynają panować, bo w namule wyschłym pogniły ryby, małże, raki, ślimaki wodne i wodne owady i wszystko czeka

mglistej jesieni i pierwszych słot jesiennych, które znowu zwierciadło stawów podnoszą.

Stawy te nietylko przekształciły naturę jarów na całem Opolu, ale w powszechnem gospodarstwie natury stworzyły świat nowy. Bo niech tu wolno będzie zrobić jedno zapytanie: Czem było Opole, zanim rolniczy rozum usypał te olbrzymie groble i powstrzymał niemi rzeki?

Odpowiadamy.

Życie roślinne i osiedlenie ograniczało się wówczas skąpo tylko na rąbek rzek i to tylko na rąbek rzek powiększych i nie było tu ani rolnictwa, ani osad, ani wodnych roślin, ani sadów, ani łąk, ani błonia, ani ryb, ni wodnego, błotnego i trzcinnego ptactwa, które dziś w nieprzejrzanych stadach roi się po wierzchowinach, po halawach i oczeretach stawów; nie było młynów, foluszów i stęp, które są świadectwem najstarożytniejszej cywilizacyi rolniczej.

Gdybyśmy zebrali wszystkie nasypy grobel stawnego Opola, to wał z nich usypany byłby znacznie większy i dłuższy od linii kolei żelaznych, które wiek nasz przeprowadził dziś po tym obszarze i które kiedykolwiek przeprowadzi.

W. Pol.

18. Włościanie w Wołyńskiej gubernii.

Zamożność i obfitość wszelkich życia potrzeb w tej bogatej gubernii nadają też właściwy i charakterystyczny typ jego mieszkańcom, samej nawet okolicy; to też fizyognomiję wsi i osad tutejszych łatwo od innych wyróżnić można. Wjeżdżającego do wsi odrazu już uderzy i mile oko zachwyci długi szereg białością połyskujących chat z murowanymi kominami rzędem po obu stronach drogi uszykowanych, tuż obok nich stodoły, śpichrze, i inne zabudowania gospodarskie, niewytworne wprawdzie, z chrustu najczęściej klecone, lecz od wiosny do wiosny zbożem napełnione, a w nich dobytku, koni, krów i owiec mnóstwo. Wieś cała w sadach wiśniowych, mnóstwo wierzb wszędzie, przy wjeździe stara cerkiewka o trzech kopułach z pomiędzy lip odwiecznych przezierająca, po polach rozrzucone grusze i jabłonie, niezliczona ilość krzyżów przy drogach, dalej nieco wieniec gajów brzozowych i dębowych dokoła, szumiące gwarnie młyny wodne, gdzieniegdzie wiatrak szeroko skrzydłami wymachujący, lud dorodny, czysto i schludnie odziany, snujący się tu i owdzie; otóż

i krajobraz każdej prawie okolicy na Wołyniu. Pełno tu życia i świeżości na ziemi i w powietrzu; wszędzie dostatek, spokój i zadowolenie.

Czystość i ochędóstwo szczególniej zalecają chłopa wołyńskiego; w domu i w odzieniu ściśle się to tutaj przestrzega. Niema tu zwyczaju trzymania bydląt w izbach; ztąd chata wołyńska kilka razy do roku wewnątrz i zewnątrz wybielona, z wyprowadzonym u góry kominem, połyskuje czystością i miły dla oka przedstawia widok. Chaty te składają się zwykle z sieni, w której drzwi na lewo prowadzą do komory nieopalanej na skład domowych sprzętów przeznaczonej; na prawo wchód do izby, w której ściany zawieszone obrazami świętych. Tu stoi piec szeroki, nizki, z przypieckiem, który służy do pieczenia chleba i do ogrzewania zimą, stół długi, na którym jadają i ławki do koła, a wszystko czyste i do połysku wymyte przed każdą niedzielą i świętem. W niektórych okolicach bogatsi gospodarze mają jeszcze drugą mniejszą izbę mieszkalną świetlicą zwaną, w której zwykle sypiają, lub gości swoich mieszczą. W długie zimowe wieczory do oświecenia chaty używają kaganka z rozpuszczonej tłustości, z knotem wewnątrz utkwionym, lub łuczyny z drzewa. Letnią porą cała rodzina jada i wieczory przepędza na dworze przed chatą. W sieni mieszczą się tu zwykle duża dzieża świeżą wodą napełniona i żarna do mielenia, które właściwie tylko w suche lata używane bywają, gdy okoliczne młyny dla braku wody mleć przestają.

Każda prawie wieś w Wołyńskiej gubernii ma swoich własnych rzemieślników, którzy ją we wszystkie życia potrzeby zaopatrują. Chłop wołyński sam sobie buduje chatę, stodołę i wszystkie zabudowania gospodarskie, sam sobie robi sochę, bronę, wóz i sanie, sam kręci potrzebne do uprzęży powrozy, plecie taśmy na szleje, słowem choć niezawsze umiejętnie i artystycznie, lecz zawsze swym potrzebom zaradzić umie. Rządniejsze jeszcze i pracowitsze od swych mężów są tameczne gospodynie; znaczna część robót w polu i ogrody własną ich pracą są urządzone, nieraz nawet widzieć tam można kobietę po męzku na koniu siedzącą, lub za rozproszonymi na paszy końmi upędzającą się, nieraz wóz snopami naładowany, sama końmi kierując, z pola do stodoły wiezie, słowem nigdy i nigdzie na odwadze i wytrwałości w pracy jej nie zbywa. Każdy gospodarz hoduje tu owce, pospolicie czarne, sieje len i konopie; a więc jak mąż zaopatruje gospodarstwo w sprzęty, tak żona rodzinę i czeladź w odzież. W domu się przędzie wełna i włókno, w domu się tka sukno i płótno; każden tam prawie gospodarz ma warsztat tkacki, gospodyni z córkami sama płótno wybiela i bieliznę zeń szyje. Z wełny farbowanej na różne kolory wieśniaczki tameczne wyrabiają wzorzyste swe fartuchy, spódnice i pasy kolorowe. Po szyciu i przędzeniu największą umiejętno-

ścią, zaszczyt dziewczętom za mąż idącym przynoszącą, jest umiejętne pieczenie chleba.

Życie towarzyskie pomiędzy włościanami wołyńskimi jest wielkie; jest to poniekąd charakterystyczną cechą wszystkich ludów słowiańskich. O ile w innych plemionach przemaga odosobnienie, o tyle u Słowian wszystko się razem skupia i gromadzi. Jak we Francyi, w Anglji i w Niemczech po wsiach i miastach wszyscy się obmurowywują, zamykają, jak w dzień tak i w nocy, tak w krajach słowiańskich wszystko natomiast, dom, podwórze, ogród, gospoda i serce otworem stoją. Tam potrzeba, interes materyalny zgromadza ludzi do wsi i miasteczek, tu Słowianina pociąga potrzeba życia wspólnego, zamiłowanie stosunków towarzyskich; takie życie stało się już potrzebą narodu. To też i na Wołyniu szczepowa ta cecha wybitnie pomiędzy ludem spostrzegać się daje; wszystko tu skierowane ku wspólnemu załatwianiu potrzeb moralnych i materyalnych. Pola podzielone na morgi, pastwiska są tu wspólne; każda wieś utrzymuje jednego lub kilku stosownie do potrzeby pastuchów, ci zebrawszy z całej wsi bydło, owce i trzodę chlewną, wypędzają je na cały dzień do lasu lub w pole, stosownie do tego, jak gdzie są pastwiska; tym sposobem nikt od pracy oderwanym nie jest do paszenia swego dobytku, konie tylko i bydło robocze pasą rankiem lub w nocy małe chłopcy, których do innych robót jeszcze nie używają, każdy swoje osobno. Utrzymanie pastuchów wiejskich także jest wspólne; latem jedzą oni kolejno u każdego gospodarza, a na zimę składa się gromada na ich wyżywienie i odzież.

Wszyscy we wsi naczelnicy rodzin stanowią gromadę, która razem zebrana rozstrzyga spory, wymierza kary, radzi w potrzebach całą wieś dotykających; z pośród siebie wybierają także wyłączną zwierzchność wiejską, jak starostów, którzy śledzą za porządkiem we wsi, załatwiają wszelkie ze zwierzchnością styczności, pilnują naprawy dróg i t. d., starostę cerkiewnego, dwóch lub trzech dziesiętników i tyluż poborców, którzy wybrane ze wsi podatki do powiatowego miasteczka odwożą. Za wybraną tę z pośród siebie zwierzchność gromada przed rządową władzą jest odpowiedzialną, ona też czyni im ulgi w ciężarach i powinnościach włościańskich, starostowie bowiem gromadzcy i cerkiewni zupełnie od wszelkich tych powinności są wolni. W ten sposób wszystko wspólnie i bez wielkich kosztów się załatwia, wszyscy stanowią jakby jedną wielką rodzinę, w której najuczciwsi i najzdolniejsi najwyższe stanowiska zajmują dopóty, dopóki na nich godnie się sprawują.

Takiego rodzaju życie wspólne, gromadne, ciągła styczność z so-

bą od dzieciństwa, wspólne czuwanie jednych nad drugimi, przelewające się ustnie z pokolenia w pokolenie prawidła i podania, wyrobiły w chłopie wołyńskim pewien rodzaj szlachetnej godności i moralnego wykształcenia, ku czemu niemało przyczynił się dobry jego byt materyalny i wpływ panów, których część większa jest starą szlachtą i dziedziczy swoje wsie jeszcze od przodków.

Strój chłopa wołyńskiego niewiele różni się od małoruskiego i już samą jaskrawością barw, mianowicie u kobiet, zamożność i więcej wykształcone pojęcia cechuje. Mężczyźni noszą długie poniżej kolan spadające czarne lub białe świty czerwonymi sznurkami misternie wyszywane, kołnierz od koszuli czerwoną wstążką *życzką* nazwaną ściągnięty, szerokie płócienne spodnie w długie juchtowe buty wsunięte, na głowie wysoką czapkę z czarnego lub siwego baranka z sukiennym lub aksamitnym denkiem. Piękna czapka, to szczyt dumy wołyńskiego chłopa; nie zrzuca też on jej nawet w najgorętsze lato, a kapelusz słomiany przy robocie tylko przywdziewa. Zwierzchni stroj zimowy wieśniaka stanowi biały lub czarny kożuch barani bez żadnego pokrycia. Na świtę lub kożuch przywdziewają pasy wełniane w rozmaitych kolorach, mianowicie zaś ponsowe lub zielone. Chłopi wołyńscy również jak podolscy i małoruscy podgalali głowę do połowy, zostawiając na wierzchu włosy długo rosnące; zwyczaj ten jednak zaczął już upadać. Brody golą wszyscy, a zapuszczają tylko wąsy, zwykle długie i sumiaste. Brody noszą tylko dziady i bardzo starzy wieśniacy. U kobiet rękawy od koszul wyszywane są w misterne wzory różnokolorową włóczką zwaną *zapołotią*; spódnice noszą kolorowe w kraty lub pasy rozmaitych barw z domowej wełny wyrabiane i takiegoż wyrobu fartuchy zwana *zapaskami*. W uroczystości i święta fartuchy noszą białe płócienne, na głowie chustki białe płócienne lub kolorowe perkalowe w jaskrawe kwiaty. Do cerkwi wszakże idąc w miejsce chustek zamężne kobiety zawiązują głowę białym muślinem, którego jeden koniec długo na ramiona spada. Takie zasłony nazywają *namitkami*. Na szyi wieszają korale, różnokolorowe szklanne, lub z błyszczącej massy wyrabiane paciorki, wśród których bywa czasem po kilka przytwierdzonych medalików. Medaliki te szklanne lub mosiężne kupują w czasie odpustów, gdzie i poświęcane bywają. Zamożność gospodyń zwykle zasadza się na ilości i wielkości korali; niektóre z nich po kilkadziesiąt sznurków razem na szyi wieszają.

Przesądów i zabobonów mniej może ma lud wołyński, niż inne prowincye Rusi, mianowicie Ukraina, która nimi celuje. Są jednak i na Wołyniu wierzenia szkodliwy i zgubny częstokroć wpływ wywierające, jak naprzykład wiara w cudowne leki. W ka-

żdej wsi niemal spotkasz po kilku wsławionych znachorów i znachorek, do których ucieka się lud z głęboką wiarą we wszelkiego rodzaju chorobach. Pomimo wielu smutnych przykładów licznych ofiar pozbawionych życia skutkiem cudownych lekarstw tych wiejskich Hippokratesów, lud nieprzestaje wierzyć im ślepo, odrzucając wszelkie środki lekarzy rzeczywistych. Wierzą także w moc czarownic, w zadania, które chorobę, a często i śmierć sprowadzić mogą, w złe oczy, których wpływ, mianowicie dla dzieci, ma być zgubnym, i t. p.

T. J. Stecki.

19. Polesie.

Północną część teraźniejszej gubernii Wołyńskiej stanowi wołyńskie Polesie: kraj nizki, pokryty drzemiącym lasem, przerznięty gęstą siecią rzek i jezior, ogromną przestrzenią błot i nieprzebytych bagien. Grunt wszędzie tu prawie piaszczysty, a żyzne pola napotkać można zaledwie nad brzegami większych rzek. Największe bagna zajmują północne części powiatów włodzimierskiego i kowelskiego; w łuckim ciągną się one nad Styrem, w kowieńskim nad Słuczą; powiat owrucki pokryty w znacznej części głęboką warstwą błot zarosłych nędznym lasem sosnowym. Tu częstokroć ujechać potrzeba ze 20 mil, zanim się napotka jaką wieś, albo ludniejszą osadę. Jedyną ludność tej okolicy stanowią porozrzucane wśród lasów chaty budników. Systemat wodny Polesia, którego główną żyłę stanowi rzeka Prypeć, jest nader rozległy i ważny; jego rzeki, jeziora i błota tworzą gęstą sieć wód, zalewając większą część powierzchni lądowej. Bardzo jest podobnem do prawdy, że na Polesiu przed wiekami wszystkie dzisiejsze bagniste niziny, mianowicie położone około wyższej Prypeci, mogły być zalane i stanowić jedną massę wód. Już sam widok tych okolic i wreszcie krążące między ludem podania o morzu pińskiem, o wydobywanych z ziemi kotwicach i zabytkach statków, znajdowane w niektórych okolicach, jak naprzykład w Owruckiem, kamienie z samych konch i muszli mułem wodnym w jedną twardą bryłę spojone, wszystko to zdaje się wspierać to domniemanie. Nareszcie o niesłychanie odległych komunikacyach wodnych podziemnych przekonywają nas szczególne niekiedy zjawiska przyrody zdarzające się na Polesiu. I tak naprzykład całe morgi lasu usuwają się tu czasem w głąb ziemi, a natomiast powstają jeziorka z wystającymi z wody wierzchołkami drzew. Na małą skalę podobne zjawisko

widzieć tu można często; niekiedy pojedyncze drzewa, najczęściej jodły, osuwają się powoli w głąb, a grunt otaczający je formuje koło nich kształt lejka; wszystko to niepodobna wytłumaczyć inaczej, jak tylko, że grunt, na którym drzewo wyrasta, musi być pływający i do pewnego tylko stopnia dotrzymać może ciśnienie. Trzęsawice otaczające poleskie ostrowy rozciągające sie niekiedy na przestrzeni kilkunastu w morgów, zwłaszcza w okolicach leżących bliżej ku Pińskowi, chwiejące się pod lada ciężarem, mogą posłużyć za wzór podobnej konstrukcyi zwierzchnej warstwy ziemi, która chociaż przez napływy zformowane wiekami stała się rodzajną, lecz za podstawę ma warstwy torfowiny pływające na wodzie. Śliczny to i malowniczy widok tych ostrowów poleskich, zwłaszcza na wiosnę, kiedy wody rozleją. Niezliczona ilość wysp różnej wielkości, wielkich i małych, jakby pływających, szerokiem pasmem ciągnie się daleko, bo aż ku pińskim błotom. Tam trawa dorasta wysokości człowieka, a na niektórych nawet żyzne pola obfity plon wydają; na innych znowu gęste łozy, przez które zaledwie przedrzeć się można, dąb, brzoza i nizkie kolczaste krzewy stanowią jedyną roślinność. Chcąc się dostać w tych ostrowach z jednego na drugi, nie ma innej drogi, jak przez zarosłe zielskiem błota, z których niejedno i w najsuchsze nawet lato niewysycha. Tylko z pomocą dobrze świadomego miejscowości tutejszego włościanina i jego wezwyczajonych wołów można się puścić na wędrówkę po tym stepie ziemnowodnym. Ale też przewodnik taki wskaże najmniejsze błotko, lub niebezpieczną przeprawę, każdy z tych ostrowów nazwie właściwem imieniem, zna on je jak swoją własną zagrodę, na nich część lata z rodziną przepędza dla żniw sianokosów i innych robót; oswojone też z nim i dzikie ptactwo, które ogromnemi stadami buja tu swobodnie, krzykiem i świergotaniem napełniając powietrze. Jest coś dziwnie malowniczego, co pociąga i mile zachwyca, w całym tym obrazie na w pół dzikiej i niedostępnej krainy jakby igraszką losu rzuconej wśród otaczającej ją do koła cywilizacyi. Nawet dla tych, co już przywykli patrzeć na te poleskie puszcze, na ich błota, piaski, korzenie i komary, mają one swój urok i poezyę.

T. J. Stecki.

20. Styr i Horyń.

Jedną z najznaczniejszych rzek Polesia wołyńskiego jest Horyń, ktorego brzegi nie bez przyczyny z piękności są sławne. Rzeka ta

z wieloma innemi w starożytnej Słowiańszczyznie Bohami była ubóstwioną; ślad tego pozostał w nazwaniu miejsca Boh Horyń (dzisiaj Buhryn). I nie dziw; u rzek jako u ognisk żywota krajowego zbiegały się wszystkie znaczniejsze osady, zamki, horodyszcza; rzekami przychodziło i odchodziło wszystko, co kupowano i sprzedawano; one dawały życie. Sladów znakomitszych zamczysk i starożytnych sadyb szukać potrzeba u zbiegu rzek, gdzie najczęściej stawiane były, lub nad ich brzegami.

Styr, którego nazwisko świadczy o dawnej jego żeglowności, wypływa z wzgórzów niedaleko sławnego w historyi zamku Oleska, a wpada do Prypeci niedaleko Kożangródka. Po drodze znajdziesz znajdziesz nad jego brzegami stare osady Beresteczko, Boremel, Bilcze, Murawiec, Targowicę, Łuck, Rożyszcze, Sokul, Kołki, Czetwertnią, Czartorysk, Rafałówkę, Borowę i t. d. Wylewy jego zapewniają zbiory obfite siana lub jarzyny na łęgach nad styrowych, byleby tylko zbyt długo nie trwały i niepowtarzały się w lecie; wody ułatwiają handel drzewny wiele dawniej znaczący dla Polesia bogatego w lasy towarne. Styr dla tutejszych brzegowych mieszkańców jest tem, czem Nil dla Egiptu: muły jego użyźniają płaszczyzny i ogromne dają plony. Bogaty w ryby, jako to: bieluszę czasem trzyłokciową, głowacza (hołówel), płocice, mareny, kiełby, wierozuby, płynie ciągle prawie lasami i łęgami, rzadko mając brzegi dostępne i suche. Najznaczniejsze zamki stojące nad nim są łucki i czartoryjski.

Horyń poczyna się około Usteczka na Wołyniu, obfituje także w ryby, z których brak mu tylko smacznego a niezdrowego węgorza. Znaczniejsze stawy na tej rzece, które już nasz Rzączyński wspomina, są w Butynie, Młynowie, Muszkowicach, Wiśniowcu, Łozach, Przedmirkach, Pańkowcach, Jampolu, Lachowcach, Zasławiu.

Oprócz połowu wierozuba wspólnego Horyniowi ze Styrem, Słuczem i Strumieniem, oprócz czeczugi (*Sturio minor v. Oxyrinchos*), bają nam nasi dawni naturaliści nawet o perłach w Horyniu pod Ostrogiem poławianych, o których Rzączyński pracowity zbieracz wieści słyszał, a potem je na swoje oczy widział, ale bardzo niewielkie. Dziś to najmniejsza osobliwość Horynia. Tenże poczciwy naturalista chwali się rogiem jednorożca wykopanym pod Bohrynem, Żelinem i gajem Chodaki nad Horyniem. Zwierzę to, któremu dziwnie cudowne własności przypisywali dawniejsi empirycy, niemałe znaczenie miało w wiekach średnich; w VIII w. widzimy go klęczącem pod krzyżem na pastorale opatow Fuldy; w IX i X w. malowano je u krzyża. Ogromny róg jednorożca zachowywano długo

w skarbcu koronnym w Krakowie. Dziś tylko w dawnych herbach ma on prawo obywatelstwa.

Jadąc brzegami Horynia od wsi Cepcewicz (niedaleko miasteczka Bereznicy) odkrywają się piękne łąki, wśród których rzeka ta wstęgą płynie. Cepcewicze, wielka osada dziś na wielu drobnych podzielona właścicieli, ma jeszcze smutne ruiny wielkiego i pięknego pałacu i pusty na w pół wycięty ogród. Od tej wsi jadący brzegiem Horynia zaczyna spotykać kurhany, czyli mogiły, zabytki wojen, rzezi może, lub starożytnych cmentarzy, skupione w blizkości osad po kilka i kilkanaście, gdzie niegdzie rozsypane pojedynczo. Miejscowe podania nic o nich stanowczego nie mówią; wieku ich jednakże dowodzą ogromne porosłe na wierzchołkach sosny. Koło samych Cepcewicz u wjazdu od strony Bereznicy jest gromada takich kurhanów, wśród której leży wywrócony krzyż; dalej jadąc znów rozsypanych mnóstwo.

Mimo sprzecznych podań o Szwedach i Tatarach, zdaje sie niewątpliwem, że najświeższe mogiły są zabytkiem wojen i rzezi kozackich za Jana Kazimierza. Horyń w zawieszeniach broni i czasowych układach służył za granicę, której Kozacy nieprzekraczali i mogiły niektóre mogą być śladem pierwszych napadów i bitw po przejściu tej rzeki, a znajdowane częściej nad inne pieniążki Jana Kazimierza zdają się to potwierdzać.

Wszystkich jednak mogił w tej części kraju rozrzuconych do tej epoki odnieść nie można; są od niej daleko starsze i widocznie kształtem i położeniem swem odmienne. W różnych stronach Wołyńskiej gubernii obficie spotykamy usypy ziemi niedaleko osad, zamczysk i horodyszcz, na wyżynach, na łąkach, po lasach. Kopce, które jak wiemy Tatarzy sypali zapędzając się w głąb kraju, nimi drogę swą znacząc, służące do obejrzenia wielkiej do koła przestrzeni, położone są zawsze na pagórkach. Z każdego z nich dwa przynajmniej dojrzeć się dają; leżą one zawsze pojedynczo i po rozkopaniu nic się w nich nie znajduje. Gdzie ich jest dwa, lub więcej razem skupionych, kurhany tutejsze są zabytkiem wojen, lub śladem dawnych cmentarzysk pogańskich; pojedyncze po lasach, błotach i nizinach wiążą się często z podaniami miejscowemi i są grobami zabitych lub samobójców, czasem znakomitych rycerzy. Znalezienie w nich siekierek kamiennych i drobnych resztek bronzowych ozdób oznacza najodleglejszą starożytność; w późniejszych spotykamy szkło i żelazo. W ogólności Polesie wołyńskie, jakkolwiek swem położeniem obwarowane, w gruzach starych zamczysk, w mogiłach i wałach, nosi ślady wielu wojen i klęsk, które przeżyło. Na starych horodyszczach najpowszechniej dziś niedostępnemi błotami otoczonych

znajdują znane w całej Europie siekierki, dłuta i ostrza dzid i strzał kamienne. Jadąc dalej brzegami Horynia, który się z głębokiego parowu okazuje i chowa, zbliżamy się do uroczyska zwanego Skoczyszczem.

Prześliczne miejsce do marzenia! prześliczne dla malarza, któryby krajem własnym nie gardził! Horyń ściśniony płynie w dole; nad nim zwieszają się posplatane drzewa: sosny, dęby, brzozy i gęsta leszczyna; wody jego okrążają do koła wyspę zieloną w dole u stóp patrzącego położoną, okrytą starymi dębami, na której jeśli się bydło pasie, rzekłbyś krajobraz Pawła Pottera. Na dobitkę wiąże się jeszcze do tego miejsca podanie, jedno z tych, jakie tylko lud umie tworzyć i opowiadać wśród długich wieczorów zimowych.

Nie masz tu prawie mogiły, rozdroża, uroczyska, do któregoby nie przywiązywało się jakie podanie. Poetyczny to kraj. Ile tu myśli zebrać można po drodze, ile przedmiotów do dumania: ruiny zamków, mogiły, podania i tak piękne obrazy.

I. J. Kraszewski.

21. Lasy poleskie.

Stosunek ziemi zarosłej jeszcze lasami, chróstem, łozami, do ornej jest w Polesiu taki, że ledwie część jej trzecia dopiero wyrobioną została. Wprawdzie dla małej ilości rąk trudno pola rozprzestrzeniać, gdy dotąd powolnie bardzo wchodzą w użycie machiny gospodarskie przeznaczone do zastąpienia ludzi. Przy tem rodzaj ziemi piaskowatej i samej przez się nieurodzajnej, a silnych nawozów potrzebującej, niebardzo zachęca.

Większą część lasów poleskich składają sosny pięknego wzrostu i bajrakowata choina; pierwsze proste, wysmukłe, zdatne do wyrobu i handlu, drugie pochyłe, skrzywione, sękowate, pokurczone i na nic prócz opału niepożyteczne. Puszcze poleskie, w których niedostępniejszych głębinach kryje się jeszcze wiele zwierza, są jednak dziś z lepszego drzewa zupełnie prawie wyniszczone przez ciągłe wyrabianie belek i potaszów. Oprócz sosen rośnie tu rzadko i ku północy tylko w niższych położeniach świrk i jodła, brzoza w wielkiej ilości, dąb po lepszych gruntach, grabina, osina i wiele innych rodzajów drzewa; ku południowi tarnina i szypszyna razem z leszczyną lasy podszywa; gdzieniegdzie okazują się głogi białe.

Po nad drogami smutny jest pozór lasów, gdyż bliżej ludzi są wyniszczone i niegodziwie popsute; większa część sosen żywcem po-

obcinana, inne powalone przez podpalenie, pokaleczone niemiłosiernie. Smutno patrzeć na mnogość niezliczoną leżących i gnijących kłod ogromnych, których nikt nawet na opał nie bierze, bo wieśniacy zawsze z pnia rąbią, wstręt mając od leży jak od padła, uważają wszelki poważ jakby zdechłe zwierzę. Często napotkasz wielkie lasu przestrzenie przez niedozór i niedbalstwo wygorzałe i pożółkłe; podłożony w suchej porze przez pastuchów ogień straszliwie się rozchodzi i niczem potem ugasić nie daje. Ta jedna klęska wiele lasów poniszczyła. Na wiosnę dla żywszego wzrostu trawy umyślnie puszczają pożary, które niepilnowane zrządzają szkody ogromne i wszystka młodzież po nich usycha.

W głębi, gdzie lasy lepiej są podszyte, fizyognomia ich też piękniejsza; wznoszące się po nad gęstemi zaroślami drzewa stare, jak z kosza kwiatów wystrzelają zewsząd otoczone bujnemi latoroślami, u których stóp rozkwita wonna leśna flora. Czasem zielonej łąki kawałek przecięty rzeczułką przypomina park angielski. Smutne za to wśród sosnowych i brzozowych karłowatych zarośli błoto kępiaste, gdy się na wielką przestrzeń rozciągnie.

Pomyślawszy nad tem, jak dawno u nas poczęto lasy wyniszczać, gdy się już na to Jan Kochanowski w Satyrze uskarżał, dziwna że ich jeszcze i tyle pozostało. Zgubne starodawne przysłowie: Nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las; zdaje się być dotąd jedyną skazówką w postępowaniu. Rzączyński wspomina o wyrobie klepki, wańczosów i potaszu, nic jednak o sosnowych balach, najwięcej dziś tu wyrabianych, nie pisze.

Zwierz jeszcze niewypłoszony znajduje się tu w znacznej ilości: niedźwiedzie (rzadkie), dziki, łosie, bobry, rysie, spotkać można, choć coraz są mniej pospolite, bo liczba myśliwych się powiększa, środki niszczenia udoskonalają, a lasy przetrzebiają codzień.

Myśliwstwo zajmuje przeważną część życia mieszkańców Polesia. Z chartami trudno, niepodobna prawie w kraju tak błotami i lasami poprzecinanym polować. Za to gończe obławy dopomagają strzelcom. Na zwierza grubego jest to jedyny sposób polowania. W zimie na sarny polują objeżdżając je wprzód sankami; z wyżłem polowanie na ptactwo po błotach i polach mniej tu znajome i używane.

Najpospolitszém jest tu polowanie z obławą czyli huczkami, opisywane nieraz malowniczo przez naszych poetów i powieściopisarzy. Zbiera się na nie liczne towarzystwo strzelców w borsuczych torbach, z fuzyami dawnych form i osobliwszych kalibrów i trwa ono od świtu cały dzień, a przynajmniej większą jego część. Najweselszy to czas spędzany w lesie na polowaniu i na przeplatającem go jedze-

niu, piciu i ożywionej nieraz aż do kłótni pogadance, której treścią zawsze są przygody myśliwskie, w której nasłuchać się można dowoli o wypadkach najdziwniejszych, co dały początek znanemu przysłowiu: „Łże jak myśliwy.“

Na cietrzewie w jesieni polują z cieniakiem; to znaczy że na biednego ptaka sadzą mu wypchanego niby ptaka, lub poprostu kawał sukna, koło którego on siada w dobrej wierze i zabijać się daje. Wiosną wczesną korzystają z tokowania cietrzewi i głuszców; mnóstwo jarząbków i innego ptactwa łowią na sidła przynętą z kaliny lub jarzębiny.

Niebezpieczne polowanie na wilki, kiedy się one stadami włóczą w zimie, mało już dziś używane przez kogo. Do wozu w około ustrojonego kosami siadają myśliwi dobrze opatrzeni w strzelby biorąc między siebie prosię; na sznurze za wozem wlecze się podobizna prosięcia wiązka grochowin. Gdy wjadą w miejsca gdzie się wilcy zwyczajnie pokazują, zaczynają prosię męczyć żeby piszczało; głos jego zwabia stada głodnych wilków, zuchwale zbliżają się do wozu, chwytają nawet za wiązkę uczepioną z tyłu, a wówczas pora strzelać. Takie polowanie odbywało się w nocy jasne, a do wozu zaprzęgano jak najgorsze konie, bo żwawe na widok wilka ponosiłyby niechybnie, mogłyby wóz wywrócić, a naówczas i od kos kalectwo i wilcze zęby straszne, gdyby kto wypadł. Zdarzało się najczęściej, że wystrzelawszy próżno naboje uciekać musiano, a wilcy rozjuszeni gonili aż do wsi, nieraz na podwórzec nawet. Niebezpieczne te wyprawy rzadko się udawały; dziś całkiem zarzucone. Na jednej z wystaw paryzkich był obrazek przedstawiający taką scenę. Bezpieczniejsza już przynęta i zasadzka; zwierz zwabiony wonią zdaleka, głodny w zimie, przychodzi i zabijać się daje. Tak zające do owsa, wilki do padła ściągają.

Oprócz wymienionych właściwszych nam sposobów polowania myśliwi tamtejsi wszelkimi innymi znęcają się nad pozostałym jeszcze zwierzem. Nikt go tyle nie zniszczy co osiedli w lasach budnicy z niesłychaną cierpliwością, zręcznością i przemysłem uganiający się za pastwą. Znają oni niemal osobiście każdego lisa i zająca, sarnę i dzika, który się w lesie pokaże, chodzą, śledzą, zasadzają się i póty pracują, póki nie zabiją.

Wielki dochód w Polesiu dla wieśniaków stanowią barcie rozsypane w lasach, z których dają miód, lub oczkowe płacą dziedzicom. Jest zwyczaj, że po zebraniu miodu częstują nim wszystkich kogo spotkają, niosą do dworu i do karczmy w podarku, wierząc że ten udział daru Bożego na dobre im wychodzi i przysparza go. W opisie Litwy Eneasza Sylwiusza już o podobnym zwyczaju jest wzmianka.

Wieśniacy którzy z bydląt skóry zdejmują nigdy pszczół się nie tkną, boby się im, jak utrzymują, nie wiodły. Miód mierzą na Polesiu szczególną właściwą miarą (pięciokwartową) zwaną *wiazowicą*. Z każdej barci dają pewną ilość do cerkwi; miód ten przerabia się na pitny i w dzień prażniku we wsi szynkuje na korzyść skarbony, co nazywają *kanonem*; wosk idzie na świece. Zwyczaj to powszechny na całem Polesiu wołyńskiem. Starosta cerkiewny z przybranymi pomocnikami szynkuje, a arendarz ten swój ubytek kilkodniowy cierpliwie znosić musi. Mnóstwo wszelkiego rodzaju jagód i grzybów zbiera się po lasach poleskich. Pierwsze między nimi miejsce zajmują żórawiny, które po przemarznieniu dają sok wyborny, czernice, łochacze, brusznice, maliny, ożyny, poziomki. Gdzieniegdzie były dawniej daniny z jagód, zwłaszcza czernic suszonych i orzechów. Ku wołyńskiej gubernii zbierają także po mrozach mało użyteczną tarninę, której owoc cierpki i niesmaczny.

Czem dla mężczyzn jest polowanie na zwierza, tem dla kobiet jagody i grzyby. Całe lato zmieniają się cele tej przechadzki, lecz ona trwa ciągle; lasy naówczas rozlegają się śpiewem, śmiechami i ożywiają postaciami niewieściemi. Wiele pociesznych i wesołych przygód bywa na jagodach i grzybach.

W poleskich i wołyńskich lasach są osady, tak zwane majdany, budników, biednych Mazurów, rozrzucone po chat kilka i po jednej. Budnicy po większej części przychodnie z piaszczystego Mazowsza dawniej zajmowali się wyrobem drzewa i wypalaniem potaszów, dziś powoli i do roli brać się zaczynają. Są to najwięksi niszczyciele drzewa i zwierza. Stan tej klassy po większej części bardzo nędzny, uprawa moralna prawie żadna, a zarobek ledwie na życie wystarcza. Chaty ich budy liche, całe lato częstokroć mieszkają w szałasach ledwie od słoty ulewnej zasłaniających, razem z niewielkim swym dobytkiem, który zimą i latem przywykł szukać paszy w lesie. Nigdy budnik lepiej się nie budował, a wypaliwszy i wyciąwszy dokoła co mógł, przenosi się w inne miejsce. Każdy z nich myśliwy, każdy cieśla; ubiór noszą z grubego pospolitego sukna krojem kapoty, pas czerwony lub rzemienny, czapkę baranią w zimie, sukienną latem, buty lub kurpie na nogach. Budniczki ubierają się najniezgrabniej w rodzaj szlafroczków, a głowy zawijają chustkami kolorowemi. W stroju ich niema nic charakterystycznego. Prosty chłop ze swem podaniowém odzieniem, w którem mu tak do twarzy, daleko przechodzi biednego budnika często strojącego się jak dzicy w wychodzone suknie klassy wyższej, tem brzydsze że niewiedzieć jak włożone i użyte.

J. I. Kraszewski.

22. Iskorość i Owrucz.

Najwspanialsze zabytki i pomniki starożytnej Słowiańszczyzny znajdują się na Polesiu wołyńskiem w powiecie owruckim. Pomimo piasków, nieprzebytych błot i dróg najniegodziwszych powiat ten zasługuje na szczegółowe zwiedzenie, tyle w nim jeszcze pamiątek pozostało. Tam gdzie dziś leży miasteczko Iskorość wśrod lasów i fantastycznych obłomów skał nad rzeką Uszą, wznosił się niegdyś stołeczny gród narodu Drewlan, sławny swem bogactwem i rozległością Korosteń. Dotąd jeszcze sterczą obronne jego wały, dotąd ukazują w ogrodzie dzisiejszego właściciela tak zwane kąpiele Olgi. Są to widoczne w dwóch miejscach wyżłobienia w skale w kształcie obszernych wanien, do których z szumem spada woda z sąsiednich wyżej wzniesionych skał. Zdaje się jednak, że obie te wanny są tylko dziwną grą przyrody. Pokazują tam jeszcze ślady starego zamku książąt drewlańskich, nieopodal ztamtąd cmentarz i starą studnię także drewlańską; dalej za miasteczkiem kilka wysokich kurhanów widocznie ręką ludzką usypanych, w których mają spoczywać ofiary zemsty Olgi. O kilka werst nareszcie ztamtąd na gruntach wsi Niemirówki wysoki kopiec nosi nazwę mogiły Igora; tam miały być złożone zwłoki nieszczęśliwego księcia. Po zburzeniu Korostenia przez Olgę, przeniesiono stolicę kraju do Owrucza; po latach wielu na gruzach dawnego miasta porósł las i miejsce to nazwano Drewlanką. Przy końcu XIV wieku Olgierd w. książe litewski nadał tę ziemię za zasługi wojenne Terechowi z Brańska, którego odtąd zaczęto zwać Terechem z Korostenia. Ztąd powstała nazwa Iskorostenia, którą później przerobiono na Iskorość. Zygmunt III dopiero odległym potomkom Terecha udzielił przywilej na podniesienie powyższej włości na stopień miasteczka i na obwarowanie go od napadów tatarskich. Odtąd miasteczko to przechodziło przez różne ręce prawem spadku lub kupna, aż dostało się jenerałowi Lubowidzkiemu, a po nim jego synom.

Owrucz, pierwotnie Obrucz, potem Wruczaj, do którego przeniesiono stolicę drewlańską z Korostenia, zawiera jeszcze wiele ciekawych pamiątek. W r. 977 pod murami tego miasta zginął Oleg syn Światosława wnuk Igora i Olgi w potyczce z bratem swym Jaropełkiem ks. kijowskim; ciało jego pogrzebano za miastem i usypano nad niem wysoką mogiłę, która dotąd nosi nazwę mogiły Olega. W lat 70 dopiero odkopano te kości i przewieziono je do Kijowa, gdzie złożone zostały w cerkwi Desiatinnej. Pozostały tu jeszcze ślady obronnego zamku, którego lustracye sporządzone w r. 1552

przechowują się w miejscowych aktach. W Owruczu na ziemi Drewlan stanęła pierwsza cerkiew chrześcijańska; zbudował ją pod nazwą św. Bazylego Włodzimierz I w. ks. kijowski około r. 1000. Ciekawe te ruiny, sięgające pierwszych lat chrześcijaństwa w Rossyi, najpiękniejszy zabytek stylu bizantyńskiego, przechowały się dotąd; co więcej, ocalały tu pomimo tylu lat zniszczenia niektóre freski zdobiące wewnętrzne ściany tej świątyni. W miasteczkach Olewsku i Noryńsku wzniesionych jeszcze za czasów Drewlan pozostały ślady zamczysk książęcych tego narodu, mnóstwo mogił i kurhanów, które według podań ludu mają zawierać ogromne skarby. Lud tak silną wiarę przywiązuje do tych powieści, że do dziś dnia jeszcze pomimo tylu niefortunnych poszukiwań rozkopują te mogiły, niszcząc tem samem ostatnie zabytki słowiańskie w tym kraju. Niedaleko Olewska wśród gęstego sosnowego boru, gdzie może na przestrzeni kilka werst kwadratowych niema żadnej niziny ani błota, jest krynica zwana Olhy kołodeź, z której wytryska czysta źródlana woda. Tradycya miejscowa świadczy, że jakaś księżna (zapewnie Olga) przybywszy w te strony z kilkoma tysiącami wojska poiła takowe przez dni kilka wodą z tej krynicy, a wody ani dla ludzi ani dla koni nie zabrakło.

T. J. Stecki.

23. Poleszuki.

Lud zamieszkujący dzisiaj leśne Polesie mało lub żadnych prawie nie mając z drugiemi prowincyami styczności, oddzielony od nich ogromną lasów przestrzenią, rzekami i błotami, więcej może od innych narodowości przechował pierwiastkowy swój typ czysto słowiański, którego niezatarte szczątki spostrzegać się dają w jego zewnętrznej postawie, narodowych pieśniach, podaniach i obyczajach; w niczem zgoła nie pozostało tu jeszcze śladów zetknięcia się z obcą narodowością. Charakterystyczne cechy właściwego Poleszuka są rude włosy, błękitne oczy, wzrost mniej niż średni i silna budowa ciała, choć siły fizycznej nie wiele. Kobiety poleskie zwykle bywają od mężczyzn piękniejsze, a w niektórych okolicach nawet słyną ze swej urody; z tego względu jawna tu sprzeczność z wołyńską i kijowską gubernijami, gdzie mężczyźni przewyższają urodą swe żony. Cały strój Poleszuka składa się z pasa, swity i spodni; koszulę przywdziewają na wierzch spodni, spinając ją pod szyją szklannym kolorowym guziczkiem. Świty ich czyli siermięgi białe, szare, lub ciemnobronzowego koloru wyrabiane bywają z domowej wełny i pro-

sta włóczką kolorową wyszywane. W niektórych okolicach oryginalny panuje zwyczaj przyszywania do ciemnej świty białych rękawów lub przeciwnie. W miejscu wołyńskich baranich czapek noszą tu małe czapeczki rogatywki (magierki) z prostego sukna włóczką kolorową po brzegach obszywane. Buty rzadko są u Poleszuków w użyciu, i to w dni świąteczne tylko, zwykle zaś mężczyźni i kobiety noszą trzewiki z kory łozowej lub lipowej plecione, nazywane łyczakami lub postołami.

Poleszucy celują w misternem wyrabianiu tego obuwia, które sznurkiem do nogi przytwierdzają, obwiązawszy ją naprzód kawałkiem płótna. Zamożny Poleszuk opasuje się zazwyczaj czerwonym pasem wełnianym, choć w niektórych okolicach więcej bywają używane zielone i czarne pasy; u uboższych natomiast najczęściej białe pasy napotkać można; w drodze na wierzch świty przywdziewa Poleszuk szeroki pas rzemienny, mosiężną sprzączką z przodu spięty. Najcharakterystyczniejszą jednak częścią stroju tamecznego chłopa jest jego *kalita seribka*, którą na rzemiennym pasku przez plecy przewiesza. Jest to skórzanna lub z rogoży pleciona torba własnego wyrobu kilkoma mosiężnymi guzikami i rozmaitemi mosiężnemi błyskotkami z przodu przyozdobiona; w torbie tej chowa Poleszuk krwawo zapracowany grosz swój, nóż, krzesiwo, fajeczkę i wszystkie sprzęty niewybrednych swych potrzeb. Po za domem nierozstaje się on ze swą kaletką nawet w nocy; w chacie swej tylko zrzuca ją do snu się układając. Stroje kobiet poleskich mniej są daleko od wołyńskich wdzięczne; nie ma tu tej jaskrawości barw, jaka tamte cechuje, przebija się nawet ubóstwo, nieużywają bowiem innych oprócz domowej roboty wyrobów. W okolicach głębszego Polesia na głowie noszą rodzaj czapeczek z łubu lipowego wyrobionych, które różnią się w każdej niemal włosce swym kształtem. Strój ten przy całej swej fantastyczności wdzięczny dla oka przypomina razem starożytny ubior na głowę dawnych Słowianek. Dziewczęta na Polesiu nie różnią się strojem od kobiet zamężnych, na szyi tylko więcej zawieszają paciorek i włosy zaplatają w dwa długie warkocze spadające na ramiona.

W całej powierzchowności chłopa poleskiego przebija się charakter jego posępny, na ustach jego rzadko uśmiech dostrzeżesz, postawę ma pokorną, pochyloną, uległą, ani śladu tej swobody, jaka Wołyniaka cechuje; długoletni ucisk i niewola zbyt wyraźnie wypiętnowały się w jego charakterze i układzie. Nigdzie bo też więcej i dłużej panowie nie uciskali swych włościan jak na Polesiu, nigdzie większą nieobarczano ich robocizną; nie było rzadkością spotkać tu właścicieli pobierających od swych włościan daniny z kur, jaj, miodu,

orzechów i tym podobne sławne w swym czasie daremszczyzny, które oprócz wszelkich prawem przepisanych powinności chłop składać musiał. Pomimo to wszystko jednak nędzy i głodu nie zna Poleszuk, a środki utrzymania się i wyżywienia jego, jakkolwiek ograniczone, wystarczają mu wszakże na zaspokojenie skromnych potrzeb życia. Zaniedbane rolnictwo, ziemia niewdzięczna, wyrodziły w chłopie poleskim pewien rodzaj przedsiębierczości i zamiłowania do rzemiosł, które go od nędzy chronią. Las dla Poleszczuka to skarb, z którego niezliczone korzyści ciągnąć on umie; kiedy mu zboże nieurodzi, chwyta za siekierę, robi wozy, tełegi, klepkę bednarską i obręcze, gnie obody, drze łyka, wyplata koszyki i plecionkę do bryczek, zajmuje się też niekiedy stolarką i garncarstwem, a w ostatku zbiera grzyby i jagody, które na targ do sąsiednich miasteczek wynosi. Wszystkie te leśne wyroby stanowią główny przedmiot handlu żydowskiego w stepowych miasteczkach wołyńskiej i podolskiej gubernij. Ważnym artykułem zbytu na rynkach poleskich jest łub lipowy, którego tam używają między innemi rzeczami do wyrabiania króbek i łyka, którego najwięcej sprzedają w miasteczku Ołyce podczas jarmarku w dzień ŚŚ. Kozmy i Damiana; ztąd zapewne powstało znane na Wołyniu przysłowie: „Ołyka na łyka.“

Kobiety na Polesiu od dzieciństwa wdrożone do pracy nie znają próżniactwa; wyrabiają one sukna na siermięgi z wełny swych owiec, na warstatach robią tkanki na spódnice, wełniane pasy i płótna; szczególniej zaś zręcznie umieją wyroby swe farbować na rozmaite kolory.

Dla uniknienia opłaty za mlewo każda gospodyni ma w sieniach swej chaty ręczne żarna, w których sama miele swoje zboże. Cały dobytek poleskiego chłopa składa się z kilku sztuk rogatego bydła, koni bowiem utrzymują tu niewiele, z kilkunastu sztuk prostych owiec i nierogacizny. Skrzętne gospodynie utrzymują też znaczną ilość drobiu, który na targ wywożą, najwięcej zaś kur; dotąd bowiem przechowuje się tam zwyczaj, że każdy gospodarz idący za jakąkolwiek potrzebą swą do dworu, kilka jaj panu lub pani w podarunku przynieść musi, przychodzący zaś z prośbą o pozwolenie żenienia się, kurę ofiarowuje.

Wsie poleskie całkiem inaczej od wołyńskich wyglądają; dwór, sady, chaty i zabudowania włościańskie, wszystko tu więcej ściśnione mniejszą daleko przestrzeń ziemi zajmuje; budują je też zwykle u stóp starego jakiego horodyszcza, lub okopów niepamiętnych czasów sięgających. Budowle włościańskie, jak gumna, obory, spichlerze i chlewy, wszystko to wraz z chatą pod jednym mieści się dachem; i tak urządzone gospodarstwo nazywa Poleszuk obichodem.

dla tego zapewne, że nie wychodząc za próg chaty cały swój dobytek obejść może. Chaty poleskie z okrągłych słupów sosnowych w zrąb budowane, rzadko kiedy kryte bywają słomą, a najczęściej dranicami, jak i wszystkie inne budowle; stawią je też nie frontem lecz bokiem do ulicy. Przy budowaniu swych mieszkań Poleszuk dochował stare swe przesądy i zabobony: i tak naprzykład nieużywa on nigdy na ten przedmiot zwalonego drzewa, zawsze zaś rąbie z pnia ogromne sosny, przestrzega ściśle, aby wysokość ścian w chacie nie przechodziła 9-ciu łokci, z najgrubszej sosny jeden tylko słup wyrabia, nareszcie uważa, aby liczba tych słupów koniecznie była nieparzystą. Po dopełnieniu ceremonji poświęcenia miejsca, na którem ma się budować, wkłada Poleszuk w fundamenta kilka sztuk drobnej monety, trochę chleba, soli i miodu, nareszcie kiedy już chata zbudowana, wpuszcza do niej koguta, lub inne jakie stworzenie, a to podług jego wyobrażenia ma wyciągać wszystko złe z tego miejsca. Lecz nie koniec na tem; po zupełnem ukończeniu budynku, pozostawia on jeszcze przez rok cały otwór w dachu, przez który wychodzić mają nieczyste duchy, a gdy się okaże potrzeba przybudowania, zawsze je robi na wzdłuż, nigdy na szerokość. Wnętrza tych mieszkań ubogie i nie zawsze odznaczają się schludnością, o wygodzie nie ma tu i mowy, a we wszystkiem znać tylko myśl o zaspokojeniu niezbędnych potrzeb życia. Dotąd jeszcze w niektórych okolicach Polesia napotkać można chaty kurne, to jest bez kominów; dym wiec przeciskając się przez mały tylko otwór zrobiony w dachu zalega izbę i kopci ludzi i wszystkie przedmioty będące na wierzchu.

T. J. Stecki.

24 Jarmark w miasteczku poleskiem.

Jesteśmy w małej mieścinie Janówce. Mało kto ją pewnie zna; drobne to miasteczko, zasunione w lasy i ustroń głuchą siedzi rok cały spokojnie na piaskach, krzątając się tylko około roli i dopiero w Październiku na wielki jarmark w dzień ŚŚ. Szymona i Judy ożywia się i zaludnia. Sławny ten jarmark w promieniu przynajmniej sześciu mil dokoła ściąga Żydów, wieśniaków, ekonomów i drobnych właścicieli z wołami, końmi, lub po woły i konie. Woły wszakże, charakterystycznie zowiące się tu wszędzie *per excellentiam towarem*, w istocie najważniejszą część targu stanowią.

Nie zachwyca wcale poleskie smutne położenie biednej Janówki; trudno aby w niem najbardziej chętliwe oko znalazło jaką piękność.

Kilkanaście, może więcej chat rozrzuconych na piaszczystem polu, to siedziby miejscowych wieśniaków, z których wielu jest zamożnych. Wejdźmy do jednej z nich. Podwórko otoczone chlewkami różnego kształtu i wielkości, błotniste, przedzielone wydeptaną ścieżką, wiedzie do sieni, w których duży wieprz karmny chodzi poufale i mruczy, wiedząc jak jest ważną w domu figurą; kilka kur sadowi się na belce domu i trzepocze skrzydłami moszcząc się jak najwygodniej. Przez wysoki próg, wchodzi się do białej izby paradnej, w której jest piec, a na przedzie jego palą się skałki smolne; koło pieca ława, w głębi poczęte krośna, kolebka dziecka i stół także otoczony ławami; ściany do koła opasują ławy do nich przymocowane; ku drzwiom stoi ceber, rażka, garnki na półkach, kwarta stara; w głębi w kątku szanowna dzieża chlebna poważnie zajmuje pierwsze miejsce pod obrazem błyszczącym N. Panny, która nad nią roztacza swój płaszcz gwiaździsty.

Nadedrzwiami i oknami krzyże i symboliczne słowiańskie charaktery święconą kredą nakreślone, lub wycięte pobożną ręką diaczka, bronią wnijścia wszelkiemu złemu. Na średniej belce widzę wyrzezany rok 1790. Stara chata.

Próżno by tu kto szukał śladu podłogi; niema jej, tylko ubita ziemia. Okna maleńkie, w części z okrągłych szybek złożone, a przemyślny gospodarz ściany swoje czysto wybielone od spodu do pół żółtą gliną pociągnął, żeby mu nowej świty nie bieliły.

Na ławie pod piecem siedzi stara kobieta z fajeczką w zębach z oczyma wlepionemi w garnki; koło drzwi szczepie drewka wysoki parobek z fajką także, a młoda kobieta kołysze dziecko, drzemie i śpiewa.

Takiem jest wnętrze chaty Janowskiej.

Dalej jedna karczma pusta, pusty dziś także, a dość obszerny kościół z klasztorem niegdyś XX. Bernardynów, rynek szeroki, który przez rok cały swobodnie trawą porasta, nim go w Październiku wydepczą, kramiki drewniane raz tylko w czasie jarmarku zajęte, mały młynek nareszcie. Oto rysy fizyognomii miasteczka. Wszystko to razem wzięte nie jest malowniczem na równinie i piasku, wśród bajrakowatych i pokrzywionych sosen, lecz dzień jarmarku wielki i uroczysty, zwłaszcza dla arendarza, nadaje tej pustyni pozór ożywiony i całkiem nowy.

Po wszystkich drogach wiodących do miasteczka ciągną się liczne furmanki, wozy, bryczki kryte i niekryte, nejtyczanki domorosłe, wózki malowane, jeźdźcy, pieszaki, budy płócienne nadziane Żydami i rodziny Poleszuków, w których startej twarzy próżno szukałbyś śladów pomieszanych plemion jakie dawniej zajmowały Polesie.

Rynek cały napełnia się aż po kościół, a ludność wylewa się za ściskające ją płoty. Liczne wozy stanowiące tło jarmarku stawają jedne przy drugich, możnaby nieledwie powiedzieć jedne na drugich. Tu, jak się łatwo domyśleć, ognisko targu, mianowicie bliżej karczmy, w której pożądany spija się *mohorycz*. *Mohorycz*, gdzieindziej zwany *litkup*, *borysz*, jest dodatek do ceny towaru, poczastka znających się na grzeczności i przyzwoicie wychowanych ludzi, bez której nigdy wieśniak nie sprzeda, a gdy mu kupujący odmówi, choćby korzystną umowę z oburzeniem zrywa.

Ku południowi coraz się zgiełk powiększa, ze wszystkich stron słychać żywe rozmowy i najrozmaitsze odgłosy. Tam wół przyciśniony ryczy, tu koń rży niespokojny i wierzga w bok przechodzącym, piszczą wieprze na wozach poprzywiązywane rzucając się niecierpliwie, a wielka liczba kur, które się tu dobrze płacą, łączy swój głos z tysiącem innych, w których jednak głos pana świata człowieka zawsze prawie górę trzyma. Trudno jest odmalować rozmaitość postaci, głosów, rozmów, charakterów, fizyognomii, ubiorów, jaka się tu ściska i kręci. Żydzi z bezmianami na plecach, jak z bronią swoją, włóczą się za lnem, grzybami i woskiem; Poleszuki w białych sukmanach, z pasami czerwonymi lub z czarnej skóry, z kaletką, krzesiwem, papużą tytuniu i nieodstępną lulką w zębach kopcącą im nieustannie pod nos i gasnącą co chwila; Filiponi w wysokich kapeluszach i ogromnych butach, wzrostem i strojem w tłumie widoczni, Żydówki brudne, obdarte i chciwe, kobiety poleskie w chustkach, z uśmiechem na ustach, a kurami na ręku, Hollenderki w dziwacznych płaszczykach z paskowatych kolorowych spódnic zaimprowizowanych, Hollendrzy z ich rodzinną fizyognomią, Cyganie z czarnemi rozczochranemi włosami i t. d. i t. d. nareszcie nieocenione figury panów ekonomów w czapkach uszatych, w surdutach szarych, z kijami w ręku, z miną pogardliwą. Wszystko to w ruchu niepojętym, każda część ciała osobno działa i nie spoczywa na chwilę: oko sobie, nos sobie, ręka tam, noga gdzieindziej, a myśl czasem jeszcze osobno; począwszy od pierników i obwarzanków, aż do wołów i koni, wszystko się porusza, żyje, lata... wszędzie brzęczą pieniądze, twarz pali się żądzą zysku, nadzieją, lub zaspokojoną radością zwycięztwa.

Pod namiotem rozciągnionym naprędce nad powózkami wśród rynku, ruski kupiec z Łucka rozwiesza swe kolorowe towary zdaleka mile nęcące oczy Poleszek. Tu żeńska połowa jarmarku ciekawie i chciwie pożerając oczyma chustki kraśne, perkale barwiaste, ciśnie się i popycha, rozwiązuje starannie zawiązane węzełki dla kupienia nie drogiego stroju ceną kilku kur, lub starej faworyty kozy, którą już przemyślny Żydek zarznął zaraz wśród rynku.

Obok Żydki w kramikach siedząc nieodurzeni natłokiem ludu, wrzawą a krzykiem wszystkich, wołają, nęcą, proszą, cisną do siebie, kłócą się, targują, rozpłacają, rachują, biją nawet, zdając reszty, a uważając pilnie by jak najgładsze puszczać w świat złotówki, z zadziwiającą wszechstronnością i talentem godnym uznania. Między Żydem wielomównym, namiętnym, rozczochranym, a spokojnym kupcem ruskim waha się żeńska połowa. Żyd zna swoje sposoby przyciągania, zna tradycyonalnie jeszcze z ksiąg Salomona serce człowieka i serce żeńskie nadewszystko, uczył się słabości ludzkich razem z Talmudem od ojca, by z nich dla siebie korzystać, wie szerokie drogi i kręte ścieżki któremi do człowieka trafić można, ma tysiące środków na pokonanie ludzi bezbronnych, gdy im chodzi o zrobienie przyjemności sobie; przyciągając do kupna łechce próżność, wabi oczy, pociąga serce i durzy głowę nieboraka. Niejeden sam niewie dlaczego i na co kupuje; a nie umie się oprzeć urokowi żydowskich zachęceń.

Nieco dalej leży kupa sukman, świtek, burek, płaszczów, przy wielkiej skrzyni, otoczona gromadą kupujących, którzy ubrawszy się dziwują się sobie i uśmiechają na zwodzicielskie pochwały przedającego.

Trochę w bok znowu stoi wóz z kożuchami, przy którym podobne powtarzają się sceny; za nim drugi, nad którym wetknięto wysoką tyczkę z zawieszoną jako szyld parą bótów; tu sklep naprędce urządzony rozmaitego obówia, gdzie bogatsi Poleszucy zrzucają rozkisłe od błota stare bóty, a kupują nowe czarne, długie za kolana.

Tuż druga tyczka wysoko wywieszona z roztrzepaną papużą tytuniu wabi wieśniaków do ulubionego im przysmaku; targ krótki i cena niewielka, a satysfakcyi wiele.

Wielki skład czapek rozmaitych rozwieszonych na kołkach powbijanych w ścianę karczmy zachwyca chłopów otwierających przed nim oczy szeroko, gęby jeszcze szerzej. Stoją przed nim w swoich wyszarzanych białych czapeczkach sukiennych, lub wytartych barankowych, pretendenci do nowych; próbują, patrzą, zaglądają, uśmiechają się, naradzają, a kupiwszy nareszcie odchodzą ciesząc się, co chwila zdejmując z głowy by pogładzić rękawem, poprawując i oglądając się, czy cały jarmark patrzy na ich czapkę.

Dalej w szynku dymią ogniska, koło których jesiennem zimnem skostniałe ręce grzejąc Poleszuki zapalają swe fajeczki i przyśpiewując wesoło przystawują garnuszki z trochą krup, trochą wody. Poleszuk gdziekolwiek stanie, cokolwiek robi nie obejdzie się bez ognia i dymu; w Lipcu nawet przez nałóg rozpala sobie ognisko, może dla ulubionej lulki, która nieustannie gaśnie. Pod ściśnionymi w rynku

wozami, wśród najdziwniejszych sprzętów na przedaż, leżą i długie drewniane osikowe lub olchowe trąby, których przeznaczenia trudno obcemu na pierwszy rzut oka odgadnąć. Są to dymniki, czyli kominy chat poleskich, które pijani śmiejąc się armatami nazywają. Na wozach siedząc gospodynie same pilnują worków i czekają kupców; gospodarze najczęściej w karczmie za stołem, lub za kupnem się włóczą. Oprócz innych drewnianych wyrobów niemałym towarem są tu koła obodowe i łyka na postoły (łapcie, kurpie), które w pęki powiązane wiszą na wozach. Biedne drzewa!

U płotów stoi większa część wołów przeznaczonych na przedaż, żując chciwie zarzuconą im garść słomy. Koło nich kręcą się Żydki i panowie wolarze. Droga wiodąca od młynka do klasztoru zowie się uliczką Końską. Przez nią nieustannie chłopi ze swemi chmyzami, ekonomowie z odpasionemi kalekami, Żydzi z wypracowanemi szkapami przejeżdżają się klaskając z biczów i zamęczając do reszty swój nieszczęśliwy towar. Kiedy niekiedy targ ich zatrzymuje, znawca zastanawia, opatruje, maca gruczołów pod gardłem, bojąc się zakurzonej nosacizny, patrzy w zęby, ogląda nogi, gani, uśmiecha się i targuje. Nakoniec oszukać, to ani grzech ani dziwota; mają to wszyscy za coś nawet niezmiernie sprytu dowodzącego. Oszukują też nietylko Żydzi, ale i jaśnie wielmożni, powtarzając stare głupie przysłowie: Od żłobu do żłobu, kto kogo okpił, to chwała Bogu.

Dawniej było tak dalece obowiązkiem szlachcica znać się na koniu, że oszukanie się na nim poczytywano za najsłuszniejszą karę niewiadomości.

W targu jest wielka, a wielka sztuka. Kto kupować nieumie, ten i przepłaciwszy nie kupi; trzeba mieć doświadczenie i krew zimną kupca z professyi; nadewszystko trzeba mieć cierpliwość. Nawet strój właściwy przykłada się do dobrego kupna; kupujący powinien być trochę obszarpany, w baraniej czapce, z kijem w ręku, a minę mieć zbiednioną, niepoczesną. Zwyczajny targ od trzeciej części zażądanej ceny się poczyna i zarywa w początkach na kłótnię, która stopniami się uśmierza, aż w końcu przychodzi do ugody i przyjaznego jej zapicia mohoryczem.

Ku południowi zwiększa się liczba ichmościów, którzy z fajkami w ustach, z laskami w ręku najpoważniejszą część jarmarku stanowią, pań także i panienek kapeluszowych, szlafroczkowych, salopkowych, które się niespokojnie oglądają, czy kto młody przystojny na nie nie patrzy. Wiele czułych znajomości i małżeństw poczyna się od jarmarków.

Niektóre fizyognomije ożywia dobrze dokonana sprzedaż, inne korzystne kupno, inny dobry trunek; smutnie tylko ziewają ci, któ-

rym na wyjezdnem z domu przeszła drogę stara baba z próżnem wiadrem i przez to nic na jarmarku zrobić nie mogli. Próżne wiadra są zawsze przepowiednią pewną próżnego starania.

Na Końskiej uliczce koło wołów, ku wieczorowi dopiero zaczynają brzękać pieniądze, bo każdy kupujący, w nadziei spuszczenia z ceny pod koniec jarmarku, czeka z kupnem i ociąga się do wieczora. Wieczorem obraz jarmarku całkiem się zmienia.

Jak wszystko co się kończy, jak bal gdy świece gasną, jak gra gdy stolik odstawują, jak wszelki szał gdy po nim tylko usta spalone zostaną, tak i jarmark smutniejszy jest przy końcu. Niestety, jak wszystko, i jarmark skończyć się musi.

Tam pijani pokrwawieni trochę lub tylko pobłoceni, taczają się z babami za ręce trzymając i śpiewając chrypliwie, powoli, cicho; Żydzi śpiesznie pakują resztki towarów, zmierzch pada. W karczmie rozbite kieliszki i szklanki, pobluzgane stoły, błota choć orać i pijacy śpią pod ławami. Na rynku drzemią przygasłe ogniska, walają się szczątki jadła, stare łapcie, które ostatni raz na jarmark przyszły, a krew pobitych baranów psy liżą spokojnie; rzekłbyś pobojowisko, koło płotów znać po śladach woły, których już niema, kołki z nich pozrywane, gdzie niegdzie uleżana ziemia, tam coś rozsypanego, indziej rozlanego.

Po drodze wozy różne zaprzężone końmi i wołami ciągną z nowem kupnem; wszyscy weseli, bo wszyscy prawie prócz Żydów pijani. Cygan z żoną i synową, czarny, osmalony, odarty, któremu koszula z boku wygląda, gada jeszcze z chłopem w kącie tajemnie po cichu. Ten czapkę nowo kupioną nasunąwszy na uszy, z fajką zgasłą w zębach, z krzesiwem w ręku, które z kaletki dobył, słuchając krzesze ogień po palcach i skrzesać go nie może. Dwie cyganki z czarnymi włosami, z białymi zębami, obracają wieśniaka z dwóch stron i gładząc pod brodę starają się przekonać.

Wszystko się pakuje, wyjeżdża i śpieszy do domu. Przed chatami mieszczan janowskich żegnają się z nimi ich krewni, powinowaci, kumy, swaty, znajomi ze wsi sąsiednich, całują i rozchodzą. Ta scena jest najczystsza i najczulsza ze wszystkich obrazków jarmarkowych.

Tymczasem na drodze wiodącej ku młynkowi, rozmijają się bryczki, wózki, konni, i wszystko co żywe opuszcza miasteczko, na cały rok potem puste znowu jak przedtem aż do ŚŚ. Szymona i Judy.

Niema prawie w wołyńskiej gubernii znaczniejszego miasteczka któreby nie miało swojego jarmarku. Potrzeby miejscowe aż nadto usprawiedliwiają pracowite często starania o zaprowadzenie takich targów. Zjazdy liczniejsze same z siebie byłyby równie dla mało-

znających się i cały rok rozpierzchłych ludzi korzystne, gdyby tysiące pokus nie psuły na nich młodzieży. Nigdzie na świecie niema jej tyle, co w tym kraju po jarmarkach; nigdzie ona tak nie szumi i nie hula, nigdzie tak drogiego czasu, sił i pieniędzy nie trwoni. Na takich zjazdach zwykle karty, pijatyka i handlarstwo końmi, całe czasem tygodniowe zatrudnienie stanowią. Najsławniejszemi tego rodzaju zbiegowiskami są jarmarki berdyczowskie, dwa dubieńskie, jarmoliniecki i kilka innych, który dostarczyły dość materyi naszym powieściopisarzom.

J. I. Kraszewski

25. Piński powiat.

Spuszczając się z wysoczyzny podolsko-wołyńskiej w kierunku północnym ku Litwie za biegiem rzek wołyńskich płynących na północ do rzeki Prypeci, natrafia się na kraj zapadły i podmokły, pokryty jeziorami, bagnistymi lasami i łąkami, a gęsto przerznięty rzekami. Jest to naprzód zapadłe Polesie, a następnie tak zwana kotlina pińska, która corocznie idzie pod zatop wód. Gdy rzeki wpadające do Prypeci wzbiorą, a poniżej na porohach dnieprowych wsparte, obfitości swojej odlać nie mogą doraźnie, zamienia się Pińszczyzna w jedno wielkie jezioro i obszar przeszło 460 mil kwadratowych idzie pod zatop wód na przestrzeni od źródeł Prypeci aż do Czarnobyla, pod którym Prypeć wpada do Dniepru.

Wszystko to wskazuje na to, że tu przed wiekami było jezioro, wszakże już za historycznych czasów, bo na nieprzystępnych bagnach Pińszczyzny znajdowano już nieraz kotwice i szczątki statków morskich. Dziś zajmują wody tylko w czasie wezbrania obszar kotliny pińskiej w dawnych brzegach jeziora.

Osobny to świat, i Pińczuki są osobnym leśnym rodem osiadłym na dnie owego jeziora; i jak sami siebie mają za oddzielny ród, tak też są miani za oddzielny ród od sąsiadów. Wielkie tu są lasy i wypasy, oddzielny rodzaj bydła i koni. Pinczuk jest z rodu orylcem, myśliwym i rybakiem, trudni się wyrobem lasu, żyje z bydła, a żywi się głównie rybą i piskorzami, które tam wjunami nazywają.

Wjuny te mają swego króla w złocistej koronie, którego od wieków Pińczuki łapią i złapać nie mogą. Jest to czysty piński myt, z którym się każdy podróżny wjeżdzając w Pińszczyznę spotyka.

Powódź pińska podnosi się zrazu powoli, ale wzrasta bardzo nagle. Kiedy wody już najwyższego stanu dochodzą, wówczas to idą

pod zatop błonia, łąki i puszcze, a w sposobie wysp wznoszą się tylko wsie, miasteczka, pojedyncze kościoły, klasztory i dwory na powyższych ostrowach, na suchych ostępach i kępach położone. Cały lud pływa wówczas z bydłem i dobytkiem swoim pospołu na statkach i skupia się na suchych ostrowach, gdzie zakłada wielkie koczowiska i obozy, gdzie się odprawiają jarmarki i wesela. Statki te wodne są różnej wielkości i różnego kształtu: największe nazywają dubasami, następnie idą bajdaki, wiciny, promy, baty, krypy, szuhaleje i tak zwane czarnobylskie dęby wyrobione z jednostajnych pni.

Dziwną jest rzeczą, że kiedy wszędzie powódź uważaną jest za klęskę i nieszczęście, w Piuszczyźnie lud uważa ją za błogosławieństwo i oczekuje z upragnieniem na wylew wody. Powódź użyznia tu łąki i pola i zaopatruje lud na cały rok rybą, która suszona, wędzona, solona, marynowana, jest nietylko głównem pożywieniem ludu, ale nawet artykułem handlu i wywozu. Nadto niesie woda zawały drzew, któremi się każda okolica przez rok cały opala; a lubo to jest kraj, w którym nie trudno o drzewo, wszakże, gdy dostawa po złych drogach jest w pewnych porach roku trudną, a nawet niepodobną, znosi powódź każdemu paliwo na grunt i każdemu wolno wszystko co płynie łapać, na mocy obyczajowego prawa, które tam prawem brzegowem nazywają. Na noc ściągają się wszystkie statki do przystani, kęp i ostrowów, lub przywiązują się pod ścianą puszczy do starych drzew. Prześliczny to jest widok tych ognisk nocnych na wodach, płonących na statkach i łodziach, a zajmującym bardzo i malowniczym jest ruch tych łodzi w ciągu dnia, gdzie się każdy statek ze zdobyczą uwija i gdzie, śmiało to można powiedzieć, tyle jest życia na wodzie, jak nigdy nie bywa na lądzie.

Na czas też powodzi odkładają obywatele ziemscy i zjazdy i odwiedziny i zabawy, prostując drogę w żegludze od dworu do dworu. Wówczas to gromadzą się cygańskie bandy po ostrowach, a muzyka cygańskiej lub żydowskiej kapeli należy do charakterystycznej cechy tych koczowisk po ostrowach i suchych ostępach.

Tu odbywają się wesela i targi; każdy rad pozbywa co na wodach zdobył i każdy może tu nabyć za mały grosz lub zamianę to co woda naniosła. Mieszkańcy wszyscy są tak oswojeni z tą powodzią i tak przygotowani do niej, tak wprawni w prowadzeniu statków, tak pełni nadziei na szczęśliwy połów ryb, drzewa i zdobyczy, jak gdyby tu powódź normalnym stanem była, a wyjątkowym ląd suchy. I niema co się dziwić temu, bo tylko na wodzie i po lodzie jest tu przeprawa łatwą, w czasie wezbrania wód, na statkach, a w czasie zimy wzdłuż zamarzłych rzek, które wówczas za gościniec służą. Zresztą są drogi bardzo złe: na całe mile częstokroć długie bagniska przy-

chodzi przebywać po niespojonych mostach z okrąglaków, lub po bagnistych groblach, które osadę z osadą łączą. Pomost taki pływa częstokroć po bagnie, zatapia się znacznie gdy się na niego wjeżdża, a podnosi się następnie za powozem i końmi tak, że konie w błocie i w wodzie brodzą. Mosty też są częste i powódź znosi je, tak, iż je na nowo budować lub naprawiać wypada po powodzi. Ztąd był na Litwie urząd Wielkiego Mostowniczego, którego pieczy i dzisiejsza Pińszczyzna, leżąca niegdyś w województwie Brzesko-Litewskiem, oddaną była. Mostowniczy miał obowiązek utrzymywania głównych dróg prowadzących z wołyńskiego i kijowskiego Polesia ku górnej Litwie. Mostowniczy zjeżdżał tedy na wody pińskie, sprawował w czasie powodzi sądy w charakterze grodowego starosty, a po opadnieniu wód czuwał nad naprawą wałkowych dróg i mostów. Krzyżacy i Tatarzy wojując Litwę robili tu wyprawy w czasie zimy po lodzie; dziś robią się tędy wszelkie odstawy ku Baltykowi na rzekach i kanałach, a po lodzie do Kijowa i Kremenczuga.

Kiedy tu o czasach mostowniczego wspominamy, muszę także objaśnić pewien szczegół: to jest, że litewscy i pińscy Cyganie obierali sobie króla, który ich rządził i sądził. Królem takim wszakże mógł być tylko szlachcic dobrze osiadły, który nad nimi samowładnie panował, a bronił ich tam, gdzie wyjęci z pod prawa Cyganie potrzebowali prawa. Król cygański pilnował tego głównie, aby się Cyganie do pewnych rzemiosł sposobili, w stadłach małżeńskich żyli z sobą, a dzieci podawali do chrztu. Z rodu byli Cyganie oddani głównie następnym rzemiosłom: kowalstwu i ślusarstwu, z czem się łączyło leczenie koni i bydła, kotlarstwu i pobielaniu naczyń miedzianych, muzyce i wróżbie. Jedne zatrudnienia czyniły ich tedy jako rzemieślników potrzebnymi, a gdzie nie dopisała praca, tam bawiła muzyka, oprowadzanie tańcujących niedźwiedzi, lub wróżenie po dworach i chatach. Tradycya, że Cyganie dzieci po dworach i chatach kradną, daje się usprawiedliwić tysiącem dziwacznych powieści i obawą matek o małe dzieci, która się i dziś ponawia, ile razy banda cygańska do wioski się przybliża. W każdej bandzie wodzą rej niewiasty, a starszeństwo hersztom rozdaje najstarsza w szatrze niewiasta, bandoszką zwana, której się zdaniem rządzą i która zazwyczaj lekarką bywa i przechowuje tradycye i tajemnice całej szatry. Bandoszka ma więcej poważania nawet od samego herszta Cyganów; a królową szatry jest młoda niezamężna jeszcze niewiasta, która albo pięknością, albo dobrocią, albo sprytem i rozumem podbija sobie umysły. Idąc za mąż przestaje być królową.

Są cuda w ziemi i na niebie, o których nie śniło się ani geogra-

fom ani estetykom naszym; a o którychby mówić potrzeba, bo się przydać mogły i dla geografów i dla estetyków naszych.

Powódź w kotlinie pińskiej jest wprawdzie tylko czasową; ale jest ona największém jeziorem lądowem, jakie widzieć można w Europie.

W. Pol.

26. Północno-zachodnie gubernije.

Kluczem do poznania natury na dawnej Litwie jest nazwa, jaką jej dają krajowcy w języku litewskim.

Letuwa Żeme znaczy dosłownie ziemia dżdżysta. Jest to ścisłe meteorologiczna nazwa; ale tą nazwą objęte jest wszystko; bo klimatyczne stosunki są najwyższym zbiorowym wyrazem natury każdego kraju.

Ziemia dżdżysta, to tłumaczy jej położenie północne, nadmorskie.

Ziemia dżdżysta, to tłumaczy bogactwo wód lądowych, jednostajnie wysoki stan wód wielkich jezior i spławność nietylko rzek głównych, ale już i najmniejszych częstokroć, które z wielkich jezior biorą swój początek.

Ziemia dżdżysta, a więc i podmokła i mglista, sprzyjająca bujnemu porostowi drzew, kraina lasów i puszcz.

Ziemia dżdżysta, mglista, leśna więc wpływa bezpośrednio na etnograficzne stosunki i lud jest myśliwym, rybakiem, łowcą i bartnikiem. Rolnictwo szerzy się tylko na spaleniskach i pasiekach, a pług walczy tu przez całe stulecia z wrzosowiskami, które trudniej jest wytępić od starodrzewia czarnych lasów i od puszcz zawalnych. Z tych wrzosowisk zbiera głównie pożytek leśna pszczoła.

W puszczach lęgnie się wszelki zwierz i rosną wszelkiego rodzaju grzyby i jagody; a rzeki i jeziora dostarczają ryb tak wielką ilość, że ryba jest głównem pożywieniem ludu i bogactwem kraju.

Dla badacza tedy natury daje już nazwa ziemi dżdżystej cały obraz kraju i podziwiać przychodzi trafność tej nazwy, która w jednem słowie daje cały geograficzny obraz ziemi.

Dodać tu jeszcze musimy że cała Litwa jest zasiana odtokiem skandynawskiego granitu. Odtok ten jest kulistego kształtu, począwszy od wielkości najdrobniejszego ziarnka piasku, aż do brył mających trzydzieści, a nawet do trzydziestu dwóch stóp w przecięciu. Odtok ten leży luzem i zajmuje wyższe stanowisko poziomu niekiedy

w przymieszaniu glin napływowych. Te rumowiska granitów tworzą małe wysoczyzny, pasma lekko pagórkowatych wyżyn i wyższe spłaziny, a niższe stanowiska zajmują dopiero kwarcowe piaski, czarne leśne ziemie i doliny czarne, żyzne łąki, błotne rudy, odkryte lasem nieporosłe błota *rojstami* tu zwane, które w końcu na obszarze i za obszarem Dźwiny przechodzą w *pustacie* (tundra) charakteryzując kraje północnego bieguna i jemu przyległe.

Litwa byłaby w małej tylko części krajem osiadłym, gdyby geologiczny pokład jej ziemi nie był przesiąkający; ale rumowiska i żwiry skandynawskich granitów, wydmy i ławy kwarcowych piasków, a w końcu gąbczaste pokłady rud, hałów i pustaci spożywają tę miejscową wilgoć z łatwością; i to jest przyczyną, że w przeciągu wieków, gdy się główne rzeki wyrobiły wyłomami ku morzu, osuszyła się Litwa, bo jeziora wielkie podzieliły się na mniejsze, a miejscami na dnie dawnych jezior leżą dziś łąki, rudy i pustacie, a szczątki statków wodnych i kotwice, które nieraz już na błotach znajdowano, świadczą, że wnętrze Litwy zapadłej łączyło się niegdyś zwierciadłem wód jeziornych z morzem otwartem.

Tam gdzie Dźwina płynie wyłomem skalistym, tam gdzie Niemen na przestrzeni od Grodna do Kowna przedarł grzbiet litewskiego pojezierza, odkrywają rzeki malowniczo wnętrze kraju. Również płynie i Wilja doliną poprzeczną prawie na całej przestrzeni swojego biegu i głęboko wjada się jej koryto w grzbiet litewskiego pojezierza.

Na wyłomach zmienia się roślinność i liściaste lasy malowniczo grupują się po nagłych zboczach, lub pomiędzy nagiemi skałami, które amfiteatralnie spadając ku dolinom i wodom zwierciedlą się w ich wstęgach.

Rzadko uśmiechnie się natura na Litwie; ale pełen czarodziejstwa jest ten uśmiech, w którym swe tajemne wdzięki rozkrywa.

Wody, które biorą swój początek u cichych jezior, spadają na zabrzeżach tych głębokich dolin w przepysznych wodospadach. Po skalistych zboczach i ścianach pną się malownicze lasy listne, dęby, brzosty i rozsiadłe lipniki. Zaledwie można uwierzyć patrząc z głębi tych dolin na linie pełne ruchu i na cieniowanie kolorytu drzew, że jest się na równinie w ziemi dżdżystej i przyległej morzu.

Ziemia tutejsza nie jest lesistą, jak o niej mówią powszechnie, ale raczej jednostajnym lasem, miejscami tylko wykarczowanym; bo orne i bezleśne obszary, lubo w pewnych okolicach znaczne, nikną w porównaniu do niezmiernych lasów, które tam nazywają puszczami.

Nic zdaje się nie utrudza bardziej oka i umysłu, jak widok tych puszcz ponury i jednostajny, nieprzebyte morze iglastego drzewa na

piaszczystej nizinie. Spodem nagie proste pnie, a górą ciemne sklepienia w jeden strop zrosłych gałęzi.

Prostemi liniami ciągną się przez puszcze drogi rządowe. Po jednej i drugiej stronie na kilka prętów wycięty jest bór i widać szpalery z zielonych drzew sadzone, które wszakże boleją i wysychają z laty w obcą sobie przeniesione ziemię.

Miejscami sterczą w miejscu tych drzew nagie pale bite ponad drogą w jałowym piasku, niby drogoskazy dla zimowych podróżnych. Około nich po jednej i drugiej stronie drogi ciągną się dosyć wysokie opłotki, pomiędzy które piasek sypany na sposób grobli wynosi gościniec po nad bagna.

Miejscami, gdzie ziemia grzązka, gdzie kraj więcej zapadły i już nie ma piasku, przebywa się szerokie częstokroć na kilka mil bagniska na wałkach lub pomostach, po których znowu idą piaski albo groble.

Żałośnie ginie w puszczach odgłos pocztowego dzwonka, a koń we własnym wozie, chociażby najdzielniejszy, tępieje po kilku dniach podróży i zaciąga się w piasku. Po wałkach dudni kałamażka całemi godzinami i wyrzekając na drogi mijają się z sobą podróżni, lub popasają razem, zjechawszy z drogi pod ścianę puszczy, gdy konie ustaną.

Wszakże kto się z tych gościńców w głąb puszczy rzucił i opatrzył jej wnętrze, doznał zapewne innego wrażenia i uczuł, że to nie widok puszczy, lecz widok prostych linij tak trudzi, które dla dróg wycięto przez puszczę.

Rozkrywa tu przyroda przed człowiekiem jakoby swoje wnętrze i świat jest tam mniej powabnym, ale głębszym i prawdziwszym, a myśl idzie tam jakoby dnem życia.

Ów tajemniczy mrok i ta wpółsenna cisza, która owiała sklepienia olbrzymich drzew, zdaje się zapowiadać, że tutaj przyroda gotuje się do czegoś innego; z głębi puszczy, z poza cienistych łomów i przysłonionych gałęzi przegląda oczekiwanie i brak czegoś, widocznie wichru.

Wichru, bo on tylko zdoła je ożywić dla człowieka. Wichru, bo on wprowadza dramat w naturę przysłonioną urokiem.

Bo kiedy wicher silniej dmie, czuć go i na dole pod sklepieniem puszczy, i paproć się skłania i wrzos wylega i wody się marszczą; ale najczęściej powiewa tylko wierzchem drzew mocniej i słabiej na przemian w sposób olbrzymich fal, z których jedna po drugiej bije, lub wstrzymuje się na chwilę czekając zanim poprzednia odpłynie.

Czarodziejską jest ta gra puszczy i wprawia umysł w jakieś dziwne zadumanie.

mają nieraz drzewa

W tym poświście miljonów zielonych igieł, ...am s... tak cienkie, wietrzu kołysząc się na konarach drzew, leży jakiś wątek ... krokwie. śni, dzikiej i rzewnej, a osobliwym jest widok takiej puszczy w ... gdy szumi. Patrzącemu na nią z wierzchu wysokiej sosny rozściela się ona jak ciemna równa tarcza do koła nakryta szarym kielichem niebios.

Zda się, że nic nie widać, jak nic nie widać na morzu; wierzchołki drzew mącą się i płyną i biją jak łany kłosów, jak fale morza, a po nich duch puszczy pławi się i owiewa skronie jędrnym oddechem tej dziczy.

Spuszczając się na dół, tylko czasami przeciera się wierzchem zielony strop puszczy i widać szybko przemykające się chmurki, jak szare płatki po ciemnem sklepieniu. Na dole nieład przedwiecznego lasu, zawały, złomiska porosłe skorupami mchów, owiane lekkiemi kitkami paproci.

Czasami wiatr wywali sosnę lub jodłę z kretesem, która druzgocąc napował szmat lasu postawi korzenie kilku, a nawet kilkunastu drzew wraz z ziemią, niby ścianą na poprzek puszczy. Z pomiędzy korzeni opuszcza się młody porost leśny, na piętrze niby ze ściany wyrosły i wysycha gdy mu tam na życie zabraknie. Jeżeli się te złomy niepokryją mchem, wówczas deszcze i śniegi wypłukują resztę ziemi, a tak leżą i sterczą na poprzek puszczy stare i młode szkielety drzew, jak kłęby wężów poplątane z sobą korzeniami.

Daleko nieraz taki zawał potrzeba obchodzić. Czasami zwali się w jedno miejsce różnemi latami kilka podobnych złomisk, a gdy się pokryją podsłaniem roślinnem, sterczą jak twierdza, do której tylko zwierz zna drogę.

Tego rodzaju są całe puszcze nieprzystępne i nieznane, gdzie jeszcze ludzka nie postała noga.

Takie to najeżone łomy i zawały drzew, jeżeli opodal od pasiek i siedzib leśnych w głębiach puszczy leżą, nazywają myśliwi gawrą niedzwiedzią, albo matecznikiem.

Zamęt tej roślinności lasów litewskich byłby daleko większy, gdyby tu nie był prawie zupełny brak wijących się roślin, które w innych strefach pnąc się po drzewach i krzewach zmieniają widok puszcz w majowe ściany i nieprzebite sklepienia; lecz wijących się roślin brak tu zupełnie, i to nadaje puszczom w ogólności ów chłodny i trzeźwy wyraz roślinności północnej w okolicach, kędy nie są młodem drzewem lub krzewami podszyte.

Płytko pod powierzchnią piasku wszędzie prawie z łatwością dobyć można wodę; po niższych stanowiskach puszczy wystarcza kilkakrotne uderzenie nogą w jedno miejsce na to, żeby wystąpiła wo-

piaszczystej nizinie, iż jest tak nizkim, iż nie zdoła utrzymać wód i zapienia w jednagnie; brzegi bowiem są na znacznej bardzo przestrzeni mokłe i nieprzystępne, a rzeki płyną tak wolno, iż zaledwo płynąć się zdają, iż długo wypada na nie patrzeć, aby poznać kędy wagę wzięły.

Zaledwo uwierzyć częstokroć można, że się nad brzegami spławnej rzeki stoi, tak mało wzniesione, tak niepozorne są brzegi tych rzek wzdłuż rozciekłej puszczy płynących; a wody ich są miękkie, rude, kawowe, niekiedy zupełnie czarne, tchnące żywicą sosny.

W ogólności rzec można, iż wyjąwszy wyżyny litewskiego pojezierza, pochyłość kraju ku rzekom jest miejscami tak małą i tak bardzo przerwaną, iż cała massa wód z puszcz litewskich nie zdoła zebrać się w sobie i odlać rzekami. Powstają tedy zbiory wód spartych, lub stojących, które przerywając w części lub zupełnie roślinność puszczy nadają pewną rozmaitość widokom kraju.

Miejscami napotyka się na rojsty. Są to duże, dzikie, dymiące się błota, ostrowami mchu rudego i kępami skrzypiu porosłe. Po suchszych nieco miejscach przerzucają się osoczyste trawy. Gdzieniegdzie wykrzywia się po tych ostrowach karłowata błotna brzózka, lub bajrakowata sosenka, oczepiona papuziemi liszajcami, lub ostrem opleciona zielskiem. Z kępy na kępę skacząc, a spoczywając niekiedy na większym ostrowie, przebywa rojst myśliwy. Pomiędzy kępami drży pod jego nogą bezdenne trzęsawisko, a niemą ścianą otaczają puszcze w znacznem oddaleniu dokoła rojstowate bagna. Miejscami zdarzy się śród wielkich odkrytych błot mała spłazina, na której porosły gaik brzozowy, lub kilka samotnie wgórę wystrzelających sosen, nadają zupełnie inny wyraz całej okolicy, niby samotna oaza w pustyni błotnej.

Jeżeli wody leśne zbierają się na twardszem dnie i cieką węższemi pasmami wzdłuż puszczy, wówczas powstają tak zwane brody, które nie mając spadku wzbierają pod dżdżystą porę, a podsychają na pogodę. Dno brodów twarde, nieobrosłe, a wody ich czyste, przejrzyste, stoją miałko na piasku. Ztąd też prowadzi często droga na te brody i przeprawa lżejszą bywa wzdłuż nich, niż po głębokich piaskach lub po ługach bagnistych.

Niekiedy obiega takowy bród obszar puszczy do koła znacznie wyniesionej i to nazywają ostępem. Myśliwi mają takie ostępy za oddzielne knieje; dogodnie tam bowiem sieć rzucić, naręcznie psami podkładać i łatwo rozstawić myśliwych na ich stanowisku.

Roślinność zwykle na ostępach bujniejsza, wrzos obfitszy, drzewa większe; lubo w ogólności powiedzieć można, iż nigdzie w Europie drzewa iglaste nie dochodzą tej wysokości i grubości, co w tej

okolicy. Osiem do dziesięciu sążni wysokości mają nieraz drzewa po gonnych zapustach nowoporosłej puszczy, a przytem są tak cienkie, iż zaledwo użyćby się dały na tyki, łaty, lub na drobne krokwie. W podobnych gonnych drzewach czyni wiatr wielkie spustoszenia.

Gęsto napotyka się na drzewo, które kilku chłopów objąć zaledwo zdoła u spodu i nie ma piły, któraby sięgała przez wszystkę grubość masztowej sosny.

Lubo każda puszcza oddzielną nosi nazwę, dodaje jej lud przymiotniki, które zarazem oznaczają jej właściwość. I tak naprzykład powiadają: „To starodawna puszcza, czarna, zawalna, sucha, zapadła, młoda, głucha, biała, lub zielona puszcza;“ a w każdej z nich z mniejszemi lub większemi odmianami też same rojsty, ostępy i brody, też same sosny i okrajne brzeziny, też same wrzosy i jałowce, mchy i paprocie, też same rodzaje jagód, grzybów, kopce odwiecznych mrowisk, też same łomy pokrywają ziemię.

Miejscami śród lasów rozświeca się puszcza i widać wyżej niebo, gdy rozdnieje pod zielonem sklepieniem, a niżej wody błyszczące rozlane szeroko. Są to jeziora Litwy szklanne i blade, jak niebo litewskie.

Tutaj zbiega się w większych massach runiony skandynawski granit kulistego kształtu, którym wieki potaczały po dnie morskiem, a którym kraj cały jest zasiany.

Brzegi tych jezior niekiedy zwolna przysposobione i wyniesione nieznacznie, niekiedy niewiedzieć zkąd nagle wznoszące się z równiny i skaliste, niekiedy równe zupełnie, nikną mielizną i w porostach szuwaru zaledwo widoczne są na piasku.

Patrząc od strony jeziora widzisz dokoła bór niemy, dołem podobny do olbrzymiego częstokołu, a u góry niby zacierniony choiną całej puszczy.

Dziwna, tęskna spokojność towarzyszy takim okolicom.

Cicho stoją wody na piaszczystem dnie. Tu i owdzie sterczą z wód bryły granitu dziwacznego kształtu podobne do małych wysp. Wody czyste, przejrzyste, dno jeziora twarde, a na wodach północne ptactwo w niespłoszonem stadzie, a po granitach mchy odwieczne. Gdzieniegdzie rzuci się wielka ryba i drobna fala zatoczy kręgi po jeziorze.

Lekki chłód powiewa od wód; środkiem jeziora nie ujrzeć nigdzie trzcin lub szuwaru, a na pogodę zbiera się pod ciepłą mielizną wesoły narybek i po cichszych zatokach jeziora rozwiera dziewiczy swój kielich wodna lilja, niby samotna nimfa tych północnych jezior.

Jak twarz niewiasty nabiera nowego uroku i nowych wdzięków

od tej tajemnicy, która się kryje za jej lekką zasłoną, podobnież dodają wdzięku tym chłodnym widokom jezior litewskich poranne lub wieczorne mgły powstające z wód, lub ścielące się nad wodami, zwłaszcza gdy część tylko obrazu przesłaniają pod pogodny czas.

Już w nocy poczynają te mgły grać po nad jeziorem, do Ossyanowskich cieni podobne przy świetle księżyca. Lecz całego uroku nabiera dopiero wówczas ten widok, gdy rumiana zorza obleje jezioro, gdy blask słońca pali ukośnym promieniem lekko zmarszczoną powierzchnię, a przeciągłe cienie puszczy padną daleko na wody.

Po przejrzystych toniach widać już zdaleka cicho chodzące ryby i każdą kulę oslizłego granitu leżącą od wieków na dnie i słychać każdy odgłos dzikiego ptactwa od przeciwnej strony. Z chat leśników nad brzegami jezior wznoszą się wysmukłym słupem błękitne dymy, lub ścielą się pary rannego ogniska; a lubo zupełna cisza panuje w powietrzu, śmiałymi jednak ruchami bałwani się mgła i przewala białymi kłębami środkiem jeziora, lub zawiesza się wieńcem lekkich chmurek pod ścianą puszczy i po cichszych zatokach; jaskółczym lotem przecina ją z wrzaskiem morska rybitwa, a z pod niej wysuwa się łódź drobna od brzegu, znacząc za sobą na wodzie długą lekko namarszczoną ścieżkę.

Innym zupełnie jest ten widok, kiedy zerwie się wicher i gdy niebo się zasępi, kiedy szum wichru, szum puszczy i szum fali zmiesza się i pokłóci z sobą; wówczas wysokie czarne fale biją gwałtownie ku brzegom i puszcza od nich jeszcze czarniejsza, a niebo nad nią nizko zawieszone szare; wszystko groźne i ponure, wszystkie ciche głosy natury niemieją i słychać tylko wrzask czapel, które trwożliwie zrywają się ze swoich gniazd gęsto usłanych na szczytach sosen po okrańcach puszczy.

Ileż to takich jezior na Litwie! Właściwą też jej charakterystyką w dwóch słowach objętą są wielkie jeziora lądowe i puszcze północne.

Ileż to takich jezior większych i mniejszych, z wyspami i bez wysp, przy osadach lub w głębi lasów leżących! A kiedy się pominie brzegi takiego jeziora, zasuwa się znowu puszcza po nad głową i dawna powraca ponurość.

Miejscami kraj wznosi się nieco, a nawet znacznie; wpośród starodrzewnych lasów ciągną się jakieś wały i nagle powstają jakieś wzgórza i kopce usypane niby sztuką. Są to odwieczne wydmy w wielkich falach złożone do poziomu i nasypy lotnych niegdyś piasków, które się z wiekami ustaliły i porosły borem.

Miejscami ogromne obszary zalegają gołe wydmy. Tam wia-

try z piaskami mają swoją grę i niekiedy całą okolicę zamieniają w piaszczystą pustynię.

W. Pol.

27. Niemen.

Niemen, po łacinie Curuntius, po niemiecku Memel zwany i dopiero w X-tym wieku wspominany, ma swoje źródła na południowej pochyłości pojezierza litewskiego pod wodnym działem u mnogich jezior w okolicy bagnistej i wielkiemi borami porosłej. O milę od swych źródeł ginie właściwy Niemen w dwóch małych rzeczkach, z których jedna Łoszą, a druga Usą jest zwana i bywa od tamecznego ludu, na tej przestrzeni aż do Piasecznej, Kopanicą zwany. Ztąd dalej płynie już pod nazwiskiem Niemna wężykowato i w wielkich kolanach zrazu ze wschodu na zachód, mimo Mohylna, Świerzna, Billicy, Mostów do Grodna; tutaj wykręca się nagle ku pełnej północy i przybywa w tym kierunku pod Kowno. Ztąd łamie się znowu pod 55-tym stopniem północnej szerokości ku północo zachodowi, a następnie przybiera zupełnie zachodni kierunek i przestaje już na nim aż do ujścia swego, pomijając Wielonę, Ragnetę i Tylżę. Dwie mile poniżej Tylży dzieli się koryto Niemna na dwie odnogi, z których prawa odtąd Rosą, także Rusą, czyli Rudą jest zwana, lewa zaś Lilią od Litwy, a Gildą od Niemców. Obydwie wylewają się do zatoki Kurońskiej; Rosa zaś dzieli się jeszcze na samem już ujściu na trzy nowe ramiona. Na rozwarciu tych obydwóch odnóg i onych ramionach pomniejszych legły żuławskie zaniemeńskie ziemie, które zajmują przestrzeń 50 mil kwadratowych i powstały z naniesionego leśnego żułu wód niemeńskich.

Górny bieg Niemna sięga Grodna, średni Kowna, dolny nakoniec dosięga zatoki Kurońskiej. W prostym kierunku źródła Niemna odległe są od jego ujścia na mil 75; cała zaś jego długość wynosi mil 100; przeto na zakręty policzyć należy mil 25. „Rzeka ta, mówi Długosz, wykręca się tak krzywo i wężykowato, iż nieraz flisowie biorą ogień ze swego wczorajszego ogniska zbliżywszy się do niego po zakrętach rzeki.“

Górny bieg Niemna zajmuje przestrzeń około 42 mil; średni 27, dolny 41, a całe dorzecze jest rozłożone na obszarze 2325 mil kwadratowych.

Nieznaczne tylko wyżyny oddzielają Niemen od dorzecza Prypeci na górnym biegu; a w okolicy Grodna na początku swojego średniego

biegu styka się on prawie z dorzeczem Wisły przez zapadłe bobrzysko, z którego uchodzi ku Wiśle rzeka Bobra. Jak tam ku Prypeci, tak téż i tutaj mógłby Niemen odlać swoje wody ku Wiśle, gdyby nie natrafiał na brzegową caliznę, którą jego wart przebiera się na znacznie wyżej położony poziom kotliny pińskiej i rojstów Bobrzyska.

Pod względem rozgałęzienia wodnego nie jest Niemen tyle ważną rzeką co Wisła. Dorzecze jego ciągnie się wązkim pasem i w porównaniu swojej długości nie ma odpowiednich ramion.

To sprawia także, iż rzeki wpadające do Niemna, okrom jednej Wilji, niewielki wpływ wywierają na właściwy mu kierunek. Potrzeba je tylko uważać jako wody posiłkowe, które jedynie potęgę głównego wartu wznoszą. Najznaczniejszym dopływem Niemna jest Wilja, a ta przebiega zaledwo przestrzeń mil 30.

Na górnym biegu płynie Niemen wzdłuż południowych stoków połogiego działu pojezierza litewskiego w płytkich brzegach korytem piaszczystem i zostawia na zakrętach szerokie odmiały.

Między ujściem Uzdy a Kotreny (Kotry) leżą wzdłuż jego wybrzeży podmokłe łęgi; toż na ujściu zachodniej Berezyny, kędy Niemen wielkiem kolanem ku Mikołajewskiej puszczy się wykręca.

Od Grodna do Kowna przerywa Niemen w poprzek na przestrzeni 27 mil grzbiet pojezierza litewskiego. Wzdłuż tego wyłomu wjada się jego koryto w twardą caliznę skał kredowych, a z niej sterczą jeszcze nadto olbrzymie rumowiska i odtoki skandynawskiego granitu. Przestrzeń ta jest pełna malowniczych piękności. Na chwilę uderzają tu oko gorskie jakoby widoki, lecz na małą skalę, strome i ostro szarpane zabrzeża na 50 — 100 stóp wysokości ciągną się opodal potężnego strumienia, który tutaj wartko uchodzi wzdłuż szerokich łęgów. Łęgi te rozściełają się miejscami na 1000 sążni u stóp otwartych zabrzeży i bywają także zrzadka zasiane odtokiem granitu. Poboczne doliny, których brzegi spadają w stromych ścianach ku dolinie niemnowej, odlewają tutaj, podobnie górskim potokom z szumem w nagłych spadkach, swe wody, lubo u spokojnych jezior początek swój biorą. Ponurość puszczy znika, a roskoszne chrosniaki i świeże zawoje lip, brzoz i dębów wieszają się po wierzchowinie i po nagłych zboczach. Piękność tych widoków zamyka dolina kowieńska. Poniżej zmienia się nagle kraj; brzeg opada, a nadbrzeżne wody cichną; zapadłe bagniste puszcze ciągną się dużymi płatami wzdłuż rzeki, spadek wód wolnieje i zrzadka dają się tylko tu i owdzie jeszcze spostrzegać w łożu rzeki odtoki granitu; ale gliniaste lub piaszczyste brzegi spadają jeszcze dosyć stromo ku wodom, dopókąd Niemen nie pominie Ragnety, gdzie już ostatnie pozostają

wzgórki. Ztąd poczyna się właściwie obszar jego ujścia, kraj zupełnie równy i prawie bezleśny.

W okolicy Tylży natrafia się po prawym brzegu rzeki, miejscami w znacznem oddaleniu, na stare łożysko Niemna podobne do bagnistych podłużnych jezior.

Najurodzajniejsze może ze wszystkich ziem żuławskich są żuławy zaniemeńskie położone na ujściu obudwu niemnowych odnóg Rosy i Lilii. Jest to kraj zupełnie równy, osuszony przekopami i gęsto-przerznięty, a groblami utwierdzony i od wylewów bezpieczny. Wszakże mszyste bagno szeroko rozciekłe po lewym brzegu Lilii wymaga jeszcze starania i kosztów zanim pójdzie pod pług, podobnie jak moczary tu i owdzie leżące po prawym brzegu Rosy, kędy powodzie w czasie wylewów Niemna dochodzą.

Na całej przestrzeni swojego biegu Niemen unosi ciężkie namuliste wody mnogich puszcz, leśnych brodów i mnogich jezior; na średnim tylko biegu dopływy jego mają pozór górskich, albo raczej podgórskich strug, z powodu znaczniejszego spadku. Toż daje się powiedzieć nawet o największej Wilji, której całe koryto leży wysoko w poprzecznej dolinie, to jest na samym grzbiecie pojezierza litewskiego, czyli tak zwanej Wysokiej Litwy. Wody jej uderzają tak potężnie na koryto Niemna, że poniżej jej ujścia skręca się on ku zachodowi.

Jest to jedna z własności wód jeziornych: zwykły stan rzeki, którą posiłkują, w jednostajnej utrzymywać wysokości. Ztąd też jest Niemen już u źródła prawie spławny; od Mohylna chodzą już po nim wiciny i bajdaki; a od Kowna nawet i powiększe berlinki.

Położenie źródeł nad poziom morza wynosi stóp 500; na górnym tedy biegu aż do Grodna ma stopięćdziesiąt pięć stóp spadku.

Pod Grodnem, gdzie Niemen oddalony jest od swojego ujścia jeszcze na 68 mil, powierzchnia jego wód leży na 345 stóp nad zwierciadłem morza, a powódź wód zwyczajnych rozlewa się na 40 do 116 sążni szeroko; spadek wód jest nagły, a żegludze stoją na przeszkodzie częste rafy i sterczące z wód kamienie; mianowicie zaś wadzi to statkom holowanym pod wodę, lubo znaczną część tych raf jeszcze dawnemi uprzątnięto czasy.

Od Kowna spadek wód wolnieje, łoże Niemna jest odtąd bez zawady i leży tu 71 stóp tylko jeszcze nad zwierciadłem morza, a powódź wód w zwykłym stanie rzeki rozlewa się na 133 sążni szeroko i uchodzi poważnie ku morzu po równej prawie podłodze.

Kiedy lody po brodach, puszczach i jeziorach puszczają na dorzeczu Niemnowem, a kra idzie i spory robi, wylewa Niemen szeroko, a mianowicie na dolnym biegu i w okolicy żuław zaniemeńskich, czyli na tak zwanych nizinach tylżyckich. Tu wznosi się nieraz po-

wódź na 21 stóp nad zwykły stan wody, przerywa groble i zalewa całe okolice. Rosa jest odnogą znacznie większą od Lilii, ale Lilia dla połączeń wodnych jest więcej uczęszczana od żeglarzy. Na samem już ujściu koryta obudwu są głębsze od zatoki Kurońskiej; ztąd spiera się na niej cała massa wód i zrządza wylewy. Takie powodzie bywają niekiedy także w czasie Świętojańskiej Zrutki, gdzie nieraz świeżo skoszone z łąk litewskich trawy zielone dostają się Niemnem na morze.

W czasie wezbrania wód niesie Niemen zawały i wielkie kłody, które się tam dopiero zbierają, gdzie rzeka na dolnym biegu wolnieje w spadkach. Tu niekiedy cała powierzchnia wody okrywa się temi płynącemi zawałami na przestrzeni od Tylży aż do ujścia Niemna i cała okolica żuław niemnowych, która jak mówiłem jest bezleśną, opala się tem łapanem drzewem.

Cała dolina Niemna legła w owem najgłębszem wyżłobieniu historycznego obszaru Polski; ztąd pochodzi bogactwo jego wód, które należą głównie do rodzaju wód leśnych i jeziornych. Rzeki, które z sobą unoszą, płyną nie na wielkiej przestrzeni, ale zbierają się po leśnych brodach i puszczach, lub biorą początek u mnogich jezior na grzbiecie litewskiego pojezierza. Leśne i jeziorne wody zlały się tu wspólnie tak na górnym, jak na średnim biegu Niemna; ztąd pochodzi i bogactwo jego wód i donośność tych wód, zwłaszcza że Litwa jest już z nazwy swojej *Lituwa ziema*, to jest ziemia dżdżysta. Klimatyczne tedy stosunki wyrażają się tu najwierniej w stanie wód bieżących.

Niemen nie wpada wprost do morza; to wyznacza mu podrzędne stanowisko w rzędzie rzek bałtyckich. W systemacie wszakże kanalizacyi odgrywa on pod względem stosunków wodnych i połączeń pomiędzy Wisłą a Dnieprem wielką role.

Muszę tu zrobić uwagę, że pierwsze wiosenne wody na Niemnie, które kry i lody znoszą, nazywają się litewskiemi, drugie zaś ruskiemi wodami, które wtenczas przybywają na dorzeczu niemnowem, kiedy na wierzchowinie północnej śniegi i lody poczynają tajać w skutek ocieplenia się powietrza. W ogólności zaś można tu powiedzieć, iż z powodu dżdżystego nieba i stosunkowo większego przybliżenia do morza, na dorzeczu Niemna każda mniejsza nawet rzeka jest spławną, ba nawet każda struga i przekopa zdoła już unieść spław, który częstokroć już od źródłowych jezior się rozpoczyna.

W. Pol.

28. Wilno.

Stolica Litwy leży w dolinie otoczonej z trzech stron ściśle z sobą powiązanemi górami, których większą część dotąd jeszcze pokrywają lasy; tylko od strony północnej za Wilją przytyka do miasta prawie na milę długa i szeroka dolina. Od wschodu, południa i zachodu Wilno tak jest zamknięte górami, że zbliżający się do niego czują już miasto po właściwym mu ruchu, po atmosferze tchnącej życiem miejskiem, a daremnie szukają go okiem, chociaż są już prawie u bram samego grodu. Dopiero jeżeli wstąpimy na jedno ze wzgórzy po za rogatkami, zdziwione oko postrzeże niespodzianie przed sobą cały gród starożytny. Mnóstwo wyniosłych wieżyc i domów pokrytych dachówką, owdzie przeciętych zielonymi ogrodami, ówdzie wązkiemi wężykowatemi ulicami, owdzie błękitną wstęgą Wilji i Wilenki, jakby na zaklęcie wystąpią i stają w całej krasie przed widzem.

Najwyższą częścią miasta jest południowa, najniższą północna. W takim samym stosunku jest część zachodnia względem wschodniej. Grunta około miasta są w największej części piaszczyste, lecz urodzajne. Okolice obfitują w rośliny i kwiaty wysoko cenione przez botaników.

Dwie rzeki Wilja i Wilenka prześlizgają się u stóp pochyłości, na której wznosi się Wilno. Pierwsza z nich dawniej przez Litwinów nazywaną była Neris, druga zaś Wilną. Wilja bierze początek w błotnistych lasach gubernii mińskiej w powiecie borysowskim pod wsią Szylimy i płynąc kilkoma wielkimi łukami w kierunku północno-zachodnim, pod Kownem wpada do Niemna. Szerokość jej zwyczajna wynosi od 200 do 250 sążni; na wiosnę zaś bywa podwójną i sięga 500 sążni; głębokość zwyczajna nie przechodzi 4 do 5 stóp, lecz w czasie wezbrania podnosi się do 2 sążni i wyżej. Oczyszczenie łożyska Wilji i zrobienie jej spławną nastąpiło było już w r. 1380. Kupcy wileńscy i obcy prowadzili nią swoje towary w latach 1444, 1494, 1535 i następnych. W r. 1589 rzeka na nowo była oczyszczoną kosztem mieszkańców Wilna, co dowodzi znakomitego ożywienia handlu i przemysłu tego miasta w owych czasach. Oczyszczenie to ponowionem było raz jeszcze w r. 1606 kosztem rządu krajowego. Gwagnin około tegoż czasu piszący powiada, iż Wilja jest rzeką spławną i że tą drogą Wilnianie wysyłają swoje towary do Gdańska. Dziś rzeka ta jako arterya komunikacyjna nie ma prawie żadnego znaczenia.

Wilenka poczyna się w majętności Miednikach o 28 werst od

miasta i wpada do Wilji w samem mieście tuż po za górą Zamkową. Rzeka ta niejednokrotnie zmieniała koryto tak, że dziś trudno oznaczyć dawną jej drogę. Niektórzy utrzymują, że w wieku XIV-tym Wilenka szła od góry Łysej mimo Zamkowej, potem około bramy Zamkowej obiegała zamek dolny i za kościołem katedralnym wpadała do Wilji. Dzisiejsze połączenie tych rzek jest sztuczną robotą z czasów Gedymina w celu oblania zamku ze wszech stron wodą. W bieżącym wieku Wilenka podmywając brzegi zwłaszcza na zarzeczu ciągle się



Wilno.

posuwa na prawo. W latach 1837, 1844 i 1845 wylewy jej zrządziły nie małe szkody mieszkańcom wybrzeży. Prócz tych dwóch znaczniejszych, od strony zachodniej płynęła niewielka rzeczułka Winger i wpadała do Wilji w bliskości ujścia Wilenki. Dziś wprowadzona do kanału podziemnego przebiega niewidzialnie dla oka ku swemu dawnemu ujściu.

Oprócz pomienionych rzek, cztery kanały przecinają w różnych kierunkach Wilno. Na rzekach jest 16 mostów i 1 prom.

Pochyłość większej części ulic i dobre urządzenie kanalizacyi podziemnej sprawia, iż czystość i suchość ulic stale się utrzymuje, tak dalece, że w parę godzin po największej ulewie nie pozostaje prawie ani śladu wody na ulicy.

O założeniu Wilna, jako jednej z najdawniejszych osad w tym kraju, wielorakie są podania kronikarzy. Z pewnością wszakże twierdzić można, że już na początku XII-go wieku to miasto istniało jako niewielka osada litewska z drewnianą warownią na tem miejscu, gdzie teraz znajduje się zakład Dzieciątka Jezus na górze Bakszta, gdzie dotąd są ślady przejścia podziemnego, o którem najbajeczniejsze krążyły i krążą podania. Naokoło warowni nad brzegami Wilji, na Antokolu, Łukiszkach, porozrzucane były tu i owdzie ubogie dworki litewskie; na pozostałej zaś przestrzeni dzisiejszego miasta jeżyły się nieprzebyte lasy.

Od r. 1323 do 1569 Wilno było stolicą wielkich książąt litewskich; po połączeniu zaś Litwy z Polską zostawało głównem miastem księstwa aż do ostatecznego zajęcia kraju przez Rossyę w r. 1794. Za rządów polskich od r. 1413 tu mieli stanowisko urzędowe wojewodowie, kasztelanowie i inni wyżsi dostojnicy województwa wileńskiego. Ustanowiony później przez Stefana Batorego trybunał litewski tu odbywał sądy, zaczynając zawsze od Poniedziałku po Niedzieli Przewodniej i trwał co rok przez 22 tygodnie. Wreszcie miasto zostając pod prawem magdeburgskiem miało tu od 1432 magistrat w całym komplecie urządzony, który w sprawach miejskich przez swych wójtów i ławników zarządzał zupełnie niezależnie.

Od 8 Sierpnia 1796. Wilno zostało miastem głównem namiestnictwa wileńskiego, a następnie gubernii wileńskiej i takiem jest dotąd, a oraz stolicą wielkorządztwa litewskiego zwanego teraz krajem zachodnim i składającego się z gubernij wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej.

W Wilnie przedewszystkiem zasługują na uwagę kościoły. Z liczby 23, jakie pozostały dotąd i z których pierwsze po przyjęciu chrześcjaństwa w tym kraju stanęły na miejscu dawnych świątyń pogańskich, najdawniejszym jest Franciszkanów. Ci zakonnicy pierwsi wyprawili się do Litwy dla opowiadania wiary Ś-tej. Według świadectw dziejopisów byli już w Wilnie w r. 1323 za panowania Gedymina, ale jeszcze nie mieli kościoła i klasztoru. Za panowania Olgierda zginęli wszyscy śmiercią męczeńską; następcy ich w liczbie 36 zginęli wśród napadu na Wilno Tatarów. W miejscu gdzie ich pogrzebano stoi postawiona r. 1708, kaplica. Kościół pod wezwaniem Wniebowzięia N. M. P. pierwotnie stawić zaczął Gastold bojarzyn i ulubieniec W. księcia Olgierda, który przyjąwszy wiarę katolicką,

raz i drugi sprowadzał do Wilna Franciszkanów i mieścił w swoim domu, gdzie teraz jest pałac cesarski, lecz skończyli budowę sami Franciszkanie w r. 1421. Odrestaurowany, jak jest teraz, kościół ten został r. 1764.

Największym i najwspanialszym jest kościół katedralny Ś-go Stanisława zbudowany pierwotnie w r. 1387 przez króla Władysława Jagiełłę na miejscu dawnej świątyni Perkuna, gdzie gorzał wieczny Znicz. Następnie przebudowywany i dobudowywany po wielokrotnych pożarach, w końcu uległ takiemu zniszczeniu, iż w r. 1777 musiano go zamknąć. Biskup wileński Ignacy książe Massalski przedsięwziął zupełne przebudowanie tej świątyni według planu Wawrzyńca Gucewicza. Roboty ciągnęły się długo i przerwały je nieszczęścia krajowe. Wreszcie ukończono je w r. 1801. Dziś katedra wileńska jedna z najwspanialszych jest w stylu greckim, w którym niewiele jest kościołów katolickich, zwłaszcza w naszym kraju. W jednej z kaplic tej katedry zbudowanej pierwiastkowo przez króla Kazimierza IV-go Jagiellończyka spoczywają na ołtarzu od r. 1636 zwłoki Ś-go Kazimierza. Wiele niepospolitych dzieł sztuki, między któremi są wielkie obrazy Smuglewicza, zdobi wnętrze katedry wileńskiej; ale jej pamiątki starożytne w większej części zaginęły.

O sześćdziesiąt łokci od kościoła po prawej stronie wznosi się czteropiętrowa wieża. Pierwsze jej piętro okrągłe, trzy górne ośmiokątne. Na kopule piramida wysoka na 12 łokci. Jest to dzwonnica katedralna. Dolne piętro pochodzi jeszcze z wieku XIII-go i należało do świątyni Perkuna. Była to według podania wieża wielkiego kapłana Krywe Krywejty, z której on ogłaszał wyroki bogów zgromadzonemu ludowi. Z niej też pogańscy kapłani mieli dostrzegać bieg słońca.

Drugi co do wielkości w Wilnie jest kościół Ś-go Jana założony przez Władysława Jagiełłę jednocześnie z katedrą, także na miejscu dawnej świątyni pogańskiej. Później odnowiony i powiększony należał do Jezuitów. Będące przy tym kościele ich kollegium, którego rektorami byli Warszewicki i Skarga, podniesione przez króla Stefana Batorego na stopień akademii, było przez dwa wieki ogniskiem oświaty na Litwie, aż do zniesienia sławnego zakonu. Miejsce dawnej akademii zajął w naszym wieku uniwersytet świecki i zostawił po sobie akademiję medyko chirurgiczną. Za rządów byłego uniwersytetu w latach 1826 — 1829 kościół wewnątrz zupełnie przerobiony stracił cechę starożytności, ogołocono go z pięknych fresków, gipsatur i posągów. Pomimo to jednak, choć ma ściany nagie, wybielone i bez żadnych ozdób, jeszcze uderza wspaniałością i bez zaprzeczenia do najpiękniejszych należy. Zewnątrz oszpecono go dodaniem

krużganku podług wcale nieosobliwego pomysłu professora Podczaszyńskiego. Kościół ten posiada kolosalne organy największe w całej Litwie przewiezione tam z pojezuickiego kościoła w Połocku. Dzwonnica Śto-Jańska wysoka na 1818 stóp paryzkich jest najwyższą w Wilnie.

Przy kościele Ś-tej Teresy, niegdyś Karmelitów bosych, znajduje się sławna Ostra brama z obrazem Matki Boskiej cudami słynącej. Obraz ten upowszechniony w tysiącznych wizerunkach, z których najpiękniejsze i najwierniejsze są wydania J. K. Wilczyńskiego, niewiadomo kiedy i przez kogo był malowany. Niektórzy jak p. I. J. Kraszewski, upatrują w nim wielką starożytność i styl bizantyński; inni, jak ks. Rolewicz autor monografji cudownych obrazów wileńskich, odnoszą go do wieku XVII-go. Autor opisu Wilna w Encyklopedyi Powszechnej uważa słusznie, że i pierwsi i drudzy mylą się; obrazy bowiem pochodzenia bizantyńskiego malowane są zwykle na drzewie cyprysowem, postacie na nich sztywne powtarzają z niewolniczą ścisłością raz na zawsze przyjęte szczegóły, od rysów twarzy aż do fałd i koloru sukni. Na obrazie ostrobramskim niemasz nic podobnego; jest on malowany na zbitych deskach dębowych; oblicze Najświętszej Panny ma typ zgoła nowożytny, z wyrazem rozrzewniającym, głowa pochylona ku prawemu ramieniu, suknia ułożona w draperyę, co wszystko niechodzi w parze z tradycyą bizantyńską. Co zaś do pochodzenia obrazu z wieku XVII-go, to nie zgadza się z jego historyą i polega na omyłce, że epokę restauracyi malowidła staraniem ks Karmelitów wzięto za czas jego wykonania.

Na początku XV-go wieku Wilno opasane zostało murem z pięcioma bramami, w liczbie których znajdowała się i ta, wówczas zwana Miednicką, jako prowadząca do miasteczka Miednik, gdzie na przydrożnej górze dotąd sterczą zwaliska starożytnego zamku W. W. książąt litewskich. W czasie założenia kościoła Ś-tej Teresy r. 1626 obraz Matki Boskiej znajdował się we framudze na bramie i zasłaniały go drewniane drzwiczki; wejście ku niemu było po ciemnych schodkach; w r. 1671 zbudowano dla niego na bramie drewnianą kapliczkę, lecz 26 Maja 1715 ta kapliczka zgorzała, poczem obraz przez lat kilka zostawał w kościele Ś-tej Teresy, aż nareszcie zbudowano teraźniejszą kaplicę, odnowiono i znacznie ozdobiono w r. 1829. Trzy obszerne oszklone i otwierające się na obie strony okna dają widzieć ją i obraz z ulicy. Przed ołtarzem jest tylko miejsce dla odprawowania mszy św. i małe organy. Kaplica obróconą jest ku miastu. Ze strony przeciwnej, to jest od wjazdu, brama jeszcze ma dawną postać obronną; widać w niej bowiem strzelnice, w których zapewne niegdyś umieszczane bywały działa. Codziennie, zwłaszcza we Środy i Soboty odbywają się w tej kaplicy od rana do

południa na przemiany czytane i śpiewane msze śś. Od południa aż do nocy zawsze tam znaleźć można obojej płci i różnego stanu ludzi



Kościół Ś-ej Anny w Wilnie.

klęczących na ulicy z podniesionym ku obrazowi wzrokiem i cicho się modlących. W święta Matki Boskiej, a mianowicie w uroczystość

opieki Najświętszej Panny, przypadającą w Listopadzie, niezliczone tłumy tak mieszkańców Wilna jako i przychodniów z blizka i z daleka zalegają ulicę, kościół, okna i galerye sąsiednich domów,

Mały kościołek Ś-tej Anny, cudnej gotyckiej struktury, tak zachwycił w r. 1812 Napoleona I, iż objawił chęć przeniesienia go do Paryża. Wewnątrz jednak nie ma nic ciekawego. Wszystkie jego pamiątki i pomniki zniszczył pożar, niewiadomo który, dość że z tych, które nigdy nie były tak częste, i tyle nie narobiły szkody jak u nas.

Większa część ulic wileńskich, od czasów Zygmunta Augusta, znacznie zmieniła kierunek; wiele z pomiędzy nich zupełnie znikły, są tylko z podania; wiele przybrało bieg zupełnie inny i tylko dawniejszą nazwą, wyraża niejaką wspólność z poprzedniemi.

Gdzie były dawniej cmentarze tam dziś rozesłały się piękne ogródki; gdzie zalegały zgliszcza lub rudery dawnych świątyń, dziś wznoszą się gospody i garkuchnie. Dzisiejsze Wilno nie przedstawia nawet danych do odbudowania go w wyobraźni takiem, jakiem było w wieku XVI. Wiele wprawdzie zmieniło się na lepsze pod względem materyalnym; ale strata pomników przeszłości, które czas, pożar, ręka ludzka zwaliła, lub pożary obróciły w perzynę, ta dla dziejów niczem nagrodzić się nie da. Jedynie wazkie, powyginane uliczki kwartału żydowskiego z wysokimi starożytnymi domami, z podwórzami łączącemi poblizkie ulice, z podziemnemi przejściami, tajemniczymi sklepami, z kościołem starożytnym S-go Mikołaja, poczerniałemi od starości ścianami klasztoru franciszkańskiego, i wieżą, co najdalsze wieki pamięta, mogą dać niejakie pojęcie o dawnem Wilnie.

W aktach kapituły wileńskiej wspomniane są mnogie, dziś całkiem nieistniejące ulice; gdzie one się znajdowały, oznaczyć dziś trudno. Rozporządzenie względem stawiania domów w linji prostej, wydane zostało już w r. 1536, lecz stare domy pozostawały za linją, a nadto rozporządzenie powyższe nie zawsze ściśle było wykonywane; ztąd poszło, że ulice wileńskie tak mocno są nieregularne i wężykowate. W owe czasy zbyt mało miano baczenia na czystość i schludność ulic. W wieku XVII, magistrat wyrobił postanowienie, w skutek którego każdy właściciel domu był obowiązany wywieźć 10 wozów śmieci za miasto. W tymże wieku za najlepsze i najpiękniejsze ulice poczytywane były: Zamkowa, Trocka, Sto-Jańska, Wileńska, Niemiecka, Szklana, Ostra, Końska, Subocz i Spaska. Najwięcej ożywienia miała Zamkowa. Sto-Jańska z powodu blizkości kollegium nacechowana była szczególnym charakterem. Tłumy studentów i ojcowie Jezuici, snujący się pomiędzy bogatymi sklepami z to-

warem francuzkim, nadawali jéj wyłączną barwę. Ratusz był punktem środkowym ruchu przemysłowego; tu się zkupiali wszelkiego rodzaju handlarze i uwijali się pomiędzy mnóstwem kramików, straganów, wozów z towarami i żywnością. Za ratuszem był dom zajezdny, gdzie kupcy hurtowi miejscy i przyjezdni załatwiali swoje interesa. Rosyanie, Tatarzy, Ormianie, każdy w narodowym ubiorze, prowadzili, miejscową ludnością zamianę, kupowali i sprzedawali tłumnie zgromadzone towary. Żydzi w skutek rozporządzenia Władysława IV, mieszkali tylko na ulicach Niemieckiej, Jatkowéj, Żydowskiej i Żmujdźkiéj. Ulice Biskupia, Zamkowa, Śto-Jańska, Spaska i Senatorska, zabudowane były świetnymi gmachami możnowładców. Na ulicy Subocz skupiali się kupcy, a na Zarzeczu duchowieństwo greckie i rzemieślnicy.

Domy ówczesne w największej części były z drzewa; murowane zaś nazywały się pałacami i należały do wielkich panów lub duchowieństwa. Zamki królewskie, z których jeden wzniesiony był na górze, a drugi tuż przy niej na dole, stanowiły rodzaj osobnego miasta. W zamku dolnym, zwanym inaczej Krzywym grodem, w razie napadu nieprzyjaciół na miasto znajdowało schronienie 14,000 osób.

Najokazalsze gmachy wileńskie były własnością książąt Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, Kiszków, Służków, Ogińskich, Paców i t. d. Książęta Radziwiłłowie, w czasie największego rozkwitu swej potęgi, posiadali w Wilnie nie tylko wiele pojedynczych gmachów, lecz władali całą niemal dzisiejszą ulicą Wileńską do Zielonego mostu i dalej na lewo Łukisznami aż do Zakrętu; do nich też należała cała przestrzeń nad Wilją od powyższego mostu do dzisiejszego arsenału, oraz Snipiszki i część gruntów za bramą Trocką.

Wszystkie te gmachy miały prawie jednaki kształt i rozporządzenie wewnętrzne. Na obszerny dziedziniec, obwiedziony murowaną ścianą, prowadziły zewnątrz wielkie wrota w stylu gotyckim; na frontonie głównego gmachu, jaśniał malowany rznięty lub z gipsu ulepiony herb posiadacza. Takież same herby zdobiły każdą niemal część domu wewnątrz tak dalece, że nawet piece były robione z kafel herbowych. W około głównych gmachów rozrzucone były w nieładzie różne budowle mieszkalne, kuchnie i piwnice sklepione, które w wielu miejscach dotąd jeszcze istnieją, przy znacznej liczbie tych gmachów znajdowały się obszerne ogrody, obwiedzione ścianą murowaną, mającą od strony wewnętrznej nosze, w których malowane były rozmaite zwierzęta, ptaki, kwiaty i t. p. W ogólności wszystkie te gmachy budowane były mniej więcej w kwadrat, którego ściana miała około 100 kroków długości; nad węgłami ścian wznosiły się wieże, a bram zawsze było dwie i to jedna na przeciw drugiej. O rozmia-

rach tych gmachów powziąć można wyobrażenie z byłego pałacu Chodkiewiczów, należącego dziś do okręgu naukowego, tudzież z pałacu Radziwiłłowskiego, który później zamieniony był na klinikę. Oba te domy mają po dwa miejsca: jedno z ulicy Wielkiej, a drugie z Sawicz.

Do największych gmachów wileńskich należy kollegium Jezuickie przy kościele Ś-go Jana, oraz domy także jezuickie przy kościołach b. Ś-go Kazimierza, Ś-go Rafała, b. Ś-go Ignacego (dziś koszary tego imienia) i Ś-go Jakóba; dalej klasztory: bernardyński, dominikański, pijarski i t. d. Wszystkie klasztory murowane są z cegły i zachowały dotąd właściwy sobie charakter posępności, panującej nad długimi korytarzami, małemi celami i dwiema wielkiemi salami refektarza i bibljoteki. Przy każdym prawie klasztorze był ogród obwiedziony w około murem.

Domy biedniejszych mieszkańców były po większej części bez piętra, drewniane, które zupełnie znikły od czasu jak w zeszłym wieku rząd z powodu częstych pożarów zabronił na głównych ulicach wznosić mieszkania z drzewa.

Domy w Wilnie spajane są zwykle z sobą bez żadnej przerwy, co nadaje miastu postać wielkiego i starożytnego grodu. Większa część domów nie przedstawia pożądanych dogodności ani w rozkładzie komnat, ani w komunikacyi między rozmaitemi częściami budowy, gdyż pospolicie bywają jedne tylko wschody wiodące na wszystkie piętra i do wszystkich mieszkańców całego domu lub skrzydła. W ciągu ostatnich lat miasto znacznie się ożywiło z powodu poprowadzonej tędy kolei żelaznej, ztąd też i w budowaniu lub ozdabianiu dawniejszych gmachów, działalność widocznie się podniosła.

W samym środku miasta nie ma w Wilnie ani jednego znacznego ogrodu, prócz niewielkiego ogródka przy pałacu jenerał-gubernatora, wszystkie inne leżą na krańcach miasta. Publiczny ogród miejski, zwany Sapieżyńskim, znajduje się na Antokolu przy dzisiejszym korpusie kadetów i ma przestrzeni 8 morgów. Ulubione miejsce przechadzek dla mieszkańców, ogród niegdyś botaniczny, a dziś jenerał-gubernatorski założony przez znakomitego profesora b. uniwersytetu wileńskiego Stanisława Jundziłła, leży nad brzegiem Wilenki w malowniczej okolicy u stóp gór: Zamkowej, Trzykrzyszkiej i Bekieszowej. Oprócz tu wymienionych, publiczność ma jeszcze wstęp otwarty do ogrodu dawniej Górskiego, dziś barona Renne za Ostrą Bramą, do wielkiego ogrodu Korwela na Rossie i Malinowskiego na Pohulance. Ogród Strumiłły na przedmieściu Rudnickiem, lubo dziś podupadły, obfituje w kwiaty i owoce.

Po przedmieściach jest dużo rozsypanych ogródków prywatnych.

Według A. Kirkora.

29. Troki.

Piękny las złożony z sosen, brzoz i dębów zaczyna się przerzedzać, ustępuje miejsca dwom czy trzem karczmom i wioszczynom, kończy się wreszcie, a po prawej naszej ręce w oddali ukazują się Troki. Po lewej ręce leży niewidziana z drogi wieś Stare Troki, niegdyś pierwotna Trok osada; radzibyśmy do niej zboczyć, ale całą naszą uwagę pochłania widok, co się po prawej naszej ręce rozwinął. Na nieogarnionej okiem zielonej błoni, sinieje nieogarnione okiem jezioro. Z po za niego wychyla się miasto rozleglejsze, niż jest wielkie i ludne, świecąc białemi mury i wieżycami kościołów Farnego i Bernardyńskiego, czarnemi dachy kościoła Dominikanów i czerwonemi ruinami swych zamków, które się na sinej wód powierzchni cudnie malują. Powoli nader powoli ten widok do nas się przybliża. Miasto większeje, jezioro zbliża się aż do drogi i szerokiem błękitnem pasmem płynie aż na krańce horyzontu. Niecierpliwi coprędzej stanąć u dalekiej mety, ani zwracamy uwagi na kilka karczem i chatek, które nie bez wdzięku przy lesie albo przy drodze osiadły. Nakoniec po godzinie nieskończonej, zda się, po piaskach wędrówki widzimy miasto nieopodal, możemy się rozpatrzeć w szczegółach architektonicznej budowy po-Bernardyńskiego kościoła, u samego naszego wjazdu, i liczyć cieniste kasztany, które go otaczają. Od wielkiej karczmy, droga skręca się na prawo i wybrzeżem jeziora, mimo mogił Tatarów którzy tu niegdyś mieszkali, wjeżdżamy do miasta. Pierwszem uczuciem, jakiegośmy doznali tutaj, otoczeni panoramą jedynego w swoim rodzaju widoku, patrząc przez pryzmat chłodnawego i mżącego się ponad wodami powietrza, co jak malownicze jezioro otacza stare malownicze miasto, była myśl rozpaczliwa i bluźniercza: czemu też Troki nie leżą kędy w Anglii, Szkocyi, Szwajcaryi. Tłumy ludzi przychodziły codzień podziwiać zapoznane tutaj ich piękności; tysiące ich opisów figurowałyby w podróżach i romansach, tysiące ołówków jużby oddały z różnych stron ich fizyognomije; miliony estampów jużby rozniosły ich sławę po Europie, a ta sława nakoniecby doszła i do Litwy.

Oskrzydleni z dwóch stron jeziorem, gdyż według podania, Troki przed wieki były wyspą, a ta droga jest tylko nasypem, wjeżdżamy do miasta. Sosnowe chatki zasłaniają cały widok, zapada rogatka, a jakiś człowiek, azyatyckich rysów twarzy, z żelaznym prętem do nas się zbliża.

Jest to Karaim, którego obowiązkiem jest czuwać, abyśmy nie-

wieźli do miasta gorzałki. Ginie cały urok rozmarzenia, ale szczęściem nie na długo.

Troki leżą o cztery mile na zachód od Wilna. Chłodny, orzeźwiający klimat nad wodami, uchodzi za nader zdrowy. Lekarze wileńscy zalecają pobyt i kąpiele tutaj. Ta stolica niegdyś obszernego państwa jest dzisiaj mieściną tak szczupłą i ubogą, iżby się w niej nawet powiatowego miasta domyśleć trudno. Liczy do 7 tysięcy mieszkańców płci obojej, jedną ulicę, jeden plac, jedną cerkiew Grekorossyjską, dwa kościoły, jedną Karaimską synagogę i 108 domów, w liczbie których dwa murowane:

Ale te domy są to mieściny stare i liche z bardzo małym wyjątkiem. Miejsca sądownicze i rodziny urzędników mieszczą się w szczupłych sosnowych, na pół obalonych domkach, a biedna ludność karaimska mieszka w chatach tak starych, tak malowniczo powykrzywianych, iż lękać się należy o ich zupełną ruinę. Główny sposób zarobkowania tego poczciwego plemienia Izraelitów stanowi uprawa ogrodów, szczególniej pielęgnowanie ogórków, które sprzedają do Wilna. Ryby, a mianowicie sławna na całą Litwę sielawa Trocka, która się obficie na szerokich jeziorach poławia, nie stanowi ich zarobkowania; jeziora bowiem należą do skarbu i oddane są w dzierżawę, tak, że ludność miejscowa wędką tylko lub małą siatką kilka jej sztuk na swoją dzienną potrzebę zdobywać może. Jeszcze król Zygmunt August czuł potrzebę ożywienia zubożonych przez położenie na ustroniu Trok nakazując, aby kupcy jeżdżący z Kowna do Wilna i na odwrót, nieinaczej kierowali drogę jak na Troki. Ale przy braku straży, przy bliższej i lepszej drodze, wątpimy czy skutkował ten królewski rozkaz. Powolny, ociężały charakter Karaimów przyczynia się do ich niedostatku. Żydzi talmudziści, którym tutaj pobyt wzbroniony, nieożywiają miasta swym drobnym handelkiem. Brak wszystkich niemal potrzeb życia z przykrością każe życzyć, aby Żydzi, jako zło konieczne, uzyskali na nowo prawo mieszkania w Trokach. Na tych spokojnych dzisiaj ulicach przybyłoby wrzasku, brudu i szachrajstwa, ale za to przybyłaby łatwość nabycia i taniość rzeczy najniezbędniejszych. Powolny Karaim przez ruchliwego współzawodnika pobudzony, samby się może począł krzątać usilniej i przemyśliwać o środkach wyjścia z nędzy.

Główną ozdobą wszystkich naszych miast i miasteczek są kościoły. Tylko w cywilizowanych krajach gmachy publiczne i prywatne pałace umieją podnieść swe głowy nad szczyt kościelnej wieży. U nas wieże i facyaty kościołów dają fizyonomiję miastom.

Najpierwszym, który uderzył nasze oczy przy wjeździe, jest skasowany dzisiaj kościół Bernardynów z dość obszernym klasztorem.

Zakon Ś. Franciszka miał w Litwie swoje zasłużone prawa starszeństwa przed innymi zakonami, więc kościół rzeczony może stać na posadzie jakiej dawnej pogańskiej świątyni. Ojcowie tego zakonu tem się w szczególności odznaczali, że jak najmniej podali o sobie wiadomości potomnym. Skasowano ich tutaj, wilgoć zapleśniła niegdyś wspaniałe mury ich kościoła, klasztor przerobiono na miejsca sądownicze powiatowego miasta, a my o całej przeszłości tego pięknego kościoła i klasztoru, to tylko powiedzieć możemy, cośmy zebrali z ubocznych wzmianek, że te mury fundował w r. 1617 Eustachy Wołłowicz, biskup wileński, i że tutaj był gwardyanem Jerzy Pac, zabity później od Szwedów w Białymstoku.

Po szkaradnym bruku minąwszy rogatkę, parę karczem, lazaret i ostróg miejski, zawsze na prawo zwraca naszą uwagę kościół Farny założony przez Witolda r. 1409, a odnowiony ostatecznie r. 1718. Wzniesiony pięknie na zielonym wzgórku, od frontu zasłoniony wysoko murowaną ścianą, nieodznacza się on ani wdziękiem architektonicznym, ani tą wonią starożytności, jakiej po fundacyi Witolda mielibyśmy prawo oczekiwać. Podłużny, z niewysoką w górę wystrzelającą facyatą z dwiema wieżycami, wtedy właściwie zyskuje na swym wdzięku, gdy go uważamy z oddali, obok sinych wód jeziora na tle zielonéj trawy, obok drzew, których niema pod samym kościołem, a które Bóg wie zkąd zbiegają się tutaj dla urozmaicenia krajobrazu.

Najgłówniejszą ozdobą tego kościoła jest umieszczony w wielkim ołtarzu starożytny obraz Najświętszej Panny słynący cudami, malowany w stylu bizantyńskim na miedzianej blasze, pod którą podłożona jest deska dębowa. Podarował go, jak wieść niesie, Emanuel II, cesarz grecki Witoldowi, który umieścił go w swoich ulubionych Trokach. Odpowiednio temu obrazowi dawny kościół był zbudowany i ozdobiony w stylu bizantyńskim czego ślady przetrwały do wieku XVII. Obraz umieszczony w niszy i odsłaniany tylko podczas nabożeństwa, znany jest z wielu obrazków rozsianych pomiędzy ludem. Zdobi go korona z drogich kamieni i wiele wotów, które wdzięczność pobożnego ludu przyniosła w ofierze Bogarodzicy.

W dniach 4 Lipca i 15 Sierpnia jako Wniebowzięcia i Nawiedzenia Panny Maryi, niezliczone tłumy pielgrzymów napełniają kościół. Mieliśmy możność ocenić ogrom tego napływu ludności, wracając w wigilję uroczystości 15 Sierpnia z Trok do Wilna. Przestrzeń czteromilowej drogi cała zajęta była najrozmaitszemi gruppami pielgrzymów, i wspaniałe ekwipaże i proste szlacheckie i włościańskie wózki, wymijały nieustannie pieszych wędrowców także rozmaitego stanu i wieku. Wilno massami wyrusza na tę pobożną wycieczkę,

gruppy wiejskiego ludu idąc wieczornym chłodkiem, śpiewają za obranym przez siebie, umiejącym czytać przewodnikiem, który im intonuje litanie i kantyczkowe pieśni. Insze grupy wrą wesołym śmiechem, insze poważną rozmową, insze cichą modlitwą; owdzie wypoczynek, owdzie skromny posiłek, a wszędzie niewinna i wesoła swoboda.

Dopieroż jutro gdy się massa głów wciśnie pod jeden dach świątyni, co tu złożą ofiar, co zaniosą modłów, co wyspowiadają win i bied swej prostej duszy! A przed kościołem co życia, co szeptów, pacierzy, co zastugłośny rozgwar pieśni, które wywodzi długim rzędem siedzące żebractwo po litewsku, co wrzawy przy zaimprowizowanych kramikach, gdzie przybyli z Wilna przekupnie sprzedają szkaplerze, obrazki, paciorki i nabożne książeczki.

Na lewo czerwienią się zwaliska lądowego zamku Trockiego, w pośród których bieleje klasztor i wznosi się facyatka kościoła Dominikanów. Widać poza drewnianymi domami bramę z krzyżykiem świadczącym, że się tędy idzie do świątyni Pańskiej. Tej świątyni i wejścia do niej szukać należy. Wymija się starą, czworoboczną, niepobielaną basztę z kratowanemi oknami i daje się widzieć zwalisko czerwonego muru. Ten mur i baszta pamiętają czasy Gedymina; baszta, o której mówimy, służyła później za więzienie sądowe. Stopy jej podmywają fale jeziora; widok się otwiera. Z jeziora i zwalisk wieje duch starożytności i nalatują wspomnienia.

Żeglujemy po spienionych sinych z oddali a zielonkawych z bliska owych falach Trockiego morza. Miasteczko usuwa się, skupia w panoramę. Dwanaście wysp rzuconych na ruchomą taflę lazuru, dziwnie uroczo urozmaicają swą zielenizną jezioro bezbrzeżne, głębokie, wiejące chłodnawą atmosferą. Na jednej z tych wysp ukazują się malownicze ruiny zamku pamiętnego w tragicznych dziejach starej Litwy.

Już od lat blizko pięciuset Perkun niema tu świątyni, posąg jego o szczerozłotych licach już niepatrzy jasnem brylantowem okiem na swych czcicieli, od czterech i pół wieków popioły Kiejstuta leżą kędyś w urnie na dolinie Swientoroha, a jednak duch pogańskiej Litewszczyzny i duch Kiejstuta wieją z pomiędzy tych gruzów, z pomiędzy szczerbów strzelnic i okien ulatują po nad jeziorem i nakazują cześć najbardziej prozaicznemu gościowi.

Zamczysko zbudowane w kształcie prostokątu zadziwia swoim ogromem. Strona szersza wynosi 40, węższa 25 sążni. Okrągłe bastyony występują w znacznej części za krańce ścian narożnych. Jeden z nich tylko sterczy wspanialej, inne osypały się do połowy. Czworoboczna baszta dumniej jeszcze podnosi swoją głowę odartą

z przykrycia, poszczerbioną mieczem czasu i świecącą martwemi oczyma swych okien dawno już nieoszklonych. Zamek środkowy dzieli na dwa dziedzińce całą przestrzeń opasaną wałem. Gmach dzielił się na dwa piętra; w pierwszem jak zwykle były mieszkania i składy, drugie służyło do obrony. Zewnątrz zamek całkowicie niepobielony świeci się czerwonemi cegłami i siwymi kamieniami; wewnątrz dopatrzysz gdzieniegdzie szczątki tynku, a na nim gdzieniegdzie szczątki malowideł. Jeszcze w r. 1822 p. Wincenty Smokowski w jednej sali naliczył i przerysował dwanaście obrazków znalezionych na murze w sali pierwszego piętra, a raczej dwanaście nieodgadnionych ułamków malowidła. Dzisiaj tynk poopadał, deszcz opłókał farby tak, że ledwie kilka pojedynczych rysów pędzla gdzieniegdzie można dostrzedz.

Z wyniosłej baszty tego zamku piękny jest widok, to na sine jezioro usiane zielonemi wysepkami; to na widnokrąg okolicznego kraju, zakończony górami i lasem, to na obszernie rozsiadłe, ale ciche, małe i biedne miasteczko, wystrzelające wieżycami swych kościołów nad skromne drewniane dachy Karaimów.

W. Syrokomla.

30. Puszcza Białowiezka.

Niegdyś całą Polskę pokrywały takie ciągłe i nieprzebyte bory, jakie dotąd jeszcze przetrwały na Litwie; lecz i tam już one coraz są rzadsze, coraz ich mniej i z ubytkiem ich stopniowym zmienia się cała dawna fizyognomija kraju: gospodarstwo, zatrudnienia i obyczaj jego mieszkańców. I w Litwie zatem, za wycięciem i wytrzebieniem lasów, coraz bardziej łowiectwo ustępuje miejsca rolnictwu i przemysłowi.

Jako ostatnia pamiątka dawnych puszcz Litewskich pozostała tylko na Litwie puszcza Białowiezka. Leży ona w gubernii Grodzieńskiej, w okręgu Białostockim, ciągnie się na mil siedem wzdłuż, a sześć w poprzek, i nie łączy się z lasami sąsiedniemi, od których ją przedzielają łąki i łany uprawne. Rzeka Narew oddziela ją od lasów prywatnych. Puszcza Białowiezka zajmuje przestrzeń w kształcie wieloboku, mającą 22 mil kwadratowych rozległości. W pośród niej spotykamy wiele folwarków i wsi osiadłych, które zajmują blizko 40,000 dziesięcin ziemi. Podług obliczeń Eichwalda obwód puszczy ma 160 werst, najdłuższa przekątna 50, a najmniejsza szerokość 40 werst wynosi. Leży od Grodna o mil 13, od Prużano 3, od Brześcia 8, od

Bielska o 4 ½ mil. Mniejsze miasteczka w obwodzie jej są: Szereszew, Kamieniec litewski, Orla, Narew i Kleszczele.

Jak wszystkie lasy litewskie, puszcza Białowiezka zawiera wiele wód, które dostarcza Wiśle za pośrednictwem Narwi i Bugu, leży albowiem pomiędzy rzekami Białą, Liną i Narwią, z których dwie pierwsze płyną od północy ku południowi, ostatnia zaś od południa ku północy. Lina i Narew są spławne, pierwsza od samego źródła. Po Białej, dla wielu młynów, barki chodzić nie mogą. Narwią i Narewką odbywał się niegdyś obszerny spław, dziś zamknięty, gdyż rząd wyrzekł się wszelkich dochodów z puszczy, które wynosiły za czasów Rzeczypospolitej rocznie około stutysięcy złotych polskich za samą wartość ściętego drzewa, nie licząc w to zysków z potażu, smoły i terpentyny wyrabianych tu w wielkiej ilości. Wszystkie rzeki i strumienia mają spad bardzo nieznaczny, miejscami tworzą błotniste rozlewy i wyspy trzciną porosłe, albo rozdzielają się na tyle odnóg, iż częstokroć między niemi trudno jest rozróżnić główne koryto. Jezior niema, a w wodach ciekących prócz raków, bardzo mało jest ryb.

Grunt w puszczy rozmaity: zarastający wrzosem i samą sosną jest piaszczysty około ¼ całej powierzchni; tam gdzie się sosna z innemi miesza drzewami, w głębszych tylko warstwach piaszczysty i kamienisty, w ogólności zaś równy. W stronie tylko północnej, w straży narewskiej, w uroczysku Moreńska hrada, gdzie od Narwi ciągną się w rozmaitym kierunku długie i znaczne pagórkowate wydatności, poprzedzielane moczarami i bagniskami, grunt bagnisty i błotnisty 1/12 część puszczy zajmuje, a największą jej część stanowi lekki urodzajny czarnoziem i próchnica. Dowodem tego jest wielka rozmaitość w mieszaninie drzew liściowych, najpiękniejsza wegetacya i mnóstwo łąk bujną trawą pokrytych, z których corocznie zbierają do 10,000 wozów siana, gdy drugie tyle zarosłych krzakami stoi kosą nietykanych. Dlatego w puszczy Białowiezkiej mogą się utrzymać zwierzęta, tak wiele potrzebujące paszy jak żubry.

Klimat tego lasu nie różni się od innych okolic leśnych gubernii grodzieńskiej: opóźnia się w nim tylko o parę tygodni wiosna: gdyż bywa, że gdy w puszczy jeszcze śniegi leżą i dobra sanna, na przyległych polach już rolnik bierze się do uprawy roli. Toż samo powiedzieć można i o późniejszych żniwach w osadach puszczowych.

W celu ułatwienia dozoru, cała puszcza dzieli się na dwanaście straży, mających mniej więcej kształt trójkątów, gdyż się prawie schodzą wierzchołkami koło Białowieży Nowej, a boki ich zewnętrzne dochodzą do brzegów puszczy, i tam są domy strażników. Podział ten pozostał od dawnych czasów; czasu tego rozgraniczenia żadne

ślady piśmienne nie dochowały. Miejscowe podanie odnosi je do bardzo dawnych lat, gdyż najstarsi leśnicy niepamiętają, a nawet nie słyszeli od ojców swoich, kiedy wycinano te linie na 24 stóp szerokie, a niekiedy na kilka mil długie, które stanowią granice straży. Każdą straż już dowolnie dzielą leśnicy na ostępy i uroczyska, dla łatwiejszego dozorowania. Strażnik ma pod swoją władzą kilku leśników, którzy obowiązani są obchodzić swoje dzielnice, pilnować spokojności żubrów, wyniszczać drapieżne zwierzęta, przewodniczyć na polowaniach odbywających się tylko za najwyższem zezwoleniem i t. d. Posada leśnika jest dziedziczną; przechodzi w spadku z ojca na syna. Tym to sposobem trwa tu od wieków dzielne i wytrwałe plemie prawdziwych wychowańców puszczy.

Dawniej strażnicy mieli wolność polowania w puszczy w każdym czasie i za to płacili tak zwany futrzany podatek; ale gdy zbyt wytępiali zwierzynę, opłatę tę zniesiono i zabroniono zupełnie polowania. Pomiędzy strażnikami jest wiele szlachty zagonowej czyli zaściankowej, która tu od wieków przemieszkuje.

Największą ze wsi puszczanych jest Białowieża albo Nowa Białowież. Leży w pośrodku puszczy nad rzeczką Narewką ma około 9 werst obwodu, jedną cerkiew, karczmę i 56 dymów. Przy brzegu Narewki na pagórku jest zamek, albo raczej dom myśliwski drewniany; kazał go wystawić August III, zaś Stanisław August przybudować dwa pawilony. W gmachu tym następnie niezamieszkanym chowane były sieci na grubego zwierza. W r. 1812 przechodząca jazda francuzka pod dowództwem jenerała Latour Maubourg zniszczyła wszystko. W pośrodku wsi nad brzegiem Narewki spotykamy pomnik w kształcie obelisku, czworogranny, z białego piaskowca, przeszło 6 łokci wysoki, z napisem na pamiątkę wielkiego polowania, które odbył tu 28 Września 1752 r. król August III z królową, królewiczami Ksawerym i Karolem i w licznem gronie dygnitarzy koronnych i litewskich.

Lud wiejski zamieszkujący wsie i osady puszczy Białowiezkiej jest mieszany z Litwinów i Rusinów; zwykły jego ubiór składa czarna z wełny siermięga, i łapcie czyli chodaki z lipowej kory na nogach. Strzelcy wyróżniają się porządniejszem ubraniem: chodzą w butach i noszą wołoszynki z szarego siermiężnego sukna z kołnierzem i wyłogami zielonemi. Chaty ich są porządniej budowane, kryte dranicami, z przybitą nadedrzwiami tablicą z herbem Cesarstwa. Przemysł tutejszych mieszkańców ogranicza się na szczupłem rolnictwie, chowie bydła i pszczół po ulach i barciach, dostarczających żółtego i białego miodu zwanego lipcem, jakoteż wosku.

Puszcza Białowiezka pod względem botanicznym mało była

zbadaną. Pierwszy raz w r. 1826 rozpoznane w niej zostały bliżej gatunki jawnopłciowe, kwitnące w miesiącach letnich. Z poszukiwań tych pokazało się, że oprócz wielu pospolitych, zawiera ona niemało i rzadszych roślin, wspólnych z florą tak grodzieńską jako też wileńską, oraz w obu tych nienatrafiane właściwe Wołyniowi. Ze wszystkich drzew Białowiezkiej puszczy najciekawszym jest świerk, który nigdzie więcej w Litwie nie rośnie, a tu w bardzo szczupłej liczbie znajduje się w jednem tylko uroczysku Cisowik, naokoło błotami otoczonem. Strzelcy znają go pod imieniem białego cisu. Nie mniej rzadkim jest w ostępie Nieznanowo cis zwyczajny, którego drzewo poczytując za skuteczne na wściekliznę, mieszkańcy bardzo wiele wycięli. Inne gatunki tutejszych drzew są: lipa, dzikie jabłonie i grusze, klon, wiąz, brzost, jesion, jarzębina, brzoza pospolita, olcha czarna i biała, dąb. Ale główny las stanowi sosna rzadkiej dobroci, między którą znaleźć można drzewo masztowe. Do rzadszych krzewów należy tu bluszcz, który chociaż dziko rośnie, ale dla ostrego klimatu nigdy nie kwitnie.

Obok tak bogatej i rozmaitéj roślinności dużo tu znajduje się owadów, niezbadanych dotąd naukowo. Spustoszenia jednak jakich inne lasy jednostajnej natury w rozmaitych krajach od nich doświadczają, tu dla mieszaniny drzew zgoła są nieznane. W szparach dębów kryją się rogate jelonki, a po domach wszędy jest pełno prusaków.

Klassa ptaków nie przedstawia nic szczególnego. Z przelotnych gnieżdżą się tu czarne bociany i żórawie, zresztą dosyć jest głuszców, cietrzewi, jarząbków, gołębi i t. p.

Ze zwierząt znajdują się tu wiewiórki, zające, kuny leśne i domowe, tchórze, łasice, gronostaje, norki, wydry, świnie dzikie, borsuki, niedźwiedzie, sarny, łosie, wilki i lisy. Rysie są bardzo rzadkie, a bobry zupełnie wygubione. Niegdyś były tu i jelenie; pamięć ich dochowała się w nazwach miejscowych, jelenia góra, struga jelonka i kości ich i rogi wydobywano nieraz z rzeczułki Lentowni.

Największą osobliwością tej puszczy są żubry, które obecnie znajdują się już tylko tutaj. Wspaniałe to zwierze mylnie brane jest przez niektórych za dzikiego wołu, bo ten oddawna już zaginął. Żubry lubią gęsto zarosłe moczary i najgłębsze ustronia lasu; tam przebywają zwykle i tylko w zimie wychodzą na miejsca wyższe i suchsze: nieporzucają nigdy swojej puszczy i rzadko bardzo widzieć można jakiego na brzegu lasu. Żubr w ogólności dość jest łaskawym i nie napada nigdy na człowieka, chyba gdy jest zaczepionym lub zranionym i wtedy jest nieubłaganym. Strażnicy zapoznali się z nimi prawie jak ze swoją trzodą. Zdarzało się nieraz chłopom jadącym

przez puszczę z sianem napotykać żubra, który nieustępował z drogi dopóki mu niezrzucono wiązki siana. Gdy go chciano spędzić biczem



Żubr.

groził rogami i okazywał gotowość do walki. Siłę to zwierze ma ogromną. W czasie rni widzieć można często potykających się z sobą byków; wtedy zwykle śmierć jednego kładzie koniec walce. Stare

żubry podobnież jak i stare dziki odłączają się od stada i żyją samotnie.

Nieprzyjaciółmi żubrów są przedewszystkiem leśne owady, mianowicie bąki i muchy błotne; następnie wilki, niedźwiedzie i rysie. Wilki nieśmieją napadać na żubra inaczej jak całym stadem co wydarza się szczególniej w zimie; niedźwiedź niebardzo jest groźnym dla żubra i w pojedynczej walce zwykle bywa żubr zwycięzcą; ale najstraszniejszym jest dla niego ryś, przeto iż kryje się wysoko na drzewie i skacze znienacka z góry, upatrzywszy do tego porę. Młodych cieląt szczególniej ginie od rysiów niemało.

Rokrocznie bywa dokładne obliczenie wszystkich w puszczy żubrów, ułatwione wielce przez to, że chodzące pojedynczo nie są zbyt bojaźliwe, a żyjące w stadach trzymają się stale pewnych obrębów w blizkości rzek i zdrojów, przy których zwykle stoją dla nich stogi siana; każdy wiec strażnik wie niemal z pewnością o liczbie ich w swoim obrębie. Ogólny ztąd raport przedstawia się corocznie rządowi gubernialnemu w Grodnie, raporta zaś strażników zostają w aktach puszczy.

Od jakiego mianowicie czasu i jakim sposobem żubry zamieszkały w puszczy Białowiezkiej niewiadomo; tak zaś nawykły do niej, że wielokrotne próby przesiedlenia ich na inne miejsca okazały się bezskuteczne, gdyż one albo ginęły albo wracały nazad do tej puszczy. Pomimo czujności i dozoru ucierpiały żubry najwięcej za rządów pruskich w obwodzie białostockim, zkąd bandy chłopów, zwanych od strzelców kłusownikami, łacno przez suchą granicę wpadały potajemnie do puszczy i zabijali ich, unosząc z sobą skórę i mięso. W r. 1821 było żubrów sztuk 370, a w r. 1829, 711, to jest starych 663, a młodych 48; w przeciągu zatem lat ośmiu, liczba ich prawie podwoiła się, mimo to, iż przez rozmnożenie się zbyteczne w jednym roku wilków, zginęło od nich żubrów przeszło pięćdziesiąt. Ile jest ich obecnie, niewiadomo.

Początku nazwy samej Białowiezkiej puszczy trudno wyśledzić. Błędne miejscowe podania nic niewyjaśniają. Pamięć łowów króla Stefana Batorego dochowała się w nazwie wyniosłości przy drodze z Hajnowszczyzny do Białowieży, Górą Batorową. Przez puszczę idzie pocztowy gościniec z Kamieńca do Grodna ze stacją pocztową w samej puszczy Korczyn; od niej prowadzi ku zachodowi mała boczna droga od wsi Białowieży do Narewki. Puszcza Białowiezka jest najogromniejszym lasem, jaki się dochował na całym obszarze Litwy, jedynie może dać wyobrażenie o obszarze tych wielkich puszcz, la-

sów i borów. w które tak bogatym był kraj niegdyś. Puszcza ta dochowała jeszcze przypomnienie dziewiczych ostępów, jakie niegdyś mieliśmy, których nietylko stopa ludzka nie deptała przez ciąg kilku wieków, ale przez które promień słońca zaledwo mógł się czasem przedrzeć. Takim jest w tej puszczy ostęp w straży hajnowskiej zwany Nieznanów. Od lat wielu nieuderzyła tu siekiera; ogromne piętrzące się stosy drzew, przez czas lub burze zwalonych, gęstsze szeregi młodszej roślinności, co splotła swe giętkie gałązki z suchymi konarami zwalonych olbrzymów leśnych, czynią wstęp do Nieznanowa prawie niepodobnym. Ta niedostępność cechująca ten ostęp od wielu lat, nadała mu właściwą i odpowiednią nazwę.

K. W. Wojcicki.

31. Lud Litewski.

W gubernii Mińskiej niedaleko ujścia do Niemna małej rzeczki Suły przecina Niemen, idąca od wschodu i północy stara granica Ruskiej Słowiańszczyzny od Litwy. Gdzie ujście Suły była jeszcze Litwa właściwa, o krok w południowo-wschodnim kierunku, gdzie dzisiaj wieś Żukowy borek, były już posiadłości Rusko-Słowiańskie Drewiczan, Krywiczan i t. d. Tu była granica dwóch rycerskich ludów brzemiennych przyszłością, a tak różnych od siebie plemieniem, językiem, wiarą, obyczajami.

Ale żelazne ramie książąt Litewskich jeszcze w wieku XIII, poparło granice swojego państwa daleko na wschód. Ryngold ojciec Mendoga stanowczo podbił tutejsze słowiańskie kraje zlał je z Litwą, zniósł granice, o której mowa. Odtąd już tu była Litwa. Mendog, Witenes, Gedymin, Olgierd i jego dziatwa byli już stale panami tych okolic; ale panowanie Ewangelii i krzyża szerzyło się tu równie prędko jak panowanie litewskiego miecza i topora; z krzyżem i Ewangelią ludzie litewscy przyjmowali obcy sobie język i obyczaje narodów, od których przyjęli wiarę. A że propaganda religijna odbywała się nie mieczem, ale chlebem i solą, pośrednictwem stosunków sąsiedztwa przyjaźni, albo słodkiej miłości, to całkowite przenarodowienie się Litwinów tutejszych odbyło się tak doskonale, że nie tylko tutaj, lecz nawet w okolicach Nowogródka, dawnej stolicy Ryngolda i Mendoga, próżnoby szukać pomiędzy ludem obyczajów instytucyi mowy lub obrzędów Litewszczyzny. Jeżeli coś przypomina stare pogaństwo, to bezwątpienia nosi cechę raczej wiary Słowian niż Litwinów.

Były tu wszędzie lasy i lasy. Sosny i jodły ciągnęły się po Litwie od

samych źródeł Niemna wzdłuż morze, aż do jego ujścia, a wszerz Bóg wie jak daleko. Szczątki tych lasów dzisiaj jeszcze są znakomite, pomimo handlu drzewnego za granicę, który je bezwzględnie co rok pustoszy, pomimo niebacznej siekiery kmiotka, który codzień bardziej ogałaca okolicę z jej skarbów niezbędnych w codziennem życiu i (co straszniejsza dla lasów nad handel i pustoszenie wieśniacze) pomimo tak zwanej straży leśnej, dla której wedle miejscowego przysłowia, na sośnie pszenica rośnie.

Wpośród tych lasów niegęsta ludność wykarczowywała dla siebie polanki, budowała wioski i miasteczka, które wszystkie jako i cały kraj należały prawem dziedzicznem do wielkiego książęcia Litewskiego, bo w Litwie Hospodar był panem kraju i jego ziemnych dochodów, właściciele dóbr wszystkich, a jego poddani byli poddanymi w ścisłem znaczeniu słowa, raz jako podwładni politycznie, drugi raz jako własność dziedziczna swojego pana. Następnie za wpływem innych wyobrażeń, panujący zaczęli nadawać za zasługi ludziom rycerskim swe włości, to jest nomenklaturę miejsca, czasem kilka zaledwie chatek z prawem wytrzebiania lasów i zakładania osad w obrębie mil kilku lub kilkunastu, tak zwanych przynależytości głównego dominium. W ten sposób poczęli się zjawiać posiadacze ziemi z nadania panujących i powstawać wsie i dwory szlacheckie.

Dwory zajmują zwykle najkorzystniejszy punkt w okolicy pod względem tak piękności widoku, jako i gospodarczych korzyści; chyba że gdzie wioska dawniej niż dwór zasiadła swe miejsce na obliczu ziemi. Bo też nie wszystkie wioski stanęły pierwiastkowo gwoli dwornej wygodzie; są miejsca, gdzie założenie dworu od lat stu czy dwustu wiekuje w pamięci podania, a o wiosce kto i kiedy ją założył i skąd przyszli teraźniejsi mieszkańcy, nikt ci nie powie, nikt nie odgadnie źródło, słowu jej nazwiska. Zdaje się, że lud wyrósł z swej ziemi jak grzyby jego borów, jak kwiaty jego łąk, jak grusze rzucone tu i owdzie po jego polnych sznurach. Gdyby wyśledzić początek tutejszych ziół, możeby się okazało, że niejedno najstarożytniejsze z tutejszych miast, uszłoby za bardzo młode przy niejednej wiosce, co na tem samem miejscu pod tąż albo mało co zmienioną nazwą, przetrwała ośm czy dziesięć stóleci.

Dwór ile razy pierwej stanął niż podległa mu wioska, wybrał dla siebie piękniejszy pagórek, urodzajniejszą równinę pola, rybne jezioro, słowem jaką się nawinie miejscową korzystkę lub przyjemnostkę. Wioski samą tylko miejscowością różnią się jedna od drugiej, zresztą wszystkie jak siostry do siebie są podobne dla tożsamości pochodzenia potrzeb obyczajów i doli swoich mieszkańców.

Leżą zwykle nieopodal strumienia nad łąką po jednej, a potem

na drugiej stronie. Przerzyna ją ulica, po jednej stronie mająca chaty, po drugiej stodoły. Czasem kościół, cerkiew, a zawsze karczma wznosi się w pośrodku lub końcu sioła. Po obu jego końcach są wrota przez większą część roku niezamykane, przy wrotach czasem krzyż, czasem brzózka, lub grusza albo słup malowany w białe i czarne pręgi, z napisem nazwiska wsi i liczby domów, opodal wiejskie mogiły z prostymi mchem porosłymi krzyżami. To jest ogólny zarys wioski litewskiej.

Chata wieśniaka litewskiego jest to długa a wązka, bokiem do ulicy obrócona, z czterma drobnemi oknami budowa; ściany jej wzniesione z okrągłych jedlinowych albo sosnowych berwion, przykryte są strzechą ze słomy, najczęściej malowniczo poszarpaną i mchem zielonym zakwitłą, nad którą wydrążony pień drzewa pełni funkcyę komina. Wązkie, pojedyncze, drewnianą zakrętką obwarowane drzwi, przed któremi kłoda lub kamień zastępuje ganek, wiodą do wnętrza budowy; otacza ją ocembrowana drzewem i usypana z ziemi przyzba, na której wieczorem lub we święto lubi wieśniak zasiadać na pogadankę w gronie rodziny lub sąsiadów. Naprzeciw chaty mały malowniczy świronek, nazwany w niektórych stronach klecią; dalej szopa z otwartym słomianym dachem, kędy są złożone sochy, brony, wozy i inne narzędzia gospodarskie, a mała stajenka lub obora uzupełnia wioskowe podwórko, ogrodzone żerdziowym płotem czasem strojne w ogródek, gdzie rośnie stara rosochata grusza, gdzie czasem stoi jeden drugi ul pszczelny, gdzie na grządkach wyrastają szerokie liście tytuniu, gdzie się żarzy okazały słonecznik, gdzie rośnie zielona weselna ruta rękami chatniej dziewoi sadzona, albo piękne drzewko tajemniczej i w pieśniach ludowych tyle opiewanej kaliny. Na drugiej stronie ulicy stodoła ze zbożem, szczupła jak ten kęs chleba, który wieśniak spożywa, a przed nią wysoki, drabiasty przepłot, w którym nad jesień ujrzysz jak na wystawie cały plon kmieciej niwy; albo studnia z długim charakterystycznym żórawiem, albo czasem gniazdo bociana, tajemniczego opiekuna szczęśliwej wybranej chaty, pociecha gospodarza, przedmiot poszanowania i zazdrości sąsiadów.

W chacie ciemno, często dymno i wilgotno; za cały sprzęt i ozdobę służy wielki piec u progu, na którym w mroźną zimę kupią się dla ciepła starcy i dzieci. W około ścian szerokie grube ławy z dębowych lub sosnowych desek. Przed ławą stół wazki a długi, w kącie chaty za stołem, gdzie zbiegają się dwie ławy, jest pokucie, miejsce honorowe, gdzie jeno zasiada gospodarz głowa rodziny, albo uproszony miły gość w niedzielę; w innym kątku chaty stoją małe żarna do mełcia zboża, przez wielką część roku głuche, a tylko w jesieni huczące w doświtki i wieczory.

W takich to chatach rodzą się i żyją, umierają synowie tych wiosek. Praktykę życia wieśniak litewski czerpie z własnego doświadczenia, z tradycyi starszych i z przysłów, w których jak mówią uczeni, jest treść mądrości, uczuć i wierzeń ludu, ale z których nie wszystkie można podać za prawidło poczciwego żywota; całą zimę wymłaca dworne zboże i ciąga z lasu drzewo, około Ś-go Macieja, kiedy już, jak mówią, zima potnieć poczyna, obchodzi sute zapusty wielkopostne, potem odprawia wielkanocną spowiedź, i o głodzie, bo to wiosna, obchodzi święto zmartwychwstania. Z początkiem kwietnia idzie na pole z sochą, z końcem czerwca rozpoczyna kośbę i żniwo, a w dzień Ś-go Eljasza, 20 Lipca, już wedle przysłowia, pełny piec ciasta chlebnego nalewa. Tu nastała dla niego doba obfitości; przychodzi Przemienienie Pańskie, czas wszelkiej dojrzałości i widzisz krótkotrwały dostatek w chatach i stodołach. W dzień Najświętszej Panny Zielnej poświęca kłosy żytnie, a na Ś-ty Bartłomiej stosując się do dawnego przysłowia siejbę jesienną poczyna; po Ś-tym Mikołaju opłaca podatki; a ostatek całorocznych zbiorów zużywa podczas uroczystości Bożego Narodzenia, które przez dni kilka sowito z wieprzowiną i gorzałką obchodzi. A potem z rezygnacyą rozpoczyna kolejkę prac i głodu.

Wieśniak pod Nieświeżem i w całej Słuczyznie zamożny, wyłącznie oddany uprawie swej wdzięcznej skiby, domator nieznający dalej świata jak swoją cerkiew i targowe miasteczko w stroju zachował coś odwiecznego, nosi długie, starannie uczesane włosy, wielką baranią czapkę, świtę, krojem odwiecznym, szeroką rzemienną popręgę; wieśniaczka trzyma się kaptura i gorseta swych prababek. W okolicach Niemna mieszkaniec mniej urodzajnej niwy, zmuszony zimą zarobkować w miasteczku siekierą, a latem flisować na płytach lub wicinach, więcej jest kosmopolitą, z mniejszem poszanowaniem zachowuje szacowne domowe podania, uboższy jest przebieglejszy i mniej skrupulatny w szanowaniu prawa własności. Zamiast staroświeckiej siermięgi, baraniej wysokiej czapki i chodaków lipowych z szerokiemi rzemieńmi, które z takim wdziękiem opasują nogę wieśniaka ze Słuczyzny, tu napotkasz w stroju płci obojej jakąś emancypowaną kapotę, u kobiet coś w rodzaju czepeczka pań mieszczek, u mężczyzn jakąś z niemiecka czapkę lub kapelusz i bóty od święta, lubo w ogólności wieśniacy tutejsi nietyle lubią oprzątność i czystość odzieży, co ich bracia stron więcej rolniczych. Częstsze przebywanie z Żydami przyuczyło ich bardziej do próżnowania i kieliszka, a zetknięcie się z klassą handlarzy zwolniło niejakiemi restrykcyami poczciwe w gruncie ich sumienie. W jego piosnkach, skazkach i pogadankach dopatrzysz jakiś element napływowy zkądinąd, ale zkąd

mianowicie i jaką drogą on się tu wkrada? trudno wytłumaczyć tu, gdzie miłość domowej zagrody niestrzeże skrupulatnie tradycyjnej swojszczyzny. Zresztą jedni i drudzy wieśniacy stron tutejszych mówią narzeczem białoruskiem, wyznają wiarę katolicką, lub greko-rossyjską. Wiadomości ich w rzeczach wiary ograniczają się do umiejętności pacierza, poczciwość wrodzona słowianom strzeże sumienia, a prosty zdrowy rozum starczy za naukę.

Starość, ta zima życia dla wieśniaka litewskiego nastaje dość późno, bo w ciągłej walce z pracą i niedostatkiem, wyrobił on w sobie krzepkie fizyczne zdrowie. Kiedy ramiona się garbić, głowa zwieszać, twarz marszczyć się, a ręka drżeć poczyna, mężczyzna przyobleka się w piętno właściwe starości, zapuszcza białą brodę, przybiera szanowne imię dziada i pokaszlując patrzy na młode swe pokolenie, którego jest głową i wyrocznią. Kobieta niegdyś piękna czuje jak z wiekiem twarz jej szpetnieje, czuje że imię baby, które jej dają, jednoznaczne z wyrazem czarownicy jest dla niej jakby obelgą, najstraszliwiej zaniedbywa się w stroju i gderając i złorzecząc młodemu pokoleniu gotuje się do grobu. Dziad niańczy swe wnuki, albo jeśli go Bóg osierocił, idzie paść wioskową trzodę; baba z kądzielą siedząc na piecu mówi pacierze, albo piosnek i skazek tradycyjnych uczy młode dzieci i wnuczęta, a niekiedy dziad i baba czując się już w chacie ciężarem wkładają sobie na krzyż przez plecy dwie torby, biorą dwa kije i śpiewając dziadowskie pacierze ruszają od wioski do wioski, od kościoła do kościoła, prosząc dobrych ludzi o grosz lub kawał chleba. A dobrzy ludzie chętliwie z pewnym rodzajem uszanowania przyjmują starców (wyraz techniczny), bo w całej Słowiańszczyźnie zwyczaj żebraniny na starość jest powszechny, i nieuwłacza nic ani samym żebrakom, ani rodzinie, która na włóczęgę swych ojców zezwoliła.

W. Syrokomla.

32. Żmudź.

Cała Żmudź jest wielką płaszczyzną i pochyla się ku morzu Baltyckiemu. Zaledwie kilka w niej jest wyniosłości, które tam górami zowią, jak naprzykład góra Girniki pod Kurtowinami, jadąc od Szawel do Telsz widać ją na $3\frac{1}{2}$ mili odległości, góra Szatrya pod Łuknikami na 4 mile widziana, góry Powodeńskie, Gęsia góra i sławna na całą Żmudź niewielka góra Biruty nad morzem.

Wody ma Żmudź dostatek. Liczne strumienia zwilżają każdy zakątek tej ziemi; najznaczniejsze są: Niewraża, Dubisza, Mitwa, Jura, Sałanta, Szwenta, Łuba, Wenta, Musza, Kroja i t. d. Rzeki te i jeziora, tudzież blizkie morze dostarczają mieszkańcom w obfitości ryb. Pod Połągą łowią flonderki, śledzie, dorsze i inne gatunki, a w Niemnie tłuste łososie.

Klimat na Żmudzi ostry, mrozy tęgie, ale mieszkaniec ma dostatek drzewa na opał z wielkich lasów i puszcz, wełniaste owce na kożuchy, a prócz tego lisy, wilczury i niedźwiedzi nae wytworniejsze odzienie.

Większem jeszcze od lasów i wód dobrodziejstwem dla ludzi jest urodzajna ziemia. Grunta Żmudźkie słyną urodzajnością i dostarczają obficie zboża i lnu, tak na potrzeby miejscowe jako i do handlu. Najobficiej rodzi ziemia Żmudźka pszenicę, len i konopie w powiecie Kosieńskim, nad Niemnem, około Szydłowa, Kroż, Szawel, Kiejdan, Bejsagoły, Kroków, Datnowa, Szadowa i Janiszek. Żmudźki len jest sławny i pewnie piękniejszego nie ma w całej Europie. Żmudzini daleki nim handel prowadzą.

Żmudź ma rozległe bory, a nawet puszcze, jak naprzykład puszczę Kurtowiańską, lasy nad Dubissą i Niewiażą, bory na pograniczu Prus. W tych lasach i puszczach rosną po dziś dzień odwieczne dęby, przed któremi praojcowie dzisiejszych mieszkańców bili czołem bogu Perkunowi. Po tych puszczach i borach przed laty chodziły tury, żubry, łosie; dziś znajdują się jeszcze niedźwiedzie, wilki, jelenie i inna pomniejsza zwierzyna.

Po lasach i ogrodach hodują Żmudzini niezmierne roje pszczół w barciach i ulach. Litewskie i Żmudźkie miody są słynne w świecie.

Nad morzem w okolicach Połągi ziemia wprawdzie jest nieurodzajna, piasczysta, niewdzięczna, gdzieniegdzie pokryta borami i wzgórzami, co miłe oku przedstawia ustronia i widoki, lecz pracowici Żmudzini zwożą na te chude pola porost z morza, nim z wielką pilnością nawożą ziemię i tak przemysłem i pracowitością zmuszają te piaski i wydmy do wydawania zawsze prawie obfitych plonów.

Na Pomorzu zbierają Żmudzini bursztyn, który morze obficie, szczególniej pod Połągą na brzeg wyrzuca. Bursztyn nazywa się po Żmudźku *Gintaras*, najwięcej morze go wyrzuca na jesień. Gintaras wyrabiany w rozmaitych postaciach służy za największą ozdobę Żmudzinek.

Żmudzini robią wyborne piwo i wyśmienity ser, mający postać raczej na w pół zbitego masła: nazywa się on po żmudźku *Kastynis*. Gdyby te sery znano za granicą kupowanoby je, jako najwyborniejsze przysmaki stołowe.

Żmudzini, Litwini i starzy Prusacy, których Krzyżacy wytępili, tworzyli przed wiekami jeden naród i jednym mówili językiem. Dawny ten język dotychczas utrzymał się na Żmudzi, kiedy w większej części Litwy oddawna już ustąpił narzeczu białoruskiemu. Szlachta Żmudźka oddawna nauczyła się po polsku i używa tego języka wszędzie i w mowie i w piśmie, ale z ludem wiejskim mówi po żmudźku, księża też przemawiają do niego w tym języku.

Żmudzinów zdobią piękne przymioty. Jest to lud tęgi, rześki, wesoły, szlachetny, pobożny, gościnny, pracowity, rządny i gorąco miłujący wszystko co rodzinne. Obcym niedowierza, pijaństwem się niebawi.

Domy chłopów żmudźkich są po większej części piękne, wysokie, z wielkiemi oknami i z kominem nad dach wyprowadzonym. Każdy dom dzieli się na dwie połowy: w jednej jest izba gościnna z czysto zawsze wymytemi oknami, z pozatykanemi polnemi i ogrodowemi kwiatami z podłogą posypaną jedliną, albo ajerem i obrazami na ścianach. W drugiej połowie domu jest piekarnia dla czeladzi.

Najważniejszą częścią żmudźkiego domu jest próg i w największym jest on poszanowaniu. Kiedy Żmudzin stawia nowy dom, zwykle pod progiem zakopuje drewniany krzyżyk i jaką drogą pamiątkę po przodkach. Kto ten próg przestąpi, kto wnijdzie do domu żmudźkiego, ten jest uważany za osobę nietykalną, za gościa, którego sam Bóg zesłał. Dla tego choćby wróg największy próg przestąpił, już go Żmudzin nie uważa za wroga, ale za przyjaciela.

Przed każdym domem jest krzyż drewniany figurą do okna obrócony i wielki dziedziniec ogrodzony sztachetkami, a na środku jego ogromne lipy albo jesiony, udzielające latem miłego chłodu i zdobiące całą zagrodę.

Do domu należy Świronek, w którym gospodarz chowa zboże, len i strzelbę, jeżeli ją ma, a gospodyni swoje arcydzieło płótno białe jak śnieg. W świronku dziewczyna żmudźka placze, kiedy ją za mąż wydają, w świronku kraje płótno dla swatów, w świronku przyrzeka ojcu, matce, braciom, siostrom, że za tydzień po weselu przemieni się w kukułkę i do nich powróci; o świronku śpiewa w każdej piosnce.

Swiętą jest Żmudzinowi jego chata, jego domowa zagroda; w każdym razie gotów on dla niej życie położyć, nigdy też domowej strzechy opuścić niechce. Oddalić się od domu o mil kilkadziesiąt znaczy dla Żmudzina to samo, co pojechać na koniec świata. Najdalej jedzie do Wilna, Rygi, Tylży, Kłajpedy i Królewca; czy dalej jeszcze ludzie mieszkają, oto się już nie pyta.

Chłop Żmudzki nosi na święto kapotę z błękitnego sukna domowej roboty, pięknie na około zielonym jedwabiem wyszywaną, pas

skórzany spięty mosiężnym albo srebrnym pendentem, przez plecy torbę borsuczą, spodnie sukienne albo płócienkowe, na szyi chustkę kolorową, w zimie czapkę z lisiej albo psiej skóry, a w lecie wysoki okrągły kapelusz z kitą pawich piór.

Kobiety noszą katanki za kolana z cienkiego sukna bardzo fałdziste, spódniczki także suto fałdowane płócienkowe albo materyalne i trzy drogie chustki; jedną na głowie, drugą na piersiach, trzecią na twarzy. Dziewczęta żmudźkie noszą włosy splecione w piękne dwa duże warkocze, spadające na ramiona i związane drogą wstęgą różową; na szyi mają wiele paciorków i korali bursztynowych. Zamężne kobiety obwiązują głowę chustką.

Żmudzini bardzo lubią śpiewy. Śpiewają razem nietylko w kościele, ale i w domu i przy robocie. Zwykle tam starzec gromadzi około siebie dzieci, i uczy je śpiewać; głosy zaś u nich idą dziedzicznie z ojca na syna. Pieśni żmudźkie są bardzo piękne i melodyjne, ale więcej poważne i uroczyste, aniżeli wesołe. Nabożne pieśni żmudźkie są te same, co i u nas, tylko śpiewają je w języku żmudźkim, w którym też odbywają się kazania i nauki. Melodye ich są nieco odmienne.

Patronem Żmudzi jest święty Jan Chrzciciel; dla tego po drogach widać tam wszędzie szopki z Ś-tym Janem na ogromnych słupach. Krzyżów tak dużo jest na Żmudzi, że co kilkadziesiąt kroków krzyż stoi. Żmudzin jadąc drogą, przed każdym krzyżem się zatrzyma, zdejmie czapkę i zmówi przynajmniej „Ojcze nasz.“ Każdego ko go spotka, pozdrawia słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“ Ktoby mu powiedział: „Dzień dobry,“ albo „Dobry wieczór,“ tego miałby za poganina i gruboby go złajał. Pobożność na Żmudzi jest rzeczywiście tak wielka, jakiej próżno gdzieindziej szukać, jaka była tylko przed wiekami u pierwszych chrześcijan.

Jak u nas słynie daleko i szeroko Matka Boska Częstochowska, tak na Żmudzi słynie cudami Najświętsza Panna Szydłowiecka. Obraz Matki Boskiej w Szydłowie jest drogim dla każdego Żmudzina. Jak u nas do Częstochowy, tak na Żmudzi do Szydłowa lud tłumnie odbywa nabożne pielgrzymki.

Wiele na Żmudzi przechowało się zabobonów jeszcze z czasów pogańskich, które z wiekami ubarwiły różne pojęcia chrześcijańskie. Powszechną tam jest wiara w czary i czarownice. Utrzymują, że co rok w wigiję Ś-go Jana czarownice z całej Żmudzi zlatują się na najwyższą tam górę, zwaną Szatrya.

Wiele też u ludu żyje dotąd podań o jakichś bogach i boginiach,

goszczących po rzekach, jeziorach, w morzu, po lasach i pagórkach, o których dziwne opowiadają rzeczy pełne uroku i poezyi.

E. Estkowski.

33. Białoruś.

Podróżujący z północy ku białoruskim stronom, widzi przed sobą ogromne wsie nakształt miasteczek, murowane bielejące się kościołki i kamienice dworów, jak je lud nazywa; obszerne zasiane pola, tu i owdzie małe gaiki sosnowe lub brzozowe, słyszy nieraz rozciągły i głośny śpiew wieśniaka, przez pola daleko sięgający, jak oko dojrzeć może, lub przelatujący góry i doliny melodyą pastuszego rożka. W dni niedzielne, kiedy słońce zbliża się ku zachodowi, spotyka wiejskie dziewczęta w świątecznych perkałowych, a niekiedy i w jedwabnych sarafanach, w assystencyi zalotnych młodzieńców; odbywają korowody, śpiewając narodowe pieśni, a starcy siedząc na przyźbach rozprawiają o starych czasach i o teraźniejszych biedach.

Lecz gdy się zbliża ku granicom Siebieża i Newla, ogląda przed sobą rozległe ciemne bory, nakształt chmur wiszących na horyzoncie, między lasami słomiane dachy ubogich mieszkańców; gdzie niegdzie wzrok spotyka sterczący między sosnami żelazny krzyż, jakiej mchem pokrytej kapliczki, przed której drzwiami na dwóch sosnowych słupach wiszą dwa lub trzy dzwony, po okolicy rozsiane mogilne krzyże i kamienie. Rzadko się tam spotyka pański dom porządnie wybudowany, niewiele i kościołów takich, gdzieby można było widzieć gust architekta, lub koszt możnego fundatora; i ten widok ziemi posępny i dziki, zaczynając się od rzeki Łować sięga do brzegów Dźwiny, gdzie się kończy Połota i Dryssa.

Po całej tej przestrzeni wązkie kamieniste drogi przerzynają miejsca górzyste i mijając dzikie brzegi jezior kryją się w borach. W ubogich wioskach w dnie święte i powszednie zawsze panuje jakaś ponura cichość, rzadko się odezwie pieśń oracza, lub żniwiarza i w tem nuceniu łatwo zrozumieć można jego myśli stroskane, bo tu nieurodzaj często omyla nadzieje pracowitego rolnika.

Niedaleko od Newla w okolicy Rabszczyzny natura podniosła wysokie góry, jakby piętra olbrzymich gmachów, które wieki pokryły cieniami lasów, a inne złotym piaskiem błyszczą przed pogodnem słońcem. Ileż tam rozmaitości w widokach, ile zachwycających obrazów. Z wierzchołka Poczanowskiej góry widać wokoło dzikie okolice, wody tu i owdzie jakby lustra odbijają dzienny promień, a nad brze-

gami ich drzemią gęste lasy, gdzie niegdzie po spadzistościach gór czernieją ubogie domki wieśniaków, nie widać nigdzie ani murów miast, ani baszt starych zamków, tylko głos pastuszka, wystrzał myśliwca w gaju, lub wiatr przelatujący w wierzchołkach boru, zakłócą na chwilkę ciszę okolicy.

Zbliżając się ku stronom Połocka, jezioro Nieszczorda na mil kilka zalewa przestrzeń, podmywa falami nadbrzeżne góry piaszczyste, ku południowi obszerne łąki usiane kępami łoz; w niektórych miejscach między trzciną, rzeczki biegac z daleka, kryją się w rozlewie wód jeziornych. Tam wiosna rajem; ptastwo różnego rodzaju zda się zgromadzać ze wszystkich krajów świata; tysiące różnych melodyjnych dzikich i czułych głosów odzywa się nad wodą, po łąkach i lasach, jęk kukawki, pienia słowików, brzmienia bąka w trzcinie, wrzaskliwe krzyki kaczek.

Na niektórych miejscach dotychczas jeszcze dają się postrzegać wały wzniesione ręką ludzką; są to bezwątpienia ślady działań wojennych, o których żaden historyk nie wspominał. Niekiedy wzrok spotyka kurhany pokryte lasem. Może w cieniu szumiących sosen spoczywa tam jaki wojownik, którego imie dawno zapomniane. W opowiadaniach prostego ludu można się nasłuchać o dawnych dziejach wojennych, lecz tam tyle wmięszano bajek i cudów, iż ledwo jakiś ślad został przeszłości, bez imion osób działających.

Bywają tu niekiedy w dnie niedzielne kiermasze; lud się zbiera z poblizkich wiosek do kościoła. Tam na cmentarzu dają się widzieć niekiedy sceny smutne. Tu wdowa z drobnemi dziećmi przy krzyżu drewnianym, który stoi nad grobem jej męża, a tam sierota nad grobem, rodziców rozdzierającym serce głosem opowiadają swe żale i umarłym zazdroszczą; a po skończonem nabożeństwie gromadzą się w jedno miejsce gdziekolwiek blizko karczmy; tu się zjawia kilku żydków z wstążkami i igiełkami i różnemi błyskotkami do stroju; odzywa się charakterystyczna białoruska duda; zaczynają się tany pod odkrytem niebem; młody chłopak i siwy starzec zagrzani gorzałką tańcują do upadku, radość ich częstokroć przechodzi granice przyzwoitości; a smutne płaczki, co niedawno zalewały się łzami nad grobem męża i ojca, tańcują na nute brzmiącej dudy.

J. Barczewski.

34. Gubernije Nadbaltyckie.

Pod tem urzędowem nazwiskiem ogólnem znane są teraz dawne Kuronija czyli Kurlandya, Liwonija czyli Liflandya, po polsku Inflanty, i Estonija czyli Estlandya, niegdyś kolejno i częściowo pod panowaniem Niemców, Rossyan, Szwedów, Duńczyków, Polaków i przedmiot długich i zaciętych między nimi wojen, a od przeszłego wieku zajęte ostatecznie przez Rossyę i obecnie składające trzy gubernije pod właściwemi nazwiskami i osobne wielkorządztwo.

Jadąc ze wschodnich Prus do Petersburga, zdaje się przejeżdżać pustynię, w której przedstawiają się tylko lasy, piaski i błota. Z jednej i drugiej strony prostej i szerokiej drogi, ciągną się bez końca bory sosnowe, pomiędzy którymi tu i owdzie napotyka się samotną chatę, jakby opuszczoną od mieszkańców. Ci w baranich kożuchach, przemawiający językiem niezrozumiałym, straszą tylko przejezdnych, pojawiając się z rzadka na drodze jak nocne widziadła. Kraj wszędzie płaski i jednostajny. Lecz i on nie jest bez właściwej sobie piękności. I tam przyroda roztacza swoje wdzięki.

Kraje te leżą w tak wysokich szerokościach, iż próżno tu szukać łagodnego klimatu. Zima trwa tutaj pół roku i jest bardzo surowa, wietrzną i śnieżną, wiosna zaledwo daje się spostrzedz, lato krótkie i gorące, a jesień posępna, mglista i dżdżysta. W krajach tych szczególniej wilgoć jest w powietrzu i w ziemi. Często bardzo tam po całych dniach mży tak, iż wszędzie jest mokro, a nie może się zebrać na wyraźny deszcz lub pogodę. W zimie śnieg pada także często pomięszany z deszczem. Jest to ziemia dżdżysta równie jak i Litwa, ale już zimniejsza od Litwy, chociaż niemasz tu jeszcze takich lodowatych chłodów jakie panują w północnej Rossyi. Klimat tutejszy miarkuje morze Bałtyckie ze swoimi południowymi dopływami, które lato ochładzają a zimę łagodzą. Wieczne tu przeto wahanie się między mrozem a odelgą, między śniegiem a deszczem. Ciemne obłoki zawlekają ciągle niebo, a pod niemi na ziemi leży ciągłe błoto. Jedynie pieknemi zjawiskami w powietrzu są tutaj letnie pogodne noce i zimowe zorze północne.

Ciągła wilgoć, nadaje tutejszej ziemi wielką płodność, ale też czyni ją błotnistą tak, iż zwłaszcza wiosną i jesienią cały kraj zdaje się być jednem wielkiem bagnem. Okrywają je mszyste trawy i nawet na pochyłościach niewielkich wzgórzów stąpa się po ziemi podmokłej. Wszystkie pola i łąki są mniej lub więcej błotniste; przeto grunta uprawne, wszędzie poprzecinane są rowami w celu osuszenia ich i odprowadzenia stojących wód. Dla tego i wszystkie drogi są

wyniesione nad poziom okolicznych pól, jak groble. W wielu bardzo miejscach te pola przetworzyły się na zupełne błota i trzęsawiska. Widok ich jest smutnym. Daleko wzdłuż i wszerz ciągnie się bezpłodna nizina, porosła jedynie sitowiem, którego wysokie kity chwieją się od wiatru. Tu i owdzie sterczą z nich biedne brzozy i karłowate sosny, a między niemi nizkie krzaki, ledwo się podnoszą nad ziemią. Wszędzie goła, posępna i dzika pustynia, którą zamieszkują tylko słomki i bekasy i w której odzywa się jedynie krzykliwy głos czajki i szczebiotanie przepiórki, kryjącej się w mokrych trawach. Takie bagniska ciągną się niekiedy bez przerwy na mile kwadratowe; najwięcej ich jest w Liwonji, mniej w Kuronji, a najmniej w podniesionej od nich wyżej Estonji. Wiele tamże jest jezior ciągnących się daleko i których brzegi nikną w bagnach i podmokłych piaskach.

Na tych bagnistych równinach znajdują się jednak tu i owdzie małe wzgórza, które zwłaszcza przy jeziorach urozmaicają ponurą jednostajność krajobrazu, tak dalece, iż okolicom miasta Wendenu zjednały pyszną nazwę Liwońskiej Szwajcaryi. Największą jednak ozdobą takich miejscowości, również jak i tutejszych miast, stanowią zamki i kościoły średniowieczne i malownicze ich ruiny. Tych pomników przeszłości więcej tu jest daleko, aniżeli w innych krajach państwa Rossyjskiego. Zostawili je Niemcy, którzy wznoszą wszędzie budowy z kamienia większe i trwalsze, aniżeli Słowianie i Litwini, nawykli do swoich nizkich chat drewnianych i rozkładający się wsiami, kiedy Niemcy kupią się po miastach.

W Liwonji i w Kuronji znajdują się lasy sosnowe tak ogromne jak rzadko gdzie w Europie. Miejscami tam są nawet lasy pierwotne, w których nieprzebytych gęstwinach jeszcze niepostała ludzka stopa i niepogospodarowała siekiera. Tam przechowały się jeszcze odwieczne drzewa, z których możnaby zbudować flotę niemniejszą od angielskiej. Pomimo tak ogromnych lasów, jezior, bagnisk i piasków, kraj w ogólności jest żyznym. Żyto, jęczmień i len udają się tam lepiej niż gdziekolwiek; ale płodność ta widocznie ubywa ku północy. Leżąca na południe Litwa ma ziemię pszenną lepszą daleko od Kuronji; tej grunta żyzne lepsze są o tyleż niż w Liwonji; zaś Estonija ma ziemię jeszcze biedniejszą. Położenie nadmorskie i dogodne porty, zapewniają tym krajom zbywanie ich ziemiopłodów i bogactw do obcych krajów. Oddawna już wywożono ztąd zboże do Szwecyi, Hollandyi, Anglii i innych dalekich stron; królowie Szwedzcy poczytywali Liwoniję za szpichlerz swojego państwa; i ta żyzność ziemi ściągnęła tu naprzód Niemców, którzy owładali tym krajem, osiedlili się w nim jak w Prusach, i pobudowali swoje miasta, a następnie i innych zdobywców.

Właściwą ludność tych krajów stanowią w Kuronji i południowej części Liwonji Lettowie czyli Łotysze, naród pokrewny Litwinom i dawnym Prusakom; w północnej części Liwonji i w Estonji Estowie wcale od nich różni i pokrewni Finnom, zwanym też Czuchnami i Czuchańcami, w Finlandyi, gubernii Petersburgskiej i po całym rozległym obszarze Rossyi północnej. Te narody zachowały dotąd swój dawny język, obyczaje i podania. Chrześciaństwo przyjęli od swoich zdobywców Niemców, którzy narzucili im je gwałtem a później wraz z sobą pociągnęli do odstępstwa od kościoła; religia przeto nieprzyjęła się u nich silnie; zaprzestali oni wprawdzie oddawać cześć Perkunowi i słońcu, ale z nowych dogmatów wiary przyniesionych im przez obcych przybyszów, jeden tylko zakorzenił się w nich mocno: to głęboka nienawiść do Niemców i wszystkiego niemieckiego; i ten dogmat prawdziwie narodowy przetrwał dotychczas. Dla tego Niemcy i nie zdołali wynarodowić tych ludów i wraz z religiją narzucić im i swoją mowę. Na tych najdalszych i ostatecznych kresach niemieckiego parcia na wschód, siła assymilacyjna niemieckiej kultury okazała się już słabszą niż w Prusach wschodnich, gdzie dawna litewska narodowość zgasła pod jej duszącym napływem zupełnie.

Wraz z religią i kulturą Niemcy wnieśli do tych krajów i niewolę, zostali panami ziemi, a ludność miejscową obrócili w chłopów pańszczyźnianych; i te stosunki zmieniły się dopiero w naszych czasach za zniesieniem poddaństwa w całem państwie rossyjskiem.

Obecnie Niemcy w trzech gubernijach nadbaltyckich stanowią szóstą część ludności i składają klassę wyższą właścicieli ziemskich, mieszczan i tak zwaną intelligencyę, górując zawsze nad całą ludnością bogactwem, środkami materyalnymi i umysłowem wykształceniem. W ich rękach jest cały krajowy przemysł i handel, mają swoje szkoły i uniwersytet w Dorpacie.

Ludność miejscowa zajmuje się tylko uprawą ziemi; stopień jej wykształcenia jest bardzo nizki, i w tem nic dziwnego, bo choć jej nie brakło szkół, ale miała ona słuszny wstręt do nauki podawanej w obcej i niezrozumiałej mowie. Niesprawiedliwe są przeto bardzo wyrzekania pisarzy niemieckich na jakąś niedołężność moralną i umysłową tych narodów, ich niechęć do przyjęcia niemieckiej kultury, a przeto jakoby brak poczucia człowieczej godności. O teraźniejszych szkołach ludowych i szerzonej przez nie oświacie nie mamy wiadomości.

O siedem mil na południe od Dorpatu, w pobliżu miasta Walk, graniczą siedziby: na południe Łotyszów, a na północ Estów, i tam widać zaraz ich różnice. Osady pierwszych zwykle są rozsypane, cza-

sami widać tylko kilka chat, lub jedną; ostatnich wsie są skupione. Nic smutniejszego jak ich widok. Składają się one z małych i ciasnych lepianek, w których pośród błota i wszelakiego brudu mieszkają biedni ludzie, a podczas długich i surowych zim zabierają często do siebie i kury, kaczki, gęsi, owce, cielęta, świnie i cały swój żyjący dobytek. Chaty Łotyszów są obszerniejsze i odznaczają się większą czystością i porządkiem.



Estończycy.

Łotysze i Estowie różnią się nietylko mową, obyczajami, ale i pozorem zewnętrznym; rysy ich fizyognomji są odmienne i na pierwszy rzut oka można je odróżnić. Łotysze mężczyźni strzygą głowy tak jak Litwini i Słowianie; Estowie zapuszczają włosy długie i tak mężczyźni jak kobiety noszą je spadające na ramiona. Odróżniają się też i strojem. Łotysze lubią w nim barwy jasne, szczególniej białą i siwą; Estowie zaś ubierają się zawsze ciemno lub

czarno. Odzież jednych i drugich jest z grubego domowej roboty sukna, z wełny ich owiec. Wreszcie ubiór tak Łotyszów jak i Estów zmienia się w kroju powoli i stopniowo na wzór niemiecki, i mężczyźni już oddawna chodzą w niemieckich kapeluszach.

Tak u Łotyszów jako i u Estów utrzymuje się wiele grubych przesądów i zabobonów, pochodzących oczywiście od czasów jeszcze pogańskich, i które mniej niż gdziekolwiek zdołało wykorzenić chrześcijaństwo zaszczepione tu przemocą. Podania jednych i drugich odmienne, jako narodów wcale różnego pochodzenia, przedstawiają bogate pole dla badaczów poezyi ludowej żyjącej w pieśniach i baśniach.

Obok Niemców osiedli w tych krajach i Rossyanie, mianowicie po miastach. Ludność ich złożona głównie z sekciarzy dochodzić ma do 200,000.

Na północnych brzegach Estonji, które stanowią wysokie na 50 stóp skały wapienne nad zatoką, przez niektórych porównywaną do Neapolitańskiej, leży miasto Rewel, założone na początku wieku XII przez Duńczyków, główne w Estonii, niegdyś bogate, kwitnące handlem, i należące do związku Hanzeatyckiego, obecnie zwyczajne miasto gubernialne, co do handlu zajmujące stanowisko podrzędne odkąd nieopodal od niego powstała Palmira północna, ściągnęła do siebie cały handel zagraniczny. — Zdaleka już widzieć się daje iglica wieży kościoła Ś. Olawa, która po Strasburgskiej i Wiedeńskiej Ś. Szczepana jest najwyższą w Europie. Miasto ma pozór zupełnie średniowieczny; kamienice wysokie i ciemne, ulice wazkie i kręte; zdaje się tam być w jakiem z tych miast niemieckich, które jak Norymberga zachowały dotąd całą swoją starodawną powierzchowność. I cisza w niem panuje takaż, jak po miastach zwłaszcza drugorzędnych w Niemczech.

W głębi zatoki Rygskiej przy ujściu Dźwiny leży miasto Ryga, główne w Liwonii i trzech gubernijach Nadbałtyckich. Założył je r. 1200 biskup Albrecht Buxhoewden i zasiedlili wnet kupcy z Hamburga, Lubeki i Bremy. W rychle ono wzbogaciło się przez handel, weszło w związek miast Hanzeatyckich i było w stanie kwitnącym. Obecnie Ryga po Petersburgu i Moskwie jest trzeciem miastem w Cesarstwie Rossyjskiem. Ogromne przedmieścia z szerokiemi ulicami złożone z domów w przeważnej części drewnianych, bezpiętrowych, otaczają właściwe miasto pozostałe z czasów dawnych. Na miejscu otaczających je niegdyś a obecnie zniesionych wałów, urządzono wysadzane drzewami aleje, obstawione pysznymi trzy i czteropiątrowymi gmachami, które dają miastu zupełną cechę stolicy. Ten obwód nowoczesny obejmuje gród średniowieczny pełen starych kościołów,

wysokich kamienic i z krętemi i wązkiemi ulicami zupełnie podobny do Gdańska, Lubeki i dawnego Hamburga. W tem jądrze teraźniejszego miasta znajdują się największe składy towarów, najbogatsze i najwykwintniejsze sklepy i wre największy ruch handlowy. Tam w starożytnych kamienicach o ciasnych, podobnych do przepaści podwórzach i w ulicach jak zawiłe korytarze, w które rzadko zaziera promyk słońca, mieszkają potomkowie i dziedzice dawnego Rygskiego kupiectwa. Jest to część miasta wyłącznie niemiecka, kiedy na przedmieściach obok Niemców są i Rossyanie, Łotysze i Estowie.

Wreszcie całe to miasto nosi cechę niemiecką i obywatele jego w swojej mowie, która tam jest panującą, nie bez dumy utrzymują, że to jest jedno z najznaczniejszych miast niemieckich. Jednak liczba Rossyan przybiera w Rydze coraz więcej, a pomiędzy nimi są kupcy bogaci, posiadający krocie i miliony. Od czasu zniesienia w Rossyi poddaństwa przybyło tam mnóstwo kupców mieszczan, którzy dawniej tylko zajmowali się kupiectwem, będąc włościanami z różnych wsi i poddanymi różnych panów, a najczęściej hrabi Szeremetjewa. Dotąd w Rydze uważano ich i sami oni uważali się za gości, obecnie jednak osiadłszy stale i prawnie w tem mieście i poczuwając się na siłach zaczynają oni domagać się udziału we wszystkich prawach mieszczan, czego im wzbraniają Niemcy, opierając się na swoich starych przywilejach. Muszą jednak ustępować w obec rządu, niesprzyjającego powodzeniu jednéj narodowości, chociażby nawet niemieckiej, z krzywdą innych. Łotysze i Estowie dotąd upośledzeni i ubodzy, są po większej części wyrobnikami, rzemieślnikami i drobnymi przekupniami. Oni to pośredniczą między przybywającymi do miasta wieśniakami, a większymi jego kupcami.

Rygę tak jak Rewel zdobią ogromne i piękne budowy średniowieczne. Pomiędzy niemi zamek, dawna rezydencya Wielkich mistrzów Zakonu Kawalerów Mieczowych, a obecnie Jenerał-Gubernatora, kościół Ś. Piotra, budowa XV wieku, z wieżą najwyższą po wieży S. Oława w Rewlu, i kościół katedralny wzniesiony w wieku XIII przez założyciela Rygi, w którym są grobowce jego i jego następców biskupów Rygskich.

Znaczenie Rygi handlowe i teraz jest wielkiem. Po Petersburgu jest ono najznaczniejszem w Rossyi miastem handlowem, co zawdzięcza swemu położeniu przy ujściu Dźwiny, po której spławiają się wszystkie ziemiopłody Białej Rusi. Oprócz tego koleje żelazne łączą je ze wszystkiemi większemi targowiskami w Cesarstwie. Przedmiotami wywozu są głównie produkta surowe: zboże, len, konopie, łój, a szczególniej drzewo. Tutaj corocznie przychodzą po Dźwi-

nie potężne sosny Białoruskie i Wołyńskie, i zakupywane są do Anglii na budowę jej okrętów.

Port kupiecki Rygi, do którego corocznie zawija od dwóch do trzech tysięcy, a niekiedy i więcej okrętów, jest dogodnym; ale żegluga po zatoce Rygskiej nie jest bezpieczną. Wzdłuż wschodnich brzegów Kuronji aż do północnego jej cypla Domesnaes, zalegają morze ławy piaszczyste; zaś od południowej kończyny wyspy Oesel, ciągnie się ku nim takaż ławica. Potrzeba starannie wymijać te zawady, by przeszedłszy między niemi natknąć się znowu na jaki podwodny hak lub mieliznę, których jest wiele u brzegów Liwonji. Mnóstwo też na tych brzegach rozbija się okrętów; a daleko więcej jeszcze rozbijało się ich dawniej, kiedy nieznano żeglugi parowej, a odbywano ją na łasce wiatrów. Dawne prawo niemieckie przysądzało mieszkańcom nadbrzeżnym własność wszystkiego, co z rozbitych statków morze wyrzucało na brzeg: prawo złe, bo żywiło w mieszkańcach instynkta zbójeckie. Zaskoczeni burzą żeglarze u tych niegościnnych brzegów, znajdowali nie pomoc i ratunek w obec zguby, a drapieżnych sępów czyhających na sądzoną im zdobycz. W długie jesienne noce zapalano tam ognie, których żeglarze powinni byli strzedz się, bo to były światła fałszywe, które ich prowadziły na pewną zgubę. Po przyłączeniu tych krajów do Rossyi, rząd rossyjski zmienił dawne prawo. Odkryło to nowe źródło dochodów majątkom leżącym nad morzem. Dotychczas żyje w podaniach miejscowych pewien baron na wyspie Dagoe, którego zamek wznosił się na nadbrzeżnych skałach, bardzo niebezpiecznych dla okrętów. Ten pan utrzymywał na wysokiej wieży swego zamku ognie fałszywe naprowadzające na rozbicie, czuwał nad tem ze swoimi ludźmi, wpadał na rozbitków, mordował tych co mu się dostawali żywcem, i zabierał po nich łupy. Aż po wielu latach takich czynów został zesłany na Sybir.

Główne miasto Kuronji Mitawa, niegdyś rezydencya wielkich mistrzów, a następnie książąt udzielnych, leży o mil 5 od Rygi; składa się po większej części z drewnianych, bezpietrowych domów, na szerokich ulicach, które są własnością i zwykłem zimowem mieszkaniem obywateli ziemskich. Jak powierzchownością tak i wszystkiem Mitawa różni się od Rygi. Jest to miasto ciche szlachty wiejskiej i ma pozór zupełnie tegoczesny, dość ładny ale niezastanawiający zgoła niczem, kiedy Ryga jest miastem kupców i wygląda na średniowieczny gród Hanzeatycki, w pełni swojego dawnego życia i ruchliwości handlowej.

W Mitawie pojawia się ogromna ilość Żydów, zapowiadająca blizkość Białorusi i Litwy. Kiedy w całej Estonji jest ich ledwo do

500, w Liwonii ilość ta podwaja się, zaś w Kuronji liczą ich 26,000 z których 3,000 przypada na Mitawę.

Ze źródeł niemieckich.

35. Góry Karpackie.

Nazwa Karpat jest właściwie nieznaną w całym naszym kraju i należałoby ją zarzucić, bo jest nadto ogólną, za mało odznaczającą rzecz, a może być użytą chyba tylko jako zbiorowe nazwisko, kiedy się mówi o wszystkich częściach, składających ten wielki systemat gór jako o całości.

Lud osiadły w równinach, nazywa wszystkie góry spływające ku jego nizinom poprostu górami, bo nie zna innych, a Górale nazywają sam grzbiet graniczny od źródeł Wisły do źródeł Swicy dniestrowej Beskidem.

Dalej na wschodzie południowym niemają góry wspólnego nazwiska. Od źródeł Swicy aż pograniczne rozdziele Rozrogu przybierają pojedyncze pasma na znacznej przestrzeni nazwy miejscowe. Zrazu mieniają się wzdłuż Pokucia ze słowiańskiemi nazwy wołoskie, a następnie na Bukowinie już wszystkie góry nazywane są z wołoska. Przejście to stanowi pasmo Pietrosów, położone na górnym obszarze Swicy, a właściwie już po prawym jej brzegu.

Beskid poczyna się na zachodzie od gór Bielaw, nad któremi panuje czubatek Łysej Góry, a właściwiej jeszcze od przecznicy gór Jabłonek. Na północnym zachodzie oddziela go od Sudetów wielka wklęsłość kraju, która się zowie Łęgiem Morawskim, a linia pociągnięta na karcie od szląskiego Skoczowa nad Wisłą na ujście Olszy odrzańskiej do Hranicy nad Beczwą Morawską, stanowi na tej przestrzeni granicę Beskidu od północy. Ztąd tedy wznosi się jego grzbiet w kilku podłużnych działach, z których środkowy zwykle bywa najwyższym.

Kierunek główny tych działów jest od zachodu na wschód aż po wyłom Dunajca, który grzbiet ich przerwał na przestrzeni od Sączu do Wojnicza w poprzek. Obszar ten górzysty możnaby nazwać wyłącznie Beskidem zachodnim. Najwyżej wzniosły się na nim cypliska Babiej góry naprzeciwko Tatrów, a właściwie pod południkiem zachodniego ich krańca, kędy się europejski dział wodny przebiera od Beskidu ku Tatrom, pograniczem Orawskiej i Nowotargskiej doliny.

Na wschodzie Babiej góry zatraca się wprawdzie nazwa Beskidu, a to głównie dla tego, że przestaje być działem wód i państwa

zarazem; to nie zmienia jednak istoty rzeczy i góry nie tracą tego charakteru lesistych działów, który jest główną cechą Beskidu. Góry te skręcają od prawego brzegu dunajcowego wyłomu nagłe ku południowi i przechodzą pomiędzy prawym brzegiem naprzód Dunajca, następnie Popradu, a lewym brzegiem Dunajcowej Biały na dział Grybowski w okolicę Moszyny. Tu przypada na grzbiet graniczny znowu dział wodny, i odtąd pogranicze między Węgrami a prowincyą naszą, znowu nazywają Beskidem. Na przestrzeni od państwa Moszyny aż do źródeł rzeki Swicy, kierunek jego jest południowo-wschodni.

Cały ten łuk gór od źródeł Swicy do źródeł Bystrzycy Złotej, zajmuje na długość około 80 mil i jest łagodnie ku północnemu wschodowi podany, a ku południowemu wschodowi szeroko otwarty.

Po obu ostatecznych końcach jego wzniosły się na zachodzie i wschodzie góry najwyżej: na zachodzie naprzeciwko Tatrów, a na wschodzie naprzeciw hal Rodneńskich, czyli pasma gór Inieu, które leży już w Siedmiogrodzkiej ziemi. Oba te gniazda gór geologicznie od sarmackiego pasma różne, legły jak dwa graniczniki na ostatecznych końcach tego wielkiego łuku od południa.

Środkiem na górnym obszarze Wisłoki spada dział Beskidu najniżej, i ten wielki tęg podnosi się na zachodzie dopiero na lewym brzegu dunajcowego wyłomu, a od wschodu na górnym obszarze Sanu. Lud nazywa go tutaj Nizkim Beskidem, a wschodnie jego zakończenie na górnym obszarze Swicy Beskidem Szerokim.

Południowa zbocz całego sarmackiego pasma jest krótsza, podniesienie nagłe; północne stoki są łagodniejsze i sięgają szerzej w kraj. Kędy całe pasmo wznosi się wyżej, tam też osadzone jest na węższym trzonie, a najszerzej rozsiadły się góry naprzeciw Nizkiego Beskidu pośrodku.

Podstawą onych jest na całej przestrzeni tak zwany piaskowiec karpacki. Granica jego kładzie na północy zarazem kres górom; z poziomu dolin wznosi się on jak stare brzegowisko, a u stóp jego rozpostarła się nizina, będąca odchodziskiem morskiem.

Na zachodzie tedy wzniosły się pokłady karpackiego piaskowca przeszło na 5,000 stóp, a środkiem osiadły do 3,000 stóp, a na południowym wschodzie gdzie miejscami sterczą pionowo, podniosły się znowu do wysokości przeszło 6,000 stóp nad powierzchnią morza.

Średnia szerokość tych pokładów zajmuje 10 do 15 mil, największa szerokość razem z podgórzem mil 30.

Ta różnica wysokości gór i rozłożenia onych do poziomu, wpływa także i na kształt zewnętrzny, tutaj tedy wypada rozróżnić naprzód sam grzbiet granicznych od ościennych pobocznych pasem

i łańcuchów, a powtóre pochyłość baltycką od czarnomorskiej. Na grzbiet bowiem Beskidu przypada Europejski dział wodny od źródeł Wisły do źródeł Sanu, i do Wisły płynie ze znaczniejszych rzek Soła, Skawa, Raba, Dunajec (z Popradem) Wisłoka, i San (z Wisłokiem), do Dniestru wpada Stryj (z Oporem), Swica, Łomnica i obie Bystrzyce.

Z rzek wypływających z głębi gór, Prut zabiera obadwa Czeremosze, a Seret Suczawę, Mołdawę i Złotą Bystrzycę.

Sam grzbiet Beskidu jest wszędzie lesisty. Na zachodzie wystrzeliły jedne tylko cypliska Babiej góry nad górną granicę lasów w krainę hal. Nizki Beskid ciągnie się wszędzie krainą bukowin lub jaworzyn; dopiero w ziemi Sanockiej, na górnym obszarze Sanu, a mianowicie na dorzeczu Sanowej Wetlinki, poczynają się Połoniny od wsi Smereka.

Są to Podhalskie pasze, które zaległy grzbiety lub czubałki gór najwyższych w sposobie oddzielnych wysp, powyżej górnej granicy lasów.

Za pokład roślinności służy tu gruba skorupa mchów, którą się z wieki pokrył skalisty pokład, a zbocze i ostre szczyty Połonin, okrywa niekiedy luźne rumowisko piaskowca karpackiego.

Od Smereka tedy poczyna się kraina tych Połonin i ciągnie się dalej ku południowemu wschodowi aż po graniczne rozdziele wierzchem dwóch, a niekiedy i trzech ościennych pasem, po naszej i węgierskiej stronie.

Sam Beskid niema właściwie Połonin i jest niższym w ogólności od ościennych pasem już tam, gdzie się poczynają Połoniny (lubo się na nim wody dzielą), a Połoniny stykają się z nim raczej tylko ostremi przypory.

Równolegle, jak w ziemi Sanockiej, podnoszą się pierwsze Połoniny, podnoszą się jeszcze góry w ościennych pasmach po węgierskiej stronie, a najwyższe ich gniazdo wznosi się ku krainie hal w stolicy Marmoroskiej.

Na północnej stronie kraina Połonin sięga najszerzej w kraj na dorzeczu Stryja, bo tu leżą pierwsze Połoniny, już w drugim rzędzie gór, od doliny Dniestru.

Od źródeł i prawego brzegu górnego Stryja poczyna się tak zwany Czarny Las i ciągnie się nieprzerwanie górami wzdłuż szerokiego Beskidu i Pokucia aż ku Bukowinie.

Na górnym obszarze Swiczy kończy się Szeroki Beskid. Pasmem Pietrosów poczyna się kraina kosodrzewu, i odtąd ciągnie się grzbiet graniczny gór krainą Połonin i kosodrzewu, naprzemian i strychuje tylko wyjątkowo górną granicę drzew wyniosłego pnia.

Nazwa Beskidu brzmi w uściech miejscowych mieszkańców na przestrzeni najmniej tysiąca mil kwadratowych, po tej i po tamtej stronie Karpat, na górnym Szlązku i w dolinie Orawy i Wagi w niższych i wyższych Tatrach, w dolinie Soły Skawy i Raby w dolinie Popradu i Dunajca, na obszarze górnej Wisłoki, Wisłoka i Sanu, na obszarze w końcu górnym Dniestru, w krainie wierzchowiny Dniestrowej, w której rozłożył się obszar Stryja i w tak zwanej „Krainie“ po tamtej stronie gór, po której rozłożył się obszar Cisy.

Beskid Bieszczad, to graniczny dział Kiciny i Czaciny; bo kiciną i czaciną nazywa lud choinę szyszkowych lasów, przez które przychodzi się przeprawiać z jednego połcia gór na drugi, z Polski do Węgier.

O Beskidzie zielonym mówi na całej przestrzeni, od źródeł Wisły do źródeł Dniestrowej Swicy, pieśń gminna.

Nieurodzaj i głód wygania górala za Beskid. Za Beskidem kupuje się na Węgrzech bydło, za Beskid przedaje się konie i trzodę chlewną.

Na Beskid ciągnie pasterza żyzna pasza i tęsknota, by spojrzeć w kraj ciepły i żyzny, co gdzieś aż do Dunaju płynie.

Za Beskid płyną chmury, będzie pogoda; Beskid pobielał od śniegu, to i chłodno na świecie, Beskid zielony, to i wszędzie zielono i ciepło. Na Beskidzie swoboda, szałasy i bezkarna swawola opryszków, na Beskidzie leżą skarby zakopane; słowem Beskid zielony w trzy rzędy sadzony, jak gra ważną rolę w pojęciach natury, tak też gra ją w życiu, w obyczajach i tradycyach całej góralszczyzny, tak i po naszej jak i po węgierskiej stronie.

W. Pol.

36. Tatry.

Po raz pierwszy w całej okazałości pokazują się Tatry z wysokości Górca, tak zwanego pasma gór, na którym stoi kościół Ś. Krzyża, po nad drogą wiodącą od Rabki do Nowego Targu. Widok ten jest tak uderzający, iż niepodobieństwem jest tu się nie zatrzymać, i nie oddać się jemu z całem zajęciem duszy. Najbliższe pasma Tatrów leżą ztąd w prostym kierunku o sześć, siedem do dziewięciu mil, a pomimo to wydają się tak blizkie, iż zda się, że można ku nim sięgnąć wyciągnąwszy rękę.

Na jeden rzut oka wznosi się skalista niby ściana, która się Węgierską Jaworzyną i Diablim Koszarem na wschodzie poczyna,

a turnią Osobitą na zachodzie kończy, zajmując z przedgórzami przestrzeń do trzynastu mil. Na jeden rzut oka można tu ogarnąć całą krainę alpejską Tatrów, która ostremi linijami skalistych mass trzyma się na niebie, i odcina od reszty krajobrazu, okrytego świeżą zielonością.

U stóp Górca leży Nowotargska dolina, równa do poziomu, zielona jak bilard, przerznięta wodami obu Dunajców i Białki; a z tej równiny podnoszą się od razu skaliste turnie Tatrów ostremi linijami, kolorytem swoim i oświeceniem każdej chwili dnia i nocy, zupełnie odmienne od krajobrazu.

Tatry nie dają ani lednic, ani linij wieczystego śniegu, lubo już na tej wysokości bywa gdzieindziej linija śniegów wieczystych; one wszakże przystępne na wszystkie strony polskim i węgierskim wiatrom i burzom, które się około nich głównie gromadzą, albo od nich ciągną ku równinom Polski i Węgier, nie wstrzymując się na podgórzach, niemają linji wieczystego śniegu, bo zmienność temperatury nie pozwala się jej ani utworzyć, ani stale utrzymać. Ztąd zachodzi główna różnica pomiędzy widokiem i oświeceniem Alp a Tatrów. Kończyny Alp lednicami i śniegami wiecznie okryte, bledną i oświecają się coraz więcej ku górze i przechodzą prawie w jasny seledyn, w którym gra słońce. Ztąd widoki alpejskie wydają się najuroczyściej w pełnem oświeceniu słońca lub księżyca. W kolorycie Tatrów brak tych dodatnich kolorów: szaro odrzynają się turnie na niebie, ciemna lub ruda zieloność i granat, przeważa w całym krajobrazie. Najuroczej tedy wyglądają Tatry, widziane z oddalenia, oświecone wschodem lub zachodem słońca, kiedy się turnie ostremi linijami oświecą, a olbrzymie cienie turni na całe mile przewleką. Widok olbrzymich mass tak dziwnie oświeconych i ukolorowanych, wprawia umysł w jakieś urocze osłupienie, w jakieś zapomnienie i nieznane zadumanie, bo wszystkie kolory tęczy grają tu w miarę oświecenia, cała dusza żyje w oku, a zaczarowanie to powiększa jeszcze gra ruchomej mgły widokom tatrzańskim właściwej, która z każdą chwilą krajobraz odmienia, i wieczysty szum wód górskich, który duszę zachwyconą widokiem w tem zaczarowaniu utrzymuje. I zdaje się, patrząc na ten świat, że się jakiś wielki dramat w naturze odgrywa. Wszystko jest tu wieczyście spokojne i wieczyście żywe! A kiedy nasze urodzajne równiny są niejako prozą natury, nasze góry są jej poezyą. Ta poezya natury wyraża się głównie kontrastem ruchomych mgieł i szumu wód, do niezmiennego spokoju olbrzymich mass. Tak pełną piersią, tak czystem powietrzem nie oddycha się nigdzie. A cała roślinność świeża i silna jest wyrazem tego spotężonego życia.

Podróżni zwykle przybywają do Nowego Targu, i ztąd dopiero dzielą się drogi na wycieczki w Tatry. Ztąd bierze się zapas żywności i wózki góralskie, zazwyczaj jednym pięknym koniem zaprzężone, które podróżnych wiozą na Białkę, do Morskiego Oka, na Poronin do Zakopanego, lub w końcu na Czarny Dunajec do Kościeliskiej doliny. Cała ta okolica u stóp Tatrów położona nazywa się Podhalem, czyli krainą u stóp hal albo alpejskich pasz leżącą.

Jedną z największych osad na Podhalu jest Czarny Dunajec. Pominąwszy tę gęsto nasiadłą dziedzinę, jedzie się ku Tatrom wzdłuż Dunajca, który wiele razy przebrodzić wypada w tej drodze. Im bliżej Tatrów, tem większy spadek ma rzeka, z tym większym szumem spada po kulistym odtoku granitów, którymi i całe łoże i cała dolina jest zasiana. Wody tego Dunajca są modre, prześlicznie zielone, niekiedy żywo seledynowe, po głębszych toniach koloru oczek pawiego wachlarza mieniące się uroczo.

Tatry coraz więcej nikną z oczu w miarę przybliżania się do nich, bo tylko tu lub owdzie mignie szara turnia, aż w końcu wjeżdża się u stóp już samych Tatrów w las świerkowy, którym równina gęsto porasta. Przebywszy ten las stoi się już odrazu u skalistych regli: tak nazywają górale całą tę przestrzeń Tatrów, która lasami obrasta. Powyżej dopiero tych lasów legły alpejskie pasze halami zwane, a turniami zowią się skaliste szczyty, które powyżej regli i hal olbrzymio strzeliły ku górze.

Kościeliska dolina poczyna się otworem dwóch skał pionowych zwanych Kościeliską bramą. Pomiędzy temi skałami wypada nagle Dunajec z łoskotem i tyle jest tu tylko miejsca, ile do ulania jego wód potrzeba. Rzucić tedy musiano most przez niego ukośny, aby się dostać do doliny, którą w koło amfiteatralnie nagie ostąpiły skały, po których czepia się alpejska roślinność.

Posuwając się w górę od Kościeliskiej bramy, nadchodzi się do Młotu i Leśniczówki. Lipy, któremi to miejsce jest obsadzone, są już widocznie stare, a pomimo to niewielkie przeniesione w niewłaściwą im strefę. Po za Leśniczówką rozszerza się nieco dolina i nierównie wyższe skały spadają do poziomu pionowo. Tu można się przypatrzyć bogactwu niewidzianych źródeł, z których jedne z pod skał tryszczą, a drugie bałwaniąc się gwałtownie z poziomu biją. Z każdego źródła upływa prawie rzeczka i w dziwnej plątaninie uchodzą te wody do Dunajca, który w głębokim kamiennym żłobie okrąża kraniec doliny i niżej nieco wzięty na łotoki porusza młoty hamerni.

Pominąwszy to obszerne źródłowisko wstępuje się w ciasny wąwóz, którym dalej wiedzie droga w górę Kościeliskiej doliny. Źró-

dłowiska te wzbogacają bardzo wody Dunajca; nie tu wszakże są źródła jego; wypływa on znacznie wyżej, z wielkiej skalistej jaskini z niesłychaną gwałtownością, i ta jaskinia należy do największych osobliwości całej tej doliny. Droga czepia się tu po skałach i obłazach, przerzucając się mostkami z jednej na drugą stronę skał, które pionowemi ścianami otaczają ten wyłom. W perspektywie widoków mignie już tu czasami jedna z największych polskich turni Pyszną zwana, i rzeczywiście rozsiadła się ona pysznie na grzbiecie polskich Tatrów. Najbardziej zajmującym widokiem jest wszakże w połowie wyłomu, okolica tak zwanych Kominów: są to skały kilku tysięcy stóp sięgające, które sterczą obok siebie w kształcie kominów odosobnionych; pomiędzy szczelinami ich zachodzą drobne przydolinki, jak szmaragd zielone, częstokroć ledwo na parę kroków szerokie najświeższemi alpejskiemi roślinami okryte, ale zachodzące bardzo głęboko u poziomu potrzaskanych mass, z pod których tryskają żywe źródła, a po których porastają olbrzymie kobierce mchu, lekko owiane kitkami paproci. Nie wiedzieć co tu umysł więcej zachwyca, czy olbrzymie widoki, czy szczegóły tych piękności natury, gdzie wszystko zdaje się tak wykończone, jakby artystyczna ręka porządkowała te piękności.

Niedaleko końca doliny ustępują nagie skaliste massy. Rzeka płynąca staje się już tu tylko potokiem i wielki odkrywa się widok na turnie. Wprost doliny leży Pyszna, po prawej od niej Ornag i Stara Robota: jest to zawalona kopalnia srebra z czasów Zygmunta Starego. Po lewej od Pyszny wznosi się turnia Smereczyną zwana, a dalej jeszcze Tamanowa Polska i w lewo prowadzi tu stroma bardzo ścieżka na Przełęcz Tamaniarską, na Cichą dolinę, której wody już do Węgier płyną. Na którąkolwiek zwrócić się turnię, do każdej prowadzi inna droga, ale wszędzie powtarzają się te same zjawiska; na pewnej wysokości poczyna się piękny świerkowy lub bukowy las i zmienia się w karłowaty porost, świerki idą jeszcze najwyżej, niekiedy kończy się ich linija u góry jaworzynami; ale wszystkie pienne lasy ustają na pewnej wysokości i pochylają się lasy kosodrzewiny; jest to rodzaj sosny, która się ściele po ziemi i tworzy osobną dzielnicę roślinności i która powyżej lasów każdą turnię otacza dokoła.

Powyżej dopiero lasów kosodrzewiny leżą właściwe pasze alpejskie, halami zwane; a nagie skaliste turnie okrywają się poniżej tylko kobiercem mchów; powyżej zaś całymi łanami płucnika, czyli mchu Islandzkiego, kiedy same szczyty turni i luźnego rumowiska okrywają się tylko lekkimi porostami, które już w znacznem oddaleniu całym turniom oddzielny dają koloryt: w miarę tego bywają turnie porosłe żółtemi algami seledynowemi i ponsowemi, a są także

algi, które niewidzialne dla oka dają kamieniom najpiękniejszy zapach fijołka. Wspinając się na lesiste regle słyszy się jeszcze dokoła szumiące potoki, ozwie się jeszcze śpiew ptaka lub hukanie górala, czasem burknie cietrzew lub jarząbek, lub zatokuje głuszec, a w miarę zbliżania się do lasu kosodrzewów, głuchnie wszystko i tylko ptaszek maleńki, zwany siwarnikiem, furknie lub cwirknie czasem. Wyżej na halach znowu szałasze i trzody owiec, granie lub nawoływanie się pasterzy, szczekanie psów liptowskich i całe życie alpejskich pasterzy, którzy od zielonego liścia do śniegu żyją na tych halach. Ale w samych turniach głucho. I przerażającą jest ta cisza, nieożywiona żadnym głosem natury. Poczerniałe śniegi przeciągają się po cienistej uboczy turni, lub po głębszych żłobach, a wiatr jednostajny, który często prawie wali z nóg, dzwoni i wyje po skałach, i wydaje dziwne głosy. Rzadka tu chwila ciszy na tych skałach. U stóp ich często biją pioruny, widziane pod nogami i przesuwa się powódź olbrzymiej jak morze mgły, a przy zbliżającej się burzy zbiera się u szczytu turni niewiedzieć zkąd rój jaskółek, które złowieszczo migocą, wróżąc blizką burzę, i słychać przeraźliwy pogwizd dzikich kóz, których się nie widzi.

Po stronie polskich Tatrów najszerzej rozstąpiły się turnie na dolinie Białki wypływającej z Morskiego oka i będącej zarazem graniczną rzeką pomiędzy węgierskiemi a polskiemi Tatrami.

Ostatni punkt, z którego się wyrusza do Morskiego oka jest Bukowina, leśniczowka położona na przedgórzach Tatrów: ztąd też spuszczać się przychodzi w dolinę Białki i droga prowadząca po lewym jej brzegu w górę, doliną po polskiej stronie wiedzie do Morskiego oka. Wycieczkę tę robi się jeszcze na małych góralskich wózkach, i podróż jest dopiero utrudzająca, gdy się już do Morskiego oka dojeżdża.

Z ogromnym szumem, w niesłychanych spadkach, płynie tu Białka, łożem zasłanem kulistym granitem śnieżnej prawie białości. Zjechawszy w dolinę od Bukowiny, uderza naprzód po lewej stronie za Białką prześliczna turnia, Muraniem zwana, która z poziomu doliny podnosi się prześliczną ścianą tu i owdzie z lekka obrosłą alpejską roślinnością. Równocześnie, kiedy na pierwszym planie obrazu ukazuje się Murań, pokazują się w perspektywie turnie węgierskie na tle doliny, świecące śniegiem przez rok cały z wyjątkiem kilku tygodni. Nad całą kępą tych turni góruje Łomnica, przez górali pospolicie tylko Wysoką zwana.

Z poziomu dolin jest to może widok najrozleglejszy, który najbardziej wnętrze Tatrów rozkrywa.

W miarę przybliżania się ku nim doliną Białki, kryją się jedne

turnie za drugiemi, lub przesuwają się oku w olbrzymich parowach. W połowie prawie doliny roztwiera się wielki przepaścisty parów po prawej ręce. I tu wiedzie droga albo raczej ścieżka po nad przepaściami do Pięciu Stawów; tak bowiem nazywają Górale alpejskie jeziora, które się rozlały na pięciu skalistych tarasach. Podobnych jezior mniejszych i większych jest w Tatrach po naszej i węgierskiej stronie przeszło kilkadziesiąt; wszystkie rozlały się już w krainie turni.

Zbliżając się już do Morskiego oka utrudniona jest znacznie droga, bo zawalona blokami granitów; ale jakże wynagradza przebyte trudy widok Morskiego oka, gdy się już na grobli stanie! Prześliczne jezioro rozlewa się tu w olbrzymiej kotlinie, którą dokoła ostąpiły nagie turnie wznoszące się pionowo prawie z nad brzegów jeziora. Wody jego są czyste i przezroczyste, mieniące się podług oświecenia i pogody dnia. Koloryt tych wód jest tak żywy w pełnem oświeceniu słońca, iż tu dopiero podobieństwo do granatu pawiego oka w wachlarzu pawia jest uderzające. Zwykle przybierają wody kolor nieba; niesłychana głębia wszakże nadaje tu wodom zupełnie odrębny i właściwy koloryt żywego seledynu po brzegach, a mocnego, mieniącego się granatu po toniach. Wody są tak przezroczyste, iż każdy kamień na dnie leżący jest widny, i ze znacznej nawet odległości widać pstrąga płynącego w wodzie, a nadto jeszcze cień jego przesuwający się na dnie jeziora.

Na pierwszy rzut oka nie wydaje się Morskie oko tak obszerne jak jest w istocie; – wszakże dopiero się rozpatrzeć przyjdzie, gdy w niem i w turniach, które go otaczają, rośnie z każdą chwilą w olbrzymie rozmiary ten widok niezrównany z niczem. Brzegi jeziora od strony grobli porastają limbami, rodzajem sosny, który się dopiero na wysokości sześciu tysięcy stóp nad poziomem morza pojawia.

Turnie wznoszące się od brzegów Morskiego oka, sterczą jeszcze przeszło na dwa tysiące stóp nad powierzchnią wód.

Z razu wydaje się Morskie oko i cały otaczający je widok nie tak rozległe, bo brak punktu i przedmiotu porównania tych rozmiarów i odniesienia do czegoś znanego, mianowicie zaś czuje człowiek potrzebę odniesienia wszystkiego do swojej postaci.

Wszakże gdy się brzegi jeziora ożywią, gdy podróżni i górale rozsypią się po brzegach i turniach, a na oko niby nie wiele oddaliwszy się, wyglądają jak małe szare ruchome punkciki, wówczas dopiero widok ten rośnie w rozmiary olbrzymie, i śmiało powiedzieć można, że jezioro staje się tem większem im dłużej przy niem się bawi. Na grobli znajduje się szałas, zbudowany ku wygodzie podróżnych, a na brzegu przed szałasem jest upięta duża tratew, na której

kilkunastu ludzi może przewieźć się ku przeciwległym brzegom. Otóż wówczas dopiero, gdy ta tratew w połowie jeziora już płynie, wydaje się jak ciemna linijka tylko posuwająca się po kryształowej powierzchni. I wówczas dopiero ocenić można, czy to patrząc za płynącymi od brzegu, czy płynąc samemu na tratwie, co to za wielkie jezioro i jak olbrzymie massy gór dokoła je ostąpiły.

Zbliżając się do przeciwnych brzegów, daje się słyszeć naprzód cichy szum wody, który z każdym uderzeniem wiosła rośnie. Pionowa prawie ściana wznosi się z brzegów jeziora do połowy turni i wielkie smugi niby śniegu przeciągnęły się po niej pasmami. Smugi te wydają się nieruchome; wszakże w miarę dopiero przybliżania się i rosnącego szumu poznaje każdy, że to są żywe wody, które z tej wysokości urywają się, spadając w pionowych prawie spadkach z jeziora, które się rozlało jeszcze wyżej w nowej kotlinie wśród samych już turni. Wodospad ten nazywają Roztoką, a jezioro z którego wypływa, Czarnym Stawem. Skała po której się ten wodospad zmyka, wydaje się z oddalenia pionową i jest rzeczywiście taką; po łomach jednak olbrzymich bloków prowadzi obok niego ścieżka na wierzch tego skalistego upłazu. gdzie w wielkiej kotlinie Czarny staw się rozlewa. Nie darmo tak go nazwano. Jest to kraina śmierci.

Wszystko przeraźliwie piękne i groźno malownicze. Dzikość natury występuje tu i we wszystkich linjach i w całym kolorycie. A kiedy kotlinę okryją mgły, pomiędzy szczytami turni zawisłe szarem niby sklepieniem, wówczas kotlina jeziora wygląda jak czarny przepaścisty krater, który pod nogami zieje. Tu już niema ani rośliny, ani żadnego głosu natury. Wodospad tylko zdaje się żywą rozpaczą wód lecących w przepaść. Jeżeli gdzie, to tu pragnie człowiek strzałami obudzić echo niemych skał, ażeby się choć za jego przyczyną ozwał grzmot echa po górach.

Pośrodku prawie polskich Tatrów przeciągnęła się olbrzymia alpejska debra, w kierunku Białego Dunajca aż do źródeł jego. W debrze tej leżą kuźnie i zbliżając się ku niej od Paronina, już w wielkiem oddaleniu słychać huk olbrzymich młotów, urabiających żelazo. Przed tą debrą leży wieś Zakopana. Otóż i ten zakład kuźnicy nosi jej nazwisko, lubo tylko kuźnie i mieszkania hutników i górników znajdują się po debrze rozrzucone, ale mieszkania samych górali nie dochodzą do regli i tu poczyna się wstęp do tej debry od pionowych wysokich nagich skał, kiedy dalsze jej zbocza okryte są lasem świerkowym. W perspektywie tej debry, ciągnącej się z pół mili aż do źródeł Dunajca, w prostym kierunku północy ku południowi widać ostry grzbiet alpejski: Polskim Łęgiem i Beskidem zwany, który ją zamyka i trzema ostrymi szczytami na niebie się od-

rzyna. Debra Zakopanej, lubo zamieszkała i znacznie już odmieniona, a nawet przyozdobiona staraniem właścicieli zakładu, zachowała jeszcze cały dziki pierwotny pozór. Cała dolina jest zasiana olbrzymiemi blokami granitów, tak wielkich rozmiarów jak nigdzie. Roślinność debry bardzo żywa, bardzo bujna, ale koloryt ponury, a szum wód co kilkanaście kroków wziętych na łotoki i poruszających młoty jest tu zdaje się jeszcze większy niż w innych dolinach. Ciasna debra od północy ku turniom przyparta, przystępna jest burzliwym wiatrom, i kiedy koło Nowego Targu już poczyna się zielenić wiosna, w Zakopanej jeżdżą jeszcze saniami.

Podróżni robią ztąd zazwyczaj wycieczki do Jaszczorówki, leżącej o pół mili od Zakopanej u stóp regli. Jest to bagno w kształcie krągłego jeziorka, u którego rumowiska skał sterczą tak, że po nich przejść można przez bagno obrosłe dziko rzerzuchą i kępami jaskru. Osobliwością tego bagienka jest to, że wody jego są ciepłe do dwudziestu stopni, źródło tedy które je tworzy, gdyby je oczyścić byłoby cieplicą. Dziś żyje na tem bagnie osada salamandrów, nigdzie indziej w Tatrach niewidzianych tak zimą jak latem. Są to jaszczurki pomarańczowo-czarno-srokate, o bardzo dużych niekształtnych łbach, i kiedy szybkość jaszczurki stała się prawie przysłowiem, czołganie się tych salamandrów jest bardzo powolne i niedołężne. Żyją one na poły w wodzie, a na poły w rumowisku skał, chowając się zawsze starannie przed burzą po skałach lub w wodzie. Ztąd są one dla Górali najlepszą wskazówką pogody; kiedy idą w górę będzie słota; kiedy się spuszczają, będzie pogoda; a gdy żadnej salamandry nie widać na całem bagnie Jaszczorówki, wówczas niezawodna burza. Niezamierają one zupełnie i podczas zimy, ale leżą w bagnie bez ruchu; a ktoby chciał sprawdzić podanie o salamandrze czy goreje w ogniu, przekona się że jest śmiertelną jak wszystkie stworzenia.

Druga wycieczka, która zwykle robi się z Zakopanego, jest na Magórę i do Gąsienicowych Stawów. Stroma bardzo droga prowadzi tu z Zakopanej na Magórę w górę reglami, która tem przykrzejszą się staje, im bliżej się dochodzi do górnej granicy świerkowych lasów. Sam już grzbiet Magóry jest ostrym alpejskim grzebieniem, który po obu stronach opada w lejkowatych przepaściach. Okrążając lejek, z którego u dołu wypływa Biały Dunajec, droga po nad przepaścią prowadzi po godzinie chodu na szerokie otwarte hale, po których rozlały się Gąsienicowe stawy. Cały rząd turni granicznych otacza te hale od południa, a najokazalszą ze wszystkich jest turnia zwana Kościelcem.

Na tej całej przestrzeni jak daleko oko sięgnie, okolica jest ogołocona z drzew, tu i owdzie porosła kosmami kosodrzewiu i za-

siana wielkimi blokami granitu. Las spuszcza się tylko po przepaściach w dół ku reglom jak szczotka; jednostajnie gęsty i ciemny. Hale te porastają żyznemi trawami i pomiędzy blokami runionych granitów pasą się tu stada owiec.

Dolina Nowotarska zamyka się na wschodzie dwoma nagiemi skałami. Jak orle gniazda siadły tu dwa zamki na początku skalistego wyłomu Dunajca, naprzeciwko siebie; po naszej stronie wznosi się śmiało Czorsztyn, sławny pamięcią starego swego dziedzica Zawiszy Czarnego; po węgierskiej zamek Niedzica, założony tu niegdyś przez polskich rycerzy z domu Gryfitów na tem pograniczu. Czarny i Biały Dunajec w połączeniu z Białką, płynie tu szerokiem okazałem łożem. Szum jego wód odpowiada rozmiarom Nowotarskiej doliny, a kolor jego wód jest tu prześliczny, modry i seledynowy. Od Czorsztyna poczyna się wyłom Dunajca przez Pioniny; tak nazywają się skały które przerywa, a które pionowo do wód jego spadają. Od Czorsztyna wsiada się w łódkę, bo tylko z łódek dadzą się obejrzeć wszystkie piękności tego skalistego wyłomu, którym Dunajec na przestrzeni kilku mil od Czorsztyna do Krościenka płynie. Potrzeba tedy wyobrazić sobie jednolitą skalistą massę, przeprutą łożyskiem najszumniejszej rzeki w najwyższym ich punkcie, a nadto jeszcze w biegu bardzo kręte, tak że każda chwila odkrywa coraz nowe ściany przepaści i żłoby na każdym zawrocie Dunajca i odsłania coraz inne widoki. Dodać tu trzeba, że łoże rzeki na tej całej przestrzeni jest najeżone skałami, progami i wirami, pomiędzy któremi łódka z niesłychaną szybkością się przemyka, lub z których razem z pieniącemi się wodami spada. Fale biją na spadku tych progów nieraz wyżej na sążeń od łódki! I nie wiedzieć co jest bardziej zajmujące: czy wrażenie tych coraz nowych widoków, które odsłaniają się na każdym zawrocie rzeki, czy myśl o sobie i niebezpieczeństwie, czy o tych czarach, które pochwycają duszę?....

W. Pol.

37. Zamczysko Czorsztyńskie.

Wyniosła i przykra góra panująca z jednej strony nad szyją Nowatorskiej doliny, z przeciwnej zaczynająca pasmo wzgórzów, zakończone skałami pienin, oto posada Czorsztyna. Sam gmach stoi na południowym jej boku, podnoszącym się od płaskiego błonia prostopadle nago jak mur z jednolitej różowej skały. Ściana zamku z tej strony jest jakby dalszem wyprowadzeniem skały; żaden

śmiertelny nie mógłby tędy ani wejść, ani się spuścić. Sam widok kilkadziesiąt sążniowej przepaści głowę zawraca, a jednak trudno niepatrzeć. Dno głębiny uściela piękne zielone błonie, po niem rozrzucona wieś tegoż co i zamek nazwiska, po niem snuje się dalekowidny Dunajec; na drugim brzegu Dunajca, Węgry ze swojemi górami, ubranemi w świeże lasy i z pięknym nienaruszonym zamkiem Niedzicą, ale już nie tak śmiało, nie tak okazale zbudowanym jak Czorsztyn. Wschodnia część góry o kilkaset kroków od zamku, najeżona jest ostremi nagiemi wzgórzami z wapiennego kamienia, które okrywa zarośle z jałowców i świerków; łączy się z niemi szereg wapiennych także opok, obiegających jednym prawie ciągiem górę zamkową ze strony północnej i zachodniej, aż do samej wody Dunajca. Gdzieindziej trudno coś podobnego widzieć: ów szereg nagich, wysokich, przepaścistych opok tworzy liniję tak warowną samorodną, że sam jej widok nasuwa mimowolnie myśl czarodziejstwa, wspierającego założycieli Czorsztyna. Niższe skał miejsca dopełniane są murem. Pomiędzy górą zamku, a pomienionemi skałami jest głęboki rozdół, część jego obwarowana murem poprowadzonym od wschodniej i zachodniej ściany zamku, aż do owego pasma wapiennych wzgórzów, tworzyła dziedziniec zamkowy.

Z dzisiejszego stanu gruzów trudno mieć dokładne wyobrażenie o szczegółach wewnętrznego rozrządzenia budowy. W zachodniej ścianie zamku wyraźny wprawdzie ślad zamurowanej bramy, ale wjazd do niej tak przykry, że nie można nawet pojąć, jakby tam zwodzony most przystawał; podobniejsza do prawdy, że wjazd główny był od wschodu, jak to zdają się przyświadczać wspomniany dziedziniec, szczątki rozwalonej bramy i przystęp łatwiejszy.

Sam zamek tak zbudowany, że nie dosyć było przełamać zewnętrzne obwarowanie i dostać się na dziedziniec kilkadziesiąt kroków od ścian zamku, po górze przykrej jest wał najspadzistszy, który musiał być w swoim czasie niemałą obroną. Zdaje się, że do wnętrza zamku dwa wchody wprowadzały; jednego z nich można widzieć zabytek w otworze narożnej od zachodu wieży i szczątkach muru przed nim, a który zbiega na dół i mógł osłaniać wschody, drugi zaś w drugim końcu tejże ściany musiał być ukryty, co wnoszę z pokoju leżącego w tem miejscu pod górą, opartego jedną ścianą, a raczej składającego część linji zachodniego muru. Dochodzi on wysokością ścian swoich podnóża ściany zamkowej, a stoi tak oddzielnie od reszty pokojów wyższych, że można z podobieństwem do prawdy uważać go za warowną osłonę ukrytego wchodu. Nie powinienem także przemilczeć, że w kierunku jednej jego ściany równolegle do północnej ściany pokojów ciągnie się zrównany prawie z ziemią ślad muru aż

do wspomnianej wieży zachodniej; może więc być, że pokój, o którym mówiłem był częścią dolnych mieszkań przypartych jedną ścianą do boku góry, a dachem do podnóża wyższego piętra.

Wnętrza pokojów na szczycie góry stojących tak są zasypane gruzami, ich ściany po większej części tak zniszczone, że trudno dziś dociec ich liczby i składu, a tem bardziej wysokości całego gmachu; wszakże w niektórych miejscach można widzieć podstawę ścian ze szczerej skały i ślady kucia w skale; może to być podziemna część zamku, a może i więzienie; ale opadłe sklepienia zapełniły je gruzami do znacznej wysokości.



Czorsztyn.

Widok zamku na Nowotarską dolinę i Węgry przepyszny. Słońce spuszcza się z południa, niebo w pół wypogodzone, przejrzysta frężoga obwiewa dolinę lekką zasłoną. Wierzchołek Babiej góry dymi jak przygasły Wulkan słupem obłoków, rozpływających się nad jej czołem, jak pióra bujnej kity. Powódź chmur waląc się od zachodu, pnie się jak do szturmu po niższych stopniach Tatrów ku najwyższym szczytom, jedne znikają w białawych olbrzymich kłębach, inne zalane na chwilę, wybijają się na wierzch, podarte chmury spływają po nagich bokach olbrzymiej skalistej twierdzy, ale nadchodzą nowe posiłki, szczyty zwycięzkie przed chwilą toną w nawale następnej.

Wkrótce chmurna chorągiew nawałnicy powionęła rozwinięta na najwyższych wieżach grodu niezmiernego, wszystkie jego szczyty zniknęły w powodzi obłoków, a tryumfująca niepogoda zaległa jak obozem cały plac boju i na najniższych lasach rozbiła swoje namioty. Podtenczas cała dolina przypatruje się obliczem pokoju całej tej walce, blask żadnego strzału nie razi jej spojrzenia, żaden grzmot strzału nie dochodzi jej słuchu, chyba cień przelotnej chmurki przemknął się kiedy niekiedy po jej oświetlonej płaszczyznie; i owszem przy tem ciemnem tle dalekiej burzy żywiej jaśnieje zieleń polan i złoto pól dojrzałem już zbożem okrytych. Zresztą wszystko spokojne, bezpieczne, prostym gościńcem snują się grupy pracujących, roją się niemi zagrody wiejskie, ożywione niemi pola. Ale nad wszelki urok tego obrazu najuroczniejszy jest widok wód doliny. Nic nie zdoła wyobrazić tego blasku, co odznaczał Białkę w namiętnym jej pędzie ku Dunajcowi przez ciągłą pochyłość, więcej niż milową i z pod zasłon wężogi srebrem jej strzelał.

W natchnieniu wyższem musiał być ów człowiek, co pierwszy odgadł to miejsce i pierwszy na tych skałach zakreślił posadę Czorsztyna; wzniosła musiała być dusza, co tu pierwsza zamieszkała. Czemuż tego o współczesnych powiedzieć nie mogę? A nie mogę, kiedy spojrzawszy do koła siebie widzę, jakby na urągowisko przeszłości tego miejsca, rozsadzone po gruzach niedźwiedzie z drzewa. Ma to być pomysł dzisiejszego ich właściciela.

Na dopełnienie obrazu należy powiedzieć, że pod Czorsztynem schodzą się dwie drogi ku Nowotarskiej dolinie, jedna od Krościenka okrąża północną i zachodnią część góry Czorsztyńskiej, druga południową jej stronę, ta idzie z Węgier po nad Dunajcem. Niższa połowa góry ma kilka źródeł, u podnóża biegnie potok, który do Dunajca wpada, przecinając drogę z Krościenka; od północy góruje nad Czorsztynem las świerkowy, przyległy krościeńskiej drodze, czasem od łotrów osadzony.

Widok na inne strony zasłoniony jest górującym grzbietem góry, której posada zamku jest niejako przylądkiem.

Dzieje Czorsztyna bogate są w materyały do dzieła poetycznego. Nazwisko jego występuje głośniej za Kazimierza W. Długo jest w posiadaniu Zawiszy Czarnego i jego następców. Zdobywany był nieraz przez łotrów góralskich i służył im za warowny przytułek. Między temi wypadkami zanotowany jest w kronikach Napierski bandyta. Duch poety może wiele zobaczyć w takiej przeszłości i wiele z niej wydobyć.

Zamek ten stałcały jeszcze przed kilkodziesięcioma laty, a dzisiaj rozwalinami tylko przynęca. Jak i przez co zamienił się w ruinę?

O tem można się nasłuchać przy wielu u nas rozwalonych zamkach, które nie wszystkie zniszczył pożar, lub nieprzyjaciel. Naprzód przez niedbalstwo i opuszczenie podupadł i stanął pustką, a wnet potem z powybijanemi oknami i drzwiami zaczął niszczeć bardzo prędko; a potem późniejsi panowie brali z niego kamień, dachówkę, na stajnie, na gorzelnie, zwyczajnie na to z czego są pieniądze.

Taki argument dzisiaj zbić trudno, ale naprowadza on uwagi bolesne. Żeby dla kilku groszy pomagać losowi niszczącemu, zacierać w zawody z nim ślady podobnych pomników. Takżeśmy dalece zmaleli, stracili rodzinne czucie?

S. Goszczyński.

38. Stary i Nowy Sącz.

Rozległa jest i śliczna leżąca u podnóża Tatrów dolina Sandecka. Trzy rzeki ją przeplata: Dunajec, Poprad i Kamienica. Pośrodku doliny osadzony w zbiegu tych rzek Nowy Sącz błyszczy niemi jak wieniec rozpuszczonemi wstęgami. Niepodobna wyliczyć wiosek, co ją zaludniają; niepodobna ująć w wyrazy uroczego tysiąc kształtnego poplecienia dolin, gór, lasów, które składają czarodziejski jej okręg. Od południa mianowicie wzgórza utworzyły majestatyczną budowę. Rosną one stopniami do kilku piąter, a każde krocie stop liczy, a każde piętro, a każdy parów zdaje się wabić do siebie: „macie tu drabinę z pól, z lasów macie tu nizkie tajemne uliczki; temi uliczkami, po tej drabinie, do nich, do Tatrów!“ One tak wzywają, a ¡Tatry szczyt ich szczytów zasłaniają się chmurami i odsłaniają, jak owe w dawnych wiekach czarodziejki igrające ze swoimi kochankami.

Nowy Sącz stolica dzisiaj obwodu tegoż nazwiska leży na wysokim brzegu Dunajca, a z drugiej strony oblewa go Kamienica. Miasto dawniej otoczone było murem i okopem, których ślady dotąd jeszcze trwają. Obecnie liczyć je można, jeżeli nie do największych, to do najporządniejszych miast w Galicyi.

Zamek królewski wznosi się na wysokim brzegu Dunajca z dwóch stron nad drogą, z drugiej to jest z dziedzińca od miasta, a z trzeciej od rzeki. Nadburzony od Szwedów wali się częściami w podrywający jego posadę Dunajec. Stanąwszy tuż nad brzegiem najpiękniejszy ci się widok otwiera. Rzeka Poprad niedaleko od zamku wpada do Dunajca u dołu ciągnie się długi most po Dunajcu przeszło 350 kroków; dalej góry lasy piętrzące się coraz wyżej, we mgle widzisz Stary Sącz, a jeszcze wyżej śnieżne szczyty Tatrów.

Co się tycze zamku i jego dawnej świetności, to już i znaku jej nie ma, piętro wyższe zrzucone, budynki do zamku należące z ziemią zrównane, mury i baszty zapadłe i w gruzy zamienione; nie masz już tych gmachów królewskich, gdzie rezydowali rządcy zamku i miasta, niemasz tych sal pięknych i kosztownych, ani tych komnat, jakie zamieszkiwali królewicze synowie Kazimierza Jagiellończyka, gdzie mieli swoje rozrywki i gdzie się uczyli pod okiem Długosza, wszystko zniknęło; czas prawie wszystko strawił, a co on oszczędził ręka ludzka dokonała. Istniejący zamek obrócony na skład rządowy, na piekarnie do pieczenia chleba dla wojska smutne rodzi w nas wspomnienia widać jeszcze malowidła na sufitach, kawałki sztukateryi ozdoby marmurowe, oddrzwia i kominki z tegoż samego kamienia, wszystko to jednak poobcinane i popsute; wspaniałe okna są do trzech części zamurowane, a do murów poprzyczepiane różne klitki z drzewa przeznaczone na różne składy i mieszkania dozorców; oto jest zamek Sandecki.

Zasługuje także na uwagę zburzony kościół ks. Franciszkanów, dziś obrócony na kirchę wyznania augsburgskiego. Gotyckie ozdoby i rzeźby widać na częściach muru, a na jednej ścianie jest tablica marmurowa z pochwałami fundatora; na ziemi leżą powyrzucane z kościoła grobowce niepośledniе dłuta, z pozacieranymi i poniszczonymi napisami.

Kościół farny lubo wewnątrz żadnych nie ma bogatych ozdób, piękny jest powierzchownie ze swej budowy gotyckiej, toż samo i kościół ks. Jezuitów; nie tak jest piękny, jak nosi cechę dawnego zabytku starożytnego budownictwa; dzisiaj wyporządzony i odnowiony bez naruszenia jednak kształtu w najmniejszej rzeczy, wygląda jakby nowo wystawiony.

O milę od Nowego leży Stary Sącz zwany tam Starem miastem. Droga między niemi równa i wyborna. Na ścianach lazaretu wojskowego, który stoi blizko Popradu oznaczono wysokość do jakiej pamiętna powódź 1813 roku zalewała tę dolinę.

Stare miasto słynie klasztorem panien Franciszkanek, założonym od Św. Kunegundy, żony Bolesława Wstydliwego, gdzie też księżna ta przepędziła ostatnie lata swojego życia i umarła. Zakonnice zachowują dotąd jej zasłonę i obraz przed którym zwykła była modlić się. W czasie odpustów rozdają nabożnym po kawałku z tej zasłony, ale skutkiem cudu nigdy zasłony nie ubywa; obraz ma tę własność, że otarta o niego odzież niszczy choroby i zabezpiecza od nich.

S. Goszczyński i Przyjaciel ludu.

39. Górale tatrzańscy.

Mieszkańcy Tatrów, to jest właściwie tatrzańskiego Podhala nazywają się Podhalanami. Jest to w ogólności lud dorodny. Wzrost jego więcej niż mierny, a w większej części wysoki, budowa zgrabna, lekka ale mocna, ruchy pełne życia i zręczności. Głowy nierzadko piękne bardzo często szlachetne w rysach twarzy, które powszechnie prawie odznaczają się śmiałością, rozumem, wyrobionem życiem, pewną dojrzałością i siłą wewnętrzną, albo przebiegłością zuchwalstwem, chytrością, przed któremi trzeba się mieć na baczności.

Ubiór ich zanadto obcisły, zanadto kusy, nie jest jednak bez wdzięku męzkiego. Był on jak się zdaje pierwszym wzorem stroju dzisiejszych Huzarów, tylko mniej ozdobny, a raczej mniej upstrzony. Koszula krótka mało co przesiągająca piersi, spodnie opięte z grubego białego sukna, u których szwy podłużne zewnętrzne nogawic pokryte są czerwonym sznurkiem, za obówie ciżmy skórzane, to jest kawałki skóry przykrępowane tylko do nogi bez oddzielnych podeszew rzemiennem sznurowaniem, które dochodzi mniej więcej do połowy łytek; pas skórzanny szeroki z kieszonkami i pochwami na nóż i inne narzędzia, zapinający się z przodu na kilka sprzążek, guńka biała, długa do bioder bez żadnego kołnierza spięta pod szyją, najczęściej z rękawów spuszczona, kapelusz z dnem nizkiem wypukło okrągłem o wązkich skrzydłach, włosy długie rozpuszczone po plecach i ramionach, niekiedy splecione w kilka warkoczy broda, i wąsy golone; oto strój górali najpowszechniejszy, podlega on pewnym zmianom w niektórych okolicach, ale nigdzie co do kroju. Ludzie co go pierwsi wymyślili i odważyli się nosić musieli być doskonałej budowy. Rzecz najważniejsza, że z pod tego stroju Podhalan przebija się ich charakter ich strona moralna.

Ubiór góralek bardzo prosty. Koszula perkalowa bez kołnierza wycięta na piersiach i na plecach i ściągnięta sznureczkiem, rękawy jej obszerne marszczone przy pięści, obszyte i związane czerwoną wstążeczką. Na koszuli gorset przykrojony do kibici materyalny najczęściej zielony, obszyty galonem po brzegach; nie uciska on piersi, tylko je robi wydatniejszemi, bo ledwo je w połowie przykrywa i z przodu zapina się na haftki. Spódnica obszerna gęsto fałdowana z materyi lub perkalu w kwiaty na spódnicy krótszy od niej fartuszek muszlinowy, za obuwie żółte buty na wysokich podkówkach. Potem wszystkiem spływa z głowy lub ramion, aż do ziemi rąbek z muślinu; z pod rąbka przebłyskują na szyi ulubione tej płci błyskotki i ozdoby. Włosy umuskane są aż do zbytku rozdzielone

wierzchem głowy na dwie strony i splecione w jeden warkocz, spływają po plecach. Mężatki mniej noszą ozdób i głowę zawiązują chustką, której część tylna rozszerzonym końcem spada ku szyi.

Góral dzisiejszy jest to już mieszanina chłopa dawnego Słowiańskiego i chłopa zaczynającego cywilizować się oświatą, jaka do sfery ludu najłatwiej przeniknąć może. Zachował on z dawnego wiele dobrych przymiotów i wiele wad rodzinnych zarywa z wyższego ukształcenia, z nowego dla siebie porządku rzeczy nieco dobrego, wiele rzeczy szkodliwych swojej dobrej stronie, niezgodnych z jego duchem ojczystym. Ma wyższość nad wieloma innymi Słowianami przez poczucie się w swojej sile, w swojej wartości i w potrzebie, zdolny jest objawić je z wielką energią. Pod tym względem można go uważać za pobratymca bliższego Serbom, Czarnogórcom i innym plemionom południowych Słowian, jak Słowianom z tej strony Karpat. Rząd austryacki bardzo jest ostrożny w stosunkach z góralami i widocznie pobłaża im, niekiedy aż do słabości. Górale postrzegają się na tem; mają oni wielki instynkt niepodległości, ztąd panujący im nigdy zupełnie rachować na ich miłość nie mogą. Góral zagrożony, raniony, napastowany ze strony tego uczucia, staje się strasznym wrogiem. Niezdolny do otwartej walki, uzbraja się zemstą, uzbraja się we wszelki oręż, jaki tylko może dostarczyć zemsta najzaciętsza i najskrytsza. Smutne tego przykłady nie są rzadkie, a mianowicie na polu stosunków z dziedzicami. To położenie utrzymuje konieczność hajduków czyli służby zbrojnej, do czego sam rząd upoważnia.

Ziemia górala Tatrzańskiego jest mu niewdzięczna, a raczej biedna jak on; zaledwie ma z niej ziemniaki, owies i nabiał; mimo to kocha on ją miłością rzadko nieznaną prawie mieszkańcom ziem hojniejszych. Kilka tygodni oddalenia od ojczystych gór, już wpływa na zdrowie górala. Zmuszony potrzebą, puszcza się on na zarobek z kosą i sierpem, aż za Wisłę, ale jak najprędzej wraca do domu. Za nic w świecie nie zaprzeda się jak Szwajcar, nie uwięzi się w obcym kraju dla Bóg wie jakiego zysku.

Trzeźwość, wstrzemięźliwość i oszczędność górali są do podziwiania i naśladowania. Trudno przestawać na mniejszem, utrzymywać życie pokarmem skromniejszym i lichszym. Stanowią go powszechnie żur owsiany i placki owsiane, zwane moskalami. Taki jest powszechnie pokarm górala. Ziemniaki nawet mogą się uważać za zbytkową już potrawę; nabiał także nie jest pokarmem zwykłym, wyjąwszy dla pasterzy w czasie letnim, reszta idzie na sery, które są na sprzedaż. Jeszcze rzadziej pokazuje się mięso na stole górala.

Ten sposób życia nietylko że nie szkodzi góralowi, ale można śmiało twierdzić, że mu jest bardzo korzystny. On to przyczynia się

niemało do utrzymania go w wyższości umysłowej, nietylko nad chłopami innych okolic, ale nawet nad szlachtą ucywilizowaną, a ciału nadaje tę lekkość, wytrwałość, zdrowie i siłę, które wielce odznaczają naszych górali.

Następnie pracowitość i czynność górala jest niepospolita. Rzuca się on na wszystkie dostępne mu drogi pracy. Zajmuje się głównie rolnictwem i pasterstwem, oddaje się potem tkactwu, ciesielce, kowalstwu, furmanowaniu, kupiectwu mniejszemu rybami, nabiałem, owcami, strzelectwu i t. d.

W zatrudnieniach rękodzielnych, góral rozwija niepospolitą biegłość. Takie roboty, jak naprzykład fajki mosiężne, toporki, torby, są roboty krajowej, wychodzą z rąk krajowców i nietylko że są dobre, ale często w wyższym stopniu ozdobne i piękne.

Nie jest rzeczą nadzwyczajną widzieć zegary ścienne, w których wszystkie sztuczki są z drzewa, roboty góralskiej i bardzo dobrze idące. A tym czasem jest to dzieło chłopa, który nie ma ani narzędzi stosownych, ani pojęcia wyższej mechaniki, albo wyższych rachunków.

Góral i w tem jeszcze wyższy jest od wieśniaków innych stron, że każdy prawie umie czytać i pisać, a nawet kobiety. Niemała liczba górali dochodzi do ukształcenia wyższego nad zwyczajne. Najupodobańsze im szkoły są księży Pijarów w Podoleńcu na Spiżu. Tam pospolicie oddają swoje dzieci i ztamtąd wielu wychodzi po zupełnem ukończeniu szkół. Spotkasz nieraz górala za pługiem, albo bacą wśród gór, który słuchał filozofii, umie po łacinie, a dziś uprawia rolę, albo dowodzi trzodami.

Chaty ich mają pozór przyjemny; budowane z drzewa, ale obrobione gładko, starannie i są obszerne. Przyczynia się zapewne do tego obfitość drzewa, ale jeszcze więcej miłość porządku czystości i wygody. Izby przestronne, w każdej chacie jedna izba osobna, niby gościnna, gdzie zazwyczaj stoi warsztat tkacki; taki warsztat ma każda prawie rodzina. W chacie wszystko utrzymane czysto, ułożone porządnie. Bydło mieszka pod osobnym dachem. Zagrody wszakże są przestronne, wygodne i dobrze utrzymywane, bo też mieszczą w sobie główny majątek górala.

Wsie pod Tatrami są ogromne i ładne, chaty wielkie, piękne, nierzadko domki murowane. Cała zagroda zapełniona budowlami porządnemi. A tymczasem mieszkańcy tych wsi, tych chat, nie zbierają ze swojego pola, jak kilkanaście korcy zarazem owsa i ziemniaków, a i to jeszcze zły rok nieraz wyniszczy. Ale za to jest pracowitość, rządność, oszczędność, wstrzemięźliwość, przemysł. Człowiek wiele niepożąda, obchodzi się jak najmniejszem, a pracuje jak naj-

więcej. Karczmy w powszedni dzień stoją puste; jeżeli napełniają się w dni świąteczne, to i wówczas przewodzi umiarkowanie. Niema zbytku w piciu, nie ma hałasu. Zabawa nacechowana pewną godnością, koszt jej opędza się zwykle składką, którą w tym celu składają przytomni i chcący należeć do wspólnej biesiadki.

Górale tatrzańscy, są ludem pół rolniczym, pół pasterskim, więcej pasterskim, jak rolniczym, a może nawet głównie pasterskim. Wielce się przez to wyjaśnia zagadka jego charakteru, odskakiwanie niekiedy od ducha słowiańskiego. Góral jest Słowianinem przez miłość namiętną swojej ziemi, którą praca rolnicza około niej bardzo zasila i rozwija, ztąd w nim przymioty słowiańskie, cnoty słowiańskie dzieci tej miłości; można więc powiedzieć, że góral jest Słowianinem przez rolnictwo, zaś pasterstwo zbliża go do ludów pasterskich na Wschodzie. Przypatrzmy się dobrze góralom z tej strony, a znajdziemy dziwne zbliżenie pomiędzy nimi, a pasterskiemi plemionami naprzykład Arabów, zbliżenie w charakterze, dobrych przymiotach, a razem złych skłonnościach. Już to dawno postrzeżono, że jest coś w pasterstwie, co zaszczepia w człowieku pewien rodzaj dzikiej energii; tę energję mają Araby, którzy są jedynie pasterzami, tę energję mają i nasi górale i w tem zostawiają powolnych Słowian za sobą.

Pasterstwo stanowi główne utrzymanie, główny wdzięk życia górala. To jego praca najgłówniejsza, to dla niego najmilsze i najwdzięczniejsze pole pracy.

Trzeba go widzieć, trzeba widzieć jego życie, jego góry w porze pasterskiej. W rzeczy samej jest co widzieć. Ale wtedy pomijaj wioski i chaty, idź w góry, drzyj się po górach, szukaj miejsc najustronniejszych, wystawiaj się na upał, nie dosypiaj nawet nocy, bo tylko tam i takim sposobem zobaczysz górala w jego żywiole, pokochasz wdzięk jego życia.

Pasterstwo w Tatrach ma swoją organizacyę.

Dłuższa zima w Tatrach niż w górach; niższych jałowość Tatrów, a nawet w porze płodniejszej rzadkość pastwisk czyli polan zmuszają największą część Podhalan szukać swojemu dobytkowi pożywienia letniego w oddaleńszych miejscach, w przedgórzach; jest to konieczne dla handlu nabiałem, a mianowicie serami, który jest najważniejszy dla górali. Na ten cel każda wieś ma kilku lub kilkunastu gospodarzy porządniejszych, niejako przedsiębierców, trudniących się przez lato wyłącznie tym przemysłem; jednemu więc z nich, na mocy pewnych układów, pewna liczba mieszkańców powierza swoje bydło. Jego już jest powinnością wyżywić trzodę, zebrać nabiał, robić sery i t. d. Taki naczelny pasterz zowie się Baca. Ma on do pomocy w tem gospodarstwie kilku, lub kilkunastu pasterzy od nie-

go zależnych, poddanych jego kierunkowi, którzy się zowią Juhasami. Jest to zazwyczaj najdorodniejsza młodzież. Ich obowiązkiem paść powierzoną im trzodę, pilnować jej, opatrywać ją, doić krowy, owce i kozy, ważyć rzętycę, urządzać masło, robić sery i t. p. pod kierunkiem Bacy, który jest naczelnym wodzem Juhasów i trzody, a pełnomocnikiem odpowiedzialnym przed właścicielami powierzonego mu dobytku. Baca też zawiera umowy o polany, bądź z właścicielem jakiej wsi, bądź z gromadą. Wyznaczają się miejsca na wypasy, tudzież na koszary, czyli nocne stanowiska trzody, a w pośrodku stawia się porządna drewniana budowa, która służy Bacy za dom, Juhasom za przytułek; tam nadto składają się wszelkie naczynia pasterskie, urządza się i przechowuje nabiał. Jest to zarazem mieszkanie, fabryka, magazyn, a nawet sklep handlowy. Budynek ten zowie się Bacówka.

Życie zwyczajne pasterzy podczas letniego koczowania jest bardzo skromne; całym ich pokarmem chleb i nabiał, a głównie rzętyca, czyli przeważona mieszanina mleka wszelkiego rodzaju. Jest to rodzaj serwatki, tylko bez porównania smaczniejszej, gęstszej i posilniejszej. Własność jej lecząca z osłabienia ciała przez wycieńczenie, znana jest sąsiadom Karpat. Psy pasterskie nie znają także innego pokarmu tylko rzętycę i mają się jak najlepiej.

Niekiedy wyjątkowo wyprawiają sobie Juhasy pasterskie uczty. Dzień to zwykle świąteczny, a pora nocna, kiedy trzoda odpoczywa już zamknięta w koszarach. Wówczas dopiero jest na stole i mięso, wódka krąży w kieliszkach; wówczas przy śpiewach i muzyce ma też miejsce i taniec. A jak ta zabawa jest prawdziwą zabawą, można to pojąć przeniosłszy się myślą w kraj równie piękny, niebo równie wypogodzone, w dusze równie swobodne.

Życie to pasterskie rozpoczyna się powszechnie w pierwszych dniach Czerwca, a zamyka się pierwszych dni Września. Przez ten cały czas Podhale przedstawia widoki nieznane krajom równym, o których nie można mieć prawdziwego wyobrażenia, niedotknąwszy ich własnemi zmysłami.

Ile tylko roślinne państwo ma płodności pod tchnieniem wiosny, ile tylko życia i uroku może mieć pasterstwo, wszystko to w owych trzech miesiącach zalewa tę okolicę.

Wiosna pełna objawia się tu właściwie dopiero w końcu Maja; za to też objawia się odrazu pełniej niż gdziekolwiek indziej. Roślinność przytłumiona długiem zimnem, rozwija się we dwójnasób szybciej i bujniej; zaledwie można się postrzedz na jej przejściu z martwoty do pełnego życia. Cała okolica wychodzi odrazu w swoim stro-

ju świątecznym, wiosennym jak kobieta ze swojej gotowalni; uderza cię tem mocniej, że nie musiałeś być świadkiem jej ubierania się.

W owych to dniach ostatnich Maja rozpoczyna się pasterska wędrówka górali i rozlewa się z głębi Tatrów na kraj okoliczny. Ruch ten prześliczny podnosi jeszcze bardziej młode życie przyrody.

Widzisz naprzód, jak w oddaleniu z ciemnej głębi Tatrów, wysuwają się ciemne karawany, nierozpoznane jeszcze powoli zbliżają się ku tobie coraz wyraźniejsze, coraz ogromniejsze, wkrótce kupią się wszystkie w dolinie, zalewają jej przestrzeń, przesuwają się po niej, zaczynasz rozróżniać w tym tłumie ludzi, konie, bydło wszelkiego rodzaju, wozy naładowane różnemi sprzętami; po pewnym czasie tłum ten zaczyna się rozdzielać na różne drogi w różnych kierunkach, każdy oddział zmierza ku przedgórzom, aż póki wszystkie nie znikną w setnych wąwozach; ale za to jutro widzisz już wszystkie góry, lasy, polany zaludnione trzodami; słyszysz ze wszystkich stron dzwonki zawieszone u szyi bydląt; zewsząd uderza cię granie fletów, skrzypców, ze wszystkich szczytów rozlega się śpiew pasterzy i pasterek, a dzikie skały odpowiadają ich kukaniu.

W tej to porze trzeba poznać góry, a kto je tak pozna, temu trudno niepokochać je i później nie tęsknić za niemi.

S. Goszczyński.

40. Zbójnicy w górach.

Zbójectwo stanowi jeden z celnych żywiołów poezyi górali tatrzańskich, — gra ważną rolę na scenie góralskiej krainy i góralskiego życia, a przez to rzuca pewne światło na charakter mieszkańców. Istnienie zbójectwa w górach jest prawdą niezaprzeczoną, jest czynem dotykalnym, nie można go więc lekceważyć w badaniu ludu góralskiego, a tem mniej pominąć, przeciwnie zbliżyć się ku niemu potrzeba i pilnie mu się przypatrzyć, byle z właściwego stanowiska.

Wprawdzie zbójectwo nie jest dzisiaj tem czem było przed laty, czas je znacznie przytłumił, a najwięcej sprężysta czujność rządu, silniejsza policya; w górach mimo to zbójectwo nie zniknęło, nie wywietrzało, że tak powiem z ducha góralskiego. Jakkolwiek główna jego siła zapadła już w przeszłość, połyska z przeszłości urokiem przyćmionym znacznie, wszakże nieraz jeszcze znajduje swój odblask w obecności; góral z pewną tajoną chlubą wywołuje pamięć głośnych zbójców, daje im swoją sympatyę, a niekiedy puszcza się w ich ślady. Ważna jest rzecz z tego stanowiska patrzeć na zbóje-

ctwo w górach, inaczej pojęcie jego, sąd o niem, będą fałszywe, a to sfałszuje sąd ogólny o góralach.

Zapatrywanie się górali na zbójectwo, znacznie różni się od naszego. Zbójectwo w oczach górala nie jest rzeczą tak obrzydliwą i hańbiącą jak dla nas; zbójnik dla górala nie jest takim zbrodniarzem, jakby według prawa być powinien. Prawda, że zbójcy dzisiejsi, nie są to zbójcy okrutni, krwawi, straszni, jak byli dawniejsi, jak przynajmniej wyobrażamy ich sobie wszystkich z powieści o niektórych, z niektórych wydarzeń, ale ta okoliczność najmniej wpływa na pobłażanie górali temu rzemiosłu.

Góral może się obawia swego zbójcy, ale się nim nie brzydzi, w jego obawie jest więcej poszanowania jak wstrętu. Możnaby powiedzieć, że zbójectwo między górami jest uważane jako rodzaj rycerskiej szkoły, przez którą góral nie wzdraga się przechodzić; nie tylko nie wzdraga się, ale nawet jest rwany pędem wewnętrznym, gdyby się nieznajdował w warunkach wręcz temu przeciwnych; tak dawniej było konieczną potrzebą moralną dla Ukraińca przehulać część swojego życia na Zaporożu. Sam napotykałem bardzo zacnych z innego względu górali, którzy poświęciwszy temu przejściu lat kilka, wrócili znowu między swoich i są dziś najporządniejszymi gospodarzami, i nic przez to nie tracą na szacunku u swoich krajowców.

Zbójnik jest rodzajem ideału dla górala. Odznacza się on zwykle okazałą postawą, niepospolitą siłą, zadziwiającą zręcznością w rzucaniu toporkiem, szybkością w biegu, gibkością w tańcu i tym podobnemi zaletami fizycznemi. Jest on jeszcze ideałem, jako człowiek odważny na wszelkie niebezpieczeństwa, obojętny na śmierć, wróg jakiejkolwiek uległości. Jest to wszystko w charakterze górala, a zbójnik najpełniej to objawia.

Nieraz rekrutacya napędza do zbójectwa. Ale jest to przyczyna podrzędna, bo nie jak niższe namiętności: zemsta i chciwość. Zastanawiam się nad przyczynami i dostrzegam ważniejszych i głębokich; leżą one w naturze człowieka i w charakterze górali, po części w ich położeniu.

Ludy pasterskie odznaczają się głównie skłonnością ku temu życiu. Dla czego, nie wiem, ale tak jest. Duch naszych górali wydaje mi się być w pewnem pokrewieństwie z arabskim: nie mogą mieć Farysów, przestają na zbójnikach. Położenie ich nie dozwala im zamienić się w hordę Beduinów, ale z drugiej strony położenie to robi niekiedy górala zbójem. Dziwne jest w tym względzie pobłażanie mieszkańców, a nawet rodzaj opieki. Zbójnicy przychodzą naprzykład do Bacy i każą sobie dać tyle owiec, tyle serów i t. d. Ba-

ca nie robi oporu, składa żądaną żywność, jakby się składała kontrybucya, a jeszcze właściwiej jakby się płacił podatek. Widzi on wprawdzie swoją szkodę, ale ją uważa niejako za konieczną, a może nawet w duchu usprawiedliwia to postępowanie, przypominając sobie, że przed czasem on sam żył podobnież. Bo i dziś takie bandy tworzą się często z samychże Juhasów, a przyprowadza ich do tego potrzeba nocnej biesiady. Sami ubodzy ucztują kosztem zamożniejszych.

Najgłośniejszym bohaterem zbójectwa w Tatrach jest tak zwany Janoszyk, żył on w końcu przeszłego wieku. Tysiące powieści krążą o nim dotąd. Te powieści przystrajają go we wszystko, co tylko potrzeba, aby zbójectwo podnieść do ideału. Janoszyk jest ideałem zbójcy najukochańszym, na jaki tylko wyobraźnia górali zdobyć się może. Skupiają się w nim wszystkie przymioty zbójcy, wszystkie zalety i cnoty człowieka. Olbrzymi wzrost, uroda, rozum, siła nadludzka, zręczność niezrównana, odwaga bezprzykładna, dobroć, szlachetność, wszystko to łączyło się w Janoszyku. Był on jeszcze człowiekiem nadzwyczajnym, przez związek ze światem nadzmysłowym, przez władzę nadprzyrodzoną nad duchami i przyrodą nieorganiczną.

Obok tego wszystkiego był bardzo pobożnym, co go nieraz ocaliło, jak naprzykład w następnem zdarzeniu. Janoszyk spotyka raz biednego studenta z Podolińca, wchodzi z nim w rozmowę i do tego rzecz przyprowadza, że student zaciąga się do jego bandy. Ale po niejakim czasie zdradza Janoszka, porozumiewa się ze zwierzchnością i przyrzeka zabić go. Wkrótce znajduje sposobność spełnić przyrzeczenie. Było to o wschodzie słońca, kiedy Janoszyk zwykle się modlił i to klęczący. Zdrajca zakrada się z tyłu i strzela do niego, ale chybia. Janoszyk jakby nie słyszał, nieprzerywa modlitwy, nie zmienia postawy; idzie drugi strzał, i znowu chybia. Janoszyk wciąż się modli; jest właśnie przy końcu modlitwy, kiedy zdrajca trzeci raz dał do niego ognia i tą razą bez skutku, a sam począł uciekać. Janoszyk powstał, bo skończył zwykłą modlitwę puścił się za uciekającym, dopędził go i zabił. Pobożność go ocaliła.

Sławę Janoszyka dzieli jego siekierka. Była ona także nadzwyczajna. Niepotrzebował mieć ją ciągle przy sobie, bo sama leciała na jego gwizdnienie, choćby z miejsc najdalszych. Gra ona szczególną rolę w ostatnich chwilach Janoszyka. Kochanka, co go wydała zdradziecko w ręce zwierzchności, wiedziała o tej własności tajemniczej jego watażki, miała więc przezorność zamknąć ją naprzód w dziewięciu skrzyniach z dziewięcią zamkami. Janoszyk schwytany gwizdnął na swoję broń doświadczoną; watażka wierniejsza od kobiety, jak tylko usłyszała gwizdnienie Janoszyka, zerwała

się w pomoc jemu, zaczęła się wyrąbywać z zamknięcia, przerąbała ośm skrzyń, ale dziewiątej nie mogła, bo taka siła jest w liczbie dziewięć.

Koniec Janoszyka pokrywa niepewność. Według jednych podań został powieszony, inne naznaczają mu śmierć naturalną. Na dolinie Kościeliskiej pokazują jaskinię, w której znaleziono szkielet olbrzymiej wielkości i uważano go jako smiertelne reszty po Janoszyku.

Miał on być rodem ze Spiża. W Drużbakach, w domu kąpieli mineralnych widziałem obraz przedstawiający Janoszyka ucztującego ze czterma towarzyszami. Jeden z nich gra na kobzie, drugi wyprawia napowietrzne skoki z siekierką, sam Janoszyk z dwoma drugimi pije. Malarz wystawił ich tam w stroju prawdziwym zbójców, ozdobionym wyszywaniami w ogromnych kołpakach z gałązkami u góry: strój hajduków i huzarów. Pod każdym wypisane było jego nazwisko.

Pieśni osnute na zbójnictwie są w bardzo wielkiej liczbie; świadczą one co powiedziałem, o pewnem upodobaniu górałów w tym rodzaju życia, o silnym pociągu wewnętrznym do niego. Są one upoetyzowaniem zbójeckiego zawodu od egzaltacyi dla niego aż do śmierci na szubienicy.

Zbójnicy są zazwyczaj gładosze góralscy. Urodziwi ciałem, zdobią się jeszcze strojem, który można nazwać nawet wyszukanym. Pielęgnują szczególniej włosy, nie strzygą ich i noszą albo rozpuszczone, albo przeplatane wstążkami.

Z powodu zbójectwa góry do niedawnego jeszcze czasu były w stanie oblężenia, pod prawem zwanem *Standrecht.* Sąd i kary były jak najszybsze i najsurowsze: najmniejsza kradzież karana była szubienicą. Miejscowe władze cywilne wymierzały sprawiedliwość, miały prawo życia i śmierci. Wyrok wykonywał się najdłużej we 24 godziny. Może być, że ta surowość przyczyniła się do przytłumienia zbójectwa, to pewna, że podnosiła pogardę śmierci do takiego stopnia, że ledwo wiarę dać temu można.

S. Goszczyński.

41. Wisła.

Ze wszystkich rzek wpadających do Baltyku, Wisła jest największą, a jej szeroko i gałęzisto rozłożone dorzecze zajmuje prawie samą miazgę i sam środek tego obszaru. Daleko na wszystkie stro-

ny sięgają źródła i wierzchołki tych rzek strugi potoków, których wody w połtorasta prawie milowym biegu ona z sobą uprowadza i do Bałtyku odlewa.

W świecie starożytnym była ona znana pod nazwiskiem Wandali, także Wistuli; w Słowiańszczyznie nazywają ją Białą Wodą; podobnież nazywają ją Niemcy Wejsel po swojemu.

Idąc od Żywca w górę nad brzegami Soły, skręca się droga od brzegów Soły do Radziechowa w prawo ku zachodowi i prowadzi na wysokie działy, bo na działy samego Beskidu. Tutaj grzbietem Beskidu ciągnie się miedza graniczna Starej Polski i odkrywa się oczom widok rozległej Szlązkiej krainy, i z miejsca tego na strzał gwintówki w połowie najbliższej góry, która już ku Szlązkowi spada, wytryska ośm silnych źródeł na północo-zachodniej wklęsłości. Góra ta zwana jest Baranią, świerkami obrosła, kotlina nad źródłami Czarnym Werehem; źródła te, są to źródła Wisły na 2,000 stóp prawie nad poziom morza wyniesione. Na przestrzeni 15—30 sążni od siebie wachlarzem rozłożone, łączą się one trochę niżej w jeden potok i przybierają nazwisko Czarnej Wisełki, która w kierunku od wschodu ku północnemu zachodowi w nagłych spadkach po kamieniach lecąc od miejsca, gdzie się już wszystkie źródła w jeden potok zlały, przebywa przestrzeń 1,500 sążni.

W miejscu ujść Czarnej zwanem, wpada od prawego brzegu do Wisełki Wolna, o pół mili z pod góry Rubawska, ze wschodu ku zachodowi płynąca, niżej nieco zabiera z sobą od tejże strony Białkę z pod Skałki, o pięć ćwierci mili płynącą w tymże samym kierunku. Długosz podaje źródła tej Białki za właściwe źródło Wisły, do której się także odnosi nazwa słowiańska Białej Wody i niemiecka Wejsel. Na przestrzeni od ujścia Białki aż do wsi Wisły, wpadają do Wisełki od prawego brzegu naprzód potok Malinki z pod góry Kopiec o milę, następnie Gościejeca z pod Smerekowca o pół mili, w końcu Partaznik krótki i nagły potok. Od lewego zaś brzegu zabiera z sobą Wisełka Jawornik o pół mili z pod Beskidu płynący, dalej Dziecheń o trzy ćwierci mili z pod Stożka, a w końcu Kopydłę, która o milę od ujścia swego pod Kiczorą ma źródło.

We wsi Ustroniu poniżej wsi Wisły zabiera Wisełka wody Dobki i Bukowej i wiele innych pomniejszych rzeczek, a poniżej wsi Ustronia przybiera już sama nazwę Wisły i tu się zamyka właściwy obszar jej źródłowiska. Ztąd po półtorej mili biegu w kierunku ku północy płynąc, przybywa pod miasteczko Skoczew, gdzie jej koryto już nieco poczyna się ustalać. Dwie mile poniżej Skoczewa, od miasteczka Strumień, łamie się Wisła coraz więcej ku wschodowi i płynie równiną ku Polsce. Pomijając Oświecim, Zator, opodal płynie

na Kraków aż do Niepołomic ku wielkiemu wschodowi. Ztąd poczyna się brać coraz więcej ku północnemu wschodowi na Opatowiec i Sandomierz aż do ujścia Sanu.

Zrazu na górnym biegu płynie Wisła w środkowym kamienistym rozdole, górskiemu potokowi podobna; wazką jej dolinę otaczają wyniosłe działy. Kędy się na Szlązku ku wschodowi skręca, wybiera się po raz pierwszy na szerokie równiny, po lewym jej brzegu leży kraj do poziomu równy i otwarty, a po prawym zostają góry, opodal nad któremi w okolicy Kęt panuje góra Wielką Puszczą zwana. Tutaj jest jej dolina podmokłą, bo kraj okoliczny leży na ostatecznych stokach Beskidów i wysoczyzny Tarnowickiej, po obudwu brzegach ciągną się wzdłuż porzecza małe jeziora, a po lewym brzegu leży wiele jezior i stawów tak nizko, iż wody ich niemają spadku ani ku Odrze, ani ku Wiśle. Tutaj okazują się pokłady wapieni do poziomu leżące, połogie stoki wysoczyzny są późniejszym odtokiem zasłane, a urodzajna z namułu morskiego powstała ziemia pokrywa dolinę.

Od ujścia Skawy świadczą pokłady po obudwu brzegach Wisły, że kiedyś zostały jej prądami na podnóżach gór przerwane. Dolina jej ścieśnia się coraz więcej, ścianki i skałki spuszczają się nagle ku wodom na przestrzeni tego pierwszego wyłomu, a miejscami gdzie góry są niższe i niezbyt zbliżone rozścielają się nad samemi wodami zielone łęgi, gęsto wiklami poszyte, a za niemi leżą otwarte, wesołe, rozległe zabrzeża. Około Tyńca przechodzi Wisła przez skalistą bramę i tu opuszcza ona formacye Karpackie. Szeroki rozdół, którym na tej przestrzeni Wisła odtąd płynie, ciągnie się aż w okolice Krakowa i po prawym jej brzegu leżą połogie upłazy i podgórza Beskidów, nad któremi w oddaleniu Babia góra i Lanckorona panuje, a po lewym leżą góry Krakowskie. Poraz ostatni są tu brzegi Wisły ściśnięte, raz górą Ś. Bronisławy i Wyzrelcem na Zakrzówku, a powtóre w samym już Krakowie, Wawelem i pasmem Krzemionek na Podgórzu, nad któremi góra Lasota i mogiła Krakusa panuje.

Spadek wód Wisły jest zrazu bardzo bystry. Za nim w nizinę zbiegnie, raczej byś ją wiszącą jak płynącą poczytał, mówi o niej Długosz. Nagle traci się ten spadek w równinach Szlązkich. Największej powodzi zaczyna być Wisła już tutaj spławną i zabiera z sobą spław Przemszy, a dalej Soły i Skawy. Od Krakowa chodzą po niej galary i szkuty. Wszakże aż do Krakowa jest łoże jej płytkie i w czasie posuchy z łatwością powyżej można ją przebrnąć.

Kiedy na Szlązku po raz pierwszy Wisła skręca się ku wschodowi koryto jej szerokie jest zaledwo na 10 sążni; na ujściu Przemszy zwierciadło jej wód leży 780 stóp nad powierzchnią morza; w dal-

szym biegu, wzdłuż gór krakowskich, rozszerza się jej koryto coraz bardziej od 15 do 47 sążni; tak szeroką jest Wisła pod Krakowem i tutaj leżą jej wody 612 stóp nad powierzchnią morza; łoże jej traci odtąd pozór górskiej rzeki.

Poniżej Krakowa rozkłada się dolina Wisły coraz szerzej; zrazu góruje brzeg prawy i pomiędzy ujściem Wilgi a ujściem Raby leży wyniosły dział, od niego uchodzą tylko krótkie podgórskie strugi ku Wiśle, na całą zaś milę odległości obchodzą łukiem lekkie wzgórza Krakowskie po lewym jej brzegu dolinę na Zawiślu. Przed ujściem jeszcze Szreniawy spuszczają się znowu góry ku Wiśle i oddalają się znowu w lekkim łuku na milę, toż dzieje się na ujściu Nidy w okolicy Potańca i Sandomierza. Na całej tej przestrzeni jest lewy brzeg Wisły znacznie wyniesiony, a miejscami nagi, stromy i skalisty. Od prawego zaś brzegu dolnej Raby począwszy, rozściela się odtąd równina, która napoprzek dolnego Dunajca i Wisłoki aż tam porzeczy Sanu sięga, kędy San poniżej Przemyśla wybrał się na równie. Zaklęsła dolina Kolbuszówki leży tutaj najniżej pomiędzy prawym brzegiem Wisły a lewym brzegiem Sanu, a na całej przestrzeni leżą na Przedwiślu rędziny naprzemian z piaskami, a już od Niepołomickiej puszczy począwszy, ciągną się całemi płatami ogromne bory sosnowe, które mają pozór zapadłych puszcz. W głównej dolinie między rozległemi zabrzeżami, leży niby druga głębsza dolina, którą sama Wisła płynie i odtąd już napotyka się często na ślady odwiecznych jej wyboczeń. W miękkiej ziemi łatwo porze wart jej nowe biegi, często odrywają się odnogi i odsypują wyspy, i odrywają od brzegów ostrowy całymi lasami nadwiślańskiej topoli, dębiną lub olbrzymim wiklem i białodrzewem porosłe. Porosty te bywają zawsze ku jednej stronie a za biegiem wody pochylone, co o działaniu panujących zachodnich wiatrów tu świadczy. Brzegi te są podbite i osute, bo powodzie i kry biją ku nim taranami na zakrętach. Często natrafia się na stare łoża rzeki, czyli na tak zwane Wiśliska, któremi bagna się ciągną i olcha z łozą porasta, a na większej wodzie sączą się po Wiśliskach i strugi wzdłuż małych jeziorek.

Poniżej Sandomierza kędy się Wisła ku pełnej północy skręca zwęża się jej dolina na pół mili. Tutaj aż do ujścia Pilicy przerywa ona pasma Łysogór; wysokie, strome i borami porosłe zabrzeża, otaczają jej dolinę na przestrzeni tego drugiego wyłomu, i nikną przed ujściem Pilicy w piaszczystych przyczołkach, które Zulcami, Solcami i Sudcami nazywają. Mielizny zaś naprzeciwko tych nagich i oberwanych przyczołków leżące, nazywają Rapami.

Z ujściem Pilicy wstępuje Wisła w owo najgłębsze wyżłobienie urodzajnych równin polskich i cały kraj jest odtąd właściwie jej do-

liną. Brzeg opada i niknie w końcu prawie zupełnie na zakręcie ku zachodowi poniżej ujścia Narwi, a na porzeczach i ujściu Bzury jest lewy brzeg nizki i podmokły; aż ku Gopłu i Warcie ciągną się równiny, ale prawy brzeg jest już poniżej Modlina podbity i stromy, a góruje na całej dalszej przestrzeni średniego biegu nad doliną Wisły, pod nim leży wart, a w okolicy Torunia podnoszą się także i po lewym brzegu lekkie pagórki.

Na przestrzeni od ujścia Brdy aż do miasta Nowia przerywa Wisła grzbiet pojezierza Bałtyckiego; tu jest tedy trzeci i ostatni jej wyłom. Zdała już jest tutaj kraj ku porzeczom pochylony i szeroko rozwarty tak, iż miejscami na milowej jeszcze odległości od samychże wód, można poznać, że się kraj ku wielkiej rzecze stacza i przybliża. Szeroką wstęgą snuje się tutaj poważnie Wisła i łoże jej całe jest rozkosznemi ostrowami zasiane. Miejscami wznoszą się gliniaste, urwiste i dosyć wysokie zabrzeża, a zamiast samego brzegu ciągną się wzdłuż rzeki groble i tamy, które od Torunia aż do ujścia Wisły zajmują przestrzeń 45 — 48 mil.

Poniżej miasta Gniewa rozdziela się Wisła na dwa ramiona, z których prawe zwane odtąd Nogatem, płynie na Malborg i wpada dwudziestoma odnogami do zatoki Iryskiej, lewe zaś pod Głową, czyli po staremu, językiem flisackim mówiąc, pod Królewską przyłbicą, raz jeszcze rozdzielone sięga jedną odnogą, którą nazywają Leniwką na zachodzie pod Myndą morza, drugą styka się na wschodzie pod Tregonat z zatoką Iryską i bywa tutaj zwana Szkarpawą, a niekiedy także Starą lub Elblągską Wisłą.

Szkarpawa inaczej Skarbówka dzieli się na ujściu na czternaście ramion i jest znacznie większą odnogą Wisły, ale nurt Leniwki głębszy bo kopany.

Na rozwarciu tych ramion legły trzy wyspy: między Nogatem a Szkarpawą położona wyspa, nazwana jest Żuławami większemi czyli Malborgskiemi; między lewym brzegiem Wisły, poniżej Gniewa, Leniwką i Motławą, położoną wyspę nazywają Żuławami Mniejszemi czyli Gdańskiemi; tę zaś która na widłach Szkarpawy i Leniwki klinem siadła, a od północy morzem jest oblana nazywają Mierzeją. Mierzeja jest piasczystem odpłuczyskiem fal morskich i została w r. 1200 nad poziom morza wyniesioną w czasie długotrwałej burzy na Bałtyku, szerokość jej wzrasta od 400 do 4,000 sążni. Żuławskie zaś ziemie powstały z sztucznego ujęcia brzegów Wisły tamami z bagna; bo dawniej rozlewała się Wisła na ujściu od Gniewa począwszy aż ku morzu, szeroką powodzią aż po Kwidzynę; dolina Wisły jest odchodziskiem morskiem, i Żuławy są tylko sztuką wodom wydarte. Nogat mając bieg o trzecią część krótszy od Leniwki, tem

samem więcej ma spadku, i przestrzeń od Głowy do ujścia Leniwki o pół mili poniżej Gdańska pod Myndą zajmuje półszostej mili, na niej ma odnoga 11¾ stóp spadku. Ztąd zabiera Nogat największą część wody, a Leniwkę, którą tak flis do wolnego spadku nazwał, zalegały coraz większe piaski, a wiosną robiła kra spory na zakrętach i zagrażała Żuławom zniszczeniem. Od połowy Stycznia 1840 r. sparły się lody, naniesione z średniej Wisły w łoże Leniwki, około rybackiej wioski Najfar, w miejscu gdzie Mierzeja jest najwęższą. Równocześnie utworzył się zator z kry na początku Szkarpowy i Nogaty. Wisła niemając w ten sposób kędy ulać swoich wód, wezbrała w brzegach i zagrażała zniszczeniem całej okolicy, wziąwszy całą potęgą swych wód wagę na Leniwkę. Aż 1 Lutego 1840 r. w nocy wyrznęła się nowym korytem wprost ku morzu, około wioski Najfar, przerwawszy zaspy ruchomego piasku Mierzei na 120 stóp wysokie. Długość nowego biegu zajmuje 400 sążni, głębokość nowego wartu wynosi od strony lądu stóp 40, a od morza 17—20 stóp, szerokość 300 sążni na początku, a 1,000 przy ujściu. Największe okręty i całe floty mogą chodzić takim wartem i spadek wód jest teraz raźniejszy. Żuławom niezagrażają więcej powodzie i spory kry do tyla jak przedtem przerwaniem grobel, ale Gdańsk pozostał na suszy i tylko kanałem dziś jest połączony z morzem.

Dawniejsi geografowie twierdzili, że Wisła coraz więcej miałczeje na ujściu i że z czasem na niej zupełnie żegluga ustanie; nowe wszakże i tak głębokie koryto, które na ujściu świeżo sobie wyrznęła, zbija dostatecznie to mniemanie.

W ogólności biorąc ma Wisła na jednej mili 5—3 stóp spadku, ztąd też nazywają ją postronnie dla tej zalety piastunką łodzi. Koryto jej dostatecznie jest wodą opatrzone, ale często zmienia prądy. Dzieje się to mianowicie kiedy woda wzbiera, albo raczej kiedy powódź opada, ztąd też jest łoże Wisły dwojakie: stare łoże zwane jest Samicą lub Matką, nowe Lachą. Samicą płyną statki w każdym czasie, Lachą tylko na większej wodzie, prostując drogę w żegludze, bo kiedy wodaląduje, wówczas wyrzyna się prostą i krótszą drogą powódź, a flis omija kolana Samicy. Na całej przestrzeni swojego biegu, Wisła niesie ogromne zawały piasku i tworzy sama sobie zawady, odsypuje duże wzgórza piaszczyste, wspiera się na nich i obok wyrzyna sobie nowe warty, wzbiera i wylewa szeroko, wyrządzając wielkie szkody. Powodzie takie zrządzają czasem także spory kry idącej i bywają historycznie sławne, mianowicie na średnim i dolnym biegu. Nieszczęściem Wisły jest, że wody znoszą najprzód krę na górnym jej biegu i to nie w skutek ciepła, ale w skutek mechanicznych przyczyn, a to w chwili kiedy na średnim i dolnym biegu jest

Wisła jeszcze lodami okryta, łamią już potoki i drobniejsze strugi lody, a dostając się na wierzch lodu z powodu jazów, młynów i znaczniejszego spadku potoków i strug, łamią się lody na górnej Wiśle i piętrzą się styrmami kry, kiedy na średnim i dolnym biegu przeprawa przez Wisłę idzie jeszcze po lodzie. Ztąd są te powodzie niosące krę, tak groźne dla średniej Wisły, a jeszcze więcej dla Żuław, bo kra posuwa się z powodzią razem i tworzy spory i zatory na niezłamanych jeszcze lodach. Pięknym jest widok kry idącej, ale straszliwy częstokroć w swych skutkach. Woda Wisły bywa zazwyczaj biaława, często mętna; w czasie kiedy rzeki górskie wzbierają, nazywają ją Zrutką, w czasie letnich powodzi Naremnicą. Wody Narwi i Drewięzy zaczerniają jej macicę na czas niejaki, ale w dalszym biegu znowu ona się oczyszcza. W łożu Wisły napotyka się często nawyspy, które zazwyczaj leżą pomiędzy Wisłą a Wiśliskiem, pomiędzy Łachą a matką Samicą, albo też na ujściu rzek, wpadających do Wisły na górnym jej biegu. Wyspy takowe są dwojakie: kędy dębina i topola nadwiślańska zwana jabrzędzią z dawna porasta i grunt ma pod sobą rędzinny, nazywają to Ostrowem, kędy zaś nagie odmiały piasku lub żwiru i kamieńca wiklem i wierzbiną z czasem dopiero porastają, wyspę taką nazywają Kępą. Czem bliżej od ujścia tem większe są te wyspy; od samej Warszawy tylko do Gdańska, jest na Wiśle podobnych kęp i ostrowów 52. Częste są także rafy czyli skały podwodne w korycie Wisły; największa rafa, która na poprzek jej łoże przerzyna, znajduje się na dolnym jej biegu, na początku wyłomu przez pojezierze Bałtyckie, poniżej miasta Jordonia wedle Łąckiego ostrowu, i zwana bywa od flisaków Piekielnemi wrotami.

Namuł żyzny, którym się po powodzi Wisły okrywają tak same jej porzecza, jak równie doliny wszystkich jej dopływów górskich, nazywają Madą. Ta pokrywa jałowe kamieńce i piaski w pokładzie 2 a nawet 4 stóp po powodzi większej zapadłe, lub równe porzecza i podnosi je do razu do wysokości błonia. Puchy wierzb, wiklin i topol posiewają te namuły i jeszcze z końcem roku powodzi, obrasta Mada zieloną trawą brzegowych łąk i posiewem wiklin, które poziom okoliczny na Powiślu z laty coraz wyżej podnoszą.

Na górnym biegu wpadają do Wisły potoki i rzeki górskie. Na średnim biegu wpadają do niej największe rzeki, mianowicie od prawego brzegu. Są to miękkie zaskórne leśne wody. Na dolnym biegu nakoniec, zabiera ona stateczne i ciężkie wody mnogich jezior, które stan jej wód w jednostajnej wysokości nawet, w czasie posuchy utrzymują. Przestrzeń którą Wisła płynie zajmuje od źródeł do ujścia 143 mil geograficznych; w prostym kierunku leżą źródła Wisły od jej ujścia na 72 mil, więc na zakręty odpada drugie tyle 71

mil. Cały jej obszar zajmuje 3,578 mil kwadratowych. Całe dorzecze Wisły jest całkiem ku wschodowi wydane, a to tak dalece, iż pociągnąwszy liniję z południa ku północy, od źródeł do ujścia leży cały jej obszar właściwie na wschodzie. Z rzek wypływających z wnętrza Europy i płynących ku północy, może tylko jeden Ren iść z Wisłą w porównanie co do wielkości dorzecza.

W. Pol.

42. Kraków.

Miasto Kraków, położone jest w nader powabnej okolicy. Od południa oblewa go rzeka Wisła, na której brzegu lewym leży; a na prawym wznosi się w kształcie amfiteatru pasma gór skalistych, teraz Krzemionki, w dawnych czasach Lasotnią zwane. Na zachód opasane jest ramieniem tychże gór od Krzemionek odeszłem, a od północy i wschodu obiegły go urodzajne płaszczyzny gęstemi wioskami zasiane.

Już o milę odległości rozwija się piękny widok tego starożytnego miasta, z którem co do wspaniałości obrazu, żadne miasto polskie nie może iść w porównanie. Wysokie wieże licznych jego kościołów, czerwieniejące się dachówki, oraz połysk miedzianych dachów i kopuł, od których się promień słońca odbija: wreszcie zamek królewski, górujący nad tą mieszaniną gmachów, umysł podróżnego naprzód już szczególnem napełniają uczuciem. Jeszcze widok ten urozmaicają w dalekiej głębi leżące Karpaty, jakby za ramy czarownemu temu obrazowi służące, których wysokie szczyty w błękitach powietrza giną.

Początki Krakowa są bajeczne. Klaudyusz Ptolemeusz, aleksandryjski geograf wieku 11, podaje na tem miejscu miasto Carrodunum. Czyli to jest nasz Kraków, czyli stanął on na miejscu owej niegdyś osady, niewiadomo. Według podań naszych kronikarzy, Krakus odnowiciel Polski po zejściu dynastyi Lecha i rządach dwunastu Wojewodów, w czasie który oznaczyć trudno, założył Kraków, nazwał go tak od swego imienia, przy nim zamek na Wawelu i przeniósł tam z Gniezna stolicę. Odtąd to Kraków, to Gniezno i więcej Kraków, niż Gniezno jest stolicą Polski i rezydencyą jej monarchów, aż został nią stanowczo od Władysława Łokietka, nowego odnowiciela królestwa, i był nią aż do Zygmunta III, który przeniósł stolicę do Warszawy. Potem Kraków został już tylko miejscem koronacyi i wiecznego odpoczynku królów Polskich, wyjąwszy ostatnie-

go. Dzieje Krakowa są w znacznej części dziejami Polski. Uderza w nich nadewszystko częste zniszczenie tego miasta przez klęski wojny, a zwłaszcza pożary. Żadna stolica w Europie nie wycierpiała ich tyle, co ten odwieczny gród Krakusa, zawsze jak Feniks powstający ze swoich popiołów. Po upadku Polski, Kraków przez lat kilkanaście był pod panowaniem Austryi, później przyłączony został do księztwa Warszawskiego, a po krótkotrwałem jak wszystkie kreacye Napoleońskie jego istnieniu, był przez lat trzydzieści niepodległą Rzecząpospolitą, aż w r. 1846, dostał się znowu pod panowanie Austryi i obecnie jest głównem miastem Galicyi zachodniej i twierdzą pierwszorzędną.

Figura tego miasta, jak to zauważył jeszcze w wieku XVI kronikarz J. Bielski, ma podobieństwo do orła; a ponieważ dotychczas jest ono w obrębie jaki miało i podówczas, przeto zachowało i dotąd powyższe podobieństwo.

Na wysokiej nad miastem wznoszącej się górze, o której skalistą podstawę Wisła szumiące fale roztrąca, na tej górze, której nazwisko Wawel, stoi gmach starożytny niegdyś królów i książąt polskich siedlisko. Wielu władców Europejskich mogło w świetniejszych przemieszkiwać gmachach; lecz pewnie żadnego panującego mieszkanie piękniejszem nieodznaczało się położeniem, jak zamek krakowski monarchów polskich. Kto pierwszy z nich rzekł: Tu mieszkać będę, kto pierwszy zakreślił obwód przyszłego pałacu samym wyborem miejsca dowiódł, że był pięknej natury znawcą i miłośnikiem. Wzniesiony nad stołeczne miasto, które zaległo u stóp Wawelu, oblany spławną rzeką, okrążony do koła rozkoszną płaszczyzną, cudnemi widokami na dalekie okolice, niebotyczne Tatry, na żyzną biegiem Wisły przerzniętą i sielskiemi osadami gęsto usianą przestrzeń, uderza on, zajmuje i zadziwia.

Zamek ten założony przez Krakusa, naprzód drewniany, przez Kazimierza W. wymurowany, niegdyś obronny, wielokrotnie niszczony przez pożary, odbudowany został ostatecznie przez Zygmunta III. Ale od tegoż czasu przestawszy być stałą rezydencyą monarchów, zaczął coraz bardziej podupadać, jak o tem dostatecznie przekonywają jego lustracye i wielokrotne postanowienia o jego reperacyi, które nie zapobiegły tej ruinie wówczas, kiedy wszystko się waliło.

Z licznych i wielkich gmachów składał się niegdyś zamek krakowski, a jak pisze Cellarius, z rozległości swej raczej do miasta, niż do zamku był podobny. Teraz naprawiony przez rząd austryacki i objęty murami twierdzy służy on za koszary dla wojska. Najznakomitszą jego częścią jest kościół katedralny, a całą powierzchni Wawelu przestrzeń od południowej i zachodniej strony otacza mur

i baszty czyli wieże zadziwiającej wysokości, które bywały niegdyś więzieniami, a na które patrząc niepodobna wstrzymać się od przyznania wyższości starożytnemu budowaniu nad teraźniejszem. Wewnątrz tego obwodu były jeszcze dwa kościoły: Ś. Michała i Ś. Jerzego, fundacyi Kazimierza W., które za pierwszego panowania austryackiego rozebrano. Pozostało się tylko kilka domów, a pomiędzy tymi gmach psałteryi, fundowany przez Jana Długosza z napisem gotyckiemi zgłoskami.

Właściwy pałac królewski, zajmujący blizko trzecią część powierzchni Wawelu, formują gmachy o dwu piętrach, opasanych galeryami, stojące w czworobok około dziedzińca, znacznej obszerności będącego we środku. Zamczysko królewskie dziś poprzerabiane, odświeżone, zepsute do niepoznania; odarto z niego cały majestat; z odwiecznej stało się ono jakby nową budową. Tylko około wystającej jego części zwanej Kurzą stopą, resztka ozdób gotyckich nietknięta i forma ogólna cudem jakimś ocalała. W podwórzach i dziedzińcach, obecnie rojących się żołdactwem cudzoziemskiem, oko próżno szuka śladów dawnej wspaniałości, natrafiając tylko na smutnie zimno białe na nowo odtynkowane ściany, nad które weselszą jest nawet mchem i bluszczami pokryta ruina. Rzadko tylko tu i owdzie ukazują się dziwnem jakiemś szczęściem ocalałe stare rzeźb ostatki, daty wieków ubiegłych, za twarde by je młot odnowicieli zniszczył.

Na zachód od strony Wisły znajduje się w skalistem łonie Wawelu ręką przyrody wydrążona, sławna w dziejach bajecznych Polski Smocza jama. Ma ona kilkadziesiąt łokci długości, zajmuje znaczną przestrzeń i jest zupełnie suchą. Wreszcie oprócz przywiązanego do niej podania, nie zawiera nic ciekawego. Obecnie urządzono w niej studnię forteczną.

Najcelniejszą ozdobę Krakowa stanowią niezaprzeczenie jego liczne i wspaniałe świątynie. Niegdyś było ich daleko więcej, kiedy z tego względu Kraków nazywano polskim Rzymem. Obecnie pozostało ich 38.

Obok dawnego pałacu królów na Wawelu, stoi katedra ich pobożnością wzniesiona i ozdobiona. Była ona kolebką ich chwały za życia, a teraz jest miejscem spoczynku ich popiołów. Założeniu katedry krakowskiej dawniejsi nasi dziejopisowie naznaczają rok 966, współcześnie z przyjęciem wiary chrześcijańskiej przez Mieczysława I. W teraźniejszym swoim kształcie jest to budowa wieku XIV. Świątynia to wielka i wspaniała; znać na niej ile wieków przeżyła. Każdy z nich dołożył cegłę, wyrzeźbił kamień nacechowany właściwym sobie smakiem, i od skromnego sarkofagu wielkiego duchem

Łokietka, aż do wspaniałych monumentów kaplicy Jagiellońskiej, wszystko tu mówi o naszych dziejach.

W pośrodku kościoła wznosi się wspaniale ozdobny sarkofag i ołtarz S. Stanisława; do koła idą opasujące go ołtarze i kaplice w różnych poprzystawiane czasach, wszędzie groby, płyty i monumenta niezliczone. Zaraz u wnijścia głównego na prawo, stoi na straży dwóch Kmitów, jeden odlany z bronzu, drugi obok wykuty z marmuru; oba uderzają wyrazem surowej męzkiej powagi, z ich dziejów i posągów widzisz od razu, że w tych piersiach wiele i potężnego ducha mieszkało.

Prześliczne są te średniowieczne tumby z wielkiemi leżącemi na nich postaciami rycerzy, królów, wojowników, senatorów; poszanowanie cię ogarnia, gdy się zbliżysz do skamieniałych olbrzymów długim snem ujętych.

Wrażenie jakie czyni katedra jest wielkie i przejmujące; co chwila na każdym kroku marmurowe oblicze przeszłości zatrzymuje cię za grobowem wejrzeniem; to biskup w infule kamiennej z księgą w ręku stwardniałą, to rycerz w hełmie zbrojny z mieczem marmurowym, to król w koronie z berłem białem jak całun, który go okrywa, to niewiasta z różańcem przyrosłym do pasa, a po nad wszystkiem trupie głowy i godła śmierci. Czujesz, że to Nekropolis wieków ludu, dynastyi idei rodzin i bohaterów bezdzietnych.

Ś. Stanisław króluje w pośrodku tym wszystkim zwłokom ideą poświęcenia się aż do śmierci. Śmierć ta majestatyczna tu jest wielka, cicha, niepowszednim smutkiem odziana, szatą purpurową zpowita, a olbrzymi zdają się czekać godziny zmartwychwstania z piersią wstrzymanego życia pełną.

Obok tumb królewskich masz tu hetmanów z buławami w dłoni, rycerzy z mieczami u boku, senatorów na szablach opartych, biskupów w pontyfikalnych strojach, wszystkich co za żywota z królami pospołu stali u steru rzeczypospolitej: dwór, urzędników, wojsko, kapłanów. Z różnych epok i lat pomniki każdą chwilę dziejową okazują w jej charakterze właściwym, od Łokietka do posągu Włodzimierza Potockiego, jakby wykradzionego z greckiego panteonu.

Z wierzchu świątyni, jak w średzinie jej, szukać nie należy tej harmonijnej jednolitości, jaką inne przedstawiają kościoły, niby z jednej sztuki odlane, tu by ona być musiała anachronizmem. Budowa widocznie rosła, rozszerzała się, olbrzymiała powolnie. Niewiadomo kto ją począł, nikt nie wie, czyja dłoń ją dokończy i jaka obali.

Rozlega się kościół dźwiękami, a zdaje ci się, że cicho tak wśród tych grobów głos wszelki tonie i milknie; tak pieśń wszelka o wielką rozbija się ciszę mogilną.

Drugim po katedrze, co do wspaniałości wewnętrznej, a pierwszym co do okazałej budowy i dawności, jest kościół Najświętszej Maryi Panny. Świątynia ta stojąca w rynku krakowskim i zdobiąca tenże, najwyraźniej należy do najpiękniejszych i najśmielszych utworów architektury gotyckiej. Starożytność jej, wielkość, wysokość wież, a nadewszystko nieznane dzisiaj trwałość materyału i doskonałość roboty murarskiej, które się potędze tylu wieków oparły, patrzącego na ten gmach niezmiernie zachwycają. Budowa ta rozpoczęta jak świadczy napis przy wielkim ołtarzu na murze r. 1226, ciągnęła się następnie, jak są ślady, około dwóch wieków.

Panna Marya, jak sam Kraków, nie razem zbudowana, dziś powleczona barwą wieków, zlała się w tę piękną całość, od której nieprzyjemnie dysharmonijnie tylko uczepiony u głównego wnijścia ganek odbija. Szczególniej zdobi ją wysoka wieża, zwana Maryacką, zakończona drobnemi wieżyczkami, panująca nad kościołem, nad rynkiem, zastanawiająca pięknemi kształty swojemi.

Druga odpowiednia jej wieża, jak to się często trafia w gotyckich gmachach, jakby umyślnie wzrostem niedorosła głównej, ale nie razi wcale niedokończeniem. Kościół Panny Maryi zewnątrz, to już cudny pomnik budownictwa, szczęściem zachowany wybornie i mało co późniejszymi dodatkami zmieniony; ale wewnątrz zdaje się nie ma u nas gmachu, któryby tak wielkie i głębokie sprawiał wrażenie. Jako obraz ta nawa ciemna z ołtarzem Stwosza w głębi z wyniosłemi słupy i łukami swemi, szara, tajemnicza, wśród której cieniów połyska gdzieniegdzie złocistą pręgą zakradający się światła promień, okryta rzeźbami, grobowcami, stallami, ołtarzami, pomnikami nieskończonej rozmaitości, uderza możnaby powiedzieć kompozycyą. Ale tu artystą, twórcą, była pobożność i wieki, co się składały powoli na to wnętrze, dziś zdające się, jakby obraz mistrza jednym stworzone oddechem. Czujesz się do głębi wzruszonym widokiem tego, jak go Łepkowski nazywa, wymodlonego kościoła, który od założenia swojego do dziś dnia, był nieustannym przybytkiem chwały Bożej, w którym od kilkuset lat nieprzerwanie goreją światła, wzdychają piersi, ulatują kadzidła i modlitwy, drżą serca przejęte, a słonko nasze codziennie pozłaca schylone kornie głowy przechodzących coraz nowych pokoleń. Na każdym tu stopniu marmurowym, wyżłobionym kolanami pobożnych, znać ślady prapradziadów; przy każdym obrazie są wota przedkilkusetletnie, wszędzie modlitwa skrystalizowała się, uwidomiła.

Z tej wieżycy wspaniałej dziś jeszcze jak niegdyś, gra o świcie, budząc miasto Hejnałem pobożnym, muzyka, do pracy i cierpienia, modlitwą.

Wieczorem ostatni usypia kościół Maryacki, a po księżycu jeszcze u ołtarzyka Matki Boskiej, przyczepionego do krużganków od strony bramy Floryańskiej, modli się, śpiewając pobożny ludek krakowski, klęcząc na twardych kamieniach.

Arcydzieło sztuki naszej wiarą natchnionej, kościół Maryacki niczem jest jeszcze pod tym względem, gdy kto nań zimno, jako na cacko spogląda, trzeba nań patrzeć z uczuciem i zamiłowaniem przeszłości, a wówczas w całym blasku wystąpi przed oczyma naszemi uświęcona budowa.

Rynek krakowski, wielkością i regularnym kształtem ma zaszczytne pierwszeństwo, nie tylko przed wszystkiemi miastami polskiemi, ale nawet i przed wieloma zagranicznemi. Kształt jego jest zupełny czworobok, którego ściany formują rzędy pięknych trzechpiętrowych gmachów stawianych w guście włoskim, to jest, że dachów z dołu nie widać. Plac ten choć znacznie jest okazały, mógłby jeszcze być okazalszym, gdyby w pośród niego nie zalegały miejsca mnogie kramy drewniane przekupniów. Wśród rynku wszystkie codziennego życia potrzeby na sprzedaż wystawiane bywają i plac ten pod tym względem o tyle tylko zmienił swą postać, o ile odmieniły się potrzeby i obyczaje nasze i niemal takim jest dzisiaj, jakim był przed trzema wiekami.

W pośrodku rynku stoi mały kościołek Ś. Wojciecha, najdawniejszy w Krakowie, dalej wieża pozostała od gmachu ratuszowego, który od niepamiętnych czasów stał pustkami i z woli rządu wolnego miasta Krakowa wr. 1820 został rozebrany. Zachowane na niej gotyckie ozdoby świadczą o wieku, z którego pochodzi i każą żałować gmachu, który ona dopełniała. Tuż przy niej ciągną się ze wszech stron malownicze niezmiernie stare Sukiennice, dziś prawie ruina ze swemi zębatemi szczyty, na których rzeźbione głowy zdają się stać jak strażnicy opuszczonego gmachu. Budowa ta struktury gotyckiej, godna ze wszech miar uwagi, sięga odległej starożytności. W teraźniejszym kształcie wystawił ją Kazimierz W. Pełnym był towarów gmach ten za czasów Kazimierza i dotąd jeszcze świadczy o celach myślącego, o trwałości handlu w Krakowie tego wielkiego króla. Nie ma w Polsce drugiej budowy, któraby długością tej wyrównała. Obejmuje ona w sobie po 18 sklepów w każdej ścianie i tworzy pod jednostajnem sklepieniem salę 180 łokci długą, a 18 szeroką, która 7 tysięcy ludzi pomieścić może. Dzisiejsza ruina nie zatarła śladów dawnej świetności tej budowy, przy której ogniskowało się życie miasta. Tu w czasach późniejszych przy obchodzie uroczystości krajowych dawane były bale. Dziś przez ten długi plac sklepiony, półciemny, ostawiony lichymi sklepikami i szyneczkami,

przechodzi codziennie mnóstwo ludu, siedzą przekupki przy kramikach i mieszczą się jakieś składy.

Obecnie zarząd miasta Krakowa biedzi się z myślą o restauracyi Sukiennic i rozbiera różne tego plany. Na czem skończą się te zamysły, niewiadomo. W każdym razie z urzeczywistnieniem ich, zniknie szanowna pamiątka dawnego Krakowa i to jedna z najznaczniejszych; zaś przystrojona do nowego użytku, który trudno oznaczyć, nie na wiele się przyda; jak zgrzybiała sługa, którą nie szanując jej lat, zamiast opatrzeć na starość, dać chleb łaskawy i zostawić w spokoju, zmuszają do nowej służby.



Brama Floryańska.

Do koła rynku i starych Kazimierzowskich Sukiennic pełno kamienic, na których jeszcze, jak na Starem mieście w Warszawie, utrzymały się dawne godła, znaki przypominające średniowieczną fizyognomiję domów, herby, rzeźbione zwierzęta, szczyty zębate i misternie z żelaza kowane wrota. Gdzieniegdzie nad bramą, przy której sterczy jeszcze kamień podziurawiony do gaszenia pochodni, szarzeje herb szlachecki, insygnia biskupie lub kanonicze, albo we wgłębieniu gotycka Najświętsza Panna z ukoronowanem dziecięciem błogosławi domostwu.

Dwanaście ulic z rynku przecina miasto, prowadząc na przedmieścia. Niektóre z nich, a nadewszystko główne daleko są szersze, niż zwykle w innych dawnej budowy miastach, szczególniej od strony północnej, są bardzo regularne i prawie pod linią ciągnione. Ulica Grodzka prowadząca do zamku, czyli Grodu, choć mniej regularna jest najdłuższa i najludniejsza. Ulica Floryańska kończy się bramą tegoż nazwiska, sklepioną i nastrzępioną wieżyczkami, prześliczny to pomnik średniowieczny. Ona jedna pozostała z dawnych 8-miu bram w murach warownych opasujących niegdyś Kraków, jak kosztowna klamra na rycerskim pasie; dziś stoi osamotniona, bo pas się popękał. Za rządów wolnego miasta Krakowa owe mury zniesiono, a na miejscu ich urządzono aleje, wysadzone drzewami tak zwane plantacye, które oddzielają właściwe miasto od przedmieści.

Przedmieścia te zabudowane są porządnymi domami i dworkami, ale dawniej były o wiele rozleglejsze, albowiem w znacznem od nich oddaleniu, w pośród uprawnych pól, dają się widzieć piwnice i ruiny domów.

Za miastem w pięknych okolicach, godnych pędzla malarza i pióra poety, zasługują na uwagę jaskinia w Krzemionkach, zwana szkołą Twardowskiego, w której według podania ten czarnoksiężnik miewał z czartem narady, i mogiły Krakusa i Wandy, do których w naszym wieku przybyła trzecia mogiła Kościuszki, obecnie zakryta warowniami nowej twierdzy.

Na pochodach uroczystych bractwa jeszcze tu się ukazują w swych dawnych kapach i kapturach, a cechy niosą drogie pamiątki dobyte ze skarbców: rzeźnicy miecze przez króla Jana Kazimierza za obronę Krakowa od Szwedów nadane, rybacy drogą szatę z czasów królowej Jadwigi i t. p.

Piękne jest w tem poczciwem, zacnem mieszczaństwie krakowskiem religijne poszanowanie przeszłości, zamiłowanie jéj nieostygłe, cześć pamiątek, które do starej budzą cnoty. Biedni ci ubodzy, osamotnieni ludzie olbrzymieją całą potęgą wieków, stojących po za niemi i oświetlających ich swoją aureolą.

A. Grabowski i J. I. Kraszewski.

43. Żupy solne w Wieliczce.

O milę od Krakowa, w stronie południowo-wschodniej na podnóżu pierwszego pasma Karpatów, leży miasteczko Wieliczka, głośne z kopalni soli, o których jeden podróżnik francuzki wieku XVII po-

wiedział: „Żupy solne Wieliczki niemniej są znakomite jak piramidy egipskie lecz użyteczniejsze. Są one chwalebną pamiątką pracowitości Polaków, kiedy tamte są świadectwem tyranji i próżności Egipcyanów. Nazwać je można dziećmi ziemi, a tamte dziećmi wiatrów; i niewyrównywają tamte swoją próżną wysokością, użytecznej tych głębokości.“

Kopalnie Wielickie zajmują pierwsze miejsce w całej Europie, a może i na kuli ziemskiej przez swą rozległość, przez ogromne massy znajdującej się w nich soli czystej i dla wspaniałych w nich robót podziemnych.

Wedle starożytnego podania żyjącego dotąd u ludu, sól w Polsce, mianowicie w Wieliczce, odkryta była cudownym sposobem przez Ś. Kingę, córkę Beli króla Węgierskiego, a żonę Bolesława Wstydliwego króla polskiego. Podanie to przeszło i w kroniki z tą atoli zmianą, że nie w Wieliczce ale w Bochni sól została odkryta przez Ś. Kingę w r. 1251. Wprawdzie dawniejsze przywileje i nadania klasztorów wykazują, że sól z ziemi polskiej dobywano już na początku wieku XII i dziejopisowie późniejsi jak Naruszewicz dowiedli, że o wiele wcześniej żupy solne w Polsce istniały, lecz to była sól wygotowywana z wody, tak zwana warzonka w Bochni, a w Wieliczce i warzona i kopalna, lecz w bardzo małej ilości. Zaś sól kruszcowa czyli kopalna w wielkiej ilości rzeczywiście odkryta była w Bochni za panowania Bolesława Wstydliwego, co poświadcza najwyraźniej testament tego monarchy z dnia 6 Grudnia 1279.

Wieliczka jak wszystkie miasta górnicze urosła z niepozornej niegdyś wioseczki w miasteczko i przez Kazimierza W. została opasana murem. Tenże król urządzał i jej żupy i obszerny przepisał dla nich porządek postępowania, który to ciekawy pomnik ustaw żupnych potwierdzanych przez królów, jego następców, czytać można w zbiorze dawnych praw polskich.

Obecnie Wieliczka jest jednem z większych i porządniejszych w Galicyi miasteczek; posiada piękne domy i ludności przeszło 6,000, którą podnosi wielość urzędników, rzemieślników i robotników przywiązanych do kopalni. Robotnicy są sami Polacy, zamieszkujący w Wieliczce i sąsiednich wioskach. Jest to ród ludzi bardzo dobrze zbudowanych, silnych, namiętnie przywiązanych do swego zatrudnienia, religijnych jak wszyscy ludzie oddzieleni od świata. Wszystkie wyobrażenia ich zostają w stosunku z ową kopalnią; oni życie swe podziemne tak dalece wykształcili, iż wyrobili sobie właściwą terminologią dla wszystkich przedmiotów tyczących się kopalni, mającą tę niepospolitą zaletę, że nie jest przydaniem zakończenia polskiego wyrazowi z innego języka wziętemu, ani też żywcem przetłumaczoną.

Wieliczka cała będąc podkopaną i prawie na powietrzu wiszącą, leży między piaszczystymi wzgórkami w zagłębieniu, które utworzyło się już w czasach późniejszych, co choć niełatwo dostrzeżonem być może, nie jest przecież niepodobnem, zważając na niezmierną wydobytą z pod niej massę soli. Utrzymują, że dawniej widać z niej było Kraków.

Dwa są sposoby dostania się do kopalni. Można albo zejść po schodach drewnianych o 470 stopniach, albo co mniej jest utrudzającem, a żadnem niezagraża niebezpieczeństwem, spuścić się na linie. Podróżni obierają zwykle sposób ostatni. Tym sposobem trzydzieści sążni głębokości przebywa się w parę minut i staje się na pierwszem piętrze salin; a na niższe piętra zstępuje s ę po wygodnych schodach w massie solnej wykutych, które już do samego dna żupy sięgają: schodów tych rachują 1,060.

Piętra kopalni, których dotąd jest trzy, a może być w potrzebie i więcej otworzonych, tym się uważają sposobem, że drugie jest pod pierwszem, a trzecie pod drugiem; które znowu dzielą się na przestronne galerye, czyli ulice w soli nakształt kamienia twardej wykute, z dobywania jej powstałe, w różnych kierunkach idące i przecinające się. Tworzą one niejako labirynt, w którym łatwo by się można zabłąkać zapuściwszy się tam bez świadomego przewodnika.

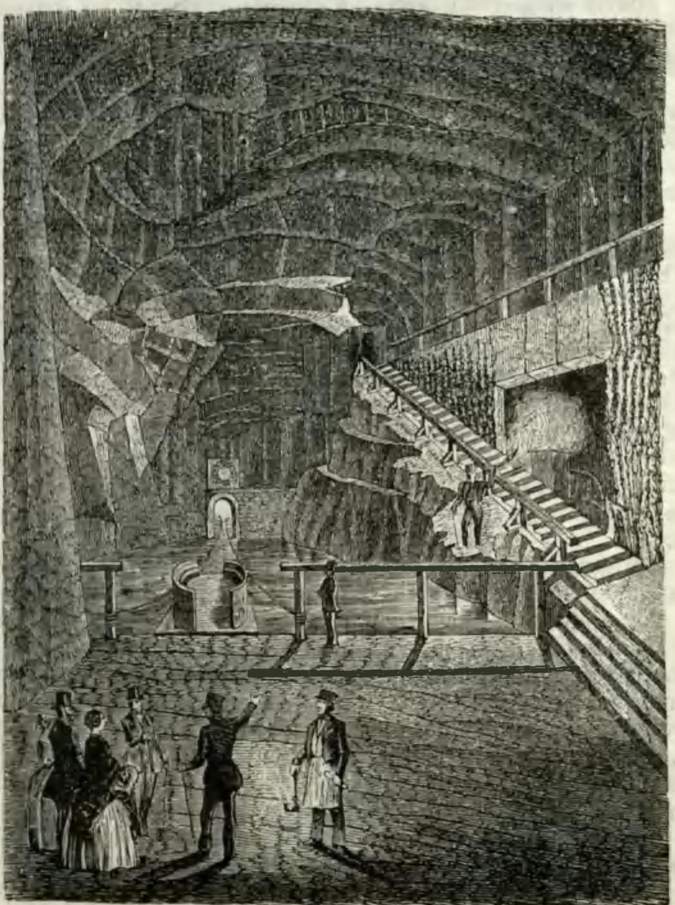
W pośród nich są ogromne otchłanie zwane Komorami, których przerażająca rozległość daje się widzieć tylko za pomocą ogni. Największa komora zwana Kloski ma wysokości 72 sążni.

Wydobywanie soli jest rodzajem kamieniarskiej roboty. Sól albo odrywa się od massy sztukami ławy czyli kłapcie zwanemi za pomocą kilofów, drągów, klinów i innych narzędzi żelaznych, albo też wysadza się prochem strzelniczym, który nasypuje się w otwory wykute w soli i zabija mocno ziemią iłowatą zwaną *halda*, z zostawieniem tylko knota do zapalenia. Łoskot jaki z tej eksplozyi powstaje, odbija się w mnogie echa po całej przestrzeni podziemnych sklepień, po czem odrywa się od massy kopalni wielka bryła soli do 40 centnarów ważąca.

Ławy czyli kłapcie soli dzielą na sztuki, a z tych obrębują tak zwane bałwany, mające kształt beczek 5 lub 6 centnarów wagi. Mniejsze bryły wyrabiają na kruchy, a drobne odpadające kawałki tłuką i pakują w beczki lub półbeczki, solówkami i połsolówkami zwane.

W Wieliczce odróżniają trzy gatunki soli, leżące jeden nad drugim w pokładach przedzielonych iłem solnym, gipsem i anchydrytem: Sól zielona składająca się z kryształów grubego ziarna, Sól spiża tak zwana od robotników ze Śpiża sprowadzonych, którzy ją ze

znaczniejszych głębokości po raz pierwszy dobyli: składa się z podłużnych kryształów. Sól szybikowa, drobnoziarnista, a jako podgatunek



Żupy Solne w Wieliczce.

jej sól zwana oczkową, która jest zupełnie przezroczysta. Odmiana ta nazywa się też solą jarką lub perłową. Znaczny niegdyś prowa-

dzono z nią handel do Anglji i Hollandyi, a teraz wyrabiają z niej różne piękne sztuczki, jako to krzyżyki, armatki i tym podobne drobiazgi, które zwiedzającym żupy przedają.

Podług ksiąg buchhalteryi wielickiej, wyrobiono w żupach jej od czasów odkrycia tychże soli centnarów 550 milionów; z tych trzecia część była szybikowej.

Trzy zdarzyły się przypadki, grożące tym kopalniom zniszczeniem: dwa od ognia, jeden w r. 1510, drugi w r. 1644, trzeci najgroźniejszy lat temu kilka od wody. Straszny był i niepowstrzymany jej zalew, którego dokopano się postępując niebacznie w kierunku wzbronionym przez dawne położone na ścianach znaki.

Na pierwszem piętrze kopalni w szybie Gorsko, w niewielkiej odległości od szybu, którym się spuściło, zastanawia uwagę kaplica pod wezwaniem Ś. Antoniego w soli wykuta. Ołtarz, posągi świętych, kolumny, ambona i wszystkie jej ozdoby są wyrobione z soli. Znajduje się tu w wielkości naturalnej statua króla Augusta II, z jednej sztuki przezroczystej soli. Niegdyś jako osobliwość przesłaną była do Warszawy, lecz gdy w odmianach działającego na nią powietrza podlegała topnieniu, odesłano ją napowrót do Wieliczki, gdzie dotąd w dobrym zachowuje się stanie.

Na temże piętrze sala Łętów zwana, podłogą z forsztów opatrzona, z galeryą dla orkiestry, słupami krystalizowanymi solą ozdobiona, służy na wypoczynek gościom po ukończonem zwiedzaniu salin.

Oprócz Bochni nie masz miejsca na kuli ziemskiej, gdzieby się człowiek głębiej zakopał jak w Wieliczce. Już on tu na przeszło tysiąc stóp głębokości hartownem żelazem wnętrzności ziemi rozdziera a pomimo tego kopalnie te są najsuchszemi na świecie, gdy wewnątrz prawie żadnych nie mają źródeł. Przecież z powierzchni ziemi przez pokłady piasku i gliny przesączają się poniki wody, która tu w znacznej zbiera się ilości. Prowadzona w jedno miejsce kanałami, dla ochrony robót górniczych, formuje znacznie obszerne jezioro zwane Przykos, mające 7 sążni głębokości, a leżące 86 sążni pod ziemią, po którem podróżni na statku przepływają.

Niegdyś roboty podziemne w Wieliczce rozciągały się na wschód ku Bochni, lecz w kierunku tym sól powoli niknąć zaczęła i już nawet obawiano się, aby te bogactwa natury nie były wyczerpane. Odmieniona potem dyrekcya robót ku południowi wykazała, że te miny nieprzebranem są źródłem dochodu dla kraju, który je posiada i że użytecznością swoją i wydawanemi korzyściami przewyższają głośne kopalnie dyamentów w Golkondzie i srebra w Potosi.

Zjawiskiem godnem zastanowienia jest owa niezmierna obfitość

soli okrążającej Karpaty. Cała Galicya obfituje w źródła słone, a nawet i w sól kopalną, podobną do bocheńskiej i wielickiej, czego dowodzą roboty około Sambora, Telatyna, Jabłonowa, Starośli i w innych miejscach. Z drugiej strony Karpat niezmierne pokłady soli znajdują się w hrabstwie Marmorosz i innych okolicach Węgier.

Temperatura powietrza jest tu wcale łagodna i zdrowa. Galerye w tak dobrem względnie siebie są położeniu, że powietrze wewnętrzne ma zawsze komunikacyę z zewnętrznem, i tym sposobem niemają tu miejsca przypadki pochodzące z zepsucia się powietrza. Pomylili się niektórzy opisujący te żupy, że żaden robotnik nie może w nich długo pracować; gdy przeciwnie górnicy wchodzą tam rano biorąc z sobą jedzenie, a niewychodzą jak w wieczór, i zwyczaj ten tak jest dawny jak odkrycie kopalni, a zwykle późnego dożywają wieku.

W kopalniach Wieliczki wszystko jest odmienne, a wszystko jednostajne. Natura wszędzie tak rozmaita, tu zawsze taż sama. Światło słońca nigdy tu niedochodzi, pory nigdy się nie zmieniają. Czy na ziemi dzień, czy noc, wiosna, lato, jesień, zima, tu zawsze głębokie ciemności światłem tylko lamp i kagańców rozjaśnione, tu ciągle powietrze czyste, chłodne, jednakowe. Na ziemi tyle niezliczonych przedmiotów, tu jeden, wiecznie jeden, wszystko co widzisz, czego się dotykasz, po czem stąpasz, jest sól, bo ściany ogromne tych długich ulic, te wspaniałe filary, te niezliczone schody, te stosy bałwanów i beczek, te góry kruchów, wszystko z soli.

A. Grabowski.

44. Puszcza Niepołomicka.

Ostatnia graniczna puszcza ku Europie zachodniej najdalej posunięta, gdzie się jeszcze przechowała i nazwa i ostatnia wielka massa lasów, najdalej zbliżonych ku podgórzom, leży niedaleko od Krakowa, na prawym brzegu Wisły około Niepołomic. Puszcza ta jest małą połogą wysoczyzną pochyloną ku Wiśle. W ogólności robię tu uwagę, że wszystkie wielkie puszcze, które oddzielne nazwy noszą, bywają zwykle na wyniosłych położone spłazinach. Na tej całej przestrzeni, od Krakowa aż do Niepołomic, dolina Wisły po obudwu brzegach jednostajnie jest szeroka i podnosi się zwolna ku wyższemu poziomowi. Dopiero naprzeciw Rogowa, leżą Niepołomice na pierwszem wyniosłem zabrzeżu, od którego dziś Wisła odbiega daleko, a dopiero znacznie niżej podnosi się zabrzeże po lewym brzegu,

który już odtąd na całej przestrzeni w Proszowskiem i Sandomierkiem panuje nad doliną walną.

Już w Niepołomicach uderzają pojedyncze stare dęby, zrzadka rozsiane po ogrodach miejskich i przyległej okolicy, które przechowały niby podanie odwiecznej dąbrowy, tworzącej niegdyś wstęp do tych królewskich lasów.

Dziś poczyna się puszcza nieco dalej za Niepołomicami, które niegdyś śród lasów leżały i do razu odsłaniają się tu po za miastem piaski. Wstęp do puszczy otwierają masztowe sosny, które się wznoszą niepodszytą ścianą; a wstąpiwszy pod ich sklepienie, zamyka się widok dla oka na długo.

Cały obszar dzisiejszej puszczy, pośrodku której kilka wsi legło, zajmuje 2,200 kwadratowych morgów samego lasu, i jest podzielony na 10 oddzielnych leśnictw, które nazywają z dawna kwatermistrzowstwami, podobnie jak i nadleśniczy bywa dotąd zwany łowczym królewskim.

Cała puszcza leży na Opaku i ma własne swoje pochylenie ku Wiśle; środkowe jej wody niemają żadnego spadku na dolinę Raby, lecz tylko ku środkowi puszczy, a Wisła odgraniczała ją przed wieki ściśle na północy, kiedy dziś pomiędzy puszczą a właściwem korytem Wisły, leżą wielkie błonia miejscami które są odchodziskiem, przerzniętem rzędem podłużnych jezior, które już od Niepołomic krańcem puszczy przechodzą i do których Wiśliska, lub też podmokłe przytykają łąki.

Wszystko wskazuje tu na to, że cała puszcza Niepołomicka była dawniej daleko więcej podmokłym obszarem; jakoż dzisiejsze stawy wśród puszczy noszą jeszcze nazwy jezior, lubo ich wody są już dziś groblami ujęte a dawniejsze dzikie i nieprzystępne bagna, osuszone rowami i w prostych liniach przeciętemi drogami w kształcie warcabnicy, zmieniły i pozór puszczy i roślinność i pozbawiły znaczną jej część potrzebnej wilgoci do wzrostu olbrzymich drzew i potrzebnej ciszy do przechowania grubego zwierza.

Znikły tu dzikie ostępy i bagna, znikł razem z niemi i ów nieład puszczy; ale młode pokolenie lasów niezapowiada gonnością swoją, aby nawet z laty dojść miało dawniejszego pokolenia, czy to śmiałem rozrzucaniem gałęzi, czy potęgą wyniosłego pnia, a o turach, rysiach, łosiach, o niedźwiedziach i jeleniach, które tu niegdyś na królewskich bito polowaniach, pozostało tylko podanie.

Wśród puszczy nad drogą, sterczy suchy dąb, królewskim nazwany, do jelenich rogów podobien, pod którym przed 120 laty nocował August II w czasie łowów.

Las porasta tak długo całą siłą, póki nieprzerwanie massami

okrywa całe krainy i tak długo przechowuje się w nim zwierz gruby, dopóki wielkie orne obszary nieprzedzieleją jednej puszczy od drugiej. Jeżeliby wolno było gubić się domysłami w tych stopniowych zmianach, które tu zaszły tak co do roślinności, jakoteż co do odwiecznych mieszkańców tych lasów, rozumiem, iż w osuszeniu tej puszczy i w uporządkowaniu leśnego gospodarstwa, trzeba głównie upatrywać przyczynę, z której i pozór puszczy zmienił się w przeciągu jednego wieku, i z której gruby zwierz wyginął.

I tak z osuszeniem jeziorzysk i błot niezwarzonych, znikły dzikie moczyska i odkryte bagna, bez których łoś utrzymać się nie może; z uporządkowaniem lasów i wyprzątnieniem wywrotów leśnych łomów, nieznajduje już niedźwiedź zacisznej gawry dla siebie. W ślad ich przeniósł się leśnem podgórzem i ryś w samotniejsze strony Beskidu, jako zwierz najdzikszy naszego kraju i szukający zaciszy samotnych ostępów, a jelenie znikły z Niepołomickich lasów już za naszej pamięci, bo je wybito do reszty w czasie przechodu wojsk w roku 1812. Pozostała tedy tylko sarna, liszka i mały zwierz, którym już dzisiaj niezagraża ryś, a czasem zapląta się i wilk po lodzie z lasów Świętokrzyzkich, chociaż i miejscowo przechowało się jeszcze parę gniazd wilczych.

Z osuszeniem puszczy znikło w wielkiej części mchowe podsłanie borówek tyle sprzyjające i przechowaniu nasion leśnych i przyczyniające się tyle do utrzymania jednostajnie potrzebnej wilgoci północnych borów, wyrastających na pokładzie piasków. Jakoż nie robią nowe zapusty sosniny po zrębach puszczy wielkiej nadziei i nie urosną w bory. Karłowate ich pnie okrywają się wcześnie chorowitym porostem liszajców, a drzewa nie strzelają w pień lecz tylko w choinę. Podobnie jak po bagnach i wilgotnych łąkach wśród lasów sadzone olszyny niemają przyszłości, bo się tu po ich zniknięciu sam z siebie nieodsieje las. Gdzie bowiem człowiek w opiekę las bierze, a tem samem drzewa w uprawne zamienia rośliny, tam niezwykły się one odsiewać koleją wielkiego płodozmianu natury, lecz potrzebują już wiecznie jego ręki i starania.

To jednakowoż co jeszcze dziś Niepołomicką puszczę charakteryzuje, są to leśne wody wzdłuż niej ciekące, wody kawowego, a miejscami czarnego nawet koloru, którym pokłady rud błotnych winny swe powstanie. Pokłady te rozłożone po najniższych stanowiskach wklęsłego poziomu puszczy są miejscami warstwą piasków pokryte. Wszakże obok tartaku, prawie pośrodku puszczy leżącego, znaleźliśmy na grobli duże bryły błotnej rudy, której grubość wskazywała na pokład potężny. Prócz tych rud nie zdarzyło się widzieć w ogól-

ności nic, jak tylko piaski lite, a wśród nich runione, w pół zwietrzałe odłamki skandynawskiego granitu.

Pod względem klimatycznym zachodzi znaczna różnica pomiędzy słoneczną stroną Krakowskiego obwodu z tej strony Wisły, a na opaku położoną Niepołomicką puszczą po tamtej stronie Wisły, i na oko możnaby różnicę jaka tu zachodzi oznaczyć na 8 do 11 dni, podług rozwinięcia drzew i stanu drobniejszych roślin kwitnących po łąkach, bo w Krakowie szły już kasztany do kwiatu, a w puszczy zaledwo poczynał rozwijać się dąb. Tę różnicę klimatyczną przypisać głównie należy północnemu pochyleniu puszczy i nie przeciętej dotąd wielkiej masie lodów.

Już to samo że Niepołomickie lasy nazwano puszczą, dowodzi, że sosnowe bory składały od wieków część jej najznaczniejszą. Jakoż i dzisiaj porasta jej zachodni, południowy i wschodni kraniec sosnowymi lasami, a czarna puszcza, czyli drzewa liściaste okrywają jeszcze środek tego leśnego obszaru i przeciągnęły się ku połnocy aż do Wisły.

Rozmaitość tedy charakteryzująca wszelką puszczę, pozostała dotąd wybitną cechą puszczy Niepołomickiej. W kwatermistrzowstwie Poszyny, prawie pośrodku puszczy położonem, znaleźliśmy starodrzewne grabiny, których uroczy mrok i mchowe podsłanie dały nam wyobrażenie tej niezmąconej ciszy, którą niegdyś oddychały te lasy. Rzadko zdarza się widzieć graby podobnej grubości i podobnych kształtów, tak zawiłych konarów, tak potężnych pni, lubo te grabiny nie należą jeszcze do najstarszych liściastych lasów, które tylko w kwatermistrzowstwie Grobli pozostały dotąd nietknięte. W innej części Poszyńskiego kwatermistrzowstwa Dębową Górką zwanej, uderzyły nas stare dębiny, obrastające prawie najwyższą część puszczy. Dęby wystrzeliły tu tak prostymi pniami do góry, jak gdyby to był las masztowych sosien. Pojedyncze sosny znacznie od nich grubsze, pomiędzy dębami wznoszące się, których pokolenie wcześnie ustąpiło, zdawały się tu wskazywać na to, że tu sosna razem z dębem pomieszana, wzrosła i przyłożyła się niemało do gonności drzew, lubo w ogólności można tu zrobić uwagę, że na puszczy strzela siła roślinna głównie w pień, kiedy w lasach lub pogranicznych miedzach rozrastają się drzewa więcej w konary i latorośle.

W. Pol.

45. Ojców, Grodzisko, Pieskowa skała.

O dwie mile od Krakowa w stronie północnej, leżą wdzięczne Ojcowa, Grodziska i Pieskowej skały okolice, słusznie Szwajcaryą polską zwane. Natura w cudach niewyczerpana udzieliła tym miejscom hojnie piękności, któremi słynie kraina Helwetów, a łaskawsza na ziemię naszą, oszczędziła im okropnych przepaści, niebezpiecznych przepraw i urwisk wiszących nad głową podróżnego, które życiu jego grożą zagładą. Tu wspaniała i miła wabi do siebie i przywiązuje tak silnie, że doliny te choćby sto razy widziane, z coraz nowym oglada się wdziękiem.

Minąwszy wioskę Szyce, oraz Wielką wieś i Biały kościół, gdy się do lasu wjedzie, droga zaczyna się zagłębiać i wkrótce przybywa się do wąwozu, zwanego pospolicie Ojcowem, albo Prądnikiem koszkiewskim, który w całej długości zamykają z obu stron wzgórza okryte zaroślami, lub wysokie z wapiennej opoki ściany. Jakkolwiek nie sprzyja roślinności pionowa spadzistość tych ścian, przecież gdzie tylko utrzymać się zdoła bryłka ziemi, wnet okryły ją swoimi wieńcami bujne zioła i kwiaty, a na szczytach skał usłanych rodzajną ziemią krzewy i rozłożyste drzewa w rozpadliny ich zapuściwszy korzenie, tem silniej rosną, im natarczywiej burza miota ich wierzchołkami.

Gdziekolwiek tu wzrok się obróci, wszędzie piękne nawijają się obrazy. Tam skały dziwacznych kształtów wznoszące się w górę, naśladują wysmukłością swą wieże, owdzie mur z litej opoki pionowo ścięty, zdaje się być facyatą zamieszkanego przez olbrzymów pałacu; tu na pochyłości góry zwalone w nieładzie odłamy głazów tworzą ruiny dawnego amfiteatru, a inne przyjęły na siebie postać bram i wież obronnego zamku. Tam krzyż, godło zbawienia utkwiony na szczycie skały, uroczystość na tę okolicę rozlewa. Zawieszone w powietrzu drzewa i krzewy kołyszą się nad przepaściami przyczepione do skał, z których łona skąpą żywność otrzymują. Do wyniosłej opoczystej ściany dostrzeżesz przylepiony domek rolnika, lub przemyślnego doliny tej mieszkańca, którego pracowita ręka najwyższego kawałka ziemi odłogiem nie zostawia, a tu w wydrążeniu rozległego sklepienia stoi chata, która swą nikczemnością przedziwną stawia sporność z ogromem opoki, formującej tego przytułku kmiotka nakrycie.

Jeżeli się oko widokiem skał utrudzi przyjemny za to znajduje spoczynek na dnie doliny, zasianej chatami i cienistem przyodzianej drzewem. Rzeczka Prądnik, płynąca łożem w kamieniu wydrążonem

ożywia ten miły zakąt, a czyste nurty jej nakształt zwierciadła, odbijają obrazy przedmiotów porozrzucanych na jej brzegach.

Największą osobliwością Ojcowa są dwie pieczary, pierwsza leżąca w paśmie skał po prawej stronie w kierunku od wschodu na zachód nazywa się ciemną, drugiej dostało się nazwisko królewskiej na pamiątkę, że była przytułkiem nieszczęśliwego króla Władysława Łokietka, który w r. 1300, podczas gdy Wacław król czeski tron jego zasiadł, w tajni lasów i w miejscach niedostępnych stroskane wiódł życie, równie Czechów jak i Polaków obawiając się, a nadewszystko niejakiego Ulrycha Boskowicza, Czecha, gubernatora krakowskiego i sandomierskiego, któremu schwytanie jego szczególniej polecone było. Obie te groty zasługują, aby z osobna wspomniane były.

W towarzystwie przewodnika przykrą wstępuje się ścieżką na górę. Wnijście szczupłe, w zaroślach pomiędzy skałami ukryte, prowadzi do jaskini obszernej, zwanej niewłaściwie ciemną, bo chociaż taką z początku się być wydaje, wszelako za pobytem w niej na chwilę i przywyknieniem oczów, dosyć ma światła do rozpoznania jej obszerności. Długość pieczary wynosi łokci 140, szerokości łokci 40, a wysokość jej sklepienia w niektórych miejscach dochodzi 30 łokci. Z niej w kierunku bocznym jest wnijście do kilku bocznych jaskiń, do których zaledwo na czworaku wczołgać się można, lecz te nic w sobie nie mają osobliwego.

Wszedłszy do pieczary podróżny, na widok rozległej sali wydrążonej w twardem łonie opoki, staje w zadziwieniu i zapytuje sam siebie, kto mógł być twórcą tego olbrzymiego dzieła? A gdy w przymiarze do jego ogromu rozważy niedołężność siły ludzkiej i tem wyraźniej postrzeże swoję nicość, ze czcią i ukorzonym umysłem poznaje w tem rękę Wszechmocnego, której bytność nieprzeliczone dzieła cudowne zaświadczają.

Jest podanie, jakoby jaskinia ta przez ludzi niegdyś była zamieszkiwaną, podobna nawet do prawdy, że w czasach napadu Tatarów, gdy dzielni ziemi tej mieszkańcy z barbarzyńcami krwawe zwodzili zapasy, starcy, kobiety i niemowlęta, gdy spokojne chaty pożogą spłonęły, dnie pełne trwogi i obawy o życie synów, mężów i ojców tu się chroniąc, trawili.

Ciszę uroczystą w grocie przerywa tylko szelest kropel ściekających ze sklepienia i uderzających o kamienie, którymi dno jej zasłane.

Sam przystęp do drugiej jaskini, zwanej królewską, tak jest pięknym, iż zarówno uwagę malarza, jak i miłośnika przyrody zająć zdoła. Leży ona na wysokiej górze, zwanej Chełm, a ukryta w gęstwie lasu mniej jeszcze od pierwszej jest dostępną i bez przewodnika

do znalezienia trudną. Przysionek do niej tworzy wazka rozpadlina w skale, przezroczystem sklepieniem z gałęzi nakryta, długa łokci 40, której ściany osłaniają zielone ze mchu kobierce. Sama pieczara znacznie dłuższa od poprzedniej, rozchodzi się w różnych kierunkach w ramiona niejednakiej obszerności i przestronne sale oddzielone wązkiemi przesmykami. Niezbędną jest tu pomoc światła, nigdy bowiem do tych tajników przyrody nie przedziera się promyk dnia. Nawet drabina do zejścia na dół koniecznie byłaby potrzebną temu, kto ją całą chciałby zwiedzić, lecz zwykle ciekawi tem się ograniczają, że stawają z ostrożnością na brzegu obszernego kotliska, do którego przewodnik z kagańcem zstępuje.

Ściany pieczary oblane są massą wapienną nieprzezroczystą, a sklepienie jej okrywały niegdyś nacieki w kształcie soplów, lecz gdy każdy lubi zabrać ztąd pamiątkę swojej bytności, przeto nacieki te, zbyt tylko powolnem tworzące się działaniem, które przyroda w tajnikach środkami sobie wiadomemi kształtuje, odrywane od sklepienia stają się coraz rzadszemi.

Zszedłszy z góry i postępując brzegiem Prądnika widać było niegdyś mury zamku Ojcowa, który byt swój winien był synowskiej cnocie. Wystawił go Kazimierz W. na pamiątkę ukrywania się w tych stronach ojca i przemieszkiwać w nim lubił. Zamek ten, niegdyś siedlisko starostwa niegrodowego, stojący na niedostępnej skale był zapewne znakomitą warownią w czasach, gdy samo przepaściste położenie stanowiło obronę. Jedynie tylko wysoka ośmiokątna wieżyca z ciosowego kamienia, najpodobniej że jeszcze przez Kazimierza W. stawiana, jak dotąd pięć wieków bez uszkodzenia przetrwała, tak jeszcze długo utrzyma się, jeżeli zniszczenia jej ręka ludzka nie przyspieszy; sam gmach zamkowy rozsypujący się w gruzy, który czas z pomocą niedbalstwa naszych przodków pożarł, rozebrany został doszczętnie w r. 1829.

Wszędzie po tej dolinie rozrzucone są zagrody rolników. Przy każdym domku sad pełen drzew owocowych, pastewniki zielone, pszczelniki porządne, liczne trzody pasącego się bydła, i wszędzie igrających dzieci gromady zdają się świadczyć, że w tej przyjemnej dolinie szczęśliwymi być muszą i ludzie.

Niemal wszystkie drzewa i krzewy właściwe naszej strefie rosną w tej dolinie jak w ogrodzie botanicznym przez naturę założonym; pomieszane w klomby dziwnie zgodnej harmonji, a te ponure jodły i świerki, pomiędzy drzewami jasnej zieloności, to połączenie kolorów żywych z ciemnemi, urozmaicone jeszcze sterczącemi z pomiędzy drzew skałami, komużby się podobać nie miało?

Uderza niepomału zwiedzających te wąwozy w pięknych dniach

jesieni różnica w klimacie; bo niezawodną jest prawdą, że gdy owoce na około Krakowa już są z drzew zebrane, tu dopiero pierwszą dojrzałości barwę na się biorą, a często mrozy jesienne doścignąć im nie pozwolą. Spóźnienie to wypadkiem jest zimnego stanu ziemi, której cienka warstwa litą opokę pokrywa. Smutnymi tu są dni zimowe; w ciągu tej bowiem pory nigdy słońce nie objaśni dna doliny i gdyby nie widok jego promieni, którymi się złocą szczyty gór, możnaby mniemać, że ta ożywcza gwiazda dnia zaprzestała świecić światu.

Zdanie geologów na dobrej zdaje się być oparte zasadzie, że podobne doliny powstać mogły tylko z pomocą wody; słusznie zatem należy mniemać, że dolina Ojcowska jest dziełem bystrego Prądnika, który rozrywając skały i często odmieniając kory, to pokonał nakoniec ich potęgę i na znak zwycięztwa mały tylko strumień, niejako dla strzeżenia miejsca boju, zostawił; bo skoro wniosek ten podobny do rzeczywistości znajdziemy, tedy i na to zgodzić się należy, że ta rzeka w owych niezmiernie odległych czasach daleko znaczniejszą, a walka wody ze skałą bardzo gwałtowną być musiała.

Za powyższym domysłem przemawia jeszcze i to postrzeżenie, że cała ta przestrzeń, którą Prądnik aż do ujścia do Wisły przebiega wszystkie doliny i niższe miejsca, któremi niegdyś ta rzeka płynęła do znacznej głębokości przepełnione są zwirem, czyli okruchami kamienia wapiennego, które nie zkądinąd jak z roztartych skał w parowach Ojcowa pochodzą.

W dolinie pomiędzy zamkami Ojcowa i Pieskowej skały, zalega skała nader wysoka, na której szczycie będący teraz kościołek nosi imie Grodziska, od starożytnego zbudowanego tu niegdyś grodu. To miejsce wielce ustronne i niedostępne, było w wieku XIII widownią krwawej rozprawy orężnej między książętami polskimi z rodu Piastów Henrykiem Brodatym Wrocławskim i Konradem Mazowieckim. W kolei czasów zmieniło się przeznaczenie Grodziska. Zamek obronny został przytułkiem dziewic poświęconych chwale Boga. Tu Salomea Leszka Białego córka, a Bolesława wstydliwego siostra, wdowa po Kolomanie królu Halickim, który poległ w boju z Tatarami, zrzekłszy się ponęt świata i jego wielkości, w samotnej ustroni oddana bogomyślności, przewodnicząc przykładem cnót współsiostrom, którym oraz była ksienią, dokonała świątobliwego żywota w r. 1268, a ciało jej pochowano w grobie kościoła Ś. Maryi na skale, który tu na Grodzisku fundowała, lecz w rok później wyjęte z miejsca pogrzebu, przeniesione zostało do kościoła S. Franciszka w Krakowie, gdzie dotąd spoczywa.

Zgromadzenie panien przebywało tu aż do początku wieku XIV, kiedy klasztor został zburzonym przez zbójców, poczem mury ko-

ścioła i klasztoru Skalskiego opuszczone do reszty się zwaliły. Teraźniejszy kościołek na Grodzisku wzniesiony w wieku XVII, posiada niektóre ozdoby z marmuru odciętego ze skały, na której stoi. Na cmentarzu jego są posągi kamienne Ś. Salomei, Ś. Kunegundy, Bolesława Wstydliwego i Kolomana, a znajdujące się tu kapliczki wzywają uczynnej ręki, aby je podparła, co jeżeli rychło nie nastąpi upadną i w gruzy się obrócą.

Oglądając tę dziką pięknością odznaczającą się okolicę, przyzna każdy, że nie mógł Henryk dogodniejszego w owym czasie na założenie twierdzy obrać stanowisko. Natura formując tę niedostępną skałę, której ściany zupełnie są prostopadle, dla obrony jej sama wszystko zdziałała, zbyt mało od sztuki potrzebując pomocy. Wnijście na szczyt jej z jednej tylko łatwe jest strony, a tego bronił wówczas mur kamienny. Zabytek ten starożytnej fortyfikacyi urąga się z władzy czasu, sześć wieków upłynionych nie zdołały go pożyć ze szczętem; istnieje on dotąd pokryty warstwą ziemi, na której powierzchni dęby i inne drzewa szerokie rozwiodły ramiona.

Gdy wierzch Grodziska obszerną zdaje się zapowiadać równinę, podróżny zbliżywszy się na kraniec jej, cofa kroki z przestrachu na widok przepaści otwierającej się nagle pod jego nogami. Z jednej strony otacza skałę parów, gdzie Prądnik wody swe toczy, a z innych stron w głębi postrzegać się dają wybujałe drzewa, rosnące na dnie przepaści.

Nie więcej jak milę od Ojcowa odległym jest zamek Pieskowej skały, będący dziełem Stanisława Szafrańca, który za króla Stefana w r. 1582 był wojewodą Sandomierskim. Michał Zebrzydowski, Wojewoda i Starosta krakowski, który w tym zamku, będącym jego własnością r. 1667 umarł, znacznym go nakładem restaurował. A gdy tyle starożytnych grodów czas obalił, gdy ruiny ich po tak wielu miejscach rozrzucone, smutnym są obrazem klęsk ówczesnych, miło jest patrzeć jak zamek ten dotąd mieszkalny i w porządnym utrzymany stanie, sam jeden wpośród tylu grodów w gruzach pogrzebionych oparł się burzom i starożytnego kształtu dochował; a że nie od razu w teraźniejszej stanął rozległości i w późniejszych czasach znacznie był powiększony widać ztąd, że jeszcze obecnie część gmachu tego nazywaną bywa Starym zamkiem.

Zbudowany na szczycie wysokiej skały, mógł w danym stanie sztuki wojennej nazywać się stanowiskiem obronnem. Godnemi obejrzenia wewnątrz są pokoje, których jest wielka liczba, kaplica pod wezwaniem Ś. Michała, studnia głębokości niezmiernej w skale wykuta, a nadewszystko widok z okien zamkowych na dolinę będącą, oraz korytem rzeczki Prądnika.

Pokazują tu w zamku głęboki loch podziemny, zwany Dorotką, do którego w dawnych czasach miano spuszczać przestępców skazanych na zamorzenie głodem. Nazwę jego objaśnia Niesiecki jak następuje: „Wieża Dorotka tak nazwana w Krakowskiem Województwie sławna, w której Tęczyńscy jednę z domu swego na imię Dorotę, aż do śmierci trzymali o jakieś nieprzystojne akcye.“

Położenie Pieskowej skały, aczkolwiek niezmiernie samotne, jest przecież z rzędu tych powabu pełnych, jakie natura miejscom od siebie upodobanym wydzielać zwykła. Skałę, na której stoi zamek opasały wieńcem do koła, wysokie wzgórki, porosłe bukowym lasem. Przed samym zamkiem stojąca ogromna skała, u spodu węższa u góry znacznie szersza, mająca postać grubszym końcem do góry przewróconej maczugi, i ztąd Buławą Herkulesa, a przez lud miejscowy Skałą sokolą zwana zadziwia wysokością i szczególnym swoim kształtem. Zdaje się, że natarczywość wichrów powinna była oddawna pokonać i zwalić z podstawy ten ogromny kolos tego potężnego olbrzyma, który zdaje się panować okolicznym skałom; gdy on tymczasem zachowując najściślej rozważoną miarę ciężaru, opiera się ich sile, i nawet w pośród burz i piorunów stoi niewzruszony od wieków.

Ojców, Grodzisko i Pieskowa skała należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych okolic naszego kraju; a podróżni, którzy zwiedzili Tyrol i Szwajcaryę z zadziwieniem widzą tu w małym wymiarze obrazy tamtych krajów. Doliny te łączą w sobie wszelkie rodzaje malarskich widoków; obok i miłych zajmujących mieszczą się dzikie i uderzające, które wycisnąwszy się niestartym wzorem w umyśle, długo jeszcze w przyjemnych rysach odnawiają się w pamięci.

A. Grabowski.

46. Tęczyn.

W odległości czterech mil od Krakowa na wyniosłej górze, stoi zamek Tęczyn, którego ruiny cały jej szczyt zalegają, a fundamenta zdają się być wrosłemi w skałę. Zamek ten zbudował w r. 1319 Nawoj z Przegini, herbu Topor, wojewoda sandomierski a potem kasztelan krakowski. Z wielu względów gród ten ważnym jest dla dziejów naszych, był bowiem gniazdem znakomitego plemienia, którego imie obok dzieł przeważnych zawsze wspominanem bywa. Z pośród tych murów wywiodło swoje pochodzenie wielu mężów, sławnych dzielnością w boju, zdrową radą u steru rządu i miłością nauk.

Dawna budowa tego zamku niewiadomo jaką być mogła. Zwa-

żając na górzyste jego położenie widać, że niegdyś znaczną był on twierdzą. Otaczały go mury i wysokie wieże, które acz wpół zwalone, jeszcze groźnie nad okolicą panują. W r. 1655 zajęli go Szwedzi. Od tego czasu zaczął on coraz bardziej pustoszeć, a nawiedzony pożarem, oraz potrącany zaniedbaniem i siłą czasu, nakoniec runął, i swoimi szczętami zasypał swoją dawną posadę.

Jeszcze stoją nieprzełamane sklepienia obszernych piwnic, jeszcze czas w zmowie z żywiołami nie zdołał zmódz i zwalić sklepień pierwszego piętra, na których rozgościły się zielska, a z pomiędzy nich wyrosły jodły i świerki i w podwojach pańskich zajeły miejsca dawnych dziedziców; jeszcze górują nad zwaliskami wysokie wieżyce z ciosów, na których widok tłoczy się do myśli obraz silnej woli i olbrzymiej pracy naszych naddziadów.

Zasługują na zwiedzenie okazałe rozwaliny Tęczyna, z których ogromu dawna jeszcze przebija wspaniałość. Głębokiej samotności miejsca tego nie przerywa teraz ani szczęk oręża, ani okrzyki straży, jak w czasach, gdy tu przemożni mieszkali Toporczykowie: zaledwo ciszę jego zamiesza przenikliwy głos nocnego ptaka i szum jodłowego lasu, który do jego zwalisk przypiera. A co człowiek z tak nadzwyczajną wzniósł pracą a potem opuścił, natura w swe objęła panowanie i na znak tego nowe na zabytkach spustoszenia zaszczepiła życie. Na starym murze rozpostarła się zielona z roślin zasłona, a na gzymsach zamieszkała samotna sosna. W otworach okien i rozpadlinach ciosów korzeni się jarzębina; a gdy jej pobyt na zimnym głazie nie miły, przeto zwiesza ku ziemi gałązki nakształt tęsknego dziecięcia, które za matką ręce wyciąga.

Góra dźwigająca te zwaliska złożona z porfiru lub migdałowca, znajoma w świecie geognostycznym, ile że o niej różni zagraniczni wspominają pisarze, jest jedną z najważniejszych gór w Polsce, a okolice jej obfitują w kwarce, ametysty, chalcedony. Widok z jej szczytu nader jest piękny: od wschodu otacza ją przestrzeń piaskowa, bogata w pokłady węgli kamiennych (w wiosce Tęczynku), tego dobrodziejstwa przezornej natury, dla krainy mającej mało lasów jak Krakowskie. Gdyby nie ten produkt którego ziemia z wnętrzności swych obficie dostarcza, opał w Krakowie i okolicach do najwyższej doszedłby był ceny.

A. Grabowski.

47. Krakowianie.

Mieszkańcy okolic Krakowa nazywają się Krakowianami, są zdrowi, silni i miernego wzrostu. Ich ciemne włosy, których nie obcinają, spadają na ramiona; oczy niebieskie, rzadko czarne, jakoteż i białość cery odznaczają ich od innych mieszkańców dawnej Polski. Młodzi noszą czasami wąsy, lecz większa część Krakowian niema tego zwyczaju, a nigdy niezapuszczają brody. Obie płcie łączą do piękności twarzy kibić kształtną, w mowie przeciągają słowa lecz wynagradzają ten błąd dobitnością wyrażeń. Skłonni do wesołości, dobrego humoru, dowcipni z natury, namiętnie lubią muzykę, śpiew i taniec. Rzetelni, otwarci i roztropni odznaczają się swemi zdolnościami tak, że są zdolni do wszystkiego. Wielu z nich umie czytać i pisać; ich rozum naturalny, rozmowa przyjemna, trafność myśli, wystawiają ich w korzystnem świetle i czynią ich nader towarzyskimi. Umiarkowani w piciu, zwyczajni przestawać na małem, znosić od dzieciństwa tak upał jak zimno, niezważają na najgorsze powietrze gdy mają przedsięwziąć podróż, pomimo wiatru i burzy weseli w drodze, gdy przemokną od deszczu i wstąpią do karczmy, rzucają się bez narzekania na słomę rozłożoną na ziemi, a potem ledwie sobie kilka chwil odpocząwszy z równym zapałem puszczają się w dalszą drogę. Krakowianie uważają gościnność za najpierwszą z cnót domowych, podróżnego który do nich zawita jak najserdeczniej przyjmują, wszystkie domy są dla niego otwarte, przytułek znajdzie przy każdem ognisku, jest jakby członkiem rodziny. Krakowianin łatwo zapomina urazy, lecz gdy honor jego zostanie obrażonym, rzadko wypuści z pamięci zniewagę. W nieszczęściu pokazuje wielką moc charakteru, cierpliwość i wytrwałość nadzwyczajną; nigdy się nieużala, nieszczęście niemoże go przygnębić, bo jest gotów na wszystko. Kocha nadewszystko swoją ziemię, swoją rodzinę, swoje ognisko i swoją trzodę.

Wszyscy Krakowianie wyznają bez wyjątku religię rzymsko-katolicką i są bardzo nabożni. Każda wieś ma swego patrona; zwykle nim jest Ś. Stanisław, Kazimierz albo Floryan.

Ubiór chłopów Krakowskich którzy zamieszkują lewy brzeg Wisły jest skromny ale gustowny; nie noszą chustek na szyi ani latem ani zimą, koszulę noszą wierzchem, u której rękawy i kołnierz są związane wstążkami kolorowemi i która spada na spodnie aż blizko kolan; u pasa skórzanego przystrojonego kółkami mosiężnemi wisi na rzemieniu nożyk tak zwany kozik; w jednej kieszeni noszą krzemień, a za koszulą albo w bucie lulkę. Spodnie ich są zazwyczaj

z białego płótna, albo w czerwone paski, czasem też z żółtej skóry. Bóty które aż do kolan dochodzą, są ze skóry juchtowej; korki są dobrze okute służą one im przy tańcu do wybijania taktu, i do pewności chodzenia po górach. Czapki mają czworograniaste, obszyte



Krakowianie.

karmazynowem suknem z barankiem czarnym i przyozdobione pawiem piorem. Ich wierzchni ubiór nazywa się sukmaną z sukna różnego koloru, u góry szeroki, w środku wazki, szerszy na dole i spięty na przodku. Chłopi najbliżsi Krakowa noszą sukmanę granatową tak nazwaną karazyą, ktorą wyszywają jedwabiem lub bawełną kar-

mazynową; kołnierz ozdobiony gęsto takiemi wyszywaniami spada nizko na plecy. Skalmierzacy mają sukmanę brunatną z białymi sznurkami i bardzo długim kołnierzem. Proszowiacy sukmanę białą z czarnymi sznurkami. Latem noszą ubiór z białego płótna, spodnie z płótna, bóty aż do kolan i kapelusz szeroki ale nizki, przystrojony wstążkami i pawiemi piórami.

Ubiór chłopek krakowskich jest bardzo elegancki i stosowny do ich postaci. Młode dziewczęta noszą długie warkocze u dołu zawiązane kolorowemi wstążkami; na szyi paciorki różnego koloru, lub też piękne korale, naramienniczki i mankietki czerwono-wyszywane, gorset z merynosu, atłasu lub innej materyi jedwabnej; spódnica różnego koloru dochodzi aż do pięt; bogatsze mają obszytą srebrnemi lub złotemi galonami. Latem dla ochrony od kurzawy noszą szal płócienny albo muślinowy, który nazywają rańtuchem. Mają także fartuch, który idąc w pole pracować zarzucają na ramiona. Ich kaftanik z sukna granatowego podszyty czasem zimową porą barankiem podobny jest do męzkiego i dochodzi do kolan. Za obówie noszą trzewiki, ale najczęściej bóty z wysokiemi korkami; w czasie pięknym chodzą boso. W święta noszą młode dziewczęta naokoło głowy w kształcie dyademu wstążkę ze złota lub aksamitu, której wierzch przyozdobiony jest kwiatami i długiemi wstążkami. Mężatki okrywają sobie głowę chustką białą, albo czepcem przystrojonym złotem.

Mieszkańcy prawego brzegu Wisły, do których liczymy Kijaków i Skawiniaków przyjmują także nazwisko Krakowian. Kijacy zamieszkują okolicę ciągnącą się pomiędzy Wieliczką i Podgórzem; noszą sukmanę z sukna granatowego podszytą materyą karmazynową, pas zielony często jedwabny ozdobiony złotem i srebrem, czapkę okrągłą z aksamitu zielonego obszytą barankiem popielatym. Skawiniacy, tak nazwani od miasta Skawina, noszą sukmany z jasno-niebieskiego sukna podszyte materyą karmazynową, kamizelkę zieloną, czapkę czworograniastą zieloną obszytą barankiem czarnym lub popielatym. Kobiety z Podgórza mają kaftan niebieski, gorset koloru czerwonawego, spódnica żółta dochodzi aż do kostek, fartuch w różnych kolorach jest krótszy. Młode dziewczęta zdobią głowy kwiatkami, mężatki okrywają je białemi chustkami. Skawinianki okręcają głowę długiem płótnem, które zgrabnie spuszcza się na ramiona; gorset ich jest jasno-niebieski, spódnica zielona na dole obszyta taśmami, fartuch różnego koloru, a szal uzupełnia zazwyczaj ich ubiór.

Rolnictwo jest głównem źródłem utrzymania Krakowian; lecz w okolicach gdzie ziemia nie jest tak urodzajną przemysł i handel

dostarcza im innych źródeł. Niektórzy z nich w ostatnich czasach zostali dziedzicami gruntów.

Krakowiacy zazwyczaj mają się lepiej od innych wieśniaków polskich. Mieszkania ich są czyste, dobrze utrzymywane, zwykle otoczone sadkiem z pięknych drzew owocowych. Gdy znajduje się w domu młoda dziewczyna, musi koniecznie mieć przed swojem oknem mały ogródek pełen ostróżek, róż, narcyzów, pierwiosnków, rozmarynów i innych kwiatów. Jadło Krakowian także jest lepsze niż innych chłopów; chleb żytni, a zwłaszcza ten co się nazywa prądnik, od wsi w której jest robiony, jest smaku doskonałego i ma tę własność, że nigdy nie pleśnieje choć przechowywany bywa kilka tygodni. Chleb ten którego średnica ma dwie stopy a grubość jednę, znany jest w Warszawie a nawet i w Gdańsku. Krakowianie jedzą trzy razy na dzień: z rana, w południe i na wieczór. Gdy dla roboty oddalają się z domu, biorą z sobą w pole śniadanie i obiad, które im zanoszą ich żony lub dzieci. Jadło włożone w dwa garneczki gliniane zwane dwojakami, przeto iż są spojone, składa się najwięcej z jarzyn, których mieszkańcy tych stron hodują wiele gatunków. Krakowianie nie bardzo lubią mączne potrawy: w okolicach gdzie są lasy chętnie jedzą grzyby, które suszą na zimę. Najbogatsi mają na stole codzień mięso, oprócz dni postu, podczas którego nie jedzą nawet nabiału. Przed jedzeniem mężczyźni piją zazwyczaj po małym kieliszeczku wódki, a starsze kobiety wiernie ich w tem naśladują. Piwo i miód są także ich ulubionymi napojami. Wino nie jest obce tym którzy sąsiadują z Węgrami.

Chłop Krakowski hoduje owce, drobiazg, trzodę, niema jak tylko kilka rogatego bydła, ale za to utrzymuje wiele koni, które w jego oczach mają wielką wartość. Najuboższy, który ma najmniej cztery, używa ich do robocizny w polu, do podróży, a w niedzielę zaprzęga je do swego woza, aby się udać do sąsiada, do kościoła lub na jarmark; chłopczyk ośmio albo dwunastoletni powozi końmi ciągle galopem. Krakowiacy pracują pilnie cały tydzień, a w niedzielę po mszy wielkie dla nich szczęście, znajdować się z sąsiadami w karczmie, paląc lulkę i pijąc kieliszek wódki albo dzbanek piwa. Rozmowa zrazu spokojna coraz bardziej się ożywia; gadają najczęściej o stosunkach familijnych, o krewnych albo przyjaciołach których potracili, porównywają swego teraźniejszego pana z przeszłym, udzielają sobie co wiedzą, o ekonomie, o komisarzu i innych urzędnikach swego pana. Po niejakim czasie przybywają do ich towarzystwa dziewczęta z matkami, dają się słyszeć basetla i skrzypce, a wtenczas młodzi wstają i rozpoczyna się taniec, a często i najstarsi dzielą z nimi ochotę. Idzie naprzód polonez, potem mazur, a gdy weso-

łość się powiększa zaczynają się krakowiaki. Gdy pary raz lub dwa razy przetańczyły naokoło izby, ten który niemi dowodzi zatrzymuje się przed muzyką i śpiewa zwrotkę ze znanych w kraju piosneczek, lub tworzy wiersz który stosuje do swej tanecznicy. Te śpiewy bywają już to dowcipne, żartobliwe, dwuznaczne, już to wyrażają uczucia głębokie, myśli poważne. Wśród tych zabaw i rozmów przepędzają dzień świąteczny, tańce trwają ciągle, śpiewy się rozlegają aż do chwili opuszczenia karczmy, a nazajutrz biorą się z tem większym zapałem do swojej ciężkiej pracy tygodniowej.

Przyjaciel ludu.

48. Łysa Góra.

Nazwę Łysogóry czyli Łysice u ludu polskiego i w języku książkowym nosi pasmo gór leżące w dzisiejszej gubernii Radomskiej. Staszic w monografii swojej powiada, iż pasmo Łysogór na szerokość zajmuje piętnaście mil od Pilicy do ujścia Nidy, na długość zaś jednym końcem łączy się w Szlązku z górami Tarnowskiemi, drugim znacznie zniżonym sięga aż Polesia przy Pińsku i wiąże się z Orfejskiemi górami. Lecz już Bogumił Pusch rozbierając ten sam przedmiot tak z punktu geologicznego jako i geograficznego, słusznie zauważył, iż nazwa Łysogóry ściąga się tylko do jednego pasma najwyższego. Grzbiet togo pasma rzeźbi się najwidoczniej i wznosi najwyżej między Bodzentynem a Nową Słupią, gdzie na dwóch końcach siadły góry najwyższe Łysica czyli Ś. Katarzyny i Łysa czyli Ś-to-Krzyzka. Wysokość Łysicy wynosi nad posadzkę sali obserwatoryum warszawskiego 1,530, 426 stóp paryzkich, nad poziom morza Bałtyckiego przy Kopenhadze 1961,816 st. p. a przy Gdańsku 1865,786 st. p. Jest to najwyższy punkt w tem pasmie; góra bowiem Łysa czyli Święto-Krzyzka ma 1775,08 stóp nad poziom Bałtyku przy Gdańsku. Wzniesienia innych szczytów albo nie są wiadome, albo też mniej ściśle są oznaczone.

Widok zewnętrzny Łysogór ma w sobie wiele odrębnego mianowicie we właściwem pasmie. Niższe wyniosłości i stoki są zwykle łagodnego spadku, pokryte mniej więcej urodzajną glebą, pokrajaną już to pługiem w pola różnej wielkości, już w łąki, — lub też zajęte lasami i gajami. Najwyższy tylko łańcuch od Nowej Słupi do Świętej Katarzyny nosi na sobie cechy lesistości i dzikości. Złomy głazów występują tu potężnie i w dziwacznych kształtach, stanowiąc nieraz z ogromnych kamieni złożone rumowiska, szczególniej w stro-

nie północno-wschodniej, gdzie rumowiska te często na 15 stóp grube, potężnemi płatami okrywają stoki gór. Sławna droga królewska do klasztoru Ś-to Krzyzkiego jest ich przykładem. Dało to nawet powód do mniemania niektórym geologom, iż Łysogóry musiały być dawniej wyższe i tylko wstrząśnienie natury wulkanicznej mogło spowodować tak wielkie zburzyszcze skał. Prawdopodobniej jednak są to ciągłe wpływy atmosfery i wód. W stronie zachodniej na stoku góry Łysicy spostrzegamy znaczne przestrzenie skaliste obnażone z lasu i dla tego u ludu gołoborzem zwane. Są one według podań miejscami, gdzie czarownice ze złymi duchami w szabat harce wyprawiają, przybywając tam na miotłach i łopatach. Kwarcytowe te przestrzenie zasłane są olbrzymiemi łomami, między którymi gdzie niegdzie tylko wznoszą się klomby złożone z kilkunastu jodeł. Gładkie boki łomów pokrywają porosty, między którymi główną rolę gra sławny porost geograficzny i te tworzą tak rozliczne wzory, że niczem są przeciw nim dywany ręką ludzką utkane. Całe to pasmo przeważnie pokryte jest potężnym i starym lasem, szczątkiem owej puszczy w której polował Bolesław Chrobry ze Ś. Emerykiem. Puszcza ta, zwana potem Ś-to Krzyzką, musiała rozciągać się daleko szerzej niż obecnie, mnóstwo bowiem mamy dowodów, iż kiedy już około Sandomierza i nad brzegiem Wisły kultura czyniła swe postępy, okolice gór Łysych przedstawiały dzicz nieprzebytą. Obecnie znajdujemy tu wiele naszych drzew w rozmiarach znakomitych. Najpospolitszemi są: sosna pospolita, gdzieniegdzie lubo rzadko modrzew, często jodła, grab, buk, dąb, jesion, klon, jawor, jarząb. Szczególniej pyszne są jodły, których korzenie czepiając się żyznej ziemi w rozpadlinach skał rosną niemal na powietrzu. Pod cieniem tych bogatych lasów tak cennych dla górnictwa krajowego, krzewi się pyszna roślinność.

Łysa góra sławna jest ze starożytnego klasztoru Benedyktynów, jednego z najznakomitszych w Polsce i posiadającego do dziś dnia relikwię Krzyża Świętego, od której i sama góra otrzymała nazwę Święto-Krzyzkiej. Na jej szczycie według podania naszych kronikarzy miała się znajdować najznakomitsza bóżnica w pogaństwie żyjących Słowian, na miejscu której monarchowie Polscy przyjąwszy wiarę chrześcijańską zaraz wystawili świątynię katolicką. Długosz, a za nim wszyscy późniejsi dziejopisowie, założenie klasztoru na Łysej górze i osadzenie w nim Benedyktynów sprowadzonych z Monte Cassino we Włoszech, przypisują Bolesławowi Chrobremu na wstawienie się Ś. Emeryka królewicza węgierskiego w r. 1006. Naruszewicz podał to w wątpliwość. Pierwsza niewątpliwa wzmianka o tym klasztorze jest w dyplomatach z XII wieku. Pobożność późniejszych

polskich monarchów i innych panów zwiększyła jego bogactwo tak dalece, iż w wieku XIII nietylko ze wszystkich tego rodzaju instytucyi był najmozniejszym, ale nawet służył za miejsce składu majątków prywatnych, w razie grożącego powszechnego niebezpieczeństwa. Jako taki był też niejednokrotnie napadany i niszczony przez nieprzyjaciół. W r. 1260 Tatarzy wymordowali w nim wszystkich zakonników. Po tej klęsce klasztor długo był opuszczony i dopiero Bolesław Wstydliwy sprowadził do niego z Monte Cassino nowych zakonników i nadał mu liczne przywileje, potwierdzone następnie przez Leszka Czarnego i Kazimierza W. W r. 1370 Lubart i Kiejstut książęta litewscy złupili świątynię Łysogórską i unieśli z niej drzewo Krzyża Ś. Atoli gdy na granicach Polski wóz, na którym się znajdowała relikwija stanął, a konie, woły, ludzie i ktokolwiek się ich dotknął padali na ziemię, objaśnieni o przyczynie tego Litwini, odesłali zaraz na miejsce drzewo krzyża Ś. Od tego cudu sława kościoła na Łysej górze szeroko po kraju wzrosła, a pobożność wzbogacała go licznemi nadaniami. Król Jagiełło z wielką był czcią dla tego miejsca. Zwykle przed każdą wojną z Krzyżakami długie tutaj modły odprawiał i czynił publiczne pokuty, a gdy Pan Bóg prośby jego wysłuchał, wielkie dobrodziejstwa klasztorowi świadczył. Jego następcy naśladowali go w pobożności, szczodrocie i nadawaniu tej świątyni różnych przywilejów.

Klasztor Łysogórki po wielekroć w powszechnych klęskach kraju całkowicie zniszczony, doznawszy oprócz tego kilkakrotnych przypadkowych pożarów, będąc nareszcie więcej jak inne świątynie wystawiony na szkodliwe działanie powietrza i wilgoci, jako stojący w miejscu, gdzie przez pół roku prawie wilgoć jest nieustanną, nie dziw że mało w sobie starożytnych przechował pamiątek, że wszystko cokolwiek o jego dawności powiedzieliśmy, odnosi się tylko do jego instytucyi, wszystko zaś co w nim pozostało materyalnego, jest dziełem nierównie późniejszych czasów. O dawniejszej zatem budowie tej świątyni możemy mieć wyobrażenie tylko z rysunków i podań. Teraźniejszy kościół wzniesiony staraniem ostatniego opata ks. Jana Nepomucena Niegolewskiego mający dwie szczytowe ściany i wyniosłą wieżę z ciosu, zaś boczne ściany z cegły, ukończony został w r. 1806. Kaplica w której jest złożone drzewo krzyża Chrystusowego uratowana od pogorzeli jest dziełem dawniejszego czasu. Wystawił ją w r. 1604. Mikołaj Oleśnicki kasztelan Radomski i na odwiecznie tu znajdujące się rodziny swojej groby przeznaczył. Później po przeniesieniu do niej najświętszej relikwji, zamieniła ona swoje dawne nazwisko kaplicy Oleśnickich na Ś. Krzyża. W ołtarzu jej mieści się relikwiarz w kształcie niewielkiego krzyża ze złota, prostej ale gładkiej roboty, z napisem na czarnej emalji, że sprawiony

był w r. 1614 przez Bogusława Radoszewskiego opata. W nim umieszczone jest pięć sztuczek najświętszego drzewa. Zabudowania klasztorne są dawniejsze. Krzyżowe sklepienia krużganków mają formę XII wieku, na ścianach są tarcze z herbami państwa i rodzin prywatnych Dębno, Topor, Prus, Jastrzębiec, Poraj, oraz podwójny krzyż, znamie tutejszego klasztoru. Herby te pochodzą niewątpliwie z XV, wieku, ale ściany i sklepienia krużganków mogą być dawniejszemi o wiek cały albo i więcej.

Kiedy odbudowano nowy kościół, przyjęci gościnnie do klasztoru Benedyktyni francuzcy, spalili złą wolą bibliotekę której nie rozumieli. Przy tej zaś okoliczności inny jeszcze cios spotkał klasztor, albowiem przy bibliotece znajdował się ów zamożny skarbiec znany tylko najstarszym zakonnikom pod przysięgą, że nikomu niewydadzą wiadomości o nim. Gdy więc książki do nowej sali przenoszono i niszczono, braciszek jeden wyczytał w porzuconym przypadkiem piśmie wiadomość gdzie takowy był ukryty. Zmówiwszy się tedy z dwoma innymi wykradli złoto i klejnoty i uciekli z klasztoru. Nie wiadomo dokładnie jak wielki był ten skarb, to tylko pewna, że część odebrano zbiegom, a część znaczniejszą już oni sami byli roztrwonili. Resztę sprzętów złotych i srebrnych razem z odzyskanymi zabrał rząd austryacki i od ceny ustanowionej przez siebie płacił rocznie klasztorowi 14,000 złp. co pokazuje jak znaczne jeszcze były te szczątki. Temu wypadkowi powszechnie przypisują zupełny odtąd upadek zamożności klasztoru, któremu gdy jeszcze zabrano odłużone i zniszczone dobra, w gmachu mogącym pomieścić do stu zakonników, wkrótce zaledwo kilku pozostało. W r. 1824 było ich jeszcze pięciu pod zarządem opata Niegolewskiego, który umarł w r. 1828. W końcu został tylko jeden, który umarł przed piętnastoma laty. Kiedy wygaśli Benedyktyni Łysogórscy rząd użył gmachów klasztornych na zakład dla zdrożnych księży, tak zwanych demerytów, znajdujący się dotąd w Augustowskim Liszkowie i przeniósł takowy na Łysą górę w r. 1851.

Kościół wewnątrz jest bardzo prosty lecz gustowny. Przyozdabia go siedm wspaniałych obrazów w ołtarzach, pędzla Smuglewicza, które czas, wilgoć, a po części nieumiejętne odnawianie tak uszkodziły, że trudno w nich dopatrzeć ręki mistrza. Do zabytków sztuki rzeźbiarskiej należą dwa nagrobki w kaplicy Ś. Krzyża, założycieli tejże Mikołaja i Zofii Oleśnickich. Wyobrażają one leżące osoby, rycerza w zbroi i niewiasty w ówczesnym ubraniu. Rzeźby te wykonane są z marmuru ciemnego, zaś twarze i ręce z białego alabastru, co im szczególniejszy wyraz nadaje. Oprócz tych nagrobków znajdują się jeszcze dwie inne pamiątkowe tablice na korytarzach kla-

sztornych z r. 1766 i 1806. Dawniejsze kamienne nagrobki, których tu niemała być musiała liczba, po rozebraniu pierwotnego kościoła użyte zostały na materyał do późniejszych jego napraw.

Klasztor Łysogórski wznosi się na samym szczycie góry. Odosobnione jego położenie, mnóstwo narodowych legend, które w tem miejscu snują się w ustach pospólstwa, są powodem, że wędrowiec zawsze zbliża się do niego z pewnem uszanowaniem, choć w murach świątyni nie ujrzy nic takiego coby mu dawne przypominało wieki. Budowa kościoła jest piękna i poważna. Wystawiony na skale nie mógł on mieć zapuszczonego w ziemię konduktora czyli piorunochronu. Od połowy zatem wysokości wieży sztaba żelazna dająca mu komunikacyę z ziemią zbacza, oddalając się od muru wymija wierzchołek skały i kilkadziesiąt sążni niżej prawie aż do stóp góry schodzi. Pierwotnie była zapuszczona w sadzawkę, dziś jednakże znaczna jej część od dołu została oderwaną. Osobliwsze to urządzenie konduktora taki na pierwsze wejrzenie przedstawia widok, jak gdyby wieża ankrą do skały była przymocowaną. Widok z tej góry jest obszerny i szczodrze wynagradza trudy, jakie podjąć potrzeba aby dostać się na jej wierzchołek. Z ganku pod kopułą wieżową szeroki otwiera się krajobraz, którego granice stanowią, górzysty brzeg Wisły pod miastem Kazimierzem w Lubelskiem z jednej, a pierwsze pasmo gór Karpackich z drugiej strony. Pod nogami rozbijają się chmury, a w dni pogodne bawi oko dziwnie piękna panorama miasteczek i wsi, wśród licznych gajów w rozległości kilkunastu mil dokoła. Od stóp kościoła dojrzeć można Kielce o mil 3, Chęciny o mil 5, Busko o mil 8 odległe.

Na drodze wiodącej z miasta Nowej Słupi do klasztoru, znajdują się trzy kapliczki i wykuty z kwarcowego kamienia w wymiarach kolosalnych klęczący pielgrzym; twarz jego jest nadpsutą, suknia długa sięga do kostek, na niej płaszcz, którego część jakby kaptur okrywa głowę, ręce złożone do modlitwy, lewa ręka w płaszcz obwinięta i na chuście zawieszona, jakby była cierpiącą, oczy zwrócone na klasztor, rzeźba bardzo prosta i niezmiernej dawności. Spód całego kamienia w ziemię zapadły, pięty przecież klęczącej osoby widoczne. Niejednostajne są o tym kamieniu podania: u jednych uchodzi on za figurę Ś. Emeryka, drudzy utrzymują, iż wyobraża osobę wyklętą za odstąpienie od wiary Chrześcijańskiej; inni upatrują w nim litewskiego poganina, który zabrał z kościoła drzewo krzyża Ś. Posąg ten stał niegdyś na rynku w Słupi, ztamtąd zaś posuwa się powoli ku szczytowi Łysej góry; a skoro tam dojdzie, będzie koniec świata.

A. Wiślicki i T. M. Sobieszczański.

49. Mieszkańcy okolic Sandomierza i Radomia.

Sandomierz położony przy ujściu Sanu do Wisły, był niegdyś miastem handlowem, tak ważnem dla bogactw i znacznej ludności, iż przez wieki został głównem miastem województwa tegoż nazwiska. Pomnikami jego dawnej wielkości są katedra gotycka, jedna z najpiękniejszych w Polsce, również piękny ratusz, obecnie prawie ruina i grożąca rychłem zawaleniem. W skutek klęsk wojennych stare to miasto podupadło i Radom otrzymał pierwszeństwo, co jednakowoż nie zmieniło dawnego nazwiska województwa. Teraz Sandomierz jest tylko stolicą Biskupa.

Okolice Sandomierza odznaczają się zadziwiającą żyznością ziemi, gdzie obficie rodzi się pszenica i staje się co rok główną gałęzią handlu z Anglikami i innymi narodami, które ją kupują, aby się wyżywić, a zwłaszcza, ażeby siew zmienić.

Obyczaje i zwyczaje wieśniaków Sandomierskich zbliżają się do obyczajów Krakowian; lecz są temperamentu spokojniejszego i mniej skłonni do wesołości, odznaczają się w ogóle rozsądkiem i rozwagą; dotrzymują słowa, i dlatego jest przysłowie w Polsce: „Polegaj na nim, jak na Sandomierzaninie.“

Rolnictwo jest ich głównem zatrudnieniem; lecz ci, którzy zamieszkują brzegi Wisły i Pilicy przewożą wodą do Warszawy i Gdańska pszenicę, drzewo i towary; inni osiadli w okolicach Radomia, trudnią się wydobywaniem kruszcu, kuciem i wyrabianiem żelaza.

Sandomierzanie są wzrostu wysokiego, silni, włosy mają zwykle ciemne, oczy niebieskie, cerę białą. Sukmana biała z kołnierzem prostym lub wywiniętym, stanowi ubiór męzki, ozdoby i wyłogi są czerwone, karmazynowe, lub jasno niebieskie, pasem tego samego koloru zapinają się. Zimą noszą spodnie sukienne w różnych kolorach, latem płócienne w paski. Na koszuli noszą kaftan niebieski, u dołu obszyty sznurkami czerwonymi. Bóty noszą wysokie. Na głowie mają czapkę obszytą barankiem, to znów kapelusz słomiany, albo też czarny dosyć wysoki, lecz z wązkim brzegiem. Kobiety Sandomierskie noszą się prawie tak samo jak Krakowianki. Mniej noszą korali, ale za to więcej innych różnobarwnych paciorków. Koszulę obszywają u szyi frezą, która spada aż na ramiona.

Mieszkania chłopów Sandomierskich są czyste i wiele w nich widać porządku; każde z nich otoczone jest sadem i ogrodem warzywnym. Ich skromne pożywienie składa się po większej części z jarzyn. Piwo i wódka, są ich głównym napojem; bogatsi piją także miód, a nawet wino węgierskie.

Okrężne znane jest w całej Polsce. Chłopi Sandomierscy obchodzą tę uroczystość polną najokazalej.

Gdy żniwa ukończone są na polu właściciela wszyscy mieszkańcy wsi udają się do domu pana z wieńcem ze zboża, który niesie zwykle najpiękniejsza i najgodniejsza dziewczyna, mająca wkrótce iść za mąż. Parobcy przynoszą pszenicę, którą wedle dawnego przesądu pozbierali z pól swych sąsiadów, a młode dziewczęta ze wsi zgromadziwszy się u tej, która ma przewodniczyć całej zabawie, przyozdabiają jej wieniec ze zboża kwiatami, dzikiemi jagodami, orzechami złoconemi i wstążkami w różnych kolorach.

Te przygotowania robią zwykle w wigilją Wniebowzięcia Najświętszej Panny. Nazajutrz bardzo rychło kładą wieniec na głowę młodej dziewczyny, która w towarzystwie całej wsi i muzyki niesie go do kościoła, przybliża się do stopni ołtarza i kładzie go na stół. Gdy ksiądz mszę odprawił i pobłogosławił wieniec, młoda dziewczyna kładzie go znowu na głowę i wśród śpiewów i muzyki udaje się do wójta gminy. Wójt przywiązuje z wierzchu wieńca koguta, który zaczyna wybierać ziarnka z kłosów. Jeżeli kogut pieje, wszyscy przytomni cieszą się i zawczasu obiecują sobie obfite zbiory i dobre przyjęcie u właściciela, lecz jeżeli nie pieje, jest to złą wróżbą, oczekują zaś jeszcze gorszego roku, jeżeli jeść nie chce. Potem cały orszak ze śpiewem idzie przed dom właściciela. Gdy pan słyszy głos śpiewaków wychodzi z domu z żoną, dziećmi i służącymi. Pani zdejmuje wieniec z głowy młodej dziewczyny i kładzie go na stół przykryty obrusem, który stoi przed domem lub w sieni. Wtedy śpiew ustaje, występuje mówca, i według swych zdolności ma mowę wierszem lub prozą do pana. Ledwie skończy, daje się słyszeć muzyka, a gospodarz domu, jego żona i dzieci rozdają podarunki parobkom i dziewczętom, które w czasie żniwa odznaczyły się zręcznością lub pracowitością. Młoda wieśniaczka, która przyniosła wieniec, dostaje podarunek najznaczniejszy, do którego dodają pewną kwotę pieniędzy. Po ukończeniu działów, słudzy zamkowi zastawiają duże stoły różnemi pieczeniami i innemi wiejskiemi potrawami, dalej zataczają beczki z wódką i piwem, które stawiają na przeznaczone miejsce. Po tych przysposobieniach wszyscy zabierają miejsca i rozpoczyna się uczta. Osoby z zamku mają największe staranie o swoich gości i czuwają pilnie, aby niczego nie brakowało. Kiedy wszyscy się najedzą, rozpoczyna się taniec. Gospodarz domu otwiera go z młodą dziewczyną. Pani tańczy z mówcą, a ich dzieci równie z innymi wieśniakami. Wśród uczty, słudzy nie przestają nosić piwa i wódki. Zabawy innego rodzaju, przy których także są wyznaczone nagrody zajmują zgromadzeni w innej stronie dziedzińca, który

zawsze jest dość obszerny. To widać młodych parobków w miechach po za szyję, przybliżających się nakształt żaby do celu, gdzie znajduje się jaki pieniądz; to znów szukają ustami jaki pieniądz w głębokiem naczyniu, napełnionem wodą lub mąką, to starają się dostać na wierzchołek śliskiego masztu, aby pozyskać nowy ubiór lub płaszcz, który wisi nad ich głowami, to z zawiązanemi oczyma i cepami w ręku przybliżają się śmiało do postawionego w trawniku glinianego garnka, i jeżeli go rozbiją za pierwszem uderzeniem, dostają pieczonego koguta, którego tam schowano, to widać młode dziewczęta, noszące na głowie statki napełnione wodą, a ta która z nich ani kropli nie rozleje, dostaje wstążkę, paciorki, albo robione kwiatki; to jeźdźcy pędzą jak błyskawica, starając się przebić piką gęś pieczoną, zawieszoną pomiędzy dwoma drzewami.

Ta uczta trwa bardzo późno w noc, a czasem aż do białego dnia podług przyjęć mniej lub więcej serdecznego, jakiego doznaje cały orszak.

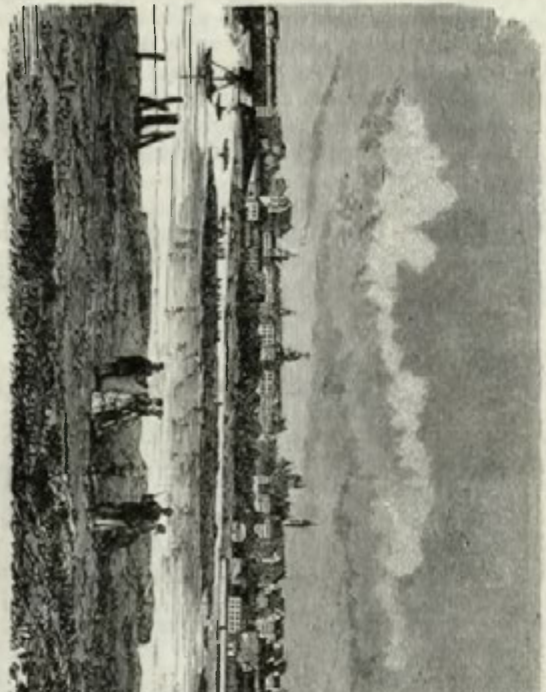
Przyjaciel ludu.

50. Warszawa.

Warszawa, miasto najznaczniejsze w królestwie Polskiem, niegdyś stolica udzielnych książąt mazowieckich, następnie całej Rzeczypospolitej Polskiej, potem głównych władz rządzących w kraju i Królestwa Polskiego leży nad rzeką Wisłą, na wysokości 110—130 nad poziomem morza, która od wschodu na zachód jeszcze więcej, lecz nieznacznie się podnosi. Miasto rozciąga się wzdłuż lewego zachodniego brzegu rzeki, płynącej od południa na północ; na przeciwnym zaś brzegu, leży Praga, dawniej osobne miasto, następnie przedmieście, dziś część Warszawy, z którą ją łączy stały most żelazny.

Początek założenia, wywód nazwiska i pierwotne dzieje Warszawy nie są jeszcze dotąd krytycznie ustalone. Istnienie jej poraz pierwszy wskazuje dyplomat księcia Konrada z r. 1289. Samo miasto występuje dość nagle dopiero w r. 1313, to jest kiedy w układach po śmierci Bolesława księcia Płockiego, całe Mazowsze do niego należące, podzielone zostało pomiędzy trzech jego synów, z tych zaś średni Trojden w otrzymanych na swoją część ziemiach i miastach miał już wyliczoną Warszawę. Aczkolwiek jego państwo nazywało się księztwem Czerskiem, stolicą zaś był Czersk, miasto wedle podania daleko wtedy od Warszawy znaczniejsze, Trojden upodobał sobie ostatnie, często sam w niem mieszkał i ztąd przywileje datował.

Z tak sławnego sądu apostolskiego pomiędzy Kazimierzem Wielkim, a Krzyżakami w r. 1339 w Warszawie mającego miejsce, przekonywamy się, że miasto tutejsze było już wtedy murem obwiedzione, miało wiele domów, rynek i targi, dwa kościoły, szkołę parafialną, tudzież obfitość rozmaitych wygód dla gości. Zarząd miasta, wedle



Widok Warszawy od strony Pragi.

ówczasowego obyczaju polskiego, należał do dziedzicznego wójta, którym był niejaki Bartłomiej, jeden ze znakomitszych i uczeńszych krajowców, odgrywający ważną rolę nietylko w wyżej wspomnianym processie, ale obecny i przy innych sprawach i podpisujący się na wielu dyplomach. Następne panowanie syna jego Kazimierza od r. 1341,

jeszcze bardziej uwydatniło historyę Warszawy. On bowiem właściwie pierwszy stale w niej zamieszkał, założył stolicę swoich posiadłości, do grodu tego zebrał dwór, przyciągnął swoich panów i ustanowił księztwo Warszawskie. Najstarożytniejsze grody Mazowsza ustępowały teraz przed tym nowym powagą i znaczeniem odzianym grodem dzielnicy Czerskiej. Kazimierz rozprzestrzenił i upiększył zamek tutejszy, mieszczan zaś zobowiązał osobnym przywilejem do naprawy i utrzymania tegoż według dawnego innych ziem polskich obyczaju. Utrwalone księztwo wraz ze stolicą dostało się po jego śmierci r. 1354, bratu Ziemowitowi, który ostatni raz rządząc całem Mazowszem przy podziale państwa pomiędzy swoich synów r. 1379. Warszawskie oddał najstarszemu Januszowi. Skutkiem tego podziału nastąpiła dla Warszawy epoka najświetniejsza; młody albowiem książe tak miasto polubił, że przeniósł tu zupełnie znaczenie stolicy z Czerska i wszelkich dokładał starań, aby je postawić na najświetniejszej stopie. Pod jego więc panowaniem dopiero rzeczywiście Warszawa wzniosła się i przyozdobiła, a w liczne nadania i swobody wzbogaciła. Mądry i sprawiedliwy rządząc roztropnie krajem przez lat 47, szczególniej zajmował się dobrem swojej stolicy, która wszystko co przez długie wieki trwało, a w części i dotąd istnieje, jemu zawdzięcza. Osobnym przywilejem, zwanym lokacyjnym r. 1413, książe Janusz przeniósł tutejszych mieszczan wszystkich bez wyłączenia z prawa polkiego, pod prawo niemieckie, nadając magistratowi, stosownie do brzmienia tegoż, juryzdykcyę ogólną w sprawach cywilnych i kryminalnych. W moc powyższego przywileju wewnętrzne dzieje Warszawy otrzymały kierunek istniejący, aczkolwiek z rozmaitemi zmianami do końca bytu dawnej Polski.

Przyjmując ten udowodniony już pewnik, że wszędzie niemal dawne miasta powstawały w skutek potrzeby obrony kraju, tedy zamek w Warszawie, był głównym punktem, obok którego mieszkańcy ze szczęśliwego i handlowego położenia korzystający, naprzód zabudowywali się. Zamek ten, pierwotnie drewniany, otaczały mury, wewnątrz w dworcu książęcym mieściła się kaplica i domostwa coraz dalej za mury wychodzące, które później tworzyły jądro, tak zwanego starego miasta. Przedsiębrane atoli środki obrony niezbędne w średnich wiekach, zmuszały zawsze do ścieśnienia jego obrębu. Staraniem ks. Janusza, oraz w skutek licznych jego nadań i urządzeń Warszawa w dwóch kierunkach wzrastać wtedy poczęła, od strony Solca, gdzie najważniejsze składy, młyny i fabryki istniały, to jest z południa ku północy, i od strony Nowego miasta z północy ku południowi. Zwyczajem bowiem owych czasów przyjętym we wszystkich Europy miastach, opasanych murem, kiedy ich ludność pomnażała

się, zakładano tuż obok drugie, które przyjmowało nazwisko nowego miasta, gdy pierwsze mianowano starem. Tak było i w Warszawie



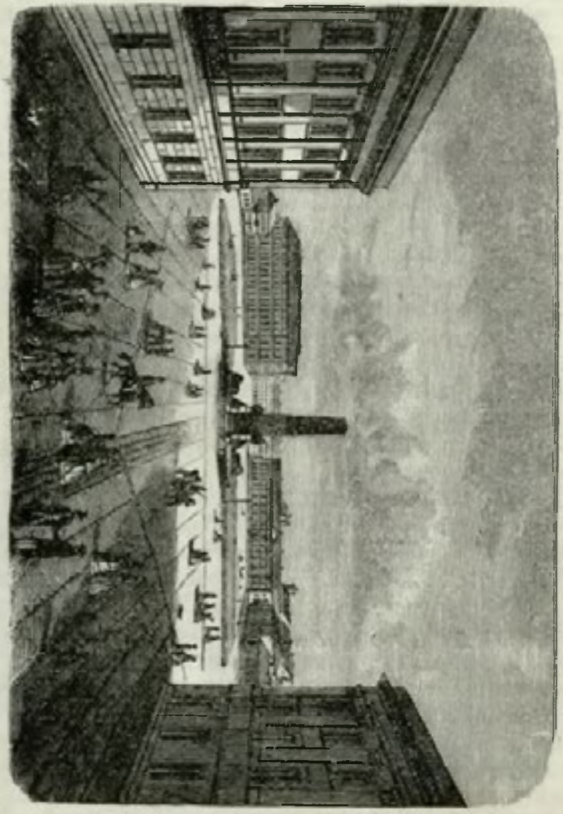
Plac Zamkowy.

już w XIV i w pierwszych latach XV wieku, podobnie podzielonej. Pierwszego i drugiego wzrost przedewszystkiem opierał się na środ-

kach przemysłu i handlu. Stara Warszawa miała brzegi Wisły, spław jej korzystny, obszerny handel z nadmorskiemi miastami, mianowicie z Gdańskiem i krajami niemieckiemi, kupcy albowiem tutejsi już w XIV wieku znaczny bardzo handel, mianowicie suknami niderlandzkiemi przez Toruń prowadzili. Obręb jej znakomicie się rozszerzył, gdy po pożarze r. 1378 nowemi murami ją obwiedziono. Mury te własnym kosztem mieszkańców wystawione, zaczynały się od wieży zamkowej, znacznie oddalonej, gdzie znajdowała się brama, rozciągały się zaś do teraźniejszej wielkiej wieży tegoż zamku. Z drugiej znowu części miasta, która Wisły dotykała, zaczynały się od zakrętu, gdzie murów nie było i postępowały następnie aż do bramy zamkowej, Żóraw zwanej; głównie więc jak poprzednio chodziło o opasanie ze wszech stron książęcego zamku. Miasto jednak samo równie jak i książęce mieszkanie w znacznej części było drewniane, a dopiero w r. 1431, gdy znowu nieszczęśliwym pożarem zostało dotknięte, panujący książe zastrzegł pod surową odpowiedzialnością, aby odtąd szczególnie w rynku tylko murowane domy stawiano. Bo w rynku było główne siedlisko władzy miejskiej, a w obszernym ratuszu na środku tegoż stojącym skupiał się cały handel. Skromniejszą miała postać nowa Warszawa z ciągłego wzrostu i kierunku w te strony zabudowań powstająca. Nowe miasto nigdy nie było obszerne; oprócz murowanego kościoła parafjalnego Panny Maryi drewniane domki, role gospodarskie, zagrody wiejskie, a gdzie niegdzie tylko ogrody całą jej ozdobę stanowiły. Pola i piaski, dalej wsie okoliczne otaczały ją tak, jak starą Warszawę błota, trzęsawiska, woda i lasy od strony Ujazdowa, a piaski od strony Woli. Tylko stare miasto na wzniosłym pagórku położone z zamkiem i ośmioma kościołami, jakiemi były: kollegiata Ś. Jana, Ś. Jerzego parafjalny, Ś. Marcina Augustyanów, Ś. Ducha przy Nowomiejskiej bramie, OO. Bernardynów i Panien Bernardynek, kaplica Ś. Krzyża i parafjalny na Solcu, dwoma szpitalami; a bardziej piękną swoją okolicą górowało. Za murami miasta przedmieścia budować się poczęły, a liczne ogrody zajmowały część dzisiejszego Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, drogę do letniego książęcego zamku Jazdowa i do Czerska. Pod świetnem Jagiełłów panowaniem wzrastała pomyślność obojga Warszawy i nowemi nadaniami, budowlami i urządzeniami wznosiła się.

Przeniesienie w r. 1596 stolicy do Warszawy, znakomicie wpłynęło na losy tego miasta; zaczęło ono podnosić się w kościoły, mury i ozdobne gmachy. Okazale i ozdobnie przemurowano i urządzono wtedy zamek królewski, przerobiono i upiększono wszystkie niemal kościoły i znaczniejsze gmachy. Panowie możni, za dworem tu przenoszący się, nabywali grunta i budowali na podziw wspaniałe włoskie

pałace, a miasto całe wzmagało się w bogactwa i zbytki. Z tem wszystkiem zostawszy stolicą państwa Warszawa, zaczęła odtąd odbijać w sobie i stan tego państwa. Obok pozornej świetności zaczęły w jej urządzeniach i bycie nurtować zarody złego i późniejszego upadku. Nieznani przedtem lub czasowo tylko przebywający wielcy pa-



Plac Saski.

nowie, teraz wprowadzili inne zwyczaje, które wprawdzie na razie i w szczegółach nie były bez pewnych korzyści, lecz dla ogółu i w następstwie przyniosły miastu nieobliczone szkody. Od tego czasu, dzięki potędze wielkich panów, którzy wnieśli się ze swoimi dworami do nowej stolicy, zaczęły w niej powstawać dzielnice od niej niezależne,

tak zwane jurydyki, wyjęte z pod miejskich praw i ogólnego miejskiego zarządu, tak i pałace ich możnych zwierzchników i protektorów stawiające w mieście dowolnie, jak im się podobało budować wzdłuż, lub poprzek ulicy, choćby drogę zagradzały. Miasto wzrastało w pyszne domy panów wzbudzające podziw przybyłych cudzoziemców, choć po większej części drewniane, ale świecące całym ówczesnym przepychem, pobożność stawiała i nowe kościoły, lecz mieszczanie ubożeli, choć ludność. zgiełk, tłum hajduków, sług, pacholików drobnej szlachty na jurgielcie możnych panów przesiadującej, były w Warszawie ogromne.

Po czasach wzrostu i świetności za panowania Zygmunta III i Władysława IV, nastąpiły czasy upadku i wyludnienia szczególniej za panowania Jana Kazimierza, potem znowu niejakiego wzrostu za spokojnego panowania Sasów, a szczególniej Stanisława Augusta, który szczerze i wszelkiemi siłami starał się podnieść Warszawę na stanowisko zajmowane przez główne miasta Europy, i wreszcie nowa epoka Warszawy, jako stolicy królestwa, utworzonego w r. 1815, w której to miasto przeobraziło się tak, jak je widzimy obecnie na stolicę nowoczesną. W tem ostatniem przeobrażeniu, objawił się wierny obraz dążności naszego stulecia: wyższość i silne zjednoczenie władzy świeckiej, układ cywilny społecznego życia, przemysł w ciągłem rozwijaniu się i filantropja. Po r. 1831, miasto pozyskało cytadellę i zaczęło się rozszerzać w stronę przeciwną ku południo-wchodowi. Dawne czasy przypomina w niem jeszcze Stare Miasto, swojemi wysokiemi, starożytnemi kamienicami, do których muszą się stosować i nowo obok nich stawiane domy. Tam też jest najwięcej kościołów.

Z tych najznakomitszą jest niewątpliwie katedra Ś. Jana. Kościół ten sięgający początków Warszawy i pierwotnie mały i drewniany, w takiej jak jest teraz obszerności zbudował Janusz I, książę Mazowiecki. Od r. 1406 był kollegjatą, od r. 1797 katedralnym, a od r. 1817 jest archikatedralnym i metropolitalnym. Ostatecznie przebudowanym został w latach 1836—1840. Do tej świątyni przywiązane są liczne wspomnienia religijne i historyczne. W niej odbywały się synody prowincyonalne, w niej r. 1339, były posiedzenia sądu delegatów papiezkich i pełnomocników Kazimierza W. w sprawie z Krzyżakami, tu koronowano kilku królów i królowych, z ambony tego kościoła przemawiali najsławniejsi kaznodzieje polscy Skarga, Bembus, Birkowski i wielu innych, a w ławkach tutejszych kanoników zasiadali mężowie głośni z cnót, nauk i znaczenia w dziejach krajowych. Z kapituły Warszawskiej, powstało samych prymasów rzeczypospolitej jedenastu i dwóch kardynałów. Naczelną osobliwo-

ścią tego kościoła jest jego wielki ołtarz, wystawiony r. 1610 przez króla Zygmunta III. Obraz w nim będący Matki Boskiej, roboty Palmy młodszego, jest zapewne najlepszem malowidłem włoskiem religijnem w Polsce. Przedmiotem szczególnego nabożeństwa jest tu słynna łaskami figura Pana Jezusa na krzyżu, z drzewa doskonałego, niemieckiej szkoły dłuta, sprowadzona w czasach szerzenia się w Niemczech reformacyi, i niszczenia tamże świątyń katolickich z Norymbergii. Z dawnych czasów pozostały tu jeszcze niektóre piękne nagrobki, między innymi ostatnich książąt Mazowieckich Stanisława i Janusza, zmarłych 1524 i 1526 r.

Pod całym tym kościołem znajdują się podziemia i przejścia, katakumby, przedstawiające szereg to wielkich sklepionych sal, to nizkich korytarzy, lub walcowych tunelów, tak, że nieraz stanowią dwa piętra, jedno pod drugiem, a rozciągają się pod ulicami, tworząc kommunikacyę między jednym domem, a drugim. W tych podziemiach, niegdyś przeznaczonych na schronienie zmarłych, trafiają się pomniki i trumny ze zwłokami z czasów odległych.

Po katedrze największe i najwspanialsze kościoły w Warszawie, są S. Jacka, niegdyś Dominikanów, wzniesiony w pierwszej połowie wieku XVII, z największym klasztorem, Ś. Krzyża, niegdyś Missyonarzy, zbudowany za panowania Jana III, i nowo powstałe w naszych czasach Ś. Karola Boromeusza i wszystkich Świętych. Ostatni po ukończeniu, będzie największym nietylko w Warszawie, lecz i w całem królestwie. Kościoły Narodzenia N. Panny Maryi, niegdyś Karmelitów na Lesznie i S. Marcina, niegdyś Augustyanów, posiadają cudowne obrazy Matki Boskiej.

Warszawa jest zawsze znakomitem w Europie miastem przemysłowem i handlowem. W ostatnich czasach ludność jej powiększyła się bardzo znacznie. Godnem jest uwagi, że leży ona w samym środku Europy. Z tego powodu Stanisław Staszic przepowiedział jej przyszłość świetną.

Według T. M. Sobieszczańskiego.

51. Zamek Rawski.

Województwo Rawskie ze swoją stolicą Rawą, zjednoczone z koroną polską, jako część Mazowsza, dzieliło się na ziemię: Rawską, Sochaczewską i Gostyńską. W obecnym podziale Królestwa Polskiego, ziemia Rawska, stanowi powiat Rawski, należący do gubernii warszawskiej. Rawa, jedno z większych miast w Mazowszu, leży

w okolicy żyznej i przyjemnej, o mil 12 od Warszawy, i ma cztery kościoły.

Najgłówniejszą budową i ozdobą Rawy, był obszerny zamek z muru, który obok tego grodu wznosił się okazale na wzgórzu, ręką ludzką usypanem, a rzeką Rawką oblanem. Dziś gruzy jego zasypały wzgórze, a pozostała wieża, w ośmiokąt zmurowana, smutnej powłoki, podnosząc jeszcze swe czoło poorane ręką wieków, przypomina wędrowcowi dawnych swoich panów. Jakimże nawałnicom przyrodzenia i napadom samychże ludzi, oparła się w przeciągu rozległego okresu swojego istnienia! Iluż tu wydarzeń była świadkiem, ileż tu dzieł zakwitło i zwiędło, powstało i znikło bez pozostawienia śladu.

Ponurej ciszy w miejscach tych panującej, nie przerywa bynajmniej szum płynącej niegdyś podle tego grodu Rawki; koryto jej skrępowane w jedno łożysko, omija starożytne zwaliska i ledwie małe żyłki wody w miejscach przekopów sączą się leniwo.

Z gruzów o wspaniałości i obszerności tego warownego niegdy grodu, jak też z ułomków, o jego trwałości sądzić wypada.

Był on mieszkaniem dawnych panów starożytnego rodu Piasta, długo tą ziemią władnących; im to niewątpliwie winien jest swoje wzniesienie i przywiedzenie do stanu obrony, z której przez kilka wieków słynął.

Budowany był w czworogran, którego każdy bok liczył długości łokci 100; murów od fundamentów dotąd istniejących grubość wynosiła łokci 6, wysoki był na cztery piętra, murem w około obwiedziony, wodą z rzeki i w przekopach oblany, sklepy pod całym gmachem rozciągały się i tych baczne oko badacza dotąd spostrzega sklepienia; zdobić go miały cztery wzniosłe wieże, a przystęp do niego otwierał most zwodzony na łańcuchach.

W takowym stanie postać jego była groźną, i za niedobyty łatwo mógł być poczytany. Pozostałe zwaliska odświeżają naszej pamięci zdarzenia krajowe, których ten gród był świadkiem i wierniej one niż pisma, malują upłynione wieki.

Kazimierz W. między innymi zamkami i tutejszy przebudował i murem opasał, ze względu iż go trzymał w posiadaniu wraz z Rawskiem województwem, na mocy umowy, zaszłej r. 1351 z synami Trojdena, księcia płockiego. Po śmierci tego króla, Ziemowit III, książe mazowiecki objął go w posiadanie r. 1370. Odtąd należał on do udziału jego potomków, książąt płockich aż do r. 1462, w którym po zejściu książąt płockich, zajął go w posiadanie Kazimierz Jagiellończyk.

Tu za panowania Ziemowita, znalazła okropny a niezasłużony

zgon, niewinna jego żona Eudoksya, pochodząca z książąt szlązkich na Ziembicy.

Pod panowaniem królów polskich, w tym zamku mieli sobie naznaczane mieszkanie więźniowie stanu obcy, wysokiej godności. Było tamże i więzienie dla przestępców. Przepisy Jana Ocieskiego, kanclerza koronnego, dla starosty rawskiego, jak się ma obchodzić z więźniami, w piśmie od 18 września 1550 r. dowodzą wyższego stopnia oświecenia, za czasów jagiellońskich w Polsce. Rozporządza on naprzód: iż przestępcy za czyny popełnione w prędkości, mogą siedzieć razem, bo dla wzajemnej zgryzoty uczucia mogą siebie poprawić, zwłaszcza jeżeli u nich jest skrucha; powtóre występni zbrodni dowcipnie ułożonej, powinni być rozdzieleni, bo w więzieniu wydoskonalą się w hultajstwie gdy będą razem; potrzecie, nauki duchowne powinny być dawane więźniom, a na ich obyczaje należy mieć baczność.

Nadto zamek rawski był składem ksiąg wieczystych, ziemstwa i grodu rawskiego.

Do zniszczenia tej pamiętnej w naszych dziejach warowni przyłożył się czas, a szczególniej ręka ludzka.

Już przy odwrocie Szwedów z Polski, w czasie napadu Karola Gustawa, doznał i ten zamek losu, jaki spotkał inne nasze grody, lecz w ciągu lat późniejszych przyprowadzony do stanu pierwotnego, ciągle był zamieszkały i ówczasowe magistratury krajowe odbywały w nim swoje posiedzenia.

Dopiero za rządów pruskich w tym kraju, doznał on zgubnego dla siebie ciosu, gdy przedsięwzięto go rozebrać dla wystawienia z jego materyałów domów w mieście, dla ściąganych przez rząd Niemców. Jednak odwieczne mury zawiodły mocno podłe łakomstwo oficyalistów pruskich. Spodziewali się oni zyskać z nich dobrą cegłę, a po wielkiej pracy i niemałych kosztach, pozyskali tylko drobne gruzy, oderwane od ich twardej massy zasadzanym prochem. Wtedy ocalała jedna tylko wieża, która wedle podań miejscowych, była więzieniem księżny Eudoksyi, stoi ona dotąd, jako szkielet z upłynionych wieków, ptactwo unikające dziennego światła, obrało ją sobie za mieszkanie, i wiatry hasają po jej opustoszałych komnatach.

Można tu przytoczyć słowa o tym grodzie Surowieckiego:

„Ogromne reszty murów i baszt zamku Rawskiego, słusznie nazwać można polskiem kolizeum. Szanowny ten zabytek, który śmiało równać się może pysznym ruinom dzieł olbrzymich, zbudowany na kępie umyślnie sypanej wśród trzęsawisk, stoi teraz poszarpany od psotnej ręki, dowodząc zarazem wielkości swoich twórców i nikczemności ich potomków.” W. H. Gawarecki.

52. Mazury.

Nazwisko Mazurów i prowincyi Mazowsza odnosi się do najdawniejszej przeszłości. Naród ten zamieszkuje okolice Płocka, Warszawy i Rawy. Mazury mówią narzeczem, które nie jest czystem polskiem, połykają wiele liter, czasami nawet całe syllaby, co jest przyczyną przysłowia polskiego „Mówi jak Mazur.“ Ich taniec, zwany Mazurem, przeszedł do salonów i znany jest w całej Polsce i za granicą. Mazury zbudowani są silnie, i z wesołem usposobieniem łączą chęć do pracy, odwagę i waleczność. Lubią żyć w lasach, które nazywają swymi dobrodziejami i przyznać trzeba, iż lasy w istocie są dobrodziejstwem dla chłopów polskich. W czasach, kiedy wojny srożyły się raz po raz w tym kraju, starcy i kobiety z dziećmi zabierali co mieli najdroższego i uciekali w lasy, które zawsze im dawały schronienie.

W głód i zimno chłop unosi z boru swego pana kilka sztuk drzewa opałowego lub budowlanego, część sprzedaje żydowi, żeby kupić chleba i soli i pożywić się, a resztę pali by się ogrzać. Mazury są bardzo bogobojni, lecz nie uważają tej kradzieży za grzech, tłumacząc się swoją biedą, która zmusza szukać rzeczy potrzebnych do życia. „Marychna“, mówi zwyczajnie Mazur do swej żony gdy powraca z chlebem i solą: „Prawda, że te zapasy zakupiłem drzewem mego pana; lecz zapewne mi to Pan Bóg niepoliczy za grzech, i dla tego możemy spać spokojnie; bór nie był zamknięty, to ziemia Mazurów, a ja jestem prawdziwszym Mazurem, niech mi to Bóg przebaczy, niż ten Ciarach.“

Te słowa dowodzą, jakie wyobrażenie mają chłopi tutejsi o własności swoich panów, których nazywają Ciarachami.

W dni świąteczne Mazury noszą sukmanę niebieską, która dochodzi do kolan, z wyłogami i sznurkami koloru amarantowego, spodem mają kamizelkę z sukna niebieskiego lub zielonego, obszytą na przodku aksamitem czarnym lub białym. Spodnie są zawsze z płótna w paski, a naokoło ciała noszą pas czerwony lub żółty. W dnie robotne noszą sukmanę białą, czarną lub szarą; koszula spada na spodnie i nogi są bose. Czapki nizkie i w różnych kolorach, obszyte są barankiem; latem noszą kapelusz słomiany, lub z wełny białej albo szarej, zwyczajnego kształtu.

Kobiety noszą spódnicę w różnych kolorach, fartuch w kwiatki lub w paski, gorset koloru jasnego, kaftan niebieski lub zielony; reszta ubioru podobna do krakowskiego.

Gdy młody Mazur ma chęć ożenienia się, udaje się sam do ojca

swojej ulubionej i odzywa się do niego w te słowa: „Mój ojcze, dajcie mi waszą córkę za żonę; bardzo mi się podoba, zarazbym chciał kazać się zapowiadać w kościele; lecz się zdecydujecie; bo jeżeli mi odmówicie waszą córkę, będę przymuszony szukać sobie innej."

W dzień zmowin, udaje się zalotnik w towarzystwie przyjaciół i muzyki, która się składa z kilku skrzypiec i gra mazura do swej narzeczonej. Po zwyczajnych pozdrowieniach, mówca stawa przed przyszłymi małżonkami, odmawia oracyę wierszem i przyozdabia ich głowy wieńcami z kwiatów. Pierwsza druchna, która zawsze jest przy boku panny młodej, wyjmuje z jej wieńca kilka kwiatów, z których jedne kładzie sobie za gorset, a inne dzieli pomiędzy przytomnych. Gdy jeden z druchów podobnież rozdał kwiaty z wieńca pana młodego, siada panna młoda na dzieży, gdzie odbiera wszelkie posługi od swoich towarzyszek, które plotąc po raz ostatni jej warkocz, śpiewają stosownie do téj okoliczności.

Po skończonym śpiewie młode dziewczęta uwieńczają głowę narzeczonej, która przed wyjechaniem do kościoła rzuca się do nóg swoich rodziców, aby odebrać błogosławieństwo; młodzi parobcy wsiadają na konie, a młody pan przodem; za nimi ciągnie wóz, na którym siedzi narzeczona z młodemi dziewczętami; rodzice i przyjaciele jadą za nimi; muzyka gra piosnki narodowe, a gdy przestaje, młode dziewczęta śpiewają.

Gdy pochód powraca z kościoła i już jest na pół drogi, pierwszy drużba popędza swego konia, biegnie w cwał do domu, porywa chleb i wraca do swoich. Potem przybliżywszy się z chlebem w ręku do wszystkich wozów, zaprasza gości do rodziców narzeczonej.

Po przybyciu do domu wchodzą rodzice, osoby najstarsze obojej płci i muzyka do domu, a tymczasem parobcy i dziewczęta stawają przede drzwiami, otaczają młodych małżonków i śpiewają w ten sposób: „O rodzice, Bóg wam dał za córkę ładną i dobrą Marysię, a dzisiaj daje waszej córce ładnego i uczciwego chłopca za męża. Bóg im już pobłogosławił w kościele; przyjmijcież ich teraz w imie Boże do waszego domu!"

Rodzice wychodzą przed dom, a podawszy młodej parze chleb i sól, proszą ich, aby weszli do mieszkania ze wszystkimi przytomnymi. Śniadają i tańczą aż do południa, potem jedzą obiad. Przed zapoczęciem pierwszej potrawy, gospodyni domu pije za zdrowie młodej mężatki. Całe towarzystwo uderza pięścią o stół i woła: „Niech żyje pani młoda!" Potem ona pije za zdrowie swego męża, a za jej przykładem idą wszyscy goście, chwytają za kieliszki i wychylają je, winszując sobie po przyjacielsku. Groch, pasternak i flaki są trzy potrawy niezbędne przy téj uczcie. Przed zaczęciem jadła, goście

śpiewają piosnkę stosowną do potrawy którą im dano, i tony muzyki wraz z głosami mowy dodają nowego powabu uroczystości.

Po uczcie jedna z najstarszych kobiet, przyjaciółka familji oczepia młodą mężatkę. Skoro ta rzecz swoją skończyła, pierwszy druch przybliża się do pani młodej, zdejmuje jej czepiec i kładzie natomiast swoją czapkę, mówiąc: „Ten czepiec jest nadto ciasny, niewygodnym ci jest, moja czapka będzie ci lepszą.“ Natenczas przystępuje pierwsza druchna, bierze czapkę oddaje ją właścicielowi, a pani młoda odbiera z jej ręki czepiec, który jej był wsadzony; lecz drugi druch znów go bierze i nakrywa jej głowę swoją czapką powtarzając jej słowa pierwszego drucha. Ta scena, która bardzo bawi przytomnych nieustaje, aż wszyscy odegrają tę samą rolę. Gdy czepiec przeszedł już przez wszystkie ręce, najstarsza kobieta kładzie go znów na głowę pani młodej, i w ten sposób kończą się oczepiny; poczem dziewczęta śpiewają zwyczajną przy tej sposobności piosnkę.

Po tej ceremonii każdy z przytomnych daje młodej parze jaki podarek i wesele trwa póki młode małżeństwo nie uda się do swego mieszkania.

Pzyjaciel ludu.

53. Puszczaki Mazowsza.

Największe lasy zwane są puszczami, a ztąd mamy, oddzielny ród Puszczaków Mazowieckich, którzy osiedli puszcze nad Narwią i znani są pod nazwą Kurpiów. Ci Puszczanie Mazowieccy mogą być uważani za jeden z pierwotnych leśnych rodów, osiadłych na historycznym obszarze dawnej Polski, co znowu ztąd poszło że Narew ze swemi dopływami jest na obszarze Wisły i w organizmie przyrodzonym tej rzeki przedstawicielem wód leśnych, które z tych puszcz wywodzi i po połączeniu się z Bugiem do Wisły odlewa.

Kraina puszcz, leśnych brodów i leśnych wód, jest już z natury swej odrębną niejako dzielnicą w pojęciach natury; ztąd też i rody na tej ziemi osiadłe mają ten typ odrębności rodów leśnych, który się w ich sposobie życia, zarobkowania, w ich obyczajach i w gwarze miejscowej mowy odbija.

Cały właściwie obszar Narwi z jej rozgałęzieniem, jest krainą porosłą lasami i podmokłą. Rzeka ta bierze początek u wielkich gąbczastych bagnisk, leżących na Litwie pomiędzy miastami Swisłoczą, Prużaną a Białowieżą, na granicy powiatu Brzeskiego, i na przestrzeni swojego górnego biegu, odgranicza puszczę Białowiezką

od Swisłockiej. Wielkim łukiem wydanym ku północy, płynie Narew Litwą około mil 8, na granicy gubernii grodzieńskiej zabiera od lewego brzegu Narewkę, która w Białowiezkiej puszczy początek bierze i spłazinę właściwą Białowiezkiej puszczy, łukiem okrąża. Z ujściem Narewki i miasteczkiem Narwią, wstępuje Narew w gubernię grodzieńską i płynie na przestrzeni mil 13-tu, pomijając miasteczka Suraż, Choroszcz i Tykocin, i przerzynając gubernię Łomżyńską. Z ujściem rzeczki Śliny od lewego brzegu, o milę poniżej miasta Tykocina, pod wsiami Targonie i Zajki, wstępuje w powiat Łomżyński.

Łoże Narwi dotąd zarosłe, dzielące się często na odnogi i ramiona, odlewające małe jeziorka i tworzące bagna, poczyna się zbierać i oczyszczać, staje się zdatnem do żeglugi, bo ma wielkie bogactwo wód i koryto głębokie; od ujścia zaś rzeki Biebrzy, która do niej od prawego brzegu powyżej miasta Wizny wpada, wody Narwi są zebrane w głębokiem łożu i Narew płynie tu zabrzeżysto, prawie wśród jaru, tak zwanem Starem Mazowszem, w okolicy miast Wizny i Łomży aż do Nowogrodu, gdzie się po Narwi zaczynają siedziby Puszczaków. Tu opadają jej brzegi wzdłuż puszczy, a podnoszą się znowu na dolnej Narwi, gdzie mianowicie brzeg prawy góruje.

Narew należy do najrybniejszych rzek, głównie zaś na tej przestrzeni gdzie jej łoże jest przerosłe i aż do połączenia się z Biebrzą. Na tej przestrzeni jest ona rybną, i na rzekach które zabiera; poniżej gdzie jest do żeglugi nawet większych berlinek dogodną, które aż do Tykocina podchodzą, jest połów ryb utrudniony; a na uwagę zasługuje tu, że kolor ryb niektórych gatunków, tego samego rodzaju, jest inny, jeżeli pochodzą z rzek wpadających do Narwi (mówimy tu mianowicie o rzece Suprasli), a inny, jeżeli łowione są w Narwi. Są zaś pewne rodzaje ryb, które nigdy do leśnych wód nie zachodzą, naprzykład karp i sum, które dopiero poławiają się na dolnej Narwi i prawdopodobnie z Wisły zabłąkane.

Cała Narew unosi wody leśne i leśne żuły (namuły), które bywają koloru rudy żelaznej, kawowego, a nawet czarnego, a to w miarę tego, jak się pokłady rudy błotnej łączą z garbnikiem roślin. Kolor ten wody Narwi zatrzymują na znacznej przestrzeni, jeszcze po połączeniu się swojem z wodami Wisły; bo długo trzymają się wody czarne leśne prawego brzegu, a białawe lub płowe lewego; ztąd też wody Narwi modremi, a Wisły białemi są zwane.

Na obszarze Narwi leżą dwa pasma puszcz prawie równoległych, poczynających się od Augustowa i rzeki Hańczy, a przytykających aż do Bugu. Były one matnią siedzib Jadźwingów, rodu plemienia litewskiego, którzy ztąd robili wojenne wyprawy na wsze

strony; zapędzając się na Lachy do ludnego Mazowsza i aż po Lublin na południu, aż po Prypeć i na Wołyń, na wschód aż po Berezynę Dnieprową. Ztąd poszło, że historycy wyznaczają na siedliska Jadźwingów daleko większy obszar, niż oni rzeczywiście posiadali.

Lasy te podchodzą południowym krańcem aż pod Warszawę i dotykają Wisły pod Jabłonną, a nawet przechodzą na lewy brzeg Wisły puszczą Kampinowską, podobnie jak lasy Jadowskie po lewym brzegu Bugu, będącą dalszym ciągiem puszcz południowych.

Na tej przestrzeni wypada rozróżnić następujące etnograficzne grupy.

Na pojezierzu Mazowieckiem: Gbórów czyli Mazurów pruskich.

W drugim pasie na południu od Gbórów, na obszarze Nowogrodzkiej, Skwańskiej, Myszenieckiej i Białej puszczy są siedziby Puszczaków czyli Kurpiów.

Pomiędzy pasmem tych puszcz, a pasmem puszcz wychodzących od Augustowa na Białowieżę do Drohiczyna, legło wielkie karczowisko Podlasia i Mazowsza od tysiąca lat osiedlone przez Mazurów. Lasy są tu przecięte, rolnicza ludność gęsto osiadła po wioskach i szlacheckich zaściankach, ziemia jest tutaj urodzajną i tak daleko wykarczowaną, jak daleko dawała korzyści pługa, a gdzie przerzyna się pokład ziemi piasczysty lub lotnych piasków, jak na północy, południu i wschodzie, tam pozostawiono bory i puszcze. Na tem karczowisku Mazowieckiem, obejmującem dawne ziemie gubernii Łomżyńskiej, miejscowi mieszkańcy zowią się Starymi Mazurami. Tu leżą starożytne osady i miasta, wspominane u naszych latopisców w bardzo odległych czasach, jak naprzykład Łomża, gdzie już w r. 1000 był wzniesiony pierwszy kościół Ś. Wawrzyńca na wyspie na Narwi; Wizna będąca wedle latopisców ruskich w posiadaniu książąt Mazowieckich już w r. 1180. Do znaczniejszych starożytnych osad należą tu Zambrów, Szczuczyn, Lubotyń, Wysokie Mazowieckie, Czyżewo, Nur i inne; a dodać tu trzeba, że od XV wieku na tem korczowisku mazowieckiem ani jedna więcej wieś nie przybyła. Dowodem także starego osiedlenia Mazurów w tej okolicy są żalniki pogańskie Mazurów, znajdujące się przy starych siedzibach, i odwieczne okopy i gródki olbrzymich rozmiarów, sypane na tem pograniczu Jadźwingów, na które nie natrafiamy w samychże siedzibach Jadźwingów, gdzie się nigdzie popielnicy znaleźć nie zdarzyło.

W czwartym nakoniec pasmie puszcz, wychodzących od Augustowa przez Zabłudów, Białowieżę do Drohiczyna i Mielnika, które były matnią Jacwieży, mieszkają dziś Podlasianie częścią lackiego, częścią ruskiego rodu zmieszani z resztkami Jadźwingów.

Z tego ogólnego wizerunku okazuje się, że Puszczaki wraz

z Gbórami byli najdalej wysuniętym rodem Mazowieckim, który klinem zachodził pomiędzy siedzibami Jadźwingów i starych Prusaków, bo nawet kolonizacya Mazowiecka, ciągnąca się pomiędzy jednem a drugiem pasmem puszcz i dochodząca prawie aż do powiatu Trockiego, niemogła się szerzyć ku Litwie, jak tylko od krainy Puszczaków i za ich obroną i zasłoną puszcz mazowieckich.

Siedziby Puszczaków czyli Kurpiów zajmują przestrzeń około 40 mil kwadratowych, z których 20 przypada na właściwą puszczę czyli suchy bór, około 9 na liche łąki i zarosłe bagna, a około 11 na orne pola, wsie i zagrody tak Puszczaków jak wiosek szlacheckich. Na przestrzeni tych 40 mil kwadratowych krainy Puszczaków mieszka około 100,000 ludzi 400 wsiach i osadach, licząc w to już i najmniejsze zagrody. Sama puszcza Biała liczyła w początkach tego wieku 85,000 morgów boru.

Cechą wszystkich granicznych rodów jest uderzająca odrębność, która tam jest najwybitniejszą, gdzie rody historycznego obszaru dawnej Polski z plemionami innej mowy graniczą.

Nieraz wspominano dotąd o Kurpiach od łykowych chodaków szydnie tak nazwanych: Kurpie nazywają sami siebie Puszczakami, rozrodzili się oni z przeciągiem wieków z pierwotnego zaludnienia w ród znamienity i pod wpływem dobrych instytucyi.

Z pojęciem Kurpia albo Puszczaka łączono pojęcie wolnego człowieka; jakoż zażywali oni wolności prawdziwej, należąc w części znaczniejszej do królewszczyzny, a w puszczy Białej do biskupszczyzny Płockiej.

Środkowym prawie punktem puszcz Mazowieckich jest Ostrołęka; ale dokoła niej i dokoła innych w pośród nich miasteczek lasy są wytrzebione: nie sama tedy ludność Kurpiów osiadła puszczę, bo są wśród puszczy wsie i dwory szlacheckie, są zaścianki okolicznej szlachty, są miasteczka z ludnością mieszczan polskich, rolników należących z Kurpiami razem do jednej parafii: jak w powszechności cały obszar leśny krainy Puszczaków, znany jest od starostwa Ostrołęcką puszczą, lub Królewszczyzną, a od Białej puszczy Biskupszczyzną, w czem się już mieszczą pośrodku łany, łąki, wsie i bory, tak miasteczek, jak szlacheckich wsi i okolic, tak mieszczan jak Kurpiów.

Mazowieckie puszcze różnią się tem głównie od puszcz Litewskich, że Litewskie są pierwotniejsze, więcej tam wykrętów i łomów, rzek przerosłych, załamanych brzegów i zawałów, niesionych w łoża strug i rzek w czasie wezbrania wód, gdzie nieraz cała powierzchnia wody jest okrytą zawałami i kłodami, ktore z wodą płyną,

gdy leśne brody i jeziora wzrosną w czasie roztopów lub jesiennych wód.

Mazowieckie puszcze nie są do tyla załomione i zawalne jak puszcze litewskie, większe też zaludnienie Mazowsza przyczyniło się do uprzątnienia zawałów; wieś łączy się tu prawie z wsią na gołobrzegach. Chociaż i o jednych i o drugich puszczach można to powiedzieć, co jest charakterystyczną cechą roślinności puszcz, że drzewa gonne rosną tu głównie w pień potężny, bo lasy są zwarte, a runo leśne zapewnia im przyszłość.

Pokład ziemi pod puszczą w powszechności jest piaszczysty, lekki i niezbyt urodzajny. Są to właściwie owsiane grunta, a korczowiska i borowiny dają lekki żytni grunt; łąki jednak stanowią w puszczach po prawym brzegu Narwi położonych bogactwo Puszczaków. Bagniska i błota są miejscami bardzo znaczne.

Nazwa całego rodu, który się od puszczy Puszczakami nazywa, nie jest wyjątkową ale bardzo oryginalną. Jest to zaszczytna nazwa i jeszcze na początku tego wieku obrażał się Puszczak, gdy go postronnie Kurpiem nazywali. I na Litwie są puszcze, a jednak tylko mieszkańcy puszcz Mazowieckich nazywali się Puszczakami, równie jak okolice szlacheckie w zaściankach, wśród puszczy położonych, nazywają się puszczami. To co ten ród leśny charakteryzuje jest leśne gospodarstwo jego, którego urządzenie przeszło nawet w instytucye obowiązujące całą krainę Puszczaków, jako odwieczne obyczajowe niespisane prawo, zwane prawem bartnem, które się niemało przyłożyło do nadania jednolitości temu leśnemu rodowi, którego jednem z głównych zajęć było bartnictwo.

Pod względem zwyczajów, obyczajów i mowy, stanowią Puszczaki część Mazowsza i nie różnią się co do głównych cech obyczajowych od mieszkańców ziem okolicznych: odróżnia ich tylko gwara miejscowa, ubiór i ruch odrębny, właściwy rodom leśnym; — są to pierwotni mieszkańcy tej ziemi, którzy znikąd nieprzyszli lecz się przeciągiem wieków rozrodzili swobodnie pod zakryciem puszcz i instytucyi wolnych. Z Puszczakiem łączy się zawsze pojęcie wolnego człowieka. Ani sami książęta Mazowieccy, ani królowie Polscy, ani biskupi Płoccy nie dozwalali pozbawiać tej wolności Kurpiów, bo bronią zawsze tego, aby ich niezaciągać na poddanych, przywiązanych do ziemi i pańszczyźnianych chłopów, jak o tem statuta książęco-krolewskie i nadania biskupie świadczą.

Kraina Puszczaków była przyrodzoną twierdzą na tem pograniczu położonem pomiędzy Prusami, a dzielącą Jadźwingów. Ztąd też pochodzi ciętość tego rodu, który musiał mieć udział w walkach pogranicznych przez wieki.

Granica polityczna od Prus jest po dziś dzień linią przemytniczą, i tak jak się dawniej nachodziły zbrojne wojska, tak się spotykają dziś z sobą przemytnicy na linji granicznej, a za grubszym zwierzem przechodzi Puszczak tę granicę do Prus jako kłusownik. I Prusacy wpadają w dzielnice Puszczaków robiąc szkody leśne, wypasając łąki i kradnąc siano zgrabione w kopy, a Kurpie przemycają towary z Prus i do Prus, i kłusują w puszczach pruskich, a kto im w drodze zastąpi temu nie schodzą z drogi; więc przychodzi do rozpraw bardzo krwawych, częstokroć na tem pograniczu i do odwetu, który ma wszelkie cechy krwiny, znanej właściwie tylko na południu Słowiańszczyzny.

Kurp jako myśliwy nie może żyć bez strzelby, a przysłowie: „Strzela jak kurp“ upowszechnione w całym kraju, jest tego najlepszym dowodem. Spławność też rzek i uprawa towarnego lasu zajmuje ten ród, i w pewnym czasie jest on orylem znanym na Narwi, na Wiśle i pomniejszych rzekach, od których spław i łyżwa Puszczaka odbija; rybak też z oryla sławny, chociaż trudniejszym i nie tyle wdzięcznym jest już połów ryb na Narwi oczyszczonej. Takie przystanie portowe nazywają po swojemu bindugą.

Tak karczowiska jak podsmalanie borów dla uzyskania świeżej paszy, tak bartnictwo, jak wyrabianie towarnego lasu uszczupliło dziś puszcze, i leśne gospodarstwo stało się w większej części rolnem, ubyło zwierza, a przybyło ludzi i bydła. Puszczak bawi się dziś furmanką postronną i puszcza się za zarobkami handlem na Mazowsze do miast i miasteczek, a płynie z wodą jak oryl, wyrabia z drzewa wszelkie naczynia i narzędzia i toczy z bursztynu różne cacka.

Wszystkie jego potrzeby zaspokaja produkcya miejscowa, wszystko czego tylko do okrycia, ubioru i stroju potrzebuje.

Puszczaki sieją więcej konopi niż lnu; w każdej prawie chacie jest warsztat tkacki i warsztat do samodziału; sami tedy przędzą konopie i wełnę i wyrabiają płótna, cynowacizny, perkaliki farbowane i samodziały, posiadając sztukę farbowania wedle przyjętych wzorów, do czego używają w części roślin, w części krwawnych barwników; sami też sobie szyją chodaki czyli kurpie z lipowej kory lub ze skóry, a tą jest skóra odeszła z bydlęcia, łysiną zwana za najlepszą miana.

Chaty Puszczaków są na węgieł wiązane z tartego drzewa, obszerne, prawie kwadratowe, dach stromy i słomą poszyty. Z sieni wchodzi się na prawo do izby obszernej, przy której jest komora u możniejszych zamieniona w alkierz; na prost przez sień wchodzi się do świotełki albo izdebki, w której zwykle mieszka osobno rodzina, brat, syn, parobek lub komornik gospodarza. W głównej izbie przechodzi w poprzek belek, siostrzeń czyli tram główny, na którym

jest wypisany rok założenia chaty, dzień poświęcenia jej i monogram ciesielski. Dwie ściany założone są zazwyczaj obrazami częstochowskimi, w kącie między tymi obrazami, pod którymi idą ławy, stoi stół, w drugim rogu piec i komin, w trzecim łóżko, w czwartym szafa z naczyniem; pisane misy i talerze są stawkiem rozłożone. Za chatą jest sad. Obok chaty podwórko i chlewy. Na przeciw chaty za drogą, stodoły i budynki gospodarskie. Dokoła przyzby, położone są wielkie polne kamienie: dobierano gładkie, aby mogły służyć do siedzenia i za stoły w czasie lata i w dniach świątecznych. Wszystkie ogrody są ogrodzone żerdziami lub chruścianym płotem. Wieś na wjeździe i wyjeździe zamyka się wrotami, a niekiedy kołowrotem. Za wsią dopiero jest wygon czyli pastwisko gromadzkie.

Jak całego ludu polskiego, tak jest pobożność także charakterystyczną cechą Mazowieckich Puszczaków. Rok rocznie wybierają się oni na pielgrzymki do Częstochowy. Takie ich kompanie czyli procesye liczące nieraz po kilka tysięcy ludzi, niosąc krzyże i chorągwie i zapasy żywności na całą drogę na plecach, śpiewając pieśni nabożne i wstępując do wszystkich kościołów po drodze, przechodzą przez Warszawę, a wtedy czasami zatamowanym bywa ruch całego miasta na ulicach głównych.

W Częstochowie spotykają się Puszczaki z pobożnemi rzeszami całej Polski i całego Szlązka i ztąd wynoszą pociechy duszne i obrazy święte, różańce, paciorki, szkaplerze, medaliki i książki nabożne.

Kurpie palą lulki, co jest raczej wyjątkowym zwyczajem Mazowieckiego ludu. Strój też ich jest znacznie odmienny od reszty Mazowsza i Podlasia. Wierzchnia suknia zwana sukmanem, jest z ciemno-szarego samodziału, sięgając ledwo do kolan, z przodu zapinana na haftki lub guziki, z tyłu gęsto fałdowana. Bogaty Puszczak powinien mieć pięćdziesiąt fałd u sukmana z tyłu. Po nim idzie pas skórzany szeroki, albo najczęściej wełniany czerwony. Do lasu lub do drogi służy torba borsucza albo z nici szarych dziana, którą mężczyźni sami sobie robią na drutach czyli spienkach, również jak i rękawice zimowe. Niewiasty noszą sznurowane gorsety z patkami, granatowe lub czerwone z sukna kramnego, spódnice kolorowe w kratki z płócienka, cokolwiek krótsze niż u okolicznych Mazurów. Zimą noszą sukmany z samodziału, takie same jak mężczyźni.

Po miastach Mazowsza dokąd się najmują jako furmani, Puszczaki sprzedają w wielkich ilościach grzyby suszone, gęsi i okruchy bursztynu na kadzidło. Takie wielkie grzybowe targi odprawiają się dla całej okolicy, głównie w Ostrołęce i Ostrowiu pod jesień. Zimą noszą na plecach wieńce grzybów do Warszawy. Drobna szlachta z tych stron dostarcza Warszawie nabiału i drobiu. W. Pol.

54. Kanał Augustowski.

Między najważniejszemi dziełami rządu Królestwa Polskiego do r. 1830 pierwsze niezawodnie miejsce zajmuje kanał Augustowski. Główne komunikacye, któremi mieszkańcy Królestwa Polskiego produkta swoje spławiają, są: Wisła i Niemen. Obiedwie te rzeki ujścia swoje mają w krajach niepodległych rządowi królestwa. Wcześnie spostrzegł rząd tę niedogodność, przedsięwziął zatem przysposobić mieszkańcom punkt wyprowadzenia ich produktów, niezawisły od urządzeń celnych sąsiedniego kraju. Ztąd powstał projekt kanału Augustowskiego, mającego połączyć Wisłę z Niemnem; zaś ta rzeka za pomocą dwóch rzek Dubissy, wpadającej do Niemna poniżej Kowna i Windawy, mającej ujście do morza Baltyckiego komunikować miała z wspomnionem morzem przez port windawski w gubernii Wileńskiej leżący. Tym sposobem Wisła połączona by została z morzem Baltyckiem, bez dotykania Gdańska i granicy pruskiej, a Gdańsk, Królewiec i Memel straciłyby swą ważność co do handlu polskiego. W r. 1823 ustalono projekt, w r. 1824, rozpoczęto pierwsze rozpoznania miejscowe, a w r. 1830 dzieło w obrębie Królestwa Polskiego zupełnie ukończono. Wykonaniem dzieła trudnili się oficerowie korpusu inżynieryi królestwa Polskiego, pod kierunkiem jenerała inżynieryi Maletskiego. Komunikacya ciągnie się Wisłą aż do Modlina, dalej rzeką Narwią aż do miasta Wizny, gdzie wpada rzeczka Biebrza czyli Bobra, tworząca granicę między Królestwem Polskiem, a byłym obwodem Białostockim; idzie Biebrzą, aż do wsi Dębowa; tu wchodzi kanał w rzekę Nettę, łączącą się w tem miejscu z Biebrzą, ciągnie się Nettą, aż do miasta Augustowa, gdzie jest przystań służąca za odpoczynek i główny skład dla statków. Tu łączy się Netta z jeziorami Augustowskiemi. Kanał, przecinając szossę petersburgską, przechodzi przez jeziora Nicko, Białe, Studzieniczne, zkąd przekop prowadzony przez puszczę Augustowską, aż do wsi Gorczycy łączy jeziora główne z małemi jeziorkami, dającemi początek rzece Stańcza. Tą rzeczką kanał dąży aż do wsi Kurzyniec, gdzie opuszcza jej łoże i wielkim przekopem wpada do Niemna w punkcie Niemnów zwanym. Ponieważ zaś położenie kanału wyższe jest daleko od rzeki, do której wpada, przeto dla zmniejszenia spadku i przysposobienia wygodniejszego przejścia statkom z kanału do Niemna i nawzajem, w tem miejscu potrójne sporządzono śluzy. W ogóle kanał Augustowski, obejmuje czternaście śluz mniejszych lub większych w wielu miejscach podwójnych, nawet i potrójnych, gdzie potrzeba

tego wymagała. Śluzy te dokładnie i z korzyścią zakładane, utrzymują wszędzie równowagę wody i ułatwiają przez to żeglugę. Zbudowane są z cegły trwałej i dobrze wypalonej, spajanej z wapnem hydraulicznem, brzegi ich wykładane ciosowym kamieniem, mosty i wrota śluz z drzewa dębowego żelazem okute. Materyał wyrobiony w cegielniach Augustowskich, kamień ciosowy sprowadzono z sandomierskiego, a wszelkie przedmioty z lanego żelaza dostarczyła blizka gisernia w Cisewie, należąca do hrabiego Karola Brzostowskiego. Teraz piękne domy i ogrody ozdabiają okolicę śluz, znajdujące się niekiedy w ustępach przedtem dzikich i niedostępnych, gdzie tylko niedźwiedzie i rysie gnieździły się. Ogólne koszta rzuconego kanału wraz z czyszczeniem i prostowaniem rzeki Biebrzy, Netty i Stańczy wyniosły przeszło czternaście miljonów złotych polskich.

Szkoda, że to dzieło z takim kosztem i staraniem uskutecznione, nie przyniosło obiecanych korzyści: kilka do tego przyłożyło się powodów. Naprzód projektowane połączenie rzeki Dubissy z Windawą, a tem samem Niemna z morzem Baltyckiem, za pomocą przystani Windawskiej do skutku nie przyszło, a tym sposobem połączono jedynie Wisłę z Niemnem; a że Niemen równie jak i Wisła wpada do morza Baltyckiego w państwie Pruskiem, przeto korzyść główna nieosiągniona. Powtóre, choćby owo połączenie i było uskutecznione, inna jeszcze pojawia się przeszkoda, komunikacye bowiem między Wisłą i Niemnem urządzono dla statków używanych zwyczajnie na Wiśle i Narwi, tak nazwanych galarów i berlinek; szerokość śluz i przekopów do nich zastosowano; gdy zaś z powodu nieoczyszczania zupełnego koryta Niemna i znajdujących się w niem porohów i zapor, używają na tej rzece statków płaskich, nie wchodzących głęboko w wodę, zwanych wycinami, ponieważ statki żeglujące po Wiśle i Narwi, oraz kanale Augustowskim żadnymby sposobem nie zdołały przebyć zapor niemeńskich, przeto wszystkie produkta przy ujściu kanału do Niemna, muszą być przeładowywane na wiciny. Niedość jednak na tem; wiemy bowiem z powodu swego ciężaru i szerokości przez żaden kanał i śluzę przejść nie mogą; więc z rozpoczęciem się kanału łączącego Dubissę z Windawą, wszelkie produkta przenosićby musiano na innego rodzaju statki. Jakie koszta ztąd wynikłyby! Czy sprzedaż i ułatwienie wywozu nagromadziłyby wydatki i czyby te nie przeważyły i najwyższe cła nałożone w Gdańsku i Królewcu. Pojąć nie można, czemu dwa rządy, będące w ciągłych i tak blizkich stosunkach, nie zniosły się z sobą przed rozpoczęciem tak ważnego i kosztownego dzieła i nie urządziły kanału do statków, mogących służyć wspólnej żegludze, bez konieczności tak częstego przeładowywania.

Kanał Augustowski nieosiągnął tedy dla wyżej przytoczonych powodów obiecanych korzyści. Zawsze jednak jest dziełem znakomitem, przynoszącem zaszczyt rządowi, co go przedsięwziął i wiadomościom technicznym inżynierów, co go uskutecznili. Służy do komunikacyi wewnętrznej, ożywia i nadaje ruch okolicom, które przecina, przyspiesza transport sòli do teraźniejszych gubernij płockiej i augustowskiej, ułatwia dowóz tamże z hut krakowskich i sandomierskich żelaza; łatwiej odtąd mieszkańcy nadniemeńscy dostawiać mogą swoje zboże dla konsumcyi Warszawy i okolic nadwiślańskich. Nawet drzewo, co w puszczach otaczających kanał, dotąd z powodu odległości i braku komunikacyi butwiało bez użytku, z większą korzyścią może być spławiane w najodleglejsze miejsca. W ogóle komunikacya znacznie się powiększyła, koszta transportu się zmniejszyły i wielkie korzyści dla industryi krajowej wynikły, gdyż przedtem wszystkie przedmioty z znacznym kosztem i wielką trudnością prowadzone być musiały na kołach. Kanał ten uszkodzony był w niektórych miejscach w czasie zaburzeń w kraju r. 1831, lecz te wszystkie uszkodzenia naprawiono za staraniem banku polskiego, mającego kanał w swej administracyi. Odtąd żegluga po nim trwa nieprzerwanie.

A. K.

55. Pojezierze Baltyckie.

Jeziora lądowe na pochyłości Baltyckiej ciągną się na przestrzeni 200 i kilkudziesięciu mil geograficznych. Jest to niby grobla wyższego poziomu od źródeł rzeki Suchony, aż do półwyspu Jutlandyi, na którym kończy się wysuniętym ku północy przylądkiem Skageu. Grobla ta obchodzi jakby wielkim łukiem południowe wybrzeża Bałtyku miejscami w znacznem oddaleniu od morza, stojąc na zawadzie wszystkim głównym rzekom pochyłości Baltyckiej.

Te jeziorne wyżyny przerywa Dźwina, Niemen, Wisła i Odra. Geografowie pruscy nazwali je Uralsko Baltyckiemi wyżynami, inni Groblą Baltyckich jezior. Są to nazwy ukute w gabinecie naukowym, które brzmią dziko w naszym języku, bo są tylko tłomaczeniem cudzych pojęć. Po naszemu kraj, który poszedł po jeziorach, nazywa się Pojezierzem. Tak go nazywają Mazury w okolicach Działdowa, którzy na tem Pojezierzu siedzą. Nazwa ta w istocie jest charakterystyczną, bo na Pojezierzu wszystko się odnosi do jezior. Z nich biorą początek rzeki, z których jedne jako po-

morskie strugi płyną na północ, wprost ku morzu, drugie na południe ku rzekom głównym, odlewając się następnie Dźwiną, Niemnem, Wisłą i Odrą.

Nad temi jeziorami sadowi się ludność miejscowa w siołach i miastach. Latem żegluga wiąże przeciwległe brzegi, a zimą wszystkie dostawy idą z łatwością po lodzie; nieraz ogromne ciężary na saniach ludzie pędzą przed sobą rękami, od jednego do drugiego brzegu. Od tych jezior wychodzi żegluga ku morzu i ku rzekom głównym. Po nich lęgną się stada wodnego ptactwa na ich wierzchowinie stada błotnej i nadbrzeźnej ptaszni, a w ich głębi rybnej leżą zapasy całorocznej śpiżarni, bo ryba jest nietylko głównem pożywieniem ludności, ale także artykułem wywozu i handlu.

Na pojezierzu, człowiek jest rybakiem i myśliwym i całe okolice trudnią się prawie wyłącznie połowem ryb i myśliwstwem, bo bory północne i zwierciadła wielkich jezior lądowych, są charakterystyczną cechą tego Pojezierza pod względem natury.

Niektóre z tych jezior mają po kilka mil kwadratowych i tylko sinym pasem przeciąga się na widnokręgu przeciwległy brzeg. Na niektórych utworzyła sama natura wyspy i ostrowy, gdzie znajdują się osady i ruiny starych zamków. Na innych widać po środku przeprawiając się przez setki i tysiące pali nabitych pod wodą, poczerniałych i prawie skamieniałych dębów. Były to pływające grody, zamki i wsie, świątynie, w których miejscowa ludność chowała się w czasie najazdów na kraj.

Brzegi tych jezior rzadko kiedy bywają malownicze, a o tyle więcej malownicze, o ile wyżej leżą na grzbiecie Pojezierza nad zwierciadłem morza. Wówczas to trzeba do nich spuszczać się jak w kotlinie, a czy to kępy nadbrzeżnych drzew, czy całe puszcze, czy sioła, czy dwory, czy kościoły, czy zamki, czy bloki ruchomych granitów, wszystko jest wówczas w zwierciedle jezior odbite i tworzy oryginalny obraz chłodnej północy, wspólnie z głosami jeziornej natury z tym krzykiem czajek i rybitw morskich, z wrzawą dzikich kaczek, piskiem kulonów, hukaniem bąków i kroczeniem żórawi, które na błotnej wierzchowinie w leśnych ustępach pod wieczór wyprawiają tańce.

Z jakimże urokiem palą się tu na zwierciadle jezior poranne i wieczorne zorze, jakże wesoło tańczy po niem słup słonecznego światła, lub srebrna dróżka księżyca! Kiedy niebo wyiskrzy się gwiazdami, tonie jeziorne zdają się roztwierać swe głębie i przyjmują gwiazdy, roztwierając się szeroko. Z łodzi patrząc wówczas w jezioro, nie ma pomiędzy niebem i ziemią przedziału, bo niewiedzieć gdzie się kończy powietrze, a zaczyna woda. Odległe brzegi mierzchną

i nikną dla oka, a łódź zdaje się szybować po morzu gwiaździstem; czajka tylko nie śpi w nocy i bąk wodny huka po trzcinach.

To, co okolicom Pojezierza dodaje malowniczości, są głównie półwyspy i głębsze zatoki, zasiane częstokroć olbrzymimi blokami runionych skandynawskich granitów, które z wód wysoko sterczą. W takich zatokach na dnie jeziora, leżą stare poczerniałe dęby, a w czasie połowu ryb, zawadzają bardzo te bloki i stare prądowiny i ściągnąć niepodobna, ani włoku, ani niewodu po takich zatokach, do których ryba ucieka, gdy ją rybacy na głębszych zaniepokoją toniach, zaciągając niewód na jezioro.

I jakiż to prześliczny widok, gdy się te łodzie rybackie w wielkiem półkolu uszykują na jasnem zwierciedle jeziora, ciągnąc niewód i spuszczając jego matnie do najgłębszych toni. Wówczas te łodzie same podobne są do drobnych spławków niewodu; większa ryba nieraz przerzuca się przez sznury niewodu trzymane na powierzchni spławkami. A rybak patrzy w toń, milcząc i podaje od łódki do łódki znaki, żeby albo połami niewodu zwanej zawijać, albo z matnią poły trzymać na równi, albo z matnią przyspieszać, albo na matni folgować.

Rybacy twierdzą, że jeziora na grzbiecie Pojezierza Baltyckiego łączą się z sobą podziemnymi kanalami, wskazując nawet częstokroć w jeziorach na dnie toni ujścia tych kanałów.

Przy zwierciadłach wielkich jezior lądowych niewolno zapomnieć o stadach gęsi swojskich, których wyżywienie jest tu łatwe, a które stanowiąc gałęź gospodarstwa na Pojezierzu, są jedną z głównych rubryk dochodu, a nawet bogactwa krajowego.

Rankiem i wieczorem bieleją się stadami tych gęsi całe drogi, prowadzące od wsi do jeziora. Zatapiają się z krzykiem w jeziorze, dzielą się na wodach na osobne stada i żerują na nich przez cały dzień. Tak samo dzielą się na stada, wracając wieczorem na obejścia, nawoływane tysiącznemi głosami do powrotu. Tu daje im się trochę karmi wieczorem, aby przywykły do domu. Skoro pierwsza z wiosny kłuje się trawka, już te stada gęsi pasą się po odłogach i gdzieby jeszcze owca nie mogła uszczypnąć trawy, tam się już napasie gęś. Dodać tu trzeba, że całe okolice Pojezierza Baltyckiego są tak piasczyste i jałowe, iż tylko pastwisko gęsie zabliźnia i zarunia żyzną krótką trawą te jałowe ziemie.

Są błonia i okolice, po których niewolno jest przepędzić bydlęcia ani przejechać koniem, bo za każdym stadem cięższym, dobyłby się piasek i wydmuch na nowo z pod darni.

W. Pol.

56. Żuławy Wiślane.

Pomiędzy Wisłą a Nogatem leżą Żuławy Gdańskie i Malborskie, po obu brzegach tych ramion w ostępie wyższych zabrzeży, które w sposobie wyżyn okrążają cały obszar ziem żuławskich, nietylko nizko położonych ale owszem zapadłych.

Jest to kraina odrębnej zupełnie natury i fizyognomii, a powstanie jej tłumaczy dokładnie i oznacza w jednem słowie nazwa miejscowa Żuławy.

Kto się przypatrywał porównawczo krainom Żuławskim, tworzącym się na ujściach wielkich rzek w morza zamknięte, ten mógł zrobić uwagę, że rzeki tworzące ziemie żuławskie na swem ujściu, albo niegdyś płynęły albo dotąd płyną przez obszary lesiste, i uprowadzają z sobą leśne wody niosące leśny żuł. Leśnym żułem nazywa lud namuł roślinny, tworzący się w lasach, borach, puszczach, kawowego, czekoladowego, a nawet czarnego koloru, podobny do wód leśnych, które ten żuł niosą i na ujściu Wisły składają.

Otóż krainę na dolnej Wiśle, gdzie żuł złożył się w ławy, nazwano Żuławami.

Wiadomą jest rzeczą że Wisła dawniej pod Gniewem wpada do morza i że całe dzisiejsze Żuławy są odchodziskiem morskiem, już za czasów historycznych wydobytem z bagien, równie jak piaszczysta Mierzeja, która siadła na widłach Leniwki i Szkarpawy jest odpłuczyskiem morskiem, wyniesionem falami z morskiego dna w czasie gwałtownej i długotrwałej burzy na Bałtyku.

Groble, w które Wisła ujęta jest na dolnym biegu, razem wzięte wynoszą przeszło czterdzieści mil długości. Gdyby te groble nie trzymały Wisły i Nogaty, nie byłoby Żuław, bo koryto obu tych odnóg leży wyżej od obszaru ziem żuławskich i podnosi się z laty coraz wyżej. Są tam groble, wznoszące się nad zwierciadło Wisły na dwadzieścia cztery stóp, a pomimo to wznosi się nieraz wyżej stóp dwudziestu powódź, niosąca krę i przerywa groblę i zamienia Żuławy w wielkie jezioro przegrodzone tylko przerwanemi groblami. Żuławy bowiem nie są niziną, ani równiną, lecz obszarem zapadłym na wagę wód wylanym i zniwelowanym, a znacznie niżej położonym od ramion Wisły i morza.

To już tłumaczy naturę kraju co do jej głównej zasady. Żuły lesne, ktore ten poziomy utworzyły pokład, sa bardzo urodzajne. Ztąd Zuławy są bardzo żyzną sztuczną łąką, a w wielkiej części bardzo wyprawionym i uprawnym ogrodem.

Obszar ten zapadły ma własną sieć wodną i stosownie do miej-

scowości jest każda własność z jednej strony oddzielona groblami, a z drugiej połączona kanałami z systemem wodnej sieci, przekopów i kanałów, z których każdy jest spławny, a przynajmniej żeglowny na pewnej przestrzeni, dla użytku miejscowego lub swojej okolicy.

Groble obsadzone są wikliną i wierzbnikami, utrzymywanymi bardzo starannie, ztąd też mają Żuławy własne paliwo i dostarczają go nawet do miast pobliższych, a trzeba tu także dodać że w rachunek paliwa idzie i drzewo, które Wisła i Nogata na każdej powodzi z sobą unosi. Wówczas to cała miejscowa ludność zajęta jest łapaniem tego drzewa, które na groblach ułożone w stosy i piramidy osycha z roku na rok, a potem porznięte w sągi lub wyrobione na budulec, potarte na deski, idzie nietylko w handel nadbrzeżny ale nawet w morski. Dla Żuław rosną gdzieś tam po świecie lasy, dla siebie sadzi Żuławnik wierzby, które starannie utrzymywane i najlepiej grobel strzegą i dają zawsze gotowy materyał do faszyn, do tam, i obfitość paliwa.

Każda własność jest oddzielona groblami lub linjami kanału; wszędzie pełno mostków i kładek zwodzonych, bo po kanałach przechodzą statki, czółna, promy i żeglowne berlinki.

Jeżeli Wenecya jest miastem na wodzie, to możnaby i tu powiedzieć, że Żuławy są krajem na wodzie. W głąb każdej własności zachodzą lub przechodzą statki po wodnym gościńcu, każdy płynie czółnem na targ do miasta i miasteczka, czółnem do swego ogrodu, na swoją łąkę, na czółnie bydło przenosi się na paszę, statkiem zwożą się snopy do stodoły, statkiem który kanałem zachodzi pod dach, gdzie wprost ze statku po zapolach składa się zboże. Wszystkie wody mają tu bardzo mało spadku, albo właściwiej mówiąc, wyjąwszy ramiona Wisły, nie mają żadnego spadku: ztąd też odbywa się żegluga bezpieczniej i nie zagrażają jej ani wiatry ani burze, bo w każdej chwili można przybić do lądu. Wysokie groble chronią kanały od wiatru, a przy pomyślnym wietrze płynie się szybko przy pomocy żagli. Żuławy zostają już pod wpływem atmosfery morskiej.

Wychmurzona nad morzem wilgoć wtacza się tu na lądy, i obłoki pędzone od północnych i północno-zachodnich wiatrów wylewają się na Żuławach obfitymi deszczami lub opadają bogatą rosą. Ztąd pochodzi obfitość miejscowych wód i świeżość całej roślinności, wyjąwszy znacznie krótszą od naszej zimę. Przez cały też rok Żuławy są jako ruta zielone, prześliczną pasznistą łąką. Osobny też Żuławy mają rodzaj bydła, które słynie z mleczności równie jak holenderskie. Jest to rasa czarno-srokata o krętych rogach i ostrych kościach, wprawdzie niepozorna ale tak cenna, iż bywały czasy kiedy za żadne pieniądze nie można było dostać dojnej krowy. Krowę tu-

taj może mieć ten tylko co ją sam wychowa; i dlatego bydło holenderskie znalazło więcej upowszechnienia nawet u nas, bo idzie w targ europejski, kiedy bydła Żuławskiego dokupić się nie można. Co do rasy jest to krowa polska, ale przeniesiona na żuławską paszę, a ztąd tak mleczna. Cały też dzień pasie się tu bydło bez pastucha na łące podzielonej groblami i kanałami lub żywymi płotami na osobne części, część idzie pod kosę, a część na wypas. Najroskoszniejsze łąki przegradzają znowu sady szlachetnych drzew owocowych i wierzbniki dające opał. Każdy kawałek ziemi jest użyty i obrócony na pożytek. Kmiece też gospodarstwa z całą przynależytością łąk i ogrodów, pól i sadów, wierzbników i żywych płotów, kanałów i grobel płacą od 50 do 100 tysięcy talarów wartości i bardzo trudno nabyć taką własność, bo tu nie nabywa się własności, ale przychodzi się do niej właściwie tylko spadkiem. Jest to wielkie szczęście i dla miejscowych właścicieli i dla pomyślności całego kraju, bo tu można dostatek i zbiór utrzymać tylko przy tradycyjnem gospodarstwie i przy mądrem regulowaniu stanu wód wewnętrznych, zebranych w kanałach, stawach i jeziorach; systemat ten bowiem wodnej siatki kraju nie łączy się wprost ani z morzem ani z Wisłą; ale tysiące olbrzymich pomp i liwarów wiecznie pompują zbytnie wody i odlewają je potokami lub właściwiej wyżnemi kanałami do ramion Wisły i morza. Łotoki te są prowadzone wyższym poziomem niektórych grobel i tworzą jeden wielki system odwodniania łąk, ogrodów i ziem Żuławskich.

Inaczej też wcale wyglądają tu budynki, bo nietylko domy mieszkalne, ale wszystkie prawie zabudowania gospodarskie zakończone są u góry wietrznymi młynami. Wody niemają spadku, więc tylko młyny wietrzne dają mlewo i są prawie ciągle w ruchu, bo Żuławiak każdy jest zarazem młynarzem i przerabia nietylko własne zboże na krupy i mąkę, ale zakupuje zboże spławne Wisłą, by przez cały rok utrzymać swój młyn w ruchu.

Wszakże nie wszystkie te wiatraki są wietrznymi młynami; są także tartaki i młocarnie pędzone wiatrem i owszem każda własność ma wiatraki, które wprawiają w nieustanny ruch olbrzymie pompy odlewające wodę do łotoków i które odprowadzają obfitość albo zbytek wód wewnętrznych ku ramionom Wisły i morzu. Dziwny tedy przedstawia się tu widok. Lada wietrzyk który po równym zielonym krajobrazie przeciągnie, czy to od morza, czy od lądu, wprawia w ruch skrzydła tysiąca wiatraków, wszystkie kolorowe chorągiewki i flagi, wszystkie żagle na kanałach i pomiędzy wiatrakami, przesuwają się żaglowne statki, których zrębu nie widać, tak, że statki zdają się sunąć po suszy, bo zrąb statku zakrywają oczom groble.

W odstępie tych grobli pasą się spokojnie krowy, a z każdej strony dolatuje furkotanie skrzydeł wiatraków, szum kamieni młyńskich, turkot pytlów, huk młocarni i tartaków pędzonych wiatrakami, a w końcu ciężkie, przykre, jakby sapanie i jęczenie olbrzymich pomp, wprawianych w ruch szaloną siłą wiatraków. Zdaje się, że tu ziemia znikła; że człowiek reguluje tylko stan wody, a wiatr za niego pracuje. Miło to rzeczywiście patrzeć na dostatek i stateczną pracę całego tego kraju. Pod dachem w stodole ładują się statki nabiałem, mianowicie zaś serami i masłem, mąką i krupami, całymi łasztami owoców, jarzyn, wędlin, drobiu i wiązanek suchego paliwa, a odbiwszy od własnego progu dostają się wodą do Gdańska, do Kopenhagi i Sztokholmu w jedną stronę, a w drugą do Królewca, do Rygi i Petersburga. Ten pastuch żuławski jest tedy i przemyślnym młynarzem, i przekupniem, i kupcem, i żeglarzem na własną rękę a nie zmieniając sposobu życia powiększa z każdym rokiem zbiory. Żuławy tedy są krajem wyjątkowym, na poły morskim, na poły lądowym i daje korzyści, jakie zapewnia z jednej strony żyzny stały ląd przy wytrwałej pracy, a z drugiej strony wywóz własnego towaru i otwarte morze.

Zamożność też tu wielka, i przy obyczajach kmiecych bogactwo niezwykłe. Czystość budynków i domów holenderska. Cała dolna część domu jest obszerną i starożytnym ładem urządzoną na gospodarski warsztat, gdzie wszystko się przyrządza i ładzi. Czeladź trzymana w dostatku i karności pracuje dzień cały, ale nikt ani jest przeciążony pracą, ani trapi się pracując, bo praca tutaj się nagradza, a dłużej i lepiej pracuje ten, co nie jest upokorzony i dręczony przy pracy. Jeżeli dół mieszkalnego domu jest rządnym warsztatem, w którym gospodarz i gospodyni wiecznie się krzątają, jeżeli tu wszystko mieści obok kuchni, wielkie izby sypialne, jadalne i robocze, to piętro każdego domu oddzielone osobnym wchodem i drzwiami jest już mieszkaniem zamożnego człowieka. Tu już i kosztowne posadzki i obicia i najwytworniejsze meble, tu już rzeźbione starożytne szafy, zbiory porcelany i naczyń srebrnych, okazałe zwierciadła, kosztowne zegary, drzwi z palisandru i mahonie, firanki i pokrycia mebli z ciężkich jedwabnych materyi, na posadzkach kosztowne angielskie dywany, po ścianach obrazy i złocone brązy.

Na co tylko dom możnego pana zdobyć się może, posiada tu Żuławiak, co nie leni się kosić własną łąkę i stać u steru na własnej berlince. Ale tego piętrowego mieszkania nie zajmuje nikt, wiecznie oczyszczone i sprzątane otwiera się ono tylko na przyjęcie znakomitego gościa w czasie chrzcin dziecka lub wesela, w czasie układów ślubnych, lub pogrzebowej stypy. Wyżej jeszcze nad tem mieszka-

niem szumią dopiero skrzydła wiatraku. Poniżej tego domu na kanale stoi żaglowy statek, a kolorowe skrzydła wiatraku, chorągiewki, flagi i żagle wprawione w ruch wiatrem, snują się jak czarowne widziadła po zielonym jak ruta obrazie. Mają wszakże i Żuławy straszne dla nich lata i chwile: są to wielkie wezbrania dolnej Wisły, które zagrażając przerwaniem grobel, grożą krainie zniszczeniem. Te zniszczenia byłyby daleko dotkliwsze, gdyby się po wodzie nie było czem dźwignąć z upadku. Wszakże kapitał powrócił tu już do ziemi, a po klęskach powodzi podwaja się usilność i czynność właścicieli żuławskich posiadłości.

W. Pol.

57. Gdańsk.

Na równinach lewego brzegu Wisły o milę od jej ujścia do morza, wznoszą się starożytne mury i wieże sławnego miasta Gdańska. Dziś jest to miasto główne regencyi tegoż imienia w Prusiech zachodnich z portem handlowym i twierdzą pierwszego rzędu, przerznięte rzeczkami Motławą, uchodzącą dwiema odnogami do Wisły i Raduną wpadającą do Motławy, objęte od wschodu i północy Wisłą, od południa zaś i zachodu górami Gradową, Biskupią i Cygańską. Dzieje tego miasta są bardzo ważne dla historyi Polski i tej części Prus. Gdańsk jest bowiem jedną z najdawniejszych osad pokolenia lechickiego do których należeli Słowianie Pomorscy. Początki jego sięgają wieku IV, a w X już było miastem; w najdawniejszych kronikach wspominanem jako Gdanie nad Wisłą, co później zamieniło się na Gdańsk. W dyplomach XII i XIII w. zwane jest Gdanse. Nie masz przeto wątpliwości, że początek tego miasta jest słowiański, a wszelkie wywody, jakoby założonem ono było przez Duńczyków czyli Danów i dla tego nazwane Dantiskiem albo Danzigiem, są mylne i niemają wiarogodnej podstawy. Ta osada należąca do posiadłości książąt pomorskich, zamieszkała początkowo przez rybaków polskich, nie zasłynęła przez cały ciąg XI i XII wieku, ani w historyi politycznej, ani handlowej. Mieszkańcy jej trudnili się rybołówstwem i szukaniem kosztownego bursztynu na brzegach morza Bałtyckiego; ale o zamożności ich, o samodzielnem życiu dzieje milczą. Dopiero kolonistom niemieckim było dano położyć kamień węgielny znaczenia Gdańska, zwłaszcza gdy jego dziedzice książęta Pomorscy ułatwili im to ze szczególną do nich przychylnością. Korzystając z ich protekcyi zaczęli Lubeczanie i inni Niemcy ściągać się coraz groma-

dniej do słowiańskiego Gdańska, i napływ ich po przeciągu kilkudziesięciu lat tak był znaczny i przeważający, iż pod koniec XIII wieku już miasto rządziło się prawami zupełnie niemieckiemi i posiadało takie same instytucye, jakie miały współczesne miasta handlowe całych Niemiec. W r. 1299 wymarli książęta pomorscy prawi dziedzice Gdańska. Spadek po nich powinien był otrzymać panujący w Polsce Władysław Łokietek, lecz ten mając wówczas do zwalczenia pretensye Czechów do tronu i bunt wielkopolski, nie umiał i nie mógł sobie dać rady. Tymczasem Waldemar, margrabia brandenburgski, uważając się za prawego następcę zgasłych książąt pomorskich, wtargnął na Pomorze i zbliżał się w spiesznym pochodzie do Gdańska. Łokietek niemając dostatecznych sił własnych na obronę najechanej prowincyi i miasta, wezwał w pomoc mistrza Krzyżaków Hermana von Plotske. Krzyżacy zajęli Gdańsk i zamek, razem z załogą polską odparli szczęśliwie napad Brandenburczyków, ale odparłszy ich, nabyli od margrabiego Waldemara pretensye, jakie ten mniemał mieć do Gdańska i Pomorza, i nie myśleli wracać miasta Polakom. Wreszcie gdy Łokietek nalegał coraz silniej na wydanie Gdańska, Krzyżacy postanowili całą sprawę zakończyć po swojemu. W sam przeto dzień S. Dominika 4 Sierpnia 1308 r. podczas jarmarku, na który okoliczny lud polski zgromadził się w znacznej liczbie, wdarli się do miasta i sprawili straszliwą rzeź między ludnością, wymordowawszy przeszło 10,000 osób. W ten sposób usunęli oni zapory i pretensye polskie, i charakter miasta zmienili na zupełnie niemiecki. Otwarły się narozcież kolonistom niemieckim bramy Gdańska, ściągali się zewsząd kupcy i rzemieślnicy tego rodu, a pierwotna ludność znalazła się powoli wypartą do przedmieść i najuboższych części miasta. Odtąd Gdańsk przez półtora wieku zostawał w mocy tego zakonu.

Pod panowaniem Krzyżaków Gdańsk był jednem ze czterech głównych miast związku hanzeatyckiego i znakomite już zajmował miejsce w ówczesnej polityce Europy północnej. Upadek zakonu prowadzi też za sobą w następstwie upadek handlu i zamożności Gdańskiej. Co wszakże wśród tego wszystkiego jest rzeczą niewątpliwą, to że w miarę owego upadania wzrastała sympatya Gdańska dla Polski. Po zwycięztwie Władysława Jagiełły pod Grunwaldem, Gdańsk razem z innemi miastami pruskiemi poddał się Polakom. Chwilowe to jednak było panowanie i dopiero w r. 1454 przeszedł on wraz z całym krajem pod berło Kazimierza Jagiellończyka. Odtąd stosunek zawisłości Gdańska od Polski, lubo zwany podległością z jednej a władztwem z drugiej strony, jednakże nie był ani jednem ani drugiem, albowiem Kazimierz Jagiellończyk obdarzył to miasto taki-

mi przywilejami, które w istocie znosiły wszystko co stanowiło prawo panującego, i były przeto nie czem innem jak tylko wzajemną ugodą w kształcie aktu władzy monarchicznej spisaną, której wszystkie warunki ułożone zostały na korzyść miasta. Powstawała więc u ujścia Wisły pod opieką Polski rzeczpospolita kupiecka, zbrojna i niezawisła, która najważniejszą w kraju przystanią i główną w państwie rzeką władać odtąd mogła według upodobania, a tem samem ze szkodą Polski, gdyby to było w jej interesie. Jakoż okazało się to niebawem, gdy pomimo tylu dobrodziejstw królewskich, Krzyżacy wpływu tam swego zupełnie nie stracili i następnie, kiedy odziedziczyli go po nich monarchowie protestanccy, za przyjęciem przez niemiecką ludność Gdańska reformy Luterskiej. Nadużywając swoich praw ze szkodą całego państwa, do którego koniec końcem należał, Gdańsk niejednokrotnie potem podnosił bunty, które Królowie polscy musieli poskramiać orężem, ale zawsze ze zwykłą sobie wspaniałomyślnością zostawiali miasto przy wszystkich jego przywilejach. Umiał też Gdańsk cenić panowanie polskie i we własnym interesie bronił się mocno Szwedom.

Gdańsk stanowiąc odrębną rzeczpospolitę kupiecką i miejską, nie podlegał właściwie rządowi Polskiemu, tylko samemu królowi. Najwyższą przeto zwierzchność sprawował tam Senat złożony z 4-ch burmistrzów i 4-ch rajców, z których jeden bywał mianowany od króla burgrabią, to jest starostą czyli namiestnikiem jego w Gdańsku. Prawa, któremi się rządziło miasto, zawierały się w przywileju, tak zwanym głównym *Incorporationis* i licznych plebiscytach czyli wilkierzach, do których to ostatnich ustanawiany i do walnej narady w sprawach publicznych miejskich należał łącznie z senatem centumwirat ze stu delegowanych od gminu wybrany. W sprawach z królem utrzymywało miasto aż do r. 1793 w Warszawie rezydenta, którym zawsze był sekretarz miasta. Ostatnim takim rezydentem był uczony i przychylny Polakom Samuel Geret. Gdańsk miał nadane sobie od Kazimierza Jagiellończyka prawo bicia monety, zachowane i utrzymywane aż do ostatnich czasów polskich. Nawet kiedy w Koronie nie bito żadnej monety, gdańska mennica zawsze była czynną, i za panowania Wazów aż do Sobieskiego pierwsze trzymała miejsce.

Za czasów Polskich handel Gdańska był najrozleglejszym, bogactwa coraz większemi, a ludność wynosiła 80,000 głów. W XVI wieku przeszło 60,000 łasztów corocznie wywożono ztąd żyta i pszenicy. Handel też przywozowy przez Gdańsk do Polski wzrastał ciągle. Wszakże wśród dotkliwych klęsk, jakie potem zwaliły się na Polskę, zaczął upadać. Po pierwszym podziale kraju w r. 1773, Gdańsk po-

został po dawnemu wolnem miastem zależnem od Polski. Wtedy jego handel zniszczył zupełnie rząd pruski, nałożywszy cła na zboże spławiane Wisłą z Polski. W drugim podziale r. 1793 Gdańsk bezwarunkowo został przyłączony do królestwa pruskiego, poczem jego pomyślność zaczęła znowu wzrastać; wszakże niepowrócił on już do tego stanu świetności, w jakim był w wieku XVI i pierwszej połowie XVII.

Gdańsk może się liczyć do najznaczniejszych miast handlowych na północy Europy; posiada właściwie dwa porty, z których *Fahrwasser* leży przy samem ujściu Wisły, drugi zaś w pośrodku miasta, ostatni atoli dla mniejszych tylko statków morskich jest przystępny. Główny skład płodów rolniczych z równin nadwiślańskich jest puntem środkowym handlu zbożowego prowadzonego z Polską, Prusami Zachodniemi i częścią Cesarstwa Rossyjskiego. Zboża spławiane wyłącznie Wisłą składane są w ogromnych spichrzach na wyspie, zwanej Spichrzową (*Speicher-Insc*), znajdujących się. Miasto zabudowane dość ściśle, posiada wązkie uliczki i nosi na sobie cechę kilku wieków. Na lewym brzegu Motławy rozciąga się właściwe miasto, na prawym zaś przedmieście *Langgarten.* Ze wszystkich ulic najpiękniejszą jest Długa (*Lange Gasse*), całe właściwe miasto przerzynająca, najszersza i najstaranniej ozdobiona. Tam wznoszą się domy staroświeckie, gęsto obsypane rzeźbami, wszystkie prawie równej wysokości zwykle pięciopiętrowe. Wypisani na nich właściciele mają same polskie nazwiska. Tam panują najwspanialsze tarasy, najbogatsze sklepy i ruch nieprzerwany. Na jednym krańcu zakończa ją starożytna wieża z bramą wjazdową, na drugim, po przebiegnięciu całego miasta, rozszerza się w plac *Langmarkt*, w pośrodku którego wznosi się ratusz, zbudowany w pięknym stylu gotyckim i wewnątrz poważnie ozdobiony, miejsce posiedzeń magistratu. Mieści się tam także starodawne i niezmiernie ważne dla dziejów polskich i pruskich archiwum, sięgające XIII wieku. Niedaleko ztąd wznosi się giełda zwana *Artushoff*, zbudowana w r. 1370 z posagiem króla Augusta III. Gdańsk liczy 22 kościołów, pomiędzy którymi 5 katolickich, 13 ewangelickich, 1 menonistów, 1 klasztor zakonnic i 2 klasztory męzkie. Z tych szczególnie odznacza się wspaniałością kościół niegdyś farny katolicki, dziś ewangelicki, Panny Maryi, wystawiony w r. 1343, a zupełnie ukończony dopiero w r. 1503. Jest to z pewnością największa i najpiękniejsza gotycka świątynia w całej dawnej Polsce. Mieści ona w sobie jedno z arcydzieł malarstwa, obraz sądu ostatecznego, zachowany w osobnej kaplicy. Jest on pędzla Jana Memmlinga, najcelniejszego mistrza szkoły niderlandzkiej i zabrany został przez Gdańszczan w wieku XV podczas wojen z miastami hanzeatyckiemi

jako zdobycz wojenna. Piękny jest także kościół Ś. Katarzyny. Liczne budynki fabryczne odznaczają się wielkością swoich rozmiarów, a szczególniej browary, piekarnie, dystylarnie i ogromne młyny wodne i parowe.

Według T. M. Sobieszczańskiego.

58. Częstochowa.

Wśród równin między ziemią Sandomierską, Kujawami i Szlązkiem na niewielkiej wyniosłości skalistej, zwanej Jasną Górą, a od



Częstochowa.

czasów Jana Kazimierza Górą zwycięztwa, u stóp której leży jedno z najdawniejszych w byłej Polsce miast, Częstochowa, stoi sławny w całej ziemi Polskiej i krajach okolicznych, klasztor z obrazem cudownym Bogarodzicy, miejsce najznakomitsze w dawnej Polsce, słynne w jej dziejach i cel tłumnych przez wszystkie czasy nabożnych pielgrzymek jej ludu. Obraz ten znany wszystkim i rozpowszechniony w niezliczonych kopjach, będący niewątpliwie najdawniejszym

i najpiękniejszym dziełem sztuki, jaki posiada Polska, według podania jest malowany przez Ś. Łukasza. Ocalony w czasie zburzenia Jerozolimy przez Tytusa, został wyniesiony przez Ś. Helenę do Konstantynopola. Ztamtąd dostał się wraz z innemi relikwiami Karolowi W., a od niego przeszedł na Ruś; zaś według innych i prawdopodobniejszych podań wprost z Konstantynopola na Ruś, między X a XII wiekiem, i znajdował się przez długi czas w zamku Bełzkim, gdzie zasłynął cudami. Za panowania w Polsce króla Ludwika Węgierskiego, Władysław książe Opolski, dziedziczny pan Rusi, w r. 1382 przewiózł go do Częstochowy i umieścił w kaplicy drewnianej na Jasnej Górze. W tymże roku sprowadził z Węgier słynący z pobożności zakon Ś. Pawła pustelnika, oddał im kaplicę z obrazem i tamże założył dla nich klasztor. Niebawnie liczne cuda ciągnące się odtąd wiekami, aż do naszych czasów, wsławiły obraz i w nowej jego siedzibie i uczyniły to miejsce znakomitem i celem nabożnych pielgrzymek; zaczęły do niego płynąć z hojności i nabożeństwa królów, możnych i całego narodu bogate ofiary. Pierwsza wieść o nich, za panowania Władysława Jagiełły, pobudziła kilku szlachetnego rodu panów, których imiona i nazwiska ku wiecznej pamięci zapisały roczniki krajowe do napadu z bandą łotrów zebranych z Czech, Morawy i Szlązka na klasztor. Wtedy uniesiony przez nich i obrany z kosztownych ozdób złota i pereł obraz Częstochowski, został rozbitym i dotychczas zachował ślady cięcia szabli, których niezdołały pokryć i zagładzić wszelkie naprawiania i zamalowywania, dokonywane z rozkazu króla w Krakowie przez najbieglejszych mistrzów.

Kościół pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Panny Maryi, który stanął na miejscu dawnej kaplicy, a przy nim klasztor, były przerabiane i przebudowywane wielokrotnie w skutek zniszczenia od czasu, a jeszcze więcej od pożarów. Teraźniejsza świątynia pochodzi z końca XVII wieku; mury jej wszakże są dawniejsze. Za panowania Zygmunta II i Władysława IV, miejsce to zostało warownią, która przetrwawszy wiekopomne oblężenia, została zniesioną w wieku bieżącym.

Już o mil 12 daje się widzieć wieża kościoła na Jasnej Górze. Za zbliżeniem się do tego miejsca, co następuje szybko, dzięki kolei żelaznej, odkrywa się piękny i wspaniały widok kościoła i klasztoru górującego nad miastem i całą okolicą, lecz któremu największego uroku dodaje świeżość miejsca wsławionego tyloma cudami, i przywiązane do niego wiekopomne wspomnienia.

Kościół z kaplicami i klasztor ze wszystkiemi należącemi do niego budowami, otaczają wały w czworogran, z czterma narożnemi bastyonami, jak zwykle w twierdzy. Kopuły, wieże i wieżyczki z krzy-

żami na szczytach, podnoszą się z pośród tych ciemnych wałów, jakby kwiaty z wazonu. Z prawej ręki, szeroką przestrzeń zajmują dwupiętrowe mury klasztoru we czworokąt budowane i sześcią trzypiętrowemi wieżyczkami otoczone, obok nich posuwając się ku lewej ręce stoi budowa z wystawą kościelnego kształtu, gdzie jest wielka sala, w której bierzmują i gdzie lud się modli podczas odpustów, kiedy zmieścić się w kościele nie może. Następuje potem święta kaplica, okrywająca cudowny i w dziejach trwale zapisany obraz Matki Boskiej. U szczytu jej zawieszono kamienny ganek i w wyżłobionej ścianie umieszczono ołtarz z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Ztamtąd co noc błyska światło nieustannie palącej się lampy, które mieszkańcom i pielgrzymom zdaleka przypomina obecność Orędowniczki ubogich, pocieszycielki utrapionych. Tu raz do roku, na uroczystość Narodzenia Panny Maryi, odprawiają się msze od wschodu słońca do południa i kapłani błogosławią tłumy pobożnych chrześcijan, zgromadzonych na pochyłości Jasnej Góry. Za kaplicą zaraz następuje nieco naprzód wysunięta budowa o jednem piętrze, w której na górze w obszernej sali zachowuje się skarbiec podwójnie drogich pamiątek dla bogactwa i wspomnień swoich zebranych z ofiar i wotów odwiecznych; na dole jest piękna i poważna zakrystya. Obok tego dopiero wznosi się tam kościół, wspaniała świątynia, nie mająca wnijścia od frontu; ale całą tę wysoką ścianę, zajmuje obraz Wniebowzięcia Panny Maryi na murze malowany, szczyt zaś okrywa piętrowa wystawa o czterech oknach krzyżem zakończona. Z pośrodka dachu strzela w górę wysmukła wieżyczka, a w drugim końcu kościoła wysuwa się główna na 162 łokci wysoka wieża, jeden z najśmielszych i najpiękniejszych pomników budownictwa w Polsce, sześć kondygnacyi nad dachem kościelnym mająca i miedzią pokryta. Do podłużnej ściany świątyni od południa przystawiono cztery budowle czworokątne, kopułami pokryte, z których drzwi średnie są kaplicami, pierwsza przysionkiem kościelnym, czyli kruchtą, a ostatnia dzwonnicą. Z tyłu gmachów kościelnych i klasztoru rozciągają się w obrębie wałów twierdzy różne budowle, do potrzeb wojennych lub gospodarskich przeznaczone. Jedno tylko wejście przez bramy prowadzi do tych przybytków nabożeństwa i obrony.

Kościół na Jasnej Górze, co do wielkości, wspaniałości i ozdoby wewnętrznej, należy do najpierwszych w Polsce. Jest on długi i wysoki. Półświatło z góry wpadające przez małe okna nad kaplicami nadaje mu jakąś tajemniczą i uroczystą postać, której braknie najczęściej kościołom w nowszym stylu budowanym. W samej budowie tej świątyni, łatwo rozróżnić się dają dwie epoki jej powstania, z dwóch różnych od siebie części, z których się składa. Jedna da-

wniejsza mieści w sobie ołtarz i dwa chóry boczne z małemi organami, ztąd jest także wejście do kaplicy cudownego obrazu, zresztą niema innych ozdób ani ołtarzy. Jest to dzisiaj właściwie presbiteryum kościoła, ośmią oknami, z obu stron oświecone i same przez się równające się dość obszernemu kościołowi. Kształt wielkiego ołtarza jest niepospolity i zastanawiający. Nie ma tu żadnego obrazu ani zwyczajnych gzemsów i pilastrów; ale nad pięknem *tabernaculum* wyrobionem z marmuru florenckiego, jawi się w grupie, jednej sztuki ciosowego kamienia utworzonej i wystawiającej Wniebowzięcie Panny Maryi, posąg jej unoszony do nieba od trzech aniołów. Obok nich stoi czterech apostołów, u góry Ś. Trójca i wiele innych figur. Wszystkie są wielkości naturalnej, zaś całość jest kolosalna. Druga część kościoła, to jest sama jego nawa wsparta na filarach pięcią arkadami z każdej strony połączonych, jest daleko szersza i dłuższa. Tu jest ambona, ogromny chór z wielkim organem, i ołtarze boczne, których z tymi co są po kaplicach, prócz wielkiej kaplicy, liczą dwadzieścia jeden.

Z presbiteryum marmurowe, drzwi ozdobione popiersiem papiezkiem, prowadzą do samej kaplicy Najświętszej Panny, gdzie cudowny Jej obraz czczony jest od tylu wieków. Mały korytarz oświecony z jednej strony od wschodów, prowadzących na chór tejże kaplicy, a z drugiej od zakrystyi, której drzwi prawie ciągle są otwarte przedziela tę kaplicę od kościoła. Obraz Bogarodzicy, trzymającej na ręku Pana Jezusa, ma twarze ciemne przez samą starożytność i przez barwę pędzla, jak wszystkie wizerunki bizantyńskie. Zdaje się, że jakaś święta tajemnica osłaniając go cudownie, wstrzymuje oko śmiertelnych od bliższego weń wpatrywania się. Ofiary pielgrzymów i ręka zakonników zamieszkałych na Jasnej Górze, dla okazania czci powszechnej, wszelkimi sposobami, na jakie ludzie zdobyć się mogą, uświetniły ten obraz bogatemi szatami i różnemi ozdobami, a stolica apostolska, uwieńczyła go drogiemi koronami. Takiemi bogactwy okryty, obraz i w ramy złote oprawny, umieszczony jest w ołtarzu hebanowym z czterech kolumn złożonym, a posągami i srebrnemi wotami bogato okrytym. Ołtarz ten wystawił kanclerz Jerzy Ossoliński. Srebrna, misternej roboty blacha, zasłania cudowny obraz, który codzień uroczyście przy odgłosie trąb ukazuje się zgromadzeniu wiernych z rana od godziny 6, kiedy się zaczyna nabożeństwo do południa i po południu od godziny 3 do 5, kiedy odbywają się nieszpory, a po nich śpiewają pieśni i litanije do Najświętszej Panny.

Kaplica ta, która sama przez się jest dość znaczną budową, bo ma 50 łokci długości, a 30 szerokości, podobnież jak i kościół składa

się z dwóch części różnych od siebie dawnością budowy. Ta, w której się znajduje sam obraz cudowny, daleko mniejsza od drugiej, jest pierwiastkową kaplicą, fundowaną od Władysława Jagiełły. Starożytny kształt jej sklepienia, służy za świadka pięciowiekowego jej bytu; ściany jej pokryte są makatami z karmazynowego aksamitu i złotogłowia, i oddziela ją od drugiej połowy staroświecka krata żelazna misternej roboty gdańskiej. Mnóstwo wotów srebrnych różnej formy i roboty szerokim pasem zdobi gzemsy ścian i ołtarza, najciekawsze z nich te, w których umieszczone są wizerunki dawców olejno malowane. Sam nawet obraz Najświętszej Panny, okryty jest bogatemi ofiarami. Do najdawniejszych od Władysława Jagiełły pochodzących, należały srebrne wyzłacane i drogiemi kamieniami osypane promienie, ale już ich oddawna niema; do osobliwszych zaś policzyć trzeba buławę kryształową, nader misternie brylantami wysadzaną ze srebrną złoconą rękojeścią, którą tu Jan Sobieski, będąc jeszcze Hetmanem Wielkim Koronnym, złożył w ofierze i którą dotąd jeszcze na miejscu dochowano. Ośm lamp srebrnych od sklepienia, aż przez sam ołtarz zawieszonych, należy także do liczby ofiar dawnej pobożności królów i przedniejszych mężów narodu. Z obu stron ołtarza widać przejścia, któremi żarliwi pokutnicy na klęczkach po kilkakroć obchodzą obraz Najświętszej Panny. Dwa okna wysoko w górze ściany umieszczone z prawej strony ołtarza, wpuszczają tu niepewne światło, co jeszcze bardziej powiększa uroczystą świętość tego miejsca. Druga połowa kaplicy przestronniejsza i wyższa, o półtrzecia wieku prawie późniejszą jest od pierwszej budową.

Skarbiec kościelny, mieszczący się przy zakrystyi i w sali nad nią będącej, jest bogaty i pełen szacownych pamiątek. Zakonnicy zostający dotychczas na straży tego świętego miejsca, okazują zwiedzającym je, wszystkie godne uwagi ofiary bogobojnych naszych przodków, złożone tu przed obrazem Matki Zbawiciela, które dotąd uszły od zagłady. Ale w skarbcu tym połowa niemal szaf jest pustych, gdzie były niegdyś równe, a może i większe bogactwa. Wojny, potrzeby krajowe, a nakoniec rabunek i kradzież wypróżniły je, a że się i tyle jeszcze ocaliło wśród odmętu gwałtownych wypadków, cudownej chyba opiece niebios przypisać należy.

Po skarbcu ciekawi goście zwykle opatrują bibliotekę, ale ta zawodzi ich oczekiwania, bo już teraz nie ma nic ciekawego. Sala jest wielka i piękna, ale bardzo dziwnie zdobi ją na takiem miejscu, wymalowana na sklepieniu Minerwa pogańska. Książki po kilka razem zachowane są w futerałach, które jak się pokazało nieuchroniły ich od rozchwytania. Pomijając czasy dawniejsze, w r. 1823 wszystkie dzieła rzadkie, jakich tu jeszcze było nie mało, zostały zabrane

z rozkazu ówczesnego rządu przez wysłanego w tym celu dla rewizyi wszystkich bibliotek klasztornych w Królestwie S. B. Lindego, dla biblioteki głównej w Warszawie, a reszta z godną nagany pobłażliwością przełożonych klasztoru, została rozchwytaną przez mniej skrupulatnych bibliofilów, bibliomanów, a zapewne i bibliotasów. Wskutek tego wiele futerałów stoi próżnych.

Gmach klasztorny, oprócz znacznej swojej rozległości, niczem więcej oka nie zastanawia. Lecz widok z okien drugiego piętra jest bardzo rozległy i piękny, osobliwie ku wschodowi, bliżej bowiem leży jak na dłoni stare miasto, czyli właściwa Częstochowa i ulica podwójnym rzędem drzew wysadzona łącząca ją z nowszą osadą i Częstochówką; na lewo kolej żelazna. W dali zaś na prawo sterczy skała Olsztynu, ze swojemi malowanemi zwaliskami o 1 ½ mili ztąd odległa, wprost widać wieże kościoła w Mstowie, a za tymi dwoma punktami górzyste okolice ziem krakowskich. Ku południowi widok jest bliższy i więcej ściśniony, bo w tej stronie stoi tylko kościół Ś. Barbary, z kilkunastoma przyległymi domami, tworzący niejako przedmieście; łączy go z Jasną Górą ulica ocieniona gdzieniegdzie drzewami, a na około uprawne otaczają niwy. Przeciwnie na zachód do granicy Szlązkiej i ku północy, rozścielają się nieścignione wzrokiem łany różnobarwnem zasiane zbożem i w dali zakończone smugiem ciemnych borów.

Część klasztoru ma, jak powiedzieliśmy, przy sobie budowę niejako dotykającą tylko jego obrębu, z wystawą kształtu kościelnego. Tam na piętrze znajduje się obszerna sala, zwana wielką, ozdobiona wielkimi i szacownymi z przedmiotu obrazami, które osłaniają całkowicie ścianę przeciwległą oknom. Wszystkie dziewięć przedstawiają całą prawie historyę Jasnej Góry. Na jednym Władysław książe Opolski oddaje Paulinom z Węgier sprowadzonym ubogi ów kościołek z obrazem cudownym na szczycie jej zbudowanym. Na drugim widać napad i zamordowanie pięciu zakonników przez zbójców, poczytanych za Hussytów; trzeci wyobraża Władysława IV po zwycięztwie Chocimskiem, składającego dzięki Najświętszej Pannie i otaczającego murem Jej świątynię i klasztor. Na czwartem wystawione jest pamiętne oblężenie Częstochowy w XVII wieku: tu widać wodza szwedzkiego, domagającego się u zakonników poddania twierdzy, tu obozy ich roztoczone, tu dzielna postać Kordeckiego z dziwną stałością broniącego od nieprzyjaciół, zostającej pod jego strażą świątyni. Dalej widać obraz sejmu, odbytego w klasztorze w obecności Jana Kazimierza. Przedmiotem szóstego obrazu, jest zaślubienie króla Michała Korybuta z arcyksiężniczką Austryacką Eleonorą. Na siódmym, Jan III, z królewiczami Jakóbem, Aleksandrem i Konstantym, złożywszy

w ofierze wielką lampę srebrną, do dziś dnia przed obrazem Najświętszéj Panny w kaplicy wiszącą, przyjmuje poświęcony i dany sobie od zgromadzenia zakonnego pałasz ze skarbca Jasnogórskiego. Ósmy obraz wystawia uroczyste sprowadzenie z kościoła parafialnego w starej Częstochowie do Kościoła Jasnogórskiego głów ŚŚ. Honorata i Kandydy na obchód III stulecia od założenia tego miejsca z Rzymu przysłanych. Na dziewiątym i ostatnim obrazie widać uroczystość wprowadzenia obrazu Najświętszej Panny do kaplicy odbudowanej po pożarze kościoła, odbytą w r. 1691 przez Jana Małachowskiego Biskupa krakowskiego. Oprócz tych obrazów, wizerunki znakomitszych kapłanów zgromadzenia księży Paulinów, ozdabiają ściany tej poważnej komnaty. Tu historyczna postać pamiętnego męża ks. Augustyna Kordeckiego objawia się w całem swojem znaczeniu. Długa siwa broda spada mu na jego mężne piersi, na których trzyma jedną rękę, a drugą opiera na ołtarzu Bogarodzicy, zwracając do niej pełne niezachwiane ufności oblicze wtenczas zapewne, kiedy w stanowczej chwili dla Jasnej Góry, błagał opieki i zbawienia. Sala ta połączona kilkoma wyjściami z klasztorem, a głównemi drzwiami otwierająca się na chór kaplicy Najświętszej Panny podczas odpustów napełnia się mnogim ludem pielgrzymów. Dawniej służyła ona do dysput teologicznych i nazywała się nawet salą dysput. Teraz jeszcze dwa razy do roku w podobnym celu zbierają się w niej zakonnicy na Ś. Tomasza z Akwinu 7 marca i na Ś. Katarzynę 25 Listopada. Tutaj także ciała zmarłych zakonników drugiej nocy po zejściu składają się na rozciągnionym całunie, zkąd potem dopiero bywają przenoszone na katafalk do kościoła.

W gmachu klasztornym jest studnia, wykuta w skalistej jego posadzie, chroniąca źródło czystej i wybornej wody, która zawsze dla potrzeb miejscowych, a dawniej dla tylokrotnych oblężeńców niezbędną stanowiła wygodę. Prócz klasztoru zaś, mieszczą się w obrębie wałów inne jeszcze budowle, które do dawnej twierdzy należały, to jest magazyny, kuźnia, stajnie i zbrojownia. Mieszczą się w niej teraz klasztorne bryczki i uprząż. Kuźnia i magazyny odpowiadają dotąd swemu przeznaczeniu. Dalej jest apteka z godłem, jak na wszystkich aptekach, a nad nią na górze znajdują się tak zwane pokoje królewskie, które żadnego śladu ozdób odpowiednich swemu przeznaczeniu, ani żadnych pamiątek nie zachowały.

Gmach klasztorny przedstawia budowę odwieczną i trwałą; lecz i ta od działania niszczącego czasu i żywiołów w wielu miejscach już zamienia się w ruinę i gwałtem domaga się podtrzymania i naprawy.

Po prawej ręce przed kościołem, przy dawnym cmentarzu za-

konnym, jest jeszcze kilka innych mniejszych domów, zbudowanych pod wałami, gdzie mieszkają muzykanci ze swojemi rodzinami utrzymywani zawsze przez klasztor. Ztąd prócz zakonników niemała ludność świecka zamieszkuje te mury, co nadaje klasztorowi postać małego miasta obwiedzionego wałem.

W obrębie jego, przed kilkunastoma laty, wzniesiono pomnik sławnemu przeorowi tego klasztoru, Augustynowi Kordeckiemu.

Wały na Jasnej Górze, po wielkich wypadkach wojennych r. 1813 razem z bastyonami, noszączymi dawne nazwy swoich fundatorów: Potockiego, Szaniawskiego, Morsztyna i Lubomirskiego, zostały zniesione do połowy, tak że już niezasłaniają jak dawniej okien klasztornych pierwszego piętra. Odtąd Częstochowa przestała być miejscem warownem. Są wszakże i teraz w niewielkiej odległości od muru i przekopów na panujących wzgórzach ślady bateryi, które przypomina jeszcze, czem była ta mała twierdza dla kraju i jak nieprzerwanie dzieliła z nim niepomyślne losy.

Ze wszystkich stron dawnej Polski i przyległych jej Czech i Węgier, ciągną liczne pielgrzymki do Częstochowy. Największe ich tłumy zbierają się na wielki odpust w uroczystość Narodzenia Najświętszej Panny 8 Września. Kompanije pielgrzymów wyruszają z miejsca po nabożeństwie i błogosławieństwie w kościele, idą z chorągwiami na czele, prowadzeni przez księży, śpiewają nabożne pieśni i litanije do Najświętszej Panny, zresztą dość spiesznie, stawają na noclegi po wsiach na drodze, w których przyjmowani są gościnnie, kiedy w dzień przechodzą wieś, mieszkańcy witają ich z uszanowaniem z żonami, i dziećmi, zalegając tłumnie drzwi i okna swoich chałup, mali chłopcy gapią się na nich, cisnąc się po ulicach i by lepiej widzieć wspinają się na płoty. Przybywszy pod Jasną Górę, kompanja staje i wysyła z pomiędzy siebie sześciu do przełożonego klasztoru z uwiadomieniem o swojem przybyciu Wtedy wychodzi na spotkanie ich procesya; naprzód mnogi lud okolicznych wieśniaków, oraz przybyłych Słowaków, Morawian i Szlązaków, śpiewając z kantyczek litanije, potem zakrystyan z krzyżem i chłopcy posługujący do mszy w komeszkach, w pośród nich, sześciu wysłańców kompanji, ubranych w płaszcze szkarłatne z niebieskiemi wyłogami, należące do bractw, będących przy kościele, potem dwóch zakonników w komżach, a za nimi muzyka klasztorna i jeszcze więcej ludu. Procesya zatrzymuje się pod figurą kamienną, stojącą na pochyłości góry; muzyka wygrywa marsz tryumfalny. Z przeciwnej strony wielka gromada pielgrzymów, pod chorągwią Najświętszej Maryi, spiesznym krokiem dąży na Jasną Górę, wznosząc pobożne pieśni na cześć tej, do której zbliża się cudownego wizerunku. Za spotkaniem się dwóch procesyi

ucichają muzyka i śpiewy i kapłan z Jasnej Góry ma przemowę do pielgrzymów, po skończeniu której, błogosławi nowo przybyłych. Wtedy obie processye łączą się i pod przewodnictwem tegoż kapłana ze śpiewem i muzyką wchodzą do świętego miejsca.

Według M. Balińskiego.

59. Góry Olbrzymie.

Pasmo gór Olbrzymich, zwanych także Sudetami, a właściwie Kierkonoszów, jak je nazywają Czesi, na pozór tylko jest przedłużeniem Karpatów. Po bliższem wpatrzeniu się, przedstawia się ono jako pasmo wcale różne. Za jego granice przyjąć można koryto Odry od wschodu i koryto Łaby od zachodu. Objęte przez te dwie rzeki, biorące początek na jego stokach południowych i wykręcające się na północ, gdzie uchodząc do dwóch mórz jedna po drugiej, w czasach dawniejszych i późniejszych odgranicza siedziby Niemców od siedzib Słowian, kiedy pierwsi je przekraczają coraz dalej. Pomienione pasmo rozciąga się w tymże kierunku jak poprzednio Karpaty od południo-wschodu ku północo-zachodowi i oddziela Czechy od Szlązka, mowę Czeską od Polskiej. W świecie Wschodnio-Europejskim Słowiańskim ma ono przeto takież znaczenie jak Karpaty, stanowiąc przedział wód i granicę fizyczną i etnograficzną.

Góry te zamykające kotlinę Czech od strony północno-wschodniej, przedstawiają się odmiennie od Karpatów. Na południe ku Czechom mają one stoki lekko pochyłe i zarosłe wszędzie lasami, tak iż jeden grzbiet lesisty zakrywa tam drugi aż do grzbietu środkowego najwyższego, który tworzy przewał. Na północ ku Szlązkowi góry spadają stromo. Z daleka przedstawiają się one jako wał prawdziwie olbrzymi, barwy jasno-błękitnej, z krawędzią zębatą, przez większą część roku posrebrzaną śniegami. Wystające z niego szczyty są najczęściej zaokrąglone. Najwyżej z nich wznosi się Śnieżka. Na wschód od niej pasmo szybko się poniża; na zachód ciągnie się dalej i wypuszcza z siebie nowe szczyty podnoszące się mniej więcej po nad ogólną wysokość pasma. U stóp ich miejscami zalegają bagniska i torfowiska, z których biorą początek mnogie rzeki. Wszystkie one płyną do Odry, a tylko krańcowo-zachodnie do Łaby.

Najniższe stoki gór okrywają lasy, pomiędzy którymi w przerwach zalegają kobierce zielonych traw, a na nich krzaki jeżyny, maliny i inne krzewy. Tu i owdzie z szumem pędzą potoki górskie. Idąc za ich biegiem w górę napotyka się zawsze młyn, tartak lub ha-

mernię, których koła rączo obraca ujęta w cieśninę woda i spieniona idzie dalej odrabiać takąż posługę. W dolinach i parowach leżą gęsto i ciągną się długo wioski, tylko szczupłe i z wielkim trudem widać zaorane grunta; więcej jest zielonych łąk, na których pasą się liczne trzody; na stromych spadach wszędzie zarastają lasy, naprzód liściaste, a potem coraz gęściej iglaste.

Najwyższą krainę lasów stanowią gęste bory jodłowe. Dalej las się przerzadza i występują nagie skały czerwonego granitu, w których rozpadlinach rosną biedne trawy, ziółka i drobne krzaczki, gdzieindziej mchy i paprocie. Tu kończą się lasy i zalega pas karłowatych drzewek, rozsianych rzadko wśród głazów i kamieni. Wątłe krzaczki sosniny, dochodzące ledwo trzech stóp wysokości pną się do góry by żyć i wnet opadając wiją się po ziemi, która także nie wiele im daje pożywienia. Drobny skowronek i tu wije swoje gniazdko, a pod nim kwitnie dzika róża i jej kierz w tem pustkowiu istnieje nieznany, aż pójdzie do mieszkań ludzkich w postaci pięknych bawidełek, które wyrzynają i toczą z jego białego drzewa. Powietrze jest czyste, chłodne i rzeźwiące; promienie słońca na pogodnem niebie dogrzewają silniej; na północ w dole rozpościera się daleki i piękny krajobraz: równiny przerzynane wijącemi się po nich rzeczkami, pokrajane w pasy i płatki, starannie uprawnych i zasianych rozmaitem zbożem pól, z biegiem rzeki rozsypane wszędzie osady wiejskie ocienione drzewami, dalej miasteczka, jeszcze dalej miasta. Tam daleko pozostał wszelki ruch i gwar świata, tu panuje uroczysta cisza puszczy, w której słychać głos przyrody, a rzadko bardzo głos człowieka. Na południe piętrzą się wysoko góry, u spodu dziko najeżone gołemi skałami, a na wierzchołkach przypruszone iskrzącym się na słońcu śniegiem, lub osłonięte białemi szmatami obłoków; pod nogami biedna i upadająca na siłach roślinność, która jednak jeszcze żywi kilka krów i kóz pędzonych przez małego pastuszka i wyszukujących sobie skąpą paszę w rzadkich między kamieniami trawach; nad głowami czyste niebo; w górze unosi się sęp, szybujący powolnie w przezroczystych i już rzedniejących toniach powietrza.

Wiosek już tu niema, tylko pojedyncze chaty pastuchów, trudniących się wyrobem nabiału. Na pustych obszarach stoją długimi rzędami wysokie tyki, wskazówki drogi w zimie, kiedy śniegi pokryją jednostajną grubą warstwą wszystkie nierówności gruntu, tak wzgórza jak wąwozy i przepaście, i kiedy przeto podróż nawet niedaleka w tych górach bywa bardzo niebezpieczną. Zimy na tych wysokościach bywają srogie. Wichry od północy wściekle uderzają o ten wał przegradzający im drogę i posępnie wyją po jego parowach i dolinach, miecąc chmury śniegu, które nieraz zasypują aż po dachy znajdujące

się wysoko samotne chatki. Wtedy zagrzebani w nich mieszkańcy tylko przez wystające ze śniegów kominy mogą widzieć dzień i niebo; niekiedy obwały śnieżne spadające z wyższych gór zagrzebują w swoich massach całe zagrody z ludźmi i bydłem i wyrządzają straszne spustoszenia. Odwieczne sosny i jodły trzeszczą i łamią się, ptaki drapieżne kracząc przelatują powietrze, w którem hasa tylko śnieg, i wilk głodny wypada nieraz z pustych lasów ku pastuszym zagrodom.

Jeszcze wyżej znikają stopniowo krzaki i trawy i widać nagie skały. Miejscami tylko mchy wyrastają na nich tam, gdzie już nic nie rośnie. Między nimi pachnący mech barwy złocistej, który rośnie na tak zwanym fijołkowym głazie i dochodzi aż do szczytu Śnieżki, a którego musi nabrać z sobą każdy na pamiątkę swojej tam bytności. Tu skały podnoszą się gładką ścianą, owdzie wystają w różnych załamaniach, tam stoją w słupach, kolumnach, piramidach, jak pomniki grobowe, a wreszcie w najdziwniejszych fantastycznych kształtach, tu opalone przez błyskawice i poorane przez pioruny, owdzie pokruszone w rumowiska przez deszcze, burze i topniejące śniegi; odkrywają się pomiędzy niemi rozmaite przejścia, jak ulice w ruinach starożytnych miast, tu swobodne i prowadzące nie wiedzieć gdzie w jakieś tajemne i straszne ustronia, tam zawalone gruzem, owdzie droga nagle się urywa, bo oto pod nogami odkrywa się przepaść bezdenna; z tej strony jej krawędź gładka jak brzeg kamiennej studni, z drugiej strony niema żadnej krawędzi, bo ściana gładka wznosi się prostopadle od dna, którego niemożna dojrzeć aż do szczytu góry, który zakrywają przesuwające się po nad głowami obłoki. Takie przepaście w górach napotykają się często w różnych wysokościach. Podróżny zapuszcza ciekawe oko w tę niezgłębioną otchłań i widzi w niej tylko chaos skał, a pomiędzy niemi śnieg, który tam leży wiecznie i musi stanowić massę potężną, bo głębokość tych przepaści jest niezmierną i sięga niewiedzieć gdzie.

Niekiedy taką przepaść w miejsce śniegu wypełnia woda, tworząc jezioro, morskie oko. Obszerność takich jezior jest różną i znajdują się one wyżej i niżej. Niektóre zasilane są przez mnogie potoki górskie, tworzące niekiedy najpiękniejsze wodospady i wypuszczają takowe i od siebie; inne jak prawdziwe oka niemają znikąd ani przypływu ani odpływu, i utrzymują zawsze w jednej mierze i jednej wysokości zwierciadło swoich wód czystych i zimnych jak wody górskie, których niewzruszają wiatry w zamknięciu wysokich skał i których dno jest niezgłębione. Jeden z takich stawów górskich zwany Wielkim i Czarnym, leżący u stóp Śnieżki, zamykają skały pionowe wy-

sokie na 600 stóp. Wody jego zawarte w naczyniu granitowem niemają ryb; w innych poławiają się pstrągi.

W tem nadchodzi szary obłok i ogarnia wszystko dokoła. Podróżny nie widzi nic tylko jakiś przesuwający się dym i czuje przejmującą od niego wilgoć. Stoi on w miejscu, nie śmiejąc się ruszyć ani krokiem, by nie wpaść niespodzianie i bez przygotowania do jakiej z tych czarujących ustroni, gdzie znaleźć się tak niechce; czeka tedy aż przejdzie to utrapienie. Jakoż przechodzi ono jak wszystko na świecie, i znowu dzień i dokoła dzikie skały, a w pośród nich grobowa cisza.

W pośród tych pomników wiekowych przewrotów, które w czasach, gdy nie było jeszcze człowieka, utworzyły tę powłokę ziemską, przyszłe jego mieszkanie i wyrzeźbiły ją tak pięknie jak to umie tylko przyroda, w tem samotnem pustkowiu, przedstawia się oczom podróżnika budowa najprozaiczniej porządna, przed którą na tragach leżą różne pakunki, z komina wali dym, a wewnątrz rozlega się gwar pomieszanych głosów. Podróżny wchodzi tam i znajduje liczne towarzystwo mężczyzn i dam, gorącą pieprzną zupę, szynkę, jajami na twardo i piwem krzepiących ciało i ducha do dalszego wstępowania na szczyt Śnieżki.

Droga, a raczej ścieżka przykra i mozolna, nieraz zawalona całkiem kamieniami i gruzem, przez które przebierać się tylko można z wielkim trudem. Ciągle pnie się w górę, nieraz jak po drabinie. W tem drapaniu się nieraz potrąca się kamienie, które lecą na dół bijąc się o skały i spadają gdzieś w przepaść z pluskiem w wodę lub głucho w śnieg; aż wreszcie staje się na skalistej płaszczyźnie, tworzącej grzbiet tego pasma gór. Tu milczące stoją słupy kamienne oznaczające granicę dwóch państw. Na południe Czechy, w których przedstawia się miła osłoniona lesistemi górami dolina, na północ Szlązk Pruski, zalegający w dalekich żyznych i najskrzętniej uprawnych równinach. Gdyby nie ten widok, zdawałoby się być gdzieś w górach Szwecyi i Norwegji.

Nad tym grzbietem podnosi swój szczyt Śnieżka jak niezmierny stos nawalonych głazów. Tutaj droga najcięższa i najtrudniejsza. Lecz choć z wielkim mozołem, staje się i na tym najwyższym szczycie. Tam na niewielkiej płaszczyźnie stoi murowana kapliczka. Niegdyś w niej odprawiało się nabożeństwo, teraz opuszczona i na pół zrujnowana, nim zostanie zupełną ruiną, służy za przytułek podróżnym, którzy niemieckim obyczajem oznajmują niebu i wiatrom zdobycie przez siebie szczytu Śnieżki głośnem uderzeniem w trąby; poczem rozkładają się jak mogą w kaplicy na nocleg, by wypocząć po tylu trudach, i wedle nakreślonego programu do które-

go z namysłem i bez namysłu stosują się prawie wszyscy, widzieć z tego szczytu wschód słońca, i w perspektywy, które być muszą koniecznie u każdego, na północ Prusy, na południe Austryę, a na zachód w odległości Saksoniję.

St. Str.

60. Górale Szlązcy.

Mieszkańcy gór Olbrzymich zajmują się głównie pasterstwem. Lato spędzają w górach ze swoimi trzodami i dopiero na zimę wracają do swoich wiosek, gdzie zajmują się tkactwem i innemi robotami. Lud to dobroduszny i pracowity, i przy nieustannej pracy spokojny i wesoły. Natura ich łagodna i w prostocie i ubóstwie zachowują oni wiernie zwyczaje i podania, przekazane od przodków, a oraz dawne cnoty. Po wsiach ani słychać o kradzieży. Nieraz w chacie niema nikogo i ta zamyka się tylko drewnianą zasuwą. Gościnność tam starodawna. Na cudzoziemca stawającego pod ich dachem poglądają z razu nieufnie i z niejaką obawą; bliższa jednak znajomość zawiązuje się prędko i wtedy bywa on przyjętym z całą serdecznością i prawie należy do rodziny. Ta rodzina zwykle bywa liczną. Najczęściej składa się z dziadka i babki, rodziców i mnogiej dziatwy. Zgoda w niej i jedność nieustanna, bo karność wielka i poszanowanie i uległość dla wieku i starszeństwa w rodzie. Wszyscy pracują i biorą się do tego od dzieciństwa. Życie czynne, proste, wstrzemięźliwe i zbliżone do natury ciągłą pracą i świeże i ostre powietrze gór, na którem ci ludzie przez większą część roku spędzają dnie i noce, a nadewszystko spokój ducha i zadowolenie ze swego stanu, utrzymują ich w czerstwem zdrowiu, choroba jest u nich nieszczęśliwym i rzadkim wypadkiem, dochodzą najpóźniejszej starości i zadziwiają swoim wiekiem, na który niewyglądają wcale, a jeszcze bardziej siłą, zdolnością i ochotą w takim wieku do pracy. Pasterstwu oddają się z wielkiem zamiłowaniem i kochają swoje bydełko: Gospodarz pilnie dba o jego wygodę, a dzieci z niem się pieszczą. Wieczorem kiedy trzoda wraca z pastwiska, cała rodzina wychodzi na jej spotkanie. Dziatwa z radością wita jak po długiem niewidzeniu swoje krowy i wiesza się im na szyję; gospodarz tymczasem wymiata i wyporządza im oborę, wyściela słomą i zakłada świeżem sianem, każda krowa zna swoje miejsce i gotowa go w razie potrzeby bronić, i bydło zadowolone jak i ludzie zabiera się do wieczornej strawy w obo-

rze oddając swoje spienione mleko w czyste na wzór i podziw skopki.

Całą porę życia przyrody, góral spędza pod gołem niebem wobec dzikich i surowych jej piękności, które podziwiają ludzie wykształceni, a które on w swojej prostocie pojmuje lepiej, bo w ciągłej i bliższej styczności bardziej się w nie wtajemnicza. Wprawdzie sposób zapatrywania się prostego górala na piękności swojej przyrody, różni się bardzo od zapatrywania się na nie człowieka z tak zwanem wykształceniem, a głównie w tem, że pierwszy nie analizuje tych piękności, a kocha całość swojej przyrody, tak iż przekłada ją nad każdą inną. Kiedy dla innych bywa ona tylko krótkotrwałą zabawką w ich podróży, on bez niej żyć nie może, i kiedy okoliczności życia oddalą go od jego ojczystych gór, tęskni za niemi i nic go nie zdoła zaspokoić jak powrót do ukochanego kraju. Takie przywiązanie do ziemi rodzinnej cechuje wszystkich w ogóle górali, i niemają go albo mają w daleko mniejszym stopniu mieszkańcy równin.

Życie rodzinne w górach jest ściślejsze aniżeli na równinach. Przyczynia się do tego niemało i odosobnione mieszkanie tych rodzin w chatach często samotnych i od siebie oddalonych. Święta Bożego Narodzenia są porą najweselszą dla mieszkańców gór Olbrzymich. Kiedy śniegi zasypią wszystkie drogi i ścieżki w górach, przerwą wszelką komunikacyę i trzymają wszystkich w oblężeniu, rodzina góralska skupiona u swojego ogniska wystarcza sobie zupełnie i najweselej spędza ten czas, w którym największą przyjemnością darzy opatrzone dobrze mieszkanie, ogień na kominie, obfita śpiżarnia i zebrane razem towarzystwo osób najdroższych. W lecie najweselszym bywa dzień wypędzania trzód na pastwiska w góry. Wtedy wszystkie okolice są ożywione przez ten pochód pastuchów ze swojemi trzodami i rozlegają się radosnym śpiewem i nawoływaniem, któremu wtóruje odgłos dzwonków i ryk niemniej szczęśliwej i rozweselonej trzody.

Mieszkania górali Szlązkich podobne są do mieszkań polskiego ludu, ale są daleko lepsze; około ogrodów i podwórza mają oni zwykle płoty z tyczek jodłowych, sosnowych lub świerkowych; bardzo rzadko trafiają się parkany z desek lub drzewa kładzionego w słupy garowane. W niektórych tylko wsiach w powiecie Kluczborskim naprzykład, w Ligocie polskiej i niemieckiej przy Kluczborku, w Sternalicach w powiecie Oleskim mają dobre parkany z wrotami z tarcic, gdzie podwórza zamykać mogą porządnie. Tak jest po części i w Kosęcinie i w Sodowiu w powiecie Lublinieckim, w Chorzowie i w Piekarach niemieckich przy Bytomiu, gdzie też dla braku drzewa zaczynają stawiać parkany murowane. W powiecie Pszczyńskim lubo tam

drzewa nie braknie mało dbają o płoty; natomiast ogrodzone są tam obszerne lasy. W powiecie Raciborskim wiele jest wsi, gdzie utrzymują płoty plecione z chróściny. Nad granicą Polską chłopi mają wrota do podwórków na obłąkach czyli wiciach dębowych, ale mało kiedy je zawierają; służą one tylko na to, aby im gadzina (świnie, gęsi i t. d.) niewychodziła. Od wiosny aż do Ś. Michała takowe wrota stoją wciąż otworem, bo w tym czasie bydło idzie na samopas i jak lud miejscowy utrzymuje wolno wtedy bydłu iść na cudze grunta. Chodzą też wtenczas świnie całemi stadami i czynią w polach i ogrodach niezmierne szkody.

Chata Górala Szlązkiego ma zwyczajnie tylko jedną izbę mieszkalną. Tu przy drzwiach stoi wielki ceber do wody, bardzo rzadko stągiew. Przy nim szafa (półka) na misy i garnki. Dawniej póki przechód przez granicę był wolny, leżało na takowej półce i na pokładce, przyprawionej nadedrzwiami aż do komina, jakie kilkadziesiąt garnków zielonych częstochowskich, które oznaczały zamożność i ozdobę domu; teraz używają garnków żelaznych. Pod oknami stoi długa ława, przed nią stół, a przy nim mała ławka; nad ławą zawieszona jest listwa, za którą bywają ustawione talerze i małe garnuszki. Stołki znachodzą się tylko u rzemieślników, jakoteż i szafy na wieszanie odzieży. W rogu izby stoi szerokie łoże, w którem sypiają gospodarz, jego żona i małe dzieci. Dla dzieci większych stoi w drugim rogu wyrko (cztery koły zbite deskami i nakryte barłogiem) doroślejsi śpią za piecem, lub gdzie się kto porzuci. Na ścianie wisi kilka obrazów na szkle malowanych lub w innych w ramy i za szkło oprawionych. U drzwi przy komorze stoją żarna, konwie, skrzynia i lada do sieczki. Otóż i całe bogactwo domowe. W komorze stoją beczki kapuściane i jakie burkloty (stare sprzęty). Na górze jest zboże w solarkach (solówkach); wchodzi się na górę po przystawionej drabinie, bo schody rzadko gdzie się zdarzają. Chlew jest zaraz przy sieni, do którego nie lękają się wchodzić wieczorem z zapalonemi szczapami; latarni nigdzie nie ma, aniby też chłop jak rok długi nie kupił świeczki.

Przed oknami jest kilka grządek, na których chłop na wiosnę sadzi kartofle i kapustę i to jest całem jego ogrodnictwem. Niektórzy tylko pielęgnują w ogródkach szałwią, lubszczyk, piwonję, miętę i boże drzewko. O drzewa owocowe dbają bardzo mało, luboby z nich znaczny mieć mogli użytek; pszczół też trzymają niewiele.

Im dalej zestępuje się z gór, tembardziej znika pasterstwo, a miejsce jego zajmuje rolnictwo. U podnóża gór leżące równiny należą do najuprawniejszych, a oraz najludniejszych w królestwie Pruskiem. Tu już niema dość przestronnych miejsc dla pastucha i my-

śliwca, tu i najmniejszy kawałek gruntu musi dawać chleb, i ludności nacisnęło się tyle, iż nawet nie wszyscy mogą uprawiać ziemię i wielu bierze się do innych robót. Ztąd powstały tu niezliczone rękodzielnie. Szczególniej przędziarze i tkacze zajmują tu całe wioski i okolice, składając niemal połowę ludności. Znana jest wszystkim ich biegłość, a oraz ich ubóstwo. Ze swego własnego lnu wyrabiają oni najcieńsze płótna; w każdej chacie furczą kołowrotki i stukają tkackie krośna. Ale przy najpilniejszej pracy zarabiają oni niewiele, tak że ledwie mogą wyżyć, a ciągłe siedzenie i natłok w nizkich izbach przyprowadza ich do niemocy, wczesnej starości i nędzy. Oprócz tkaczów mnóstwo tu jest i innych rękodzielników. Wyroby tutejsze z drzewa, żelaza i szkła rozchodzą się po całym świecie. Po wszystkich miastach, miasteczkach i kąpielach mineralnych można się napatrzeć na wystawy tych wyrobów i podziwiać ich doskonałość, a jeszcze bardziej ich nadzwyczaj nizką cenę. Ogromna ludność, by utrzymać się, rozwija tu czynność niesłychaną. Każdy jest albo rolnikiem albo rękodzielnikiem, albo handlarzem; albo wyrabia co własnemi rękoma, albo roznosi cudze wyroby, chodząc z nimi od miasteczka do miasteczka, by zarobić kilka groszy na dzienne utrzymanie. Niektórzy zajmują się wyłącznie zbieraniem po górach lekarskich ziółek i korzonków. I ten przemysł podzielony na właściwe gałęzie zajmuje znaczną ilość ludzi, którym daje utrzymanie. Takie życie pełne rozmaitości, trudu i mozołu wre na górach Olbrzymich jak w ulu pełnym pszczół, od podnóża aż do szczytów.

Z zapisek podróżnych.

61. Kujawianie.

Kraj rozciągający się na zachód od średniej Wisły i składający się dawniej z województw: Brzesko-kujawskiego i Inowrocławskiego i ziemi Dobrzyńskiej nazywa się Kujawami. Piękna to okolica, bogata w łąki i pastwiska i oblana mnóstwem strumyków. Ziemia urodzajna, a w braku wielkich lasów znajduje się wiele zagajeń.

Mieszkańcy zręczni do wszystkiego, trudnią się najwięcej rolnictwem i hodowaniem bydła. Kobiety oddają się gospodarstwu, używając większej części czasu na przędzenie i robienie płócien. Kujawiacy są gościnni, otwarci i roztropni; przy szybkiem objęciu, odznaczają się wielką prostotą charakteru. Mówią czystą polszczyzną, do której mieszają kilka prowincyonalizmów.

Ubiór kujawiaków składa rodzaj długiej kamizeli, albo kafta-

na sukiennego z trzema rzędami świecących guzików, na którym noszą pas bawełniany, lub jedwabny koloru amarantowego, spodnie letnie z płótna, zimowe zaś z sukna lub skóry; sukmana koloru niebieskiego z wyłogami i podszewką amarantową. W czasie niepogody, zarzucają na ramiona rodzaj płaszcza z kapturem, który nazywają opończą. Włosy noszą dosyć długie, starannie podcięte; mężczyźni starsi noszą wąsy, lecz nigdy brody. Kapelusz czarny, nizki, u góry przyozdobiony jest świecącym sznurkiem, a u dołu szeroką wstążką, gdzie zatykają robione kwiaty i pawie pióra. W ręku noszą kij, okuty ołowiem.



Kujawianie.

Ubiór kobiet zamężnych w Kujawach, jak w innych okolicach, mało się różni od ubioru młodych dziewcząt. Noszą kaftan długi, z sukna niebieskiego bez fałdów, zaś młode dziewczęta krótki i bardzo fałdzisty. Pierwsze pokrywają głowę czepkiem, który wstrzymuje ich włosy, drugie ją opasują szlarką lub też chustką jedwabną, którą przyozdabiają kwiatami. Gorset i spódnica sa koloru jasnego, spódnica najczęściej niebieska, z tyłu bardzo fałdzista, a u dołu obszyta szeroką karmazynową wstążką. Pończochy zwykle są czerwone, trzewiki z sukna, obszyte sznureczkiem i przyozdobione na

przodku kokardą. Na ramiona zarzucają szal w duże kwiaty. Tak panny, jako i mężatki lubią pierścionki i naszyjniki. W ręku, zwłaszcza, gdy idą do kościoła, mają białą chustkę.

Kujawiacy, mając wiele łąk i pastwisk, więcej są oddani życiu pasterskiemu, niż inni mieszkańcy polskich równin. Ztąd zachowali wszystkie zwyczaje takiego życia; przytoczymy kilka rysów, które charakteryzują ich obyczaje.

Każda wieś w Kujawach, z małym wyjątkiem, ma swego króla i królowę. Ci czasowi monarchowie używają swej władzy przez rok, od pierwszego dnia Zielonych świątek, aż do tegoż dnia następnego roku. Sądzą poróżnionych, podzielają uroczystości familijne, przewodniczą we wszelkich zgromadzeniach i wszędzie odbierają dowody szacunku i zaufania. Koniec ich władzy obudza współubieganie obojga płci między pragnącymi wyniesienia na ich godność. W przeddzień tej uroczystości, wszyscy pasterze i pasterki wybierają jednozgodnie pastwisko, na które postanawiają zaprowadzić swoje bydło. Pasterza i pasterkę, którzy przyjdą pierwsi na umówione miejsce, witają wszyscy zgromadzeni wieśniacy, jako króla i królowę. Jeżeli przypadkiem zejdą się współubiegające razem, gonitwa roztrzyga i godność przysądzają temu, kto pierwszy dobiegnie do mety. Łatwo sobie można wystawić zajęcie pasterzy i pasterek, którzy czuwają całą noc, aby wyprzedzić innych. Gorliwość ich tem większą jest przez to, że nikt nie może usuwać się od tego zwyczaju; a ten, który przebywa na ostatku, nie tylko wystawia się na tytuł poniżający szlafmycy, na żarty i szykany bez końca swoich współzawodników, lecz obowiązany jest przez trzy dni świąteczne, kiedy wszyscy oddają się zabawom, wypędzać na pastwisko i czuwać nad trzodą całej wsi. Króla i królowę ogłaszają wśród oklasków, powtarzanych przez wszystkich obecnych i przy odgłosie hucznej muzyki, przerywanej mocnem trzaskaniem z bicza. Dają im podarki. Królowi kwiaty i pióra do czapki, chustki i guziki do koszuli, królowej naszyjnik, pierścionki, wstążki i inne drobnostki. Młode dziewczęta robią równocześnie wieńce dla króla i królowej, a bukiety dla całego towarzystwa. Gdy wszyscy obecni opatrzeni są tymi darami, król mianuje komisarzy do uczty, która następuje po rozdaniu koron i kwiatów. Wybiera podkownika, wielkiego kucharza, piwniczego, dyrektora uroczystości, mistrza muzyki i pierwszą śpiewaczkę. Dalej wyznacza tych, którzy będą się starać o drzewo i wodę i zaopatrzą w inne potrzeby towarzystwo. Wtenczas każdy oddaje co przyniósł marszałkowi, jeden daje gęś, kurę, kaczkę, inny pieczeń lub kiszkę, słoninę, ser, mleko, masło, jaja, kaszę, mąkę, chleb i t. d. Gdy tymczasem komisarze starają się przysposobić ucztę, pasterze rozmawiają, śpiewają, żartują, grają

i tańczą. W południe na znak podkownika, komisarze rozpościerają obrusy na trawie i stawiają przygotowane potrawy, niedając jednakoż innych napojów, oprócz wody i mleka, które jedynie pozwolone są przy tej okoliczności. Odgłos trąb oznajmuje nareszcie gościom, że uczta ich czeka. Zabierają swoje miejsca. Pierwsze należy się parze królewskiej, drugie ich urzędnikom, po nich siadają inni pasterze, jak mogą zostawiając ostatnie miejsce temu, który na ostatku przyszedł na pastwisko. Każdy z gości nabiera swoją łyżką z miski, która stoi przed nim. Po skończonej uczcie, komisarze zbierają wszystkie sprzęty, czyszczą je i odsyłają właścicielom.

Po uczcie rozpoczynają się zabawy, wśród których wesołość gości ożywiają śpiewy, muzyka i taniec. Na wieczór dziewczęta odbierają korony, jako i inne kwiaty zwiędłe, a natomiast przynoszą świeże. Tymczasem pasterze wybierają z pomiędzy swego bydła wołu, okrywają go białem płótnem i uwieńczają rogi girlandami z kwiatów. Jeżeliby go właściciel poznać nie mógł, wtedy jest obowiązany go wykupić. Gdy już wszystko jest przysposobione, rozpoczyna się pochód tryumfalny, któremi przewodzi kowal, mający na ramieniu białą przepaskę, pistolet za pasem i bicz w ręku. Dwunastu pasterzy towarzyszy mu z podobnymi biczami, za nimi postępuje pierwsza śpiewaczka i dwanaście pasterek z koszykami, napełnionymi kwiatami. Król i królowa przybliżają się: pierwszego prowadzi dwóch pasterzy, drugą dwie pasterki. Dziewczęta wyściełając kwiatami drogę królewskiej parze, śpiewają stosowne pieśni. Po nich następuje muzyka, składająca się ze skrzypców, basetli, wielkich i małych piszczałek i trąbek. Teraz okazuje się wół, prowadzony na wstążkach, za którym idzie dwunastu pasterzy napełniających powietrze trzaskaniem z bicza i nakoniec widać ciągnącą się resztę pochodu. Przy wejściu do wsi, kowal daje wystrzał ze swego pistoletu, poczem rozpoczyna się trzaskanie z bicza i nie prędzej kończy się, aż za drugim wystrzałem. Wszyscy ze wsi wychodzą naprzeciw orszakowi, uderzają w dzwony i wykrzykują w około: „Niech żyje król! niech żyje królowa!“ Całe grono przechodzi około domu sołtysa, który równie jak i drudzy wieśniacy obdarza parę królewską. Zgadują do kogo należy wół i zakłady o to obracają na korzyść króla i królowej. Po chwili odprowadzają pasterze (idąc w przepisanym porządku) wołu temu, do kogo należy, i który go też wykupuje. Ostatni zwykle bardzo bogaty, zaprasza wszystkich do karczmy i częstuje ich wspaniale. Te zabawy trwają jeszcze przez dwa dni następne. Podczas tego pasterz leniwy, mając przy sobie psów wiernych, pasie trzodę z całej wsi, nie będąc jednak wyłączonym od zabaw wieczornych.

Zwyczaj ten sięgający najdawniejszych wieków jest niezawo-

dnie pamiątką z czasów poprzedzających Chrześcijaństwo. Nazwiska króla i królowej są wynalazkiem pokoleń późniejszych; takowe bowiem u dawnych Słowian nie były znane.

Kujawiacy mają zresztą te same zwyczaje, co Mazury i Wielkopolanie. Ceremonije ślubne tylko różnią się cokolwiek. Gdy swat oświadczył się w imieniu starającego się i otrzymał zezwolenie rodziców panny, odbywa się po dwóch tygodniach wesele, przez ten czas czynią potrzebne przygotowania, aby przyzwoicie przyjąć zaproszone osoby, zabijają wołu lub krowę, pieką placki i robią różne przysmaki. Młoda para, w towarzystwie parobków i dziewcząt, odwiedza wszystkich we wsi tak bogatych jako i biednych i zaprasza na wesele. Przed udaniem się do kościoła, dziewczęta prowadzą narzeczonę do dworu pańskiego, gdzie jej głowę wieńczą kwiatami. Za powrotem jej pierwszy druch odzywa się do towarzystwa: „Panna młoda gotowa do ślubu: wozy czekają przed domem: czas do kościoła!“ i podaje rękę pannie młodej; zaś drugi druch bierze za rękę pana młodego, i tak ci dwaj prowadzą młode państwo przed rodziców, ażeby im podziękować za wszystkie dobrodziejstwa. Narzeczeni rzucają się do nóg rodzicom, kłaniają się przed swymi krewnymi i przyjaciołmi i proszą o błogosławieństwo; na co ojcowie łączą ręce swych dzieci, matki kropią ich wodą święconą, a młodzi piją za ich zdrowie. Po tej ceremonji wychodzą z domu wszyscy poprzedzani przez muzykę. Sześciu druchów w białych przepaskach, trzymając w lewej ręce chustkę, a w prawej krótki bicz, towarzyszą konno narzeczonemu. Narzeczona, siedząca na wozie z czterema dziewczętami, trzyma w ręku bukiet kwiatów. Najpierwsze we wsi śpiewaczki i kobiety zamężne wsiadają na drugie wozy, których pochód zamykają najstarsi mężowie ze swojemi żonami, kiedy wozy już ruszają z miejsca, muzyka baczna na znak pierwszego drucha zaczyna grać Kujawiankę, woźnice trzaskają z biczów, a młodzi śpiewają piosnki narodowe.

Cały orszak wchodzi do kościoła w największym porządku. Pierwszy druch oznacza każdemu miejsce, które ma zająć. Gdy wszyscy weszli, organista śpiewa *Veni Creator*, ksiądz ma mowę i daje ślub, po którym zgromadzenie wraca do domu wśród śpiewów, muzyki i radosnych okrzyków obecnych. Wtenczas dopiero pani młoda zajmuje miejsce między mężatkami, witającemi ją na progu chlebem i solą. Pan młody rozpoczyna tańce. Ustawiają stoły, na które znoszą butelki z wódką, biały chleb, placki, masło i ser. Potrawy, z których objad składać się powinien są, czernina z prosięcia, gęsi albo kaczki, kluski, rzepa z mięsem, różne gatunki pieczeni, kapusta z kiełbasą i słoniną, a na ostatku jabłka i orzechy.

Po obiedzie wracają wszyscy do zabaw, które trwają bez przer-

wy, aż do oczepin. Po ukończeniu ich, goście wstają, parobcy i dziewczęta tańczą po kolei, a pierwszy druch staje przed muzyką, uderza nogą i śpiewa do pani młodej piosenkę. Skończywszy ją, bierze do tańca panią młodę, która po przetańczeniu kilka razy, siada na dzieżce. Dziewczęta ją otaczają, rozwiązują jej warkocz i śpiewając, wynurzają jej swój żal, że go musi stracić. Jedna z najstarszych kobiet obcina jej włosy i kładzie na głowę czepiec. Potem dają wieczerzę, która się składa z gęsi pieczonych, nadzianych jabłkami, placków z rodzenkami, owoców i napojów w dostatku. Nakoniec dziadek rozpoczyna polskiego z panią młodą bardzo wolno. Za nimi idą wszyscy mężczyźni i kobiety w wieku i w ten sposób kończy się pierwszy dzień wesela.

Przyjaciel ludu.

62. Gopło.

Sławne w dawnych naszych dziejach, jezioro Gopło, leży częścią w teraźniejszem Królestwie Polskiem, w okolicach, gdzie schodzą się granice powiatów włocławskiego i konińskiego, częścią w Wielkiem Księztwie Poznańskiem, ma 4 mile długości, przeszło pół mili szerokości, wiele zatok i zakrętów, kilka wysepek i kilka półwyspów. Brzegi jeziora są równe, płaskie, nagie całkiem, ogołocone z drzew i lasów, ale za to gęsto obsiane wsiami. Głębokość jego wynosi mniej więcej sążni 16. Woda jego tem osobliwa, że kolor swój zmienia raz poraz, zwłaszcza tam, gdzie strumień Noteci zwolna i poważnie płynie.

Dalszy ciąg Gopła stanowią jeziora Melno i Sleszyńskie, które się przelewa aż ku Warcie, poniżej Konina pod Morzysławiem. Wody jeziora Sleszyńskiego poczynają się o pół mili od miasta Sleszyna, w lesie należącym do tego miasta. Dalej rozlewają się one w kształcie kotwicy: prawe ramie zachodzi pod Bieniszew, gdzie na wysokiej górze, Sowią zwanej, jest klasztor księży kamedułów, lewe zaś kończy się za Licheniem, niegdyś miasteczkiem, dziś wioską. Brzegi, osobliwie w początku, wysokie. Długość jeziora od północy na południe, wynosi milę całą, a od zachodu na wschód blizko dwie mile. Stanowi ono jedną całość, lecz z powodu nieznacznych przerw, wodom jego nadają odmienne nazwiska. I tak poczynając z góry około miasta Sleszyna nazywa się jezioro Sleszyńskiem, poniżej około Mikoszyna Mikoszyńskiem, pod Łężynem Łężyńskiem; na zachód Bieniszewskiem, Pątnowskiem, Gosławickiem, na wschód Licheńskiem.

Na początku jeziora leży bór Sleszyński, pełen zarośli, gąszczów, wądołów i kryjówek. Część jego, zwana Czarnym borem, przeraża swoją ponurością. Cały zabrzeg jeziora naprzeciw Mikorzyna zaludniony jest licznemi i rozkosznemi osadami. Począwszy od miasta Sleszyna, ciągną się schludne wioski aż do Wąsocza, gdzie na wysokim pagórku widać kościół Ś. Krzyża, słynący cudami. Głębokość wody dochodzi 16—20 sążni i jest tem niebezpieczniejsza, że brzegi przykre i strome zaledwie kilka kroków mają mielizny. Wśród wody leży mała wysepka; podobno to jest miejsce, gdzie dawniej przed r. 1416 leżała wieś Lubomyśl, a na wzniesionem wśród niej miejscu świetniał wspaniały zamek. Wszakże i tej wsi i tego zamku nie ma już i śladu. Do jeziora spływają strumienie: jeden z pod Wilczyna i Marszewa, drugi z pod Gogolina, trzeci z pod Sławoszewa; i wszystkie połączywszy się powyżej Pątnowa, wpadają następnie do części jego, zwanej jeziorem Pątnowskiem. Strumyk pierwszy przepływa przez jezioro, leżące pod wsiami Ostrowitem i Izdebno. Jezioro to długie jest pół mili, szerokie 250 sążni. Jezioro Lubstowskie, leżące na zupełnie osobnej drodze od Gopła do Warty, osobną także ma dolinę, którą dziś ulewa swoje wody na jednę i drugą stronę. Jest ono długie pół mili, szerokie 200 sążni. Dolina jego na 3 mile długa, poczynając się od Gopła ze strony wschodniej, przytyka nieprzerwanym smugiem do rzeki Warty pod Wólką, albo Grójcem. Chociaż jezioro Lubstowskie położone jest daleko niżej od Sleszyńskiego i Gosławickiego, jednak podobnież, jak to ostatnie, znajduje się na samym punkcie przewagi między Wartą i Gopłem. Na te dwie przeciwne strony ulewane jego wody, roztaczają się po całej przyległej równinie.

Długosz opisując Gopło, naznacza jego początek w końcu południowym przy źródłach Noteci, znajdujących się pod miasteczkiem, a dziś wioską Noteć. W drugim końcu północnym, pod zamkiem Szarleje wedle niego wyrzynała się znowu Noteć. W końcu południowym, między Wartą a Gopłem, dwa tylko wymienia jeziora: Sleszyńskie i Lubstowskie. Z pierwszego wylewa się rzeka Goplenica do Warty pod Moszysławiem. Długości naznacza mu mil 5, początek pod górą Przewłoki. Dziś zupełnie inny stan tych jezior widzimy: dziś jezioro Gopło przy wsi Noteci nie jest zaraz ogromne, nie ciągnie się na północ pod zamek Szarleje, ale kończy się pod Kobylnikami za Kruszwicą; tu rozciągają się błota Bachosze, a dopiero o ćwierć mili poczyna się jezioro Szarlejskie, ciągnące się na pół mili aż do Łojowa. Dziś nie znajdujemy już owej spławnej rzeki Goplenicy; zaledwie ślad tylko jej koryta wynaleziono w strudze błotnistej. Zbadanie tych okolic przekonało, że wody jeziora Sleszyńskiego mają około 3 stóp większy spadek na Gopło, aniżeli na Wartę;

że najwyższy punkt pomiędzy temi jeziorami jest w końcu jeziora Gosławickiego, w tem właśnie miejscu, gdzie przedtem wyrzynała się Goplenica ku Morzysławiu, a wysokość jego nad powierzchnią Gopła, wynosi dziś do stóp 11. Wszystko to dowodzi, że przez ułatwienie od wpływu wody jeziora Sleszyńskiego ulały się do Gopła, a temi spłynęły dalej. O zmianie stanu wód tych jezior znajdujemy dowody w dokumentach granicznych, równie jak w podaniach gminnych. Jest ślad w Gosławicach, że tam gdzie dziś najszerzej woda się rozlewa, była wieś i grunta plebańskie. Z zamku wybudowanego przez Bolesława Chrobrego, a po wydarzonej pogorzeli zamienionego na browar, widać że dawniej tylną bramą był wyjazd na drogę, która prowadziła prosto do Konina. Dziś z tej strony woda podchodzi pod sam zamek i płócze próg bramy, a z jeziora letnią porą przy nizkiej wodzie pokazuje się figura Ś. Jana, stojąca zapewne nad dawną drogą. Jawniejszy jeszcze dowód owej zmiany stanu wód znajdujemy w Mikoszynie. Wieś tę założono dopiero około r. 1416 przez Klarę Mikoszyńską, oblewa pierwotne jezioro Sleszyn w postaci wielkiej rzeki, ujętej między wysokimi brzegami, które jeśli się niekiedy pochylają, to jedynie dla utworzenia żyznych łąk i nizin. Tutaj to pokazują w niewielkiej odległości od Sleszyna początek grobli, którą niegdyś jeździło się od tego miasta do Lichenia; ginie ona w głębokości jeziora największego w tem miejscu. Tam gdzie teraz jezioro Mikoszyńskie, leżała przed r. 1416 wieś Lubomyśl; dziś ujrzeć można tylko małą wysepkę, zapewne najwyższy punkt tej wioski, na którym stał wspaniały zamek. Zmiana łożyska tych wód i opadnięcie jezior Sleszyńskiego i Gopła, a z niemi przerwa niespławu i handlu w tych stronach, sprawiło upadek całej tej okolicy. Upadła Kruszwica, niemasz miast Noteci i Lichenia, znikły ludne wsie nad jeziorem Sleszyńskiem i nad Goplenicą położone, chociaż dobroć i żyzność gruntu zdawały się zapowiadać im trwałość.

C. Biernacki.

63. Kruszwica.

Liche to miasteczko, dawniej w województwie Brzesko-Kujawskiem, obecnie w W. Księztwie Poznańskiem, regencyi Bydgoskiej, powiecie Inowrocławskim położone, a liczące ledwo 50 chat krytych dachówką lub słomianą strzechą, a 400 głów ubogiej ludności, zajmującej się jedynie rolnictwem, było niegdyś stolicą Lechitów, mianowicie dwóch ostatnich Popielów. Dziś stanowi relikwiję ojczystej

przeszłości. Zdala ona widna nad Gopłem w położeniu pięknem i obronnem choć obecnie bardzo zmienionem. Na pagórku będącym niegdyś wyspą, a dziś wznoszącym się nad samym brzegiem modrego jeziora, na okrągłej z granitów podstawie wznosi się ośmiokątna, doskonale z cegły murowana wieża. Wysokość jej ma 127 stóp, mury zaś u spodu 8, w środku 7, a u wierzchu 5 — 7 stóp grubości. Ten zabytek kosztowny, okazały i wieczysty, jak przez krzepkie tylko ręce mógł być wystawiony, tak w najdawniejszych wiekach nie musiał mieć przeznaczenia pospolitego. Wszystkie murowane budowle z czasów poprzedzających Kazimierza W., jakiemi są między innemi: kościołki w Gieczu, w Krobi i indziej, przy zwyczajnej karłowatości noszą wszędzie piętno niezmiernej pracy i kosztów. Wystawienie wieży Kruszwickiej należy bezwątpienia do najpiękniejszéj epoki handlu i bogactwa tego miasta, a natenczas musiała służyć zarazem dla straży i przyświecania żegludze. W tym tylko przypadku mogła odpowiadać swemu kształtowi, wielkim kosztom trwałości i szczególniejszemu położeniu.

Do wieży przypierają resztki ścian także ceglanych, co zostały z dawnego zamku; na równo z ich wysokością jest w baszcie otwór, dokąd się, jak to zwykle bywało, z zębatego szczytu owych murów wchodziło; na reszcie przestrzeni pagórka ślady podwalin i gruzy zamczyska. W dziele Puffendorfa widać na rycinie, jako zamek ten wyglądał w wieku XVII. Baszt niższych miał jeszcze kilka, a style ostrołukowy i odrodzenia, nadawały głównie charakter budowli. Po zniszczeniu dokonanem przez Szwedów (czego pozostała lustracya), już się więcej nadgoplański zamek nie dźwignął, a roniąc swoje mury w nurty jeziora i dostarczając cegieł na inne budowle, doczekał się aż tego, że król pruski zachował popielowską wieżę od zupełnego upadku. Poniżej tego grodziska stoi kilka ubogich chat rybackich, a Gopło z trzech stron oblewa cały pagórek. Wprost baszty wzniósł się z cegieł wyszarpanych z murów zamczyska pałac właściciela Niemca, co dziś Kruszwicę posiada. Gdzie się sadowił pierwszy tron rodzącego się państwa, tam teraz w poprzek szerokości Gopła, w południowej jego części, Królestwo Polskie kongresowe z W. Księztwem Poznańskiem graniczy.

Królowi Pruskiemu i jego amatorstwu starożytności, zawdzięczamy też restauracyę spustoszałej katedry Kruszwickiej. Stoi ona na bezdrzewnem pustem wzniesieniu na południowym brzegu Gopła, naprzeciw miejsca, które wskazuje podanie jako pole, gdzie stała chata Piastowa. Na tym podobno gruncie chciano sypać w r. 1863 mogiłę ku pamiątce narodowego tysiącolecia. Cała budowla dawnej katedry później na kollegjatę zamienionej, jest z sześciennych kostek granitu

i piaskowca; prócz ścian wieży (123 stóp wysokiej) w wyższych piątrzeniach wzniesionej z kamienia mieszanego z cegłą, a u szczytu z samej cegły. Ów granit, z którego stanęły świątynie na Kujawach, zwozić miano Gopłem z okolic Konina. Rozmiar wewnętrzny wspólny wszystkim prawie kościołom tej budowy. Trzy z każdej strony arkady oddzielają nawy niesklepione, ale nakryte pułapem belkowanym, ubranym skrzyńcami z żółtemi gwiazdami na tle niebieskiem. Ołtarze strojne w stylu rokoko. W kościele za wiele światła, a złoceń do przesytu. W ogóle restauracya wykonana wedle studyów romańskich świątyń i z chęcią poszanowania pierwotnej postaci, jaka się tutaj z czasów blizkich początków XII wieku zachowała, i mieści w sobie pewnie i szczątki murów z czasów Mieczysława. Brak jednak w tej robocie katolickiego poczucia i odgadnienia dawnej postaci drobnych napozór szczegółów, widać tylko chłodne protestanckie naukowe studyum, które restaurującemu budowniczemu zastępowało to religijne uczucie, z jakiem pewno brał się do dzieła ów architekt, co tę katedrę wystawił. Teraz po restauracyi niema tu wewnątrz uroczystości jaką wieki, pamiątki i cudowne obrazy nadają. Wychłodło wszystko, coby aż Piastowskie czasy przypominać mogło. Wreszcie restaurator tyle miał smaku, że na okalającym kościół cmentarzu, umieścił ku ozdobie szklanne kule na słupach, używane zwykle do strojenia piwnych ogródków.

Dziś w samotnem odosobnieniu stojąca kollegjata i znajdowane w rozmaitych od niej kierunkach fundamenta dawnych budowli okazują, jak daleko rozciągało się to niegdyś świetne miasto; zaś te zabytki odnoszą się wszystkie do czasów poprzedzających wiek XII. Stołeczna wielkość Kruszwicy, jak słusznie uważa Szajnocha, jaśniała dotąd, póki miastu starczyło tych wód, co goplańskie głębie handlowym gościńcem z Wartą, Wisłą i Baltykiem łączyły. Wszystkie statki z Warty, Prosny, Neru, Widawki, Liswarty i Obry płynące do Gdańska, tędy przeprawiać się musiały. Woda broniła, woda żywiła. Gdy więc skutkiem przemian fizycznych zmieniła się i zerwała ta siatka wodnych ścieżek, niepotrzeba było nawet wojen i nieprzyjacielskiej pożogi, a upadła Kruszwica, bo inne warunki narodowego gospodarstwa, kazały szukać innych dla niego ognisk.

Dziś to miasto, wedle słów zapisanych w kronice Galla, opływające niegdyś w ogromne zbytki i bogactwa, jak ów starożytny ziemią zasuty Giecz, uważane być może za polskie Herkulanum.

C. Biernacki.

64. Gniezno.

Najpierwsza stolica Polski, a następnie tylko jej prymasów, dziś miasto powiatowe w W. Księztwie Poznańskiem, regencyi Bydgoskiej, leży między wzgórzami wśród jezior i stawów o mil 6 ½ od Poznania, a 8 od Bydgoszczy i ma ledwo kilka tysięcy mieszkańców, trudniących się: płóciennictwem, garbarstwem, warzeniem piwa i pędzeniem wódki.

Gniezno tak jak Rzym, Carogród i Moskwa, wznosi się na siedmiu wzgórzach. Dzieje tego miasta pamiętne są w naszej historyi i wiążą się ściśle z całą osnową chrześcijańskiej u nas oświaty. Pominąwszy ciemne i zużyte podania kronikarzy, jakoby Gniezno założone przez Lecha w r. 550, miało być przez niego tak nazwane od znalezionego tam orlego gniazda, albo od tego, że wódz ten wyrzekł do swoich towarzyszów: „Gnieździmy się tu!" niewątpliwą jest rzeczą, że to miasto jest jedną z najdawniejszych w tym kraju osad Polanów, prawdziwem ich gniazdem i już musiało być zabudowane znakomiciej i liczniej zamieszkałe od innych osad w VI wieku. Tu była stolica pierwszych monarchów polskich aż do Mieczysława I, który więcej już przebywał w Poznaniu. Tu na jednym z siedmiu pagórków, zwanym Górą Lecha, stała świątynia pogańska Nyi (bóstwa moru), lecz gdy dnia 5 Marca r. 965 Mieczysław ze starszyzną polską przyjął chrzest Ś. od Bohowida kapłana Czeskiego w kościele gnieźnieńskim, zbudowanym na wyspie pośród jeziora Lednicy, w krotce potem kazał ową świątynię zburzyć, i cześć oddawaną bożkom słowiańskim znieść na całej ziemi polskiej. Następnie zaś wystawił na jej miejscu kościół katedralny pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświęt. Panny Maryi, którego pierwszym pasterzem był Willibald Francuz, zmarły r. 970. W tej świątyni Bolesław Chrobry złożył ciało Ś. Wojciecha, czwartego z kolei arcybiskupa Gnieźnieńskiego, umęczonego za wiarę od Prusaków, przewiózłszy je z Trzemeszna, a wprzód jeszcze zostały w niej pochowane zwłoki Dąbrówki, żony Mieczysława I. Szanowne szczątki tej, której Polska winna światło wiary i swoje uobyczajenie, zostały odkryte r. 1842 w tej katedrze przed wielkim ołtarzem, przez arcybiskupa Marcina Dunina. Tu nakoniec spoczywa Judyta, małżonka Chrobrego. W Gnieźnie r. 1000 Cesarz Otton III, odwiedzający grób Ś. Wojciecha, wspaniale był przyjmowany od tego wielkiego króla i pieszo tu szedł z Poznania po drodze suknem usłanej. Wtenczas on, uznawszy Chrobrego za równego sobie monarchę, wyniósł katedrę gnieźnieńską na metropoliję całego królestwa i Radzyn czyli Gaudencyusz brat Ś. Wojciecha, został jej pierw-

szym arcybiskupem. Bolesław przenosząc swą stolicę do Krakowa, niepozbawił jednak Gniezna wielkiego znaczenia; tu bowiem zostało siedlisko najwyższej zwierzchności duchownej i skład klejnotów koronnych, a razem miejsce koronacyi królów, aż do czasów Władysława Łokietka. Obszerność i ludność Gniezna w owej epoce musiały być wielkie, kiedy Marcin Gallus powiada, że na wojnę dostarczało 6,500 zbrojnego ludu. Innym wszakże dziejopisom zdaje się, że tak wielka liczba nietylko z miasta, ale i z okolicznej ziemi musiała być ściąganą. Wielkiemi bogactwy obdarzył Bolesław kościół Gnieźnieński, ale Czesi uwieźli je, rabując w r. 1038 Gniezno, pod wodzą swego książęcia Brzetysława. Dostał się im wtenczas krzyż szczerozłoty 300 funtów ważący i trzy tablice złote, drogiemi kamieniami sadzone, oraz zwłoki arcybiskupa Radzyna w srebrnej trumnie złożone, w mniemaniu, że są ciałem Ś. Wojciecha, zostały uwiezione. Długo po napadzie Czeskim katedra gnieźnieńska stała pustkami. Potem wielokrotnie odbudowywana po zniszczeniach i pożarach, była ona zawsze głową wszystkich kościołów katedralnych w Polsce, a obecnie jest jedynym już pomnikiem dawnej świetności tego miasta. Ostatni pożar zniszczył ją zupełnie w r. 1760. Teraźniejszy więc kościół katedralny gnieźnieński w wielkiej części jest dziełem przeszłego wieku i mało zachował dawnych śladów starożytności. Zewnątrz uderza jego wspaniałość. Wielki spadzisty dach miedziany wznosi się na białych murach, drugi nieco wyżej lecz zanadto spłaszczony pokrywa 14 pobocznych kaplic. Ze strony zachodniej są dwie po 145 łokci wysokie wieże, w znacznej części murowane w stylu XVIII wieku, nieodpowiadając wcale reszcie budowy. Na jednej z nich wiszą niemałej wielkości dzwony, z których najznaczniejszy waży przeszło 43 centnarów. Na szczycie facyaty kościoła i w środku dachu, błyszczy herb Łubieńskich Pomian, przypominający arcybiskupów Macieja i Władysława, których staraniem świątynia ta została odbudowaną ostatecznie, na wielkim zaś dachu jest herb kapituły. Wnętrze kościoła, lubo mu na ozdobach wcale niezbywa, okazuje jednakże największą w częściach swoich architektury mieszaninę. Jako pamiątki pierwotnej budowy, zostały tylko po bokach krużganki gotyckie, w kształcie gwiazd sklepione, z cienkimi wysmukłymi słupami; nieodpowiadają im wcale wspaniałe marmurami, najwięcej we włoskim guście, przyozdobione kaplice, wzniesione staraniem biskupów i innych dobrodziejów, jak nazwiska ich świadczą. Znikło gotyckie sklepienie nawy, wspierające się na 14 filarach, zamienione na okrągłe rzymskie; znikły wązkie w ostre kąty zakończone okna malowanem szkłem ozdobione, a miejsce ich zastąpiły okna okrągławe, niestosowne wcale do wysokiego dachu. Ołtarz

wielki, do którego wstępuje się po ośmiu marmurowych stopniach, wzniesiony jest przez arcybiskupa Władysława Łubieńskiego. Zdobi go 6 filarów, pomiędzy którymi posągi świętych wyzłacane. Niemniej zajmują w chórze stalle dla duchowieństwa, piękną swą snycerską robotą. Wiele pomników z marmuru i kruszcu, zdobią kaplice i ganki świątyni. W pośrodku kościoła stoi grób Ś. Wojciecha. Chór piękny zdobią wielkie organy, wystawione w r. 1662 przez Jerzego Gdańszczanina, pod chórem jest dawny kapitularz zawierający wizerunki Macieja Łubieńskiego, Wawrzyńca Gembickiego i Stanisława Karnkowskiego z wieloma innymi pomnikami starożytności. Niemniej zasługuje na uwagę archiwum kapituły, przechowujące wielką liczbę ważnych dokumentów. U grobu Ś. Wojciecha odprawia się w pewnych dniach nabożeństwo i śpiewana bywa co niedziela pieśń Bogarodzica.

Najdawniejszym zabytkiem sztuki w katedrze Gnieźnieńskiej, są drzwi śpiżowe okazałej roboty Bizantyńskiej i nader pięknej rzeźby. Wspaniały ten pomnik może nawet jedynym jest co do swej starożytności w Europie. Przechowuje się miejscowa tradycya, że były one bramą Kijowa, którą Bolesław Chrobry po zdobyciu tego miasta zabrał i tej katedrze darował. Te podwoje zajmowały bardzo wielu badaczy naszych dziejów i starożytności. Najdokładniej opisał je Lelewel. Wszakże pochodzenie ich dotąd nie jest rozstrzygnięte.

Nad brzegiem jeziora Jelonek, za czasów Długosza Jeleń zwanego, widzieć się dają zwaliska pałacu arcybiskupiego.

C. Biernacki.

65. Zamek w Gołuchowie.

Zamek Leszczyńskich w Gołuchowie zbudowany w wieku XVI, nietylko liczy się do najpiękniejszych w Wielkopolsce, ale nawet z okazalszemi tego rodzaju budowlami w Niemczech, Francyi lub Anglii może iść w porównanie. Obronne jego baszty, kamienne na bramie płaskorzeźby, kolumny kształcące wystawę czyli perystyle nad podwójnemi wschodami w dziedzińcu, poważne razem i przyjemne na widzach sprawują wrażenie. Gmach ten pięknym jest pomnikiem zamożności założyciela i smaku nieoddzielnego od wyższego oświecenia.

Rozporządzenie zamku w Gołuchowie odpowiadało formie dawnego rządu polskiego i obyczajom naszych przodków. Wszędzie obszerne sale i szerokie podwoje licznym gościom przystęp otwiera-

ły. Nie dostrzegłem nigdzie osobnego miejsca, nigdzie zakątka spokojnemu poświęconego życiu. Pędzili ówcześni panowie polscy dni swoje w obliczu możnych sąsiadów i zazdrosnych współzawodników, którzy każdy ich krok, każdy postępek podejrzliwem śledzili okiem. Taki sposób życia piękną był szkołą obyczajów; mniemałbyś owego Rzymianina, który w otwartym na wszystkie strony mieszkając domu, czynił współczesnych świadkami swego postępowania.

Pomiędzy obszernemi tego zamku izbami znajduje się jedna znacznie dziś nadpsuta, salą królewską zwana. Użycie tego wyrazu nie było zarozumiałością na dworze familji, która Polsce dwa razy króla, a Burbonom matkę wydała.

Nieprzestawali przodkowie możniejszych naszych rodzin na wygodnem, a nawet wspaniałem pomieszkaniu. W kraju, gdzie każde ważniejsze zdarzenie, każde bezkrólewie powoływało szlachtę do oręża, potrzebne było bezpieczne schronienie od napaści, a zatem warownie i składy żywności. W tym względzie Gołuchów dogodnem był siedliskiem dostojnej rodziny. Szerokie w koło zamku rowy, wysokie baszty, obszerne kazamaty, czyniły to miejsce łatwem do obrony. Grube na sążeń mury zamku zaciemniają mieszkalne jego izby, mianowicie w dolnych piętrach.

Wśród ogromnych tego gmachu murów, odkryto przypadkiem w r. 1792 szczupłe podziemne sklepienie, a w niem szkielet człowieka i rozmaite narzędzia, służące do mennictwa jakoto: stęple, kowadła i tym podobne, tudzież fajerki, węgle i kilka sztuk monet z XVI wieku.

Napróżno szukaliśmy objaśnienia kto był ów nieszczęśliwy, którego tu jak się zdaje żywo zamurowano. Podobnem jest do prawdy, iż był to fałszerz pieniędzy, skazany na śmierć przez Rafała Leszczyńskiego, dziedzica Gołuchowa i naczelnego dozorcę mennicy za panowania Stefana Batorego. Jeżeli domniemanie takowe miejscowych mieszkańców jest prawdziwem, smutna ta ofiara surowości praw, tem więcej na litość zasługuje, iż ówczesny dozorca mennicy był oraz jej dzierżawcą, a tem samem we własnej sprawie stroną i sędzią.

E. Raczyński.

66. Wielkopolanie.

Rolnictwo i hodowanie bydła, jest głównem zatrudnieniem Wielkopolan. Oszczędność wiejska i przemysł, wielki między nimi uczy-

niły postęp. Większa część umie czytać i pisać, odznaczają się prawością i czystością obyczajów.

Ubiór zwyczajny mężczyzn, jest kaftan z sukna zielonego, lub granatowego, podszyty najczęściej materyą białą, czerwoną, lub jasno niebieską; wyłogi i kołnierz są z aksamitu czarnego lub niebieskiego; spodnie letnie są z grubego białego płótna, zimowe ze skóry lub sukna granatowego, lub zielonego; spinka lub wstążka związuje wązki kołnierz ich koszuli. Długie ich buty z małemi podkówkami dochodzą aż do kolan. Mała czapka z sukna zielonego lub niebieskiego, obszyta barankiem czarnym lub siwym, okrywa ich głowę. W niedzielę obłóczą na kaftan dwie suknie z sukna granatowego lub zielonego; jedna krótka, ozdobiona sznurkami i spięta z przodu, nazywa się spodnią, a druga wierzchnią, albo sukmaną; ostatnia zachodząc aż za kostki, podszyta jest materyą koloru czerwonego, białego, albo jasno-zielonego, przystrojona jedwabnymi sznurkami, mocno fałdzista i zawsze rozwarta. Na głowie mają czapkę wysoką z sukna zielonego lub granatowego, obszyta szerokim i pięknym barankiem, lub kapelusz czarny, okrągły, nizki z szerokim brzegiem. Tak kapelusz jak i czapka, przystrojone są wielą rozmaitego koloru wstążkami i pawiemi piórami. Ludzie bardzo podeszłego wieku noszą zwyczajnie brodę, lecz nigdy nie noszą wąsów; włosów nie obcinają. Parobczaki palą czasami tytoń, starsi zaś po większej części zażywają tabakę.

Dziewczęta noszą na głowie tak nazwane czółko, bogato ozdobione wstążkami różnej barwy, pod którem chowają swój warkocz, czasami także spuszczają go na ramiona, koszule obszywają muślinem lub perkalem; sznurówka jest koloru jasnego z materyi jedwabnej, lub bawełnianej; naramniczki związane są wstążkami. Na wierzchu noszą kaftanik krótki, fałdzisty, z sukna granatowego. Spódnica jest sukienna, albo bawełniana w różne kolory; u dołu obszyta szerokiemi wstążkami, a często galonkami srebrnymi lub złotymi, fartuchy są z muślinu białego, czerwonego, lub też w paski, pończochy noszą białe, trzewiki z kokartkami bez korków. Kobiety zamężne, noszą czepiec, który opasują zwykle chustką jedwabną; kaftany ich są długie, zresztą ubierają się jak młode dziewczęta, tylko ich postać jest więcej poważna, stosownie do wieku.

Wielkopolanie mają prawie te same obyczaje i zwyczaje, co ich sąsiady Kujawiacy i Mazury.

Ceremonje ślubne, również uroczyste u nich jak i w innych stronach Polski, jednak różnią się nieco, i o tem wspomnieć wypada.

Skoro tylko chłopek zapozna się z dziewczyną i przekona o jej miłości, postanawia ją sobie obrać za towarzyszkę, oświadczając



Wesele chłopskie.

to jej rodzicom. Ci zapraszają dwóch krewnych z obu stron jako też rodziców kochanka i w ich przytomności młoda para wyjawia swoje wzajemne uczucia. Osoby najstarsze wystawiają im ważność związku, który zawrzeć mają, wyliczają obowiązki małżeńskie, przekonywają o potrzebie ich wykonywania sumiennie, i aby poprzeć swoje napomnienia przytaczają niektóre przykłady, czerpane z własnego doświadczenia lub też z życia powszedniego, napominając ich wreszcie poddać się Opatrzności Boskiej, która zapewne kierowała usposobieniem ich serc. Gdy się więc rodzice i krewni przekonali o prawdziwej miłości młodej pary, czyli raczej, gdy znaleźli w tym związku jej wspólne szczęście, błogosławią jej zamiar, naznaczając oraz dzień ślubu i osoby, które zamyślają zaprosić; i to nazywa się zmowinami.

W następną Niedzielę z rana idą narzeczeni do spowiedzi i do stołu Pańskiego, po obiedzie odwiedzają swych przyjaciół i krewnych, zapraszając ich na ślub. Ten, który w tych zaprosinach odgrywa najgłówniejszą rolę, jest przyjacielem narzeczonych i nazywa się drużbą. W czwartek przed ślubem, który zawsze przypada w Niedzielę ostatniej zapowiedzi, drużba w towarzystwie innego młodego parobka, wsiada na konia i zaprasza gości. W dzień ślubu udają się narzeczony i kilku innych parobków konno do panny młodej, wszyscy goście zaproszeni wchodzą za nimi, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ na co im odpowiadają: „Na wieki wieków, Amen!“ Potem drużba ma mowę wierszem, w której stara się opisać szczęście, będące udziałem narzeczonego i wszystkie piękne przymioty panny młodej. Po nim występuje z kmiotków najwięcej poważany dla wieku, jak i charakteru, prawiąc zwykle o obowiązkach małżeńskich. Jego mowa prosta, spokojna i naturalna, jak uczucie, które ją dyktuje, robi tem większe wrażenie na przytomnych, iż jest wyrazem prawdy. Drużba, który w czasie tej mowy trzymał ręce narzeczonych, prowadzi ich przed rodziców panny młodej.

Narzeczona rzuca się im do nóg i wynurza swoją głęboką wdzięczność za wychowanie, które winna ich staraniu. W czasie, gdy narzeczeni odbierają błogosławieństwo od swych rodziców, daje się słyszeć muzyka rzewna, a dziewczęta i parobcy śpiewają stosowną piosnkę. Gdy ustają śpiewy, sposobią się do wyjazdu do kościoła, drużba wsadza do woza, gdzie znajduje się muzyka, narzeczoną i druchny, a wskazawszy każdemu wóz jedzie sam z drugimi parobkami konno. Skoro przyjadą przed kościół, całe towarzystwo zajmuje miejsca wyznaczone przez drużbę, który wtenczas pełni służbę mistrza ceremonji. Po ślubie wsiada narzeczona na wóz z mężatkami, lecz zawsze ma przy boku dwie młode dziewki, czyli druchny. W czasie

pochodu gra muzyka, a młodzi śpiewają. Zajechawszy przed drzwi pana młodego, zastają je zamknięte. Drużba puka, a gdy osoby wyjdą z domu i zapytają czego żąda, odpowiada im, że przyprowadza białą gołąbkę na pociechę i szczęście gospodarstwa. Ledwie wymówi te słowa, już cała ulica napełnia się muzyką i śpiewem całego towarzystwa. Drzwi się otwierają i goście schodzą z wozów; drużba podawszy ręce państwu młodym wchodzi do domu, a zanim wszyscy. Wtenczas dopiero ożywia wszystkich śpiew i taniec i oddają się wszelkim zabawom. Później zastawiają stoły, a drużba zaprasza gości miłemi i dowcipnemi wierszami, aby rozpoczęto gody. Po obiedzie zaczynają znowu tańczyć, ku wieczorowi mężatki wprowadzają potajemnie pannę młodą do komory, a zdjąwszy z niej wieniec i włożywszy jej na głowę czepiec, wracają z nią całą we łzach i sadzają ją do stołu obok mężatek. Wtenczas pan młody przychodzi, prosi ją do tańca, ale ona odmawia, podając za przyczynę, iż jest kulawą. Ta odmowa, której on wcale się niespodziewał, wystawia go na żarty drużby, który mu z szyderczą miną zarzuca, że nie umie prosić i sam zaprasza pannę młodą, która też na to przystaje. Pan młody znowu prosi lecz zawsze napróżno, ona zawsze udaje kulawą, i pan młody musi znowu znosić żarciki drużby. To powtarza się po kilka razy. Nareszcie narzeczony nie mogąc już tego znieść woła z gniewem: „Kobieto, poznaj swego męża!“ Na te słowa narzeczona daje mu z żywością rękę i rozpoczynają taniec. Wówczas towarzystwo śpiewa zwyczajną piosnkę, potem tańczą jeszcze z wielką żywością, i na tem kończy się wesele.

Przyjaciel ludu.

67. Dniestr.

Dniestr w starożytnym świecie Tyras, u nowych Greków, Dynastrys, a u Turków Turta zwany, jest w końcu ostatnią rzeką, której wierzchowina przypiera znowu o Karpackie góry. Jakoż nazywa lud w istocie całą tę północną zbocz Karpat, jak daleko górskie Dniestru sięgają gałęzie, wierzchowiną Dniestrową.

Starzy geografowie wywodzą pospolicie San, Dniestr i Cisę z jednego punktu i naznaczają im za źródło górę Beskid. Wszakże wówczas nawet gdybyśmy wzięli Beskid nie za pojedynczą górę ale za całkowite pasmo, nie możnaby się zgodzić na to, bo tylko jeden San ma źródła pod samym Beskidem, źródła Dniestru oddzielone są Sanockiemi połoninami od Beskidu, a źródła Cisy biją na Czarnej

górze o kilkanaście mil górskiej drogi od źródeł Sanu dalej ku południowemu wschodowi. Ten błąd starych geografów powtarza się w książkach aż do naszych dni; tu będzie tedy właściwe miejsce do wyjaśnienia istoty rzeczy.

Najbliżej źródeł Sanu biją źródła małej rzeczki Hniły, ta wszakże nie wpada do Dniestru ale do Stryja, a pomiędzy źródłami Sanu i Hniły przechodzi od Beskidu na zastrzał ku północy wodny dział europejski, który zlewisko Baltyku rozgranicza od zlewiska morza Czarnego. Posuwając się za biegiem wodnego działu ku północy, zostają Sanockie połoniny na zachodzie, a o cztery mile górskiej podróży od przełęczy Beskidu pod Uszokiem, natrafia się na wodnym dziale na wieś Dubowy Dniestrzyk zwaną, i tu biją źródła Dniestru już na poniższych lesistych działach, na wysokości 2,200 stóp nad poziomem morza.

Wierzchowina Dniestru niezapowiada wcale wielkiej rzeki. W niewielkich kilku kotlinach górskich zbierają się tu wody; i rzeczywiście jest górny obszar Stryja rozgałęzieniem i odosobnieniem swojem więcej podobnym do źródłowisk wielkiej rzeki. Jakoż będzie ten brak rozgałęzienia, który już wierzchowinę Dniestru cechuje, i w dalszym biegu charakterystycznem jego znamieniem.

Góry, które Dniestr około Starego Miasta w poprzecznej przerywa dolinie, zamykają krainę jego źródłowiska; na tej przestrzeni płynie on kręto z południa ku północy, do górskiego podobien potoku.

Poniżej Starego Miasta opuszcza krainę gór właściwych i wychodzi po raz pierwszy na rozległe równiny, a tylko zdala jego wybrzeży, ciągną się spłaziny podgórza aż ku Samborowi.

Przed Samborem jeszcze pod niemiecką osadą Neudorf, dzieli się Dniestr na dwa ramiona i oblewa wyspę więcej dwóch mil długą, w najszerszem miejscu na milę szeroką. Na tej też przestrzeni poczyna się zmieniać pozór górskiej rzeki, kamieńce tracą powoli, a żyzny namuł poczyna okrywać jego dolinę.

Do lewego ramienia wpada poniżej Sambora rzeka Strwiąż, a oba ramiona łączą się znowu poniżej Koniuszek; odtąd płynie Dniestr na całe mile szerokiemi żyznemi równinami ku południowemu wschodowi, na całej przestrzeni od Koniuszek do Niżniowa, a kierunek jego od Starego Miasta do Koniuszek tworzy z tą liniją kąt mocno rozwarty.

Pod Niżniowem niknie do razu szeroka dolina Dniestru i wstępuje on tu w głęboki skalisty wyłom, który mimo Zaleszczyk, Chocimia, Mohylewa w tym samym kierunku płynie aż do Jampola, wykręcając się coraz więcej na wschód południowy.

Po przerwaniu progów pod Jampolem pomija Maszków, a około Dubossar kończy się ten wyłom skalisty i Dniestr płynie odtąd na południe stepami Czarnomorskiego niżu bez zawady, gdzie około Białogrodu, na kilka ramion podzielony, przechodzi szerokim limanem do morza Czarnego. Naturalnie tedy przyjdzie na obszarze Dniestru rozróżnić niejako trzy oddzielne krainy, któremi Dniestr płynie i tak: przestrzeń od jego źródeł po Niżniów, skalisty wyłom od Niżniowa do Dubossar, i krainę ujścia od Dubossar po Białogród.

Na tym obszarze górnego Dniestru od źródeł jego do Niżniowa przychodzi rozróżnić dwa oddziały, a mianowicie pierwszy od źródeł po Sambor, gdzie Dniestr właściwie górny swój bieg kończy, a drugi od Sambora po Niżniów, gdzie dolina jego zostaje pod wpływem wód Karpackich, i tworzy niejako podłużną dolinę równoległą do całkowitego pasma gór.

Ze wszystkich bowiem przykarpackich dolin, jest dolina górnego Dniestru, górom najbliżej przyległa. Ztąd działają tu wody górskie w sposób niszczący, dopókąd namuły Karpackiego piaskowca nie podniosą tej doliny dostatecznie. Ztąd też także ma tu Dniestr na przestrzeni od Koniuszek do Niżniowa, gdzie dolina jego jest narażona na działanie wód Karpackich, daleko mniej spadku, niż od Niżniowa do Raszkowa, gdzie pomiędzy skałami głębokim płynie wyłomem.

Wyłom ten nadaje jeszcze pewien ruch powierzchni kraju, kiedy jednostajność stepowa cechuje już krainę ujścia Dniestru.

W miarę tedy, jak niejako po wschodach tych trzech krain zstępować będziemy do morza, będzie Dniestr zmieniał swoją naturę. I tak będzie górny jego obraz cechowało bogactwo wód górskich, na średnim biegu, gdzie wyłom skalisty oddzieli Dniestr od wód okolicznych, będą coraz mniejsze jego dopływy, a na stepowym obszarze, gdzie jednostajność poziomych równin i susza nie dozwoliła się ukształcić rzekom pomniejszym, będzie Dniestr ogołocony z dopływów zupełnie.

Na górnym obszarze będą wpadały do Dniestru rzeki od obudwu brzegów, na średnim będzie on zabierał wody, tylko od lewego brzegu, a na przestrzeni dolnego biegu znajdziemy go bez dopływów.

Jeżeli Dniestr odniesiemy do powierzchni całej Europy, znajdziemy w głównym jego kierunku odstąpienie od normalnego kierunku rzek europejskich. Wszystkie bowiem rzeki wypływające z środkowej Europy mają się ku północy, na południe i zachód, i okazują jeszcze na ujściu swojem wielką skłonność ku Europie zachodniej. Tylko rzeki Po, Dunaj, Dniestr i Boh odstępują od

tego normalnego kierunku i łączą w ten sposób kraje środkowej Europy z krainami odległego Wschodu.

To zadanie ma tedy i Dniestr, lecz gdy Dunaj jest rzeką panującą na morzu Czarnem, będzie pod tym względem Dniestr odgrywał tylko rolę podrzędną.

Jakoż Karpackie wody, należące jeszcze do środkowej górzystej Europy, zasilają Dniestr na górnym jego obszarze i zapasem tych wód w dalszą zasilony drogę, staje się on europejskim gościńcem, łączącym z sobą krainy zupełnie innej natury. I owszem uderza tu rzadkie zjawisko, że ta rzeka jest najwięcej rozgałęziona na górnym obszarze, i że ztąd tylko spławne i najznaczniejsze uprowadza rzeki.

Sama tedy natura daje tu wskazówkę, czem Dniestr mieć chciała, uposażając go bogato wodami na górnym jego obszarze, a oddzielając go na przestrzeni dalszego biegu wyłomem skalistym lub stepami od sąsiednich krain.

Jest to bowiem historyczną prawdą, że rzeka która dopływów niema, nie łączy, ale rozdziela sąsiednie narody i kraje.

Takie ma tedy znaczenie Dniestr i górny obszar jego Karpackich gałęzi, odniesiony do pojęć geografii porównawczej. Wszakże wody górskie z natury swojej bogate lecz nie stałe, nie zdołałyby same dopełnić tego zadania i Dniestr nie byłby żeglownym aż do morza, gdyby go na średnim biegu niezasilały drobne wprawdzie ale częste rzeczki, które od lewego brzegu zabiera on z Podola i Pobereża. Rzeki te zastępują ubytek wód, który w ciągu Dniestrowego biegu powstaje przez odparowanie, zwłaszcza gdy Dniestr odbiegłszy od dolin Karpackich, w coraz suchsze i cieplejsze przechodzi krainy.

Obszar Dniestru ciągnie się wązkim ale długim pasmem, prawie równolegle do głównego grzbietu gór Karpackich i niema on rozgałęzienia odpowiedniego do swojej długości; tylko wierzchowina jego górskich dopływów tworzy pewną całość, a od Niżniowa począwszy jest już właściwie rzeką stepową, bo rzeki które na średnim biegu zabiera, wypada uważać tylko za wody posiłkowe, które wpływają jedynie na stan wód, nie wpływając na kierunek głównego wartu.

Dolina Dniestru zmienia się bardzo na przestrzeni jego biegu i naprzód jest ona poprzecznym górskim rozdołem, zasutym kamieńcami i ścieśnionym aż do samego Starego Miasta. Następnie rozszerza się na całą milę szeroko, pominąwszy Sambor i Koniuszki, a wylewy które cały ten obszar w czasie wezbrania wód zatapiają, dają tu najlepsze wyobrażenie o dolinie Dniestru, która w jednej części jest rozkoszną łąką, to znowu istotnem bagniskiem, lub w końcu suchem

i pasznistem błoniem. Urodzajne namuły Karpackiego piaskowca w grubym pokładzie na kamieńcach złożone, wydają tu bujną roślinność i rozkoszne wikliny okrywają porzecza Dniestru, po mokrzejszych smugach porasta olcha, po wyższych stanowiskach dąb. Dniestrowa dolina jest tutaj podobną z swojego pozoru do wszystkich innych dolin Karpackich. Brzegi są urwiste i gliniaste, mianowicie zaś brzeg lewy, do którego przypierają koryto Dniestrowe gwałtowne wody Karpackie. Już od ujścia Wereszycy podnosi się brzeg lewy znacznie wyżej i poczyna się okrywać sadami, a znaczna różnica zachodzi odtąd pomiędzy słoneczną stroną, która się od wysoczyzny Lwowa i pasma Gołogór pochyliła ku południowi, a pomiędzy Dniestrową doliną, która od gór spłynęła ku północy, mianowicie zaś pod względem całej roślinności.

Dniestrowa dolina jest rozgraniczeniem, na którem stykają się z sobą ostatecznie wpływy górskiej, stepowej i północnej krainy. Jakoż legły na zetknięciu się tych trzech światów sławne tłuste pasze Naddniestrzańskie w okolicy Rozdołu, Żydaczowa i Żurawna po nad Dniestrem, Stryjem i Swicą.

Tu przechodzi wschodnia granica buczyny z gór w okolicy Żurawna ku północy, na zachodni kraniec Podola, tu w końcu poczynają się już po nad Dniestrem od Żurawna, po lewym jego brzegu pierwsze posiewy kukurydzy z razu na ogrodach tylko uprawiane, pokrywają na dalszym Dniestrze całe łany, przechodząc na Podole i Pobereże. Ciekliny płaskich upłazów Dniestrowych, któremi góry w Dniestrową przechodzą dolinę, przerywają jeszcze miejscami jednostajność tych równin aż po Niżniów.

Lecz tu zmienia się widok Dniestrowej doliny do razu, bo po lewym brzegu przypiera do samej rzeki wyniosłe brzegowisko Podola, a po prawej wznosi się z ujściem rzeki Tłumaczka, wyniosłe międzyrzecze, które legło pośrodku między Dniestrem a Prutem, które na południu Pokuciem przypiera o góry, a następnie ku wschodowi stepową Bukowiną przechodzi na Bessarabią.

Międzyrzecze to jest nagle poderwane od północy, krótkie stepowe strugi biorą ztąd przewał ku Prutowi; ztąd też jest Dniestr na całej przestrzeni od prawego brzegu ogołocony z dopływów.

Od Niżniowa brzegi Dniestrowe podnoszą się nagle skalistemi scianami na 250 do 300 stóp wysokości; dolina niknie zupełnie, a wyłom którym odtąd Dniestr płynie jest gdzieniegdzie tak ciasny, iż tylko tyle jest miejsca, ile wodna zajmuje wstęga.

Na przestrzeni tedy 70 mil odkrywa tu Dniestr malownicze widoki po obudwóch stronach, a kiedy po za wyniosłemi jego brzegowiskami górne płaszczyzny jednostajnością swoją należą do stepu,

odkrywają skaliste lub obrosłe ściany Dniestrowe, całe czarodziejstwo okolic górskich. Tutaj to możnaby powiedzieć, iż równiny północnego Wschodu Europy uśmiechnęły się po raz ostatni z całym wdziękiem pięknej natury na przestrzeni tego wyłomu, i żegluga na tej rzece jest pod tym względem więcej zajmującą, niż na którejkolwiek z rzek Europejskich, bo żadna nie płynie skalistym wyłomem na tak wielkiej przestrzeni; zwłaszcza gdy kręty bieg Dniestru w niespodzianych zawrotach, coraz nowe i uderzające odsłania widoki i piękność ich pomnaża.

Cały ten jar możnaby od strony Podola i Pobereża uważać za jeden wielki sad, kiedy przeciwległe zabrzeże w nagłych lesistych debrach upada ku wodom. Rozmaitość tedy roślinności, tak pod względem dziko rosnącej jak uprawnej, jest tu tak wielką jak nigdzie; i to, co po futorach krain stepowych w małych tylko skupia się oazach, sieje się tu bogato i rozrasta rozkosznie na przestrzeni Dniestrowego jaru, nadając całej krainie niejako wyraz fizyognomji odrębnej.

Piękności te powiększają bogate źródła bijące po ścianach Dniestrowych i uchodzące z szumem do jego łożyska, rozkoszne płaskie ostrowy rozsiane w jego łożu, uprawne lub porosłe najpiękniejszemi gajami, słoneczne skały zasadzone winnicami i mgły grające na przestrzeni wyłomu, słowem, jakiemś dziwnem czarodziejstwem zdają się tu być przeniesione widoki krain górskich, w kraje natury stepowej.

Pomiędzy ujściem Uszycy a Kaluszka, a nawet aż ku Jaruszowu nad Ładawą, skaliste nadbrzeża Dniestru podnoszą się najwyżej ze wszystkich tak górnych jak dolnych. Pokład pięknych czerwonych granitów okazuje się poniżej Jampola, a dalej ku Raszkowowi opadają już coraz niżej wapienie, kiedy na niższym Dniestrze wierzchni tylko pokład tufów postrzegać się daje; na przestrzeni od Raszkowa i Jaorlika ku Majakowi. Zabrzeża stepów, którymi tu Dniestr płynie, są zawsze jeszcze wyniosłe, ale cała dolina porasta tu lasem olbrzymich oczeretów i rozszerza się na całe mile szerokości. Lasem tych trzcin, tak zwanemi spławami, które w czasie wezbrania wód idą całe pod zatop, płynie tu Dniestr samotnie stepami, a blizko już ujścia spławy zajmują szerokość przeszło dwóch mil, przechodząc w końcu w szerszy jeszcze liman Dniestrowy koło Białogrodu.

Jak cały Dniestr ma wielką przyszłość, tak podobnież i te spławy. Kiedyś one zamienią się w najżyzniejsze ziemie żuławskie. Już i teraz rzeka podzieliła je na ostrowy żuławskie, kilkoma swojemi ramionami, któremi przechodzi w liman.

W. Pol.

68. Pokucie.

Z każdego prawie wynioślejszego stanowiska Pokucia, odkrywają się widoki górzystych pasem Czarnego lasu i wielkiego działu Czarnej Góry. Wszystkie w ogólności rozległe widoki Pokucia charakteryzuje to, że wiecznie jest widok na góry, które z różnej odległości i z różnego punktu widziane, przybierają coraz inne kształty i nawodzą się coraz innym kolorytem.

Nad ogromnym obszarem lesistych gór, panuje tu zawsze dział Czarnej Góry, a kto się lepiej zna z miejscowością, poznaje i pojedyncze połoniny, szczególniej zaś te, które się z osobna ostrzejszemi konturami odznaczają na niebie, jak naprzykład połonina Chomiak, Howerla i same już szczyty Czarnej Góry.

Te widoki perspektywy powietrznej, któremi się tu wszędzie kończy krajobraz, rozpoczynają się wszakże dopiero za Prutem, chociaż już ze wszystkich brzegowisk Dniestru widne są góry z daleka. Jest to bardzo łudzące. Szczególniej przed zmianą pogody przybliżają się góry tak bardzo, iż zaledwo o parę mil zdają się być oddalone, kiedy rzeczywiście parę dni podróży niezawsze wystarcza na to, aby stanąć u podnóża tych gór i przebyć to międzyrzecze stepowe od Dniestru do Prutu.

Okolica, gdzie Prut już na równiny wychodzi, zabrawszy z sobą burzliwe rzeki i potoki Czarnego Lasu i Czarnej Góry, nazywa się Popruciem. Wody jego są tu modre, alpejskie, bogate; ale lubo zbiegł w równiny wraz z obudwu Czeremoszami, nie ustali się jeszcze jego dolina, i wszystko tu jeszcze świadczy o burzliwości gwałtownych wód górskich. Na całe mile rozlegają się kamieńce, powstałe z rumowiska skał. Dolina jest płytką, szeroką, bez zabrzeży i ma podwójne lądy, z których pierwszy, niższy, świadczy o niższym stanie wód i powodzi, a drugi wyższy o tem, że się nieraz na całe mile, aż do tej wysokości wezbrane rozlewają wody. Nigdzie też nieprzybliżają się, ani wsie, ani miasteczka na Popruciu do doliny Prutu, a nawet stada wołów i koni, trzymane są stróżliwie, gdy wypaść przyjdzie żyzne łęgi Poprucia, bo wody spadają tak nagle, że i na dobrym koniu trudno ujść przed niemi i ocalić siebie, lub statek na powyższym lądzie.

Już dolina Poprucia jest niejako zapowiedzią tej dzikiej górskiej natury i tego wszystkiego z czem się przyjdzie spotkać, przeprawiwszy się przez nią na obszarze Czarnego Lasu i Czarnej Góry.

Obszar ten jest bezwątpienia najprzystępniejszym na całem paśmie gór karpackich. Jest to największa leśna górska pustynia

wśród Europy. Góry te są tylko na przestrzeni trzech wyłomów, głównie przystępne, a mianowicie wzdłuż ciasnych poprzecznych dolin Białego i Czarnego Czeremoszu i Prutu. Wszakże i tutaj nie wszędzie są przystępne, bo w głębi samych ciasnych połomów niema częstokroć nawet miejsca na ścieżkę; ponad ogromnemi tedy przepaściami, prowadzi ścieżka na obłazy i góry najbliższe, albo spuszcza się znowu nagle do obrotu i przerzuca się na przeciwną stronę. W głębokiem nawet bardzo siodle trudno dosiedzieć, trzymając się kuli, a tylko z pomocą koni można przebyć te ostre ścieżki i końskim nogom trzeba powierzyć tu swój rozum, chcąc wyjść cało i stanąć przed nocą na stai na bezpieczniejszy popas lub nocleg. Zbocza gór kopczastych spadają tu tak nagle, że wszystkie ścieżki prowadzą wężykami kręto, bo wprost niktby ani wyjechał na tę górę, ani się z niej spuścił. Te wężykowate ścieżki przewijają się po zboczach, mających 45, a nawet 50 stopni spadku. Długo nieraz na zawrocie wężyka namyśla się koń, gdzieby miał nogę postawić: ze spuszczoną głową i z rozwartemi chrapami, obwąchując kamienie i probując kopytem, czy nie luźnie leżą, postępuje z wolna każdy objuczony rumak i cała karawana zatrzymuje się co chwila, utykając na luźnem rumowisku skalnem. Karawana mówię, bo nikt tu nie wybiera się w drogę pojedynczo, ale za każdym razem ciągnie karawana kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu koni, i bieda wielka, gdy w drodze przyjdzie się wymijać na tej krętej ścieżce, lub gdy się wyminąć nie można, trzeba się zwrócić w miejscu. Mniejsza drużyna ciągnie już za większą, by się dobić do szerszej polany lub stai, gdzie się każda karawana na nowo szykuje i w swoją ciągnie stronę. Koń za koniem idzie w tej karawanie i wielkiego trzeba rozumu, aby nie poruszyć luźnego rumowiska wielkich płyt kamiennych, któremi okryte są szczyty i zbocza gór. Płyty te leżą luźno i ważą się za stąpieniem, a zważenie jednej płyty, która się w dół posunie, wystarcza do strącenia koni i ludzi w przepaść, bo płyta potrąca płytę i cała lawina kamienna usuwa się z grzmotem ku przepaści, wycinając kozły w przyspieszonym biegu. Dodać tu jeszcze potrzeba, iż rumowisko karpackiego piaskowca, jest tu bardzo zbite, twarde i ślizkie w odłamie. Ścieżka wydaje tu pod pochodem karawany brzęk prawie metaliczny, a spojrzawszy ze szczytu góry na przebytą drogę ćmi się w oczach i ledwo wierzyć można temu, że się ją przebyło. Szczęściem jest wielkiem że bujna roślinność tych gór, daje tu prawie wszędzie punkt oparcia, bo się za konary, za pnie, lub korzenie drzew chwytać lub i ratować można, szczęściem jest, że las zakrywa częstokroć największe przepaście przed okiem, i że koń pojmuje niebezpieczeństwo tej drogi, jako wierny sprzymierzeniec człowieka. Jakoż żyje tu koń z czło-

wiekiem pospołu, pamięta ścieżki i miejsca popasów lub przestanków; objuczony niesie też jeźdźca bezpiecznie, nie mając na łbie uzdeczki, ani w pysku wędzidła, kieruje sam sobą i uważałem to nawet, że na trudnych przeprawach poprawiają popręgi od jucznych siodeł, ale zdejmują uzdeczkę z głowy konia, sami zaś chcąc ulżyć koniowi zsiadają z niego i przytrzymują się tylko chwilami na zawrocie ścieżki u końskiego ogona.

Najwięcej znanemi punktami na obszarze gór Pokucia i tej Czarnej puszczy, jest wieś Żabie, bo jest największą osadą i źródło uzdrawiające, które w dzikim bije ostępie, zwane Burkutem, gdzie w porze letniej spotkać się można z doborem wyższego towarzystwa.

Bardzo ostra konna ścieżka, na której się miejscami minąć niepodobna, nawet pojedynczo we dwa konie prowadzi do Burkutu. Jest to źródło z rodzaju szczaw żelezistych bardzo bogate, co do siły parności swojej i gazu, którym ta szczawa jest przepełnioną. Te wody są mocniejsze od wszystkich szczaw zachodniego skrzydła Karpat, tryszczących w okolicy Szczawnic i Tylicza.

Jeżeli w górach zawsze coś ciągnie na szczyty, jeżeli myśl się na nie wdziera, by sobie w rozległym widoku zdać sprawę z plastycznych kształtów krainy, tem większem bywa to pragnienie na obszarze Czarnego Lasu i Czarnej Góry, gdzie tylko ze szczytu połonin wysklepia się znowu całe niebo nad nami, a oko sięga dalej, niż widzieć zdoła. Około 150 mil kwadratowych jest tu jednostajnym lasem pokrytych, wsie rzadkie i w głębi wyłomów, rzek i jarów leżące, nikną prawie w porównaniu tej leśnej pustyni. Uprawne ogrody i polanki zajmują bardzo niewielką przestrzeń pożyzniejszych okrajkach dolin i wyłomów; góry są tak strome, iż nie idą pod pług: jedyne tedy odkryte miejsca są małe paszniste polany i połoniny, które jak nagie wyspy pływają na morzu tych lasów. Nigdzie też nie jest roślinność pniowa okazalszą, nigdzie niedochodzą drzewa tej wysokości i grubości, nigdzie nie rozrastają się tak malowniczo, wyjąwszy jednego dębu, który zostaje na podgórzach. Nigdzie nie widziałem podobnie wysklepionych buków, podobnie wysoko i szeroko rozrosłych jesionów, nigdzie tak okazałych piramid i świerków i jodeł, od ziemi aż do szczytu równo ciemną czaciną poszytych, nigdzie w końcu tak szumnych jaworów, które poniżej nieco górnej granicy lasów, zajmują osobną dzielnicę Jaworzynami ztąd zwaną. Co więcej, nawet krzewy i małe drzewka, jak jałowce i jarzębiny, urastają tu w potężne pniowe drzewa, a cedry nie dochodzą nigdzie, na całem pasmie gór Karpackich, tej okazałości. Limby Tatrów w porównaniu z niemi, to biedne drewka zapustu. Z cedru wyrabiają też tu skrzynie i misy toczone tak wielkie, że są raczej do balijek podobne. Pniowe drzewa

są tu w zupełnej sile i ani Sabińskie dęby, ani litewskie puszcze nie mogą się mierzyć z niemi; szczególniej zaś jodeł i jaworów, buków, świerków i jesionów nie ma takich w całej Europie, i ktoby chciał zbierać najosobliwsze typy tych drzew, znajdzie tu egzemplarze, których najśmielsza nie wyroi i nie odmaluje fantazya. Podobnież rozmaitość znamionuje także całe runo leśne, całe podsłanie mchów, borówek, całe kobierce halskich roślin i kwiatów, alpejskich wierzb i traw, które tu w wyższej roślinności zabezpieczają żywot i przyszłość.

W dniu słonecznym, cała atmosfera połonin przepełniona jest zapachem macierzanki; a obierając stanowisko do spoczynku i noclegu wypada uważać na to, aby się nie rozłożyć na macierzance, bo szczególniej we śnie, jest silny jej zapach bardzo odurzający i nieraz musieliśmy trzeźwić ludzi, co niebacznie na podsłaniu macierzanki usnęli.

Czarna Góra panuje nad całą okolicą, na bardzo wielkiej przestrzeni. Jest to podłużny, wyniosły dział, który się najwyżej dźwignął w tych stronach nad górną granicą lasów. Dział ten przechodzi z południa wprost ku północy, zajmuje w całej swojej długości trzy mile, a z przyporami do mil pięciu: na nim dopiero już w dzielnicy połonin wznosi się pięć większych, mało od siebie oddzielonych szczytów, z których Turkuł i Iwan Pop do najwyższych należą.

Inny też tu świat zupełnie. Częste grady i zimne deszcze oziębiają nagle powietrze, a nawet wśród gorącego lata, zabieli się dział nieraz na kilka godzin, a nawet na kilka dni śniegiem. Chłodny deszcz spadający na Czarne Lasy, zamienia się tu w śnieg, rzadka noc bez szronu, ale jeszcze rzadszą jest w tej wysokości ciepła rosa, i dopiero spuszczając się na niższe połoniny lub lasy, natrafia się znowu na zroszone trawniki i krzewy.

Na południowem dopiero zakończeniu Czarnej Góry znajduje się alpejskie jezioro. W ogólności brak tu życia i głosów natury. Luźne rumowisko okrywa się tu, jak na wszystkich połoninach porostami żywego koloru. Te porosty bywają jasnożółte, papuzie, a w końcu różowo-czerwone lub zupełnie brunatne w miarę wieku; ztąd też odznaczają się temi żywemi kolorami połoniny na czarno sinem lub granatowo-zielonem tle lasów, już w wielkiem oddaleniu widziane.

Ze szczytu Czarnej Góry patrząc, nie widać nigdzie ani wsi ani pól odkrytych, tylko szczyty połonin, rozchodzące się z jednostajnych czarnych lasów. Zwory i potoki giną dla oka i brak tu zupełny głosów natury. Otężałe i zdrętwiałe od nocnego szronu leżą drobne jaszczurki kędy rzucić okiem, a dopiero gdy słońce przygrzeje, nabierają ruchu i życia. Niekiedy w czasie południa przeleci pojedynczy

motylek pąsowy, szeleszcząc ostro skrzydłami. Pojedyncze tylko orły ważą się wysoko w powietrzu i szybują wielkiemi kołami, a gdy zabié barana przybywa z daleka, kruk samotny czeka na swoją część, usiadłszy w pobliżu na skale, a tylko po słupie białych dymów, który gdzieś się wznosi nad sklepieniem lasu, domyślać się można ogniska owczarzy lub opryszków.

Wszystko tu wspaniałe, wielkie, lecz dziwnie samotne i dzikie, i powtarzam: jest to największa puszcza górska wśród Europy. Wszakże gdy tu człowiek osamotnieje, nie staje się pustelnikiem, ale opryszkiem lub włóczęgą. Obiecana też to ziemia Cyganów, którzy na tem pograniczu swobodnie z Multan, Siedmiogrodu i Węgier na Pokucie i napowrót przechodzą.

W czarnym ostępie bukowych lasów, których wyniosłe kopuły wysklepiają się nad głowami, jak kościoły, w miejscu zwanem Rozrogiem, na przestrzeni półtorej mili, znaleźliśmy 5 słupów kamiennych w różnych jak się zdało odstępach wkopanych na granicy. Były one grubo ociosane z twardego bloku i sterczały na półtrzecia łokcia z ziemi. U góry słupa stały dwie litery nieforemne w głąb wyryte F. R., a poniżej na przemian była wyryta na jednym słupie podkowa, na drugim, jak się zdało Ślepowron. Jak litery, tak i herby były ryte bardzo niewprawną ręką, poprostu tak, jak to się po węglu da zrobić niezgrabnym oskardem, lub ostrzem topora. Coby znaczyć miały te dwie litery F. R? bo łatwiej było domyśleć się tego, że herby podkowa i Ślepowron były pamiątką po lustratorach granicy. Jeden ze straży granicznej, który był Wołochem z rodu, sądził, że to miało znaczyć *forosna rumuna*, co dosłownie znaczy: lasy rumuńskie.

W. Pol.

69. Źródła i wodospady Prutu.

Źródła wielkich rzek są podobne do pierwiastków dziejów. Do pewnego punktu można iść i dojść potokiem w górę; ale od pewnego punktu stają się poszukiwania daremne, tak w naturze jak w dziejach. Mały, wesoły potoczek dzieli się na drobne i coraz drobniejsze gałęzie i tylko w ogólności można oznaczyć raczej okolice źródłowiska rzeki, niż jej źródła, raczej niepewne zadatki do dziejów, niż czas i pierwsze wypadki dziejowe. Zdarza się wprawdzie, że źródła rzek większych są do razu znaczne i niewątpliwe, ale podług doświadczenia mego, policzyłbym takie źródła do wyjątku.

Do takich wyjątków nie należą źródła Prutu; na wielkiej przestrzeni rozłożone łukiem wypływają one z czarnych lasów, i Prut

jest tam dopiero tak nazwany, gdzie się już zebrał w wielkim górskim potoku i gdzie przepyszne tworzy wodospady. Od źródłowisk tedy Prutu, spuściłem się do jego wodospadów, które z piękności swojej słyną na całem Pokuciu, nie tylko u ludzi umiejących oceniać piękności natury, ale nawet u prostego ludu.

Tu muszę opisać naprzód dolinę Prutu na górnym jego biegu. Spada ona w trzech wielkich terasach równych zupełnie w poziomie, a pionowo uciętych od spadku i za spadkiem wody. Chcąc obejrzeć wodospad pierwszy, spuściliśmy się pieszo z pomocą konarów, pni i korzeni drzew, bardzo nagłym zworem poniżej pierwszego wodospadu w dolinę.

Prut płynie górą na tym terasie płytkiem skalistem łożem, więc cała masa wód zbiera się na przestrzeni 9-ciu sążni i spada z wielkim szumem przezroczystym kryształem wody w jednym całunie do groźnej przepaści. Skała terasu jest więcej niż pionowo uciętą, bo nawet wierzchem nachyloną ku przepaści: ztąd kryształowy prąd wodospadu nie dotyka ściany terasu, ale ulewa się wolno powietrzem z wielką gwałtownością i z tem większą, czem więcej wód przybywa po deszczu. Zmierzyć wysokość tego wodospadu, niepodobna ani z góry, ani z dołu. Powiem tylko tyle, iż trudno poznać twarz człowieka, gdy stoi w górze na skale, a z góry widziani ludzie na dnie przepaści, wydają się podobni do wyrostków. Właśnie to nadaje najwięcej uroku temu wodospadowi, że całun kryształowy nie dotyka się skał, i że przez tę kryształową szybę, widać w przezroczu wszystkie załomy skał, kępy mchów i wodnych roślin, które dziwnemi grają barwami, przysłonięte tym całunem szklistym. Wolne miejsce między wodospadem a skałą jest tak znaczne, iż po łomach skał można przejść sucho, a przezroczystość wody i kryształowego całunu jest tak wielką, niż nie wiedzieć prawie gdzie się powietrze kończy a woda zaczyna, która po krańcach, szczególniej wodospadu przechodząc, albo w pył drobny, albo odbijając drobne promyki światła, staje się podobną do cudownej przezroczystej koronki, którą się okrywa cały kryształowy całun. Ruchoma ta koronka, najdziwniejszych tkanin i wzorów, odbija jak srebrna siatka na modrym całunie w oświeceniu światła dziennego, ale w oświeceniu promieni słonecznych zamienia się ta srebrna koronka na koronkę złotą i żal prawie sercu, że takie piękne cacko, że taka tkanina fantastycznych snów natury w przepaści bezpowrotnie ginie.

Tak wielka masa wody spadając z gwałtownością z tak wysoka, wybiła w dnie doliny wielką wannę, prawdziwą wannę rusałek. Głęboka toń przybiera tu w grze światła kolory pawich piór, i znacznie dopiero poniżej tego jeziorka uchodzi z szumem Prut dalej, z wielkim

szumem i pryskiem wód, które w białych pianach bałwanią się pomiędzy łomami.

Dwa drugie wodospady, na któreśmy poniżej natrafili, są może pod względem bogactwa wód i łomów skalistych, które je tworzą, okazalsze, nie otacza je wszakże tak urocza pustynia do koła i rusałki nie przędą tu tej cudownej siatki na przezroczystym całunie.

W. Pol.

70. Górale wschodnich Karpat.

Beskid opada najniżej na wierzchowinie Wisłoki około Dukli i Darwinka; na ten też łęk ciągnęła w czasie wędrówki narodów jedna część nawały wędrownej rzeszy z północy na południe. Sanoccy i jasielscy górale tedy osiedli na wielkim szlaku pierwotnych dziejów, i to wpłynęło zapewne niemało na ich rodowe związki i stosunki z wielką doliną Dunaju. Na wierzchowinie Dniestrowej po za połoninami sanockiemi na wschodzie, tam, kędy już wody przewał biorą do Dniestru, zmieniają się zupełnie rodowe stosunki Górali Karpackich.

Ród Bojków i Tucholców z obszaru górnego Dniestru, Stryja i Oporu, z obszaru Czarnego Lasu i Hucuły od Czarnej Góry, są głównie pasterzami, ale nie są rolnikami, ztąd też niemają tych cech ogłady obyczajowej, jakie daje powołanie rolnika.

Podłużne orne lub paszniste działy sanockiej ziemi, przechodzą w nagłe kopczaste góry na wierzchowinie dniestrowej. Formacya dolin niknie tu zupełnie, ciasne tylko debry i żłoby oddzielają ten świat rozkopczony, góry są suche, i bardzo nizko biją źródła. Olchowych potoków niema, ztąd góry są bardzo sposobne do chowania owiec; jakoż zakupują tu owce corocznie górale zachodniego skrzydła Karpat i Nizkiego Beskidu. Góry porastają tu wielkimi pierwotnymi lasami na wierzchowinie dniestrowej, od źródeł Dniestru na całym obszarze Stryja, Oporu, Swicy, Łomnicy i obudwu Bystrzyc, a jeszcze dzikszy i nieprzystępniejszy jest obszar Czarnego Lasu i Czarnej góry, na wierzchowinie Prutu i obudwu Czeremoszów. Ztąd też i lud jest tu dziki, bez religijnych wyobrażeń i obyczajów, rozwiązły, oddany wszelkiej rozpuście i skłonny do rozboju i mordów. Cała ta etnograficzna grupa ma cechę nieutartego ludu. Dwory, kościoły i cerkwie są tu bardzo rzadkie, miasteczek niema wcale lub dopiero na Podgórzu, kraj prócz głównych bitych gościńców nieprzystępny, obszary wsi bardzo wielkie, lasy dotąd nie przecięte a po

nad górną granicą lasów, wznoszą się pasma połonin tak rozległe, iż można robić kilkudniowe podróże i nie ujrzeć ani dachu, ani wznoszącego się z nad lasu ogniska.

Cyfry dają tu najlepsze objaśnienie; wieś naprzykład Żabie na Hucułach liczy dwa tysiące gospodarzy, a posiada 15 mil kwadratowych obszaru. Jaka zaś różnica zachodzi w stanie wód między obszarem Dunajca, Wisłoki i Sanu, gdzie lasy są przecięte, a góry wzięte pod pług, jaka różnica, mówię, zachodzi pomiędzy stanem wód górskich Wisły, a wód górskich wierzchowiny dniestrowej, dowodzą tego powodzie górskie. Wody Wisły podnoszą się w jej dolinie do 22 stóp, a wody górskie wierzchowiny dniestrowej na ujściu Stryja tylko na stóp 9 nad zwykły stan wody. Niebaczne przecięcia lasów na górskim obszarze Wisły, stanowią o tej różnicy stanu wód i powodzi.

Góry tedy na wierzchowinie dniestrowej są sposobne do chowu bydła i owiec; dzikie pasterstwo jest też głównie powołaniem tego wschodniego skrzydła Karpat.

Już od połonin Sanockich zmieniają się obyczaje pieśni i podania gminne. Do pieśni przybywają Połoninki, do tańców góralskich przybywa huculska kołomyjka, a i pieśni i podania mówią tylko o słynnych rozbójnikach, którzy w ciągu XVII, XVIII, a w części i XIX wieku rozbijali w górach Pokucia, Bukowiny i na podgórzu Karpackiem. Rozbójnicy ci pod nazwą Opryszków znani, spuszczali się z gór i rabowali dwory, cerkwie i kościoły, oblegali podgórskie miasteczka i wybierali haracze w żupach solnych, a dwory i starostwa musiały, dla odpierania tych najazdów, utrzymywać zbrojnych hajduków. Bywały nawet wypadki, że wojewodowie i hetmani wysyłali oddziały wojska na ich poskromienie.

Góry Pokucia i Bukowiny leżą na pograniczu, a w tej stronie nawet na samem rozgraniczu sadyb słowiańskich; tu tedy zbierała się hołota zbiegów z kilku narodów i organizowała z miejscowego ludu bandy Opryszków. Rząd austryacki trzymał przez pół wieku prawie te góry pod doraźnym rządem, uzbroił kilka razy całą ludność miejscową i jeżeli można powiedzieć, że dzisiaj właściwie opryszków już niema na tem pograniczu, to niemożna za to zaręczyć, żeby się bandy opryszków niepotworzyły jutro, tak żywą jest tradycya rozboju w całym ludzie, że tylko w tych wybrykach społecznych upatruje on dzielność swego rodu.

Gdy tatarskie i tureckie najazdy od wschodu ustały, poczęły się organizować bandy opryszków. Huculy najmowali pasze na pograniczu Pokucia i Roi Chocimskiej od chocimskiego baszy. Konie

ich pasły się razem ze stadami koni tureckich i ztąd to utworzyła się rasa hucułków, dotąd jeszcze bardzo cenionych.

W tym stosunku do chocimskiego baszy wyrobiła się niezawisłość Hucułów, bo na pusto-paszach niepodlegali właściwie nikomu, więc najdogodniej było wziąść się do rozbojów. Łatwość była wielka dostania broni ze wschodu, a Pokucianie i Hucuły mówią dotąd, że pod turecczyzną siedzą. Równie jak nam, musieli te Opryszki dokuczać i Multanom, bo po włosku oznacza hucuł rozbójnik czyli zbójca.

Hucuły paśli stada blizko ormiańskiego Jazłowca i Buczacza na szlaku, który od Suczawy przechodził na Podole, dzieląc się do Kamieńca, rabowali karawany kupczących Ormian i Żydów, napadali dwory, łupili monastery i klasztory i zapędzali się wzdłuż miasteczek Podgórza aż do Delatyna i Drohobyczy, wybierając haracz od żupników, paląc dwory, wsie i miasta. Spadali zwykle w czasie targów na bezbronną ludność, ale często zapowiadali swoje przybycie, przesyłając przez posłów kartę, na której był oznaczony haracz. Taka karta bywała opaloną na czterech rogach, na znak, że dwór, wieś lub miasto tak spłonie, jeżeli zgodnie haraczu opryszkom niezłoży.

Matecznikiem Opryszków była Huculszczyzna; ale i Tucholce i Bojki łączyli się z nimi, by mieć udział w rabunku.

Bojki są osadą pochodzącą z Bełzkiego. Osadzono tu tę ludność, aby się trudniła dostawą soli z żup Karpackich. Okolica synowódzka trudni się od wieków rozwożeniem soli warzonki po Pokuciu i Podolu, a właściwie po całej Czerwonej Rusi. I w Bełzkiem i na Bojkach przechowało się podanie, że Bojki są osadą Bełzką; więc przesiedlenie to trzeba odnieść w bardzo odlegle wieki, bo Bojki mają dziś wszelkie cechy górskiego rodu, a ich tabory podróżne są takie same, jak za czasów herodotowych.

Na równej Rusi nazywają ich Solarzami; są to Czumacy górscy. Wołowe maże ładowne solą tworzą te tabory, które spotykać można wszędzie na równej Rusi. Wszystko tu jest przyrządzone do wielkiej drogi: dobre woły, jarzma okryte ostrzeżkiem, żeby w czasie słoty woły nieodparzały karku, cały wóz nakryty dobrą słomianą budą na wzdłuż, aby ani sól nie zwilgła, ani człek nie zmókł, maże łubem wyszyte jednej miary; przy każdym wozie zapasowe osie i dwa nowe koła, drągi jedne przywiązane jak stopnie do luszni, drugie obok kozłów do dźwigania i smarowania wozów, gdy zapadną w błoto lub głęboką kolej. Pod budą na ciepłych kocach leży w całej drodze Bojek i pocmokuje na woły. Zuchwały i zaczepny nieustąpi nikomu z drogi, porywczy jest do kłótni i bójki, a hardy bo sól wiezie, bo ma piękne woły i zawsze grosz w kalecie. Bojki mają swoje solne szlaki, swoje targowiska i gospody. Mazią ciągnie się tabor so-

larzy po drodze, ale pięknie wygląda, kiedy stanie w czystem polu, lub opodal karczmy, bojąc się bowiem ognia, trzymają się tabory solarzy z dala od strzech. Bardzo wcześnie stają na nocleg, upatrując paszę dla wołów i płacąc za nią solą. Staczają tabor w wielki kwadrat, mający tylko jedną bramę, podobny zupełnie do dawnych wojennych taborów. W pobliżu taboru pasą się stadem wyprzężone woły, a gdy przestają się paść, zapędzają je w środek taboru, i tu układa się spokojnie drożny wół i drzemie, lub odżuwa paszę. Wówczas bramę zamykają, zataczają ją dwoma wozami i po kilku godzinach spoczynku wyruszają przed świtem w drogę.

Ledwo że przed wieczorem stoczą tabor, rozkładają przed bramą ognisko, dobywają kotłów i warzą wieczerzę. Z poblizkiej wsi lub miasteczka przychodzą ludzie za kupnem soli i zawiązuje się przy jednym wozie mały targ. Ludzie przynoszą jaja, ser, masło, krupy, kiełbasy i słoninę i mieniają na sól.

Trzeba tu przyznać, że w tych małych targach łatwo o zgodę. Bojek bywa tu i mówny i ludzki i hojny, bo lubi dobrze żyć w drodze i nie żałuje sobie niczego. Zwykle gdy się taki targ zakończy, nadciągnie szlakiem dziad z lirą idący z odpustu lub od wsi i pozdrowi podróżnych z daleka, solarze zapraszają go do ogniska na wieczerzę, dziad rozpowiada co słychać po świecie, a po wieczerzy gra na lirze i śpiewa im pieśni. Póki się woły pasą trzymają się hurtu, i tym co je pasą, nie wolno się przysiąść, ani się położyć na łące. Wozy taboru są tak stoczone, że pomiędzy nimi nieprzeciśnie się złodziej, wierzchem taboru nic nie weźmie, bo wozy nakryte budami, nie przejdzie go też wierzchem, bo maże trzeszczą, gdyby kto lazł przez wozy; nie przejdzie go też spodem pomiędzy kołami, bo tu na kocu leży Bojek z drągiem, a dziad przy ognisku co spać nie może, ostrzega solarzy, gdy się co zbliża do taboru, lub koło wozów trzeszczy. Mają też zawsze solarze i koguta w drodze z sobą, który czujnie na budzie nad taborem siedzi i do świtu budzi; a tak zna się i człowiek pod wozem leżący bezpiecznie i wół w taborze zamknięty, bezpieczny od złodzieja i wilka, i towar na mażach. Gdy taki tabor przed świtem w dalszą drogę znowu ruszy, długo jeszcze w nocnej ciszy słychać jego skrzyp, a z całego nocnego gospodarstwa solarzy pozostaje tylko dziad przy gasnącem ognisku i błogosławi odjeżdżającym w drogę, dopiekając reszty ziemniaków przy ogniu.

Szlaki solarskie ciągną się tak daleko na wschód i zachód, póki się na zachodzie nie spotkają z kamienną solą Wieliczki, a na wschodzie z czumacką solą Limanów. Topki, warzonki soli, znaczone są od wieków herbem Piławy. Chciano to odmienić, ale lud przestał kupować sól, i powrócono topkom Piławę.

Hucuły są narodem konnym. Na koniu jeździ tu od dziecka każdy, bo drogi są skaliste, góry bardzo strome, przestrzenie wielkie. Na koniu jedzie dziewczyna z konewką po wodę, na koniu jadąc karmi matka dziecię, na wieczornicę jedzie z kądzielą na koniu niewiasta i przędzie kądziel, do karczmy jadą na koniu, do miasteczek i na targi wyruszają całemi wsiami, i koń za koniem idąc wspina się stromemi ścieżkami po skałach, spuszcza się z nich ostrożnie, i przechodzi brody szumiących potoków i rzek. Bez konia nikt tu nie ruszy z chaty, czy to do lasu, czy do szałasu na połoniny, czy do miasteczka.

Cały naród Hucułów jest bardzo strojny i strój świąteczny Hucuła jest drogi. Są też oni rzeczywiście bogaci: hodując wielkie stada owiec i koni, mają dostatek paszy i lasów, sprzedają owce i konie, a żyją przez cały rok prawie ziarnem zakupnem na równym Pokuciu i Bukowinie, mianowicie zaś jagłami i kukurydzą. Huculi są widocznie rodem Kaukazkim, który ciągnął się za taborem słowiańskich ratai i o wiele wieków później osiadł w górach Pokucia i Bukowiny. Wszystko tu jest wschodnie, cały ród konny i zbrojny w zbroje orientalne. Mężczyźni umieją sami robić broń, niewiasty robią dywany i posiadają sekreta farbowania wełny, o bardzo żywych kolorach. Wzory tych dywanów perskie, perską jest czapka huculska, a pas czyli raczej szkarłat, który noszą na kurtach, błękitne spodnie, żółty safian, żywy seledyn, i kolor pomarańczowy, przypomina jeszcze w Hucułach uczucie gry kolorów wschodnich. Obyczajem kaukazkim chodzą tu koło nabiału, a wszystkie przybory na konia są upięte u siodła i przyrządzone do podróżnych karawan. Często koń idzie bez uzdy, lub przynajmniej niekiełznany, ale zawsze ma na sobie terlicę. Konie są bardzo rozumne, znają dobrze ludzi i górskie ścieżki i we dnie i w nocy, pilnują się same od zwierza i trzymają się człowieka, a przywiązują się do domowników i dzieci, ale pamiętają bardzo długo wyrządzoną sobie psotę, a tak są chowane z ręki, że w drodze idą na głos za ludźmi, i wracają z połoniny do domu same na znane sobie wołanie.

Do rycerskich zabaw Hucułów należy rzucanie toporem do celu, i w dnie świąteczne zabawiają się oni tem z południa około karczmy. Każdy ma za pasem topór, czyli raczej szeroki berdysz osadzony na krótkiem toporzysku. Kształtem podobne są te berdysze do starych rzymskich siekier, a rzucają niemi oni do celu tak zręcznie, iż rzucony o kilkadziesiąt kroków topór, świszcząc w powietrzu i przewracając kozły dzwoni jak kosa, gdy ustrzęgnie w drzewie, które służy za cel. O zakład rzuconym toporem obcinają wierzchołki świerków, o zakład oznaczoną na drzewie gałązkę, a jeżeli są zrę-

czni w rzucaniu toporem, to umieją także uchylić się od rzuconego toporu, i uczą się tego tak dobrze jak rzucania.

Dopóki chodzi o zabawę, jest to w istocie gra zajmująca; ale biada, gdy w gniewie zafurczą powietrzem topory. Ci co nieufają sobie, niezbliżają się ku sobie w lesie na rzut topora, dopóki nie stanie przymierze. Jest u Hucułów sposób mówienia, oznaczający niewielką przestrzeń: „Jak toporem przerzucił. Łatwo się z nimi przymierzyć, ale nigdy niemożna mieć bezpieczeństwa przymierza. Wszystkie też ich pieśni zwane Połorinkami opisują zdrady i morderstwa.

W tej górskiej puszczy Czarnego Lasu i Czarnej Góry niema zadatków do innego życia, i dopiero zmiana stosunków społecznych zaczyna wpływać na przekształcenie tych trzech rodów: Bojków, Tucholców, Hucułów.

W. Pol.

71. Żydzi.

Musimy też w końcu powiedzieć i o tej przeważnej ludności naszych miast i miasteczek, która im nadaje cechę tak wybitną i wyłączną, dla jednych smutną, dla drugich komiczną, której tak piękny, tak żywy i uderzający podobieństwem obraz, nakreślił wswoich „Podróżach" Niemcewicz:

Po innych krajach wędrownik szczęśliwy,
Coraz to nowe napotyka dziwy,
Miasta pięknemi ozdobione sztuki,
Ruch przemyślnego ludu, przemysł i nauki.
U nas gdziekolwiek człek kroki swe zmierza,
Obraz smutnych widoków wszędy go uderza,
Żadnej nigdzie odmiany: od Bugu do Nidy
Wszędy też same piaski, ubóstwo i Żydy.

* * *

Z rozpuszczonemi wolno łapserdaki,
Drapiąc się często w pejsaki,
Nie powiem o czem myśleli,
Gdy nic nie robiąc na kłodach siedzieli.
A brudne ich połowice,
Brudniejsze jeszcze piastunki,
Lub nalewały gorzałki szklanice,
Lub też parszywe robiły koronki.
Niczem są przy nich po stodołach młocki,
Izraelki tak szybko przewracają klocki,
Iż tych koronek, co ich skronie zdobią,
Półtora cala na tydzień wyrobią.

Zapoceni, zabryzgani,
Z rozczochranemi pejsaki,
Lecą jakby opętani
W rozmaite Polski szlaki.
Z wywieszonemi ozory,
Z góry na dół z dołu w góry,
Szkapy knutem siekąc srodze,
Gubiąc pantofle po drodze,
Lecą. A kiedy do miasta przyjadą,
Wrzeszczą przed całą swoją gromadą.
Jak kiedy od sosny blizko,
Ktoś kijem ruszy mrowisko,
I w różne drogi rozchodzą się mrówki,
Tak czarne żydy, żydówki,
Mężowie, dzieci i żony,
Krzątają się na wszystkie strony......

Od czasów kiedy pisał to szanowny Niemcewicz, znikły wprawdzie owe charakterystyczne pejsaki, pantofle i zdobiące niegdyś strzyżone głowy płci pięknej żydowskiej koronki. Pomimo tę jednak wymuszoną zmianę i niejakie przez to zbliżenie w stroju do ludności krajowej, Żydzi zawsze wyróżniają się od niej stanowczo i swoim pozorem zewnętrznym podobniejsi są raczej do swoich dziadów z pejsakami i babek w koronkach, które tak malowniczo wystawił przytoczony przez nas poeta.

Żydzi są narodem bardziej od wszystkich innych zachowawczym. Ze wszystkich ludów żyjących obecnie na obliczu ziemi, pomiędzy którymi są bardzo niedawne, a z których i najdawniejsze już zastały na tej ziemi dzieci Abrahama, ci ostatni zachowali największe podobieństwo do swoich przodków i najmniej ulegają niszczącemu i odmieniającemu wszystko wpływowi czasu. Jakikolwiek przeto, byle wierny obraz Żydów, niech i jak będzie dawny, stosuje się doskonale i do Żydów dzisiejszych. Wprawdzie próżno teraz między nimi szukać ideałów biblijnych, jakich tam Gedeonów lub Machabeuszów. Lecz tego jest szczególniejsza przyczyna: Takie ideały wydawał naród Żydowski dopóki jego była ziemia obiecana. Odkąd ją utracił niemasz w nim ani bohaterów, ani prawodawców, a są Żydki takie, jakich widzimy dzisiaj, a którzy nieodmienili się bynajmniej od swoich przodków, osiadłych w Rzymie pogańskim Cezarów i innych krajach po czasach swojego rozproszenia.

Takaż sama utrzymuje się u nich cześć dla złotego cielca, cześć starodawna, która jeszcze w czasach wędrówki na pustyni, pod wodzą Mojżesza, przywiodła ich do odstąpienia od czci prawdziwego Boga, lecz która później pogodziła się najzupełniej ze czcią tego Boga, i ta ruchliwość, to krzątanie się, które wiecznie ich charakteryzuje, wre-

szcie niechlujstwo prawdziwie wschodnie, wyniępione niewątpliwie jeszcze z Azyi, a którem szanujący dawne zwyczaje Żydzi celują nad Arabami, Persami, Turkami i Tatarami. Te ich charakterystyczne cechy i po Niemcewiczu były przedstawiane bardzo pięknie i zabawnie przez mnogich u nas mistrzów pióra i ołówka; lecz obudzać one winny nie śmiech pogardliwy, a myśl poważną; bo ta ruchliwość żydowska, która tworzy tak potworno komiczne sceny i obrazy, prowa-



Żydzi.

dzi Żydów do gromadzenia w swoje posiadanie złota. W obec tej ruchliwości niczem jest i żelazna i wytrwała praca naszego wieśniaka, i musi ona ustąpić pierwszej i oddać się jej w służbę, w naszych czasach, kiedy w pojęciach panujących z materyalizowanego świata wszelka wartość ceni się na wagę złota i kiedy w skutek tego Żydzi w posiadaniu tego złota są prawdziwą potęgą.

Ta potęga dała się czuć dotkliwie w naszym zwłaszcza kraju, gdzie od czasów Kazimierza W. z Niemiec i całej Europy Zachodniej

nacisnęło się najwięcej Żydów i gdzie dotąd jeszcze ilość ich jest największą. Żydzi w Polsce osiedli gromadnie po miastach i miasteczkach, gdzie zajmują się tak zwanym handlem, to jest szacherką, i cokolwiek rzemiosłami; po wsiach mieszkają tylko pojedynczo, dzierżawiąc karczmy i młyny. Żyd z przyrodzenia i potrzeby przemyślniejszy i oszczędniejszy od Polaka, przygarnął wkrótce do siebie przemysł, handel i bogactwa krajowe, a co gorsza charakter narodowy popsuł, gmin rozpajając i do kradzieży i innych występków wiodąc, klasom wyższym marnotrawstwo ułatwiając, przekupstwa ucząc, wszędzie zaś przemysł krajowy i byt dobry przytłumiając. O tej szkodliwości Żydów wiedzieli dobrze nasi przodkowie, mianowicie zaś stan miejski, któremu Żydzi w rozmaity sposób dokuczyli, bardziej daleko niż szlachcie, przeszkadzając mu w zarobkach, zabrudzając domy i ulice i częstokroć narażając cały jego dobytek na pożary; lecz napróżno mieszczanie w swoich krzywdach od Żydów, uciekali się pod opiekę monarchów; bo chociaż i najpomyślniejszą zyskali odpowiedź, Żydzi za pomocą magnatów potrafili odwrócić wszelkie przeciw sobie wymierzone pociski; owszem nieraz znajdowali przystęp wolny do samego tronu i wyjednywali sobie łaski i względy z wielką krzywdą chrześcijan, jak to się działo za czasów królowej Bony i Jana III. Mieszkańcy miast nie mogąc nic wskórać przeciw Żydom u rządu, mścili się rzucaniem obelżywych pisemek na ten naród, zadając mu często urojone, ale częściej aż nadto prawdziwe występki. Jakoż w Polsce o Żydach mówiono, pisano i ogłoszono drukiem tyle, że zbiór samych o nich drukowanych pism i pisemek stanowić może poważną i nader zajmującą bibliotekę. Sebastyan Miczyński, Achacy Kmita, Władysławjusz, Sleszkowski, Żochowski, ks. Gaudenty Pikulski, autor szczególniej znakomitego dzieła „Złość Żydowska," i inni wyjeżdżali kolejno na harc przeciw tym, jak się wyrażali, nieprzyjaciołom krzyża świętego. W pismach tych, bardzo poczytnych i obecnie należących do największych rzadkości, Żydzi wystawieni są surowo, jako „śmierdziuchowie Mojżeszowi, opętani szalbierze korony Polskiej, zdrajcy przeklęci, kabalistowie, dyabelscy synowie, łotrowscy szalbierze, wykrętni fałszerze, niecnotliwi odrzyduszowie, cygańscy oszustowie, z sercem Judaszowym i paszczami szatańskiemi" i t. d. Żarliwy Miczyński przedstawiając r. 1618 Zgromadzonym Stanom lament ojczyzny niegodnie wyzyskiwanej i utrapionej od Żydów, woła na końcu mową wiązaną:

Bodaj był nigdy Tytus Żydów nie zwojował,
Bodajby je był raczej w ich gniaździe zachował;
Niż rozegnał po świecie tę sprosną zarazę,
Z której w Polsce szczególniej widać wielką skazę.

Przyznać jednak trzeba, że nie sama ciemnota i fanatyzm religijny Polski szlacheckiej XVII wieku i pierwszej połowy XVIII wieku dyktowały te pisma; bo i ku końcowi przeszłego wieku pisarz znakomity, któremu nie można zarzucić ani ciemnoty, ani fanatyzmu, który był jednym z największych u nas zwolenników światłej tolerancyi, Krasicki tak pisze o Żydach:

„Rodzaj ten ludzi sprawiedliwie wzgardzony, bo chytry łakomy i podły, tyle obrotnym przemysłem i statecznem usiłowaniem dokazał, iż mimo niezdatności swojej przymusza tych, u których się zagnieździł, iżby go cierpiano.

Ludność żydowska przez ich wczesne małżeństwa, bardziej się nad wszystkie inne rozmnaża; sposób życia nad miarę wstrzemięźliwy i nędzny, rękojmią jest i najdostatniejszym sposobem do zbogacenia. Jakoż byleby się gdzie rozpostarli natychmiast przeciągają do siebie handel, a z nim część wielką zbiorów, które raz w ręce ich dostawszy się, nie inne mają ujścia nad te, które je coraz bardziej pomnożyć mogą.

Przesąd jest godzien nagany, brać wstręt od całego narodu dla tego, iż szczególne mają zdrożności swoje, lecz tu miejsca niema, gdy rzecz o żydowstwie. Znaleźć się mogą między nimi takowi, których sposób myślenia różni się od powszechności, ale przykład takowy nader rzadki i ledwo kiedy znaleźć się mogący, tembardziej powszechność obwinia. Gdziekolwiek się rozpostarli, nigdzie się ich użyteczność nieokazała, albo jeżeli się niekiedy wydają użytecznymi, ująć im albowiem tego niemożna, iż są zdatni do handlu, takowa z nich korzyść tylu szkodom, które czynią, towarzyszy, iż nigdy dobre złemu nie wyrówna.

Powszechność narodu tego ma swoje nieodmienne prawidła i trzyma się ich statecznie. Oszukanie pierwszem jest i byleby tylko zysk przyniosło, żadnej takiej przeszkody nie masz, którejby stateczną a natarczywą cierpliwością niezwyciężyli. Handel duszą jest i jedynym ich celem i dlatego się rolnictwa, kunsztów, ledwo niewszystkich, i rękodzieł zrzekli. Gdy więc ku temu jedynemu zamiarowi wszystka się ich usilność zwraca, niepodobna, iżby niewygórowali w tej mierze nad wszystkich.

Okazuje to widocznie doświadczenie, najbardziej zaś u nas. Z ich jedynie przyczyny nazwisko się tylko mieszczan zostało. Wkradłszy się do miast pomału, przekupstwem, obrotem, cierpliwością, bezczelnem nakoniec naprzykrzaniem, coraz się wzmagając i rozszerzając, nieznacznie wszystkie prawie posiedli i jeżeli się który z dawnych właścicieli utrzymał, przypadkowi raczej szczęsnemu, niżli staraniu i pracy winien ocalenie swoje. Czuwa jednakże i na niego podstęp,

i szczęśliwej tylko pory oczekuje, aby to na czem mu jeszcze braknie, pochłonął.

Widzimy ułomki miast naszych i domy nikczemne, gdzie niegdyś stały kamienice dostatnie i okazałe. Nie tak wojnom i pożarom, jako żydowskiemu rozplenieniu przypisywać upadek miast naszych powinniśmy. Jedynie na zysk czuwający ten naród, nigdy się tem nie zatrudnia, co jakiżkolwiek wydatek bez sowitej korzyści sprawić może. Jak więc obrzydliwie i niechlujno się przyodziewa, tak i o mieszkanie uczciwe niedba. Dość ma na czosnku, żeby głód opędził, na gałganach, żeby się okrył, byleby dach miał i ścianę ku przytuleniu, o resztę niedba. I dla tej przyczyny, domy uczciwe, których po wypędzeniu mieszczan przywłaszczyli sobie własność, przez ich niedozór upadły, albo jeżeli się który zatrzymał, do upadku się skłaniają. Te zaś, które stawiają, gdy ich zwierzchność do ich stawiania przynagla, tak są budowane, byleby się w nich mieścić mogli, a mieszczą się w nich tak natłoczeni, iż co ledwo jednemu gospodarstwu Chrześcjan wystarcza, dość jest na trzy żydowskie pokolenia. Ztąd nieporządek, zaraza, ujma wygody podróżnym, a nakoniec i tychże samych domów, w których mieszkają nadwerężenie, z których teraz, kiedy się miasta nasze składają, okazują widok nikczemny i podają ku wzgardzie naszym sąsiadom.

Niemniejszych szkód stają się przyczyną i po wsiach. Pobudką dziedzicom i dzierżawcom, zgoła każdemu niebacznemu wsi posiadaczowi, do puszczenia karczmy żydowi, jest zysk przymnożony prędki i przychodzący razem. Czuli na takowe powody arendarze postępują zawsze więcej, niż dotąd karczma czyniła, zysku więc przymnożenie ułatwia kontrakt. Niecierpliwość przewłoki nielubiąca przenosi mniejszą kwotę, byleby zaraz do rąk przyszła, nad większego zysku osiągnienie, gdy go długo czekać potrzeba. Gdy zaś jeszcze i prędkość i większość zyska, tem łatwiej się skłania. Ztąd zawsze mając pieniądze na pogotowiu arendarze pewni są prawie utrzymania się, jeżeli ich nowoprzybyły niepodkupi.

Z pierwszego wejrzenia zdaje się być oczewisty niezawodny i prędki pożytek, a zatem z tych powodów zupełne nietylko usprawiedliwienie, ale i zaleta takowych, którzy ze zdarzonej okoliczności korzystać umieją; ale też same okoliczności wziąwszy na baczną uwagę, to z czego się radzi chełpią mniemani gospodarze, największem jest ich działania potępieniem.

Daje arendarz większą należytość z karczmy i szynku trunków; ale zkąd tę większość i z własną korzyścią zyskać może? Niezkądinąd tylko z przemysłu swego; ten zaś, jak widzimy pospolicie na wsiach, nie inakszy być może, nad oszukanie i zdarcie poddanych. Jest

zyskiem szafowanie trunków, ale jest szkodą pijaństwo poddanych, które je gnębi, co do sił uboży z wydatku, a przez to wszystko gdy czyni niesposobnymi do pracy, istotną i imże samym i właścicielowi szkodę przynosi.

Niemasz większej przeciwności jak ta, która się pospolicie zwłaszcza w czasie odpustów trafia, gdzie w domu chwale Bożej, azatem cnocie poświęconemu, skromność się zaleca, a po nauce o wstrzemięźliwości, idą słuchacze czynić to, o czem dopiero słyszeli, iż czynić się niegodzi, i kolatorna zbytku szkodliwym duszy i ciału stanowi swoje dochody.

Gdy baczna zwierzchność temu niezabieży, podła ta, a mnożna zgraja musi z czasem posiąść wszystkie bogactwa kraju, niszcząc rękodzieła, kunszta, i wszystkie rodzaje handlu ogarnieniem, a złem utrzymywaniem swojem.

Filip Macedoński, ojciec Aleksandra, powiadał, iż niemasz twierdzy niezdobytej, do której wejść nie może muł ujuczony złotem. Na tym pewniku i Żydzi swój los i swoje szczęście gruntują. Naród ten chciwy, umie być szczodrym, gdzie o jego całość i polepszenie losu idzie. Podłe dusze znają swoich współbraci i dla tego na wszystkich stopniach zwierzchności najcięższy kruszec przeważa sprawiedliwość. Przekupstwem, tą nieodpartą bronią, Żydzi wszędzie utrzymywali się, utrzymują i utrzymywać będą.“

Żydzi przyczynili się w wielkiej, może największej mierze do politycznego upadku Polski. Pisarz rossyjski D. Iłowajski, zgłębiwszy tę rzecz lepiej od naszych historyków, mówi o tem następnie:

„Przyjęcie przesiedlających się Żydów, kiedy umykali oni z Niemiec przed srogiem ich prześladowaniem, a szczególniej w czasie wojen krzyżowych, pisarze polscy zwykle wystawiają jako akt świadczący o szczególnej ludzkości swoich przodków. Aleć za co rzeczywiście wywierano takie na nich prześladowania w Niemczech i niektórych innych krajach Europy zachodniej. Przypisują to pospolicie średniowiecznemu barbarzyństwu i fanatyzmowi religijnemu. Dla czegoż wszakże inne plemiona i inne wyznania, nie podpadały podobnej nienawiści i nie wzbudzały religijnego fanatyzmu w pośród zachodnio-europejskich narodów? Otóż musiało być inne źródło takiej nienawiści i prześladowania. Działał tu głównie instynkt samobytu, jaki posiadają w wysokim stopniu wszystkie narody, przeznaczone do długiego historycznego życia. Takie narody zwykle przyjmują do siebie żywioły obce tylko w takiej ilości, jaką mogą pochłonąć i sobie przyswoić, a przeciwnie odpychają bez litości i starają się usunąć te, co mogłyby zalegnąć w ich organizmie jakby kamieniem, i paraliżować

ich ustrój wewnętrzny. Ze wszystkich osobowości etnograficznych, Żydzi niewątpliwie stanowią żywioł najtrudniejszy do przyswojenia.

Uporczywe przywiązanie do swojej religji i połączone z nią zdobywanie bytu, utrzymują ich w odosobnieniu od miejscowych mieszkańców, a zarazem przy sprzyjających okolicznościach dają im możność organizowania *status in statu.* Do takiego odosobnienia przyczynia się jeszcze nader ważny rys charakteru, który instynktowie odtrąca od nich miejscowych mieszkańców; a tym jest wrodzony im dar wyzyskiwania.

Nikt niezaprzeczy temu, że Żydzi są ludem zdolnym i czynnym, ale używają oni tych darów jednostronnie samolubnie; wreszcie i sama czynność nie jest jeszcze to, co wynaleźć, utworzyć; mała liczba artystów, medyków i uczonych niezmienia naszego zdania, gdyż mówimy o ogólnej massie. Okolice, w których rozpładza się i powiększa żywioł żydowski, zwykle przychodzą do materyalnego upadku: jest to fakt. Nie mamy przykładu, aby na ziemi, chociażby najhojniej uposażonej od przyrody, lecz jeszcze nieuprawnej, zakwitła osada złożona z Żydów talmudzistów. Przeciwnie, dążą oni do takich miejscowości, gdzie widzą mieszkańców w dobrym bycie, i tam mając gotowy materyał do wyzyskiwania szybko się rozpleniają. Rzadko widzieć można, aby sami coś produkowali, lecz wszystkie swe zdolności wymierzają ku temu, aby tylko pośredniczyć między producentem a nabywcą. Robót polowych, budowlanych, fabrycznych, wymagających większej pracy fizycznej zwykle unikają; mała ilość lichych rzemieślników i rolników, prawie nie zasługuje na uwagę. Drobiazgowe handelki, odkupy, dzierżawienia, przemytnictwo, lichwiarstwo, faktorstwo i temu podobne szachrajstwo, oto są ich zwykłe zatrudnienia, i nigdzie one nie doszły do tak wielkich rozmiarów demoralizujących lud miejscowy, jak w granicach byłej Rzeczypospolitej.

Przytem polska anarchja, egoizm arystokracyi i kupowanie posad, wywierały nader zgubny wpływ na charakter i skłonności plemienia żydowskiego. Zalegli oni wszystkie miasta i miasteczka, paraliżując rozwój średniego stanu ludu w tem państwie; rozpostarłszy się na ich miejscu, zwiększyli przepaść między wyższym i niższym stanem, to jest między szlachtą i pospólstwem. Szlachta stawszy się wyłączną reprezentantką państwa postrzegła, że gdy potrzeba było bronić niezależności kraju, nie ma za sobą masy narodu. Ma się rozumieć nie Żydzi są temu winni, że w Polsce niezorganizował się jednolity polski naród. Żydzi korzystali tylko z wady charakteru Polaków, a szczególnie braku instynktu do zachowania samobytu. Przeciwko Żydom podnoszono w Polsce głosy z ambon. W literaturze

i na sejmach, poczynając od wielkiego kaznodziei wieku XVI Piotra Skargi i kończąc na głównym publicyście ku schyłkowi wieku XVIII Stanisławie Staszicu. Ale te jeremjady miały taki sam los, jaki spotkał i wszelkie inne narzekania na nadużycia i rozprzężenie Rzeczypospolitej. Nadużycia zawsze miały swoich protektorów i obrońców, jeżeli zaś i udało się niekiedy wyjednać na sejmie jaki przepis ograniczający eksploatorską działalność Żydów, to oni umiejąc obejść podobne prawa w innych państwach lepiej zorganizowanych, tem łatwiej potrafili uniknąć ich w anarchicznej Rzeczypospolitej. Jak na sejmach, tak i w literaturze, również nigdy nie zabrakło stronników zainteressowanych, albo krótko widzących, którzy odpierali, ostrzeżenia ludzi baczniejszych.

Polacy nawet dotąd nie pojmują tego, że Żydzi przyczynili się do rozprzężenia Polski. Dowód tego znajdujemy w wielu historykach i publicystach polskich. Swoje twierdzenia o Żydach opierają oni po większej części na zasadach tolerancyi i ludzkości; lecz zapominają, że ludzkością rządzić się należy przedewszystkiem dla własnego narodu, ku zabezpieczeniu go przeciwko wszelkim ugniatającym i niszczącym żywiołom. Tacy autorowie i mówcy sejmowi, zastanawiając się nad oddzieleniem żydowstwa od miejscowych mieszkańców, wychodzą z tego punktu, że lud ten nie był dopuszczony do równości praw obywatelskich, i doświadczał ucisku; że jeśli nie zostali oni rolnikami, to winien rząd, któren wzbraniał im nabywać na własność grunta, że jeżeli całe swoje usiłowanie zwrócili do zdobywania pieniędzy, stało się to dla tego, że łatwiej mogli ukryć pieniądze przed chciwością swoich prześladowców, że jeśli uchylali się od wojskowej służby, to również przypisać należy temu, że nie posiadali zrównania w prawach i t. d.

Nam się zdaje przeciwnie; gdyż przy pobieżnem nawet zastanowieniu się nad tą kwestyą widzimy, że ograniczenia i niedopuszczenie Żydów do równości praw, były skutkiem ich uporczywego odosobniania się i charakteru eksploatacyjnego. W każdem państwie są i były plemiona obce i nieposiadające zrównania w prawach; jednak nieprzeszkadzało to im, że się stali mniej więcej pracowitemi i produkującemi.

Na sejmie galicyjskim r. 1868, wniesiony był projekt o dopuszczeniu Żydów do prerogatyw przysługujących Chrześcjanom w Galicyi. Kilka głosów wystąpiło z oppozycyą, opierając swoje zarzuty na eksploatorskim ich charakterze. Ale większość mówców, całym potokiem frazesów odwołując się do zasad liberalnych i ludzkości, odparła owych śmiałków, jako zacofanych wsteczników i obskurantów. Palma przodowania między mówcami większości postępowej, pozostała

przy głośnym Smołce, który swoją argumentacyą rozpoczął od historycznego skreślenia bytu Żydów w Polsce. Obraz przez niego przedstawiony był rzeczywiście narysowany śmiało i krasomówczo, ale przepełniony był naciąganiami i błędami. Najznakomitszy z polskich historyków czasów ostatnich, Lelewel, także bojował z Żydami. Przeciwnie u Niemców kwestya Żydowska jest zupełnie w innym stanie. Zdaje się, że stopień cywilizacyi Germanów i sama ich liczebność w porównaniu do Żydów, pozwalałaby pierwszym spoglądać obojętnie na zupełne dopuszczenie drugich do równości praw, a jednak tego niepostrzegamy; owszem nawet obecnie prassa niemiecka toczy przeciwko temu bój zacięty. Mówimy tu o publicystach czysto niemieckich, gdyż większa ilość broszur i monografji o toczącej się kwestyi, pochodzi od samych Żydów i wyszłych z pomiędzy nich przechrztów."

Obecnie Żyd jest handlarzem i faktotum Polaka. Pożycza pieniędzy na wielką lichwę, kupuje i sprzedaje zboże, bydło, płótno, sukno, skóry, korzenie, wreszcie płaty i gałganki. Wszystkie karczmy są wydzierżawione Żydom, którzy już dla samego różnego handlu mogą płacić większą dzierżawę, niż chrześcijanin krajowiec lub obcy. I temu dziwić się nie można, bo Żyd opaja biednego krajowca, kredytuje mu, pozwala, aby jego dług się powiększał, podwoił, a nawet potroił za pomocą oszukaństwa, a potem bierze w zamian jego ser, masło, jaja i drobiazg jego, len, konopie, ostatnią krowę, ostatnie cielę, ostatnią miarkę pszenicy, a często wydziera mu i ostatnią koszulę. Być pomocnym w robieniu długów nakłonić do rozpusty, kupić za lichą cenę, a sprzedać bardzo drogo, oto jest sztuka i zatrudnienie Żyda polskiego.

Oryginalną postać Żyda polskiego, którego ideał wymarzony stworzył Mickiewicz w swoim „panu Tadeuszu," a bardziej zbliżony do prawdy, chociaż także wyidealizowany obraz nakreślił Zacharyasiewicz w swojej powieści „w Przededniu", teraz widzieć można tylko po małych miasteczkach, zwłaszcza w Galicyi. Tam też jeszcze tylko ukazują się owe u nas już nienoszone pejsy, pantofle i koronki. Długa czarna suknia, okrywająca Żyda od głowy do nóg jest spięta pasem; włosy czarne albo rude ostrzyżone krotko na środku głowy, pokrytej zawsze czapeczką, tak nazwaną jarmułką, spadają po bokach w długich kędziorach (pejsach) na jego twarz. Długa broda spada aż na piersi, kapelusz okrągły, nizki, z nadzwyczajnie szerokimi krajami, albo czapka okrągła, wysoka, obłożona lisim futrem, podobna do tak zwanych mufek, jakie noszą damy w zimie, ale wielkich, jakie noszono dawniej, pokrywa jego twarz z rysami azyatyckimi, bladą, wychudłą, długą, usta małe zawsze wykrzywione uśmiechem sardonicznym, nos orli, oczy przenikliwe, ale spuszczone, trzewiki w złym stanie, poń-

czochy podarte i laska w ręku, dla obrony przed psami i ulicznikami; oto obraz Żyda polskiego. Jego żona ubiera się tak, jak i inne w kraju kobiety, lecz nosi na głowie rodzaj turbana, albo czapki przyozdobionej klejnotami. Żyd w bogactwie panoszy się i rozkoszuje w zbytkach, lecz w ubóstwie, które w handlu, jak w grze hazardownej zbyt często mienia się z bogactwem, poprzestaje na byle czem, żywi się słonym śledziem, cebulą, czosnkiem i suchym chlebem; jego mieszkanie jest brudne i smrodliwe; dzieci gniją w błocie pokrywającem podłogę. Pomimo takiej nieczystości i tak mizernego życia, rozradzają się oni nadzwyczajnie, żenią się bowiem bardzo rychło; śmiertelność pomiędzy dziećmi jest wielka, a pomimo to, ludność Żydowska powiększa się w Polsce prawie z każdym dniem.

Gwara żydowska właściwa tylko Żydom polskim, jest zepsutym językiem niemieckim; ale pisma używają hebrajskiego, które dla wszystkich innych jest nieczytelnym hieroglifem. Język hebrajski, który znają tylko ich rabini i hussyci, używany jest tylko przy obrzędach religijnych.

Wielu bardzo naszych pisarzy i publicystów podawało rady, jak uczynić Żydów prawdziwymi obywatelami kraju i pożytecznymi członkami naszej społeczności. Rady te świadczą więcej o dobrych chęciach, aniżeli o należytem zgłębieniu sprawy. Wszystkie one wychodzą z błędnego założenia, zapatrując się na Żydów, jako na krajowców, wyróżniających się swojem wyznaniem religijnem, słowem na Polaków wyznania Mojżeszowego, kiedy Żydzi są narodem i to najodrębniejszym w świecie, chociaż narodem bez ziemi i tę jego odrębność i wyłączność stanowi jedynie jego wyznanie religijne. Pokazuje się tu najdowodniej, że nie język stanowi naród. I takimi Żydzi są we wszystkich krajach. Żeby we Francyi Żydzi byli Francuzami, w Anglii Anglikami, w Niemczech Niemcami, we Włoszech Włochami i mieli służyć za przykład obywatelstwa Żydom naszym, temu zaprzeczamy. Utrzymujemy stanowczo, że nasi Żydzi w niczem nie są gorsi od Żydów Niemieckich, Francuzkich, Angielskich, Włoskich i innych, nie ustępują im nawet w oświacie, a zatem górują oświatą nad masami ludu u nas, co niestety jest prawdą. A że tylko u nas dotąd nie mówią krajowym językiem, to obok ich niezmiernej liczby, która im większa, tem trudniej przyswaja sobie inny język, może i to jest przyczyną, że Polska jest krajem, gdzie zawsze się krzewiły i kwitły obce mowy ze szkodą ojczystej, jak o tem aż nadto świadczą dzieje.

Że Żydzi wyzyskują obcą sobie ludność ze szkodą tejże, to jest rzeczywiście nie tylko u nas, lecz i wszędzie. Dodać wszakże należy, że tam mniej, a tu więcej, na co wpływa ich liczba, przyznawane

im prawa, a głównie zdolności i środki mieszkańców miejscowych. Na to rada trudna. Wszelkie postanowienia rządowe i administracyjne na nic się nie zdadzą, w obec przepisów religijnych obowiązujących sumienie. Żydzi postępują tak jak ich uczy Talmud. Dopóki przeto istnieć będą Żydzi, muszą oni być takimi jak są i stanowić naród odrębny w pośród społeczności obcych, które ani go pochłonąć, ani przyswoić nie mogą. Składają się na to przyczyny wyższe nad pojęcie zbyt powierzchownie z materyalno-liberalnego stanowiska, zapatrujących się na tę rzecz naszych polityków.

St. Str.

KONIEC.